

a

DOUBLE EAGLE

DAN ABNETT

„Silni ludzie podbili ziemię,
Dzielni ludzie podbili kosmos,
Pomiędzy powierzchnią ziemi i kosmosem znajduje się niebo,
Tylko najodważniejsi ludzie mogą je podbić.”

- motto akademii lotniczej w Hessenville, Phantine

„Daję ci komendę nad niebem, zajmij je dla mnie.”

- marszałek wojny Macaroth do admirała Ornoffa,

773.M41

„My mamy samoloty. Latamy na nich. Oni mają samoloty. Latają na nich. Do tego dochodzi trochę strzelania. Jedyne, co tak naprawdę się liczy, to tożsamość tych, którzy pod koniec zostaną w powietrzu.”

- major August Kamiński (73 zestrzały), sześć tygodni przed śmiercią w

812.M41

„Zamierzam wyjść z tego żywa !”

- komandor Bree Jagdea, Ouranberg

a

CEL ODNALEZIONY

THEDA

imperialny rok 773.M41

dzień 252 – dzień 260

a

DZIEŃ 252

Nad masywem Makanitów, 06.32

W bladym świetle poranka szczyty gór lśniły różową barwą, niczym pozostałości po częściowo najedzonym urodzinowym torcie. Mrok odchodzącej nocy wypełniał przepaście przywodząc na myśl atrament. Zimne przestworza upstrzone były pasami białych chmur rozciągających się trzy tysiące metrów niżej.

Łowca Jeden był zaledwie czarnym punktem na niebie, wchodzącym w łagodny zakręt, odbijającym o dziesięć stopni na północny zachód. Darrow poruszył delikatnie drążkiem sterowym, powtórzył manewr prowadzącego. Linia horyzontu zmieniła swe położenie, przechyliła się w bok. Ziemia przesuwała się z wolna w dół. Mężczyzna usłyszał dźwięk stukania, ale zignorował go całkowicie.

Ciśnieniomierz na szczęście wciąż działał. Wyrównawszy lot Darrow pochylił się w fotelu i zastukał palcami w zegar paliwomierza. Strzałka cały czas wskazywała pełny zbiornik, co nie było prawdą; znajdowali się w powietrzu od czterdziestu ośmiu minut.

Pilot ściągnął rękawicę i uderzył w zegar gołymi palcami – pewien, że gruby materiał rękawicy złagodził jego wcześniejsze ruchy.

Strzałka wciąż wskazywała pełny bak.

Widząc zmieniający się kolor skóry mężczyzna naciągnął ponownie rękawicę. Chociaż czuł się ciepło w grubym kombinezonie, wewnątrz kabiny panowała temperatura minus osiem stopni.

Nie słyszał niczego prócz basowego pomruku odrzutowego silnika. Rozejrzał się wokół, pomny konieczności ciągłego obserwowania otoczenia. Przestworza były puste, promienie wschodzącego słońca tańczyły na wizjerze jego hełmu. Łowca Trzy wszedł w pole widzenia pilota, stanowił rysującą się na tle niebios sylwetkę ciągnącą za sobą warkocz spalin.

Wysokościomierz wskazywał sześć tysięcy metrów.

W eterze zatrzeszczał radiowy komunikat.

- Łowca Lider do eskadry. Zrobimy jeszcze jeden zwrot na zachód i wracamy do domu. Utrzymujcie dotychczasowy szyk.

Samoloty weszły w kolejny łagodny skręt, panorama odległej ziemi wypełniła boczną szybę kokpitu. Darrow dostrzegł ledwie widoczne rozbłyski daleko pod sobą – wystrzały artyleryjskie gdzieś na górskich przełęczach.

Nacisnął przełącznik nadajnika.

- Łowca Cztery do Lidera. Mam...

Przerwał mu nagły donośny trzask. W eterze rozszalały się przeraźliwe szумы i piski.

Świat zawirował w oczach pilota.

- Boże-Imperatorze ! Kurwa mać ! Och, Imperatorze ! – krzyczał czyjś głos. Darrow dopiero po kilku sekundach uświadomił sobie, że głos ten należy do niego samego. Siła ciężenia wciskała pilota w fotel, K4T Wolfcub obracał się w niekontrolowany sposób wokół własnej osi.

Światło i ciemność, niebo i ziemia, góra i dół, góra i dół. Zdławiwszy odruch wymiotny ujął mocniej stery i zaczął nimi z desperacją manipulować. W eterze krzyżowały się pełne zdenerwowania okrzyki.

- Łowca Cztery ! Łowca Cztery !

Darrow odzyskał kontrolę nad maszyną, wyrównał lot. Rzut oka na wysokościomierz uświadomił mu, że stracił dobre tysiąc metrów. Rozejrzał się szybko wokół z nadzieją, że dostrzeże niosący otuchę kształt sojuszniczego samolotu i krzyknął mimowolnie na widok mijającego go szybko obiektu.

Był to Wolfcub, pozbawiony połowy jednego skrzydła, ciągnący za sobą warkocz metalowych części i kawałków blach. Obudowę jego odrzutowego silnika lizały płomienie pożaru. Maszyna spadała w dół niczym kometa, zmieniła się w niewielki punkt, potem w kropkę, na koniec zaś w jaskrawy rozbłysk eksplozji.

Darrow poczuł silny skurcz jelit, w jego ustach pojawił się smak żółci. Ludzki strach niczym odór wypełniał ciasną przestrzeń niewielkiego kokpitu.

Coś innego przemknęło tuż obok jego maszyny.

Obiekt tylko śmignął w powietrzu, przemieszczał się niewiarygodnie szybko. Zniknął pozostawiając po sobie wspomnienie zakrzywionych obłych skrzydeł.

- Łowca Cztery ! Złam szyk ! Złam szyk ! Jeden wchodzi ci na ogon !

Darrow nacisnął na wolant, wduślił nogą pedał przepustnicy. Świat ponownie zawirował w oczach mężczyzny. Rzucił maszynę w ciasny skręt, przechylił mocno. Kadłub Wolfcuba trzeszczał w szwach, odgłos stukania ponownie przybrał na sile.

Tronie Terry. Pilot przekonany był, że jego samolot wpadł w korkociąg z powodu awarii, a tymczasem on został ostrzelany.

Wychyliwszy się z fotela na tyle, na ile pozwalała mu uprząż, Darrow wyjrzał poza krawędź bocznej szyby. Aluminiowe poszycie jego prawego skrzydła pełne było otworów po przestrzelinach. *Piekło i demony ! Trafili mnie !*

Przyśpieszył gwałtownie i odbił w lewo zmieniając kierunek lotu.

Poranne przestworza pełne były dymu: długich wstęg brązowych oparów i małych czarnych obłoczków, które wyglądały niczym kłębki brudnej wełny. Formacja Łowców została złamana, myśliwce rozpierzchły się po całym niebie. Darrow nie widział nigdzie śladu bandytów.

Nie, tam ! Dostrzegł nagle nieprzyjacielską maszynę, mknącą w ślad za Łowcą Pięc, stębnującą powietrze wstęgami smugowych pocisków. Rzucił Wolfcuba w pościg, skalibrował błyskawicznie układ celowniczy i położył kciuk na wieńczącym drążek sterowy przycisku uruchamiającym cztery pokładowe działka.

Bandyta zmieniał ustawicznie położenie, tańczył na tle siatki celownika, nie pozwalał uchwycić się nawet na moment. Darrow zmełł w ustach przekleństwo, potem zaczął mamrotać modlitwę do Boga-Imperatora prosząc go o to, by zdołał odłożyć odpowiednią poprawkę do celu. Manewrował wolantem, próbował korygować trajektorię lotu, celował – a mimo to z każdą sekundą bandyta wymykał się bardziej spod jego luf.

Gdzieś z przodu rozbłysnął jakiś wybuch i sekundę później Wolfcub Darrowa wleciał w chmurę czarnego deszczu.

Nie był to deszcz, tylko olej, przemieszany z metalowymi szczątkami. Kawałki stalowych płyt, elementy silnika, kawałki aluminium. Darrow krzyknął zaskoczony, kiedy olej opryskał mu całą przednią szybę. Szczątki stuknęły głośno w kadłub i skrzydła myśliwca. Bandyta stracił Łowcę Pięc i myśliwiec Darrowa znalazł się w chmurze rozrzuconych eksplozją resztek maszyny. Każdy większy kawałek mógł bez trudu przebić szybę kabiny i zabić pilota na miejscu równie sprawnie jak wystrzelony z działka pocisk. A jeśli nawet niewielki element poszycia wpadłby do turbiny odrzutowego silnika...

Darrow pociągnął do siebie drążek, wystrzelił do góry. Słoneczne światło wpadło do kabiny, pęd powietrza zaczął zmywać z szyb kokpitu warstwę oleju. Gęsty płyn ściekał z okna wąskimi wężykami.

Niemal natychmiast pilot zmuszony został do gwałtownego skrętu, w ostatniej chwili unikając zderzenia z innym Wolfcubem, nadlatującym z przeciwnej strony. W słuchawkach rozległ się przeraźliwy krzyk lotnika prowadzącego drugą maszynę. Niewielki ciemnozielony myśliwiec wypełnił przestrzeń przed oczami Darrowa, w ułamku sekundy przepadł gdzieś za jego plecami.

Gwałtowny manewr okazał się zbyt drastyczny dla Wolfcuba. Darrow wyrównał na chwilę lot, ustabilizował pułap śledząc wzrokiem przesuwające się w dole wierzchołki gór. Ponownie usłyszał budzące bezsilną wściekłość stukanie. Tracił prędkość, a przestarzały pulsacyjny silnik K4T przejawiał skłonności do zapalania się przy gwałtownym zmniejszeniu szybkości. Nadepnął ponownie na pedał przepustnicy, przyśpieszając na tyle, na ile pozwalał mu zdrowy rozsądek. Dwa samoloty przemknęły obok jego kabiny; tak szybko, że nawet nie zdołał rozpoznać ich typu, chwilę potem trzy inne śmignęły przed nosem jego myśliwca. Wszystkie trzy były Wolfcubami. Za jedną z maszyn ciągnęła się gęsta smuga niebieskiego dymu.

- Łowca Lider ! Łowca Lider ! – krzyknął w eter Darrow. Dwa Wolfcuby zwiększały już pułap wychodząc z pola widzenia mężczyzny, osłepionego dodatkowo blaskiem słonecznej tarczy. Trzeci myśliwiec, ten uszkodzony, opadał z wolna zasnuwając przestworza warkoczem dymu.

Wtedy właśnie Darrow spostrzegł bandytę. Nieprzyjacielski samolot znajdował się na jego drugiej, pięćset metrów dalej, mknąc w ślad za Wolfcubem, którego zapewne wcześniej uszkodził. Po raz pierwszy od czterech tygodni lotów operacyjnych Darrow zyskał możliwość rzucenia okiem na nieuchwytnego do tej pory przeciwnika. Wrogi samolot przypominał kształtem głowicę podwójnego topora, wyniesiony w górę kokpit znajdował się daleko w tyle kadłuba, w miejscu stykania się ze sobą podobnych do ostrzy skrzydeł. Myśliwiec przechwytyjący typu Hell Razor, śmietanka heretyckich sił lotniczych. Na odprawach mówiono, że nieprzyjacielscy piloci malowali te maszyny na krwawoczerwony lub matowoczarny kolor, ale ten myśliwiec był perłowobiały, niczym lód, niczym alabaster. Szyby kokpitu zostały przyciemnione na czarno, przypominając ciemny oczodół osadzony w białej czaszce.

Darrow spodziewał się wcześniej walki ze strachem, ale zamiast lęku odczuwał teraz tylko podniecenie. Pochyliwszy się w opancerzonej kabinie Wolfcuba pilot nadepnął na pedał przepustnicy wchodząc na ogon nieprzyjacielskiej maszyny. Heretycki pilot najwyraźniej go nie zauważył, bo leciał w linii prostej za uszkodzonym Wolfcubem szykując się do oddania kolejnej serii.

Odsunął kciukiem osłonę spustu.

Zmniejszając dzielący go od Hell Razora dystans do trzystu metrów Darrow kalkulował w myślach kąt podejścia do strzału, ustalił niezbędną poprawkę na pięć stopni. *Boże-Imperatorze, mam go...*

Wcisnął spust. Wolfcub zadygotał nieznacznie pod wpływem odrzutu działek, przestrzeń przed obłym nosem maszyny rozpalila się poświatą płomieni wylotowych. Pilot słyszał huk mechanizmów przeladowujących broń.

Bandyta przepadł bez śladu.

Darrow rzucił swój myśliwiec w płytki zakręt z prędkością dwustu siedemdziesięciu kilometrów na godzinę. Atak trwał zaledwie ułamki sekund. *Dostałem go ?* Siedział wyprostowany w kabinie niczym gryzoń wyglądający ze swej norki, rozglądając się desperacko wokół. *Jeśli go trafiłem, musi być jakiś dym !*

Jedynie wstęgi dymu jakie dostrzegał kreślone były tysiąc metrów wyżej – tam wciąż toczyła się zaciekle walka kołowa.

Zacieśnił zwrot. Pierwsza zasada walki powietrznej: oddaj strzał i odskakuj. Nigdy nie ścigaj celu, nigdy nie powtarzaj takiego samego podejścia. Taki manewr z ciebie czyni cel.

Ale wprawdzie musiał się czegoś dowiedzieć. Musiał.

Przechylił maszynę w bok przeczesując wzrokiem górski masyw, szukając śladu płonących szczątków.

Nie zauważył niczego.

Wyrównał przechył, powrócił do pozycji horyzontalnej.

Bandyta był tuż przy nim, leciał równoległe z identyczną szybkością.

Darrow ponownie krzyknął mimo woli, zdumiony tym widokiem. Nieprzyjacielski myśliwiec znajdował się na długość skrzydła od jego maszyny, lecąc w idealnym szyku. Na jego lśniącem białym kadłubie nie widać było śladu po trafieniach.

Heretycki pilot bawił się ze swym lojalistycznym przeciwnikiem.

Kadet Enric Darrow poczuł dławiącą go falę paniki. Wiedział doskonale, że jego dzielny mały Wolfcub jest pod każdym kątem gorszy od świętego Hell Razora. Zdjął nogę z przepustnicy i włączył hamulce aerodynamiczne w płonnej nadziei na to, że nieprzyjacielski pilot przestrzeli go lecąc dalej, zaskoczony tym nieoczekiwanym manewrem.

Hell Razor przepadł na ułamek chwili, ale zaraz pojawił się ponownie, po drugiej stronie Darrowa, naśladując jego manewr. Mężczyzna zaklął z bezsilną wściekłością. Hell Razory były maszynami o napędzie wektorowym. Darrow znajdował się tak blisko nieprzyjacielskiego samolotu, że widział wyraźnie języki płomieni tryskających z dysz wbudowanych w spód kadłuba. Myśliwiec tego typu potrafił bez trudu pokonać w walce manewrowej każdy konwencjonalny odrzutowiec, przyspieszając, zwalniając, odskakując na boki lub w niemalże jednej chwili przechodząc w stan zawisu.

Darrow nie przyjmował do wiadomości faktu, że nie miał szans w konfrontacji z Hell Razorem; że skazany został właściwie na śmierć. Pchnął drążek sterowy, kopnął przepustnicę i rzucił swój myśliwiec w najgłębszy lot nurkowy, na jaki kiedykolwiek wcześniej sobie pozwolił. Kilka stopni głębiej i mógł stracić skrzydła.

Świat runął mu na spotkanie, wypełnił swą panoramą szyby kokpitu. W uszach kadeta rozbrzmiewał ryk odrzutowego silnika. Dostrzegał pełen surowego piękna majestat górskich pasm. To były jego góry. To był jego świat.

Perłowobiała maszyna powtórzyła bez trudu manewr lojalistycznego pilota, pomknęła w dół w ślad za nim.

Baza lotnicza Theda Północ, 07.02

Czasami, chociażby w tak piękne poranki jak ten dzisiaj, August Kamiński pozwalał sobie na pewną prywatną zabawę. Zabawa ta polegała na udawaniu, że wojny wcale nie ma.

Zazwyczaj było to łatwe. Wokół panowała głęboka cisza, chłód znikającej nocy ustępował miejsca ciepłu wspinającej się ponad linię horyzontu tarczy słońca. Z miejsca, w którym siedział, widział wyraźnie wielką zatokę, pogrążoną w oparach znikającej szybko mgły, oraz połyskujące nieco dalej morze, niebieskoszare. Sama Theda – miasto złożone z kompozytowych wieżyc, niskich habitatów mieszkalnych i strzelistych świątyń – była spokojna i pełna uroku, wypełniona kojącą nerwy atmosferą dobrobytu niezmienną od dwudziestu dziewięciu stuleci istnienia miasta. Morskie ptaki kołowały w górze psując nieco dobry nastrój mężczyzny, ponieważ skrycie zazdrościł im ich skrzydeł i ich wolności, ale mimo wszystko zabawa wciąż sprawiała mu przyjemność.

Theda nie była rodzinnym miastem Kamińskiego – urodził się czterdzieści dwa lata temu trzy tysiące kilometrów dalej na północ, w Wielkim Kopcu Enothopolis, po drugiej stronie Morza Zophonianskiego – lecz mimo to od dawna uważał ją za swój dom. Była dużo mniejsza od Kopca, dużo przyjemniejsza w życiu codziennym, a dzięki swemu

uniwersytetowi i licznym uczelniom technicznym słynęła jako miasto akademickie. Była też starsza od Wielkiego Kopca. Niektóre budowle na starówce Thedy strzelały w niebo na trzysta lat przed tym, kiedy technokraci wbili pierwsze wsporniki w ziemię Półwyspu Ursbondu kładąc podwaliny pod Enothopolis. Theda – stara kochana Theda – była jednym z pierwszych ludzkich miast zbudowanych na Enothis.

Kamiński przywiązał się do Thedy po części ze względu na jej urokliwą historię, głównie jednak dlatego, że stacjonował tu przez ostatnie sześć lat służby. Poznał doskonale całe miasto: bary i restauracje, nadbrzeżne deptaki i mola, biblioteki i muzea. Za tym właśnie miastem tęsknił, kiedy zatrząskiwiał owiewkę kabiny i uruchamiał silnik maszyny. Do tego miasta zawsze pragnął powrócić.

Nawet po ostatnim locie.

- Ty tam ! Kierowca !

Czyjś głos wyrwał go z głębokiej zadumy. Wyprostował się w skórzanym fotelu autobusu i wyrzwał przez boczne okienko samochodu. Pincheon, koordynator transportu Munitorium na terenie bazy, zmierzał żwawym krokiem w kierunku pojazdu. Towarzyszyło mu trzech asystentów, podążających w ślad za przełożonym na podobieństwo świeżo upieczonych skrzydłowych. Długie szaty koordynatora ciągnęły się po suchej ziemi, buty wzbijały w powietrze obłoczki kurzu. Głos mężczyzny był wysoki i piskliwy, przywodzący na myśl krzyki morskich ptaków.

Kamiński nie czuł do Pincheona specjalnej sympatii. Dyspozytor właśnie zrujnował jego zabawę. Wezwanie przełożonego zmusiło kierowcę do oderwania wzroku od morza i spojrzenia w stronę bazy, a patrząc na bazę nie dało się zaprzeczyć, że wojna wciąż trwała.

Mężczyzna otworzył drzwi autobusu i zeskoczył z kabiny na ziemię. Czekał w samochodzie od piątej rano, popijając kawę z termosu i jedząc kanapki.

- Dzień dobry panu – powiedział podnosząc dłoń do salutu. Nie musiał tego robić, bo Pincheon nie posiadał wojskowego stopnia, ale stare nawyki nie dawały się wykorzenić nawet po odejściu ze służby. Pincheon ścisnął w dłoni elektroniczny notes. Zmierzywszy Kamińskiego wzrokiem od stóp po głowę przeniósł spojrzenie na wysłużony samochód.

- Kierowca Kamiński, August ? Transporter numer 167 ?

- Przecież wie pan dobrze, że tak – odparł Kamiński.

Pincheon zakreślił coś w swoim notesie.

- Pojazd zatankowany i gotowy do drogi ?

Kamiński skinął głową.

- Gotowy od piątej rano. Dostałem wczoraj kupony na sześćdziesiąt litrów paliwa drugiej klasy, zatankowałem dzisiaj rano w drodze do bazy.

Pincheon zakreślił kolejne okienko na ekranie urządzenia.

- Ma pan jakieś pokwitowanie ?

Kamiński sięgnął do kieszonki swej kurtki, wyciągnął świstek papieru, wygładził go naprędce palcami i podał dyspozytorowi. Pincheon obejrzał uważnie wydruk.

- Sześćdziesiąt przecinek zero zero trzy litra, kierowco ?

Kamiński wzruszył ramionami.

- Czujniki w dystrybutorach nie są dokładne, proszę pana. Przestałem lać po sześćdziesięciu litrach, ale trochę jeszcze pociekło do baku...

- Musi pan bardziej uważać – oświadczył szorstko Pincheon. Jeden z jego asystentów pokiwał z dezaprobatą głową.

- Tankował pan kiedyś samochód na naszej stacji, sir ? – zapytał pozornie beztroskim tonem Kamiński.

- Oczywiście, że nie !

- Cóż, gdyby pan to choć raz zrobił, wiedziałby pan jak trudno zatankować precyzyjną ilość paliwa.

- Proszę mnie nie obciążać odpowiedzialnością za pańską niedbałość ! – zdenerwował się Pincheon – Strategicznie ważne surowce podlegają precyzyjnej dystrybucji ! Takie właśnie zadanie stoi przed Świętym Munitorium ! Trwa wojna, chyba pan to zauważył ?

- Coś tam słyszałem...

Pincheon spojrział na przytakującego mu asystenta.

- Ile wynosi koszt trzech tysięcznych litra paliwa drugiej klasy ?

Asystent zaczął coś szybko obliczać na kieszonkowym kalkulatorze.

- Zaokrąglając w dół, dziesięć i pół kredytu, proszę pana.

- Zaokrąglaj to w górę i odejmij od następnej wypłaty kierowcy Kamińskiego.

- Tak jest, proszę pana.

Pincheon spojrział z powrotem na swego podwładnego.

- Przewóz personelu. Za trzydzieści minut ma pan odebrać grupę osób z hotelu Imperial, przy...

- Wiem, gdzie to jest, proszę pana.

- Dobrze. Proszę przewieźć te osoby do bazy Południe. Zrozumiał pan dobrze polecenie ? Proszę tutaj podpisać.

Nakreśliwszy podpis dierzonym niezgrabnie świetlnym piórem, Kamiński spojrział na przełożonego pytająco.

- Czy to lotnicy ? Lotnicy marynarki ?

Pincheon zmarszczył gniewnie czoło.

- Nie wolno mi udzielać odpowiedzi na takie pytania. Trwa wojna.

- Myśli pan naprawdę, że tego nie wiem ? – odparł z lekką irytacją Kamiński.

Odbierając z rąk szofera notes i świetlne pióro Pincheon podniósł wzrok i po raz pierwszy od chwili rozpoczęcia rozmowy nawiązał kontakt wzrokowy z mężczyzną. W oczach Kamińskiego dostrzegł zniechęca coś, co wywołało w nim zimne dreszcze.

- Proszę jechać.

Kamiński wszedł do autobusu, uruchomił silnik pojazdu. Z rur wydechowych strzeliły kłęby niebieskawych spalin. Opuszczając zaciągnięty hamulec awaryjny mężczyzna ruszył dziesięciokołowym wozem wzdłuż ogrodzenia parku maszynowego, zmierzając w stronę odległej bramy kompleksu.

Poranna zabawa została ostatecznie zepsuta. Autobus mijał opasłe zbiorniki paliwa, ubrudzone grubą warstwą smarów i osadu; opancerzone hangary i warsztaty służb technicznych rozbrzmiewające szcękaniem narzędzi; rzędy elektrycznych wózków amunicyjnych zaparkowanych na poboczu drogi.

I pasy startowe. Spękane kompozytowe pasy, na których mieściły się bez trudu ośmiosilnikowe samoloty; otoczone rzędami ukrytych pod siatką maskującą bombowców nurkujących Shrike, doglądanych przez rzesze techników i zbrojmistrzów.

Pomiędzy pasami startowymi i linią morza znajdowały się rampy dla Wolfcubów, długie i wąskie, błyszczące w promieniach wschodzącego słońca niczym obnażone kręgosłupy.

Pięć Wolfcubów tkwiło na krańcach ramp. Butelkowitzelone - z pomalowanymi na szaro brzuchami - małe jednoosobowe myśliwce o trójkątnych skrzydłach i niewielkich statecznikach ogonowych stały w bezruchu na prowadnicach. Sprawiały wrażenie uspionych.

Lecz Kamiński wiedział doskonale jak potrafiły zachowywać się w powietrzu. Oczami wyobraźni widział maszyny podrywające się z ramp z wdepniętymi do końca przepustnicami, słyszał ryk nabierających raptownie mocy silników. To charakterystyczne szarpnięcie ciała w chwili, kiedy myśliwiec wyskakiwał w górę na końcu rampy. Zimny zapach kokpitu, złożony z woni gumy, metalu, paliwa... Człowiek czuł w takich momentach, że żyje.

Boże-Imperatorze, jakże tęsknił za tym w chwilach przygnębienia.

Tuż za bramą, po przejechaniu rozsuwanych wrót i podwójnego ogrodzenia z drutu kolczastego, zatrzymał na chwilę autobus, by przepuścić skręcający w stronę lotniska konwój amunicyjny. Zerkając w tylne lustro pojazdu dostrzegł swe własne odbicie.

Widok siebie samego uświadomił Augustowi Kamińskiemu bardziej wyraziście niż pełne wojskowych maszyn lotnisko, że jego ulubiona zabawa była tylko ulotną złudą.

Trwała wojna.

Starówka Thedy, 07.09

Nie potrafił spać. Winę za bezsenność ponosiło w pewnym stopniu nie opuszczające go podniecenie i zdenerwowanie, powodowane perspektywą udziału w nowej wojnie; w pewnym zaś sensie zawodziło jego własne ciało, wciąż funkcjonujące według okrętowego cyklu dnia. Na pokładzie kosmicznego statku byłoby teraz późne popołudnie.

Ustawiony na półce przy pryczy chronometr wskazywał parę minut przed szóstą, kiedy mężczyzna poddał się ostatecznie i wstał z łóżka. Na dworze było zimno i wciąż jeszcze ciemno. W przylegających do jego pokoju pomieszczeniach spali inni ludzie z załogi *G jak Greta*. Słyszał wyraźnie dobiegające stamtąd odgłosy chrapania, zwłaszcza charakterystyczne dźwięki wydawane przez bombardiera Judda. Munitorium umieściło ich w przyzwoitym niegdyś pensjonacie nad Kanalem Kazergat. Przyjechali na miejsce poprzedniego dnia po południu, rzucając torby podróżne w holu recepcji i rozpoczynając walkę o najlepsze kwatery. Młodszy lotnicy otworzyli ochoczo butelki alkoholu, chcąc upić się jak najszybciej przed odsypianiem długiej podróży. On sam wypił jeden czy dwa kieliszki, ale wizja taniego odlotu wcale go nie pociągała.

Podobnie jak inni oficerowie wybrał sobie w miarę przyjemny pokój, przepędzając ze środka rozczarowanego decyzją dowódcy Orsone. *Znajdź sobie coś innego*, polecił młodemu strzelcowi ogonowemu, ale zdobyty w ten sposób pokój wcale nie sprawiał wrażenia trofeum. Dywan przepadł gdzieś bez śladu, tynk na ścianach pokrywała siatka drobniotkich pęknięć. W miejscu eleganckich firan wisiały dawno już nie prane zasłony, przybite do futryny okna; sufit pokrywały plamy po zaciekach. W powietrzu unosił się zatęchły zapach przywodzący na myśl okres dawno minionej świetności. Oto, co lata wojny potrafiły uczynić z tym miejscem. Bez wątpienia uczyniły to samo z zamieszkującymi tutaj ludźmi.

Starsza kobieta zarządzająca pensjonatem poinformowała go wczoraj, że gorącej wody nie będzie aż do ósmej, a on nie miał najmniejszego zamiaru rozpocząć swej nowej kampanii od stania pod lodowatym prysznicem. Zaczął ubierać się w mdłym świetle przedświt, zakładając kolejno spodnie, buty, koszulkę, potem sięgnął po swoją kurtkę. Jego palce natrafiły na naszywki z insygniami jednostki, belki kapitana, odznakę eskadry, identyfikator, na którym znajdowały się dwa słowa. „*Viltry, Oskar*”. Odłożył kurtkę na bok wybierając w jej miejsce zapewniający większą anonimowość skórzany płaszcz.

Korytarz pogrążony był w głębokim mroku. Piętro wyżej spali lotnicy z załóg *Piekielnego Sztormu*, *Tronu Grozy* i *Mężobójcy*, ludzie z *Z jak Zabójca* i *Do diabła z nimi* otrzymali kwatery na parterze. Sześć pozostałych załóg należących do 21 Skrzydła Phantyńskich Sił Powietrznych znajdowało się w innym pensjonacie w dole ulicy.

Viltry zapalił lampę na korytarzu budynku. LAMPY ledwie się jarzyły, ale wystarczyły, by odnalazł drogę w dół trzeszczących pod jego ciężarem schodów. Na obudowie zimnego kominka w holu recepcyjnym stały co prawda jakieś niebywale wiekowe książki, ale wszystkie dosłownie rozsypywały się w rękach szukającego jakiegoś zajęcia kapitana.

Wyszedł na ulicę. Na zewnątrz było zimno i cicho, słyszał chłupot wody w pobliskim kanale. Po jego przeciwnym brzegu przetoczył się dostawczy samochód, jadący z wygaszonymi światłami. W całym mieście obowiązywał kategoryczny nakaz zaciemnienia. Mężczyzna ruszył nadbrzeżem zauważając regularnie rozmieszczone cokoliki, z których

zdjęto żelazne lampy, przeznaczone do przetopienia na potrzeby zakładów zbrojeniowych. Próbował wyobrazić sobie to miejsce w czasach pokoju. Eleganckie gazowe lampy o szklanych kloszach, elektryczne samochody kursujące po bulwarach, zadbani imperialni obywatele podążający w sobie tylko znanych sprawach, przystający tu i ówdzie, by wymienić pozdrowienia i ukłony, udający się na roboczy posiłek do jednej z wielu położonych nad kanałami tawern, teraz od dawna zamkniętych na cztery spusty. I wszędobylscy studenci, wielu studentów. Dokumenty otrzymane na odprawie wspominały o tym, że Theda była miastem akademickim.

Mówiąc szczerze, nie wiedział na temat Enothis prawie nic – jego wiedza ograniczała się do trzech faktów: że był to stary dumny świat imperialny; że posiadał strategiczne znaczenie dla tej części Światów Sabbat; i że tysiące podobnych do niego cudzoziemskich lotników zostały tutaj ściągnięte w trybie ekspresowym, by uratować ten świat przed zagładą.

Zauważył mimochodem innych przechodniów, ubranych w ciemne stroje, śpieszących w tym samym kierunku. Z oddali dobiegał dźwięk świątynnego dzwonu, wzywający wiernych na poranne nabożeństwo. Viltry ruszył w ślad za nimi, przeszedł po jednym z niewielkich mostków na drugą stronę kanału.

Kiedy dotarł do niewielkiej kaplicy Ministorum, nabożeństwo już trwało. Przystanął na chwilę przed wejściem, wsłuchany w słowa religijnej pieśni. Ponad jego głowę na ścianie budynku pyszniła się wykuta w kamieniu podobizna Boga-Imperatora, spoglądającego z góry na rzesze swych wyznawców.

Viltry poczuł ukłucie wstydu i pochylił czym prędzej głowę. Kiedy osiem lat temu ślubował poświęcić swe życie służbie wojskowej, nie spodziewał się tak ciężkiej przyszłości. Zawsze chciał zostać pilotem, nietypowa topografia Phantine sprawiała, że synowie i córki tego świata rodzili się z tym pragnieniem odcisniętym w ich krwi i myślach. Drogo przyszło mu za to płacić. Dwa lata temu, podczas ostatnich miesięcy walk o wyzwolenie macierzystego świata spod jarzma Nieprzyjaciela, służąc ramię w ramię z żołnierzami imperialnej krucjaty marszałka wojny Macarotha, dwukrotnie omal nie postradał życia. Raz jako powietrzny śmieć ponad bezkresem Otchłani, za drugim razem jako więzień diabolicznego Sagittara Slaitha w Ouranbergu.

W ciągu następujących dwóch lat Viltry nie potrafił wyzbyć się wrażenia, że już dawno powinien być martwy. Żył dzięki kaprysowi losu. Jego dawny szkolny nauczyciel wpoił swemu uczniowi koncepcję szali przeznaczenia, którą Imperator dzierży w swej prawej ręce. Szala ta stanowiła symbol symetrii, równowagi. Co było dane, zostanie odebrane, co zostało pożyczone, trzeba będzie spłacić. Ocalone życie nie było wcale życiem oszczędzonym.

Los ocalił go dwukrotnie wystawiając niezapłacony rachunek. A teraz trafił na inny świat, z misją ocalenia jego mieszkańców. Pewien był już, że właśnie tutaj przyjdzie mu ów rachunek spłacić. Szala przeznaczenia przechylił się w drugą stronę. Oszczędzono go dwukrotnie, by mógł wyzwolić swój macierzysty świat – tutaj, walcząc o domy i życia otaczających go cudzoziemców, miał poznać prawdę uniwersalnej równowagi.

Załoga *G jak Greta* dostrzegła ten fatalistyczny nastrój w każdym ruchu kapitana, w każdym jego słowie. Lotnicy wiedzieli, że służą na przeklętym samolocie, przeklętym przez osobę dowódcy. Stracił już jedną załogę, nad Otchłanią, i teraz w każdej chwili mógł ściągnąć zgubę na nowych towarzyszy broni. Szala przeznaczenia mogła unicestwić kolejną załogę po to tylko, by wyrównać zaległe rachunki kapitana.

Poprosił o transfer, ale mu odmówiono; poprosił o przeniesienie do służb pomocniczych i również otrzymał negatywną odpowiedź. „*Jesteś cholernie dobrym oficerem lotnictwa, Viltry*” powiedział mu admirał Ornoff „*Daj spokój z tymi przesądными bredniami. Potrzebujemy każdego człowieka z takim doświadczeniem jak ty. Enothis będzie ciężkim teatrem działań, nasze wojska lądowe wycofują się na całej linii frontu przed legionami Seka.*

Nadchodzi czas krwawej wojny powietrznej, wierz w moje słowa. Wniosek odrzucony. Twój statek opuszcza orbitę parkingową jutro o szóstej rano”.

Viltry uniósł ponownie głowę, spojrzął na kamienną twarz Imperatora oświetloną pierwszymi promieniami wschodzącego leniwie słońca. Boskie oblicze sprawiało wrażenie zawiedzionego, rozczarowanego rezygnacją swego wiernego, wzburzonego widokiem kryjącego się w jego sercu tchórzostwa.

- Przepraszam – powiedział głośno Viltry.

Jakaś kobieta w długiej czarnej sukni, podobnie jak on spóźniona na nabożeństwo, spojrzała na lotnika badawczo. Wzruszył ramionami zawstydzony, przytrzymał drzwi kaplicy wpuszczając ją przodem.

Ujrzał świec, z wnętrza popłynął dźwięk śpiewu. Była to pieśń sławiąca glorię Złotego Tronu Terry. Kobieta przekroczyła pośpiesznie próg świątyni.

Wszedł w ślad za nią zamykając delikatnie ciężkie drzwi wejściowe.

Nad masywem Makanitów, 07.11

Ten człowiek był naprawdę dobry. Obiecujący, najpewniej bardzo młody, desperacko pragnący żyć. Czyż wszyscy oni nie byli podobni ?

Lot nurkowy był wspaniały. Pilot-wojownik Khrel Kas Obarkon, dowódca piątego skrzydła, zaprzysięgły sługa Anarcha i Seka, życzył sobie skrycie takich lotników jak ów chłopak w swojej własnej jednostce. Mały latał z pazurem, jak zwykli mawiać jego bracia broni. Cóż za nurkowanie ! Obarkon nie miał pojęcia, że niewielkie przestarzałe odrzutowce nieprzyjaciela zdolne były do takich manewrów.

Prawie poczuł żal na myśl o tym, że go zabije.

Ukryty w ciężkim pancerzu grawitacyjnym, wspierany pracą cybernetycznych pomp i kardiologicznych centryfug kontrolujących pracę układu krwionośnego pilota, Obarkon rzucił swego Hell Razora w jeszcze bardziej stromy lot nurkowy, tnąc powietrze niczym nóż z prędkością dochodzącą do jednego macha. Jego kokpit pogrążony był w półmroku, rozjaśniały go jedynie niewielkie lampki instrumentów pokładowych, rzucające słabe refleksy na rękawice z lśniącej skóry okrywające dłonie pilota. Uciekający Wolfcub pulsował jaskrawopomarańczową poświatą na ekranie układu celowniczego.

Jakim cudem ten chłopak jeszcze żył ? Umiejętność pilotażu czy szczęście ? Wyglądało na to, że mały miał niewielkie doświadczenie w lataniu i całe tony szczęścia w zapasie. Niemal pionowy lot nurkowy wystawił nieprzyjacielską maszynę na ciężką próbę. Pikowanie o jeden zaledwie stopień głębsze spowodowałyby natychmiastowe urwanie skrzydeł lub masywnej obudowy odrzutowego silnika.

Ukryty za matowoczarным wizjerem swego hełmu Obarkon uśmiechnął się drapieźnie. Jego twarz, niezmiernie rzadko widywana przez innych śmiertelników, była pełną szram masą syntetycznych mięśni i metalowych implantów. Jego oczy były mechanicznymi wszczepami, sprzężonymi z układem celowniczym samolotu za pośrednictwem neuralnych interfejsów w kręgosłupie mężczyzny.

Oddalony o trzysta metrów Wolfcub zaczął wychodzić z nurkowania, zadarł nos w górę umykając przed zbliżającymi się z każdą sekundą górskimi szczytami, z jego odrzutowego silnika buchał słup ognia.

Kolejna niespodzianka. Kolejny mistrzowski popis pilotażu lub olbrzymia dawka szczęścia.

Obarkon poruszył drążkiem sterowym, uruchomił silniki korekcyjne wychodząc z lotu nurkowego w przeciągu chwili, płynnie i łagodnie, w manewrze stanowiącym całkowite przeciwieństwo rozpaczliwego lotu Wolfcuba. Lojalistyczny myśliwiec tkwił w celowniku

Hell Razora od dwóch minut, lokalizator celu wydawał z siebie ustawiczne sygnały dźwiękowe.

Uwaga...

Cel namierzony.

Cel namierzony.

Cel namierzony.

Dlaczego cię jeszcze nie zabiłem ?

Może chcę wiedzieć, do czego jesteś zdolny, chłopcze...

Wolfcub ominął ciasnym łukiem jeden ze strzelistych szczytów, jego mały cień śmignął po lśniącym w promieniach słońca śniegu, przechylił się w drugą stronę omijając strome turnie. Obarkon trzymał swego Hell Razora tuż za maszyną imperialisty, ścigając go niczym pocisk naprowadzający się na źródło ciepła. Wolfcub tkwił cały czas pośrodku siatki celownika.

Znienacka, za kolejnym mijanym szczytem, imperialny myśliwiec zniknął bez śladu. Obarkon zmarszczył czoło na myśl o błędzie ściganego pilota. Chłopiec najpewniej nie zareagował dostatecznie szybko i roztrzaskał się o jedną z gór. Lokalizator celu zmienił ton dźwięku: *cel utracony... cel utracony... cel utracony...*

Nie, jest ! Mały sukinsyn. Jakimś cudem przycisnął się maszyną do płaskowyzu i zawracał szerokim łukiem w stronę, z której nadleciał.

Obarkon puścił na chwilę drążek sterowy, klasnął ukrytymi w rękawicach rękami szczerze ukontentowany. Łowy nabrały dla myśliwego nowego wymiaru.

W kabinie rozległ się ostrzegawczy pisk i Obarkon wyłączył sygnalizator ze zduszonym przekleństwem na ustach. Leciał na rezerwie, praktycznie na granicy krytycznego poziomu paliwa. Zostały mu niecałe dwie minuty do chwili rozpoczęcia lotu powrotnego. Jeśli zmitrężyłby w tym miejscu dłużej, nigdy nie dotrze z powrotem do *aerie* Natrab.

- Gra skończona – wyszczał przez spierzchnięte usta. Zwiększył moc silników, a Hell Razor skoczył do przodu wiedziony jego ręką – Lokalizacja celu – zaliczył do tej chwili pięć zestrzałów, wynik godny asa dnia, ale ten chłopak pozwoli mu zaokrąglić tę liczbę do szóstki. Zbyt wiele czasu już stracił na gierki z ofiarą.

Lokalizator celu popiskiwał irytująco. Wolfcub umykał ostrymi zakosami, trzymając się blisko powierzchni ziemi, starając się odgradzić od przeciwnika kolejnymi górskimi szczytami i łańcuchami grzbietów.

Namierzanie...

Namierzanie...

Namierzanie...

Obarkon wypowiedział klątwę rzuconą w imieniu swego najbardziej odrażającego boga. Mały sukinsyn wymykał mu się z rąk, leciał z pazurem. Okazał mu zbyt wiele miłosierdzia, a ten nieprzyjaciel wręcz sobie z niego drwił.

Już niemal namierzył Wolfcuba, po czym stracił go ponownie, kiedy imperialny myśliwiec dosłownie ześlizgnął się za kolejną górę. Lojalistyczny pilot leciał tak nisko, że podmuch jego maszyny wyrzucał w powietrze tuman śnieżnej zadymki.

Samolot zatańczył w siatce celownika. Obarkon wystrzelił. Seria pocisków smugowych trysnęła spod skrzydeł maszyny, wcięła się w zaśnieżone zbocze góry. Pudło.

Kolejny gwałtowny unik, kolejna spudłowana seria. Obarkon przyśpieszył jeszcze bardziej, zwiększył pułap i zawisł nad uciekającym Wolfcubem, by zaraz potem wejść mu na ogon od strony ósmej.

Imperialny pilot mknął na pełnej prędkości. Obarkon usłyszał w końcu dźwięk lokalizatora.

Cel namierzony.

Cel namierzony.

Cel namierzony.

- Żegnaj – powiedział znudzony przeciągającą się w nieskończoność zabawą i położył kciuk na spuście.

Powietrze przed nosem Hell Razora przecięły smugi pocisków. Obarkon poczuł lekką wibrację kadłuba, mentalny impuls poinformował go o przestrzelinie w jednym ze skrzydeł. Na jego ogon wskoczył drugi Wolfcub, strzelający z wszystkich luf. Jeden rzut oka powiedział pilotowi, że tę maszynę prowadził idiota, lotnik dalece mniej wartościowy od młodzika, którego właśnie ścigał. Nieprzyjacielska maszyna weszła w zbyt płytki zakręt, strzelała nie odłożywszy odpowiedniej poprawki, nie namierzywszy wcześniej do końca celu.

Lecz mimo wszystko znajdowała się z tyłu Hell Razora i strzelała z wszystkich luf.

Sygnalizator odezwał się ponownie. Zapas paliwa osiągnął krytyczny poziom.

Misja dobiegła końca. Obarkon zmienił przepływ mocy i wystrzelił niemal pionowo w górę, umykając zaskoczonemu przeciwnikowi sprzed nosa. Wolfcub przeleciał pod jego brzuchem, zdumiony pilot nie zmieniał wcześniejszego kursu.

Obarkon zwiększał szybko pułap, zawrócił swego ukochanego ponad wszystko Hell Razora w stronę południa.

Powietrzna wojna dopiero się zaczynała, miały nadejść kolejne dni podniebnych bojów.

I kolejnych zestrzałów.

Hotel Imperial, Theda, 07.23

Kamiński przedostał się przez północne dzielnice miasta bez większych problemów, docierając do hotelu Imperial krótko przed wyznaczonym mu przez Pincheona terminem. Jedyne opóźnienie w drodze spowodowane było chwilowym korkiem na Placu Kongresowym, gdzie kolumna miejskich autobusów dowoziła właśnie śpieszących na cotygodniowe targowisko mieszkańców. Kamiński odnosił wrażenie, że w ostatnich czasach życie na Starym Mieście zaczynało się dopiero po godzinie ósmej rano – jakby ludzie unikali wcześniejszego wychodzenia z łóżek w obawie przed koszmarami mogącymi kryć się w nocnych ciemnościach.

Wjechał przez kutą żelazną bramę hotelowego ogrodzenia, zastanawiając się w myślach, kiedy ktoś przyjedzie ją zdemontować i wywieźć do najbliższej huty. Zatrzymując pojazd rozejrzał się uważnie wokół, ale nie dostrzegł nikogo prócz wiekowego portiera drzemącego na fotelu w otoczeniu pół tuzina wyłączonych serwitörów bagażowych oraz grupę lokajów tkwiących w otwartych drzwiach pomieszczenia gospodarczego i palących skręty z liści lho.

Westchnął i zaczął podnosić się z siedzenia, kiedy wykonane z polerowanego drewna i szkła drzwi hotelu stanęły nagle otworem rozbłyskując w promieniach wschodzącego słońca. Grupa ludzi wyszła z budynku zmierzając w stronę autobusu.

Wszyscy byli lotnikami, kierowca odgadł to od razu po ich chodzie i postawie, ale bynajmniej nie miejscowymi; nie nosili też czarnych płaszczy i szarych kurtek lotnictwa marynarki kosmicznej. Było ich ponad dziesięciu, w metalicznych kombinezonach lotniczych i brązowych płaszczach, z torbami podróznymi zarzuconymi na ramiona. Generalnie wysocy i proporcjonalnie zbudowani, o twardych rysach twarzy i czarnych włosach – Enothianie bywali zdecydowanie niżsi i mieli jaśniejsze włosy.

I nie wszyscy byli mężczyznami. Kamiński spostrzegł, że co najmniej trzy postacie – w tym jedna sprawiająca wrażenie przywódcy grupy – były kobietami.

Wysiadł z pojazdu i otworzył luk bagażowy. Kiwnął głową na powitanie pierwszemu z obcych próbując zerknąć jednocześnie na wszyte w rękaw płaszczu insygnia, ale młody mężczyzna zbyt szybko wrzucił swoją torbę do bagażnika, z miejsca wsiadając do autobusu.

Tylko jedna kobieta przystanąła na dłuższą chwilę. Miała chłodne badawcze oczy i kształtną linię twarzy. Jej szczęki sprawiały wrażenie trwających w nieustannym zaciśnięciu. Czarne włosy ścięła bardzo krótko, nierówno.

- Transport do bazy Theda Południe ? – spytała. Mówiła z cudzoziemskim akcentem, który wydał się Kamińskiemu dziwnie nosowy.
- Tak, proszę pani. Do biura przepustek.
- Jestem pani komandor – poprawiła go wstępując na schodki pojazdu i znikając w jego wnętrzu.

Kamiński odczekał, dopóki wszyscy nie załadują swego bagażu, po czym zatrzasnął luk, wrócił do kabiny i uruchomił ponownie silnik.

Phantine. Taka nazwa widniała na srebrnej odznace naszytej na rękaw płaszcza kobiety. Phantine 20 oraz wizerunek dwugłowego orła trzymającego w swych szponach błyskawicę.

Kamiński od dzieciństwa interesował się tematyką lotnictwa, lecz chociaż słyszał kiedyś o świecie zwanym Phantine, nie miał pojęcia, dlaczego jego nazwą miałyby zostać ochrzczone jakiegokolwiek skrzydło lotnicze.

Pojechał drogą okrężną przez Vilberg, dopiero tam skręcił na południe w kierunku bazy. Kiedy przejeżdżał obok Scholastae, para wojskowych Cyklonów przeleciała na wysokości pięciuset metrów skręcając na północ, a potem na zachód. Kamiński odprowadził je wzrokiem.

W tylnym lusterku ujrzał lotników spoglądających w ślad za oddalającymi się samolotami.

Starówka Thedy, 07.35

Nabożeństwo dobiegło końca i wierni zaczęli opuszczać świątynię, przystając na chwilę przy bocznych ołtarzykach, by zapalić przyniesione ze sobą świece. Zapalano je za tych, którzy zginęli lub byli w potrzebie.

Podobnie jak każdego innego poranka, Beqa Meyer zapaliła trzy – jedną za Garta, jedną za jej brata Eido i jedną za kogoś, kto potrzebował w tej chwili pomocy.

Czuła się potwornie zmęczona. Nocna zmiana w fabryce wyciskała z niej ostatnie soki. Z trudem powstrzymała się przed zaśnięciem w trakcie kazania. Gdyby w środku było choć trochę cieplej, z pewnością zapadłaby w drzemkę. Lecz ostatnimi czasy nosiła zbyt cienki płaszcz: letni strój kupiony z drugiej ręki, nawet nie podbity. Może w przyszłym miesiącu, po opłaceniu czynszu wystarczy jej dość z wypłaty i odłożonych wcześniej drobniaków, by kupić sobie ciepłą kurtkę w magazynach Munitorium.

Kiedy odwracała się od ołtarzyka, wpadła na kogoś, kto czekał w kolejce za jej plecami. Był to mężczyzna, którego spotkała przed drzwiami kaplicy w drodze na mszę. Wysoki, ciemnowłosy cudzoziemiec. Miał przygnębioną smutną twarz. Ubrany był jak żołnierz, rozciągał wokół siebie delikatny zapach oleju maszynowego i paliwa.

- Przepraszam panią – powiedział natychmiast. Kiwnęła mu głową w geście mówiącym, że nic się nie stało, ale odchodząc ominęła go szerokim łukiem. Mówił coś do siebie, kiedy spotkała go po raz pierwszy. Dziwny obcoświatowiec, być może cierpiący na jakąś bitewną psychozę. Nie potrzebowała dodatkowych kłopotów.

Mówiąc szczerze, w tej chwili potrzebowała wyłącznie snu. Od domu dzielił ją kwadrans marszu, a to dawało jej jakieś trzy godziny snu przed przebraniem się w strój obowiązujący podczas dziennej pracy na nabrzeżu. Wróciwszy do domu wieczorem mogła sobie pozwolić na godzinę drzemki przed rozpoczęciem kolejnej nocnej zmiany w fabryce.

Wyszła na chłodną ulicę, skąpaną w blasku słońca i poszła zmęczonym krokiem w stronę swego domu.

Nad Półwyspem Thedańskim, 07.37

- Łowca Dwa, ciągnie się za tobą dym.

Zdenerwowany głos dowódcy eskadry zatrzeszczał w słuchawkach wszystkich pilotów. Łowca Dwa nie odpowiedział od razu. Darrow siedział wyprostowany w swym fotelu, rozglądając się czujnie wokół. Pola i łąki półwyspu przesuwały się dwa tysiące metrów pod jego maszyną – rozległa szara plansza oznaczona plamami zieleni.

Na jego czwartej lecieli Łowcy Osiem i Jedenaście, po przeciwnej stronie znajdował się Łowca Lider. Łowca Dwa i Łowca Szesnaście utrzymywali pozycje poniżej Darrowa.

Sześć samolotów – tylko tyle ich pozostało po szaleńczej konfrontacji, reszta dopalała się teraz daleko w tyle na zboczach masywu Makanitów.

A mogło ocaleć tylko pięć. Darrow wiedział, że padłby ofiarą perłowobiałego zabójcy, gdyby nie Łowca Lider, który poszukując swych rozproszonych po przestworzach podopiecznych nadleciał w ostatniej chwili i ogniem działek odpędził prześladowcę.

Major Heckel – Łowca Lider – kilkakrotnie pytał Darrowa, czy ten dobrze się czuje, kiedy wracali pośpiesznie w stronę resztek eskadry. Heckel sprawiał wrażenie głęboko wstrząśniętego, w jego powtarzanych pytaniach kryła się troska o psychiczną kondycję Darrowa, ale i własny szok, przemieszany z poczuciem niespełnionej odpowiedzialności. Tak wielu kadetów zginęło tego dnia: to miał być czarny dzień w historii eskadry.

W ostatnich miesiącach zginęło wielu enothiańskich pilotów. Darrow zastanawiał się czasami, w jaki sposób wyżsi stopniem lotnicy radzili sobie z ogromnym stresem. Major Heckel był zaledwie o trzy lata starszy od Darrowa, swój wysoki stopień uzyskał tak szybko tylko dzięki wysokiej śmiertelności wśród pilotów i związanej z tymi stratami ekspresowej promocji oficerów.

- Łowca Dwa, zgłoś się – pomimo silnych radiowych trzasków w głosie Heckela słychać było wyraźnie napięcie.

- Łowca Lider, wszystko ze mną w porządku.

Pilot kłamał, Darrow miał ze swej pozycji w szyku doskonale pole widzenia na uszkodzoną maszynę. Nie dość, że za myśliwcem ciągnęła się smuga gęstego dymu, to tracił on jeszcze prędkość i wysokość. Co w nim szwankowało, Darrow nie miał pojęcia. Może wysiadł system chłodzenia, a może instalacja elektryczna? Albo był to jakiś groźniejszy w skutkach defekt, którego Darrow nie potrafił sobie w tej chwili wyobrazić.

Ile im jeszcze pozostało czasu? Według wskazań pokładowej mapy i własnych obliczeń kadeta od bazy Theda Północ dzieliło ich jeszcze jakieś czterdzieści sześć minut lotu – więcej, jeśli Łowca Dwa nadal miał tracić prędkość w takim tempie. Paliwomierz Darrowa wciąż wskazywał pełny zbiornik, chociaż żadna z maszyn nie miała benzyny na więcej niż pięćdziesiąt minut lotu; z pewnością zaś nie miał tyle paliwa sam Darrow, którego perłowobiały prześladowca zmusił do wyjątkowo gwałtownych manewrów.

- Uwaga, Łowcy... – w eterze rozległ się głos Heckela. Major urwał na chwilę, jakby intensywnie nad czymś myślał – Łowcy, zmieniamy kurs na Thedę Południe. Do bazy powinniśmy mieć piętnaście, dwadzieścia minut lotu. Potwierdźcie odbiór.

Darrow rzucił w radio zwięzły raport, usłyszał głosy innych pilotów. To była dobra decyzja. Sztab lotnictwa z pewnością wołał sześć Wolfcubów na innym niż macierzyste lotnisku od sześciu Wolfcubów dopalających się po nieudanym awaryjnym lądowaniu.

Kadet przełączył używaną częstotliwość; zaczął słuchać rozmowy pomiędzy majorem Heckelem i centrum operacyjnym. Dowódca eskadry uzgadniał pośpiesznie zmianę trasy lotu.

Wtedy w uszy pilota wdarł się ponownie znajomy już odgłos stukania. Otworzył usta, by zgłosić tę nieznaną bliżej awarię dowódcy, kiedy Łowca Osiem zaczął nagle krzyczeć.

- Łowca Dwa! Patrzcie na Łowcę Dwa!

Darrow obrócił głowę we wskazanym kierunku. Uszkodzony Wolfcub wyłamał się łagodnym łukiem z szyku, zaczął opadać ku powierzchni ziemi. Ciągąca się za jego ogonem smuga dymu zgęstniała, przybrała ciemniejszego koloru. Maszyna sprawiała wrażenie ledwie

trzymającej się w powietrzu; jakby siły grawitacji wywierała na nią znacznie silniejszy wpływ niż na pozostałe samoloty eskadry.

- Łowca Dwa, zgłoś się! – Darrow słyszał w eterze głos dowódcy grupy – Łowca Dwa, zgłoś się!

Trzask radiowych zakłóceń.

- ...lę, że dam go radę utr...

- Łowca Dwa, skacz! Na Tron, Edry! Kadecie Edry, musisz skoczyć, zanim zejdziesz poniżej bezpiecznego pułapu!

Brak odpowiedzi. Wolfcub był teraz zaledwie kropką na początku warkocza dymu, opadającą szybko gdzieś w tyle, za ogonami pozostałych maszyn.

- Edry! Kadecie Edry!

Dalej, Edry. Wyskocz wreszcie. Darrow wykręcił ciało w fotelu nie chcąc tracić uszkodzonego myśliwca z oczu. Mając w zbiornikach krytycznie niski zapas paliwa, nikt nie mógł pozwolić sobie na zawrócenie w stronę odpadającego z formacji towarzysza. *Dalej, Edry. Skacz. Chcemy zobaczyć spadochron. Pokaż ten cholerny spadochron, zanim...*

Odległy rozbłysk eksplozji, który rozświetlił na chwilę szarozieloną powierzchnię półwyspu. Niewielka kula ognia. Na niebie nie pojawił się żaden spadochron.

Baza lotnicza Theda Południe, 07.40

Kiedy autobus zjechał z autostrady skręcając na drogę dojazdową do bazy, dołączyły do niego trzy inne podobne pojazdy. Konwój zatrzymał się na chwilę na zachodniej bramie czekając, aż wyglądający na zmęczonych wartownicy w mundurach lokalnych Sił Obrony Planetarnej skontrolują przepustki kierowców; potem autobusy potoczyły się z warkotem silników w głąb kompleksu.

Komandor Bree Jagdea podniosła się z twardego niewygodnego siedzenia i zaczęła lustrować wzrokiem okolice. Wojskowa baza lotnicza Theda Południe rozciągała się na dwudziestu kilometrach kwadratowych niziny na południowy wschód od miasta. Kobieta wyczuwała rześki zapach morskiego powietrza przyganiany wiatrem od strony odległego o kilka kilometrów na północ wybrzeża. Słońce zaczynało dopiero rozgrzewać ziemię.

Lotnisko otaczał łańcuch połowych fortyfikacji. Okopy, zapory przeciwczołgowe, zwoje rozwieszonego na słupach drutu kolczastego, obłożone pancernymi płytami stanowiska baterii Hydr, bunkry z ustawionymi na dachach wyrzutniami rakiet. Droga wiodąca w głąb bazy pełna była pojazdów, zmierzających w stronę bramy lub jadących do centrum kompleksu. Drugi łańcuch obrony, otaczający środkową część bazy, składał się z rozstawionych w regularnych odstępach baterii przeciwlotniczych. Na południowym krańcu lądowisk wznosiły się wielkie budynki hangarów i ciężko opancerzonych składów amunicyjnych, na północnym końcu w niebo strzelała wieża centrum operacyjnego oraz pylony modułów łączności i nasłuchu.

Krzyżujące się ze sobą pasy startowe przecinały środek bazy; były dostatecznie szerokie, by mogły z nich korzystać wielkie bombowce o napędzie śmigłowym używane przez miejscowe siły powietrzne. Jagdea ujrzała dwie z tych maszyn zaparkowane opodal lądowiska. Magogi – wielkie, przestarzałe i brzydkie. Ostatni raz miała je okazję widzieć w akcji podczas ostatecznej bitwy o Phantine, kiedy zdesperowani lojaliści rzucili w powietrze każdą zdolną do lotu maszynę. Tutaj Magogi stanowiły podstawowy typ bombowca – nic dziwnego, że Enothijczycy cały czas zbierali ciężki.

Lecz większość tutejszych maszyn została odesłana do innej bazy w celu udostępnienia miejsca cudzoziemcom.

Jagdea i jej towarzysze przylecieli poprzedniej nocy, w głębokich ciemnościach. Dopiero teraz kobieta zyskała pierwszą sposobność rzucenia okiem na Thedę Południe. Baza sprawiała wrażenie dość sporej, powinna była wystarczyć na potrzeby Phantyńczyków.

Grupy robotników w kombinezonach Munitorium uwijały się przy pracach adaptacyjnych. Kończono pośpiesznie stawianie opancerzonych ścian odgradzających od siebie miejsca postojowe dla samolotów, jeden ze starych pasów startowych ryto za pomocą buldożerów przygotowując dodatkowe boksy parkingowe. Maszyny obcoświatowców, w sumie około siedemdziesięciu samolotów, stały ukryte pod siatkami maskującymi na wschodnim krańcu lądowiska. Gdziekolwiek Jagdea nie spojrzała, widziała wzmogoną ludzką aktywność – pracujące z warkotem spalinowe generatory, gąsienicowe koparki, rozebranych do pasa operatorów młotów pneumatycznych, hałdy świeżo zrytej ziemi.

Kobieta spojrzała na noszony na nadgarstku chronometr. Dokładnie na czas. Autobus skręcił w bok, podjechał do jednego z szeroko otwartych hangarów.

- Gotowość do akcji, Umbra – słysząc słowa dowódcy jedenastka lotników sięgnęła po swoje torby podróżne. Autobus zatrzymał się łagodnie.

Jagdea wysiadła pierwsza, wciągnęła w płuca haust świeżego powietrza.

- No i jesteście – mruknęła do Milana Blanshera, swego zastępcy. Blansher był zaprawionym w podniebnych bojach pilotem myśliwskim w wieku czterdziestu lat. Czterdzieści dwa potwierdzone zestrzały klasyfikowały go na pierwszym miejscu w rankingu jednostki. Nie mówił zbyt wiele, ale Jagdea bez wahania powierzyłaby mu swe życie. Miał niezwykle blade oczy Phantyńczyka i starannie przystrzyżoną brodę; noszoną po części po to, by nadawała mu wyglądu nobliwego seniora; po części zaś miała za zadanie maskować białą bliznę po szrapnelu, który rozciął mu kiedyś twarz od prawego nozdrza poprzez usta aż do podbródka.

- No i jesteście – powtórzył zarzucając torbę na ramię. Pozostali lotnicy wysiadali jeden po drugim: Van Tull; Espere; Larice Asche ze spiętymi w nieregulaminowy kok włosami; Del Ruth; Clovin; chłopięcy Marquall; wiecznie pogwizdujący coś Waldon; Zemmic obładowany swoją kolekcją fetyszy i talizmanów; Cordiale; Ranfre. Niemal wszyscy zatrzymali się na moment, by dotknąć palcami dłoni nawierzchni lotniska w geście charakterystycznym dla większości przesądnych pilotów.

Vander Marquall nie dotknął ziemi; jego spojrzenie przyciągnęły trzy przygotowujące się do startu myśliwce enothiańskich sił powietrznych. Były to szybkie dwusilnikowe maszyny w kształcie delty, nazywane Cyklonami. Włączone silniki nabierały mocy, ukryte w masywnych obudowach rotory turbin wirowały z rykiem. Samoloty wibrowały na swych stanowiskach startowych, obsługa techniczna odtaczała pośpiesznie wózki serwisowe, przygotowywała do usunięcia klocki hamulcowe. Marquall widział wyraźnie siedzących w każdym kokpicie pilotów, sprawdzających po raz ostatni stan maszyny. Chociaż większość lokalnych skrzydeł lotniczych wycofano do innych baz chcąc zrobić wolne miejsce cudzoziemcom, eskadra Cyklonów pozostała w Thedzie Południe jako jednostka rezerwowa.

- Idziesz, Marquall ? – zapytała Jagdea. Chłopak odwrócił się, spojrzał w jej stronę.

- Tak, pani komandor.

Marquall był najmłodszym lotnikiem w Umbrze i jedynym nie posiadającym doświadczenia bojowego, wszyscy pozostali Phantyjczycy wzięli wcześniej udział w walkach na niebie swego macierzystego świata. Marquall wciąż jeszcze uczestniczył w przyspieszonym kursie pilotażu w Hessenville, kiedy wojna o Phantine dobiegła końca. Był niecierpliwy, żądny wrażeń i – w opinii Jagdei – utalentowany, ale tylko czas mógł zweryfikować jego potencjalną wartość. Marquall miał przystojne rysy twarzy i piękny uśmiech, który w opinii wielu osób był uroczy, według reszty zaś irytująco arogancki.

Piloci należący do Umbry ruszyli po betonowym podeście w stronę hangaru, w ślad za nimi szła inna grupa lotników, która przyjechała drugim autobusem. Jagdea spojrzała przez

ramię w stronę własnego środka transportu. Siedzący za kierownicą mężczyzna kiwnął jej głową. Połowa jego twarzy nikła pod szpetnymi bliznami po oparzeniach.

Obcoświatowcy weszli do hangaru. Powietrze wewnątrz było chłodne i suche, przesiąknięte zapachem paliwa. Rozległe pomieszczenie okazało się puste, jeśli nie liczyć samotnego bombowca Shrike w kącie sali, przykrytego siatką maskującą, oraz przyzmy pustych skrzynek amunicyjnych ustawionych pod zachodnią ścianą. Na szczycie przyzmy ktoś ustawił mapnik i holograficzny projektor.

Grupa ponad dwudziestu lotników czekała już w środku; wszyscy stali opodal skrzynek, z torbami ciśniętymi pod nogi. Podobnie jak ludzie, którzy wysiedli z drugiego autobusu, ci również byli pilotami marynarki kosmicznej, mężczyznami w szarych kombinezonach lotniczych i czarnych płaszczach. Niektórzy mieli zamiast oczu optyczne implanty. Obie grupy przywitały się ze sobą zdawkowo, ale na phantyjskich pilotów spoglądały z podejrzliwą rezerwą. Jagdea odwzajemniła sceptyczne spojrzenia kładąc na podłodze własną torbę – zdawała sobie sprawę z tego jak bardzo Phantyjski Korpus Powietrzny różnił się od regularnych imperialnych jednostek lotniczych. Jeśli miało to pociągnąć za sobą rywalizację, nie obawiała się podjąć wyzwania.

Piloci marynarki byli mężczyznami o twardych twarzach i krępej budowie ciała, bladej skórze i krótko ściętych włosach. Większość nosiła na kombinezonach metalowe ochraniacze i koszulki kolcze, grube płaszcze wykończone były białymi futrzanymi podbitkami. Wielu obnosiło się z paskudnymi bliznami, baretkami odznaczeń i naszywkami weteranów.

- 6030 skrzydło myśliwskie – szepnął kobiecie dyskretnie do ucha Blansher – Zwykli się nazywać Słonecznymi Ogarami. Wydaje mi się, że tamten wielki drab z insygniami komandora na rękawie to Leksander Godel. Czterdzieści zestrzałów na koncie, o ile się nie mylę.

- O, słyszałam o nim to i owo – odparła cichym tonem.

- Mam wrażenie, że ta druga grupa to 409, Raptory – ciągnął dalej Blansher – a to by znaczyło, że ten facet pośrodku to komandor Ortho Blaguer.

- Ten Blaguer ?

- Ten sam. Sto dziesięć zestrzałów. Gapi się w naszą stronę.

- Więc popatrzmy gdzie indziej – Jagdea obróciła się plecami w stronę pilotów marynarki.

- Orbis na szóstej ! – krzyknął znieczeka Zemic, a jego głos odbił się echem od ścian rozległej hali. Tuzin phantyjskich lotników wysiadł właśnie z kolejnego autobusu, piloci weszli do hangaru. Jagdea poczuła ogromną ulgę na widok znajomych twarzy. Eskadra Orbis, przyjaciele i koledzy. Grupę prowadził komandor Wilhem Hayyes.

Phantyjczycy zaczęli wymieniać między sobą pozdrowienia.

- Miło, żeście do nas dołączyli – powiedziała Jagdea ściskając dłoń Hayyesa.

- Miło, żeście na nas poczekali – odparł mężczyzna – Mam nadzieję, że zostali dla nas jacyś bandyci do odstrzału.

Przez zgromadzony w hangarze tłumek przebiegł znieczeka zduszony pomruk zaskoczenia. Do sali weszła ostatnia grupa lotników, w uniformach marynarki kosmicznej, zjawiając się w sposób, który Jagdea odebrała jako rozmyślnie teatralny. Było ich tylko ośmiu; mieli na sobie opancerzone czarne kombinezony i białe kurtki lotnicze. Nie nosili żadnych insygniów ani naszywek z wyjątkiem srebrnych Imperialnych Orłów na kołnierzach.

- Kurwa mać ! – Jagdea usłyszała podekscytowany szept Del Ruth – Apostołowie !

Przybyli Apostołowie – elitarna eskadra złożona z samych asów, prawdziwa śmietanka imperialnego lotnictwa. Jagdea próbowała odgadnąć, który z przybyszów był Quintem, który zaś Getteringiem. Czy ten wysoki to Seekan czy Harlsson ? Który to Suhr ?

Zabrakło jej czasu, by spytać o to Blanshera. Do hangaru wszedł mężczyzna w uniformie admirała floty, otoczony przez kilkunastu adiutantów i oficerów sztabowych. Ornoff we własnej osobie.

Oczy wszystkich spoczęły na jego postaci.

- Lotnicy – rozpoczął niskim, ale przyciągającym uwagę głosem admirał – O godzinie osiemnastej wczoraj wieczór spotkałem się w Ministerstwie Wojny w Enothopolis z lordem militantem Humelem. Jak wam zapewne wiadomo, lord militant dowodził działaniami wojennymi na tej planecie przez ostatnie dziewięć miesięcy, w imieniu marszałka Macarotha i Boga-Imperatora.

- Imperator strzeże ! – wtrącił jeden z Apostołów i wszyscy obecni w hangarze powtórzyli chóralnie jego słowa.

Ornoff skinął z aprobatą głową.

- I mam nadzieję, że będzie nas strzegł dalej, kapitanie Gettering. W międzyczasie musimy wziąć się do solidnej pracy. Wręczyłem lordowi militantowi Humelowi dokumenty złożone na moje ręce przez marszałka wojny Macarotha i o godzinie osiemnastej trzydzieści lord militant przekazał mi formalnie dowodzenie nad teatrem enothiańskim.

W hangarze rozległy się spontaniczne oklaski.

- Wojna lądowa na Enothis właśnie się skończyła. Wojna powietrzna się zaczyna.

Baza lotnicza Theda Południe, 07.46

Major Frans Scalter zerknął na siedzącego w fotelu obok drugiego pilota, uniósł w górę kciuk, po czym machnął ręką nakazując obsłudze technicznej cofnąć się od ryczącego donośnie Cyklonu.

- Operacje, Operacje – pilot docisnął do twarzy swą maskę tlenową – Mówi Szperacz Jeden. Klucz gotowy do lotu. Proszę o pozwolenie na start.

Scalter trzymał dłoń na dźwigni zwalniającej zaciągnięte hamulce samolotu.

- Szperacz Jeden, tu Operacje. Macie pozwolenie, główny pas czysty. Udanego startu i niech was Imperator strzeże.

- Dzięki, Operacje. Szperacze, za mną.

Scalter zwolnił hamulce i przesunął dźwignię przepustnicy. Odrzutowiec zaczął sunąć w stronę głównego pasa startowego, skrzydłowi ruszyli w ślad za nim. Ryk sześciu silników tworzył ogłuszającą kakofonię dźwięków. Scalter ustawił swoją maszynę na pozycji startowej i raz jeszcze sprawdził wskazania pokładowych instrumentów. Siedzący obok Artone zwiększył obroty radiatorów i wzbogacił paliwową mieszankę.

- Uwaga, klucz... – zaczął Scalter.

Artone podniósł zniecierpliwioną ostrzegawczo dłoń.

- Co jest ?

- Czerwona flaga ! – oświadczył drugi pilot pokazując ręką kraniec pasa startowego.

- Cholera ! Co się dzieje ? – warknął Scalter – Operacje, mówi Szperacz Jeden. Widzimy czerwoną flagę. Prosimy o potwierdzenie zgody na start.

W eterze zapadła chwila ciszy, potem w radiowe trzaski wdarł się zdecydowany ludzki głos.

- Odmowa, odmowa, Szperacz Jeden. Opuśćcie natychmiast główny pas. Zaparkujcie w boksach od piętnaście do siedemnaście i wyłączcie silniki. Powtarzam, odmowa zgody na start. Opuścić pas startowy.

- Co się dzieje, psiakrew ? – nie ustępował zdenerwowany Scalter.

- Uszkodzone maszyny – odparł kontroler – Nadlatują uszkodzone maszyny.

Dwadzieścia kilometrów od bazy Theda Południe, 07.46

Widzieli już odległe zarysy bazy, pobłyskujące w promieniach słońca. Na krawędziach pasów migwały światła naprowadzające. Dobiegający zza pleców Darrowa stukot nie milkł ani na chwilę.

Major Heckel sprawdził po kolei zapas paliwa w każdym z Wolfcubów. Wszyscy lecieli na oparach, choć Darrow z braku innych wskazań musiał zgłosić pełny zbiornik. Łowca Szesnaście od kwadransa ciągnął za sobą warkocz siwego dymu, jego pilot zgłaszał też spadające drastycznie ciśnienie w układzie hydraulicznym. Podczas potyczki nad Makaanitami myśliwiec został dwukrotnie trafiony w dolną część kadłuba.

- Łowca Lider do eskadry. Szesnaстка i czwórka lądują w pierwszej kolejności. My siadamy kolejno, kiedy oni będą już na dole. Potwierdzić.

Darrow poprawił wrzynającą mu się w ciało uprząż. Heckel chciał mieć jak najszybciej na dole Łowcę Szesnaście, ponieważ jego maszyna umierała w locie; oraz samego Darrowa, prawdopodobnie lecącego na resztkach paliwa.

- Za tobą, Szesnaście – rzucił w eter Darrow ustawiając się tak, by Wolfcub drugiego kadeta wyszedł na prowadzenie. Ciągająca się za myśliwcem smuga dymu na przemian raz gęstniała, raz stawała się rzadsza.

Stukanie w tylnej części kadłuba przybrało na sile. Darrow zaczął podchodzić do lądowania.

Baza lotnicza Theda Południe, 07.47

- Wasze skrzydła – ciągnął dalej Ornoff – są pierwszymi pięcioma, które przerzucono na południową część wybrzeża. W przeciągu następnych siedemdziesięciu dwóch godzin w region ten skierowane zostanie w sumie pięćdziesiąt osiem skrzydeł lotnictwa marynarki... oraz naszych sojuszników – admirał skinął głową w stronę phantyńskich lotników – Czterdzieści dwa skrzydła myśliwskie, szesnaście bombowych. Stwierdzenie, iż mamy wspierać działania lokalnego lotnictwa byłoby nieporozumieniem. To my będziemy stanowić pierwszą linię obrony. Dzielni piloci enothiańscy, którzy walczyli tutaj od wielu miesięcy, przejmą teraz rolę sił pomocniczych. Miejmy nadzieję, że wystarczy im czasu na naprawy, przebrojenie, uzupełnienie strat w personelu i odpoczynek.

Ornoff odwrócił się w stronę ustawionego na skrzynkach mapnika.

- Nie muszę chyba nikomu zwracać uwagi na konieczność zaznajomienia się z lokalną topografią, używanymi kanałami łączności i rozmieszczeniem własnych lotnisk. Systemy szyfrowania będą zmieniane codziennie. Nieprzyjaciel nasłuchuje.

Ornoff urwał na chwilę, oparł dłoń na mapniku.

- Sytuacja na tutejszym froncie jest tragiczna. Siły lądowe lorda militanta Humela, wspierane przez lokalną armię, omal nie wyparły wojsk nieprzyjaciela poza ten świat. Niestety, w przeciągu dwóch ostatnich miesięcy, fortuna nas opuściła. Wróg, ufortyfikowany na południu, w obrębie Kopców Trinity, został wsparty silnym kontyngentem spoza planety stanowiącym część zmasowanej heretyckiej kontrofensywy rozpoczętej w drugiej połowie tego roku w Grupie Khana. Siły lądowe lorda militanta wycofują się teraz pośpiesznie na północ poprzez pustynny interior... w tym regionie... Niektóre z jednostek zdołały już dotrzeć do masywu Makaanitów i wchodzić na górskie przełęcze. Naszym zadaniem – waszym zadaniem – będzie zapewnienie im osłony podczas odwrotu w stronę zophonianckiego wybrzeża. Mamy stworzyć powietrzny parasol nad kolumnami wojsk pancernych i piechoty, a to oznacza trzymanie na dystans wrogiego lotnictwa i ataki na ich siły lądowe. Enothis zostanie uratowane jedynie wtedy, gdy odpowiednio silny imperialny kontyngent zdoła dotrzeć do wybrzeża. Tam po dokonaniu przebrojenia i uzupełnień będziemy mogli zatrzymać ofensywę wroga.

Ornoff przesunął wzrokiem po twarzach swych słuchaczy.

- Oczekujcie całodobowej gotowości do lotu. Plan strategiczny wciąż pozostaje w opracowaniu, bo oczekujemy przybycia pozostałych skrzydeł. Oznacza to, że być może wasze jednostki zostaną wkrótce przeniesione do innych baz. W międzyczasie będziecie wykonywać misje doraźne zgodnie z potrzebami lokalnych Operacji.

Ornoff podniósł dłoń, przywołał do siebie jednego z oficerów sztabowych, starszego wiekiem mężczyznę w mundurze enothiańskich sił powietrznych.

- Poprosiłem komandora Parrwooda o krótki wykład na temat tutejszego klimatu i ukształtowania terenu. Zanim przejdziemy do tego tematu, czy ktoś ma jakieś pytania ?

Godel, dowódca Słonecznych Ogarów, podniósł w górę ukrytą w kolczej rękawicy dłoń.

- Jakiego przeciwnika powinniśmy się spodziewać, panie admirale ?

- Dalece przeważającego liczebnie – odparł sucho Ornoff – Myśliwce typu Hell Razor i Locust, myśliwce bombardujące Tormentor i Hell Talon. Nieprzyjaciel korzysta z szerokiej gamy produkowanych lokalnie samolotów, pojawiły się też informacje o nowym typie ciężkiego bombowca, dotąd nie sklasyfikowanym. Wiele nieprzyjacielskich samolotów działa na nadspodziewanie dalekim dystansie, a to rodzi podejrzenia, że korzystają z jadących przez interior gąsienicowych lotniskowców.

- Kiedy znajdziemy się w ich zasięgu ? – spytał jeden z Apostołów.

- Jeśli ich pan nie zatrzyma, majorze Suhr, przy obecnym tempie ofensywy lotnictwo nieprzyjaciela zacznie bombardować południowe wybrzeże najdalej do miesiąca czasu. Wolałbym nie zakładać takiego rozwoju sytuacji.

- I nie musi pan, admirale – odparł Suhr – ponieważ do tego nie dopuścimy.

Przez hangar przebiegł dźwięk pomruków aprobaty.

- A teraz komandor Parrwood... – słowa Ornoffa utonęły w ryku rozstawionych na lotnisku syren. Do pierwszego sygnalizatora szybko dołączyły kolejne. Niskie złowieszcze zawodzenie niosło się ponad całą bazą.

Lotnicy wymienili między sobą zaniepokojone spojrzenia. Ornoff powiedział coś do adiutantów i cała grupa udała się czym prędzej w stronę wyjścia z hangaru. Piloci pobiegli w ślad za oficerami.

Zebrawszy się na betonowym podeście skąpanym w blasku słonecznych promieni, wszyscy zaczęli przeczesywać wzrokiem błękitne przestworza. Wzdłuż głównego pasa zapalały się i gasły rzędy świateł naprowadzających, z garaży na północnym krańcu bazy wyjeżdżały z rykiem silników pojazdy służb technicznych.

- Ktoś ma kłopoty – mruknął Blansher.

- Tam ! – krzyknął jeden z pilotów marynarki wyciągając przed siebie dłoń.

Nisko nad południową linią horyzontu pojawiły się niewielkie ciemne punkty. Jagdea usłyszała odległy pomruk odrzutowych silników.

- Będą siadać – stwierdziła Asche. Kilka maszyn utrzymywało dotychczasowy pułap, ale dwie zmniejszyły szybko wysokość. Piloci widzieli błyski odbijającego się od szyb kokpitów słońca. Prowadzący grupę samolot, niewielki ciemnozielony odrzutowiec o pojedynczym silniku, ciągnął za sobą smugę dymu.

- Bardzo niedobrze – powiedziała Jagdea.

- Dlaczego ? – zapytał stojący za jej plecami Marquall.

- Jeśli ma zamiar lądować, niech lepiej wypuści podwozie.

Nad bazą Theda Południe, 07.51

Dym buchający z kadłuba Łowcy Szesnaście mocno zgęstniał, zmienił też barwę na smolistą czerń. Darrow musiał nieco zwiększyć wysokość, by nie stracić widoczności z powodu lotu przez chmurę oparów. Łowca Szesnaście powoli obniżał pułap, a to zmuszało

Darrowa do siadania gdzieś w połowie pasa, w dodatku z wysokości wyjściowej, która budziła spore obawy kadeta.

Na domiar złego pojawił się nagle boczny wiatr. Darrow czuł uderzenia prądu powietrza, zaczął korygować kłapani zmianę trajektorii lotu. Myśliwiec zbliżał się niebezpiecznie blisko do granicy przeciągnięcia.

- Siadaj, Łowca Szesnaście ! – krzyknął w eter pilot – Dalej, Phryse ! Ląduj !
- Czekaj chwilę... – zatrzeszczał komunikator – Chyba... chyba podwozie mi się zacięło !
- Użyj awaryjnego układu, Phryse ! – w radio rozległ się podniesiony głos Łowcy Lidera.
- Próbuję... cholerny złom... dźwignia się zablokowała. Chyba wgięta...

W kokpicie Darrowa rozległ się alarmowy klakson. Koniec paliwa... mimo, że strzałka na paliwomierzu wciąż wskazywała pełny zbiornik.

- Muszę natychmiast siadać ! – krzyknął do radia kadet.
- Dobra, dobra ! Już w porządku, Enric ! Dźwignia puściła, koła wyszły !

Baza lotnicza Theda Południe, 07.51

Nim jeszcze silniki Cyklona zgasły z przejmującym wizgiem, Scalter otworzyłabinę myśliwca i wystawił na zewnątrz głowę przeszukując wzrokiem przestworza.

- Operacje ! – krzyknął i wtedy uświadomił sobie, iż wstając w fotelu pociągnął za kabel słuchawek dość silnie, by wyrwać jego wtyczkę z obudowy komunikatora.
- Kurwa ! – wyrzucił z siebie przekleństwo siadając z powrotem w fotelu i próbując jak najszybciej podpiąć wyłączony komunikator do nadajnika – Kurwa !
- Gadaj ! – krzyknął Artone łapiąc ręką za luźną wtyczkę i wciskając ją do otworu w obudowie radia.
- Operacje ! Dajcie czerwoną flagę ! Odmowa ! Ten Wolfcub siada ze schowanym tylnym kołem !
- Zakłócasz częstotliwość, Szperacz Jeden !

Scalter rozpiął pośpiesznie swą uprzęż, otworzył do końca drzwiczki kabiny i zeskokczył na ziemię. Artone deptał mu po piętach, załogi pozostałych dwóch Cyklonów też opuszczały swe maszyny.

Scalter pobiegł w stronę głównego pasa, machając uniesionymi wysoko rękami. Nad lotniskiem zapłonęły wystrzelone wysoko czerwone race ostrzegawcze. Rzygając kłębami dymu, z przechylonym w dół skrzydłem, Wolfcub był już naprawdę nisko, jego silnik zaczął przerywać pracę.

Kółko ogonowe wciąż tkwiło w kadłubie.

- W górę ! W górę ! – wrzasnął Scalter. Artone podciął go, przewrócił na pas. Wolfcub przeleciał tuż nad mężczyznami, jego ogon zaczął opadać w stronę powierzchni ziemi. Tylnego podwozia wciąż nie było widać.

Ogon myśliwca uderzył w pas pierwszy, powietrze przeszył przeraźliwy zgrzyt, na wszystkie strony wystrzeliły kawałki rozdartego metalu. Ogon maszyny natychmiast odbił z powrotem w górę i Wolfcub dosłownie stanął na nosie. Samolot dosłownie się rozpadł na części – prawe skrzydło odleciało gdzieś w bok, zerwany z podstawy silnik zmiażdżył zgnieciony już częściowo kokpit i eksplodował z hukiem. Płonące paliwo rozlało się po pasie startowym.

Darrow nie wierzył własnym oczom. Dopiero co zdążył wypuścić własne podwozie, a teraz nie widział już przed sobą lądowiska, tylko morze płomieni i kawały dymiącego złomu.

- Przerwij, Łowca Cztery !

Darrow zwiększył ciąg uruchamiając rezerwowy dopalacz, pociągnął stery na siebie. Wolfcub praktycznie nie zareagował, maszyna odmawiała dalszego lotu. Kadet szarpnął mocniej drążkiem sterowym.

Myśliwiec przeleciał z rykiem gasnącego silnika przez jaskrawą kulę ognia, szyby kokpitu momentalnie pokrywała warstwa sadzy. Dym był wszędzie wokół, kręcący na boki głową Darrow dostrzegł płomyki liżące jego własne skrzydło.

- Siadam na drugim pasie ! – krzyknął z rozpaczą.

- Czysty ! – zgłosił kontroler lotów. Wolfcub zaczął zmieniać opornie kierunek lotu, skręcając na tyle ciasno, na ile odważył się ryzykujący w każdej chwili utratą siły nośnej kadet. Nie mógł ulec przeciążeniu, nie teraz, nie teraz. Drażek sterowy sprawiał wrażenie odlanego z ołowiu. Myśliwiec spadał wprost na rezerwowy pas, tracąc z każdą sekundą cenne metry wysokości. Nie było już szans na powtórkę podejścia.

Na konsolce zapaliła się czerwona lampka, maszyna zadygotała silnie. Napęd zgasił zniemacka, z braku paliwa lub zbyt niskiego ciągu. Nie miało to już zresztą większego znaczenia.

Wolfcub runął z nieba na powierzchnię lądowiska. Podwozie wytrzymało pierwsze zderzenie z pasem, drugiego już nie, zmieniło się w płataninę zgruchotanych metalowych wsporników i spalonej gumy. Odrzutowiec spadł za trzecim razem na brzuch, tracąc wielkie kawały blach poszycia. Maszyna obróciła się w bok, skrzydła zaczęły się zginać jakby wykonano je z papieru. Darrow krzychał zasłaniając twarz rękami, rzucany impetem zderzeń o ściany kabiny.

Ludzie runęli z wszystkich stron w kierunku odrzutowca – z magazynów, warsztatów obsługi technicznej, hangarów. Wozy straży pożarnej nadjeżdżały z rykiem syren i włączonymi światłami alarmowymi.

Jagdea i Blansher byli jednymi z pierwszych osób, które znalazły się przy dymiącym wraku.

- Cofnijcie się ! Cofnijcie ! – krzychał jeden ze strażaków.

- Wyciągnijcie go ! – nie dawała się odpędzić Jagdea, napierająca na rozkładającego szeroko ręce mężczyznę.

Owiewka rozbitego Wolfcuba odskoczyła do tyłu i wstrząśnięty pilot wygramolił się o własnych siłach z kokpitu. Samolot praktycznie leżał na boku, otoczony morzem szczątków. Lotnik zrobił kilka kroków potrząsając głową, mijany przez strażaków włączających ręczne gaśnice.

Głowa młodego mężczyzny pokryta była grubą warstwą sadzy i oleju. Kiedy szarpnął za maskę tlenową, odsłonił czystą, mocno zaczerwienioną twarz. Spojrzał na Jagdeę i Blanshera, mrugał przy tym w nerwowym tiku.

- Kurwa mać – wykrztusił.

- Ładne lądowanie – powiedział Blansher ujmując pilota pod ramię. Chłopak oparł się o niego chwiejnie.

- Ładne... lądowanie ? – powtórzył z trudem.

Blansher błysnął zębami w uśmiechu.

- Było nie było, wyszedłeś z maszyny o własnych siłach, prawda ?

a

DZIEŃ 253

Pustynny interior, 10.10

Furia Pardui wydała z siebie ostatnie tchnienie. Jej silnik rzeźił charkotliwie przez ostatnie sto kilometrów, a diody sygnalizujące stan układu chłodzącego płonęły czerwonym

blaskiem przez ostatnie dwadzieścia. Kierowca zdołał zjechać z ubitego traktu na chwilę przed tym, kiedy antyczny silnik czołgu strzelił donośnie i zgasł. Conqueror zamarł w bezruchu.

Drobny suchy piasek przesypywał się między ogniwami gąsienic, ważący sześćdziesiąt dwie tony pojazd zaczął zapadać się pod własnym ciężarem w sypkim podłożu, tonąc w piasku. LeGuin obszedł czołg wokół czując buchające od burt pojazdu gorąco. Narzędzia zaszczękały metalicznie, spod tylnej kłapy silnika wyjrzał spocony technik służb pomocniczych.

- I jak ? – spytał LeGuin.

- Układ chłodzący już nie istnieje, a blok silnika praktycznie się stopił. Pracował zbyt długo. No i wszędzie jest ten przeklęty piasek.

LeGuin pokiwał z rezygnacją głową.

- Zabierzcie wszystko, co zdołacie. Amunicję, baterie, radio, broń z zaczepów, spuście ze zbiorników wodę i paliwo. Załadujcie to na ciężarówki i pośpieszcie się z robotą !

- Tak jest, panie kapitanie.

LeGuin odwrócił głowę w stronę porucznika Klodasa, dowódcę *Furii*. Kierowca, ładowniczy i strzelcy stali opodal zbici w grupkę, z czapkami ścisiskanymi w dłoniach na podobieństwo uczestniczących w pogrzebie żałobników. LeGuin zauważył, że Klodas z trudem powstrzymuje się od łez.

- Nie trać w głupi sposób wody, Klodas – powiedział kapitan – Czeka nas długa droga.

Klodas chrząknął, skinął głową. LeGuin poczuł ukłucie wstydu na myśl o tym jak ostro potraktował młodszego wiekiem i szarżę oficera. Utrata własnego czołgu przypominała stratę najlepszego przyjaciela, brata-bliźniaka, dziecka – LeGuin wiedział o tym doskonale z własnych życiowych doświadczeń. Przeciętny czołgista żył w swojej maszynie, walczył w niej, zabijał w niej i ratował własne życie chroniony jej pancernem. Znał jej zalety i wady, obdarzał niewzruszonym zaufaniem. Porzucenie niezdatnego do dalszego użytku czołgu na poboczu pustynnego traktu sprawiało wrażenie... zbrodni.

W dodatku te czołgi były bezcenne. Tylko garstka oryginalnych modeli pozostawała w aktywnej służbie. Wielkie światy zbrojeniowe próbowały produkować nowoczesne kopie tych wozów tak szybko jak to tylko było możliwe, ale sztuka tworzenia starożytnych czołgów niemal już przepadła: wiele tajników produkcji zostało zapomnianych lub uległo z biegiem czasu modyfikacjom, które wcale ich nie ulepszyły. LeGuin pomyślał z goryczą, że chyba nigdzie w Imperium nie istniał zakład potrafiący wyprodukować oryginalne działo L/D przeznaczone dla niszczycieli czołgów.

Furia Pardui należała do najstarszych czołgów Ósmego Regimentu, pieczołowicie utrzymywana w świetnym stanie i reperowana od dwóch tysięcy trzystu lat. Nawet w swoim obecnym położeniu – zdezelowana, z zatartym silnikiem – wciąż zasługiwała na przewiezienie do zakładów remontowych i drobiazgową naprawę.

Lecz ta opcja nie wchodziła już dłużej w grę. Nie było na to ani czasu ani części zamiennych, a gdyby mimo wszystko ktoś pozostał zbyt długo w tym miejscu, nie uszedłby z życiem z pustyni.

LeGuin spojrzął w tył, wzdłuż traktu. W blasku prażącego potwornie słońca sunęła kolumna ludzi i pojazdów, przysłonięta chmurą kurzu. Co kilka sekund kolejny pojazd przejeżdżał obok kapitana sypiąc spod kół i gąsienic drobinkami suchego piasku. Oczy LeGuina szczypały boleśnie. Kolumna uchodźców ciągnęła się tak daleko jak sięgał jego wzrok, a i tak była zaledwie jedną z setki takich wojskowych zgrupowań desperacko przedzierających się przez spalone słońce pustkowia. Wielka lądowa armada lorda militanta Humela wycofywała się tak szybko jak to tylko było możliwe – armada, która niemal dotarła do bram Kopców Trinity w misji oczyszczenia Enothis z wojsk nieprzyjaciela; pobita przez oszalałe hordy heretyków.

Stygnący powoli wrak *Furii Pardui* stanowił dla LeGuina symbol tego tragicznego odwrotu – wielka dumna bestia z poprzedniej epoki, pokonana przez wroga i nieprzyjazny klimat, konająca w gorących piaskach, z których za tysiące lat wykopią ją żądni wiedzy archeologowie.

Kapitan popatrzył na północ, w kierunku podróży kolumny. Ludzie wlekli się ospale po poboczu, równie rozpaczliwie pożądanicy wody jak pojazdy oleju. Niektórzy szczęśliwcy jechali na pakach ciężarówek albo kadłubach czołgów. Co kilka kilometrów trzeba było jakiś pojazd naprawiać lub wyciągać z grząskich piasków za pomocą ciągników Atlas. *Furia Pardui* nie była pierwszym wozem porzuconym w trakcie odwrotu, cała droga wiodąca poprzez pustynię aż pod bramy Kopców Trinity pełna była wraków maszyn, które odmówiły w końcu posłuszeństwa.

Odmówiły posłuszeństwa lub zostały zniszczone. Nieprzyjaciel nie pozwalał lojalistom na spokojną ucieczkę.

Klodos zatrzymał półgąsienicowy transporter i uformował ze swych ludzi żywy łańcuch ładujący do pojazdu cały wyciągnięty z Conquerora ekwipunek.

- Uwińcie się z tym jak najszybciej – powiedział raz jeszcze LeGuin.

Kapitan zawrócił w stronę własnego czołgu, ocierając twarz z potu ręką brudną od smaru i pyłu. Spojrzał z ukosa na niebo. Skąd nastąpi kolejny atak? Z przestworzy? Raporty tylnej straży informowały, że czujki nieprzyjacielskich sił lądowych deptały uchodźcom po piętach.

Ręka Śmierci czekała na powrót swego dowódcy. Wspinając się ku wieżyczce oficer poklepał czołg po pancerzu, chociaż rozpalony metal poparzył mu boleśnie dłoń. *Ręka Śmierci* była szturmowym czołgiem typu Exterminator, zbudowanym na bazie tego samego kadłuba, co znacznie cięższy Conqueror. Zamontowane w jej wieżyczce podwójnie sprzężone działko potrafiło wyrzucić z luf prawdziwą lawinę stali i ognia. Pojazd pomalowany był na rdzawoczerwony kolor, chociaż w wielu miejscach farba zeszała odsłaniając goły metal. Nazwa wozu wymalowana została na wieży, a insygnia jednostki – Ósmego Regimentu Pancernego Pardui – widniały na bocznych wieżyczkach strzeleckich, pod emblematami dwugłowego orła.

LeGuin przeszedł nad skrzynkami z amunicją powieszonymi na tylnej części kadłuba i znalazł się na szczycie wieży. Matredes, jego ładowniczy, czekał w otwartym włazie czołgu.

- Jedziemy dalej?

- Tak.

Matredes krzyknął coś w dół do Emdeena, kierowcy, w odpowiedzi zagrał potężny silnik V12. Czołg ruszył ze szcękaniem gąsienic, włączył się w szyk kolumny.

Ręka Śmierci należała do LeGuina od niedawna i chociaż kapitan bardzo się starał, wciąż nie wytworzył pełnej więzi ze swym stalowym wierzchowcem. Przez większość swej wojskowej kariery LeGuin walczył na pokładzie niszczyciela czołgów, *Szarego Vengera*. Zaliczyli razem trzydzieści cztery śmiertelne trafienia zanim trzy lata temu *Venger* padł ofiarą nieprzyjaciela na świątynnym świecie Hagia. LeGuin zdecydowany był w zasadzie spłonąć wraz ze swym czołgiem, ale jego życie uratował wówczas zwiadowca o nazwisku Mkoll – człowiek, którego LeGuin zbyt głęboko szanował, aby się na niego za ten czyn rozgniewać.

Po powrocie do dowództwa regimentu kapitan otrzymał nowy przydział. Łudził się wcześniej nadzieją, że dostanie nowego Destroyera, ponieważ taka była jego specjalizacja wojskowa, ale chwilowo w jednostce nie było ani jednego wolnego niszczyciela czołgów. Jeśli nawet trafiała się ta rzadka okazja, że któryś z niszczycieli wracał po modernizacji do aktywnej służby, zazwyczaj był to przerobiony chałupniczą metodą wóz z gorszymi osiąganiami silnika od fabrycznych i prawie bezużyteczną pukawką w miejscu bezcennego działka L/D.

Tak więc starannie skrywający niezadowolenie LeGuin został dowódcą czołgu szturmowego, kierując tym wozem przez całą - skazaną od początku na porażkę - kampanię lorda militanta Humela.

Ręka Śmierci toczyła się do przodu ze szczękiem gąsienic. W obliczu tragicznej sytuacji lojalistów wspomnienie początkowej niechęci do tego przydziału omal nie wywołało u LeGuina wybuchu gorzkiego śmiechu. Cóż, nie dostał takiego czołgu jakiego się spodziewał. Cóż za porażka ! Gdyby tylko był to największy z problemów, z jakimi ostatnio przyszło się kapitanowi zmagać.

W tej chwili istotna pozostawała wyłącznie odpowiedź na pytanie, kto uśmierci imperialistów pierwszy – pustynia czy nieprzyjaciel ?

Chociaż wewnątrz Exterminatora było chronione filtrami powietrza, w środku panował okropny upał. LeGuin nie odważył się uruchomić systemu klimatyzacji w obawie przed niepotrzebnym zużyciem bezcennego paliwa. Matredes studiował mapę w poświacie rzucanej przez niewielką czerwoną lampkę, powiedział coś półgłosem. Kapitan założył swoje słuchawki, podłączył je do wewnętrznego obwodu łączności.

- Możesz powtórzyć ?

- Jeszcze czterdzieści kilometrów i natrafimy na bardziej stabilny grunt... skalisty płaskowyż. To początek pasa

LeGuin pokiwał głową. Płaskowyż i rozciągające się za nim góry były kolejną drugą i trzecią przeszkodą na drodze uchodźców, pustynia stanowiła zaledwie pierwszy etap ich podróży. Kapitan poczuł nikły przypływ nadziei. Trzy wielkie bariery stanowiły namiastkę kolejnych odcinków odwrotu.

Pardusyta otworzył górny właz i usiadł w wieży czołgu ujmując w dłoń podaną mu przez Matredesa lornetkę. *Ręka Śmierci* jechała w przedniej ćwiartce konwoju. Według niepotwierdzonych dotąd meldunków pierwsze grupy lojalistów dotarły już do przełęczy w Makanitach, bramy wiodącej ku życiu. Inne pogłoski twierdziły, jakoby nieprzyjacielskie jednostki szturmowe też znalazły się w obrębie gór próbując przeciąć imperialistom drogę odwrotu.

LeGuin przyłożył do oczu lornetkę próbując kompensować jednocześnie ruchami ciała wstrząsy jadącego pojazdu. Widziany w okularze obraz zniekształcało falujące w upiornym żarze powietrze i kłęby wzbijanego kołami kurzu, ale kapitan mógłby przysiąc, że dostrzega daleko z przodu wąziutką niebieskobiłą linię. *Góry czy pustynny miraż ?*

W eterze rozległ się niezrozumiały komunikat. Chwilę później kapitan nie potrzebował już jego powtórzenia. Błyskawicznie przemieszczające się cienie śmignęły nad jego głową w kierunku północy, ryk dopalaczy zagłuszył warkot czołgowego silnika.

Dwa ciemnoczerwone kształty poruszały się niczym wielkie strzały na bezchmurnym niebie, lecąc nisko nad kolumną. LeGuin dostrzegł rozbłyski wybuchów i wylatujące w powietrze słupy piasku, usłyszał głuchy grzmot eksplodującej amunicji. Kilometr dalej w przedzie konwoju coś stanęło w ogniu, zaczęło zasnuwać przestworza gęstym smolistym dymem.

- Nalot ! Nalot ! – krzyknął do mikrofonu. Lufy działek czołgu podniosły się w górę tak wysoko jak pozwalał na to kąt uniesienia broni, ale strzelanie z takiego dystansu miało się z celem. Pardusyta widział w oddali krzyżujące się na niebie serie pocisków smugowych wystrzeliwanych przez Hydry.

Dwaj inni bandyci runęli na konwój naprowadzając się na cel dzięki długiemu warkoczowi tumanów kurzu zostawianych za pojazdami. Matredes zaczął obracać wieżyczkę, ale LeGuin nakazał mu przestać potrząsając z dezaprobatą głową. Ciężarówka znajdująca się trzy wozy dalej w przedzie wyleciała w powietrze pośród jaskrawych języków ognia, płonące szczątki samochodu posypały się na wszystkie strony.

Jej kierowca pewnie nawet nie zauważył nadlatującego samolotu.

Pojazdy hamowały z rozpaczliwym piskiem. Zniszczona ciężarówka zmieniła się w płonący stos pogiętego metalu. Nadpalone ludzkie ciała, niektóre odarte do naga falą uderzeniową wybuchu, poniewierały się niczym szmaciane kukielki na piasku.

Inny samochód ciężarowy unikając w ostatniej chwili zderzenia z wrakiem skręcił w bok i natychmiast ugrzązł w sypkim podłożu. Spod kręcących się w miejscu kół tryskały fontanny piasku. Jadący na pace żołnierze zaczęli skakać na ziemię z łopatami i łańcuchami w rękach.

- Zatrzymaj się ! Dawaj linę ! – krzyknął do Matredesa LeGuin. Czołgista wygramolił się z maszyny w towarzystwie Mergsona, jednego z pokładowych strzelców.

- Podepnijcie ją ! – kapitan zaczął machać ręką w stronę żołnierzy wskazując im dwójkę swoich podwładnych, rozwijających stalową linę holowniczą. Rozpoczął się morderczy wyścig z czasem. Nieprzyjacielscy piloci lubowali się w unieruchamianiu pierwszym wozów w kolumnie, a następnie faszeringowaniu reszty konwoju ołowiem w atakach koszących.

- Szybciej !

Gdzieś w przedzie rozpętała się dzika kanonada. Pociski smugowe, wiązki laserów. Jakiś idiota odpalił naramienną wyrzutnię rakiet i pocisk poleciał nad pustynię, równie bezużyteczny jak flara w oślepiającym blasku słońca. *Gdzie oni są ? Gdzie do kurwy nędzy...*

Bum ! Jeden z odrzutowców przemknął tuż nad głową kapitana, fala dźwiękowa towarzysząca przelotowi zakolysała ciężkim czołgiem. Samolot zniknął gdzieś w oddali, nim jeszcze ryk jego silnika rozszedł się w powietrzu. Konwój pięćset metrów przed Exterminatorem stał w płomieniach i kłębach dymu. Coś gdzieś eksplodowało; sądząc po głuchym huku był to magazyn amunicyjny jakiegoś czołgu.

- Pośpiesz się, Matredes ! – krzyknął LeGuin. Większość piechurów rzuciła się na piasek spłoszona cieniem przelatującego bandyty, ale ludzie LeGuina nie przerwali nawet na moment walki z ciężką liną owijając ją wokół tylnego haka holowniczego ciężarówki.

- Niech on przestanie ! Każ mu przestać ! – kapitan wskazał palcem kierowcę samochodu, pracownika Munitorium, który bezmyślnie dusił pedał gazu zakopując wóz coraz głębiej w piasku w daremnej próbie uwolnienia się z pułapki.

- Emdeen ? – LeGuin przysunął do ust mikrofon – Powoli i łagodnie w tył, bez szarpnięć, albo urwiesz im tylne zawieszenie.

- Zrozumiałem, kapitanie – odezwał się Emdeen – Piętnaście segmentów, jeśli wolno mi przypomnieć.

Piętnaście segmentów. LeGuin roześmiał się pomimo grozy sytuacji. Pardusycki czołgista miał prawo naszyć na kołnierzu swego munduru emblemacik w postaci stylizowanego segmentu gąsienicy za każdy rok aktywnej służby. Emdeen przypomniawszy swemu dowódcy, że jest weteranem z piętnastoletnim stażem i wie doskonale, w jaki sposób holować dziesięciokołową ciężarówkę.

LeGuin nosił na własnym kołnierzu trzynaście naszywek.

Śmiech zamarł na ustach oficera, kiedy pojawił się drugi bandyta. Samolot leciał nisko, dokładnie wzdłuż linii konwoju, lufy jego pokładowych działek rzygały ogniem. Myśliwiec bombardujący typu Tormentor lub Hell Talon, zakładał kapitan, chociaż pewności nie miał. Znał się na czołgach, samoloty sprawiały dla niego wrażenie identycznych. Nadlatujący obiekt mógłby być nawet skrzydlatą wanną, ale nie zmieniało to faktu, że stanowił śmiertelne zagrożenie.

Wystrzelwane przez heretyckiego pilota pociski stębnowały trakt z precyzją przemysłowej maszyny. Samochód pancerny STeG w barwach enothiańskich Sił Obrony Planetarnej wybuchł od środka, przewrócił się na burtę. Długa seria rozniosła w strzępy kabinę cysterny wiozącej wodę pitną.

Pociski posypały się na grupę ludzi skupionych przed czołgiem LeGuina. Pół tuzina żołnierzy jadących wcześniej na uwięzionej w piasku ciężarówce zginęło na miejscu, ich ciała poleciały na wszystkie strony, w większości przypadków potwornie okaleczone pociskami. W powietrze wzbijała się chmura pyłu, brudu i kawałków metalu. LeGuin stracił z oczu Matredesa, ale dokładnie widział moment śmierci Mergsona. Całe ciało strzelca od pasa w dół przestało istnieć obrócone w krwawą miazgę.

- Nie ! – wrzasnął kapitan nurkując w głąb wieżyczki. Pociski odbiły się z ogłuszającym szczękiem od pancerza czołgu.

Bandyta przemknął nad pojazdem, ale zsuwający się w dół LeGuin zdążył spostrzec drugą maszynę nadlatującą w ślad za poprzednim napastnikiem. Rozwścieczony oficer złapał za uchwyty działek, przesunął dźwignię automatycznego podajnika amunicji i zaczął strzelać.

Wieżyczka czołgu dygotała rytmicznie. LeGuin nie dostrzegał w swym celowniku niczego, z pewnością żadnego celu.

Strata amunicji ? Najpierw niech chybię, a potem się mnie czepiajcie !

Nad Makanitami, 12.01

Lot trwał od niecałej godziny. Dwadzieścia tysięcy metrów do ośnieżonych gór poniżej, trzy dziesiąte zachmurzenia. Widoczność na ponad czterdzieści kilometrów.

Uwięziony w opancerzonym kombinezonie, oddychający tłoczoną do maski tlenowej mieszanką, Viltry wyjrzał za szybę ciemnego kokpitu Maraudera. Z przodu i nieco wyżej, *Piekielny Sztorm* ciągnął za sobą cztery gęste smugi kondensacyjne. Promienie słońca odbijały się od lśniącego srebrną barwą kadłuba.

W kabinie bombowca panowała niezwykła wręcz cisza i spokój, jeśli nie zwracało się uwagi na basowy pomruk czterech silników *G jak Greta*. Z wskazań radaru wynikało, że oprócz sześciu lojalistycznych maszyn w promieniu stu kilometrów nie znajdował się żaden inny obiekt latający.

Viltry włączył swój pokładowy komunikator.

- *Brygada Greta*, kontrola.

To była druga nazwa bombowca, wymyślona przez Orsone i podchwycona szybko przez resztę załogi.

- Bombardier, OK.

- Nos, OK.

- Ogon, OK.

- Wieżyczka, OK.

Lacombe, nawigator, podniósł głowę znad swego pulpitu i złożył okryte rękawiczką palce dłoni w znak OK.

- Jak jeszcze daleko ? – zapytał go Viltry.

- Zbliżamy się do punktu kontrolnego, sir. Zwrot o dziesięć stopni na wschód za pięć minut.

- Jak się nazywał ten punkt ?

- Przełęcz Iraxów. O ile się nie mylę, nazwa związana jest z pewnym gatunkiem roślinożernego ssaka górskiego, który...

- Dziękuję, Lacombe. Najpierw wojna, potem nauki przyrodnicze.

- Sir.

Viltry zmienił częstotliwość.

- Eskadra Halo, mówi Halo Lider. Przygotować się do zmiany kursu o dziesięć stopni na wschód, na mój sygnał... trzy, dwa, jeden... teraz.

Tarcza słońca zmieniła nieco pozycję względem skręcającego bombowca. Wszystkie maszyny wykonały równocześnie ten sam zwrot – *G jak Greta*, *Piekielny Sztorm*, *Tron Grozy*, *Pani Zniszczenia*, *Do diabła z nimi* i *Miej się za martwego*. Z wyjątkiem bardzo rzadkich operacji skrzydło Halo nie latało nigdy w pełnym składzie dwunastu maszyn. Do standardowych misji wyznaczano sześć bombowców, losowanych każdorazowo przed lotem. *Mężobójca* również wylosował przydział, ale start uniemożliwił mu defekt jednego z silników i jego miejsce w składzie zajęła *Pani Zniszczenia*. *Pani* była bombowcem Halo Dwa, samolotem Kyrklana. Pełniący rolę zastępcy kapitana Wassimir Kyrklan zazwyczaj dowodził

misjami, w trakcie których Viltry przebywał na ziemi; bardzo rzadko zdarzało się, by obaj byli w powietrzu równocześnie.

- Obniżamy pułap o pięć tysięcy – odezwał się Lacombe.
- Do wszystkich maszyn, obniżamy pułap o pięć tysięcy.

Ryk silników zmienił swą tonację, ośnieżone wierzchołki gór sprawiały teraz wrażenie odległych na wyciągnięcie ręki.

- Lacombe ?

Bystre oczy nawigatora wędrowały pomiędzy ekranem radaru i panoramą rozpościerającą się za oknami kokpitu.

- Szukam punktu zwrotnego. Szczyt Yacoba. Z mapy wynika, że znajduje się u wylotu przełęczy.

Kolejna minuta ciszy.

- Szybciej, Lacombe.

- Jest, dwanaście kilometrów i maleje. Obniżamy pułap o dwa tysiące. Uwaga na poddmuchy boczne wiatru za przełęczą.

Viltry ujął mocniej stery.

- Eskadra Halo, Eskadra Halo. Punkt zwrotny w odległości dwunastu kilometrów. Obniżamy pułap o dwa tysiące. Uwaga na boczny wiatr.

- Halo Dwa, przyjąłem.

- Tak jest, Halo Lider.

Zwiadowczy Lightning należący do 1267 Skrzydła lotnictwa marynarki zbadał ten obszar o świcie lokalizując grupę imperialnych wojsk pancernych i samobieżnej artylerii będącą w połowie drogi przez przełęczę oraz zmotoryzowaną jednostkę nieprzyjaciela ścigającą lojalistów. Dzień wcześniej w rejonie tym latała też eskadra lokalnego lotnictwa, zaskoczona i prawie całkowicie zniszczona przez nagły atak heretyckich myśliwców.

- Mówi Halo Lider, obserwujcie przestrzeń powietrzną – rzucił w eter Viltry i przełączył się na kanał wewnętrzny samolotu – Strzelcy, tryb gotowości. Zdjąć bezpieczniki. Wytrzeszczajcie oczy, bo od tego może zależeć nasze życie. Judd ?

- Kapitanie ?

- Ucałuj ode mnie dzieciaki.

Trzask radiowych zakłóceń.

- Przekażę im buziaki.

Znajdujący się w komorze bombowej poniżej stanowiska kapitana Judd uruchomił zapalniki, a potem przyłożył twarz do systemu celowniczego.

Postrzępione ściany Szczytu Yacoba wzbijały się w niebo przed oczami pilotów – wielka bryła ośnieżonej skały. Viltry widział już wylot przełęczy, jego serce przyspieszyło gwałtownie. Robiło się wąsko.

- Eskadra Halo, eskadra Halo. Na mój sygnał – starał się zachować opanowany ton – W punkcie zwrotnym przystąpić do kopiowania moich manewrów. Imperator strzeże.

Wszyscy piloci powtórzyli frazę katechizmu.

- Trzy... dwa... jeden...

Sześć Marauderów, lecących teraz w ciasnej linii, ominęło łukiem zaśnieżoną górę i runęło w gardziel przełęczy, prowadzone przez *G jak Greta*. Silne poddmuchy boczne wiatru targały maszynami, a ściany kanionu wydawały się tak blisko siebie, że piloci widzieli oczami wyobraźni iskry sypiące się z końcówek ich skrzydeł w kontakcie ze skałami. Kilka sekund później przełęcz uległa poszerzeniu, zaczęła opadać w dół. Viltry pchnął mocniej przepustnicę, rzucił bombowiec w delikatny lot nurkowy. Siedzący za sterami *Pani Zniszczenia* Kyrklan wyszczerzył w dzikim uśmiechu zęby. Lot tuż nad ziemią, Marauderem pędzącym z prędkością czterystu kilometrów na godzinę, w ciasnym granitowym kanionie. Tylko Oskar Viltry miał dość ikry, by poprowadzić taki powietrzny rajd.

Kyrklan latał na Marauderach rok krócej niż Viltry, a funkcję jego zastępcy pełnił od sześciu ostatnich lat. Kochał kapitana jak rodzonego brata i poszedłby za nim w ogień. W opinii Wassimira Kyrklana nikt inny nie wiedział tak dobrze jak Viltry, w jaki sposób poprowadzić czterosilnikowy bombowiec. Kapitan robił to intuicyjnie, jakby urodził się z tym talentem. Kiedy Viltry przepadł nad Otchłanią w 771, Kyrklan opłakiwał wtedy nie tylko bliskiego przyjaciela, ale i całą generację phantyńskich pilotów, która nigdy nie miała się już pojawić. Ci lotnicy nigdy już nie zyskaliby sposobności ujrzenia kapitana w locie, przyswojenia sobie jego nauk. Awans do stopnia dowódcy skrzydła nie przyniósł Kyrklanowi żadnej satysfakcji. To Wassimir dowodził jednostką podczas powietrznego ataku na Ouranberg i przekonany był niezbitcie, że Viltry zrobiłby to znacznie lepiej. Potem kapitan powrócił i wszystko znów było takie jak kiedyś.

Kyrklan poprawił zsuwając się z twarzy maskę tlenową.

- Może by tak trochę zwolnić, Osk ? – roześmiał się w eter.
- Powtórz, Halo Dwa.
- Nic takiego, Halo Lider.

Siedzący w rozdygotanym kokpicie Halo Jeden Viltry czuł, że drży na całym ciele. Ukryte w opancerzonych rękawicach kciuki dosłownie mu zbieleły zaciśnięte spazmatycznie na drążku sterowym. *Przyszedł czas, przyszedł ten moment ! Pora zapłaty za miłosierdzie losu. Śmierć. Śmierć. Śmierć.*

- Cel w polu widzenia ! – krzyknął Judd.

Bombowce przemknęły z rykiem silników nad formacją imperialnych wozów pancernych, liczącą blisko dwieście stłoczonych w połowie przełęczy pojazdów. Gdzieś z przodu otworzyły ogień samobieżne baterie przeciwlotnicze, powietrze zaczęły ciąć strugi pocisków świetlnych.

Drżące silnie dłonie kapitana zaczęły wprawiać w ruch drążek sterowy.

- Nie mogę... – wydyszał Viltry.
- Sir ? – Lacombe odwrócił w jego stronę głowę nie dosłyszawszy słów przełożonego.

Święty Tronie ! Zrób to, człowieku ! Po prostu zrób to ! Viltry potrząsnął głową.

- Strzelcy, ognia ! – wykrzyczał do mikrofonu – Judd, teraz ! Usmaż ich !

Siedzący w przedniej wieżyczce Naxol zaczął strzelać rozpalając przestrzeń przed nosem bombowca poświatą płomieni wylotowych działek.

- Bomby poszły ! – zameldował Judd. *G jak Greta* skoczyła w górę uwolniona od nadprogramowego obciążenia. W dole pojawił się jaskrawy rozbłysk. Bomby zrzuciła *Pani Zniszczenia*, po niej *Piekielny Sztorm*. Rozbłysk przeistoczył się rozszalałe ogniste piekło, podsycane przez kolejne maszyny.

G jak Greta pięła się stromo w górę, pod brzuchem samolotu przesuwali się błyskawicznie ośnieżone szczyty. Wciśnięci w swe fotele członkowie załogi bombowca krzyczeli w euforii.

Viltry wyrównał na wysokości pięciu kilometrów, ustabilizował trajektorię lotu, odetchnął z ulgą.

- Załatwiliśmy ich ! Upiekliśmy tych skurwysynów ! – w eterze dźwięczał głos Gaize, tylnego strzelca.

- Zamknij się ! Wszyscy się zamknijcie ! – wrzasnął Viltry – Obserwacja przestrzeni powietrznej albo nie wrócimy cało do domu ! Słyszycie mnie ?! Jeszcze nie wróciliśmy do bazy !

Baza lotnicza Theda Południe, 12.12

Pilot Vander Marquall nie spoglądał w kierunku pustych przestworzy; nawet na chwilę nie odrywał wzroku od swojego samolotu.

Thunderbolt I-XXI tkwił w swym boksie parkingowym na wschodnim krańcu lotniska. Myśliwiec był ciężką maszyną, ważył czternaście ton z pustymi zbiornikami paliwa; lufy działek sterczały z potężnego nosa, promienie słońca odbijały się od dwóch wbudowanych w skrzydła obudów silnikowych. Kabina pilota znajdowała się pośrodku kadłuba, nadając maszynie masywnego wyglądu.

Myśliwiec pomalowany był matową zieloną farbą, z emblematami 20 Skrzydła na ogonie i nosie. Odsłonięte wirniki turbin połyskiwały metalicznie w słońcu.

Racklae, szef zespołu technicznego Marqualla, wyrzął spod nosa samolotu.

- Będzie wyglądał jak nowiutki, obiecuję – zawołał do pilota.

Marquall wyszczerzył w uśmiechu zęby. Pomocnicy Racklae kończyli nanosić na kadłub samolotu wizerunek stylizowanego phantyńskiego orła trzymającego w szponach błyskawicę. Poniżej pyszniła się nazwa *Dwugłowy Orzeł*.

Marquall usłyszał zniecka dźwięk kroków za swymi plecami. Odwrócił się i zeszywniał zdumiony.

Stał przed nim kapitan Guis Gettering, jeden z Apostołów. Jego biała lotnicza kurtka wręcz lśniła w blasku słońca.

- Sir, ja... – zaczął nieskładnie Marquall.

Gettering ściągnął bez słowa jedną ze swoich kolczych rękawic, a potem nadal nic nie mówiąc uderzył nią Phantyńczyka w twarz tak silnie, że zaskoczony pilot osunął się na kolana.

Oślupiały Marquall podniósł w górę zaczerwienioną twarz, zadrapaną w kilku miejscach do krwi.

Guis Gettering odwrócił się i odszedł szybkim krokiem w stronę swojej kwatery.

- Co... ? – wykrztusił Marquall, podnoszący się z kolan z pomocą swych mechaników – O co temu facetowi poszło ?!

Baza lotnicza Theda Północ, 12.26

Kiedy Darrow powrócił w końcu do swej bazy, nie mógł się oprzeć wszechwładnemu wrażeniu, że dobrze mu znane miejsce całkowicie opustoszało. Stojąc przez kilka minut na skąpanym w promieniach słońca podeście przy jednym z hangarów spoglądał na lądowisko. Kilometr dalej, po zachodniej stronie bazy, dostrzegł rzędy zaparkowanych pod siatkami maskującymi maszyn. Imperialne samoloty, Maraudery. Darrow widział małe sylwetki ludzi z obsługi technicznej uwijające się wokół ciężkich bombowców. Na północnej stronie lądowiska pracownicy Munitorium demontowali sześć z dwunastu ramp startowych wykorzystywanych przez Wolfcuby. W bazie wrzała ludzka aktywność, ale młodemu pilotowi wydawała się dziwnie obca i odległa.

Kompleks budynków koszarowych i administracyjnych wydawał się pusty. Darrow wspiął się po schodach w stronę głównego wejścia, wszedł do mile chłodnego holu. Miał na sobie pożyczone od kogoś znoszone ubranie robocze, bo jego własny kombinezon uległ zniszczeniu podczas awaryjnego lądowania. W szpitalu wywalczył sobie zwrot butów i lotniczego płaszcza, chociaż jeden z rękawów podarł się mu na strzępy; nie pozwolił wyrzucić go do śmietnika.

Lekarze nalegali, by pozostał w lazarecie bazy Theda Południe przynajmniej na noc, chociaż każdy widział wyraźnie, że pilot wyszedł z kraksy jedynie z drobnymi siniakami. Następnego dnia z rana rozpoczął niecierpliwą walkę ze stertą dokumentów opisujących przebieg misji i okoliczności wypadku, dopiero po ich skrupulatnym wypełnieniu pozwolono mu wsiąść do pierwszego dostępnego autobusu jadącego w stronę bazy Theda Północ.

A on nie pragnął niczego innego jak tylko powrotu do rutyny dnia codziennego i pozostawienia za sobą tego przerażającego lotu.

Wszyscy mu to utrudniali. Badania lekarskie, formularze techniczne, przesłuchania. Nawet kierowca autobusu sprawiał wrażenie czyjegoś chorego żartu – twarz mężczyzny była płątaniną okropnych czerwonych blizn.

Hol okazał się pusty, nikt nie stąpał po wypolerowanej na błysk drewnianej podłodze. Darrow przeszedł pomiędzy tablicami honorującymi sławne jednostki enothiańskiego lotnictwa, w tym jego własną, 34 Skrzydło Myśliwskie, minął holograficzny portret komandora Tenthisa Belksa. Nieformalna tradycja zobowiązywała przechodzących obok hologramu pilotów do oddania podobiznie salutu. Tego dnia Darrow pozwolił sobie na odstępianie od powszechnie znanego zwyczaju.

W biurze oficera dyżurnego nie było żywej duszy, podobnie jak w sąsiadujących z nim pokojach. Darrow zajrzał do kantyny, ale tam również nikogo nie zastał. W powietrzu unosił się zątechły zapach kawy i tytoniowego dymu. Na jednym ze stolików stała plansza do regicide z niedokończoną partią.

Darrow zawrócił do głównego holu i skręcił w stronę kaplicy. Na ścianie tuż przy ciężkich podwójnych drzwiach wisiała czarna tablica, na której wywieszano listy z nazwiskami poległych lub zaginionych lotników. Mężczyzna przystanął na chwilę przed tablicą, spojrzął na kartki papieru. Martwi kadeci z jednostki Łowców. Lista okazała się przerażająco długa – z wyjątkiem pięciu nazwisk zawierała apel poległych dla całego skrzydła.

Darrow otworzył drzwi i zajrzał do wnętrza kaplicy. W środku było cicho i bardzo ciemno, słabe światło sączyło się jedynie przez kolorowe witraże na przeciwnym krańcu sanktuarium. Pilot wciągnął w nozdrza zapach pasty do podłogi i wędnących kwiatów. Ktoś siedział w jednej z pierwszych ławek. Darrow nie wiedział, kto to, ale nie chcąc obcemu zakłócać modlitwy wycofał się pośpiesznie za drzwi kaplicy.

Wracając do holu zauważył po raz pierwszy ogłoszenia przypięte do tablicy informacyjnej na ścianie obok biura dyżurnego oficera. Zaczął czytać je po kolei.

Z kaplicy wyszedł major Heckel, ruszył w stronę lotnika.

- Darrow ?

- Co... co to jest ? – wymamrotał Darrow.

Heckel wychwycił nutę gniewu dźwięczącą w głosie młodego pilota.

- Kiedy wróciłeś ? – zapytał – Zbadano cię ? Wszystko w porządku ?

- Co to wszystko znaczy ? – warknął Darrow wskazując palcem ogłoszenia.

Heckel wyglądał na zmęczonego, miał bladą twarz. Ton głos kadeta wyraźnie go zmieszał.

- Takie właśnie podjęto decyzje, Darrow.

- Czy Eads to wszystko zatwierdził ?

- To była jego własna decyzja, nie...

- Jest tutaj ?

- Tak, jeszcze jest.

- Chcę się z nim zobaczyć.

Heckel przygryzł na moment dolną wargę, umilkł, potem skinął nagle głową.

- Chodź ze mną.

Major ruszył korytarzem wiodącym w stronę pomieszczeń operacyjnych. Dźwięk butów obu mężczyzn odbijał się donośnie od drewnianej podłogi. Heckel odezwał się pierwszy, najwyraźniej tęskniąc do luźnej pogawędki.

- Każdy dostał dzień przepustki – powiedział niemalże radosnym tonem – Na dzisiaj. Każdy... cóż, wieści przyszły wczoraj. Wszyscy byli zaskoczeni. Wygląda na to, że musimy szybko się spakować i wynieść, żeby zrobić miejsce imperialnym, ale komandor Eads rozdał wszystkim przepustki i...

Darrow nie słuchał słów majora. Drzwi do sali odpraw były szeroko otwarte, w jej wnętrzu dostrzegł ludzi w obcych dla niego mundurach lotnictwa marynarki, spoglądających z podejrzliwą rezerwą w stronę pary lokalnych pilotów.

Weszli do sekretariatu dowódcy bazy, Heckel wpuścił Darrowa przodem. Kadet po raz pierwszy zauważył jak silnie drży prawa dłoń majora. Sprawiało to wrażenie nerwowego tiknięcia.

Sekretariat był pusty. Biurka i szafki dokładnie opróżniono, pośrodku pokoju stała za to sterta skrzynek z emblematami imperialnego orła. Heckel zapukał delikatnie do drzwi gabinetu, odpowiedział mu czyjś przyzwalający na wejście pomruk.

Przekroczyli próg. W środku panowała nieprzenikniona ciemność.

- Sir... – zaczął Heckel.

- Tak ? Och, proszę o wybaczenie – pośród ciemności rozległo się donośne szczęknięcie, po czym zasłaniające okna stalowe osłony odsunęły się w górę po prowadnicach wpuszczając do środka słoneczne światło.

- Czasami o tym zapominam – wyjaśnił Eads.

Komandor Gelwyn Eads siedział za swym wielkim biurkiem ustawionym pod głównym oknem gabinetu. Ściany pokoju udekorowane były fotografiami – oficjalne zdjęcia członków eskadr w pełnym składzie, portrety poszczególnych lotników, fotografie przedstawiające Wolfcuby i Cyklony, fotki z przyjęć i bankietów, Eads w towarzystwie samego Belksa. Nad pustym kominkiem wisiała wielka enothiańska flaga.

Eads sortował elektroniczne notesy i mapniki wkładając je do rozłożonych po obu stronach fotela pudeł. Był niskim szczupłym mężczyzną przed sześćdziesiątką, o siwych włosach ściętych tak krótko, że przypominały metaliczną powłokę przylegającą do nagiej czaszki. Niewielkie okrągłe gogle z przyciemnionego szkła skrywały jego oczy.

- Przedstawcie się, jeśli można prosić – powiedział dowódca bazy – Major Heckel, nieprawdaż ?

Eads pozostawał ślepy od dziewiętnastu lat. Kategorycznie odmawiał wszczepienia cybernetycznych implantów. Za lewym uchem nosił niewielkie gniazdo interfejsu neuralnego pozwalające mu podłączać się bezpośrednio do terminali roboczych i bezpośrednio analizować dane taktyczne na podstawie impulsów słanych przez maszyny do jego mózgu – była to jedyna forma kompensaty za utratę narządu wzroku, na jaką komandor sobie pozwolił. To właśnie ten interfejs pozwalał mu sortować dokumenty wkładane do cyfrowego czytnika, a następnie wędrujące do odpowiedniego pudła.

- Tak, to ja, sir – potwierdził Heckel – Oraz pilot kadet Darrow.

Obaj mężczyźni zaszalutowali ze szczególną dbałością o poprawne ruchy. Dawno temu Eads uznał, że jego podkomendni nie troszczą się o to jak salutują komandorowi, ponieważ i tak nie mógł tego zobaczyć, dlatego zwykł witać niemal każdego swego rozmówcę pytaniem „I to ma być salut ?”. Z tego właśnie powodu każdy salutował mu z większą troską o przepisową formę niż miało to miejsce w przypadku reszty oficerów.

- I to ma być salut ? – uśmiechnął się Eads – Spocznijcie, panowie. Witaj, Darrow. Wracasz do zdrowia ?

- Tak, sir.

- Dobrze to słyszeć. Chcą, żebym się spakował i wyprowadził, ci goście z marynarki. Chyba powinienem im być wdzięczny za przybycie, ale jakoś tego nie odczuwam.

Eads podniósł się z fotela, wypiął z gniazda wtyczkę interfejsu i obszedł wokół biurko. Korzystał z laski zdobionej posrebrzonym symbolem Enothis, wibrującej delikatnie, kiedy jej posiadacz zbliżał się do blokującej mu drogę przeszkody. W swoim biurze w zasadzie jej nie potrzebował, znał perfekcyjnie każdy centymetr kwadratowy gabinetu. Podeszedł do kominka, uniósł dłoń dotykając opuszkami palców enothiańskiej flagi, potem zaczął wskazywać dłońmi niektóre ze holograficznych zdjęć.

- Bankiet oficerski zimą 751. Wesner wygląda na tym zdjęciu beznadziejnie, prawda ? Krawat mu się przekrzywił. A tu... to Jahun Nockwist, stojący przed swoim Magogiem razem z obsługą techniczną. Stary dobry Barwel i jego chłopcy. A tutaj widzicie *Ryczącego Ptaka*, mojego pierwszego Wolfcuba. Niedobra niewdzięczna maszyna. Spadła razem ze mną do

Morza Ezry po samoczynnym wygaśnięciu silnika w 742. Wydaje mi się, że ciągle jeszcze tkwi gdzieś tam pod falami, wrosnięta w koralową rafę.

Komandor odwrócił się w kierunku swych gości.

- Nie pomyliłem się ?

- Nie, sir – odpowiedział Heckel – Ani razu.

Eads skinął z zadowoleniem głową.

- Nie pomyliłem się, bo pamiętam, gdzie je wieszałem – zdjął jedną z fotografii, zważył w dłoni, a potem wrócił do biurka i schował zdjęcie do pudełka – Nie sądzę, bym powiesił je w moim nowym biurze, bez względu na to, gdzie w końcu wyląduję. To w zasadzie nie ma sensu, przecież i tak nie mogę ich zobaczyć. Ja tylko pamiętam, co na nich było, również dobrze na tej ścianie mogłyby wisieć puste ramki. Ale mimo wszystko zabiorę je ze sobą.

Komandor zamyślił się na chwilę, umilkł głęboko zadumany, potem odwrócił swe ciemne szkła w stronę rozmówców.

- Jak przypuszczam, wizyta jest związana z twoim przeniesieniem, Darrow.

- Tak, sir. Jestem co najmniej rozczarowany...

- Wcale w to nie wątpię, kadecie. Czułbym się podobnie będąc na twoim miejscu, ale nie zmienię raz podjętej decyzji. Po wczorajszych stratach zostało nam tylko tyle K4T, by utrzymać w stanie gotowości dwadzieścia maszyn, w dodatku przydzielanych pilotom na zmiany. 34 Skrzydło musi ulec redukcji. Natychmiast po przeniesieniu do nowej bazy dokonamy reorganizacji. Część pilotów pozostanie w aktywnej służbie... najpewniej eskadry Wektor i Myśliwy, inni zostaną na jakiś czas uziemieni. Doświadczeni piloci mają pierwszeństwo, Darrow. Przykro mi, ale eskadra Łowców była jednostką szkoleniową. I proszę mi wybaczyć gorzkie słowa, majorze Heckel, ale teraz tej eskadry już prawie nie ma. Zostałeś przeniesiony do pracy na ziemi, Darrow, w Zophos albo Enothopolis, w rezerwie. Tak w życiu bywa.

- Tak jest, sir – wycedził przez zaciśnięte zęby kadet.

- Służba w rezerwie to nie taka zła sprawa, Darrow – ciągnął Eads – Będziesz zajęty pożyteczną pracą, a jeśli wszystko pójdzie dobrze, przed końcem tego roku powrócisz do aktywnego latania.

Darrow skinął bez słowa głową.

- Darrow ?

- Tak jest, sir. Ja... tak. Znaczy się, kiwnąłem głową.

- W moim przypadku kiwanie głową nic nie daje, lotnikowi.

- Przykro mi, sir.

Eads usiadł z powrotem w fotelu.

- Coś ci proponuję – powiedział – Wyrzuć to z siebie, Darrow.

- Sir ?

- Powiedz, co myślisz. Wyrzuć to wszystko tu i teraz.

Darrow spojrział na Heckela. Major wyglądał na jeszcze bardziej pobladłego niż do tej pory, drżały mu obie ręce. Wzruszył ramionami, a potem kiwnął z aprobatą głową. Darrow chrząknął znacząco.

- Wiem, że trafiłem do aktywnej służby dopiero cztery tygodnie temu. Jestem kadetem i tak dalej. A wczoraj był...

Spojrzał ponownie na Heckela. Major zeszywniał i pokręcił przecząco głową.

- Mimo wszystko wierzę w to, że potrafię latać, proszę pana. Wierzę, że potrafię dobrze latać. Nie miałem praktycznie okazji, żeby to udowodnić i jestem o to wściekły, ale wczoraj... naprawdę to czułem... był tam ten bandyta i...

- Tak, Darrow ?

Kadet poczuł się zniechęcony strasznie głupio.

- To nie ma znaczenia, sir.

Eads wyciągnął z pudełka po lewej jakiś notes, położył go przed sobą na blacie.

- Twoja szczerość przynosi ci chlubę, kadecie. Mam tutaj raport Heckela. Jest... jak to ująć słowami? Olśniewający, prawda, majorze?
- To tylko zwykły raport, sir – odpowiedział Heckel.
- Ruszyłeś za tym bandytą i nieźle poleciałeś. Instynktowny, błyskotliwy styl. Major nie mógł cię nachwalić. Do diabła, gdybym na własne oczy zobaczył, że lecisz tak jak on to opowiedział, przedstawiłbym cię do odznaczenia.
- Co pan powiedział, majorze? – wymamrotał Darrow.
- Złożyłem raport na temat tego, co widziałem, kadecie – Heckel wpatrywał się w podłogę.
- Jak by nie było, doskonała robota – podsumował Eads.

Darrow zamrugał nie potrafiąc zebrać myśli.

- Sir... skoro zyskałem w pana opinii tak dobrą notę... skoro pokazałem, na co mnie stać... dlaczego odsyłacie mnie do rezerwy?
- To była moja decyzja, Darrow, nie wiń za to Heckela. Major rekomendował cię do przeniesienia do eskadry Myśliwych. Ale pozostaje pewna kwestia...
- Sir?
- To była twoja pierwsza bojowa misja. Pierwsza prawdziwa akcja. Poradziłeś sobie świetnie, ale to charakterystyczne dla żółtodziobów. Nowicjusze zazwyczaj giną w takiej sytuacji, a ci nieliczni, którzy uchodzą z życiem walczą powyżej naszych oczekiwań. I niemal zawsze zawdzięczają to szczęściu. Doskonale sobie poradziłeś w tej akcji, Darrow, ale to nie czyni z ciebie liniowego pilota. Z tego właśnie powodu przenieśliem cię do rezerwy.
- Sir?
- Chodzi o szczęście, kadecie. Wczoraj wyczerpałeś zapas szczęścia na całe swe życie. Zużyłeś je całe w jednej walce. Jeśli pozostawię cię w aktywnej służbie, zginiesz podczas następnej misji.

Darrow nie miał pojęcia, co odpowiedzieć, w ustach czuł dziwną suchość.

- Czy to wszystko, panowie? – zapytał Eads.
- Tak, sir – potwierdzili zgodnie i wyszli z gabinetu.

Heckel zrównał krok z Darrowem w połowie schodów wiodących na parter budynku.

- Przykro mi – powiedział major.

Darrow odwrócił w jego stronę głowę.

- Na Boga-Imperatora, nie musi być panu przykro, sir – odpowiedział – Nie napisał pan tego raportu specjalnie w taki sposób.
- Opisałem tylko to, co widziałem, Darrow. Ten lot był fantastyczny...
- Uratował mi pan życie, sir. On miał mnie już na celowniku. Pan mnie uratował.

Heckel zawahał się na moment, przystanął w blasku słonecznych promieni wpadających przez jedno z okien.

- Zrobiłem, co mogłem – stwierdził nieswoim głosem.
- Uratował mi pan życie, on prawie mnie zabił – powtórzył raz jeszcze Darrow.
- Ale...
- Dziękuję za to.

Darrow zszedł na parter pozostawiając za sobą majora, ruszył w stronę głównego holu mijając po drodze kaplicę. Dopiero wtedy dostrzegł tę rozmazaną smugę.

Na tablicy z listami poległych. Na kartce z nazwiskami zabitych Łowców. Na samym dole listu ktoś wypisał czyjeś dane, a potem zamazał je niedokładnie korektorem.

To było jego nazwisko.

Baza lotnicza Theda Południe, 13.01

Ciężka lotnicza rękawica obszyta metalową siatką grzmotnęła z hukiem w blat biurka.

- Pożyczyłam to sobie z magazynu – powiedziała Bree Jagdea – Udzielisz mi wyjaśnień czy mam ci tym rozwalić głowę ?

Dowódca skrzydła Etz Seekan spoglądał przez chwilę na rękawicę, jego starannie wypielęgnowane palce stukały delikatnie po krawędzi blatu.

- Pomyślmy – powiedział melodyjnym głosem. Był niezwykle przystojnym mężczyzną, świetnie zbudowanym, o błękitnych oczach i zniewalającym uśmiechu. Ciemne włosy lśniły brylantyną. Ruchy lotnika pełne były przesyconego rozluźnieniem uroku – Po części chciałbym, żebyś... jak to było... rozwaliła mi tym głowę. Tylko po to, by zobaczyć minę Ornoffa podczas postępowania wyjaśniającego. Lecz nie sądzę, by to przyniosło nam jakiegokolwiek korzyści. Zechcesz usiąść ?

Seekan wskazał dłonią ustawione przed jego biurkiem krzesło.

- Dziękuję, postoję – warknęła niegrzecznym tonem Jagdea. Seekan wzruszył ramionami.

- Akurat miałem ochotę na kieliszek joiliqi. Zainteresowana drinkiem ?

- Wolałabym... nie, do cholery, nie jestem zainteresowana !

Seekan ponownie wzruszył ramionami, podniósł się z fotela i podszedł do niewielkiego barku. Wyjąwszy karafkę nalał sobie nieco likieru do małego kryształowego kieliszka – Słyszałem o tobie.

Jagdea zeszywniała, nie wiedząc jak zinterpretować słowa rozmówcy. Miała ochotę odpowiedzieć w podobny sposób. Słyszała o nim, o nich wszystkich. O Apostołach. Najlepszych lotnikach w zachodniej marynarce. Quint, as nad asami; Getting; Suhr... i niezmiennie Seekan. Dowódca skrzydła Seekan, władca Apostołów. Niekoniecznie pierwszy na liście zestrzałów, ale sławny z swej charyzmy wśród podwładnych i talentu taktycznego. Piloci go kochali. Seekan, imperialny bohater.

Ugryzła się w język zawczasu.

- O mnie ? – zapytała w zamian.

- Nie o tobie osobiście – odparł Seekan, urwał na chwilę i zmarszczył czoło – Na Tron, nie odbierz tego jako obrazy, nie takie były moje intencje. Miałem na myśli Phantyńczyków. Jedyne w historii świat powołujące do służby lotnicze regimenty Imperialnej Gwardii. To chyba przez wzgląd na zadziwiającą topografię i klimat waszej ojczystej planety, prawda ?

- Tak.

Seekan skinął w zadumie głową, uniósł pod światło kieliszek i zaczął przyglądać się wypełniającemu naczynie płynowi.

- Wszystkie inne jednostki lotnicze podlegają bezwzględnie imperialnej marynarce kosmicznej, wy jesteście wyjątkiem. Myślę, że to czyni z nas raczej sojuszników niż członków jednej wspólnej rodziny.

- Można odnieść takie wrażenie.

Seekan uśmiechnął się zdawkowo.

- I równie wysoko cenicie kobiety jak mężczyzn. Kobiety są bardzo nieliczne w lotnictwie marynarki. To rzadka...

- Przyjemność ? – wtrąciła Jagdea.

- Okazja. Chciałem powiedzieć, że rzadko mamy okazję zobaczyć wśród nas kobietę.

- Na Phantine nie ma komunikacji naziemnej. Każdy uczy się latać, mężczyźni i kobiety. Mówi się, że posiadamy intuicyjny talent w tej dziedzinie.

- To samo mówi się o Apostołach.

- Nie musisz zwracać uwagi na własne przymioty. Reputacja Apostołów sięga daleko.

- Dziękuję.

- A zatem... czy zechcesz mi wyjaśnić, dlaczego twój człowiek uderzył mojego pilota taką oto rękawicą ?

- Ponieważ był zły.

- Zły ? Był zły ?!

- Kapitan Guis Gettering... sześćdziesiąt dwa zestrzały. Jego maszyna nosi nazwę *Dwugłowy Orzeł*. Poczul się urażony faktem, że twój podwładny przywłaszczył ją sobie dla własnego samolotu.

- I to wszystko ?

- Co innego mogę dodać ? – zapytał Seekan.

- Mój pilot zmieni nazwę swojej maszyny. Nie zamierzał nikogo rozmyślnie urazić. W zamian sugeruję, aby twój kapitan Gettering złożył oficjalne przeprosiny w pisemnej formie zaadresowane dla pilota Marqualla. Jeśli przystajesz na te warunki, zamkniemy sprawę tego incydentu bez odwoływania się do wyższych instancji.

- Cała przyjemność po mojej stronie – odparł pojednawczo Seekan. Jagdea odwróciła się w miejscu i ruszyła w stronę drzwi gabinetu.

- Komandor ? – odezwał się Apostoł. Phantyjka spojrzała na niego przez ramię zatrzymując się w progu pokoju.

- Udanego lotu – powiedział.

Nad Doliną Lidy, 15.16

Pierwsza oficjalna misja od początku nie sprawiała przyjemnego wrażenia. Słoneczny dzień odszedł w niepamięć niemal natychmiast po tym jak Phantyńczycy poderwali z pasa swe maszyny. Osiągając pułap dziesięciu tysięcy metrów, z zachmurzeniem rzędu ośmiu dziesiątych i silnym wiatrem bocznym, lotnicy mknęli środkiem rozległej rzecznej doliny zmierzając ku znajdującym się na południu gór.

Sprawujący się zazwyczaj bez zarzutu Thunderbolt Jagdei, maszyna o numerze Zero Dwa, tym razem leciał opornie, ciężko chodził. Zbyt długo przeleżał w ładowni kosmicznego frachtowca, uznała kobieta. Ludzie z obsługi technicznej robili wszystko, co tylko mogli, by utrzymać systemy maszyn w idealnym stanie, ale regularne badania diagnostyczne były nędznym substytutem prawdziwego lotu. Z wyjątkiem podróży z orbity do bazy Theda Południe, Thunderbolty należące do eskadry Umbra nie latały od dobrych trzech i pół miesiąca.

A może wina leży po części we mnie ? Nie tylko Zero Dwa nie latało od trzech i pół miesiąca. Jagdea czuła się ociężała i roztargniona, nie była zadowolona nawet ze swojego startu. Na statku były rzecz jasna symulatory lotu, na których piloci zaliczali regularne sesje treningowe, ale urządzenia te były dla ludzi tak samo kiepską namiastką lotu jak dla Thunderbolta uruchomienie na kilkanaście minut silników w świetle lamp pokładowego hangaru.

Udanego lotu. Pozbawione sarkazmu i szczere życzenia Seekana wydawały się teraz ironicznym szyderstwem.

Wystartowali w kluczach liczących po cztery maszyny każdy. Z Jagdeą poleciecieli Van Tull, Espere i Marquall. Blansher dowodził drugim kluczem znajdującym się jakieś czterdzieści kilometrów w tyle, a Asche trzecim, zaliczającym lot patrolowy nad wybrzeżem. Zazwyczaj Umbra dzieliła się właśnie na trzy takie klucze przechwytyjące, doskonale sprawdzające się w misjach patrolowych i polowaniach na nieprzyjacielskie samoloty. Kiedy więcej niż trzy, cztery Thunderbolty zaczynały krążyć na tym samym skrawku nieba, robiło się tam ciut za ciasno.

Co więcej, to akurat nie była misja bojowa, tylko lot treningowy, mający na równi rozruszać pilotów, co ich maszyny. Umbra latała na początku na Lightningach, ale po wyzwoleniu Phantine jej piloci przesiedli się na cięższe Thunderbolty i pokochali te maszyny bezgranicznie w trakcie kampanii na Urdesz Minor. Czasami Jagdea odczuwała przelotną tęsknotę za zwrotnością Lightninga III-IX, jego osiąganiami i prędkością. Thunderbolt był dwukrotnie cięższy od Lightninga i dysponując mniejszą prędkością sprawiał czasami

wrażenie, zwłaszcza podczas gwałtownego zwiększania wysokości, że ledwie daje radę utrzymać swe ciężko opancerzone cielsko w powietrzu. Lecz w zamian potrafił przyjąć na siebie uszkodzenia zdolne obrócić lekkiego Lightninga w stertę płonącego złomu i dalej kontynuować misję; miał też lepsze uzbrojenie pokładowe. Jeśli Lightninga można było przyrównać do rozbawionego łowami drapieżnego kota, to Thunderbolt był bez wątpienia wyrosniętym ponad miarę carnodonem. Blansher powiedział kiedyś, że piloci wybierali Lightninga chcąc czerpać przyjemność z lotu i Thunderbolta, aby cieszyć się zabijaniem. Jagdea podzielała skrycie tę opinię. Kochała swego Bolta. Był potężny, wierny, posłuszny.

Z wyjątkiem dni takich jak ten. Prawa turbina nie działała poprawnie. System diagnostyczny nie wykazywał żadnych błędów, ale ona po prostu to wyczuwała, dostrzegała nikły zgrzyt w rytmie pracy silnika.

Sprawdziła poziom paliwa. Jedna trzecia baku była już pusta, a nie zabrali ze sobą zbiorników rezerwowych. Włączyła komunikator.

- Lider Umbra Cztery Jeden do klucza. Kontrola statusu.
- Mówi Umbra Trzy, bez zarzutu – oczywista odpowiedź. Van Tull zawsze latał bez zarzutu.
- Umbra Pięć. Było świetnie, gdybym tylko sobie przypomniał, co oznaczają te wszystkie kontrolki na pulpicie.
- Rozumiem, Piątka, podzielim te uczucia – odpowiedziała Jagdea.
- Umbra Osiem, w porządku.

Marquall wciąż sprawiał wrażenie głęboko nieszczęśliwego. Głupi incydent z Gettingiem był ostatnią rzeczą, jakiej mógł sobie życzyć nowicjusz tuż przed pierwszym liniowym lotem. Próbował zamaskować negatywne emocje żartując, że nazwie swego Bolta *Plamą*, ponieważ Racklae nie miał dość czasu na przemalowanie samolotu i pokrył feralny emblemat na nosie cienką warstwą czarnego podkładu. Jagdea zdawała sobie sprawę z tego jak bardzo ucierpiała duma własna chłopaka.

- Odświeżymy nieco szyk – rzuciła w eter – Osiem, wysuń się na prowadzenie. Pięć i Trzy, zmiana miejsc. Ja polecę jako maruder.

Wszyscy potwierdzili odbiór rozkazu. Stosunkowo prosty podręcznikowy manewr miał w zamierzeniu Jagdei odświeżyć nieco refleks pilotów i przesunąć zarazem Marqualla na pozycję prowadzącego, co może przynajmniej trochę poprawiłoby mu samopoczucie.

- Na mój sygnał... trzy, dwa, jeden... teraz.

Klucz leciał w formacji przypominającej literę V, z jedną maszyną w przedzie i dwiema ubezpieczającymi ją z tyłu po obu stronach. Czwarty myśliwiec – tak zwany maruder - znajdował się za jednym z dwóch skrzydłowych, tworząc w ten sposób nieco asymetryczną formację. Był to idealny szyk, każdy pilot pilnował w nim swoich towarzyszy, a maruder mógł zmienić pozycję z jednej flanki na drugą w zależności od potrzeby. Na początku lotu prowadzenie objęła Jagdea, Van Tull znajdował się po jej prawej, Espere po lewej, a Marquall na pozycji marudera.

Szyk klucza złamał się na dźwięk słów kobiety. Jagdea zmniejszyła gwałtownie prędkość i obniżyła pułap lotu. Van Tull odbił w lewo wysokim przewrotem przez skrzydło, Espere wykonał podobny manewr, ale w drugą stronę i na niższej wysokości. Skrzydłowi zmienili płynnie swe pozycje, a Marquall przemknął między nimi wskakując na miejsce zwolnione przez Jagdeę. Phantyjka przyspieszyła i znalazła się za ogonem Espere.

Podręcznikowo przeprowadzony manewr. Pierwsza rzecz, jaka im porządnie wyszła od chwili startu.

- Dobra robota, piloci. Bardzo zgrabnie. Kontynuować lot.

Powłoka chmur zaczęła nieco rzednąć, stopień zachmurzenia spadł do sześciu dziesiątych. W dole zaczęły się pojawiać skrawki dorzecza Lidy: odległe pola, rowy melioracyjne i stawy hodowlane.

- Umbra Lider ? – w eterze odezwał się Van Tull.

- Słucham, Trójka.

- Sprawdź swój radar. Mam osiem albo dziewięć kontaktów, poniżej naszego pułapu, dwanaście kilometrów na południe. Dystans maleje.

Faktycznie, radar Jagdei wyświetlił siedem jaskrawych punkcików, zmierzających w przeciwnym kierunku na wysokości trzech tysięcy metrów. Nie osiem czy dziewięć, ale system namierzania mógł przekłamywać.

- Lider Umbra Cztery Jeden do Operacji. Zgłóście się, Operacje.

- Odbieramy was czysto, Lider Umbra Cztery Jeden.

Jagdea wyciągnęła lewą dłoń w stronę pulpitu i przetransmitowała współrzędne niezidentyfikowanych obiektów do terminala operacyjnego bazy.

- Lider Umbra Cztery Jeden do Operacji. Macie coś w tym rejonie ?

- Mnóstwo maszyn w powietrzu, ale akurat nie tam.

- W porządku, Operacje, sprawdzimy to – Jagdea zmieniła swą pozycję w fotelu, pociągnęła za jedną z dźwigni wzbogacając paliwową mieszankę – Lider do klucza. Rzucę na to okiem – odskoki w celu sprawdzenia otoczenia należały właśnie do marudera – Utrzymujcie aktualny pułap i prędkość.

Nie było czasu na to, by ponownie zmienić szyk formacji, a to oznaczało, że klucz będzie dalej prowadził Marquall. Nie zamierzała się nad tym zbyt mocno zastanawiać.

- Umbra Osiem, dowodzisz kluczem. Bądź przygotowany na zmianę statusu lotu.

- Tak jest, Lider, przyjąłem.

Nareszcie. W głosie chłopaka pojawił się ton podekscytowania. Powinien sobie poradzić, zresztą zawsze miał przy sobie solidnego niezawodnego Van Tulla, a Espere doskonale sprawdzał się w roli skrzydłowego.

Jagdea uruchomiła dopalacze i poczuła przyjemny dla niej efekt wciskania w lotniczy fotel. Thunderbolt popędził lekkim łukiem w dół oddalając się od klucza. Lot nurkowy zwiększył prędkość maszyny, licznik wskazywał dobre dwa tysiące kilometrów na godzinę. Wystarczająca szybkość, by ją łagodnie wytracić na widok sojusznicznych samolotów lub przeistoczyć w powietrzną szarżę w obliczu nieprzyjaciela.

Pięć kilometrów do celu.

Cztery.

Przestworza zrobiły się zniecka przejrzyste, zachmurzenie spadło w tym rejonie do poziomu czterech dziesiątych. Phantyjka ujrzała zieloną powierzchnię Doliny Lidy i majaczące na horyzoncie pasma Makanitów.

Trzy kilometry. Tam są ! Obiekty znajdowały się poniżej Bolta, ale dosłownie rosły w oczach, ponieważ leciały w przeciwną stronę. Dziewięć samolotów, raczej zbitych w grupę niż tworzących zorganizowany szyk.

W odległości dwóch kilometrów zidentyfikowała obcych. Cyklony w barwach enothiańskich sił powietrznych. Odrzutowce w kształcie delty, pomalowane na szarobiałe kolory, pędziły na północ wyduszając ze swoich silników całą dostępną moc.

Co oni robią ? Czy... uciekają ?

Wiedziona instynktem Jagdea zdjęła z wierzchołka drążka sterowego osłonę mechanizmu spustowego.

- Niezidentyfikowane Cyklony, niezidentyfikowane Cyklony, mówi Lider Umbra Cztery Jeden... – zaczęła mówić do mikrofonu, ale słowa uwięzły jej zniecka w gardle. Jeden z Cyklonów przechylił się w bok i eksplodował. Kula ognia rozpalila przestworza sypiąc na wszystkie strony płonącymi szczątkami. Deszcz kawałków metalu spadł na nadrzeczne pola.

Coś karmazynowego przemknęło tak szybko obok maszyny Jagdei, że kobieta uświadomiła sobie obecność tego obiektu dopiero wtedy, kiedy intruz już wspinał się stromym łukiem w górę gdzieś za jej plecami.

- Bandyci ! Bandyci ! Bandyci ! – krzyknęła w eter.

Nadbrzeże Thedy, 15.20

Wszyscy pragnęli uczcić ten dzień dobrą zabawą. Pierwsza misja bojowa w nowej wojnie i w dodatku ukończona sporym sukcesem. Viltry nie miał nastroju do zabawy; lot powrotny okazał się dla niego istną drogą przez mękę. Ostatnie pół godziny nadszarpnęło strasznie znękaną nerwy kapitana – resztki paliwa, praktycznie wyczerpana amunicja do działek. Pilot czuł się przerażająco odsłonięty i bezbronny. Operacje uparcie twierdziły, że nieprzyjaciół nie dysponuje możliwością lotów bojowych nad wybrzeżem, ale Viltry pocił się w trakcie końcówki lotu tak bardzo, że mógłby wylać ten pot z wnętrza swoich opancerzonych rękawic.

Widząc przed sobą płyty Thedy Północ i światła naprowadzające wciąż nie potrafił pozbyć się wrażenia, że lada moment coś pojawi się zniemacka za jego plecami i śmierć zażąda spłaty starego długu.

Lotnisko. Pas startowy. Niebieskie światła. Silniki pracujące na minimalnych obrotach, graniczących wręcz z przeciągnięciem.

Delikatnie balansował sterami, przestawił wektorowe korektory w tryb zawisu. Potężny bombowiec zatrzymał się w powietrzu, opadł w dół, stanął na wypuszczonym wcześniej podwoziu. Byli cali i zdrowi.

Reszta maszyn eskadry Halo siadała na wyznaczonych dla nich miejscach lądowania.

Judd i pozostali mężczyźni z załogi kapitana już wcześniej wytropili niewielką tawernę położoną niedaleko bazy. Przebrani w wyjściowe ciuchy ruszyli bez zwłoki w stronę biura przepustek, śmiejąc się głośno i wymieniając docinki.

- Dołączę do was później – powiedział im Viltry – Papierkowa robota.

Wziął najdłuższy w historii Imperium prysznic, stojąc nago w milczeniu pod strumieniem ledwie letniej wody ciekącej ze skorodowanego natrysku w wojskowej łaźni, potem przebrał się w zapasowy mundur wciśnięty byle jak do torby podróźnej i zarzucił na ramiona swój skórzany długi płaszcz. Jego dłonie ciągle jeszcze drżały.

Reszta załogi już dawno zniknęła za bramą bazy. Viltry złapał jakiegoś kierowcę ciężarówki jadącego do centrum miasta po mającą wracać na lotnisko grupę pilotów marynarki, poprosił o podwiezienie na starówkę. Kierowca wysadził go w miejscu, gdzie stara ulica świątynna dochodziła do targu rybnego.

Wokół nie było żywej duszy. Viltry ruszył wolnym krokiem na północ, ku wybrzeżu. Czuł wyraźnie słony zapach morza. Kapitan nie miał pojęcia, gdzie właściwie znajdował się jego pensjonat. Kiedy przyjdzie na to czas, poradzi się jakiegoś przechodnia.

Widok nadbrzeża bardzo go zaskoczył. Skręcił za róg wąskiej brudnej uliczki i znalazł się zniemacka na rozświetlonej promieniami słońca promenadzie. Po drugiej jej stronie, za żelazną barierką, kamiennym wałem ochronnym i niewielkim pasem szarego piasku rozciągało się morze. W polu widzenia mężczyzny nie było żywej duszy – z wyjątkiem ciężarówki, która przejechała gdzieś w oddali z rykiem silnika. Viltry przeszedł w stronę barierki, zafascynowany widokiem morza - na Phantine nie było oceanów, nie było żadnych naturalnych zbiorników wodnych. Tarcza słońca płonęła na niebie o barwie soczystej żółci. Fale uderzały rytmicznie w brzeg posykurując cicho. Na piasku pojawiała się i zniknęła gęsta piana, ale nieco dalej woda przybierała kolor szarego metalu przywodząc na myśl ojczyzną Otchłań Phantyczyka.

Na promenadzie znajdowały się trzy mola biegnące w głąb morza, zakończone sporych rozmiarów budowlami. Chociaż budynki były podniszczone i zaniedbane, Viltry uświadomił sobie, że spogląda na luksusowe kiedyś kompleksy rozrywkowe. Na bramach wejściowych wisiały pożółkłe plakaty zachęcające do udziału w cotygodniowych zawodach tanecznych i innych imprezach towarzyskich. Kapitan poczuł nieodpartą ochotę wejścia na wykonany z drewna i żelaza most, który prowadził do nikąd, z morską tonią chlupoczącą pod jego nogami.

Ruszył wzdłuż promenady, dopóki nie doszedł do najbliższego wejścia na molo. Do żelaznej bramy ktoś przyczepił tablicę, na której wypisano kredą „*Restauracja. Miła obsługa, stoliki z widokiem na morze*”.

Spodobała mu się ta reklama.

Poszedł wolnym krokiem w głąb mola, wsłuchany w głośny szum morza. W przerwach między deskami pomostu dostrzegał przelewające się rytmicznie fale i widok ten wywoływał w nim dziecięcą niemal ekscytację, która skutecznie przytłumiała czający się gdzieś w głębi duszy strach przed śmiercią.

Restauracja znajdowała się na samym końcu mola, wszystkie inne lokale były zamknięte. Podchodząc do drzwi Viltry poczuł mocny zapach kawy. Kapitan czuł się podekscytowany na kilka sposobów – nigdy nie znajdował się tak daleko od suchego lądu; nigdy wcześniej nie miał okazji stapać nad oceanem.

Restauracja okazała się sporych rozmiarów; była niemym świadectwem minionych czasów, kiedy miejscowi bogacze i zamożni turyści ściągali na nabrzeże Thedy w poszukiwaniu rozrywki i pięknych widoków. Stoły tworzyły krąg biegnący pod łukowatymi oknami. Część z miejsc była zajęta przez skupionych w niewielkich grupkach starsuszków oraz paru wyraźnie zmęczonych żołnierzy miejscowej armii. Od strony kuchni dobiegały dźwięki przyjemnego dla ucha thraciańskiego walca.

Viltry usiadł tuż przy oknie, zapatrzył się na morską toń.

- Co podać ?

Odwrocił głowę w drugą stronę. Dziewczyna w niebieskiej bluzce i fartuszkowi pojawiła się jakby znikąd. Kapitan ujął pośpiesznie w ręce menu.

- Hmm... kawę poproszę.

- Coś do jedzenia ?

Studiował pośpiesznie kartę dań, ale przeważająca ilość nazw niczego mu nie mówiła.

- Smażona szynka z...

- Nie ma szynki – przerwała mu kelnerka – Przykro mi, ale kurczaków też już nie ma.

- Mimo to coś bym zjadł – Viltry uświadomił sobie nagle, że jest autentycznie głodny.

- Proponuję loriksa. Z chlebem.

- W takim razie poproszę.

Dziewczyna zniknęła, kapitan zaś zapatrzył się ponownie na morze. Szara toń falowała łagodnie, przypominając mu zachmurzone przestworza. Pogoda zaczynała się nieznacznie pogarszać.

Dziewczyna powróciła niosąc tacę. Położyła na stoliku kubek kawy i talerzyk, mały pojemniczek z cukrem, talerz z pokrojonymi kromkami chleba oraz miskę czegoś, czego kapitan nie potrafił zidentyfikować. Mężczyzna wypił wprawdzie kawę, potem rozpoczął szczegółowe oględziny jedzenia. Pachniało dość przyjemnie, ale zapach nie pozwalał jednoznacznie określić pochodzenia posiłku. Włożył do ust pierwszą łyżkę i odkrył, że jedzenie jest zbyt słone i tłuste jak na jego gust. Przełknął to, co miał w ustach, resztę pozostawił w misce zadowolając się chlebem.

- Przy szesnastce siedzi śmieszny gość - powiedziała Letrice - Idę w zakład, że to obcoświatowiec.

Beqa podniosła wzrok, przerwała na chwilę wycieranie kontuaru.

- Ja się nim zajmę. Miałaś zaraz wychodzić, prawda ?

- Jestem umówiona – błysnęła zębami Letrice – Z pilotem. Nazywa się Edry. Niezły z niego przystojniak, możesz mi wierzyć.

- Baw się dobrze i nie rób niczego, czego ja bym nie zrobiła.

- Dziękuję, nie skorzystam – roześmiała się Letrice ściągając swój fartuch – Twój styl prowadzenia się nie pozostawiłby mi zbyt wielu rozrywek do wyboru.

Beqa wytarła jeszcze kilka stolików, po czym podeszła do cudzoziemca.

To był on. Obcoświatowiec o smutnej twarzy, którego spotkała dzień wcześniej przed świątynią. Ten mówiący coś do siebie samego. Miała cichą nadzieję, że tym razem był w lepszym nastroju. Jej zmiana dobiegała końca, a to dawało kobiecie około godziny drzemki przed nocną szycią w fabryce.

- Wszystko w porządku ? – zapytała grzecznie.

- Tak, tak, w porządku – nawet nie spojrzał w jej stronę. Na Tron, ależ on nieszczęśliwie wyglądał.

- Loriks nie smakował ? – spytała kładąc miskę na swojej tacy. Mężczyzna spojrzał na nią zamyślony.

- Um ? Nie, był bardzo dobry. To była ryba, prawda ?

- Mięczak.

Pokiwał ze skrzepowaniem głową.

- Obawiam się... nigdy wcześniej nie jadłem ryby. Ani mięczaka, czymkolwiek by on nie był. To taki... dziwny smak.

- Nigdy wcześniej nie jadł pan ryby ?

- Nie... to znaczy, mój świat... rozumie pani, tam nie ma oceanów...

- Więc musi pan być dalej głodny ?

- Nie, dziękuję, zjadłem chleb.

- Cóż, w porządku – odparła zabierając naczynia.

Wciąż jeszcze siedział przy oknie, kiedy zmiana Beqi dobiegła końca i do pracy przyszła Pollya. Słońce już zaszło, powierzchnia morza była czarna niczym olej.

Mężczyzna zamówił kolejną filiżankę kawy i sączył ją powoli wpatrzony w ciemne fale bijące pieniście w linię brzegową.

Nad Doliną Lidy, 15.29

Jagdea przyspieszyła jeszcze bardziej. W ślad za Cyklonami nadlatywało sześć Locustów, najmniejszych i najbardziej zwrotnych samolotów o napędzie wektorowym w armadzie Nieprzyjaciela, pomalowanych na karmazynowe lub fioletowe barwy.

Nadlatywały w formacji bojowej. Po swej lewej Phantjka dostrzegła eksplodującego w locie Cyklona, inny opadał ku powierzchni ziemi ciągnąc za sobą warkocz dymu.

Dwa Locusty śmignęły pod Thunderboltem, ale Jagdea dostrzegła trzeciego, zamierzającego ciasnym łukiem wejść na ogon uciekającego Cyklona. W słuchawkach hełmofonu rozległo się donośne popiskiwanie.

Jagdea nacisnęła przycisk na wierzchu drążka sterowego i Bolt zadrzał w momencie, kiedy podwójnie sprzężone laserowe działka ukryte w nosie maszyny wystrzeliły równocześnie. Krechy oślepiającego światła przecięły niebo i ugodziły bandytę. Locust skręcił w bok tracąc wysokość, zaczął spadać ku ziemi pod ostrym kątem ciągnąc warkocz białych oparów.

- Mam jednego – syknęła w eter Jagdea – Lider Cztery Jeden do klucza, weszłam do walki. Powtarzam, weszłam do walki.

Ledwie dosłyszała odpowiedź Marqualla, ale nie zrozumiała słów chłopaka, bo wywołane gwałtownym zwrotem ciśnienie omal nie uszkodziło jej bębenków. Cudem ominęła nadlatującego z przeciwka Locusta; heretycki myśliwiec śmignął jej w oczach, dostrzegła na ułamek sekundy rozbłyski płomieni wylotowych działek i fioletowe skrzydła maszyny.

Wyrównała lot, potem poderwała nos maszyny w górę rozglądając się równocześnie wokół. Dwa Cyklony przemknęły obok Thunderbolta, ścigane przez Locusta. Wszystkie trzy maszyny momentalnie przepadły gdzieś poza polem widzenia kobiety.

Piloci Umbry nie otrzymali na czas tej misji żadnych rakiet przeciwlotniczych ani pocisków naprowadzanych; Jagdea mogła polegać wyłącznie na swej standardowej broni pokładowej i doświadczonym oku pilota myśliwskiego.

Operując statecznikami i regulując ciąg silników zaczęła obracać maszynę w poziomie, linia horyzontu przesuwała się w szaleńczym tempie przed jej oczami. Jakiś Cyklon przeleciał pod Thunderboltem, z jego kadłuba buchały kłęby brązowego dymu. Zauważony chwilę wcześniej Locust odskoczył od swej ofiary, ale jego miejsce zajął inny heretycki samolot, szkarłatny niczym krew, pędzący w stronę uszkodzonej enothiańskiej maszyny.

Rzuciła samolot w kolejny ciasny skręt, poddawany silnemu obciążeniu kadłub trzeszczał głośno, w oczach kobiety ponownie pojawiły się mroczki. Na ułamek chwili pochwyciła Locusta w celownik. Nieprzyjacielski pilot odbił w bok korzystając z silnika korekcyjnego, wykonał manewr niedostępny dla samolotów o konwencjonalnym napędzie odrzutowym. Wiedzona instynktem Phantyjka powtórzyła ten manewr sekundę później. Zdołała utrzymać przeciwnika w celowniku tylko dzięki przeczuciu zrodzonym z wieloletniego doświadczenia – na miejscu heretyckiego pilota zachowałyby się w identyczny sposób jak on, dzięki czemu przewidziała ten manewr.

Wystrzeliła z laserów i najwyraźniej trafiła, bo przed szybami jej kokpitu pojawił się zniecka czarny dym pełen niewielkich fragmentów pokrycia skrzydła. Locust zniknął z jej pola widzenia, ale po chwili dostrzegła go ponownie. Heretyk oddalał się we wschodnim kierunku. Tracił panowanie nad maszyną czy uciekał? Nie miała takiej możliwości, by zyskać odpowiedź na pytanie. Podstawowa, odwieczna zasada walk powietrznych mówiła: *nie trzymaj się uparcie jednego celu.*

Zawróciła ciasnym skrętem, przeleciała pomiędzy dwoma Cyklonami. Jej antylokalisator zaczął popiskiwać ostrzegawczo. Odbiła w bok, spoglądając wprawdzie przez lewe ramię, potem przez prawe. Gdzie on był, do diabła? Laserowe wiązki uderzyły w lewe skrzydło Bolta, więc natychmiast skręciła w drugą stronę. Antylokalisator wciąż piszczał, kolejne krechy światła śmignęły po prawej stronie jej maszyny. Przechyliła samolot w bok, zmniejszyła gwałtownie prędkość, posłużyła się napędem wektorowym w taki sposób, że jej maszyna niemalże obróciła się w miejscu. Locust przemknął na wyciągnięcie ręki od Bolta, przestrzelił zawracającą Phantyjkę. Jagdea zdążyła jeszcze zauważyć ikony o barwie kości słoniowej namalowane tuż pod oknem kokpitu myśliwca, oznaczające zaliczone zestrzały.

Znajdujący się trzy tysiące metrów nad Jagdeą Marquall zataczał ciasny łuk obserwując z kabiny przechylonego w bok Bolta walczące pośród chmur samoloty. Van Tull i Espere wciąż utrzymywali pozycje skrzydłowych.

- Łamać szyk i atakować! – rozkazał Marquall. Boże-Imperatorze, całe życie czekał na chwilę, by wypowiedzieć te słowa w prawdziwej akcji.
- Prowadź, Osiem – odparł spokojnie Van Tull.
- Powiedz tylko, kiedy – dodał Espere.
- Na mój znak... trzy, dwa... teraz!

Trzy Thunderbolty runęły w dół nabierając z każdą sekundą prędkości. Nurkowanie przechwytyjące. Marquall widział Jagdeę i dwóch bandytów. Pozostałe maszyny były sojusznymi odrzutowcami. Zbliżał się do nich tak niebywale szybko...

Działka! Tronie Terry, omal nie zapomniał z wrażenia odbezpieczyć broni pokładowej! Przesunął palcem osłonę na przycisku spustowym. W jego polu widzenia pojawił się nadlatujący od lewej bandyta. Czy heretyk zdążył już zauważyć obecność trzech spadających z góry Boltów? Czy to miało jakiegokolwiek znaczenie?

Pochwycił nieprzyjacielską maszynę w celownik i wdusił spust. Myśliwiec zadygotał w rytm wystrzałów. Marquall zaklął z wściekłą rozpaczą. Zamierzał włączyć automatyczne działka, ale przez pomyłkę ustawił w trybie gotowości lasery. W jednej chwili pozbawił się prawie połowy mocy w akumulatorach laserów i niczego nie zdołał trafić.

Chociaż nie... tam, Cyklon! Spadający ku ziemi, rozsypujący się w locie na kawałki, płonący. Marquall zamrugał przerażony, krople potu ściekały po wewnętrznej stronie jego

maski tlenowej. *Kurwa, nie ! Błagam, żebym to tylko nie był ja ! Proszę, powiedzcie, że nie ja go nie zestrzeliłem !*

- Ósemka ?! Masz awarię ?! Marquall ?! – w eterze rozległ się podniesiony głos Van Tulla.

Marquall ocknął się natychmiast. Chociaż patrzył w stronę Cyklona tylko przez sekundę czy dwie, w zupełności wystarczyło to, by przestrzelił pułap bojowy kontynuując bezsensowne nurkowanie.

- W porządku, wszystko w porządku ! – krzyknął pociągając instynktownie za drążek sterowy i popełniając błąd charakterystyczny dla kompletnego żółtodzioba. Podrywając maszynę zbyt ostro w górę wytracił niepotrzebnie całą prędkość zyskaną podczas nurkowania, jego myśliwiec zaczął się wlec ospale.

- Ty cholerny palancie ! – wrzasnął z bezsilną złością.

- Ósemka, powtórz ?!

- Wszystko w porządku ! – krzyknął ponownie i rzucił Bolta w płytki zakręt chcąc odzyskać choć część wytraconej mocy. Niemal natychmiast przed jego maszyną pojawił się jakiś Locust. Porażony falą ekscytacji pilot nacisnął spust i ponownie chybił.

Perłowe krechy energii przecięły niebo przed nosem Thunderbolta, w kabinie rozbrzmiał donośny dzwonek. Akumulatory wyczerpane ! Znowu to zrobił ! Nie wyłączył laserowych działek i teraz ich baterie były już do cna puste. Trzydzieści wiązek energii zmarnowanych w dwóch bezsensownych seriach.

Jagdea patrzyła akurat w górę, kiedy jej skrzydłowi włączyli do walki. Maszyna Van Tulla weszła na jej drugą, Phantyńczyk perfekcyjnym strzałem zdjął ścigającego pilotkę Locusta. Heretycki samolot zmienił się w kulę ognia, Thunderbolt Van Tulla przemknął przez płomień ciągnąc za sobą strumień palących się szczątków ofiary. Espere zaatakował w równie profesjonalny sposób, ale jego przeciwnik w ostatniej chwili odskoczył w bok uchodząc spod celownika imperialisty. Espere wyrównał lot i popędził w lewo ścigając innego Locusta.

Jagdea nie wiedziała, co właściwie stało się Marquallowi. Chłopak runął w dół jakby palił mu się tyłek, zużywając przy okazji nieuzasadnione ilości laserowej energii. Dziewicze zdenerwowanie ? Być może, to zresztą tłumaczyłoby też jego zbyt długi lot nurkowy i najgorsze z takiego lotu wyjście, jakie Jagdea miała okazję oglądać od czasów akademii.

Zamierzała go osłonić, ale jakiś Locust wszedł jej na ogon. Antylokalizator zapiszczał natychmiast.

- Lider Cztery-Jeden do Umbry Pięć !

- Dawaj, Lider !

- Espere, ubezpieczaj tego chłopaka, na litość boską !

- Się robi !

Espere rzucił samolot w ciasny zwrot, zaczął zbliżać się do lecącego zakosami Marqualla.

- Ósemka, tu Piątka, wszystko w porządku ?

- Tak... tak.

- Ósemka, masz defekt systemu uzbrojenia ?

- Nie, Ósemka.

- Właśnie wywaliłeś w niebo całe akumulatory !

- Neguję, wszystko jest w porządku.

Espere potrząsnął głową. Był nerwowy – bardzo nerwowy – i przyczyną tego nie był wyłącznie udział w podniebnej potyczce. Jako jedyny spośród pilotów Umbry Pers Espere nie czuł się dobrze za sterami Thunderbolta. Tęsknił za swym starym Lightningiem bardziej niż był to gotów przyznać. W kwaterach inni piloci potrafili godzinami rozprawiać na temat swoich Boltów wychwalając swe maszyny i wyrażając się o nich w sposób zarezerwowany

zazwyczaj dla ukochanych osób. Espere tego nie czuł. Jego myśliwiec, samolot o numerze Dziewięć-Dziewięć, nie służył dobrze swemu właścicielowi. Był to stary Bolt, prawdziwy weteran, troskliwie doglądany przez grono oddanych swej pracy techników. Espere nie miał pojęcia, czy nie podchodziły mu ogólnie Thunderbolty czy też tylko ten nieszczęsny Dziewięć-Dziewięć. Phantyńczyk skazany był na ustawiczną walkę z samolotem, na zmuszanie maszyny do wykonania każdego manewru. Powoli zaczynał nienawidzić perspektywy każdego kolejnego lotu tym myśliwcem.

W Imperium – gdzie drobiazgowo pielęgnowane pojazdy wojskowe były często dziesięć, dwanaście czy piętnaście razy starsze od swoich pilotów czy kierowców – istniało wiele opowieści o wyjątkowych samolotach lub czołgach obarczonych rzekomą klątwą. Były to przeklęte maszyny, rujnujące zdrowie i życie swych kolejnych użytkowników aż do chwili własnego unicestwienia. Thunderbolt numer Dziewięć Dziewięć miał na swym koncie długą historię – sześciu pilotów zabitych lub trwale okaleczonych za sterami tej maszyny, dwa przymusowe lądowania, trzy kapitalne remonty. Espere spytał kiedyś Hemmena, szefa swego zespołu technicznego, czy jego maszyna nosi piętno klątwy. Hemmen zaśmiał się tylko z wyraźnym skrępowaniem, po czym zaprzeczył. Następnego dnia po tej rozmowie doszło do wypadku podczas tankowania samolotu i jeden z młodszych techników uległ tak silnym poparzeniom, że tkanka jego dłoni pozostała na obudowie silnika Bolta.

Espere próbował o tym później nie myśleć; starał się też ignorować świadomość, że na starym Lightningu zaliczył cztery zestrzały, a na Bolcie ani jednego. Za każdym razem wracał do bazy z przestrzelinami na własnych skrzydłach.

Zrównał myśliwiec z maszyną Marqualla. Był doskonałym skrzydłowym i wiedział jak skutecznie chronić plecy swego towarzysza lotu; to dlatego Jagdea poleciła mu pilnować młodzika. Mimo to wciąż pozostawał spięty i nerwowy. Marquall niepokoił go swymi zaskakująco nieporadnymi manewrami. Na konsolce kokpitu migiała jedna z ostrzegawczych kontrolki sygnalizująca spadek ciśnienia w układzie hydraulicznym. Skąd ta awaria? Czyżby został trafiony i nawet tego nie zauważył?

Myśl o akcji, Pers. Myśl o akcji. Chłopak potrzebował jego pomocy i asysty.

- Jestem z tobą, Ósemka. Zobaczmy, czy damy radę działać razem coś dobrego.

Wyglądając z kabiny dostrzegł czerwony hełm Marqualla odwrócony w kierunku jego maszyny. Młody pilot pokazał uniesiony w górę kciuk. Słoneczne promienie odbiły się na jego owiewce.

Słoneczne promienie odbiły się na czymś innym.

- Łam szyk, łam szyk! – krzyknął Espere. Dwa Bolty odskoczyły błyskawicznie na boki, fioletowy kształt przemknął pomiędzy nimi w ułamku chwili. W kabinie maszyny Espere zaczął popiskiwać alarmowy sygnalizator.

- Ósemka, gdzie jesteś?! – Espere walczył desperacko z opornym drążkiem sterowym.

- Nie wiem! Nie wiem!

Espere spostrzegł rozmówcę chwilę potem. Marquall znajdował się ponad nim, nieco z prawej, wchodząc ciasnym łukiem w przerażająco nieprofesjonalny lot wznoszący. Phantyńczyk zwiększył moc silników i zaczął piąć się w górę nieco łagodniej od Marqualla.

- Nie tak ostro, Osiem! Doprowadzisz do przeciągnięcia!

Cisza w eterze. Potworne przeciążenie uniemożliwiło Marquallowi wyduszenie z siebie odpowiedzi.

Nie mdlej... nie mdlej... powtarzał w myślach Espere. Kurwa! Z wschodniej strony pojawił się nagle jakiś myśliwiec wroga, otworzył ogień z wszystkich działek. Bolt Marqualla zadygotał trafiony kilkoma pociskami, ale impet trafienia najwyraźniej wyrwał chłopaka z szoku, bo maszyna zaczęła zmniejszać kąt wlotu. Espere rzucił swój samolot w bok, włączył

na ułamek chwili dopalacze, pochwycił przelatującego Locusta w celownik. Nie zamierzał pozwolić na to, by powierzony jego opiece dzieciak zginął podczas swego dziewiczego lotu.

Otworzył ogień z działek. Krótka seria z dobrze odłożoną poprawką. Locust zatrzęsł się trafiony w bok kadłuba, wykonał raptowny przewrót przez skrzydło w lewo. Wtedy, jakby znikąd, pojawił się drugi bandyta. Espere kopnął dopalacz, zasłonił swoją maszyną samolot Marqualla obracając się nosem w stronę napastnika.

Marquall zbyt późno zorientował się, na co właściwie patrzy. Maszyna Espere dygotała konwulsyjnie, sypały się z niej kawałki płyt pancernia, fragmenty obudowy silnika, poszycie skrzydeł. Część owiewki została roztrzaskana, ale całość wciąż się jakoś trzymała. Locust przemknął pod Boltami niczym kometa, lecąc z prędkością dobrych pięciuset kilometrów na godzinę.

- Umbra Pięć ! Umbra Pięć ! Podaj swój status ?!

Umbra Pięć zaczęła ciągnąć za sobą gruby warkocz szarego dymu.

- Umbra Pięć ?!

- W porządku – odezwał się w eterze Espere – Wszystko ze mną w porządku.

Espere został trafiony, Jagdea była tego pewna. Kiedy rzucała swą maszynę na boki próbując ująć z celownika ścigającego ją bandyty, dostrzegła na ułamek chwili pokieroszony samolot Phantyńczyka.

Co dokładnie się stało, nie miała pojęcia; nie było też czasu, by to wyjaśniać. Wpadła w ciasny zwrot, za oknami kokpitu obracał się cały świat. Bandyta wciąż siedział jej na ogonie. Rzuciła maszynę w przeciwną stronę i w słuchawkach hełmu zaczął wyc sygnalizator alarmu kolizyjnego.

Ethoniański Cyklon pędził wprost na nią.

Jagdea pchnęła drążek przed siebie i wpadła pod samolot w kształcie delty niemal zderzając się z jego brzuchem. Turbiny Thunderbolta zwiększyły swe obroty, kiedy maszyna znalazła się w stromym locie nurkowym. Ziemia rosła w oczach kobiety, kanciaste pola uprawne i stawy dorzecza Lidy wypełniały jej pole widzenia. Wydostanie się z tego nurkowania miało być trudnym wyzwaniem.

Antylokalizator celu zapisał przeraźliwie. Pięknie ! Poziom trudności zadania wzrósł wydatnie, bandyta wciąż trzymał się jej ogona.

Wyjście z korkociągu wiązało się z przeciążeniem rzędu trzech, czterech G. Było to akceptowalne dla pilota pod warunkiem, że był on na to przygotowany. Phantyjka złożyła nogi i wygięła ciało w pozycji zwanej potocznie kabłąkiem, po czym pociągnęła do siebie drążek.

Zaczęło się. Jej waga skoczyła szybko do blisko tysiąca kilogramów, układ krwionośny i oddechowy z trudem poddawały się ekstremalnemu przeciążeniu. W oczach kobiety pojawiły się mroczki, stanowiące zapowiedź wizji tunelowej. Pozycja kabłąka przeciwdziałała odpłynięciu krwi od mózgu, dzięki czemu ryzyko utraty przytomności nieco malało.

Zdołała wyrównać lot na wysokości pięćdziesięciu metrów – tak nisko, że podmuch samolotu wzbijał nad stawami chmurę wodnej mgiełki. Kątem oka Phantyjka dostrzegła rozbiegające się w popłochu roślinożerne ssaki. Skręt w prawo, by uniknąć wieży rolniczej przepompowni, zaraz potem powrót na poprzedni kurs. Ciąg powietrzny wywołany ruchem maszyny zerwał spory fragment dachu z jakiegoś gospodarczego budynku. Bandyta wciąż znajdował się na jej szóstej.

Antylokalizator popiskiwał. Ping ! Ping ! Ping !

Włączyła hamulce aerodynamiczne i uprząż wbiła się boleśnie w ciało kobiety zatrzymując ją w fotelu. Bandyta przeleciał tuż nad nią, zaczął zwiększać pułap.

Pociągając drążek do siebie poderwała nos Bolta w górę i ugodziła nieprzyjacielską maszynę trzema salwami z laserowych działek. Locust skręcił ostro w lewo, pozornie

nietknięty, ale zaraz załamał zniecka tor lotu i runął prosto w środek porośniętego rzęsą hodowlanego stawu. Impet kraksy wywołał falę, która przelała się ze zbiornika na otaczające go pola.

Jagdea zawróciła na południe, za jej plecami wzbijał się ku niebu słup czarnego dymu.

- Lider, jesteś wciąż z nami ? – odezwał się Van Tull.
- Bez zarzutu – odpowiedziała – Umbra Pięć, co z tobą ?
- Wszystko w porządku – zgłosił się Espere.

Pozostałe Locusty uciekły w stronę Makanitów. Klucz Jagdei zawrócił w kierunku wybrzeża eskortując ocalałe z potyczki Cyklony. Komandor zaliczyła dwa pewne zestrzały oraz jeden prawdopodobny, co podniosło jej ranking do dziewiętnastu strąceń. Van Tull zestrzelił jednego przeciwnika, podnosząc liczbę zestrzałów do jedenastu.

Nie najgorzej.

Baza lotnicza Theda Południe, 16.59

Kontrolerzy z Operacji wywiesili niebieskie flagi i włączyli światła naprowadzające. Słońce zachodziło powoli, nadając chmurom barwę fioletu identyczną z kolorem heretyckich Locustów. Klucz Asche już dawno powrócił do bazy, a sekcja Blanshera wylądowała piętnaście minut wcześniej. Podchodząc do lądowania Jagdea zauważyła stojące z boku pasa Thunderbolty Apostołów, połyskujące barwami kości słoniowej. Na nosach myśliwców znajdowały się układy namierników przeznaczone do lotów nocnych. Wszystkie inne eskadry marynarki znajdowały się w powietrzu.

Pracowity dzień.

- Ponawiam ostrzeżenie, Operacje – rzuciła w eter – Wbrew opiniom sztabu nieprzyjacieli dysponuje zasięgiem umożliwiającym loty po tej stronie Makanitów.

Wysłała identyczne komunikaty czterokrotnie wcześniej, słysząc w odpowiedzi enigmatyczne potwierdzenia. Bandyci latali już nad górami, a to oznaczało, że lojaliści mieli znacznie mniej czasu, niż twierdził Ornoff.

- Operacje, proszę potwierdzić odbiór przekazu.
- Potwierdzamy, Umbra Lider. Informacja została przesłana do działu taktycznego.

Nadleciała nad oświetlony jaskrawo pas i usiadła wśród pomruku zwalniających obroty turbin. Ludzie z obsługi technicznej zaczęli biec w stronę maszyny.

Marquall wylądował czując coś, co przypominało mu mieszaninę przerażenia i niewysłowionej ulgi. Przeżył tę akcję, ale spieprzył ją strasznie. Boże-Imperatorze, ależ to spieprzył.

Thunderbolt Van Tulla przeleciał nad jego głową, odwrócił perfekcyjnie ciąg wektorowych silników, stanął na pasie lądowiska.

Ostatni wylądował Espere.

Ignorując Racklae i jego techników Marquall zeskoczył z kokpitu Bolta i pobiegł co sił w kierunku maszyny Espere. Po kilku metrach zwolnił przerażony ujrzanym widokiem. Burta myśliwca sprawiała opłakane wrażenie, pancierz był podziurawiony, porozrywany w wielu miejscach. Wielkie osmalone dziury znaczyły też spory fragment skrzydła.

Jakiś technik zamierzał wejść na samolot, ale Marquall odepchnął go i sam wspiął się na skrzydło, przypadając do kokpitu i odsuwając w tył strzaskaną owiewkę.

- Espere ? Espere, wszystko z tobą w porządku ?

Pers Espere spojrział na rozmówcę. Opancerzona kabina wyglądała okropnie, wszystkie zegary w kokpicie popękały, podobnie jak kontrolki. Lewa ręka Espere była urwana na wysokości łokcia, prawa zmieniła się w spalony kikut, stopiony upiornym żarem w jedność z drążkiem sterowym. Lewa strona twarzy pilota lśniła mrowiem wbitych w ciało fragmentów owiewki.

- Wszystko w porządku – powiedział Espere.

a

DZIEŃ 254

Baza lotnicza Theda Południe, 04.10

Kamiński miał zgłosić się w dyspozytorni dopiero o szóstej, ale samoloty skutecznie przeszkadzały mu w śnie. Zdążył się już przyzwyczać do szumu słyszanych ustawicznie od dziewięciu miesięcy odrzutowych silników i ten akurat hałas nie przeszkadzał mu spać, lecz ostatnimi nocami pojawiły się nowe dźwięki, wydawane przez maszyny marynarki: ryki i pomruki wektorowych napędów. Nigdy wcześniej mężczyzna nie miał kontaktu z tym typem samolotów, toteż jego podświadomość nie nauczyła się ich jeszcze ignorować.

Na Tron, ależ oni byli zagonieni ! Kamiński naliczył w przeciągu nocy trzy starty grupowe, a tuż po północy w bazie panował tak natężony hałas, że mogło to oznaczać jedynie przybycie kolejnego lotniczego kontyngentu.

Sytuacja uległa pogorszeniu. Kamiński słyszał plotki – z ust znajomego, który miał kolegę ze służb transportowych, który rozmawiał z gościem mającym kontakt z imperialnym technikiem – plotki twierdzące, jakoby już doszło do pierwszych powietrznych starć po tej stronie gór. Podobno rozegrał się jakiś pojedynek dzień wcześniej; ktoś widział też rzekomo maszyny bandytów nad półwyspem. Wieści o heretykach nad półwyspem najpewniej były wysane z palca; a przynajmniej Kamiński bardzo pragnął, aby były czczym wymysłem – bo jeśli kryły w sobie prawdę, wieściło to poważne kłopoty. Ale Dolina Lidy to co innego, to było całkiem realne i bardzo źle rokujące na przyszłość. Nieprzyjaciel sięgnął na drugą stronę Makanitów i istniało spore prawdopodobieństwo, że nawet elitarne skrzydła lotnictwa marynarki nie zdołają go teraz powstrzymać.

Imperialiści wciąż jednak nie dawali za wygraną. Kamiński opuścił swój pokój w barakach Munitorium i poszedł kiepsko oświetlonym korytarzem do kantyny służb transportowych. Pięciu mężczyzn pełniących nocny dyżur spało na krzesłach, nie zwracając najmniejszej uwagi na hałas samolotów. Wszyscy byli zawodowymi kierowcami Munitorium, całkowicie niewrażliwymi na subtelne zmiany w otaczających ich dźwiękach.

Kamiński nalał sobie do plastikowego kubka kawy i wyszedł na parking. Powietrze było chłodne, wokół rozciągała się głęboka czerń nocy. Kilku techadeptów pracowało przy

ośmiokołowej ciężarówce oświetlając zajmowany przez siebie róg parkingu przenośnymi reflektorami.

Popijający drobnymi łyżkami kawę Kamiński wszedł na rampę obiegającą parking i spojrzał w stronę lądowisk bazy. Włączone lampy naprowadzające migały zielonym blaskiem, dzięki ich światłu kierowca widział wyraźnie rząd Thunderboltów ukrytych pod siatkami maskującymi na zachodnim krańcu pól postojowych. Miał rację, poprzedniego wieczoru jeszcze ich tam nie było. Nowoprzybyłe skrzydło, kolejne imperialne posiłki.

Słyszając narastający dźwięk silników mężczyzna spojrzał w stronę południa, spostrzegł nadlatujące z tamtego kierunku samoloty. Następne Thunderbolty. Podobał mu się wygląd tych wielkich myśliwców; zachodził w głowę, co czuli ich piloci prowadząc swe ciężko opancerzone bestie. Dwanaście maszyn zmniejszyło pułap, odwróciło ciąg wektorowego napędu przechodząc w zawis, a następnie siadając wprawnie na wyznaczonych do lądowania pozycjach. Zlewający się w jedno ryk silników wprawiał w drżenie kawę w kubku szofera.

- Udany lot, chłopaki ? – zawołał głośno mężczyzna – Dużo zestrzałów na koncie ? – uniósł naczynie w geście toastu. Wciąż doskonale pamiętał uczucia towarzyszące mu w trakcie powrotu do bazy, ekscytację, puste zasobniki amunicyjne, lot na oparach paliwa, adrenalinę wciąż buzującą w żyłach.

Kiedy dźwięk potężnych turbin zaczął słabnąć, Kamiński usłyszał czyjeś głosy, dobiegające z głębi placu parkingowego. Zeskoczywszy z rampy ujrzał dyspozytora Pincheona rozmawiającego z lotnikiem marynarki.

Pincheon sprawiał wrażenie poirytowanego, a to nie wieściło niczego dobrego. Dyspozytor spostrzegł szofera w tym samym momencie, machnął w jego stronę ręką.

- Potrzebuję kierowcy !

- Jestem gotowy do drogi, proszę pana – odpowiedział Kamiński. Nie był jeszcze na służbie, ale wiedział, że i tak już tej nocy nie zaśnie, a przy tym zapragnął odrobiny rozrywki. Poza tym wołał, by Pincheon nie wchodził do kantyny, bo wtedy dyspozytor nakryłby śpiących twardo kierowców dyżurnych. Biedne sukinkoty byłyby skazane na prace karne aż po dzień sądu ostatecznego... który zresztą wcale nie musiał być specjalnie odległy.

- Chętnie pojedę – dodał.

- Doskonale. Kurs pasażerski. Przejazd do Starego Miasta i z powrotem. Proszę się tutaj podpisać.

Kamiński ujął w jedną dłoń podany mu elektroniczny notes, zaczął wpisywać świetlnym piórem swe dane personalne i numer służbowy.

- Muszę się dostać do baru o nazwie Hydra – powiedział lotnik marynarki – Wiesz, gdzie to jest ?

Kamiński podniósł wzrok słysząc ten głos i spostrzegł ku swemu zaskoczeniu, że pytanie zadała kobieta. Ta sama kobieta, której grupę przywiózł do bazy dwa dni temu.

- Tak, proszę pani... przepraszam, pani komandor. Wiem, gdzie to jest.

- To dobrze – odparła krótko, podziękowała Pincheonowi ruchem głowy i zrównała krok z idącym w stronę autobusu szoferem.

- Pojedzie pani w kabinie ? – zapytał Kamiński.

- Tak, dziękuję.

Otworzył jej drzwi od strony pasażera czekając, aż wsiądzie, potem obszedł pojazd wkoło wchodząc do środka od strony kierowcy i zapalił silnik.

Samochód opuścił bazę i wjechał na opustoszałą drogę szybkiego ruchu zmierzając w stronę miasta. Kobieta nic nie mówiła, przesuwiała w milczeniu wzrokiem po ustawionych wzdłuż pobocza lampach.

Kamiński czuł się dziwnie mając towarzystwo w kabinie. Zazwyczaj woził większe grupy pasażerów, siedzących razem w tylnej części autobusu. Kabina kierowcy była jego prywatnym sanktuarium, toteż mężczyzna odczuwał skrępowanie słysząc przetaczające się

pod fotelami puste kubki po kawie i operując niewprawnie swą sztuczną dłonią podczas poruszania kierownicą.

Mógł się wcześniej domyślić, że będzie chciała wsiąść do kabiny.

Po dłuższej chwili niezręcznego milczenia chrząknął z zakłopotaniem.

- A więc do Hydry ? – powiedział.

- Tak. Na Voldney.

- W porządku.

Czy ona go rozpoznała ? Część umysłu starała się temu zaprzeczyć, w końcu nie był dla niej nikim więcej jak kolejnym anonimowym kierowcą Munitorium. Inna częśćka jaźni poczuła wzburzenie na taką myśl. Jak mogła nie pamiętać człowieka z taką twarzą ?

Znienacka poczuł rozbawienie. *August, wreszcie zacząłeś się martwić swoim wyglądem !*

- Coś nie tak ? – kobieta zauważyła jego uśmiech.

- Nie, pani komandor. Mam na panią zaczekać przed Hydrami, tak ?

- Tak. Nie zabawię tam dłużej jak pięć minut.

- Więc nic nie wyjdzie z celebrowania udanego lotu ?

- Nie. Dlaczego miałabym cokolwiek świętować ?

- No wie pani, piloci, powrót z misji, okazja do rozerwania się. Hydra jest popularna wśród lotników.

- Słyszałam o tym lokalu.

Więc po co właściwie tam jedziemy ? W porę powstrzymał się przed zadaniem pytania. Ten bar nie był już miejscem dla kierowcy, nie należał do tego środowiska, a nadmierne zainteresowanie całą tą sprawą mogło mu tylko przyprawić kłopotu. Teraz był robotem w kombinezonie Munitorium.

Kobieta jakby wyczuła jego gorycz, bo odwróciła znienacka głowę.

- Szukam pilota, który nie wrócił z przepustki.

- Acha – odpowiedział i uśmiechnął się ponownie, tym razem ze zrozumieniem. Kobieta ujęła go faktem, iż zadała sobie trud wyjaśnienia celu podróży. Nie rozmawiali już więcej aż do chwili zaparkowania przed Hydrami.

- Zaczekaj tutaj – powiedziała i wysiadła z samochodu.

Minęło pięć minut, potem dziesięć. Trzej kompletnie pijani żołnierze Sił Obrony Planetarnej wytoczyli się z baru niczym dziwna sześciopoda bestia, ruszyli w głąb ulicy śpiewając coś bełkotliwie. Wokół panowała ciemność, rozjaśniana jedynie blaskiem reflektorów autobusu, poświatą neonowych szyldów i światłem sączącym się z kilku okien w okolicznych budynkach.

Dostrzegł ją kątem oka, wychodzącą w pojedynkę z baru. Przesunęła spojrzeniem wzdłuż ulicy, wyraźnie rozdrażniona. Kiedy przystanęła przy drzwiach kierowcy, opuścił szybko boczną szybę.

- Nie ma go tu ?

- Nie. Wiesz, gdzie jeszcze mógł się zapuścić ?

- Znam kilka miejsc. Proszę wsiąść.

Przejechał przez Plac Gillehała, ale nie widząc w okolicy żywej duszy zawrócił i dostał się jednokierunkowym podjazdem na ulicę Zagerhanzu. Skrzynia biegów autobusu zgrzytała w rytm ruchów lewarka.

- Gdzie teraz ? – zapytała kobieta.

- Tutaj też jest parę barów. Znam *Lullabye* i *Midwinter*. Często pozostają otwarte po godzinach.

Skinęła bez słowa głową.

- Od jak dawna go nie ma ?

- Od dziesiątej wieczorem.

- Nie chce pani robić z tego oficjalnej sprawy ?

- Nie... nie.

- Jak się pani nazywa ?

- Jagdea – odpowiedziała z wyraźnym ociąganiem.

Czekał na nią przed *Lullabye* i *Midwinterem*, ale z obu barów znów wyszła sama.

- Mam jeszcze jeden pomysł. Jest jedno takie miejsce nad Wielkim Kanałem.

Poprowadził samochód przez wąskie uliczki starówki. Na horyzoncie można już było dostrzec pierwsze ślady nadchodzącego świtu. Kiedy autobus zatrzymał się przed lokalem, Kamiński wyłączył silnik i otworzył swoje drzwi szoferki.

- Możesz zostać w pojeździe.

Kamiński potrząsnął przecząco głową.

- Nie da rady, komandor Jagdea. Będzie mnie pani potrzebowała, żeby wejść do środka.

- Dlaczego ?

- *Zara* to zamknięty lokal. Kobiety mogą tam wchodzić wyłącznie w męskim towarzystwie.

Patrzyła na niego przez chwilę w milczeniu.

- Nie kłamie – dodał kierowca – Może... może to dlatego pani człowiek wybrał właśnie to miejsce.

Podeszli razem do obitych żelazem drzwi, pokonali trzy dzielące je od poziomu ulicy schodki. Kamiński zapukał z całej siły i drzwi otwarły się szeroko.

Ochroniarz był potężnie zbudowanym Ingeburganem o głęboko zapadniętych oczach. Zmierzył klientów wzrokiem od stóp po głowę, po czym machnął dłonią pozwalając wejść do środka. Lokal okazał się niemal pusty, niektóre krzesła tkwiły już na blatach stolików. Pół tuzina enothiańskich pilotów, wszyscy mężczyźni bez wyjątku, grało w kącie sali w karty. Dwaj lotnicy marynarki zajmowali inny kąt, dyskutując nad czymś z ożywieniem ściszonymi głosami. Kilka innych osób upijało się samotnie lub wydawało ostatnie grosze na automaty do gry.

- Jest tutaj ? – zapytał szeptem Kamiński.

- To on, tam przy barze.

Przy kontuarze siedział młody chłopak. *Przystojniak*, pomyślał Kamiński, ale natychmiast odepchnął tę myśl precz. W porównaniu z nim każdy inny mężczyzna w tym lokalu był prawdziwym przystojniakiem.

Lecz nie sposób było zaprzeczyć, że młody pilot należał do urodziwych ludzi. Miał ciemne włosy, zdrową skórę, był wysoki... bez wątpienia nosił w sobie ten sam materiał genetyczny, co komandor Jagdea.

Był też bardzo pijany. Zmęczony barman wycierał szklanki gapiąc się jednocześnie z niezdrową fascynacją na klienta próbującego trafić kieliszkiem w otwarte szeroko usta. Pilot chybił, rozlał sobie alkohol po brodzie i bluzie, uderzył naczyniem z trzaskiem w kontuar i wskazał go palcem.

- Jesze ednego.

Barman potrząsnął przecząco głową.

- Ne pyszkuj. Lej dale, syszysz ?

- Nie – upierał się barman.

- Czas wracać do domu, Vander – powiedziała Jagdea.

Chłopak odwrócił głowę w jej stronę, zamrugnął, pokręcił głową.

- Tak, Vander. Chodźmy stąd, a ja zapomnę o wszystkim.

- Nie, nie, nie. Wylesiałem ze służby...

- Daleś tyłka, ale wciąż służysz. Zbieraj się, załatwiłam samochód.

Chłopiec – Vander – spojrzał na nią przerażająco trzeźwym wzrokiem.

- Espere ! – wyrzucił z siebie głośno.

- Jest w szpitalu. Poskładają go do kupy.

- Espere. Nigdy ne beze więcej latał.

- Nie, nie będzie. Ale to nie twoja wina.
- Ja go załatwiłem.
- Nie ty.
- Tak ! Ja zawałem. Zawałem, zawałem. To moja wina. Spierdoliłem robotę.
- Może i tak, Vander, a może nie. Nikt nie obwinia cię o to, co stało się Persowi.
- Zabiłem Cyklona.
- Co ?

Marquall zamachał nieskładnie rękami.

- Cyklona. Zabiłem. Zestrzeliłem Cyklona. Rozwaliłem go w drobne kawałki...
- Nie, Vander. Już przejrzelismy zapisy w rejestratorze obrazu. Cyklon został zestrzelony przez bandytę, nie przez ciebie.
- Eee ?
- Tak, to nie ty.
- O, to już coś.
- Tak, to już coś. A teraz zbieraj się, pilocie. Wychodzimy stąd.

Vander pokręcił głową.

- Espere... – wymamrotał.
- Jagdea postąpiła krok do przodu i położyła rękę na ramieniu lotnika.
- Dość tego, Marquall. Skończ się nad sobą użalać. Bierz dupę w troki i chodź ze mną !
- Odwal się.
- Marquall, narażam dla ciebie własny tyłek. Tyłek, na którym mi cholernie zależy. Pojechałam cię szukać zamiast zgłosić oficjalnie twoje zniknięcie. Do tej pory to wciąż pozostaje tajemnicą... – obejrzała się w stronę Kamińskiego – Czy to pozostanie między nami ?

- Oczywiście – wzruszył ramionami kierowca.

Kobieta potrząsnęła Marqualem.

- Widzisz, co dla ciebie zrobiłam ? To nieoficjalna akcja. Nie zgłoszę cię do Komisariatu. Jeśli cię teraz tutaj zostawię, stracę komendę nad jednostką. Nie wróciłeś na czas z przepustki, to dezercja. Miałaś się zgłosić w bazie cztery godziny temu. Komisarze cię za to rozstrzelają. Jeśli ja będę miała pecha, rozstrzelają mnie razem z tobą. Nie zadzieraj ze mną, Marquall. Nawet nie próbuj zszargać reputacji Phantyńczyków dezercją i nieposłuszeństwem wobec przełożonego. Rywalizujemy z imperialną marynarką. Weź się w garść, Marquall ! Nie przynoś mi wstydu ! Potrzebuję cię !

Zamrugał ponownie, próbując skoncentrować rozbiegany wzrok.

- Nie potrzebujesz mnie...
- Straciłam wczoraj pilota. Nie chcę tracić drugiego.

Pociągnęła go za rękę, ale się jej wyszarpnął. Kamiński skrzywił usta widząc jak pilot spada ze stołka. Jagdea omal sama nie przewróciła się pod jego ciężarem, trzasnęło rozbijane szkło.

- Dość tego ! – krzyknął barman. Ingeburgański ochroniarz ruszył w stronę kontuaru.
- Wszystko w porządku – Kamiński uniósł pojednawczo ręce, pomógł odzyskać równowagę Jagdei, po czym stanął w rozkroku nad chłopakiem.
- Masz się za lotnika ? – zapytał.
- Czego ? – wychrypiął Marquall.
- Co robisz ? – odezwała się Jagdea.
- Bez obaw – uspokoił ją Kamiński – Pozwól mi z nim porozmawiać. Nie chcę mieć kłopotów.

Kierowca spojrzął ponownie na chłopaka.

- Masz się za pilota ? Uważasz, że warty jesteś latania ? Coś ci powiem... jesteś beznadziejną kupą gówna.

- Cooo ?
- Beznadziejna. Kupa. Gówna. Rzygać mi się chce na twój widok. Twoja szefowa naraża własny kark, żeby cię wyciągnąć z bagna, a ty masz to w dupie. Potrafisz latać ? Potrafisz latać ?!
- T-tak...
- Potrafisz latać ?!
- Tak !
- Więc czemu tego nie zrobisz ?
- N-nie wiem...

Kamiński sięgnął do wewnętrznej kieszeni bluzy, wyjął z niej swój służbowy automat i upuścił broń na brzuch pilota. Ciężar pistoletu wydarł jęk bólu z ust Marqualla.

- Użyj tego.
- Co ?
- Użyj tego. Teraz.
- Co ?
- Użyj tego pierdolonego pistoletu, kretynie ! Strzel sobie prosto w resztki mózgu. To szybsza metoda na skończenie ze sobą od zapijania się na śmierć. Oddasz nam wszystkim przy okazji sporą przysługę.

Marquall mierzył leżący na jego brzuchu pistolet wzrokiem takim jakby tam widział jadowitego pająka.

- Na co czekasz ?! Powinieneś latać, sukinsynu ! Powinieneś latać ! Dlaczego przed tym uciekasz ?! Ja też kiedyś latałem, ale się upiekłem ! Widzisz to ?! Moją twarz, moje ręce ?! Powiedzieli mi, że już nigdy nie usiądę w kokpicie ! Nie jestem wart tego, by znowu poprowadzić samolot ! Oddałbym wszystko, żeby się móc z tobą zamienić miejscami ! Wszystko ! Więc bierz ten zasrany pistolet i oszczędź mi dalszej gadki, żalony kutasie !
- Kurwa mać... – wykrztusił Marquall – Nie masz prawa tak do mnie mówić...
- Nie, nie ma prawa – powiedziała Jagdea klękając obok pilota – Ale właśnie to zrobił i nic już nie zmienimy. Wracamy do domu czy mam cię z nim tutaj zostawić ?
- Do domu – zgodził się Marquall przymykając oczy.

Jagdea podniosła pistolet i rzuciła broń w ręce Kamińskiego. Kierowca złapał pistolet w locie.

- To chyba twoje – powiedziała kobieta, po czym schyliła się pomagając Marquallowi pozbierać się z podłogi. Zrzuciła sobie rękę chłopaka na ramiona i poprowadziła go w stronę drzwi.

Kiedy Kamiński opuścił bar, lotnicy siedzieli już razem w tylnej części autobusu. Kobieta spojrzała w jego stronę.

- Jedź, proszę – powiedziała krótko, oszczędnie w słowach.

Kamiński wszedł do szoferki pojazdu. Ponownie osamotniony, uruchomił silnik i ruszył w drogę powrotną do bazy.

Nad Północnymi Mkanitami, 08.10

Pułap trzydziestu tysięcy metrów, ani jednej chmury na niebie, dwadzieścia cztery srebrne olbrzymy pozostawiające za sobą mlecznobiałe smugi kondensacyjne.

Viltry czuł się znacznie lepiej podczas tego lotu – drugiej misji bojowej. Wydawało mu się, że ta pewność siebie tkwiła w sile liczebnej formacji: Halo leciało razem z Marauderami należącymi do 2212 skrzydła imperialnej marynarki, a pięć tysięcy metrów wyżej sunęło skrzydło stanowiących eskortę Thunderboltów.

A może źródło jego wewnętrznego spokoju tkwiło w długich godzinach spędzonych na kontemplacji morza.

Tak czy owak, kapitan czuł się rozluźniony. *Greta* odpowiadała natychmiast na każdy ruch sterów. Promienie słońca zalewały wnętrze kokpitu złocistą poświatą, a świat sprawiał wrażenie pogrążonego w nieprzeniknionej ciszy. Na tej wysokości silniki bombowca wydawały z siebie zaledwie cichy pomruk, głośniejszy od nich był szum klimatyzatorów i warkot pomp podłączonych do masek tlenowych. Viltry zastanawiał się czy podróż w morskich głębinach mogła kryć w sobie podobną harmonię i duchowy spokój.

Lacombe podał mu oprawiony w plastik atlas. Kapitan przejrzał jeszcze raz dołączone do mapnika raporty. Około godziny siedemnastej poprzedniego dnia lojaliści uzyskali potwierdzenie – Viltry odnotował z dumą w myślach, że autorami potwierdzenia byli phantyńscy piloci z grupy Jagdei – iż nieprzyjaciel uzyskał dostęp do przestrzeni powietrznej po drugiej stronie górskich masywów. Oznaczało to, że heretycy posiadali kilka wysuniętych baz lotniczych w pustynnym interiorze, być może nawet naziemnych lotniskowców operujących bardziej na północ niż to zakładały Operacje. Zwiad powietrzny lojalistów zlokalizował poprzedniej nocy kilka dużych źródeł energii termicznej i dziesięć imperialnych formacji bombowych uczestniczyło teraz w misji poszukiwawczej. Jeśli nieprzyjaciel faktycznie korzystał z baz lotniczych w północnej części pustyni, imperialiści musieli je z miejsca wyeliminować albo pogodzić się z groźbą nieuniknionej klęski.

Formacja kapitana zdążyła podczas tego lotu odnotować pół tuzina potencjalnych celów, ale po dolocie okazało się niezmiennie, że były to zgrupowania imperialnych pojazdów zmierzające w kierunku północy.

Viltry sycił swe zmysły oszałamiającą panoramą pustyni, bezkresnej i surowej. Była to nieprzyjazna kraina, przypominająca gruby papier ścierny. Daleko na zachodzie, ponad sto kilometrów dalej, kapitan dostrzegał zarysy Cicatrice, gigantycznej pustynnej depresji, którą stworzyły zamierzchłe ruchy tektoniczne odpowiedzialne za jednoczesne wypiętrzenie Makanitów. Latanie w tamtym rejonie było podobno bardzo ryzykowne, zwłaszcza na niskim pułapie. Liczne przepaście i doliny wywoływały zawirowania prądów powietrznych utrudniając prowadzenie maszyn.

Zgodnie z informacją Operacji bombowce znajdowały się pięćdziesiąt kilometrów od jednego z prawdopodobnych celów. Odczyty skanerów termicznych i radarów wskazywały na obecność potencjalnego lotniskowca w obrębie regionu zwanego Piaskową Misą.

Dwadzieścia kilometrów przed formacją leciał Marauder marynarki opatrzony numerem Jeden. Maszyna ta nie miała w swych komorach ani jednej bomby, by nie stracić przez obciążenie na zwrotności, pracowała z ustawionymi na maksymalną czułość instrumentami namierzającymi. Jedyńka była oczami i uszami wyprawy bombowej.

Viltry czekał cierpliwie na potwierdzenie autentyczności celu. Miał dobre przeczucie.

Wtedy zauważył bandytów.

To było coś niewiarygodnego. Kapitan odniósł wrażenie, że tylko on widzi heretyckie maszyny – nikt nie podnosił alarmu, nikt nie krzyczał w eterze. Było ich dziewięć, mknących od wschodu niczym karmazynowe ostrza prosto na lewą flankę imperialistów.

- Wróg ! Wróg ! Dziewiąta ! – wrzasnął co sił w gardle Viltry. Usłyszał jęk hydraulicznych siłowników obracających górną i dolną wieżyczkę strzelecką, w radiu wybuchła nagle wrzawa ludzkich głosów. *Greta* przechyliła się lekko w bok, kiedy Gaize zaczął strzelać z podwójnie sprzężonych ciężkich bolterów. Viltry spostrzegł serie pocisków smugowych wykwitające w przestworzach gdzieś po lewej stronie maszyny. Hell Razory przemknęły pod brzuchami bombowców rzygając płomieniami wylotowymi działek. *Gdzie eskorta ?!*

- Dyscyplina radiowa ! – krzyknął kapitan próbując uspokoić mówiących jednocześnie członków załogi – Wizualna obserwacja, oszczędne prowadzenie ognia ! Nie prujcie na oślep, lecimy w formacji ! Starannie wybierać cele, odkładać poprawkę !

Bombowce leciały w formacji diamentu. Przemieszczające się w tym szyku bombowce ubezpieczały się wzajemnie, a każdy diament wspierał diament lecący obok. Dochodziła do

tęgo umieszczona w górze eskorta, która zajmowała w obronie pozycje kierując się potrzebą chwili. Dysponujące ciężką bronią pokładową Maraudery tworzyły w powietrzu latającą fortecę, teoretycznie bezpieczną i niemożliwą do naruszenia.

Lecz Hell Razory już raz zdołały dobrać się do dolnej części diamentu i piloci dwóch maszyn marynarki zgłaszali pierwsze uszkodzenia. Dowodzenie nad wyprawą sprawował Marauder o nazwie *Święta Terra*, lecący na samym przedzie szyku. Dowódca *Terry*, Egsor, rzucał w eter polecenia utrzymania dotychczasowej formacji.

Viltry spojrzął za prawą szybę kokpitu. Bandyty pomknęli w tamtą stronę, toteż logika podpowiadała, że z tamtej strony powrócą. Kapitan podskoczył w fotelu, kiedy tuż nad jego głową przeleciały dwa Thunderbolty zmierzające w kierunku zachodu. *Greta* zakołysała się targnięta podmuchem ich silników.

- Gdzieście wcześniej byli, osłona?! – rzucił do mikrofonu Viltry.

- Cisza radiowa! – warknął w eterze Egsor.

- Szósta! Szósta! Szósta! – rozkrzyczał się siedzący w ogonowej wieżyczce Orsone. Jego okrzyki podjęli natychmiast tylni strzelcy z pozostałych bombowców. Bandyty zatoczyli szeroki łuk podchodząc drugim razem od tylnej strony imperialnej formacji.

- Otwieram ogień! – wrzasnął Orsone i maszyna zaczęła wibrować pod wpływem odrzutu ciężkiej broni. Kilka sekund później do ostrzału dołączył lotnik obsługujący górną wieżyczkę, obracający lufy swych działek w kierunku ogonowych stateczników maszyny. *Greta* zaczęła zachowywać się nieco niestabilnie, ale Viltry z wprawą kompensował jej skoki wymierzonymi ruchami sterów. Nieprzyjacielskie myśliwce znalazły się nad formacją lojalistów i tylny strzelec przerwał ogień nie mogąc już bardziej obrócić luf działek. Górna wieżyczka wciąż pluła płomieniami przesuając się w ślad za heretyckimi maszynami, a kiedy dopalacze umykających Hell Razorów zapłonęły przed nosami bombowca, ogień otworzył przedni strzelec.

- Przerwać ostrzał, przerwać! – krzyknął Viltry. Bandyty zdążyli się już oddalić na dobre trzy tysiące metrów, wychodząc poza zasięg pokładowych działek Maraudera. Kapitan wciąż dostrzegał ogniki ich dopalaczy, kiedy zwinne maszyny łamały szyk rozpraszając się na wszystkie strony i zawracając w stronę lojalistów.

Cholera, pomyślał Viltry, *zaczynają indywidualne podejścia!*

W eterze rozległ się przeraźliwy ludzki krzyk. Kapitan rozejrzał się błyskawicznie wokół i dostrzegł jednego z Marauderów marynarki lecącego dotąd w sąsiedniej formacji diamentu, wypadającego ocieężale z szyku. Maszyna traciła wysokość sprawiając wrażenie, jakby jej silniki nie potrafiły już dłużej unieść ciężaru samolotu. Spod obudowy jednej turbiny rzygały kłęby smolistego dymu, chwilę potem płomień ogarnęły całe prawe skrzydło. Bandyty zaliczyli podczas drugiego podejścia celne trafienie.

Ogarnięty płomieniami Marauder zaczął wchodzić w płytki lot nurkowy.

- Skaczcie! Skaczcie! – w radiu wibrował krzyk Egsora.

Marauder wyleciał w powietrze. Tkwiące w komorze bomby rozsadziły maszynę na drobne kawałki, z nieba posypał się deszcz płonących szczątków. Oderwany od kadłuba nos samolotu, przywodzący na myśl komętę, poleciał w kierunku odległej pustyni.

- Wracają! – wrzasnął Naxol. Przedni strzelec posiadał dość zdrowego rozsądku, by obserwować przestrzeń przed swą maszyną, a nie agonię sojuszniczego bombowca.

Trzy Hell Razory runęły na imperialną formację od przodu, lufy ich działek ziały ogniem. Naxol i Gaize zaczęli strzelać do najbliższego. Laserowe wiązki Naxola cięły nieszkodliwie powietrze, ale Gaize zdołał odłożyć odpowiednią poprawkę i bandyta wleciał prosto w strumień pocisków wystrzeliwanych z ciężkich bolterów. Heretycki myśliwiec przeistoczył się w kulę płomieni i dymu. Oderwane przednie skrzydła zawirowały w powietrzu niczym płyty lśniącego szkła, prawie z nich omal nie trafiło ogonowego statecznika *Grety*.

Viltry wciągnął mimowolnie powietrze, świadomy bliskiej katastrofy.

- Dobry strzał, Gaize – rzucił w eter.

Do diabła z nimi i jedna z maszyn marynarki również zaliczyła zestrzały. Na oczach kapitana jakiś Hell Razor wpadł w niekontrolowany korkociąg i runął na pustynię, drugi zaś zaczął ciągnąć za sobą warkocz dymu oddalając się pośpiesznie na zachód.

Lecz walka wcale się nie skończyła. Bombowiec marynarki wypadł z formacji nie mogąc dłużej utrzymać się w szyku z powodu uszkodzonych silników. *Z jak Zabójca* został solidnie pokiereszowany. Bandyty zwracali do kolejnego podejścia, a na ekranach radarów pulsowały sygnatury zdradzające obecności innej grupy heretyckich maszyn, zmierzających w stronę strefy walk. Na zachodnich przestworzach Viltry dostrzegł zniecka rozbłysk eksplodującego w powietrzu Thunderbolta.

Jego ręce drżały ponownie. Koło Przeznaczenia.

Mistyczne trybiki terkotały w myślach pilota, coraz bliżej i bliżej.

Baza lotnicza Theda Północ, 12.01

Grupy rozgadanych żołnierzy enothiańskiego lotnictwa opuszczały biuro przepustek zmierzając w stronę czekających już na nich autobusów. Wszyscy nieśli na ramionach torby podróżne, plecaki i walizki. Żartowali pławiąc się w promieniach słońca, wymieniając żarty i pozdrowienia.

Było to zachowanie na pokaz, fałsz skrywany pod pozorami rozluźnienia. Darrow doskonale znał ciąg dalszy. Za parę godzin ci ludzie mieli znaleźć się w drodze do nowych miejsc przydziału, gdzieś na tylnej linii frontu, najpewniej po drugiej stronie morza. Przyjaźnie ulegną zerwaniu, zatrą się w pamięci. Po drugiej stronie rozległego placu setki ludzi w mundurach imperialnej marynarki czekały wokół swoich własnych pojazdów, gotowi do przejęcia na własność bazy natychmiast po opuszczeniu jej przez enothiański personel. Darrow spoglądał na nich z ukosa. Niektórzy palili papierosy, inni leżeli na betonowym podejściu wygrzewając się w słońcu. Wielu mierzyło enothiańskich wojskowych nieprzyjawnymi spojrznięciami. *Gdybyście zrobili to dobrze... gdybyście naprawdę szczerze walczyli za swój ojczysty świat, nie musielibyśmy tutaj przylatywać.*

To dlatego jego koledzy i znajomi śmiali się głośno, pokrzykiwali i żartowali. Robili to, by nie musieć spoglądać w stronę posepnych ludzi z imperialnego kontyngentu, obserwujących ich z sympatią ścierwojada zbliżającego się w stronę zwłok.

Darrow walczył z przemożną ochotą ciśnięcia na ziemię plecaka i podbiegnięcia do swych zmienników.

Aroganckie skurwysyny ! Myślicie, że my tego chcemy ?! Myślicie, że cieszymy się z waszego przybycia ? Pieprzcie się ! Walczyliśmy za Enothis, krwawiliśmy i umieraliśmy. To dzięki nam jest ciągle jeszcze o co się bić. Odwaliliśmy czarną robotę, a teraz wy zjawiacie się, by zgarnąć całą chwałę. I lepiej dla was, żebyście ją zgarnęli, bo jeśli nie wygracie...

- Darrow ! Darrow !

Pilot obejrzał się przez ramię. Na schodach biura przepustek pojawił się machający ręką major Heckel.

- Gratulacje, sir.

- Za co ?

- Słyszałem, że został pan przeniesiony do eskadry Myśliwych.

Mięsień pod lewym okiem Heckela zaczął nieznacznie drgać.

- Tak, tak. Powinienem uważać się za szczęściarza. Wydaje mi się, że sztab chce nas wszystkich trzymać w grupie.

Major roześmiał się głośno, ale był to śmiech fałszywy, podszyty nutką hysterii. Jego nerwowy tik jeszcze bardziej się pogłębił.

- Chciał pan ze mną rozmawiać, sir ?

- Tak, tak – odparł Heckel, po czym sięgnął do kieszeni i wyciągnął z niej zafoliowany dokument. Na opakowaniu widniało nazwisko Darrowa. Kadet nie mógł nie zauważyć jak silnie drżała ręka podającego mu dokument majora – To dla ciebie.

Darrow odarł plastikową kartę z nieprzeźroczystej folii.

- Przysłał mi to Eads. Sądzę, że zrobiło mu się ciebie żal. Nie jest to może przydział liniowy, ale stary ma nadzieję, że poprawił ci samopoczucie.

- On... przenosi mnie do Operacji. W trybie natychmiastowym – wyszczerzył zęby Darrow. Heckel miał rację, nie był to przydział do służby czynnej, ale oznaczał zarazem możliwość pozostania w Thedzie i wzięcia udziału w prawdziwej wojnie.

- Dziękuję – odpowiedział kadet.

- Ja tylko robiłem za posłańca – wzruszył ramionami major.

- Wiem, że na pewno szepnął pan za mną dobre słowo.

Heckel wzruszył ponownie ramionami, ale tym razem uśmiechał się szczerze. Po chwili jego twarz przybrała ponownie poważny wyraz.

- To, co teraz powiem niech pozostanie między nami. Od wczoraj nieprzyjaciel zaczął latać nad Doliną Lidy. Harmonogram reorganizacyjny musi ulec przyśpieszeniu. Ludzie z marynarki zdecydowali, że potrzebni im są lokalni eksperci od topografii, więc poprosili Eadsa o dołączenie do składu Operacji. Stary polecił mi znaleźć kilku dobrych chłopaków, którzy mogliby mu asystować. Zaproponowałem ciebie i jeszcze paru naszych przerzuconych aktualnie do rezerwy.

- Dziękuję bardzo, sir. Doceniam pańską rekomendację.

Heckel kiwnął lekko głową.

- Odważ dobrą robotę, Darrow.

Kadet położył plecak przy nogach i oddał swemu niedawnemu dowódcy salut.

- Darrow – odezwał się po chwili milczenia major, dziwnie przygnębionym tonem – Darrow, jak myślisz, czy oni wiedzą, że jest mi przykro ?

- Kto, sir ?

- Kadeci. Eskadra Łowców. Tak wielu z nich zginęło.

- Zrobił pan wszystko, co było w pana mocy, sir.

Heckel westchnął głęboko.

- Wiesz co, Darrow ? Takiej właśnie odpowiedzi się obawiałem.

Major zarzucił na ramię własną torbę, poklepał swego rozmówcę po barku, po czym ruszył w stronę podstawianego właśnie autobusu.

Baza lotnicza Theda Południe, 15.34

- Ona jest przeklęta, prawda ? – zapytał Milan Blansher.

- Kto niby, sir ? – odchrząknął Hemmen, szef zespołu technicznego. Jego ludzie uwijali się w półmroku wielkiego hangaru wokół Thunderbolta Espere, w powietrzu niósł się dźwięk wkrętarek i syk palników.

- Ta maszyna – Jagdea wskazała dłonią uszkodzony myśliwiec.

- Dziewięć-Dziewięć ? – Hemmen pokiwał przecząco głową – Trudno mi to skomentować, pani komandor.

Jagdea pokiwała głową powtarzając gest technika, wyszła wraz z Blansherem przed hangar. Na lądowisku nie było żadnych maszyn prócz Boltów Umbry i enothiańskiej eskadry myśliwskiej rozgrzewającej silniki przed rychłym startem.

- Espere ? – spytał Blansher.

- Zapomnij o nim, wypadł z obiegu na długie miesiące. I nawet wspomagany cybernetyką do końca życia pozostanie ludzkim wrakiem.

- Więc musimy spisać go na straty ?

- Tak. Kontaktowałam się w sprawie uzupełnień z rezerwami marynarki, ale odpowiedzieli mi, że każdy zdolny do służby pilot posiada już aktywny przydział. Odezwą się, jeśli jakiś człowiek będzie musiał skoczyć ze spadochronem albo jego maszyna nie nada się już więcej do lotów. Boże-Imperatorze, ta wojna angażuje wszystkie nasze zasoby. Każdego pilota, każdą maszynę. Myślę, że zbliża się rozstrzygnięcie.

- Co masz na myśli ?

- Decydujące starcie. Nieprzyjaciel przywoździł siły krucjaty, zyskał przewagę. Heretycy atakują równolegle tutaj i na Herodorze, tak mówią najnowsze raporty. Jeśli którakolwiek z tych dwóch planet upadnie, wojska krucjaty zostaną zdekapitowane. Cios i dobranoc, żegnamy marszałka wojny Macarotha. Żegnamy wszystko. Jeśli ulegniemy tutaj wrogowi, to koniec całej wojny.

- Więc trzeba będzie latać z jajami.

- Mów za siebie – uśmiechnęła się pod nosem Jagdea.

- A jak się czuje Marquall ?

Phantyjka wzruszyła ramionami.

- Cały czas rzyga w kiblu za kantyną. Miałam mu zamiar załatwić tabletki detoksu, ale się rozmyśliłam. Taka męczarnia to jedna z kar Imperatora za nasze pomyłki i błędy.

- Obwinia siebie za los Espere ?

- Tak.

- A powinien ?

Jagdea wzruszyła ponownie ramionami i coś odpowiedziała, ale jej głos utonął w ryku startujących odrzutowców.

- Możesz powtórzyć ? – poprosił Blansher.

- Marquall spierdolił sprawę. Poleciał niczym żółtodziób i popełnił praktycznie każdy możliwy błąd. Espere musiał go cały czas osłaniać. Tak... powinien czuć się winny. Ale sprawia wrażenie dobrego kandydata na pilota, wiem to. Potrzebujemy go i to szybko, ponownie pewnego siebie. Musi wyciągnąć odpowiednią lekcję z tego, co się stało.

- Wciąż nie mam pojęcia jak udało ci się ściągnąć go z powrotem do bazy.

- To nie ma znaczenia. Ktoś mi pomógł. Nie na taką pomoc liczyłam, ale... zadziałało.

Blansher chrząknął dając do zrozumienia, że akceptuje jej wyjaśnienie.

- Kiedyś ci o tym opowiem – uśmiechnęła się lekko kobieta.

- Słyszałem, że lecę o osiemnastej trzydzieści – zmienił temat Blansher.

- Tak, a Larice poprowadzi czwórkę o dwudziestej pierwszej czterdzieści. Ja zostaję na ziemi, dopóki Marquall nie doprowadzi się do stanu normalności.

- Udanych lotów – powiedział mężczyzna oddalając się w stronę swojego samolotu.

Wolałabym, żeby ludzie przestali mi tego w końcu życzyć, pomyślała Jagdea.

Kawiarnia na molo, 15.50

Noc nadeszła przedwcześnie, mrok odarł z kolorów powierzchnię oceanu. Zanosilo się na sztorm. Ruch w kawiarni od dawna był kiepski, ale ciemniejące szybko przestworza odstraszyły skutecznie nawet najbardziej wiernych klientów. Beqa odesłała Latrice do domu i zaczęła sprzątać lokal. Wcześniejsze zamknięcie kawiarni oznaczało dla niej dodatkowych parę godzin snu.

Przekręcała właśnie klucz w zamku wejściowych drzwi, kiedy za jej plecami pojawił się mężczyzna. Silny wiatr rozwiewał jej włosy i szarpał kołnierzem płaszcza, toteż nie usłyszała na czas jego kroków.

- Och ! – nie zdołała powstrzymać okrzyku zaskoczenia, kiedy go w końcu spostrzegła. To był ten lotnik o smutnej twarzy, który nigdy wcześniej nie jadł ryb. Stał przed nią owinięty szczelnie w ciężką skórzaną kurtkę.

- Zamyka pani ? – zapytał.

- Tak – odpowiedziała odgarniając z oczu kosmyki włosów – Przykro mi, prawie nikogo dzisiaj nie było. Myślę, że klientom nie podoba się ta burza na horyzoncie.

Lotnik spojrział na niebo jakby dopiero teraz zauważył kiepską pogodę. Z przestworzy zaczynały spadać pierwsze krople deszczu.

- Rozumiem – odparł po chwili – Przynajmniej miałem okazję do spaceru. Życzę pani miłego wieczoru.

- Proszę zaczekać – zawołała Beqa widząc jak obcy odwraca się w jej stronę plecami. Niemal natychmiast zganiała się w myślach za własne słowa. *Masz zbyt miękkie serce, kretynko* – Jest pan głodny ?

- Troszkę – przyznał z ociąganiem.

Wsunęła klucz z powrotem w zamek drzwi.

- Proszę wejść, zrobię panu coś do zjedzenia.

- Właśnie pani zamknęła.

- Mogę otworzyć ponownie.

Posadziła go przy stoliku, który wybrał sobie dzień wcześniej, po czym weszła za kontuar nastawiając czajnik i przeglądając zawartość lodówki. Viltry zauważył, że nie przekreśliła na drugą stronę wywieszki na drzwiach lokalu – kawiarnia wciąż pozostawała zamknięta dla innych klientów.

- To bardzo miłe z pani strony – powiedział głośno.

- Żaden problem. Nie lubi pan ryb, prawda ?

- Mówiąc szczerze, sam nie wiem.

- Ma pan szczęście, zostało mi jeszcze trochę szynki.

Sztorm zbliżał się szybko, przestworza poczerniały przyjmując barwę atramentu i Beqa włączyła olejne lampy. Deszcz przybrał na sile, ściekał po szybach sprawiając takie wrażenie jakby szkło topiło się ustawicznie. Cały pomost trzeszczał delikatnie pod naporem morskiej toni.

Beqa nigdy jeszcze nie była w kawiarni w czasie sztormu. Czowała lekkie podenerwowanie i żałowała trochę, że jednak nie poszła wcześniej do domu. Lokal wydał jej się znieczeka kruchy i wrażliwy na ciosy morskiego żywiołu, jakby przeistoczył się w stateczek próbujący przebić się przez strefę cyklonu.

Mężczyzna nie wyglądał na specjalnie poruszonego. Kiedy kelnerka przyniosła zamówione przez niego jedzenie i napój, przysiadła na jednym z krzesel.

- Jest pan lotnikiem ?

- Tak – przełknął niewielki kęs – To jest naprawdę smaczne. Nie sądziłem, że jestem aż tak głodny.

- W imperialnej marynarce ?

Zaprzeczył ruchem głowy i wytarł usta chusteczką.

- W pokrewnej formacji. Phantyński Korpus Lotniczy. Nazywam się Viltry, Oskar Viltry.

- Beqa Mayer.

Uścisnęli sobie delikatnie dłonie.

- Dziękuję za pani gościnność. To miły gest w stosunku do cudzoziemca.

- Przyleciał pan tutaj, żeby bronić mojego świata. Myślę, że smażona szynka i chleb stanowią w pełni zasłużoną gratyfikację.

Pilot przerwał na chwilę jedzenie, zmarszczył czoło.

- Ja panią już kiedyś spotkałem, prawda ?

- Byłam tutaj wczoraj.

- Nie, gdzieś indziej.

- W kościele, przedwczoraj rano. Otworzył mi pan drzwi.

- Tak, faktycznie – szczególnie silny podmuch wiatru uderzył w okna kawiarni, zasypał je twardymi kroplami deszczu - Mam nadzieję, że to miejsce wytrzyma taką burzę.
- Myślę, że trzeba czegoś więcej, by zniszczyć ten kompleks – odparła kelnerka.

Musieli czekać jeszcze dobrą godzinę, zanim burza zelżała na tyle, by można było zaryzykować powrót mołem w stronę brzegu. Napełniając co jakiś czas filiżankę pilota Beqa rozmawiała z mężczyzną o wszystkim i o niczym, jakby do końca chciała wykorzystać okazję konwersacji po długim okresie samotności. Viltry był szczerze zadowolony, że mógł słuchać jej słów. Miał za sobą przerażający dzień: dziki podniebny pojedynek, uczucia paniki i strachu. Bandyci nękali jego grupę tak uparcie, że załogi bombowców musiały w końcu pozbyć się ładunku i zawrócić do bazy. Nie zniszczyli żadnego celu, nawet żadnego nie ujrzeni, stopili tylko na żużel spory fragment bezludnej pustyni. Halo nie straciło ani jednej maszyny, ale pięć bombowców zostało uszkodzonych, a kilku członków ich załóg rannych. *Z jak Zabójca* ledwie dowlókł się do lotniska. Część bomb pozostała zablokowana na zaczepach i Viltry bał się, że podczas lądowania jakiś wstrząs je zdetonuje unicestwiając w ułamku chwili Maraudera. Do niczego takiego na szczęście nie doszło, ale trzy maszyny Egsora i dwa Thunderbolty eskorty nie wróciły do bazy.

Niektórzy lotnicy radzili sobie ze stresem akcji bojowych poprzez picie na umór lub hedonistyczne rozrywki, inni opowiadali o swych przeżyciach każdemu, kto tylko znajdował się w zasięgu ich wzroku. Viltry nie korzystał z tych metod, po części z obawy, że raz zacząwszy mówić pewnie nie umiałby przestać.

Słuchanie kobiety sprawiało mu przyjemność i koło nerwy, było prawdziwym antidotum – przypominało, że wszechświat nie sprowadzał się wyłącznie do ciasnej upręży lotniczego fotela i oczekiwania na spłatę kredytu Przeznaczenia. Życie kelnerki nie było łatwe. Pracowała na dwie zmiany: w ciągu dnia w kawiarni, nocami w fabryce amunicji. Odczuwała troskę na myśl o przebiegu wojny. Zdobycie świeżej żywności sprawiało coraz większy kłopot. Bała się, że właściciel zamknie lada dzień lokal. Miała brata o imieniu Eido, który służył w lokalnych wojskach lądowych. Nie dał jej znaku życia od trzech miesięcy, od chwili szturm na bramy Kopców Trinity, ale Beqa przekonana była, że lada dzień wróci do domu. Codziennie zapalała dla niego świeczkę.

- Zapalam trzy. Jedną dla Garta, jedną dla Eido i jedną dla kogoś, kto może być właśnie w potrzebie.

Viltry uśmiechnął się nieznacznie, z sympatią.

- Zapamiętam. Przepraszam, że pytam, ale kim jest Gart ?

- Mój mąż, kapitanie Viltry. Był starszym rangą pilotem w Siłach Obrony Planetarnej. Zaginął nad pustynią poprzedniej zimy.

- Przykro mi to słyszeć. Czy znajduje się na liście zaginionych ?

Kobieta pokręciła głową.

- Jestem pewna, że mój brat żyje, chociaż nie mam na to żadnych dowodów, ale wiem też, że Gart odszedł na zawsze.

Wojsko zapewniło jej wdowią rentę, ale pieniądze te okazały się niewystarczające w obliczu recesji i napędzanej wojenną machiną inflacji – stąd praca na dwa etaty i chroniczny brak snu.

Viltry zauważył, że deszcz nieco zelżał, niebo troszeczkę się przejaśniło. Musieli wykorzystać tę chwilową poprawę pogody, w przeciwnym razie kelnerka spóźniłaby się na swoją zmianę w fabryce.

Kobieta zamknęła drzwi kawiarni i pobiegli razem po mokrym pomoście w stronę miasta. Na nabrzeżu zapalały się pierwsze latarnie.

a

DZIEŃ 255

Baza lotnicza Theda Południe, 08.00

- Melduję się zgodnie z rozkazem – oświadczył stojącemu przed pancernymi drzwiami marynarzowi Darrow. Żołnierz służb bezpieczeństwa marynarki zerknął na trzymany przez chłopaka dokument, po czym wpuścił go do środka.

Oglądany z zewnątrz, gmach Operacji mógł budzić skojarzenia z kaplicą Ministerium zbudowaną w stylu wczesnego ornatyku, lecz w miejscu charakterystycznych dla tego architektonicznego nurtu spiralnych wieżyczek w niebo wystrzeliwały wsporniki radarowych detektorów, półkoliste okna kryły w swych futrynach opuszczane hermetyczne zasłony, a zamiast w kolorowych witrażach promienie słońca odbijały się w płytach zbrojonego szkła. Operacje wznosiły się na północnym krańcu pasów startowych, otoczone z trzech stron metalowym lasem anten, przekaźników i meteoskanerów, pod którymi rozciągała się połać wyjałowionej ze szczętem ziemi, a powietrze przesycone było zapachem ozonu.

Biegnący przez cały budynek korytarz prowadził do rozlicznych pokojów kontrolnych. Mężczyźni i kobiety w ciemnych uniformach imperialnej marynarki i Departmento Tacticus kręcili się wszędzie z pewnym siebie opanowaniem. Płynące z głośników radiowe komunikaty informowały o mającej nastąpić wkrótce zmianie oficerów dyżurnych. Darrow szedł wzdłuż emaliowanych tabliczek, dopóki nie dotarł do podziemnej klatki schodowej.

Główna część gmachu Operacji znajdowała się w głębokich bunkrach ukrytych pod powierzchnią ziemi.

Docierając na najniższy poziom kompleksu kadet poczuł zimne ciarki. Powietrze było suche, bardzo chłodne. Chłopak pożałował, że nie zabrał swojej lotniczej kurtki, nawet jeśli miałyby to oznaczać paradowanie w rozerwanym rękawie.

Przeszedł przez parę hermetycznych włazów i znalazł się na kolejnym punkcie kontrolnym, gdzie obserwowany przez trzech posępnych strażników oddał swą kartę identyfikacyjną w ręce serwitora Munitorium. Cyborg skontrolował dokumenty, pobrał próbki krwi pilota i wydał mu elektroniczną przepustkę.

Ku zaskoczeniu Darrowa Eads czekał na niego przy następnych drzwiach.

- Zgłaszam gotowość do służby, sir – powiedział kadet salutując starannie.
- I to ma być salut ? – odparł Eads – Witaj w Operacjach, Darrow. Trzymaj się mnie blisko, musisz się wiele nauczyć. Nie bój się zadawać pytań. Jeśli zajdzie taka potrzeba, abys zamilknął, powiem ci o tym.
- Tak jest, sir.

Eads odwrócił się i zaczął iść w stronę centrum Operacji wyszukując drogę za pomocą laski. Darrow trzymał się pół kroku za przelozonym.

- Musisz się przyzwyczać do tytułu młodszego asystenta, Darrow. Nawet ja będę się do ciebie zwracał w ten sposób. Tutaj nie jesteś już pilotem-kadetem, tylko młodszym asystentem kontrolera lotów.

Darrow otworzył usta chcąc o coś zapytać, ale w tej samej chwili Eads uniósł rękę. Mężczyźni weszli do głównej sali Operacji i chłopak wydał z siebie mimowolne westchnienie.

Darrow rozejrzał się oczarowany. Centrum Operacji było wysoką na trzy piętra rotundą, Umieszczono w niej dwa poziomy stacji roboczych, na górny wiodły metalowe schody. Konsolety obsługiwane były przez operatorów imperialnej marynarki, w większości serwitorów podłączonych poprzez interfejsy neuralne do swych pulpity. Piętro wyżej znajdował się poziom obserwacyjny, z którego wyżsi rangą oficerowie śledzili pracę swych podwładnych. Umieszczony pośrodku komnaty wielki projektor holograficzny emitował wysoki na sześć metrów trójwymiarowy obraz taktyczny regionu. Holograf otaczały ekrany z przezroczystego szkła wyświetlające dwuwymiarowe projekcje poszczególnych stref kontroli. Przed każdą taflą szkła stał skupiony oficer planszowy, dzierżący w jednej dłoni świetlne pióro, w drugiej zaś korektor.

Pod ścianami rotundy znajdowały się inne jeszcze terminale, wyrastające z posadzki niczym menhiry. Stacje te, obite drewnianymi panelami i wykończone zdobieniami z brązu, posiadały swe własne monitory i rzutniki projekcyjne.

Pracujący tego dnia ludzie tkwili na swych stanowiskach w milczeniu, z pochylonymi ku ziemi głowami.

Rektor przedstawicielstwa Eklezjarchii w marynarce kosmicznej, ubrany w jasnoniebieskie szaty i szeroki kapelusz, odprawiał właśnie ceremonię pobłogosławienia Operacji. Kiedy przemawiał, z jedną ręką złożoną na piersi, drugą zaś wsuniętą za plecy, towarzyszący mu techkapłani i klerycy krążyli po rotundzie odmawiając modlitwy przy poszczególnych terminalach bądź oferując połączane ampułki z wodą święconą tym członkom Operacji, którzy potrzebowali bardziej osobistego błogosławieństwa. Darrow zauważył, że większość wojskowych prosiła o ampułki, nawet wśród wysokich szarż.

- Niech dzień ten okaże się owocny i szczęśliwy – powiedział rektor – Niech siła woli i trzeźwość umysłu zesłana przez wszechmocnego Imperatora sprzyja wam w dzisiejszej pracy. Niech chwała Najwyższego trwa bez końca, a jego łaski spłyną na nas niczym światło płonące w bezkresnej ciemności. W imię Złotego Tronu, nieśmiertelnego i wszechwładnego, niech tak się stanie.

Rektor nakreślił na piersiach znak orła, powtórzony natychmiast przez wszystkich obecnych w sali.

Jeden z oficerów dyżurnych podniósł się z miejsca, skinął głową rektorowi i oświadczył donośnym głosem:

- Początek zmiany dziennej, 255, 773.M41.

Rotunda ożyła sekundę później, jej ściany wypełniły się gwarem ludzkich głosów, szumem radiowych transmisji, stukotem metalowych klawiatur. Eads kiwnął ręką w stronę Darrowa każąc mu udać się w ślad za sobą.

Eads pełnił funkcję kontrolera lotów, toteż jego stanowisko pracy znajdowało się przy jednej z głównych konsol. Darrow pomógł starszemu mężczyźnie usiąść na wysokim obrotowym fotelu i odłożył jego laskę na bok.

- Transmitter neuralny i wzmacniacz ekranujący poproszę – powiedział Eads. Darrow rozejrzał się wokół, sięgnął po dwa zakończone wtyczkami kable zwinięte na krawędzi pulpitu, podał je przełożonemu. Eads przesunął palcami po wtyczkach rozpoznając ich typ, po czym wsunął transmitter neuralny do niewielkiego gniazda znajdującego się tuż za jego lewym uchem. Drugą wtyczkę, oklejoną paskami pełnymi niezrozumiałych kodów i skryptów, włożył do otworu interfejsu u podstawy karku. Darrow zauważył, że kontroler wzdrygnął się nieznacznie podłączając swe ciało do konsoli.

Pulpit ożył natychmiast, holograficzny projektor zapalił się i zaczął emitować trójwymiarowe obrazy. Na ekranach bocznych monitorów zapłonęły rzędy przesuwających się w szybkim tempie danych. Darrow wiedział, że Eads studiuje wszystkie te informacje korzystając z potoku danych odbieranych bezpośrednio przez mózg.

Kadet rozejrzał się wokół. Przy każdym z pozostałych kontrolerów stał przynajmniej jeden asystent. Żaden z innych kolegów Eadsa nie był niewidomy, chociaż jeden zamiast oczu nosił masywne implanty optyczne, niemal każdy korzystał jednak z cybernetycznego wspomaganie za pomocą transmitterów neuralnych.

- Poproszę o moduł łączności – powiedział Eads.

Darrow zdjął z półeczki słuchawki z mikrofonem, pomógł Eadsowi założyć je poprawnie na głowę.

- Mówi Eads, numer siedem pięć trzynaście – oświadczył kontroler – Rozpoczynam zmianę.

W odpowiedzi w radiu rozbrzmiały stłumione potwierdzenia. Palce mężczyzny zaczęły błędzić po klawiaturze, na ekranie konsoli pojawiły się zmieniające szybko obrazy.

Transmitter neuralny wysyłał dane prosto do umysłu niewidomego kontrolera tworząc w jego myślach wirtualną kopię konsoli.

- Dane meteo poproszę – powiedział Eads i na ekranie natychmiast pojawiła się kolorowa projekcja meteorologiczna w pełnym trójwymiarze – Dane taktyczne i operacyjne – kolejne zmiany w wyświetlanym obrazie, nowe elementy: żółte linie oznaczające korytarze powietrzne, czerwone kropki będące znacznikami punktów zwrotnych, zielone ikonki przedstawiające poszczególne maszyny.

- Ubierz zapasowy zestaw łączności, jeśli masz ochotę posłuchać – powiedział do Darrowa Eads.

Kadet nie zamierzał rezygnować z takiej okazji. W pierwszej chwili po założeniu słuchawek odniósł wrażenie, że jego uszy zalewa bezsensowny potok ludzkich głosów i ryk silników, pisk radiowych zakłóceń, terkot kodu binarnego.

- Skorzystaj z tych potencjometrów, by skalibrować moduł łączności – pokazał palcem stosowny pulpit Eads – Na początek można odnieść wrażenie całkowitego chaosu w tych przekazach, ale szybko nauczysz się selekcjonować niezbędne elementy całości. Przez następne dwie godziny będziemy pełnić rolę kontrolerów lotu dla dwóch kluczy myśliwskich, Umbry Cztery-Jeden i Cztery-Dwa. Parametry misji znajdziesz na tamtym ekranie.

Podenerwowany i spięty Darrow przeczytał pośpiesznie wskazane mu informacje starając się nie uronić z nich ani jednego słowa. Dwa klucze patrolowe, po cztery myśliwce w każdym. Maszyny miały polecieć w głąb Doliny Lidy poszukując intruzów. Czas startu wyznaczono na 08.15.

Darrow spojrział na chronometr wbudowany w górną część konsoli.

Na wyświetlaczu widniała 08.14.

Baza lotnicza Theda Południe, 08.15

- Pasy zapięte ? – krzyknął Racklae, a głos technika z trudem przebił się ponad rosnącym hukiem silników.

Marquall skinął twierdząco głową. Racklae pokazał mu uniesiony w górę kciuk, po czym odpędził szybkimi ruchami rąk czekających wokół maszyny członków obsługi technicznej. Jego ludzie odpięli błyskawicznie ostatnie przewody, odtoczyli w bok wózki narzędziowe. Jeden z techników pobiegł w stronę hangaru pchając przed sobą umieszczoną na kółkach żółtą drabinkę.

Kucający na skrzydle myśliwca Racklae uderzył lekko palcami w usta i uszy. Marquall ponownie odpowiedział mu kiwnięciem głowy i uruchomił komunikator.

- Test, test – powiedział do mikrofonu – Umbra Osiem, Umbra Osiem, jak mnie słyszeć ?

- Umbra Osiem, tu Lider. Odbieram cię głośno i wyraźnie. Wszystko w porządku, Marquall ?

- Tak, ma'am. Zielone kontrolki, powtarzam, zielone kontrolki. Gotowość do startu.

- Przygotuj się, Ósemka.

Marquall nakreślił w powietrzu znak orła i spojrział w stronę Racklae pokazując mu uniesiony kciuk. Szef obsługi technicznej wyszczerzył w uśmiechu zęby, zsalutował i zasunął owiewkę kabiny. Dźwięki docierające do uszu Marqualla uległy natychmiastowej zmianie. Ryk silników zelżał, przeszedł w wyczuwalną teraz wyraźniej ultrasonyczną wibrację. Marquall sprawdził hermetyczność kokpitu i machnął szefowi swych techników dłonią. Racklae ujrzał ten gest, kiwnął głową i zeskoczywszy ze skrzydła popędził co sił w stronę muru ochronnego.

- Umbra Osiem, gotowy do startu.

- Odebrałam, Osiem.

- Umbra Dziesięć, gotowość.

- Umbra Siedem, pełna gotowość.

- Czekać – powiedziała Jagdea – Cztery-Dwa startuje przed nami.

W eterze rozległy się inne głosy, po czym powietrzem wstrząsnął wibrujący jęk, który przeniknął do wnętrza kokpitów i lotniczych hełmów. Z sąsiedniego lądowiska wzniosły się pionowo w górę cztery Thunderbolty, powietrze wokół ich sylwetek falowało rozpalone żarem buchającym z wektorowych silników. Blansher, Asche, Cordiale i Ranfre – odpowiednio Umbra Dwa, Cztery, Jedenaście i Dwanaście.

Prowadzone przez maszynę Blanshera, Bolty zaczęły zwiększać pułap przemieszczając się jednocześnie coraz szybciej do przodu, kąt odrzutu wektorowych napędów zaczął ulegać zmianie. W połowie drogi ku zewnętrznemu ogrodzeniu bazy główne silniki myśliwców buchnęły płomieniami, maszyny skoczyły do przodu nabierając prędkości zdecydowanie szybciej niż chwilę temu.

- Operacje, mówi Lider Cztery-Jeden – Marquall usłyszał w słuchawkach głos Jagdei – Proszę o pozwolenie na start.

- Lider Cztery-Jeden, tu Operacje. Zgoda udzielona. Udanych łowów.

- Cztery-Jeden, mówi Lider. Zaczynamy.

Marquall przesunął przepustnicę i poczuł jak jego samolot drży niczym rozdrażnione zwierzę. Pełna moc wektorowego napędu. *Plama* oderwała się od nawierzchni lądowiska. Chociaż start tego rodzaju pożerał ogromne ilości paliwa, Marquall zdecydowanie preferował wektorowe podnoszenie maszyny. Phantyńczyk szczerze nienawidził startów z ramp, bolesnego kopnięcia raketowego dopalacza. Ku jego starannie skrywanej radości jak dotąd na Thedzie nie zbudowano ani jednej rampy pod Thunderbolty.

Rozejrzał się wokół balansując jednocześnie delikatnie sterami. Po jego lewej w powietrze wzbijała się Umbra Dziesięć. Marquall mógłby przysiąc, że słyszy w eterze pobrękiwanie amuletów Zemmica. Po prawej stronie startowała Jagdea, za jej maszyną dostrzec można było samolot Clovina. Wysokość czterdziestu metrów, perfekcyjna formacja.

- Czekać na rozkaz – powiedziała ostrzegawczo Jagdea. Blansher wołał wyważone starty ze stopniowym zwiększaniem pułapu, Jagdea natomiast lubiła ostre ruszanie z miejsca. Ludzie z phantyńskiej obsługi technicznej dobrze znali jej upodobania, bo na złamanie karku popędzili w kierunku wytłumionych bunkrów.

- Czekać...

Pięćdziesiąt metrów.

- Za mną, naprzód, pełna moc !

Jej Thunderbolt runął do przodu niczym strzała, prując powietrze na pułapie pięćdziesięciu metrów. Clovin mknął tuż za maszyną dowódcy, za jego ogonem trzymał się Zemmic. Marquall odczekał jeszcze moment, kopnął pedał obracający kąt odrzutu wektorowych silników i wystrzelił przed siebie.

Nawierzchnia lotniska przesuwiała się pod jego samolotem niczym taśma filmowa puszczona w przyspieszonym tempie, siła odrzutu wcisnęła mężczyznę w fotel. Mknąc na pełnej mocy Thunderbolty zdążyły się rozpędzić do prędkości sześciuset kilometrów na godzinę jeszcze przed rozpoczęciem zwiększania pułapu.

- Lider Cztery Jeden, opuściliśmy lądowisko. Wchodzimy na wysokość pięciu tysięcy. Kierunek południowy zachód, kurs dziesięć-osiem-cztery.

- Kurs dziesięć-osiem-cztery, potwierdzamy – w eterze zgłosiły się Operacje – Ładny start. Po powrocie oczekujemy przeprosin za popękane bębny.

- Potwierdzam, Operacje. Szybko w górę, szybko w drogę. Tak to właśnie robimy tam, skąd pochodzimy.

- Zrozumiałem. Co jeszcze potraficie robić tam, skąd pochodzicie ?

- Zabijać bandytów.

- Zrozumiałem, Lider. Dobrze wiedzieć. Zwiększcie pułap do dziewięciu tysięcy i obierzcie kurs jedenaście-osiem-pięć, kierunek południowy zachód.

- Potwierdzam odbiór, kurs jedenaście-osiem-pięć. Lider do klucza, kontrola statusu.
- Cztery Jeden, tu Siedem. Wszystko gra.
- Cztery Jeden, tu Dziesięć. W szyku. Ładny dzień dzisiaj.
- Pozostawaj czujny, Zemmic. Przelicz amulety.

Marquall poprawił swoją maskę tlenową.

- Cztery Jeden, tu Ósemka. Jestem z wami.
- Trzymaj się blisko, Marquall. Wszystko będzie w porządku.

Będzie, wiedział o tym. Zamierzał dołożyć wszelkich starań, aby tak było.

Spieprzył wszystko podczas dziewiczego lotu. Oczami wyobraźni wciąż dostrzegał Persa Espere, siedzącego w zbryzganym krwią kokpicie. Obraz ten prześladował go wciąż w snach i na jawie.

Ale Jagdea wcale nie spisała go na straty. Wciąż mógł latać. Był Phantyńczykiem.

Nie zamierzał dać tyłka ponownie.

Aerie eszelonu Natrab, pustynny interior, 08.16

Pierwsze promienie słońca zaśniły na metalowych kończynach serwitorów wnoszących pozłocaną lektykę na przedni pokład startowy *aerie*. Perłowa maszyna tkwiła w swym zaczepie startowym kilka metrów dalej, światło słońca odbijało się od jej ostrych linii kadłuba.

Serwitorzy mamrotali litanie błagalne i bitewne wersety. Pilot-wojownik Khrel Kas Obarkon uśmiechnął się szeroko, kiedy jego lektyka spoczęła na pokładzie. Mężczyzna odpiął ciężkie pozłacane tuby układu podtrzymywania życia łączące go z lektyką i założył na głowę hełm.

Odsunąwszy na bok jedwabne zasłony wyszedł na zewnątrz. Wysoki i szczupły, okryty od stóp po głowę błyszczącym czarnym pancerzem grawitacyjnym, uniósł wysoko w górę swe ramiona. Serwitorzy i niewolnicy upadli bezgłośnie na kolana.

Słońce wznosiło się dopiero ponad linię horyzontu. Platforma pod nogami mężczyzny wibrowała delikatnie w rytm pracy silników pchających gigantyczny naziemny lotniskowiec poprzez piaskowe wydmy interioru.

Obarkon wznosił w górę chorobliwie szczupłą dłoń i jeden z serwitorów podbiegł natychmiast niosąc megafon. Pokryte runicznymi inskrypcjami urządzenie zostało odlane ze szczerego złota na podobieństwo małego dzwonu umieszczonego na szczycie mosiężnej laski. Obarkon sięgnął po zwisający spod dzwonka kabel i wepchnął jego wtyczkę w niewielki otwór w kołnierzu pancerza.

- Piąty eszelon ! – jego lekko zniekształcony, wzmocniony elektroniką głos przetoczył się poprzez wszystkie pokłady lotniskowca – Wy, którzy służycie Anarchowi równie lojalnie jak służy mu Sek. Wysłuchajcie mych słów !

Wszyscy znajdujący się na pokładach lotniskowca piloci-wojownicy Piątego Skrzydła Natrab stanęli na baczność przy swoich samolotach. Niewolnicy oddalili się pośpiesznie w stronę wyjść z hangarów zabierając ze sobą lektyki lotników.

- Anarch nas wzywa, odpowiemy na ten zew ! Kto rozleje krew w przestworzach ?
- My ! – wykrzyczeli piloci.
- Kto zanieś śmierć w niebiosach ?
- My ! – pokłady zatrzęśły się od ludzkiego krzyku.
- Kto pośle ku ziemi trupy naszych nieprzyjaciół ?
- My !
- Do maszyn, wasz wódz wam nakazuje !

Krzyknąwszy raz jeszcze piloci zaczęli zajmować miejsca w kokpitach swych myśliwców. Obarkon odłączył od gniazda wtyczkę megafonu i ruszył o własnych siłach w stronę Hell

Razora. Niezmiennie nalegał na ten pokaz silnej woli, chociaż wiedział, że bez układu podtrzymywania życia nie przetrwa więcej niż dziesięciu minut. Była to demonstracja nieugiętej stanowczości, za którą jego wojownicy kochali go bezgranicznie.

Serwitorzy umieścili ciało Obarkona w kokpicie Razora, automatyczne systemy sterowania dokonały sprzężenia z jego organizmem. Pilot z miejsca poczuł się dużo lepiej, odetchnął z ulgą czując jak aparatura myśliwca przejmuje nad nim opiekę.

Wtyczki interfejsów neuralnych wsunęły się w kręgosłup mężczyzny, elektroniczne układy kokpitu ożyły przesyłając do umysłu pilota informacje o stanie paliwa, zapasie amunicji i poziomie akumulatorów. Obarkon zyskał nawet możliwość spoglądania na świat poprzez lufy swych działek.

Kokpit zamknął się pogrążając wewnątrz kabiny w mroku.

W głowie Obarkona zapłonęły tabele z danymi i wykresy.

- Procedura startu – rzucił w eter.

Powietrze przeszył narastający z każdą chwilą wizg, który eksplodował znieca preraźliwie.

- Start !

Jonowe katapulty włączyły się niemal równocześnie. Perłowobiały Hell Razor wystrzelił w przestworza i tylko grawitacyjny pancierz uratował Obarkona przed zgnieciem ciała pod wpływem potwornego obciążenia. Niczym strzały ciskane z łuków, dwadzieścia innych maszyn pojawiło się znieca w pustynnym powietrzu. Niektóre pomalowano na karmazynowo, inne na fiolet, jeszcze inne były srebrne i czarne.

Razory sformowały szyk wokół samolotu swego dowódcy i cała grupa pomknęła na zachód, w stronę gór. Obarkon przełączył się na tylne kamery i śledził wzrokiem niknący w oddali lotniskowiec Natrab. Rozmiary pojazdu niezmiennie go fascynowały. Był to istny lądowy lewiatan, długi na tysiąc metrów, najeżony bateriami przeciwlotniczymi, toczący się poprzez pustynię na setce kół o średnicy pięciu metrów każde.

Oto potęga Anarcha i Wielkiego Archona, błogosławionego Gaura.

- Skrzydło – powiedział zmieniając częstotliwość – Zaczniemy zabijać.

Kawiarnia na molo, 09.12

- Jesteś dzisiaj wcześniej – stwierdziła Beqa.

Viltry wzruszył przepaszając ramionami.

- Odwołali nasz lot. Niespodziewane naprawy. Może polecimy wieczorem.

- Śniadanie ?

- Poproszę.

- Mam jajka. Jadasz jajka, prawda ?

- Rybie jajka ?

- Nie, nie rybie.

- W takim razie poproszę.

- Usiądź i poczekaj – powiedziała.

Viltry poszedł w stronę swojego ulubionego stolika. W kawiarni panował ożywiony ruch. Przy stolikach siedzieli starsi wiekiem ludzie, którzy przyszli na śniadanie oraz grupki robotników fabrycznych korzystających z okazji do spożycia gorącego posiłku po nocnej zmianie.

Przestworza za przeszklonymi ścianami były puste, bładoniebieskie, wiatr przepędził z nich resztki chmur. Ciemnostalowe morze pienilo się niewielkimi grzywaczami.

Dobry dzień na loty.

- Znasz go ? – spytała z powątpiewaniem Letrice.

- Kogo ?

- Tego dziwaka. Lotnika.
- Tak – odpowiedziała Beqa otwierając lodówkę – Jest w porządku.

Nad Lidą, 10.01

Otrzymali komunikat z Operacji dwadzieścia minut przed końcem patrolu. *Konwój powietrzny atakowany, wymagane natychmiastowe wsparcie.* Z podanych przez kontrolera współrzędnych wynikało, że walka toczyła się nie dalej jak piętnaście kilometrów na południe od ich aktualnej pozycji. Jagdea poleciała natychmiast uruchomić dopalacze i myśliwce popędziły w głąb doliny. Phantyjka połączyła się drogą radiową z Blansherem, poprosiła go o wsparcie. Klucz Blanshera znajdował się czterdzieści kilometrów dalej na północ, wykonując lot patrolowy.

Marquall przełknął nerwowo ślinę, zamrugał spięty. Samoloty znajdowały się na wysokości czterech tysięcy metrów i cały czas zwiększały pułap, świat przesunął się pod ich brzuchami w szaleńczym tempie. Phantyńcy przelecieli nad skupiskiem rolniczym farm, potem nad niewielkim miasteczkiem i rzędem niszczących zakładów przetwórczych. Brzegi rzeki zabrudzone były czerwonym i brązowym osadem, powstałym w latach intensywnego użytkowania zakładów. Gdzieś z przodu w przestworza wzbijał się wielki słup gęstego czarnego dymu.

W ustach Marqualla panowała szorstka suchość.

- Układy celownicze – poleciała Jagdea.

Phantyńczyk starannie uaktywnił systemy celownicze.

- Działka.

Tym razem żadnego błędu. Marquall włączył automatyczne działka, przełącznik aktywujący lasery pozostawił w pozycji „zablokowane”.

Konwój powietrzny składał się z sześciu superciężkich samolotów transportowych typu Onero, eskortowanych przez sześć Lightningów. Na pokładach transportowców znajdowały się zapasy paliwa desperacko potrzebne umykającym na północ imperialnym wojskom zmotoryzowanym. Pełne promethium sześciosilnikowe olbrzymy wlokły się ospale w przestworzach czyniąc z siebie łatwe cele.

Klucz Cztery-Jeden wpakował się w sam środek dzikiej konfrontacji. Jeden transportowiec został już zestrzelony, kula ognia pożarła ponad kilometr kwadratowy urodzajnych nadrzecznych pól. Z miejsca upadku maszyny w niego wzbijał się gigantyczny słup dymu, który piloci mieli sposobność zauważyć wcześniej. Inny Onero ciągnął za sobą smugę oparów buchających z przestrelonego silnika, tracił wysokość. Napastnicy zdążyli też stracić co najmniej trzy Lightningi eskorty.

Wokół konwoju uwijało się ponad piętnaście czarnych i czerwonych samolotów, umykających przed seriami pocisków smugowych wystrzeliwanych z wieżyczek transportowców. Hell Razory. Nim jeszcze Phantyńcy znaleźli się w strefie rażenia swej broni pokładowej, Marquall dostrzegł jak smolście czarny Razor wchodzi na ogon Onero i posyła w imperialną maszynę długą serię laserowych wiązek. Transportowiec eksplodował w powietrzu. Na niebie wykwitła gigantyczna kula ognia; tak upiornie gorąca, że wszystkie szczątki Onero wyparowały w ułamku chwili. Pilot zmrużył oczy osłepiony tym rozbłyskiem, zamrugał rozpaczliwie.

Komunikator zatrzeszczał, głos Jagdei był ostry, twardy. Wypowiedziała cztery krótkie słowa.

- Złamać szyk. Zabić ich.

Zemmic odbił w lewo, Clovin w prawo. Marquall trzymał się na siódmej Jagdei, dopóki obydwie Thunderbolty nie wpadły prosto w środek podniebnej bitwy. Przestworza pełne były śmigających we wszystkie strony samolotów, pocisków świetlnych, smug kondensacyjnych i

dymu. Zbyt wiele obiektów, by śledzić je wszystkie jednocześnie wzrokiem. Imperatyw: skoncentrować się na bandytach. Też nie na wszystkich, tylko na tych stanowiących relatywnie łatwy cel, ze zbliżoną do jego własnej prędkością i zbieżnym kursem.

Dwa samoloty po prawej, lecące w drugą stronę, nie było nawet sensu o nich myśleć. Następny, jaskrawo czerwony, pnący się stromo w górę. W życiu nie zdążyłby go dopaść. Jeszcze jeden, na dziesiątej... nie. Lightning, refleksy słonecznego światła na pokrytych aluminiową powłoką skrzydłach. *Unik, unik, tańcz w powietrzu, lataj w arytmiczny sposób. Polecisz w linii prostej dłużej niż pięć sekund, a będziesz mógł sobie wymalować na tyłku tarczę strzelniczą.*

Hexan, starszy wiekiem instruktor w akademii lotniczej. Jego mantra, jego słowa. W myślach Marqualla dźwięczały nauki wygłaszane przez wrednego sukinsyna należącym do jego klasy kadetom.

Bandyta. Pilot rzucił maszynę w ciasny skręt. Niedobrze, heretyk odszedł w przeciwną stronę ciasnym łukiem, wypadł poza pole widzenia Phantyńczyka. Cholera. Następny... ale Clovin siedział bandycie na ogonie, nos Umbry Siedem tryskał wiązkami laserowego światła. Trafienie? Marquall nie zdążył już tego zauważyć, przemknął ponad Clovinem, ciasny skręt wyniósł Thunderbolta tuż pod jeden z transportowców. Wieżyczki Onero natychmiast wzięły go na celowniki, ścigając maszynę strugami żółtych pocisków smugowych.

- Eskorta! Eskorta! Eskorta! – wrzasnął do mikrofonu wiedząc już, że jego słowa nie zdadzą się na wiele. Przerażeni do granic możliwości strzelcy pokładowi w transportowcach gotowi byli rozwalić każdy obiekt pojawiający się w ich polu widzenia.

Rzucił samolot w następny skręt i karmazynowy bandyta przemknął mu tuż przed nosem. Marquall wdusił spust bez chwili namysłu, *Plama* zadygotała pod wpływem wyrzucanych z luf pocisków. Trafienie? Kiepskie szanse. Nieważne, kolejny gdzieś z boku. Gra cały czas trwa.

Jagdea nigdzie nie mogła dostrzec Marqualla, ale po chwili przestała zawracać sobie tym głowę. Nie miała czasu na niańczenie chłopaka. Heretycy dysponowali sporą przewagą liczebną, posiadali maszyny równie szybkie, zwrotne i odporne na uszkodzenia jak Thunderbolty. Jej pierwszy zwrot wyprowadził kobietę prosto na ogon jakiegoś bandyty, ale przeciwnik umykał zwrotem w przeciwną stronę i zwał jej z celownika, nim zdążyła nacisnąć spust.

Manewrując sterami przewaliła samolot na prawe skrzydło i dostrzegła przemykającego poniżej jej maszyny szkarłatnego Razora. Heretyk pędził za jednym z Lightningów, trzymając się uparcie jego szóstej. Pilot marynarki robił wszystko, by pozbyć się prześladowcy, ale napastnik nie dawał się zgubić.

Jagdeaomal nie musiała ubiec się do pętli, by znaleźć się za heretykiem. Leciała pod zbyt ostrym kątem, więc nie otworzyła z miejsca ognia, tylko cisnęła maszynę w drugą stronę wyrównując kurs z ofiarą. Heretycki pilot musiał ją zauważyć, bo natychmiast odszedł w bok dzikim unikiem. Instynkt Phantyjki nie zawiódł jej i tym razem. Jagdea miała niezwykły dar przewidywania intencji przeciwnika, chociaż sama twierdziła, że była to tylko kwestia elementarnej logiki. Często próbowała odgadnąć zamiary wroga stawiając na jego miejscu siebie samą. Blansher zauważył kiedyś, że skoro była to aż tak prosta sztuczka, dlaczego żaden inny członek skrzydła nie potrafił z niej równie efektywnie korzystać. Gdy Razor zaczął odchodzić w bok, poszła bez zwłoki w jego ślady, identycznym kursem. Dwa naciśnięcia spustu, cztery laserowe wiązki. Wszystkie cztery wgrzyły się w ogonowe dysze Razora i przeistoczyły go w dymiącą chmurę metalowych szczątków.

Niewielkie kawałki kadłuba i skrzydeł zastukały z trzaskiem w jej maszynę. Niemal natychmiast usłyszała ostrzegawczy pisk antylokalizatora. Ktoś siedział jej na ogonie.

Powietrze przeszły jaskrawe pociski smugowe. Wykonała ciasny zwrot, wyniosła maszynę w górę używając napędu wektorowego, bandyta śmignął obok niej lecąc dalej.

Następny. Nie, dwa. Jeden czerwony, drugi fioletowy, mknące w kierunku transportowca z uszkodzonym silnikiem. Kadłub wielkiego Onero podziurawiony był w dziesiątkach miejsc, wylewające się z przebitych zbiorników paliwo wyciekało przestrzelinami na zewnątrz maszyny.

- Nic z tego – wysyczała Jagdea czując jak przeciążenie wydusza z jej płuc resztki powietrza. Spadała pod złym kątem, ale nie miała już czasu na manewr korygujący. Seria z laserowych działek. Czerwony Razor stracił spory fragment prawego skrzydła i wpadł w dziki korkociąg oddalając się ku powierzchni ziemi. Fioletowa maszyna odbiła raptownie w bok, zaczęła uciekać pod ostrym kątem, na granicy wytrzymałości ludzkiego organizmu.

I eksplodowała. Najpierw nastąpił jeden wielki wybuch, zaraz potem dwa mniejsze, które obróciły w deszcz drobnych odłamków resztki rozerwanej pierwszą detonacją maszyny.

Bolt Milana Blanshera przemknął obok samolotu Jagdei.

Klucz Cztery-Dwa włączył się do akcji.

Baza lotnicza Theda Południe, 10.07

Poprzez rotundę Operacji przebiegł niski pomruk ludzkich głosów. Eads był w tym momencie jedynym kontrolerem nadzorującym maszyny związane walką. Dzieląc uwagę pomiędzy dozór nad własnymi samolotami i wydarzeniami nad Doliną Lidy, inni kontrolerzy spoglądali ustawicznie w stronę Eadsa. Darrow czuł się jakby celowano w niego przeciwlotniczymi reflektorami. Oficer dyżurny Operacji stanął za plecami Eadsa.

- Status ?

- Cztery-Jeden i Cztery-Dwa weszły do walki. Początkowa liczebność przeciwnika wynosiła szesnaście maszyn, do tej chwili zarejestrowano cztery zestrzały.

Pomruk głosów przybrał na sile.

- Status grupy zaopatrzeniowej ? – zapytał dyżurny. Był to niski korpulentny mężczyzna o nazwisku Banzie, noszący purpurowy uniform marynarki z wysokim sztywnym kołnierzem.

- Dwa tankowce spadły, jeden jest uszkodzony. Trzy maszyny eskorty spadły – głos Eadsa był cichy i odległy, mężczyzna patrzył przed siebie w pustą przestrzeń, sortując w myślach słane wprost do umysłu informacje, jego ręce przesuwają się po konsolocie korygując ustawienia instrumentów. Oficer planszowa tkwiąca przy przezroczystym ekranie ustawionym przed konsolietą Eadsa nanosiła bez ustanku nowe pozycje maszyn na szkło za pomocą świetlnego pióra.

Darrow dopiero teraz uświadomił sobie, dlaczego w Operacjach panowała tak niska temperatura. Ciepło mogło osłabiać czujność kontrolerów, usypiać ich, rozleniwiać.

- Wsparcie ? – zapytał Banzie.

- Zalecane. Mamy coś w pobliżu ? – odparł Eads.

- Wymagana asysta ! – krzyknął w głąb rotundy Banzie – Raportować gotowość !

- Mam 44 Skrzydło, sześć maszyn, czternaście minut lotu – zgłosił siedzący konsolietę dalej kontroler.

- Negacja, zbyt daleko – wymamrotał Eads.

- 101. Cztery maszyny, wracające znad Północnych Makanitów. Trzy minuty – odezwał się inny dyspozytor lotów.

- Stopień przydatności ? – zawołał Banzie.

- Są w powietrzu od dwustu minut, raz uczestniczyli w walce. Jeśli się włączą, czas operacyjny skróci im się do pięciu minut.

- Ktoś jeszcze ?! – nie ustępował Banzie.

Nikt nie miał samolotów w odległości mniejszej od czternastu minut lotu.

- Kontrolerze ? – chrząknął Banzie.

- Właśnie spadł kolejny Lightning, sir – zameldował Eads – I... nie mogę tego natychmiast potwierdzić, ale wygląda na to, że straciliśmy też jedną Umbre. Potwierdzenie w drodze.

Banżie skinął głową, wyprostował się podnosząc ton głosu do poziomu instruktora musztry.

- Pozwolenie na wejście do akcji. Proszę ich naprowadzić.

Darrow przechylił się w bok obserwując kontrolera siedzącego po drugiej stronie rotundy, przyciskającego do ust mikrofon modułu łączności.

- 101, 101, mówią Operacje. Rozkaz asysty. Potwierdźcie odbiór.

Ze głośników płynął szum radiowych zakłóceń. Oficer planszowy stojący przed pulpitem kontrolera zaczął nanosić z wprawą na szkło pozycje klucza. I wtedy Darrow dosłyszał końcówkę wypowiedzi dyspozytora.

- Odebrałem, Apostołowie. Jestem pewien, że ucieszą się na wasz widok.

Apostołowie ! Święty Tronie ! Serce Darrowa zaczęło bić szaleńczo. Asystent spojrzał na swego przełożonego. Na czole Eadsa lśniły krople potu.

- Uzyskano potwierdzenie – powiedział kontroler – Straciliśmy jedną Umbre.

Nad Lidą, 10.08

- Gdzie jest Clovin ?! Gdzie jest Clovin ?! – krzyknęła w eter Jagdea. Chwilę wcześniej dostrzegła kątem oka jakiś samolot, który uderzył w uprawne pola zmieniając się w kulę ognia. Nie mogła się oprzeć wrażeniu, że był to Thunderbolt.

- Brak kontaktu wizualnego ! – zgłosiła Asche.

- Nigdzie go nie widzę ! – dodał Ranfre.

- Na Tron, w co ty nas wciągnęłaś ?! – krzyknął Cordiale. Jagdea spostrzegła go na ułamek chwili w dole, poniżej jej maszyny, uciekającego wściekłymi unikami przed siedzącym mu na ogonie bandytą. Przystworza pełne były pocisków smugowych i wiązek laserowego światła. Jej własne akumulatory zostały wyczerpane, Phantyjce pozostały wyłącznie zwykłe działka z konwencjonalną amunicją.

Coś opływowego i białego przemknęło przed nosem jej maszyny, popędziło za Boltem Zemmica.

- Widziałas go ? – w eterze odezwał się Blansher.

- Powtórz ! – odkrzyknęła Jagdea.

- Perłowobiały bandyta. Ten skurwysyn załatwił Clovina.

Bolt Blanshera zrównał na chwilę lot z jej maszyną, zaraz odbił jednak w bok. Pod myśliwcem Jagdei przeleciała ukośnie Asche, w ślad za nią pędził Marquall.

- Umbra Cztery-Jeden, tu Operacje. Przydzielamy wam wsparcie. Czas przybycia trzy minuty.

- Potwierdzam – wykrztusiła wciśnięta w fotel siłą przeciążenia Phantyjka.

Zemmic mignął jej na moment przed oczami, uciekający przed ścigającym go przeciwnikiem. Z prawego silnika Thunderbolta buchały kłęby dymu.

- Umbra Dziesięć, Umbra Dziesięć, mówi Lider. Opuść natychmiast strefę walki.

- Dam radę...

- Wykonaj rozkaz, Dziesiątka. Wyjdź z walki i wracaj do bazy.

- Przyjąłem, Lider.

Biały bandyta wychynął spośród warstwy chmur, na ogonie siedzieli mu Blansher i Asche. Uznając heretyka w myślach za martwego Jagdea zmieniła raptownie tor lotu. Szukała innego celu.

Pałący się Onero uległ w końcu pożarowi. Jego ogarnięte płomieniami skrzydło odłamało się u nasady i potężna maszyna runęła niczym meteor ku powierzchni ziemi. Kolejny

jaskrawy rozbłysk wybuchu, kolejny fragment urodzajnej ziemi obrócony w popioły. Jagdea spostrzegła wyrywane falą uderzeniową wybuchu drzewa, przewracane silosy zbożowe.

Czarny Razor śmignął w celowniku Phantyjki pędząc w ślad za maszyną Ranfre. Kobieta włączyła hamulce aerodynamiczne, jęknęła czując wrzynające się w jej ciało pasy uprząży. Thunderbolt runął nosem w dół ruszając w pościg za bandytą. Zaczęła strzelać. Razor odbił natychmiast w bok, oderwał się od ogona Ranfre. Jagdea trzymała się go uparcie, zmieniła kąt zwrotu, pochwyciła heretyka w środek układu celowniczego.

- Bang – powiedziała.

Umykający szerokim łukiem Razor przeistoczył się w deszcz płonących szczątków.

Blansher zamrugał zdumiony. Miał perłowego zabójcę Clovina na celowniku, lokalizator sygnalizował odłożenie stosownej poprawki.

A bandyta zniknął sekundę później bez śladu.

Phantyjczyk skręcił gwałtownie w bok oczekując jakiegoś fortelu. Samolotu wroga nadal nigdzie nie było widać.

- Umbra Cztery, Umbra Cztery, zdjęłaś go ?!

- Neguję – odparła Larice Asche – Kurwa, Mił, on cię wykiwał ! Widzę go, jest dokładnie pod tobą !

Blansher obrócił Bolta do góry nogami, pociągnął drążek sterowniczy na siebie wchodząc łukiem w lot nurkowy. Asche trzymała się blisko partnera, pruła seriami w kierunku białego Hell Razora. Bandyta wywijał się jej szaleńczymi unikami, cały czas kopiując przy tym manewry Umbry Dwa.

Coś takiego nie miało prawa się zdarzyć, to było prawdziwe szaleństwo. Blansher i Asche stanowili parę asów Jagdei, byli jej najlepszymi pilotami. Jak ten człowiek mógł wodzić ich oboje bezkarnie za nos ?

Asche złapała heretyka w końcu w celownik, ale natychmiast zdjęła kciuk ze spustu, bo w jej polu widzenia pojawił się Bolt Blanshera. Skurwysyn po prostu się z nimi bawił !

Razor wykonał przewrót przez skrzydło, przyśpieszył i podziurawił jedno ze skrzydeł Blanshera serią pocisków z działek. Asche odpowiedziała ogniem, pozostawiła kilka ciemnych przestrzelin na statecznikach Razora. Heretyk uciekł jej gwałtownym unikiem i wystrzelił ponownie. Prawy silnik Blanshera eksplodował rzygając płomieniami i dymem.

Ciągnąc za sobą warkocz dymu Umbra Dwa odłączyła się od walki, zaczęła obniżać pułap. Pilot Razora najwyraźniej zastanawiał się przez chwilę, czy nie popędzić w ślad za ofiarą, ale zaraz skręcił w inną stronę. Asche wciąż trzymała się jego ogona, z szerokim uśmiechem ukrytym pod maską tlenową.

I wtedy... samolot znowu zniknął. Odwróciła gwałtownie głowę rozglądając się wkoło. Laserowe wiązki trafiły w jedno z jej skrzydeł.

Był za nią. Antylokalizator zaczął piszczeć.

Cztery pomalowane w kremowe barwy Thunderbolty nadleciały z południa strzelając z wszystkich luf.

Jeden z nich przemknął z mistrzowską precyzją tuż pod maszyną Asche i posłał długą serię w kierunku perłowego Razora. Heretyk odskoczył w bok, przyśpieszył gwałtownie oddalając się z dużą prędkością.

Biały Thunderbolt zrównał tor lotu z Asche.

Jeden z Apostołów. Pilot pokiwał jej w przyjaznym geście skrzydłami.

- Serdeczne dzięki – rzuciła w eter podziękowania.

Tak pewnie siebie, tak efektywnie – czterech Apostołów włączyło się w powietrzną bitwę niemal natychmiast ją kończąc, na podobieństwo ochraniarzy zaprowadzających porządek

podczas bójki w tawernie. Seekan zestrzelił jednego przeciwnika, jego skrzydłowy Suhr drugiego. Skórę Asche uratował legendarny Quint, as nad asami.

Bandyci zaczęli wycofywać się z walki, odlatywać w stronę gór.

Wtedy Asche spostrzegła perłowobiałego zabójcę wchodzącego na ogon Marqualla. Chłopak ścigał jednego z uciekających bandytów, strzelając z wszystkich luf i nie zwracając uwagi na swe otoczenie.

- Umbra Osiem ! Łam szyk ! Łam szyk ! – krzyknęła Asche.

Zaczęła obracać Bolta w tamtą stronę, maszyna Jagdei przemknęła tuż obok niej.

Heretyk znajdował się dokładnie na szóstej Marqualla.

Pisk antylokalizatora. Marquall krzyknął z bezsilną złością. Nie potrafił zgubić prześladowcy.

I wiedziony zrodzoną z tej bezsilności desperacją Vander Marquall zrobił jedyną rzecz, jaka przyszła mu na myśl. Odpalił raketowy napęd swego Thunderbolta. Dopalacz ten przeznaczony był wyłącznie do procedury ekspresowego startu, nikt nigdy nie używał go w trakcie walki. Sam taki pomysł stał w całkowitej sprzeczności z lotniczymi podręcznikami. *Odpal raketę i stracisz panowanie nad maszyną.*

Marquall odpalił ją mimo wszystko.

Przestworza i ziemia zlały się ze sobą w jeden pas rozmazanego obrazu. Pilot stracił na krótką chwilę orientację.

Ale mimo wszystko wciąż leciał przed siebie.

Perłowobiały Razor skręcił w bok, najwyraźniej zdumiony nieoczekiwaną ucieczką przeciwnika.

- Jest twój, Harlsson – w radiu rozległ się spokojny opanowany głos Seekana.

- Przyjąłem, Lider – potwierdził Harlsson.

Major Velmed Harlsson, dziewięćdziesiąt siedem zestrzałów. Jagdea obserwowała z zawodowym uznaniem ruchy jego samolotu. Perfekcyjny zwrot. Świetne wyczucie zapotrzebowania na moc silników. Apostoł dosłownie wślizgnął się na szóstą heretyka i stworzył ogień.

Lecz jakimś cudem bandyta zdołał mu się wymknąć, cisnąć maszyną w tył za pomocą wektorowego napędu, znaleźć się za plecami Apostoła.

Jagdea usłyszała w eterze głos Harlssona. Wyłapała zaledwie nutkę zmieszania w jego chłodnym opanowanym głosie.

- Namierzył mnie – zaczął Harlsson – Seekan, gdzie jesteś...

Seria z działek Razora rozdarła ogonowe stateczniki myśliwca. Harlsson szarpnął drążkiem sterowniczym próbując odzyskać panowanie nad obracającą się w niekontrolowany sposób maszyną. Wielki srebrny kształt jednego z transportowców wypełnił znienacka całkowicie pole widzenia pilota.

Uszkodzony Thunderbolt uderzył w bok Onero z prędkością pięciuset kilometrów na godzinę.

Wielka kula ognia rozpalila jaskrawym blaskiem przestworza.

Baza lotnicza Theda Południe, 10.18

- Straciliśmy Apostoła ! – krzyknął kontroler stojący po przeciwnej stronie sali. Przez pomieszczenie przebiegła fala zduszonych pomruków.

Darrow spojrział na Eadsa, ten zaś westchnął ciężko.

- Nieprzyjaciel odrywa się z walki. Bandyci wycofują się.

Banzie kiwnął głową, słowom kontrolera odpowiedziały sporadyczne oklaski. Eads spojrział w stronę Darrowa.

- Biały bandyta. Perłowobiały. Coś ci to mówi ?
- Wygląda znajomo, sir – skinął głową chłopak.
- Ten pilot to diabeł. Prawdziwy diabeł. Napisz jeszcze jeden raport ze swego spotkania z nim, ja go powielę. Nasi lotnicy muszą wiedzieć wszystko na temat tego przeciwnika. Napisz wszystko, co pamiętasz, asystencie.
- Tak jest, sir.

a

DZIEŃ 256

Starówka Thedy, 00.10

Otrzymany adres doprowadził Phantyjkę do zamożnej kamienicy na Gehnstal, jednej z wielu eleganckich budowli wznoszących się ponad wybrukowaną drobną kostką promenadą. Większość budynków została opuszczona całkiem niedawno z powodu zbliżającej się linii frontu, ale niszczące przybudówki dostrzegane w tylnej części obejść zdradzały, że bogata niegdyś okolica popadała w niełaskę od dłuższego już czasu.

Jagdea zaparkowała pożyczony z parku maszynowego bazy samochód na krawężniku, wyłączyła silnik i wysiadła na zewnątrz. Zza zamkniętych okiennic odnalezionej przez nią kamienicy sączyło się silne światło.

Wyglądziła dłońmi swój wyjściowy mundur i wspięła się w stronę szerokich frontowych schodów. Odniosła wrażenie, że do jej uszu dociera dźwięk śpiewów. Stając przed drzwiami odnalazła sznurek dzwonka, pociągnęła za niego ostrożnie. Z głębi domu dobiegły melodyjne dźwięki dzwonków.

Drzwi otworzyły się po krótkiej chwili, odsłaniając oświetlony przygaszonymi lampami hol. Przed gościem wyrósł bogato zdobiony serwitor o srebrnym korpucie.

- Och – Phantyjka nie zdołała powstrzymać okrzyku zaskoczenia – Szukam... czy to Gehnstal 133 ?
- Tak, pani komandor – odparł serwitor posługując się elegancko modulowanym męskim barytonem płynącym z wbudowanego w czaszkę wzmacniacza. Cyborg z miejsca poprawnie rozpoznał jej rangę.
- Szukam kwater Apostołów. 101 Skrzydła.
- Proszę wejść – odparł serwitor.

Faktycznie, z głębi budynku dobiegały dźwięki muzyki. Ze staromodnego odtwarzacza płynęły tony *Gaudete Terra* Fransa Talfera, towarzyszyły im męskie śpiewy.

- Proszę za mną – powiedział serwitor – Czy mogę prosić o pani nazwisko, komandor ?
- Jagdea – odpowiedziała.

Serwitor wyciągnął swe podłużne posrebrzane dłonie i otworzył delikatnie podwójne drzwi sali bankietowej. Z wnętrza pomieszczenia buchnęło jaskrawe światło i dźwięki muzyki.

- Komandor Jagdea – zaanonsował gościa służący.

Śpiewy umilkły, ale muzyka grała dalej sącząc się z antycznego gramofonu ustawionego pod przeciwną ścianą sali. Seekan podniósł się z eleganckiego fotela.

- Dobry wieczór, pani komandor.

W pokoju znajdowało się jeszcze sześciu innych Apostołów. Wszyscy z nich – również Seekan – mieli na sobie galowe uniformy obwieszane rzędami medali. W rękach trzymali szklanki, najwyraźniej pili od dłuższego już czasu, zdradzały to poczerwieniałe twarze i rozpięte kurtki.

Tylko Seekan sprawiał wrażenie równie świeżego jak poranny przymrozek.

- Przepraszam – powiedziała Jagdea – Chyba przeszkadzam.
- Raczej nie – odparł Seekan – Domo, poproszę o drinka dla pani komandor.

Serwitor udał się natychmiast w stronę barku z alkoholem.

- Czy to dowódca Phantyńczyków ? – zapytał jeden z Apostołów. Był to rosły mężczyzna o przekrwionych oczach świadczących o nadmiarze spożytego amasecu.

- Tak, Ludo. Komandor Jagdea, pozwoli pani, że przedstawię majora Ludo Ramię.
- Dobry wieczór, proszę pani – skinął głową olbrzym.
- Major Ziner Krone. Major Jeric Suhr.

Suhr okazał się szczupłym mężczyzną o ostrych rysach twarzy. Ukłonił się grzecznie gościowi. Krone był człowiekiem o dostojnej aparycji; zapewne Glavianinem, sądząc po barwie lśniącej czarnej skóry. Jego twarz poznaczona była bliznami na lewym policzku. Również się ukłonił, po czym odszedł w kierunku gramofonu i zaczął zmieniać płytę.

- Kapitan Guis Gettering – Gettering był niskim jowialnym pilotem o krótko przyciętych piaskowych włosach. Stał przy stole trzymając w dłoni kryształową karafkę – Dobry wieczór.

- A to major Dario Quint.

Quint. As nad asami. Siedzący w ustawionym w jednym z rogów pokoju Apostoła sprawiał wrażenie raczej obserwatora niż uczestnika bankietu. Okazał się zaskakująco niskim mężczyzną, dobrze zbudowanym, o chłopcęcej twarzy i włosach upstrzonych pasemkami siwizny. Ręce skrzyżował na piersiach. Nie wstał z miejsca, wpatrywał się w Jagdeę przenikliwym wzrokiem nie wypowiadając ani jednego słowa.

Serwitor podał kobiecie kieliszek joiiliqi. Ujęła w dłoń naczynie, chociaż nie miała na drinka najmniejszej ochoty.

- Chciałam... – urwała, chrząknęła z zakłopotaniem – Uznałam, że zjawię się osobiście, by przekazać podziękowania własne i moich ludzi za waszą asystę. Zwłaszcza, jeśli weźmiemy pod uwagę jej koszt.

- Pani również straciła maszynę, nieprawdaż ? – zapytał Ramia.
- Tak, to prawda. Ale utrata jednego z Apostołów...

Ramia przerwał jej głośnym parsknięciem.

- Harlsson był niedorozwiniętym dupkiem. Nie potrafiłby latać nawet balonem.

Jagdea poczuła się wstrząśnięta.

- Czy... słucham ?

- To był bezużyteczny balast – pokiwał głową Suhr – Niech się pani nie pograża w tak cholernym szoku. Harlsson latał tylko dzięki fartowi, nie miał grama talentu. To cud, że przeżył aż tak długo.

Jagdea zeszytywniała ogarnięta nagłym gniewem. Odłożyła nietknięty kieliszek na blat stołu.

- Chciałam przekazać swoje podziękowania i wyrazy współczucia. Zrobiłam to, więc czas się pożegnać.

- Uratował dupę tego małego pyszałka, prawda ? – zapytał zniecierpliwiony Gettering. Zmierzająca już w stronę drzwi Jagdea przystanęła w miejscu, obróciła w stronę Apostoła.

- Słucham ?

- Harlsson. Próbował spędzić Razon z ogona pani chłopaczka. Nieprawdaż ? Tego cwaniaczka, który uważał, że nazwanie samolotu mianem *Dwugłowego Orła* było dobrym pomysłem.

- Ten temat jest już zamknięty, kapitanie, chociaż pilot pierwszej klasy Marquall wciąż oczekuje na pańskie pisemne przeprosiny. I myli się pan. Marquall zdążył wcześniej pozbyć się ogona.

- Naprawdę ? – spytał z ironią Gettering.

- Użył rakietowego dopalacza – wyjaśnił Suhr.

- Żartujesz ? – Gettering wybuchnął śmiechem, dołączył do niego Ramia – Więc to on okazał się waszą stratą ?

- Nie – odpowiedziała Jagdea – Marquall odzyskał kontrolę nad swoją maszyną.

Gettering spoważniał, a jego spojrzenie pełne było niedowierzania. Przez chwilę wydawało się, że zarzuci Phantjyce kłamstwo, zamiast tego odwrócił się jednak na pięcie i zaczął spoglądać w inną stronę. Gramofon wyrzucił z siebie potok dźwięków – Krone włączył *Salve Beatus Nunciusa*; głośniejsze, niż pozwalała na to grzeczność w stosunku do gościa. Jagdea wyszła z sali.

- Pani komandor ! – Seekan dogonił ją w holu wejściowym. Z pomieszczenia za jego plecami dobiegały przybierające na sile pijackie śpiewy.

- Proszę wybaczyć zachowanie moich ludzi, komandor Jagdea. Radzą sobie ze stratą w specyficzny sposób.

- Wyprawiając dekadenczną imprezę i szkalując pamięć zmarłego człowieka ?

- Można odnieść takie wrażenie – przyznał Seekan – W duszach tych mężczyzn nie ma zbyt wiele miejsca na uczucia, Jagdea. Oni pławią się w śmierci, są odporni na jej dotyk.

- Ale nie są nieśmiertelni – sarknęła w odpowiedzi.

- Nie. Nie to miałem na myśli. Weźmy chociażby pani jednostkę. Wyobrażam sobie ten smutek i żal. Oplakiwanie przyjaciela, który odszedł na zawsze.

Jagdea kiwnęła bez słowa głową. Taki właśnie nastrój panował w kwaterach, kiedy wyjeżdżała. Kilka osób wzniosło toast ku pamięci Clovina, ale generalnie nikt nie kleił się ani do rozmów ani do świętowania.

- Przypomina to mnie samego w pierwszych latach służby – ciągnął dalej Seekan – Ale Apostołowie są zmęczeni wojną. Kiedy powiedziałem, że jesteśmy odporni na dotyk śmierci, miałem na myśli fakt, że my nie czujemy już tego, co wy. Nie ma w nas żalu, smutku, gniewu, rozpacz. Pozostaje wyłącznie akceptacja tego, co nieuniknione. Gdy ginie któryś z Apostołów, ubieramy nasze białe galowe uniformy, przypinamy wszystkie odznaczenia i pijemy na umór. Śpiewamy i pijemy bez końca. Robimy to, by pokazać przeznaczeniu lub fortunie lub temu, co jeszcze czai się gdzieś tam w mroku, że o nic nie dbamy.

Jagdea nie miała pojęcia, co właściwie powinna odpowiedzieć. Seekan zniżył jeszcze bardziej ton.

- Jesteśmy czubkami, Jagdea. Wiesz, dlaczego należymy do grona Apostołów ? Nie dlatego, że jesteśmy wyjątkowymi pilotami. Nie tylko dlatego. My, Apostołowie, posiadamy nadnaturalne szczęście. Powinniśmy umrzeć dawno temu, ale niezwykłym zbiegiem okoliczności nikt nie upomniał się dotąd o nasze dusze. Wciąż latamy i zabijamy. A prędzej czy później śmierć i tak nas dopadnie. Dzisiaj przyszła kolej na Harlssona.

- To godne pożałowania podejście do życia – oświadczyła Jagdea – Harlsson faktycznie był tak nie lubiany ?
- Któż to wie ? Chyba nie. Z pewnością był dobrym pilotem. Ale w naszym gronie nie ma przyjaciół. To bezsensowne. Kiedy stajesz się Apostołem, przyjaciele oznaczają dla ciebie niebezpieczną słabość.
- Żal mi was – powiedziała Jagdea.
Seekan wzruszył ramionami.
- Nie potrzebujemy niczyjego żalu – mężczyzna urwał na moment – Wiesz, co zamierzam zrobić dziś rano ?
- Nie.
- Mój kierowca zabierze mnie w dół wybrzeża do bazy lotniczej Madenta. Jest tam pewien pilot, służący w 567 Skrzydle. Nazywa się Saul Cirksen. Siedemdziesiąt dwa zestrzały, wyśmienite noty. Zamierzam poprosić go, by zajął miejsce Harlssona.
- Zaakceptuje tę propozycję ?
- Jeśli ktoś prosi cię, abyś została Apostołem, Jagdea, nie wolno ci odmówić.
Kobieta otworzyła frontowe drzwi. Nocne powietrze było zimne i pachniało deszczem. Dźwięki śpiewu dobiegające z wnętrza sali bankietowej przeszły w nieskładne bełkoty.
- Dziękuję za pani współczucie – powiedział Seekan – Nie jest ono aż tak niepożądane jak można było wywnioskować.
Jagdea zasalutowała krótko.
- Udanych łowów – odrzekła i wyszła na ulicę.

Autostrada Nadbrzeżna, 05.50

W pierwszej chwili pomyślał, że to poranna burza, rozjaśniająca ognikami błyskawic linię skąpanego w mroku przedświt horyzontu.

Dopiero po kilku sekundach pojął, co takiego właściwie widzi.

Zahamował gwałtownie zatrzymując ciężki samochód na krawędzi utwardzanej nawierzchni, wyskoczył na zewnątrz szoferki z lornetką w rękę. Pozostałe siedem ciężarówek konwoju zahamowało w ślad za jego wozem. Transport wiozł nocną dostawę amunicji do bazy lotniczej Fetona i miał już spore opóźnienie. Kilku szoferów zaczęło trąbić, inni zaczęli deptać po pedałach gazu. Niektórzy w końcu nie wytrzymali i wysiedli.

Znaleźli Kamińskiego po drugiej stronie pasa jezdni; w miejscu, gdzie pobocze drogi zaczynało przechodzić w wyschnięty rów melioracyjny. Ta część półwyspu była pusta, porośnięta rzadką roślinnością, usiana kamieniami. Nawet w chłodnym mroku przedświt nic nie ograniczało obserwatorowi pola widzenia poprzez całą Dolinę Lidy.

Kamiński spoglądał w głąb półwyspu przez szkła lornetki.

- Co się kurwa dzieje ? – zapytał Velligan.
- Kamiński, w czym problem ? – odezwał się stojący za pierwszym kierowcą Anderchek.
- Widzicie ? – powiedział Kamiński – Tamtą łunę ? To pożary. Miasta wzdłuż Lidy zostały zbombardowane.

Baza lotnicza Theda Południe, 06.17

Szykowało się coś poważnego. Darrow spał bardzo źle, przeszkadzały mu hałasy startujących co chwila samolotów. Pracował do późna nad raportem zleconym mu przez Eadsa, a mając zaledwie półtorej godziny do rozpoczęcia kolejnej zmiany w Operacjach poszedł odszukać Heckela, aby poprosić go o komentarz na temat potyczki z białym bandytą.

Ponad lotniskiem unosiła się zwiewna mgiełka spalin. Większość stacjonujących w bazie maszyn znikła, najwyraźniej wykonując zadania operacyjne. Darrow porozmawiał przez

chwilę ze znajomym enothiańskim technikiem i dowiedział się od niego, że rozpoczęły się naloty bombowe na cele położone po północnej stronie gór. Ofiarami tych rajdów padły nadrzeczne miasteczka, farmy i zakłady przetwórcze. Podobno ktoś miał dowody na to, że heretycy dolecieli aż do Ezrville.

Wszyscy mijani przez Darrowa wojskowi mieli posępne miny. Wszyscy myśleli zapewne o tym samym. Zaczynał się początek końca.

Nawet enothiańscy rezerwiści, tacy jak chociażby Eskadra Myśliwych, znajdowali się w stanie podwyższonej gotowości. Zdenerwowani, objuczeni ciężkimi kombinezonami lotniczymi, kręcili się w salach odpraw czekając na rozkaz startu. Wolfcuby tkwiły na rampach, Cyklony zostały wyciągnięte z hangarów przez ciągniki, otaczały je wózki amunicyjne i cysterny z paliwem.

- Heckel ? – nikt go nie widział i nikt nie miał ochoty na dłuższą konwersację z Darrowem. Wnioskując z list przydziałowych Heckel należał do grupy pilotów czekających na wezwanie do startu. Darrow odczytał z listy numer pokoju majora, po czym poszedł w kierunku osłoniętego płytami przeciwołamkowymi budynku mieszkalnego na zachodnim krańcu lądowiska. Odszukawszy w mdłym świetle żarówek odpowiednie drzwi zapukał w nie ostrożnie.

- Majorze ? Majorze Heckel ? Jest pan tam ?

Zapukał ponownie, mocniej.

- Majorze Heckel, to ja, Darrow. Ma pan wolną minutę ?

Po chwili czekania zdecydował się odejść, ale jakieś niezrozumiałe złe przeczucie pchnęło go do naciśnięcia klamki. Drzwi nie były zamknięte na klucz.

Pokój okazał się niewielki i ciasny. Na pryczy leżała pomięta, niezłożona pościel. Błat małego biurka zaścielały jakieś papiery i drobne przedmioty, z otwartej oficerskiej walizki wystawały ubrania. Pośrodku pokoju leżało na podłodze przewrócone krzesło.

Major Heckel zwiślał spod sufitu na stryczku wykonanym za pomocą lotniczej uprząży.

- Boże-Imperatorze ! – wrzasnął Darrow. Chłopak runął do przodu, złapał oficera za nogi i spróbował unieść go w górę, by zmniejszyć ucisk pętli na szyję.

- Pomocy ! Niech mi ktoś pomoże ! – krzyczał z rozpaczą nie potrafiąc uwolnić ciała mężczyzny ze stryczka. Heckel sprawiał wrażenie odlanego z ołowiu. Darrow zaklął z frustracją, puścił nogi majora, doskoczył do biurka odszukując wśród leżących na blacie drobiazgów nóż Heckela. Ustawił szybko krzesło, wspiął się na nie i zaczął ciąć ostrzem po pasku. Był to wojskowy model uprząży, bardzo wytrzymały, zaprojektowany pod kątem odporności na spore obciążenia. Darrow zakrzyczał ponownie, kiedy przeciął sobie opuszki palców na klindze noża próbując rozpruć twardy syntetyczny materiał.

- Nie umieraj ! Nie umieraj ! – krzyczał – Jak mogłeś to zrobić, Heckel ?! Jak mogłeś ?!

Nie zwrócił uwagi na dwóch zwabionych jego głosem lotników, którzy wpadli do pomieszczenia, usłyszał tylko ich wstrząśnięte okrzyki. Piloci złapali Heckela za nogi, dźwignęli wspólnymi siłami.

- Odcinaj ! Odcinaj ! – zawołał jeden z nich.

- Próbuję !

Uprzeż uległa w końcu pod naporem ostrza, pękła z trzaskiem. Heckel runął w ręce lotników, pociągając za sobą Darrowa. Chłopak upadł z krzesła, spadł na łóżko.

Wspólnymi siłami dwaj mężczyźni zdarli stryczek z szyi Heckela i rozpoczęli reanimację. Darrow podniósł się z łóżka, upuścił nóż. Wiedział już, że wysiłki obu lotników na nic się nie zdadzą. Szrama na karku majora, barwa policzków, niebieski kolor ust.

- Ty biedny sukinsynu – wyszeptał Darrow – Ty biedny głupi sukinsynu.

Naciskający na klatkę piersiową Heckela lotnik rozsunął zamek błyskawiczny w kurtce majora. Z wewnętrznej kieszeni ubrania wypadła koperta. Darrow podniósł ją czubkami palców. Była czysta, jakby major nie wiedział, do kogo właściwie zaadresować swój ostatni

list. W środku znajdowała się pojedyncza kartka papieru, widniało na niej jedno naniesione odręcznym pismem zdanie.

Niech Bóg-Imperator mi to wybaczy, nie mogę już dłużej.

a

DZIEŃ 257

Starówka Thedy, 07.31

Nabożeństwo dobiegło końca. W świątyni znajdowało się tego dnia więcej wiernych niż zazwyczaj; blisko trzy razy więcej. Beqa musiała odstać w kolejce do ołtarza wotywnego, by móc zapalić swoje świece. Każdy z mijających ją ludzi był przestraszony, zapach lęku wręcz unosił się na ulicach miasta. Każdy z imperialnych obywateli żył w poczuciu strachu od miesięcy, ale wszyscy jakoś się do niego przyzwyczaili. Do teraz. W ciągu ostatnich dwóch dni ludzki lęk uległ niebywale intensywnej intensyfikacji.

Stojąc na zachodnich peryferiach miasta można było dostrzec łunę pożarów trawiących Ezrville. Tysiące ludzi zginęły podczas nalotów na dorzecze Lidy, a nieprzyjacielskie rajdy wciąż przybierały na sile. Ile jeszcze czasu pozostało do chwili, w której bomby zaczną spadać na Thedę? Ile czasu pozostało do skapania w ognistej połodze całej linii wybrzeża? Ile? Ile czasu pozostało jeszcze Enothis?

W kazaniu kapłana pojawiła się nieznacząca, ale niosąca przynajmniej załączek otuchy wiadomość. Władze oficjalnie potwierdziły, że pierwsze jednostki wycofującej się z południa lądowej armady przedarły się przez góry i zmierzały wprost w stronę wybrzeża. Enothiańscy żołnierze powracali do domu. Kobieta zapaliła trzy wotywnie świece. Jedna dla Garta, jedna dla Eido i jedna dla kogoś, kto...

Nie. Jedna dla Viltry'ego.

Nad pustynnym interiolem, 09.07

- Gdybym to ja się wycofał spod Kopców Trinity, przemaszerował całą tą pustynią, że o górach nawet nie wspomnę, to powiem szczerze, że miałbym głęboko w dupie jakąkolwiek dalszą walkę.

- Jest w tym trochę racji, Judd – odpowiedział bombardierowi przez wewnętrzny komunikator Viltry. Eskadra Halo przeleciała właśnie nad piaszczystym płaskowyżem, po którym wlokła się mozolnie długa na dziesięć kilometrów kolumna imperialnych wojsk zmotoryzowanych.

- Pewnie, że jest – ciągnął dalej Judd – Mamy przytrzymać w miejscu nieprzyjaciela, dopóki siły lądowe nie wrócą do domu i nie dokonają przegrupowania. Przegrupowania? To chyba jakiś chory żart. Ci chłopcy nie będą się do niczego nadawać przez bardzo długi czas.

- Być może – odpowiedział cichym głosem Viltry – Skupmy się na naszej robocie i miejmy nadzieję, że bieg wydarzeń będzie po naszej myśli.

Greta leciała na czele szóstki Marauderów. Bombowce sunęły nisko nad powierzchnią pustyni, próbując ukryć się w ten sposób przed układami namierzania pracującymi na pokładach naziemnych lotniskowców wroga. Zwiadowcze Lightningi latały w tym czasie na swoim maksymalnym pułapie, przeczesując otoczenie radarowymi falami i próbując zlokalizować pozycje nieuchwytnych dotąd mobilnych baz heretyków. Phantyńczycy w każdej chwili mogli otrzymać wezwanie do akcji.

Pustynia tworzyła monotonną panoramę przesuwaną się w zawrotnym tempie pod brzuchami samolotów. Cienie rzucane przez ciężkie maszyny śmigały na piaskowych wydmach, ślizgały się po spękanych skałach.

Viltry miał dość dobre samopoczucie i zastanawiał się chwilami, czy z tym nadzwyczajnym dobrym humorem nie miała przypadkiem czegoś wspólnego Beqa Mayer.

- Kontakt! – odezwał się zniecierpliwiony Lacombe. Viltry zeszytniał nieznacznie.

- Osiem sygnałów na siedmiu tysiącach, kurs zero-siedem-pięć.

Kapitan spojrział na wskazania radaru. Nieprzyjacielskie samoloty, nie miał w tym względzie żadnych wątpliwości. Heretycy lecieli na południowy zachód, znajdowali się jakieś dwadzieścia kilometrów od imperialnej eskadry. Nie odbywali zwykłego lotu patrolowego, przeczył temu ich stały, zdeterminowany kurs.

- Lacombe, połącz się z Operacjami i sprawdź, czy mogą nam wysłać zapis trasy przelotu tej grupy.

Ponad hukiem silników do uszu kapitana dobiegł głos rozmawiającego na głównej częstotliwości nawigatora. Chwilę później ponownie zatrzeszczał komunikator wewnętrzny.

- Mieli ich na radarach naziemnych jeszcze piętnaście minut temu, po drugiej stronie Makanitów.

- Oni wracają do domu – powiedział Viltry – Wracają do bazy i bardzo się śpieszą, bo ciągną na resztkach paliwa. Halo, Halo, mówi Lider. Utrzymać dotychczasowy pułap, przygotować się na zmianę kursu na zero-siedem-pięć. Na mój znak.

Sześć obciążonych bombami Marauderów wykonało łagodny zwrot, wciąż przesuując się tuż nad powierzchnią pustyni. Przodem leciała *Greta*, tuż za nią *Piekielny Sztorm*, *Mężobójca*, *Tron Terry*, *Miej się za martwego* i *Panna Wędrowniczka*. Viltry polecił uzbroić wszystkie pokładowe systemy i skanować przestrzeń za pomocą układów pasywnych. Nie potrzebował kontaktu wizualnego z bandytami, wystarczały mu ich sygnatury na ekranie radaru. Sygnatury wiodące lojalistów prosto w stronę naziemnego lotnikowca.

Nad Ezrville, 09.18

- Atak ! – krzyknęła Jagdea rzucając swego Thunderbolta w stromy lot nurkowy. Ranfre, Waldon i Del Ruth spadali w ślad za nią. Cztery tysiące metrów niżej, w przestworzach przesłoniętych częściowo chmurami, miały się niezliczone sylwetki samolotów przywodzące na myśl ławice tropikalnych ryb. Dalsze dziewięć tysięcy metrów niżej, pod brzuchami uczestniczących w zacieklej podniebnej potyczce maszyn, rozciągała się rozległa panorama Ezrville; szachownica czarnych i szarych dystryktów mieszkalnych oraz białych kompleksów zamożnych obywateli.

Larice Asche prowadziła do walki drugą część Umbry: Cordiale, Van Tulla i Marqualla. Tylko dwie trzecie skrzydła mogło przebywać równocześnie w powietrzu. Clovin zginął, Espere prawdopodobnie już nigdy nie miał powrócić do służby w lotnictwie, a Blansher i Zemmic zostali uziemieni z powodu poważnych uszkodzeń swoich myśliwców.

Ostry lot nurkowy stanowił potworne przeciążenie dla organizmów pilotów. Siedzieli wciśnięci w swe fotele, z twarzami wykrzywionymi w przerażających grymasach bólu. Jagdea miała kłopoty z koncentracją wzroku, ale desperacko starała się wyłowić z dostrzeganego poniżej chaosu jakiś składny obraz.

Umbra została rzucona z misją przechwycenia wielkiego zgrupowania bombowców lecącego w kierunku wybrzeża. Nieprzyjaciel miał w powietrzu prawie dwieście maszyn, głównie Hell Talonów i Tormentorów, wraz z eskortą myśliwską. Kiepska pogoda zakłócała pracę systemów namierzania, toteż alarm podniesiono dopiero wtedy, kiedy wrogie samoloty dolatywały już nad Ezrville. Bomby zaczęły spadać na ciasną miejską zabudowę.

Do akcji rzucono też inne imperialne jednostki – Thunderbolty ze Skrzydeł 2665 i 44, Lightningi z 38, szwadron enothiańskich Cyklonów. Razem z Umbrą lojaliści mieli nad Ezrville ponad sześćdziesiąt maszyn, inne miały zjawić się lada chwila, chociaż spora część imperialnych samolotów była w tym czasie związana walką z dwoma innymi, równie zmasowanymi, wyprawami bombowymi znajdującymi się ponad Doliną Lidy.

Nieprzyjacielskie bombowce - kolorowo pomalowane maszyny o złowieszczych ostrych kształtach – tworzyły w powietrzu wielkie klucze na podobieństwo stad migrującego ptactwa. Imperialne myśliwce uwijały się wokół nich próbując wyłuskać z szyku heretyckie samoloty i umykając jednocześnie przed tworzącymi eskortę zgrupowania Locustami.

Zrzuciwszy bomby wielkie Tormentory zaczęły zawracać szerokim łukiem na południe, ale Hell Talony – ciężko uzbrojone myśliwce bombardujące – wciąż pozostawały nad Ezrville. Uwolnione od ciężaru bomb zaczęły atakować miasto z lotu koszącego

ostrzeliwując ulice rakietami zapalającymi i działkami lub włączały się do walki myśliwskiej z lojalistami.

Powietrze pełne było samolotów, pocisków smugowych i kłębow dymu. Spore połacie Ezrville stały w ogniu.

Jagdea poczuła dławiającą ją nienawiść. Wyszła z lotu nurkowego wprost na ogon Talona, utrzymała heretyka w celowniku i pociągnęła za spust.

Talon eksplodował w powietrzu. Jagdea przemknęła obok jego opadających w dół szczątków, weszła ciasnym zwrotem pod nieprzyjacielską formację i uderzyła od spodu na jednego z Tormentorów. Podwójnie sprzężone lasery rzygnęły krechami światła i heretycki bombowiec zadygotał pod wpływem topiących spodnią część kadłub wiązek energii. Z wnętrza maszyny zaczęły sypać się kawałki poszycia, ożebrowania komory bombowej, maszynierii. Samolot buchnął kłębami białego dymu, zaczął przechylać się na jedno skrzydło tracąc wysokość. Był praktycznie strącony, ale Jagdea wciąż trzymała go na celowniku, przełączając się na automatyczne działka i stębując sylwetkę bombowca pociskami od jednego skrzydła po drugie. Tormentor wyleciał w powietrze, grad płonących szczątków posypał się niczym ognisty deszcz na miasto, ale Phantyjka uważała, że lepiej zrobiła wysadzając go w trakcie lotu, niż dopuszczając do tego, aby spadł z pełnymi komorami bombowymi na znajdujące się w dole budynki.

Trzymający się tuż za Jagdeą Ranfre i Waldon zniszczyli podczas wychodzenia z nurkowania po jednym Tormentorze, odbili na boki szukając nowych ofiar. W czasie krótszym niż trzydzieści sekund Waldon wszedł na ogon przygotowującego się do zrzutu bomb Talona i krótką serią rozwalił jego kokpit. Kiedy karmazynowa maszyna runęła w dół kręcąc się wokół własnej osi, Waldon zakrzyczał z dzikiej radości. Właśnie zaliczył czwarty i piąty pewny zestrzał w swej lotniczej karierze, co oznaczało dla niego tytuł asa.

Del Ruth, ostatnia w kluczu, przestrelała swój cel, bo heretycki pilot spostrzegł ją w ostatniej chwili i uciekł w bok desperackim unikiem. Dziewczyna wyrównała lot i natychmiast runęła w ślad za Locustem ścigającym jeden z enothiańskich odrzutowców. Namierzyła cel, otworzyła ogień, poprawiła drugą serią rozsadzając nieprzyjacielski myśliwiec na drobne kawałki.

Czwórka Asche weszła do walki moment później, przemieszczając się jeszcze szybciej niż klucz Jagdei. Asche zestrzeliła z marszu Talona, czystą krótką serią. Van Tull zdołał uszkodzić Tormentora, zawrócił, dobił celnymi strzałami swą ofiarę. Cordiale popełnił drobny błąd w kalkulacjach, minął zbyt szybko obranego za cel Talona i wpadł prosto pod lufy innego Talona i Locusta. Cisnął swą maszynę w bok, omal nie zderzając się przy tym z nadlatującym od drugiej strony Lightningiem. Phantyńczyk zmienił gwałtownie kurs, prawie dochodząc do progu przeciągnięcia. Lightning odbił równie raptownie w drugą stronę, zahaczył końcówką skrzydła o lecącego za Cordiale Talona. Imperialny pilot stracił kontrolę nad maszyną, zaczął spadać, wyrównał z trudem lot, po czym został wysadzony w powietrze seriami wystrzelonymi przez dwa inne Locusty. Sypiący kawałkami blachy Talon odszedł szerokim łukiem w bok wpadając prosto pod lufy Asche. Phantyjka nie przegapiła takiej okazji, strąciła go natychmiast.

Cordiale zawrócił ciasnym zwrotem i zaczął gonić jakiegoś Tormentora. Nieprzyjacielski bombowiec pozbył się już ładunku i umykał do domu, ale wciąż stanowił wartościowy cel. Jeśli zostałby teraz zestrzelony, już nigdy nie powróciłby z powrotem z nowymi bombami.

Marquall, ostatni w szyku, okazał się zbyt pewny siebie. Wystrzelił dwie serie z działek, ale Hell Talon wciąż pozostawał nietknięty, kiedy Thunderbolt przewalił się z hukiem silników obok heretyckiego samolotu. Phantyńczyk poderwał maszynę w górę, wytracił nieco prędkości i uświadomił sobie, że ciasny łuk wprowadził go prosto pomiędzy dwa Tormentory, z których sypały się gradem bomby. Chłopak przeklął ze złością swojego pecha. Jego

pośpiech w dążeniu do skorygowania trajektorii lotu sprawił, że przestrzelił szansę zaatakowania dwóch łatwych celów.

Wściekłość wręcz dusiła Marqualla. Desperacko chciał zabić, otworzyć swój ranking zestrzałów. W paskudny nastrój wprawiała go już sama świadomość faktu, że był najmłodszy w jednostce, najmniej doświadczony; że Pers Espere zapłacił straszną cenę za jego niańczenie. Marquall nie miał na koncie żadnego zestrzału. Odzyskawszy wiarę w swoje umiejętności po katastrofalnym w skutkach dziewiczym locie dziko pożałował akcji; chciał dowieść wszystkim własnej wartości.

Kurwa mać, przestworza były wręcz zatłoczone samolotami ! Prędzej czy później musiał kogoś trafić !

- Umbra Osiem ! Osiem ! Łam szyk w lewo !

W eterze rozbrzmiał ostrzegawczy krzyk Van Tulla. Marquall nie zamierzał tego okrzyku kwestionować. Przewrócił myśliwiec przez skrzydło i odbił ostro w lewo. Jaskrawożółty Talon przemknął tuż obok niego, poleciał dalej.

- Dzięki, Trójka – rzucił w eter Marquall równając lot, a potem podrywając maszynę w górę.

- Wszystko w porządku, Ósemka ? – upewnił się Van Tull.

- Wszystko gra – odpowiedział Marquall. Wciąż go niańczyli, kurwa mać ! Lecz z drugiej strony, gdyby nie ostrzeżenie Van Tulla, być może już by teraz nie żył.

Zawrócił płytko i wpadł prosto na Cyklona umykającego przed Talonem. Z enothiańskiego odrzutowca buchały kłęby dymu. Marquall nie potrafił zrozumieć, dlaczego Operacje wciąż wysyłały do akcji Cyklony i Wolfcuby. Podjęcie walki na tych maszynach przeciwko nowoczesnym myśliwcom o napędzie wektorowym było równoznaczne z samobójstwem.

Pchnął przepustnicę, rzucił maszynę w kolejny skręt posyłając równocześnie niecelną, ale dającą sporo satysfakcji serię w stronę jakiegoś Tormentora, a potem wszedł na ogon Talona.

Tym razem...

Lewy silnik był martwy, podobnie jak Artone. Frans Scalter walczył desperacko z drążkiem sterowym krzycząc jednocześnie do swego drugiego pilota i wieloletniego przyjaciela. Pociski ciężkiego kalibru przebiły kokpit odrzutowca roztrzaskując szyby kabiny i stębnując tors Artone. Wiatr wył przeraźliwie w podziurawionej kabinie samolotu, krew ściekała po resztkach szyb, zegary instrumentów pokrywała gruba warstwa ludzkiej tkanki.

- Zabiorę cię do domu ! Zabiorę do domu ! – krzyczał Scalter nie akceptując obrazu spustoszonej kabiny i wierząc wbrew zdrowemu rozumowi, że zdoła dolecieć Cyklonem do bazy, a tam technicy naprawią wszystkie uszkodzenia, zaś opatrzony Artone powróci cudownie do życia.

Obłąkańcza nadzieja nie pozbawiła Scaltera resztek rozsądku. Enothianin wiedział, że cały czas musi rzucać maszynę w uniki. Hell Talon siedział mu uparcie na ogonie.

- Szperacz Jeden ! Szperacz Jeden ! Pomocy ! Niech ktoś mi pomoże !

Lufy działek Talona rzygnęły ogniem.

Niczym kot bawiący się z myszą, heretycki sukinsyn nie zamierzał wypuścić enothiańskiego samolotu z łap. Myśliwiec balansował w powietrzu przeskakując z lewej w prawą i z powrotem dzięki zastrzykom pompowanej przez dysze silników energii, nie dawał się zmylić żadnym desperackim unikiem pilota Cyklona.

Złapał trop, pożałował krwi. Chciwy mordy, pozostawał na ogonie celu.

Pierwszy, najstarszy błąd w sztuce podniebnych wojen.

Marquall znalazł się za Talonem wchodząc mu na ogon od piątej, obliczając w myślach poprawkę z niemal mechaniczną dokładnością.

Nacisnął spust poczwórnie sprzężonych działek i usłyszał łoskot układów ładowniczych ciągnących do komór działek owinięte na bębnach taśmy z pociskami. Podświadomie

spodziewał się, że nieprzyjacielska maszyna eksploduje albo zapali się w locie albo grad stali zacznie wyprawiać z nią inne spektakularne efekty.

Heretycki myśliwiec po prostu zadygotał. Fragment jego skrzydła uległ zdeformowaniu niczym zdarta z opakowania folia, z dysz silników buchnęły kłęby gęstego brązowego dymu.

A potem samolot spadł z nieba. Utraciwszy całą siłę nośną Talon runął ku odległej powierzchni ziemi obracając się wokół własnej osi, niczym, zabawka odrzucona przez znudzone dziecko.

Spadał i spadał, malejąc z każdą sekundą.

Na Tron, udało mu się ! Pierwszy zestrzał !

- Szperacz Jeden ! Szperacz Jeden ! – rzucił do mikrofonu opamiętawszy się w końcu – Mówi Umbra Osiem. Jesteś bezpieczny, przyjacielu. Leć do domu.

- Umbra Osiem, tu Szperacz Jeden. Zrozumiałem, bez odbioru.

Ani jednego słowa podziękowania ?! Marquall szybko puścił urazę płazem. Czuł jak krew płonie mu w żyłach, ciałem wstrząsał dreszcz ekscytacji. Przestał być wymagającym niańczenia dzieckiem.

Coś cisnęło nim w fotelu na podobieństwo potężnego kopniaka. *Plama* obróciła się do góry brzuchem, alarmowe dzwonki zadźwięczały przeraźliwie. Pograżony w szoku Marquall pociągnął za drążek, ale maszyna nie reagowała na ruchy sterów. Obracając głowę w bok spostrzegł ogarniające kadłub płomienie, wielkie fragmenty pancerza odpadały od poszycia Thunderbolta niczym rybie łuski.

Płomienie zaczęły wdzierać się do kokpitu.

- Nie ! – krzyknął – Och nie, nie, nie !

Zaczął szamotać się w uprzęży próbując złapać za dźwignię katapulty. W eterze słyszał jakieś niezrozumiałe okrzyki.

Samolot wirował wokół własnej osi, potworne przeciążenie wciskało mężczyznę w fotel. Phantyńczyk tracił przytomność, nie potrafił sięgnąć po dźwignię.

Przed jego oczami, przed nosem myśliwca, niczym obłąkańczy kalejdoskop rosła kręcąca się wkoło panorama coraz bliższego miasta.

Nad pustynnym interiozem, 09.22

Przemknęli nad szczytem wysokiego pasma wydm i wtedy go ujrzeli. Jego rozmiary odjęły im mowę, tylko Judd zdobył się na wyjątkowo bluźniercze przekleństwo.

Naziemny lotniskowiec miał blisko kilometr długości, jego szerokie pokłady i rampy startowe lśniły w blasku pustynnego słońca, dziesiątki masywnych kół wzbijały w powietrze gęste chmury piaskowego pyłu. Viltry dowiedział się na odprawie, że heretycy określali te behemoty mianem *aerie*, jakby były one mrocznymi wylęgarniami podniebnych morderców. W oczach lotników rosło genialne dzieło inżynierskiego talentu, mechaniczny potwór, olbrzym pośród siebie podobnych pojazdów.

Nic nie mogło unicestwić czegoś równie masywnego. Nic nie mogło...

Viltry opamiętał się w myślach. Trzeba próbować, taki był obowiązek ludzi w służbie Boga-Imperatora.

- Bez wahania, Halo ! – krzyknął w eter – Cel w polu widzenia ! Podejście szeregowe i zrzut, potem nawrót i odpalenie zasobników skrzydłowych ! Imperator strzeże !

Kapitan dostrzegł śledzone przez siebie Talony, lądujące na platformach wznoszących się na najwyższym pokładzie lotniskowca. Heretyckie maszyny sprawiały wrażenie dziecinnych zabawek na tle bryły pojazdu.

Załoga lotniskowca zauważyła nadlatujące na minimalnym pułapie Maraudery sekundę później. Setki działek przeciwlotniczych zaczęły obracać się w kierunku nieoczekiwanych

intruzów niczym ogony zaatakowanych skorpionów, w powietrzu wykwitła ściana stali i ognia.

- Trzymać kurs, trzymać kurs... – wycedził przez zaciśnięte zęby Viltry.

W kokpicie zawyła ostrzegawcza syrena. Pośród strumieni pocisków przeciwlotniczych kapitan spostrzegł znieczeka warkocze dymu ciągnące się za raketami. Uderzył w przycisk wystrzeliwujący wabiki, spod skrzydeł *Grety* rozsypały się setki lśniących pasków metalu. Ułamek sekundy potem dołączyły do niech flary. Bombowiec zatrzęsł się w rytm pobliskich eksplozji. Przestrzeń pomiędzy lojalistycznymi samolotami i lotniskowcem wypełniały jaskrawe rozbłyski i obłoczki czarnego dymu.

Rakietowy pocisk trafił w *Pannę Wędrowniczkę* niszcząc Maraudera w powietrzu. Rozerwany wybuchem kadłub maszyny uderzył z prędkością jednego macha w powierzchnię pustyni ryjąc gigantyczną bruzdę w piasku, sypiąc na wszystkie strony kawałami metalu i rzygając ogniem.

- Nos i góra. Strzelać bez rozkazu ! – polecił Viltry.

Wieżyczki otworzyły ogień zasypując pokłady lotniskowca strugami pocisków. Skoncentrowany na prowadzeniu Maraudera Viltry spostrzegł przygotowywane do startu myśliwce na niższych pokładach transportera. Naxol również je zauważył – jakiś Locust wystrzelił z jonowej katapulty i zaraz potem eksplodował w powietrzu przecięty serią pocisków.

Dziesięć sekund, pięć. Seria z działek przestębnowała prawe skrzydło. Do diabła z nim. Dwie sekundy, jedna.

Zrzut.

Halo przemknęło ponad lotniskowcem. Każdy bombardier dokonał perfekcyjnego zrzutu. Na pokładach pojazdu wykwitły kule ognia, rozrywając opancerzone rampy, ciskając w powietrze bateriami działek, przewracając windy i suwnice. Jeden z bombowców – Viltry obstawiał *Mężobójcę* – zdołał zrzucić bomby na wyrastającą wysoko ponad górne pokłady lotniskowca wieżę dowodzenia. Gigantyczna eksplozja rozsadziła nadbudówkę na strzępy.

Cztery Maraudery zaczęły oddalać się od płonącego pojazdu. Piąty, *Tron Terry*, został trafiony ogniem działek zaraz po uwolnieniu bomb. Viltry dostrzegł w tylnej kamerze wrak toczącej się po piasku maszyny.

Cztery phantyńskie bombowce zawróciły ciasnym łukiem przyjmując nowy szyk, zaczęły drugie podejście. Z pokładów uszkodzonego lotniskowca buchały w niebo kolumny gęstego dymu.

Pokładowe wieżyczki znów otworzyły ogień, dołączyły do nich wystrzeliwane spod skrzydeł rakiety. Obrona przeciwlotnicza heretyków nie miała już nawet połowy tej mocy, co wcześniej.

Rakietowe głowice przebiły korpus lotniskowca, wyrwały w nim wielkie poszarpane dziury buchające płomieniami eksplozji. Maraudery przeleciały ponad machiną, zaczęły zwiększać pułap.

We wnętrzu lotniskowca doszło do katastrofalnej w skutkach reakcji łańcuchowej – prawdopodobnie jedna z raket trafiła w jakiś magazyn amunicji lub skład paliwa. Pojazd zadygotał wstrząsany wewnętrznymi eksplozjami, a potem przeistoczył się w gigantyczną kulę ognia.

Fala uderzeniowa tego monstrualnego wybuchu omal nie straciła Marauderów z przestworzy.

Piloci ustabilizowali tor lotu. Za ich plecami w niebo wzbijała się wielka chmura dymu przywodząca na myśl swym kształtem olbrzymiego gryba.

Baza lotnicza Theda Południe, 09.30

Wnętrze Operacji tętniło ludzką aktywnością. Pracujący na dziennej zmianie kontrolerzy nadzorowali jednocześnie cztery wielkie bitwy powietrzne oraz dziewięć akcji przechwytyjących.

- Darrow ?

Darrow stał w bezruchu wpatrzony w sufit rotundy, gdzie promienie słonecznego światła sączyły się nieśmiało przez niewielkie witraże z pancernego szkła.

- Darrow ? Asystencie ? – Eads sprawiał wrażenie zaniepokojonego.

Chłopak ocknął się, odwrócił w stronę przełożonego głowę.

- Przepraszam, sir. Mój umysł błędził na manowcach. Nie mam nic na swoje usprawiedliwienie. Co pan do mnie mówił, kontrolerze ?

Eads spojrzął na podopiecznego, na jego niewidomej twarzy pojawił się wyraz sympatii. Starszy mężczyzna wyciągnął rękę, w której trzymał papierowy wydruk.

- Myślę, że powinieneś ogłosić tę wiadomość, synu – powiedział – To dowód na to, że nie tylko złe wieści czekają nas w życiu.

- Sir ?

- Powiedziano mi o Heckelu, synu. Przykro mi, że to właśnie ty go znalazłeś. Spróbuj teraz pomyśleć o czymś innym. Przeczytaj ten komunikat.

Darrow przeczytał otrzymaną wiadomość i uśmiechnął się mimo woli. Rozejrzawszy się wokół oczyścił chrząknięciem gardło. Miał już sposobność słyszeć kontrolerów i asystentów wygłaszających tryumfalnym tonem podobne komunikaty, teraz przyszła kolej na niego samego. I miał okazję zwalić ich wszystkich z nóg.

- Uwaga, uwaga ! Eskadra Halo potwierdza zniszczenie naziemnego lotniskowca w obrębie północnego interioru. To potwierdzona informacja. Nieprzyjacielski lotniskowiec został zniszczony.

Darrow uśmiechnął się jeszcze szerzej słysząc wybuch owacji. Pierwszy odnaleziony i zniszczony lotniskowiec. Nawet Banzie śmiał się radośnie i klaskał w dłonie.

Eads powiedział coś cicho. Darrow musiał pochylić się nad ramieniem kontrolera, by dosłyszeć wśród wiwatów jego słowa.

- Mogę prosić o powtórzenie, sir ?

- Powiedziałem – wyszeptał Eads – że może mamy jeszcze jakieś szanse. Być może zdołamy wygrać tę wojnę na przekór wszystkiemu.

Kawiarnia na molo, 14.02

Popołudnie okazało się zachmurzone, nieładne, kawiarnia świeciła pustkami. Nie było w tym nic zaskakującego, skoro dymy pożarów szalejących w Ezrville przesłaniały przestworza od samego rana.

Drzwi lokalu otworzyły się szeroko. Czytająca gazetę Beqa podniosła wzrok – w progu stał Viltry. Dzieliło ich od siebie trzydzieści pustych stolików, w głębi lokalu grał cicho thraciański walc.

Mężczyzna uśmiechnął się na powitanie i zdjął z głowy czapkę.

- Cześć. Wyglądasz na zadowolonego z siebie – powiedziała podnosząc się z krzesła. Pilot podszedł do kontuaru, ściągnął z ramienia torbę podróżną.

- Odnieśliśmy dzisiaj spory sukces. Naprawdę spory. Moi ludzie właśnie świętują, niczym szaleńcy. Dzisiejszej nocy wysuszą wszystkie barki w Thedzie. I bez trudu uwiodą rzesze oczarowanych kobiet...

- Nie napijesz się z nimi ? – spytała Beqa.

- Um, trochę już wypilem. W sali odpraw. Potem się wymknąłem.

- Dlaczego tutaj przyszedłeś, Viltry ? Przecież tracisz w ten sposób okazję do zabawy wśród...

Kapitan otworzył zamek torby i wyjął ze środka dwa owinięte w papier chrupiące bochenki chleba, pudło konserw mięsnych, pęki świeżych warzyw, ciasto i butelkę czerwonej sjiri.

Oczy Beqi rozszerzyły się raptownie, w ustach jej zaschło. Niektórych z tych rzeczy nie miała okazji spróbować nawet w czasach poprzedzających nakaz reglamentacji żywności.

- Dostaliśmy trochę smakołyków, w formie nagrody. Ornoff przysłał to z własnego magazynu. Moi chłopcy pozbiali większość alkoholu, resztę mi zostawili. Myślę, że będziesz wiedziała najlepiej, co z tym zrobić. Znasz się na tym, potrafisz przecież gotować.

Spojrzał jej w oczy wzrokiem pełnym sympatii i przekornych błysków.

- Zresztą nie przyszedł mi na myśl nikt inny, z kim mógłbym się tym podzielić – dodał.

- Naprawdę ?

- Tak. Czy to w porządku ?

- Tak – odparła – Myślę, że tak.

a

DZIEŃ 258

Baza lotnicza Ezrville, 11.31

- Dzięki ! – krzyknęła Jagdea zeskakując z szoferki ciężarówki. Przeszła przez zabłoconą uliczkę i schyliła się wchodząc w otwarte drzwi niewielkiego budynku. Za jej plecami, na lądowisku bazy, imperialne samoloty startowały z rykiem silników w zadymione przestworza.

Chłopak siedział na pustej beczce po paliwie, gapiąc się na swoje buty.

- Wszystko z tobą dobrze ? – zapytała. Uniósł głowę, spostrzegł ją i wstał szybko z beczki oddając przełożonej salut.

- Myślę, że tak – odpowiedział.

- Dobra robota. Słyszałam, że zaliczyłeś piękny zestrzał.

- A potem dostałem. To chyba był Talon, wskoczył mi prosto na szóstą. Nie zauważyłem go na czas. Przepraszam bardzo, proszę pani.

- Nie przepraszaj. Katapultowałeś się, dotarłeś na ziemię żywy. Tylko to się dla mnie liczy.

- Będę mógł dalej latać ? – zapytał.

- Tak – odparła – Hm, jeśli będziesz chciał.

- To znaczy ?

- Jedyna wolna maszyna to Dziewięć-Dziewięć. Już ją naprawiono, ale możesz nie chcieć tego samolotu.

- Dziewięć-Dziewięć ? – powtórzył Marquall.

- Tak.

Marquall roześmiał się histerycznie. Nie potrafił zdecydować, co było gorsze – fakt, że był to samolot Espere czy plotki twierdzące, jakoby ciążyła na tym myśliwcu jakaś klątwa.

Po chwili namysłu doszedł do wniosku, że istniała jeszcze gorsza alternatywa w stosunku do przejęcia maszyny Espere: uziemienie na stałe.

- Wezmę Dziewięć-Dziewięć – powiedział – Może mój pech i przekleństwo tej maszyny zniwelują się wzajemnie.

Baza lotnicza Theda Południe, 16.10

Pierwsze maszyny ujrzeli w połowie drogi Autostradą Nadbrzeżną i widok ten wprawił ich w doskonały nastrój. Skrzydła imperialnych samolotów nadlatywały znad morza kierując się ku thedańskim lotniskom. Nadciągały posiłki, przerzucane z baz lotniczych na północnym wybrzeżu.

Jagdea i Marquall stali na pace odkrytej ciężarówki wskazując samoloty palcami i debatując między sobą. Skrzydła Thunderboltów kierowały się w stronę Thedy Północ, dwie eskadry kanonierek powietrznych Vulture poleciały w głąb półwyspu. Popołudnie było

pogodne, a niebo czyste, dlatego pomimo unoszących się wciąż nad Ezrville gęstych dymów i ciągłego zawodzenia odległych syren alarmowych phantyńscy lotnicy mieli świetne humory.

Dobry nastrój popsuł im się z chwilą przyjazdu do bazy. Wokół stanowisk postojowych Umbry kręciły się rzesze techników, a przy hangarach parkowały lub odjeżdżały spod nich dziesiątki ciężarówek i półgąsienicowych transporterów.

Idąca w towarzystwie Marqualla Jagdea przyspieszyła kroku, ominęła truchtem załadunkowe Sentinele dźwigające ciężkie skrzynie w stronę transportowych śmigłowców. Blansher i Asche stali w otoczeniu grupki wyższych stopniem techników.

- Witaj z powrotem, zabójco – rzuciła pod adresem chłopaka rozpromieniona Asche. Marquall zarumienił się natychmiast.

- Dobrze cię widzieć w jednym kawałku, chłopcze – dodał Blansher.

- Co tu się dzieje, Mil ? – spytała Jagdea tocząc wokół wzrokiem.

- Rozkazy transferowe – wyjaśnił Blansher, po czym wyciągnął z kieszeni elektroniczny notes. Jagdea przejrzała skrótowo zawartość pliku.

- Dzisiaj o godzinie osiemnastej Umbra zostanie przerzucona do wysuniętej bazy lotniczej na południu – dodał Blansher – Myślę, że musimy zrobić miejsce dla nowych skrzydeł. Będziemy latać na krótkie misje przechwytyjące z polowego lotniska nad Jeziorem Gocel.

Jagdea włączyła elektroniczną mapę, przyjrzała się wskazanej lokalizacji. Było to niebezpieczne miejsce, położone głęboko w polu działania lotnictwa nieprzyjaciela, ale umożliwiające zarazem montowanie błyskawicznych uderzeń przeciwko heretyckim siłom pojawiającym się na północ lub wschód od interioru, przechwytyjąc je na długo dotarciem do półwyspu lub miast takich jak Theda.

- Operacje potwierdziły, że duże zgrupowanie naszych wojsk lądowych obchodzi właśnie masyw Makanitów od wschodu – ciągnął dalej Blansher – Myślę, że będziemy się musieli przy okazji zająć się również ich ochroną.

- Nie tylko nas tam przerzucają, prawda ?

- Nie – odpowiedziała Jagdea spoglądając ponownie do notesu – Leci z nami Czteryście Dzięiąte Skrzydło, a na miejscu jest już jednostka Lightningów.

- Pierwsze transporty sprzętu i służb pomocniczych już wyjechały do nowej bazy – dodała Asche – Będziemy podróżować szybko i po cichu.

- Lepiej bierzmy się za pakowanie – powiedziała Jagdea.

Marquall podszedł do stanowiska postojowego i spojrzał na Dziewięć-Dziewięć. Ludzie ze służb technicznych odwalili kawał dobrej roboty naprawiając poważnie uszkodzonego Thunderbolta. Nowe poszycie kadłuba, nowa farba. Nie pozostał niemal żaden ślad po ciężkim laniu.

- Jesteś teraz mój – powiedział cicho – Będę cię traktował dobrze, jeśli ty w zamian odwdzięczysz mi się tym samym.

Spowity półmrokiem zmierzchu Thunderbolt milczał.

a

DZIEŃ 259

Nad Cicatrice, 13.43

Poszukiwania nowego lotniskowca trzeba było na jakiś czas odłożyć.

Viltry rzucił swoją eskadrę na zachód, polecieci nisko nad poszarpanymi kanionami i dolinami gigantycznej skalnej depresji. Po raz pierwszy kapitan poczuł na własnej skórze szaleńcze zawirowania prądów powietrznych, z których słyęła Cicatrice, wiatr próbował ściągnąć *Gretę* w dół, ku powierzchni ziemi.

Dwa kilometry z przodu ponad pustynią rosły słupy dymu przetykanego rozbłyskami eksplozji.

Grupa należąca do wycofującej się lądowej armady – długa na siedem czy osiem kilometrów kolumna ludzi i pojazdów – przemierzała właśnie jedną z głębszych przełęczy, kiedy padła ofiarą powietrznej zasadzki. Nadlatujące trójkami Hell Talony rozrywały

kolumnę na całej jej długości, zrzucając bomby i rakiety, prując seriami z pokładowych działek. Dziesiątki czołgów i transporterów opancerzonych stały w ogniu, jasną powierzchnię piasku znaczyły wielkie plamy po spalonej benzynie. Malutkie sylwetki ludzi uciekały na boki przełęczy poszukując kryjówek na jej usianych głazami stokach. W niebo buchały słupy dymu, cięte pociskami smugowymi. Atakujące w locie koszącym samoloty rozwiewały dym tworząc w powietrzu niezwykle kompozycje ograniczające drastycznie widoczność.

Na południowym krańcu przełęczy grupa heretyckich czołgów kroczących, pomalowanych na jaskrawożółte barwy, dobierała się właśnie do tylnej straży imperialnej kolumny. Przestrzeń pomiędzy skalnymi uskokami gęsta była od krech laserowego światła.

Maraudery nie zostały zaprojektowane z myślą o przechwytywaniu innych bombowców, ale kapitan łudził się nadzieją, że być może sam widok imperialnych maszyn zniechęci napastników do dalszego ataku na kolumnę. Lacombe wysłał prośbę o asystę i otrzymał odpowiedź o Thunderboltach znajdujących się w odległości ośmiu minut lotu od strefy walki.

- Zmniejszyć pułap ! – krzyknął w eter Viltry – Odpędzić ich od konwoju, uniemożliwić dalsze ataki ! Jeśli ktoś dotrze do południowego krańca przełęczy bez konieczności uniku, niech zrzuci ładunki na te cholerne czołgi !

- Bez odbioru, Lider.

- Na rozkaz.

Viltry poprowadził eskadrę osobiście, rzucając *Gretę* w dół przełęczy i mknąc ponad rzędem imperialnych pojazdów w przeciwną stronę do kierunku ich podróży. Utrzymywał tak niski pułap, na jaki tylko pozwalała mu odwaga, prując poprzez kłęby dymu i kompensując sterami skoki targanej dzikimi podmuchami wiatru maszyny.

Niemal natychmiast spostrzegł trzy Talony lecące wprost na niego. Strumienie wystrzeliwanych z ziemi pocisków ścigały heretyckie samoloty zapelniając przestworza kawałkami stali.

- Strzelać bez rozkazu ! – warknął Viltry manipulując jednocześnie opornym dźwignikiem sterowniczym.

Przednia i górna wieżyczka otworzyły ogień równocześnie, serie pocisków wgryzły się w powietrze wokół nieprzyjacielskich samolotów. Być może uszkodzone, bez wątpienia zaś całkowicie zaskoczone, heretyckie maszyny rozpięchły się natychmiast na boki, przerywając nalot. Gaize nie zaprzestawał ostrzału, obracał swą wieżyczkę w ślad za jednym z Talonów.

Viltry nie odrywał wzroku od dna przełęczy. Marauder znajdował się niemal u krańca rozpadliny, wylot przełęczy ział przed oczami pilota. Promienie słońca odbijały się od żółtego metalu czołgów kroczących. Podobne do pajaków maszyny chłostały laserowym ogniem broniących się desperacko gwardzistów.

- Judd !

- Jestem gotowy !

Viltry zgarbił się w fotelu oczekując znajomego skoku uwolnionej od ciężaru bomb maszyny, ale ten podskok samolotu przerósł jego oczekiwania. Krzyżujące się u wylotu przełęczy boczne prądy powietrzne targnęły *Gretę*, szarpnęły ją w bok. Kapitan z trudem opanował stery.

Bomby poszły w dół.

W słuchawkach rozległy się wściekłe przekleństwa Judda. Uderzenie wiatru zrujnowało jego zrzut, bomby poszły szerokim łukiem, rozerwały się nieszkodliwie na zboczach przełęczy.

Viltry poderwał w górę nos samolotu, rzucił bombowiec w ciasny łuk. Czterech spośród jego piątki skrzydłowych kończyło właśnie nalot na wylot rozpadliny, *Miej się za martwego* przerwał atak i uciekał na północ ścigany przez trzy Talony.

Kapitan usłyszał huk wystrzałów dobiegający z wieżyczki Orsone, jakiś bandyta pojawił się znieca na ogonie *Grety*, w powietrzu wykwitły ściegi smugowych pocisków. Viltry odbił gwałtownie w bok, pomknął w kierunku słońca, które oślepiło go na moment swym blaskiem.

- Zgubiony ! – w eterze rozbrzmiał okrzyk Orsone.

Bombowiec runął ponownie w głąb przełęczy, w dym i eksplodujące pociski, w ostry wiatr będący równie niebezpiecznym przeciwnikiem jak wrogie samoloty.

Dwa Talony przemknęły po obu stronach Maraudera; tak szybko, że przypominały jedynie rozmazane smugi. Gdzie były tak długo te cholerne myśliwce z odsieczki ?

G jak Greta zadygotała konwulsyjnie, w kokpicie zawyły alarmowe klaksony. Marauder wleciał prosto w ścianę laserowego ognia – kroczące czołgi tym razem przygotowane były na nalot lojalistów.

- Dostaliśmy ! – wrzasnął Lacombe, jego głos tonął w przerażającym dźwięku dartego metalu, topiącego się plastiku, ryku syren. *Greta* kołysała się niestabilnie w powietrzu, stery sprawiały wrażenie odlanych z ołowiu.

W konsoli bombardiera coś eksplodowało znieca z hukiem, Viltry usłyszał w eterze kwilenie Judda. Dorosły mężczyzna, przypominający rozmiarami niedźwiedzia, płakał niczym dziecko.

- Tracimy moc ! – krzyczał nadal Lacombe.

Wibracje wstrząsały całym samolotem jakby to była zabawka. Kapitan tak mocno szcząkał zębami, że przygryzł nimi sobie czubek języka. Walczył z drążkiem czując jednocześnie jak niektóre silniki zaczynają odmawiać posłuszeństwa.

Ujrzał ponownie wylot przełęczy, żółte korpusy czołgów, krechy laserowej energii lecące mu na spotkanie. Przebicie skrzydła, uszkodzenie stateczników ogonowych. Naxol krzyczał coś z przedniej wieżyczki, ale kapitan nie rozumiał słów strzelca. Nacisnął spust i odpalił wiszące pod skrzydłami rakiety. Ładunki pomknęły w dół ciągnąc za sobą warkocze białego dymu. Seria wybuchów przeorała formację czołgów, cisnęła w powietrze kawałki mechanicznych kończyn i rozerwanych blach pancerza. Szyby kokpitu rozprysły się w drobny mak, silny prąd powietrza uderzył pilota w twarz.

Samolot przeleciał przez wylot rozpadliny, wystrzelił ponad pustynię. Silniki były przeraźliwie, spod obudów dwóch z nich buchały kłęby czarnego dymu. *W górę, w górę, w górę...*

Chłostany wiatrem po twarzy kapitan rozejrzał się z desperacją wokół. Większość pokładowych instrumentów było rozbitych lub spalonych. Lacombe wisiał bezwładnie w swojej uprząży, połowa jego głowy znikła bez śladu, podobnie jak część oparcia fotela.

Szala Przeznaczenia.

Instrumenty nie mówiły mu niczego, ale Viltry latał dostatecznie długo na Marauderach, by z miejsca rozpoznać dźwięki wydawane przez umierający bombowiec.

- Skakać ! Skakać ! – rozkazał, chociaż wiedział doskonale, że maszyna znajdowała się zbyt nisko nad pustynią, by ktokolwiek zdołał bezpiecznie wyskoczyć z niej ze spadochronem.

Usiana skałami beżowa powierzchnia pustyni przesuwiała się w upiornym tempie pod brzuchem samolotu. Bryły skał, kanciaste głązy, kolumny soli. Bezmiar pustkowia wypełniał w błyskawicznym tempie pole widzenia pilota zastępując błękit nieba.

Viltry zamknął oczy.

a

DZIEŃ 260

Starówka Thedy, 00.05

Świątynia była pusta. Wzdłuż głównej nawy pulsowało światłem kilka przygaszonych olejnych lamp, silniejsza poświata padała od ogników wotywnych świec.

- Czy mogę ci w czymś pomóc, córko? – zapytał łagodnym głosem kapłan.

Beqa siedziała na krańcu jednej z drewnianych ławek. Słyszając pytanie mężczyzny uniosła w górę wzrok.

- Chciałam tu tylko trochę poczekać – odpowiedziała cicho.

- Już późna pora.

- Wiem. Wiem, że jest późno. Mogę jeszcze trochę zostać?

- Oczywiście, córko – odpowiedział kleryk – Jak długo zechcesz. Gdybyś mnie potrzebowała, będę w relikwiarzu.

Siedziała w bezruchu jeszcze przez parę minut po odejściu duchownego. Było naprawdę późno. Czekala na jego powrót do końca swej zmiany w kawiarni, potem jeszcze przez dobrą godzinę na nadbrzeżu. Wiedziała, że będzie musiała złożyć pisemne wyjaśnienie u swego kierownika zmiany w fabryce, a i tak potracą jej z wynagrodzenia karę za niestawienie się do pracy.

Zastanawiała się przez jakiś czas, by aby nie spróbować odszukać go na lotnisku, ale stwierdziła z bezradnością, że nie wie nawet, w której bazie stacjonuje. Poza tym tramwaje nie jeździły już tak daleko, a jej nie było stać na opłacenie sobie taksówki. Zresztą wartownicy nie wpuszczali żadnych cywilów do środka baz.

Podniosła się z ławki i podeszła do wotywnego ołtarza. Wrzuciła trzy drobne monety do metalowej skarbonki i wyciągnęła z pudełka trzy nowe świece. Ustawwszy je obok tuzina zapalonych już świec sięgnęła po zapalki.

Jedna dla Garta, jedna dla Eido.

Jedna dla...

Główne drzwi świątyni otworzyły się na chwilę, zatrzasnęły z hukiem pchnięte siłą przeciągu. Przez nawę przemknął podmuch zimnego powietrza.
Wszystkie wotywnie świece zgasły w tym samym momencie.

a

OSTATNIA OAZA

JEZIORO GOCEL

imperialny rok 773.M41

dzień 261 – dzień 264

a

DZIEŃ 261

Tajna baza lotnicza nad Jeziorem Gocel, 05.32

- Wstawaj ! Wstawaj, do cholery ! – ponaglał czyjś szept.

Vander Marquall zamrugał oczami, usiadł na pryczy. W mroku namiotu pochylał się nad nim Van Tull, potrząsający młodego pilota za ramię.

- Co ? Co ?

- Sygnał alarmowy – syknął starszy pilot, po czym stuknął palcem w aluminiową bransoletkę na swoim nadgarstku – Twój alarm cię nie obudził ?

Marquall ziewnął mimowolnie, potrząsnął przecząco głową. Spojrzał na bransoletkę opinającą jego nadgarstek, zimną i cichą. Na sygnalizatorze Van Tulla pulsowała rytmicznie czerwona dioda.

- Chyba jest zepsuty – mruknął w końcu Marquall.

Van Tull parsknął z brakiem przekonania, złapał Marqualla za rękę i odpiął szybkim ruchem jego bransoletę. Oglądał ją przez chwilę, po czym odrzucił z powrotem w stronę chłopaka.

- Musisz się zgłosić do magazynu po nową. Nie teraz, później. Ubieraj się.

Van Tull odrzucił w bok zasłone namiotu, wpuścił do środka falę wilgotnego gorącego powietrza. Mężczyzna był już ubrany. Marquall wciągnął szybko swoje spodnie, zaczął szukać butów.

- Pośpiesz się ! – ponaglał go Van Tull. Marquall znalazł w końcu buty, ale nie miał czasu na zawiązanie sznurowadeł. Wypadł z namiotu w ślad za Van Tullem.

Namiot, w którym obydwaj spali był jednym ze stu pięćdziesięciu przykrytych siatką kamuflującą namiotów rozbitych wśród korzeni wielkich tropikalnych drzew. Chociaż pora była jeszcze wczesna, powietrze wydawało się nieznośnie duszne. Promienie słońca sączyły się poprzez gęste poszycie lasu, przesuwając się po namiotach i chroniących je od góry płytach przeciwołamkowych.

Przebiegli między drzewami kryjąc się w rzucanym przez nie cieniu, stukając butami po kompozytowych kładkach rozciągniętych nad grząskim miejscami gruntem. Chmury niewielkich insektów uwijały się w powietrzu brzęcząc natrętnie. Biegący truchtem Marquall spostrzegł ciemne kształty przyczajone wśród półmroku lasu, starannie ukryte przed wzrokiem niepożądanych intruzów. Zauważył zarysy przysłoniętych siatką maskującą namiotów, zbiorników paliwa i wody, obsadzonych przez milczących żołnierzy Hydr, owiniętych płachtami zielonego materiału samolotów.

Dopadli do drzwi schronu, wcisnęli się do środka pomieszczenia. Piloci Umbry i grupa techników tkwiła w ciasnej przestrzeni budowli.

- Zaspaliście ? – zapytała Jagdea.

- Moja wina, pani komandor – odpowiedział Van Tull.

- Dobra? –

- Bransoleta Marqualla nie zadziałała, musiałem go obudzić.

- Więc to raczej jego wina, a nie twoja, nieprawdaż ? – stwierdziła Jagdea przesuwając pełnym dezaprobaty wzrokiem po rozpiętej kurtce i niezasnurowanych butach młodego pilota.

- Przepraszam, ma'am.

- Cicho bądź.

W schronie zapadła nieprzenikniona cisza, z zewnątrz do uszu ludzi dobiegały ptasie trele i dziwne zwierzęce pokrzykiwania. Marquall zdążył już nabrać przekonania, że nie cierpi tego miejsca. Puszca była gorąca, wilgotna i duszna, cuchnąca odorem zgnilizny. Skóra Phantyńczyka piekła go i swędziała. Miał sposobność obejrzeć z bliska robaki wielkości palca łąjące po ścianach jego namiotu, a porą nocną wielkie chmury żuków o delikatnych skrzydełkach pchających się uparcie w stronę przygaszonych lamp obozowiska.

Ptaki umilkły z nienacką. Marquall usłyszał cichy warkot serwo mechanizmów obracających zaparkowaną w pobliżu platformę przeciwlotniczą. Chwilę potem do jego uszu dobiegł odległy dźwięk lotniczych silników, dobiegający gdzieś z góry. Chłopak rozpoznał z miejsca charakterystyczny pomruk wektorowego napędu. Huk silników ucichł po kilkunastu sekundach.

Słumiony komunikat radiowy.

- Zrozumiałem – powiedział Blansher zdejmując z głowy słuchawkę – Jesteśmy bezpieczni.

Ludzie zaczęli rozmawiać ze sobą, opuszczając grupkami schron. Diody na opinających ich nadgarstki bransoletach zmieniły barwę na zieloną.

- Rozpoczynamy zmianę dzienną – oświadczyła Jagdea – Odprawa o 06.30, ale umyćcie się i zjedzcie śniadanie tak szybko jak to możliwe. Wezwanie do startu może paść w każdej chwili. Marquall ?

- Tak, proszę pani ?
- Idź natychmiast do magazynu i poproś o wydanie nowego alarmu. Zanim wyjdiesz z magazynu, użyj przycisku testowego i upewnij się, że bransoleta działa poprawnie. Jeśli nie działa, wymień ją na inną. Czy zrozumiałeś moje słowa ?
- Tak jest, proszę pani.
- Pytam, bo miałam wrażenie, że rozumiałeś to również wczoraj wieczorem, kiedy mówiłam pierwszy raz na temat sygnalizatorów.
- Zagapiłem się, proszę pani. Drugi raz tego nie zrobię.
- Możesz odejść – powiedziała Jagdea. Odwrócił się w stronę wyjścia.
- Czekaj !
- Westchnął i spojrzał w jej kierunku. Miała zmarszczone czoło.
- Wróć tutaj. Stań przy mnie i odwróć się.
- Obejrzała uważnie skórę jego ramion w miejscu, gdzie kończyły się krótkie rękawy kamizelki, potem powtórzyła oględziny na karku Phantyńczyka.
- Czy masz jakieś kłopoty dermatologiczne, o których powinnam wiedzieć ?
- Nie, ma'am.
- W takim razie to ukąszenia insektów. Podobno niektórzy ludzie na nie bardziej narażeni niż większość. Ci, którzy mają słodki zapach. Masz słodki zapach, Marquall ?
- Nie wiem, proszę pani.
- Owady najwyraźniej wiedzą. Niech miejscowy lekarz się tym zajmie.
- Tak jest, ma'am.

Marquall zawiązał sznurówki i ruszył wolnym krokiem przez bazę. Kiedy ryzyko odkrycia przestało istnieć, na polowym lotnisku znów pojawił się ożywiony ruch. Lotnicy i żołnierze krążyli po kompozytowych płytach, technicy zdzierali z samolotów siatkę powracając do przerwanych chwilę wcześniej prac konserwacyjnych. Zapach paliwa górował ponad odorem mokradel.

Tajna polowa baza ukryta była w gęstych lasach na południowym brzegu Jeziora Gocel. Jezioro - mierzące blisko tysiąc kilometrów długości od wschodu do zachodu – zasilaty rzeki spływające z Makanitów, spływające następnie nurtami Saroji do odległego oceanu. Wielki pas rzek i jezior, porośnięty gęstą tropikalną roślinnością, tworzył naturalną barierę pomiędzy pustynnym interiorom i bardziej umiarkowanym klimatem północnego wybrzeża kontynentu. Rozległy pas zieleni tworzył doskonałą kryjówkę, z której głębi lojaliści mogli uderzać nieoczekiwanie na każdy przelatujący w kierunku północy cel.

Wielkie jezioro połyskiwało w promieniach słońca, widoczne pomiędzy drzewami, tworzące tafłę roziskrzonego szmaragdu. Cały rejon bazy okazał się podmokły i pełen robactwa, głębokie mokradła lśniły czarną tonią. Ponad wodami jeziora, daleko na wschodzie, Marquall dostrzegał złocące się w promieniach słońca odległe szczyty Makanitów.

Korpus inżynieryjny marynarki oraz pracownicy Munitorium zbudowali nad brzegami Gocel utajnioną bazę. Wykonane z prefabrykatów moduły mieszkalne, baterie obrony przeciwlotniczej, bunkry i częściowo podziemne hangary kryły się pod koronami drzew oraz siatkami kamuflującymi. Maszty komunikacyjne wystawały dyskretnie ponad zieloną kopułę lub zwisały z gałęzi w formie elastycznych kabli. W gęstym poszyciu lasu wycięte zostały przecinki, starannie wyłożone grubymi wulkanizowanymi matami – szary materiał tworzył ekwiwalent pasów startowych. Na każdej macie tkwił jeden samolot: dziesięć Thunderboltów Umbry oraz dwanaście należących do 409. skrzydła myśliwskiego marynarki oraz osiem Lightningów w barwach 786. eskadry zwiadowczej. Poza rzadkimi chwilami startów i lądowań każdy pas zamaskowany był przed wzrokiem niepożądanych intruzów za pomocą rozwieszanych w górze siatek.

Masywne aerodyny transportowe, przeznaczone do przewozu personelu, żywności i paliwa, korzystały z szerokiego błotnistego brzegu jeziora, nie pozostając w bazie ani minuty

dłużej niż wymagały tego procedury rozładunku. Nie istniał żaden sposób na zbudowanie trwałego solidnego pasa startowego bez zdradzenia lokalizacji bazy nieprzyjacielowi, toteż rozładunkiem aerodyn zajmowali się operatorzy transportowych Sentineli, brodzących ustawicznie w podmokłym trzęsawisku.

Polowe lotnisko strzeżone było przez pierścień działek strażniczych Tarantula oraz ponad dwadzieścia mobilnych baterii przeciwlotniczych Hydra. Wliczając do puli personelu żołnierzy Sił Obrony Planetarnej obsługujących te instalacje, trzydziestu pilotów, zespoły naprawcze oraz służby techniczne, w leśnej bazie mieszkało ponad dwustu wojskowych.

- Hej, zabójco. Dokąd idziesz ?

Marquall obejrzał się przez ramię i spostrzegł truchającą w jego stronę Larice Asche.

- Do magazynów – odpowiedział.

W głębi serca Marquall nie posiadał się z podziwu dla porucznik Larice Asche. Dziewczyna wręcz go fascynowała. Jagdea również posiadała piękny rejestr zestrzałów, ale chłopak darzył ją szacunkiem głównie z powodu sprawowanej nad jednostką komendy. Asche – pilotka, która dosłużyła się wielokrotnego tytułu asa jeszcze w trakcie wyzwania Phantine – budziła jego uznanie swym niesamowitym talentem w lataniu. I była bardzo młoda. Blansher zaliczał się do grona wyśmienitych pilotów, lecz był o wiele lat starszy od Marqualla, podczas gdy Larice wydawała się jego rówieśniczką.

Była szczupła i zgrabna, o trójkątnych kościach policzkowych i olśniewającym uśmiechu. Wieczorem dnia poprzedzającego wylot do bazy Gocel obcięła swe osławione płowe włosy na długość paznokcia. *Leśna wszawica*, oświadczyła, *nie chcę mieć z nią problemów*.

- Stacja medyczna jest przy magazynie, prawda ?

- Tak mi się wydaje.

- Przejdę się z tobą. Nici z moich zabiegów prewencyjnych.

- Jakich zabiegów ?

Przeczesała palcami przycięte brutalnie włosy.

- Tych.

- Dlaczego ?

Podciągnęła rękawy kurtki odsłaniając znaczące skórę dziesiątki ukąszeń.

- Muszki – stwierdził chłopak.

- Na to wygląda – odpowiedziała.

- Mnie też pogryzły – oświadczył podwijając rękaw kurtki i odsłaniając ramię.

- Kiepsko to wygląda.

Stacja Munitorium składała się z pierścienia modułowych budyneczków ukrytych w cieniu masywnych drzew. Piloci weszli do środka, wciągnęli w płuca klimatyzowane chłodne powietrze. Dyżurny urzędnik, mężczyzna o twarzy pełnej cybernetycznych wszczepów, podniósł wzrok znad swojego terminala.

- Potrzebuję nowy sygnalizator alarmowy – oświadczył Marquall.

- Chcieliście powiedzieć, pilocie: potrzebuję nowy sygnalizator alarmowy, proszę pana.

- E... słucham ?

- Jestem intendent Lirek. Proszę zwracać się do mnie z uwzględnieniem odpowiedniej rangi.

Marquall zerknął demonstracyjnie na swój chronometr.

- Trwa wojna – zauważył cierpko.

Asche parsknęła cicho.

- Oczywiście, że trwa. Lecz czy oznacza to zarzucenie dobrych obyczajów ? Ile byłaby warta kosmiczna marynarka, gdyby nie codzienny znój i mordęga pracowników Munitorium ?

- Nie mam pojęcia – przyznał niechętnie Marquall.

- Ależ tak ! – Lirek podniósł się z fotela i zaczął ręcznie kalibrować swe optyczne implanty – Oczekujecie, że będziemy na każde wasze zawołanie, a jak zawołacie, że chcecie to czy tamto...

- Czy ty wiesz, z kim rozmawiasz ? – syknęła do intendenta Larice.
- Ech... nie.
- Larice... – zaczął nerwowym tonem Marquall.
- To Marquall – ciągnęła Asche mrugając rozszerzonymi szeroko oczami – Zabójca Marquall. Ten, który... sam wiesz...
- Nie – wymamrotał Lirek – Chyba nie pamiętam...
- To ten, który zaliczył zestrzał ! – wyjaśniła Asche.
- Zestrzał ?
- Zestrzał. *Ten zestrzał !* Na Tron ! I ty chcesz takiemu człowiekowi mówić o szacunku ?
- Tak, znaczy się, nie – wybąkał coraz bardziej zmieszany urzędnik – Uniosłem się w nieuzasadniony sposób. Co takiego jest nie tak z pańskim urządzeniem, sir ?
- Nie działa – odparł Marquall podając intendentowi bransoletkę.
- To bardzo źle, przykro mi z tego powodu. Upraszam o chwilę cierpliwości.
- Lirek pojawił się moment później z nowym sygnalizatorem w ręce.
- Proszę, sir. Osobiście ją przetestowałem. W przypadku cichego alarmu zacnie emitować czerwone światło, można ją też skonfigurować w taki sposób, by obudziła pana poprzez emitowanie delikatnych, nie stanowiących zagrożenia dla zdrowia elektrycznych impulsów.
- Marquall podpisał stosowny dokument.
- Dziękuję bardzo – powiedział do magazyniera.
- Żyję po to, by służyć, sir – odpowiedział Lirek pochylając w geście szacunku swą pomarszczoną żółwią głowę.
- Asche wybuchła śmiechem zaraz po wyjściu na zewnątrz stacji.
- Dlaczego to zrobiłaś ?
- Chciałaś swoją bransoletkę ?
- Tak. Ale ty go okłamałaś.
- Zaliczyłaś zestrzał czy nie ?
- Tak, ale...
- Więc nie skłamałam. On zresztą i tak niczego się nie dowie.
- Jesteś złą dziewczyną, Larice Asche.
- Niektórzy tak twierdzą.
- Tuż obok magazynu znajdował się podłużny budynek z prefabrykatów, osłonięty zieloną siatką maskującą. Wysoki mężczyzna w średnim wieku, proporcjonalnie zbudowany i umięśniony, siedział na schodkach wejściowych budowli. Ręce opierał łokciami o kolana, dłonie splótł pod brodą. Jego włosy przypominały posklejane dziwną suchą substancją kosmyki. Nosił niebieski strój ayatanich, członka kapłańskiej fraterii Świętej Sabbat.
- Ojciec – ukłonił się Marquall – Czy medyk jest w środku ?
- Wyszedł – odpowiedział kleryk.
- Może zostawimy dla niego informację ? – zasugerował Asche chłopak.
- Nie, sama coś znajdzie. Te muchy mnie wykończą.
- Weszli razem do środka stacji medycznej. Wszystkie meble wykonane były z nierdzewnej stali i plastiku. Filtrowane przez klimatyzację powietrze przesycone było zapachem mięty. Asche zaczęła się przekopywać przez pudełka z lekami.
- Co tu robicie ?
- Ayatani stał w progu pomieszczenia.
- Co tutaj robicie ?
- Ayatani stał w progu pomieszczenia.
- Pomagam sama sobie – odpowiedziała Asche.
- Przecież wam powiedziałem, że medyka nie ma.
- Tak, tak, powiedziałaś.
- Dobra, wróciłem.

Piloci spojrzeli na kapłana uważnie. Mężczyzna odsunął rękaw swej bluzy i odsłonił opaskę identyfikacyjną marynarki. Divisio Medicae.

- Jestem ayatani Kautas... pełnię również rolę medyka w tej bazie. Zabierajcie swoje brudne łapska od moich lekarstw.

Asche odskoczyła w tył, potrąciła przez przypadek kilka paczek z medykamentami.

- Jaki macie problem ? – syknął poirytowany kapłan.

- Ukąszenia – powiedział Marquall demonstrując mężczyźnie poznaczone czerwonymi punktami ręce.

Kautas zignorował ten widok całkowicie, wziął z półki dwie tuby pasty i cisnął nimi w Marqualla. Chłopak ledwie zdołał je złapać.

- Smarowanie dwa razy na dzień ! – warknął – I nie wracajcie tutaj, dopóki nie złapie was gangrena !

- Dziękujemy, ojczy... – zaczął Marquall.

- Wynoście się stąd, złodzieje !

- Dlaczego to zrobiłeś ? – zapytała Asche, kiedy schodzili po schodkach.

- Sam nie jestem pewien.

- Zresztą to nieważne – uśmiechnęła się do niego Asche – A więc, zabójco, może...

Oboje podskoczyli w miejscu czując wibracje swoich bransolet, na metalowych obręczach zapaliły się czerwone diody.

- Cholera ! – krzyknął Marquall – Kto ma dyżur ?! Masz dyżur ?!

- Nie – zaprzeczyła Asche ciągnąc go w stronę najbliższego schronu.

Jagdea siedziała już w swym Bolcie, gdy sygnalizator zaczął ostrzegawczo wibrować. Na stanowiskach po jej lewej i prawej wsiadali do swoich maszyn Blansher i Cordiale.

Szef jej zespołu technicznego podał kobiecie maskę tlenową i nakreślił w powietrzu znak orła.

Siedziała pod kątem siedemdziesięciu pięciu stopni, jej samolot tkwił na hydraulicznej rampie startowej. W bazie zbudowano trzy takie rampy, przygotowane do użytku w każdej chwili. W górze ponad swoją głowę Phantyjka dostrzegła promienie słońca przenikające poprzez siatkę maskującą.

Położyła kciuk na czerwonym przycisku aktywującą raketowy dopalacz i zastygła w bezruchu, a kropelki potu ściekały po skórze wewnątrz jej maski tlenowej.

Cisza. Skwar. Przytłumione odgłosy puszczańskiego życia.

- Umbra Lider... – zatrzeszczał komunikator.

Siatki kamuflujące nad nosem jej Thunderbolta rozsunęły się znieca, rampę zalał słoneczny blask. Znała ten rozkaz, nim jeszcze kontroler wypowiedział go do końca.

- ...startuj.

Nacisnęła kciukiem guzik.

I pozostawiła świat za sobą pośród ryku silników, miażdżona potwornym przeciążeniem.

Cicatrice, 06.50

- Wszystko z tobą w porządku, wszystko w porządku. Zaufaj mi.

- Jaki to ma sens, sir ? – zapytał Matredes – Myślę, że on umrze.

- Nie – odrzekł LeGuin – Wydaje mi się, że jest tylko odwodniony. Dajcie mu coś do picia.

Matredes i Emdeen spojrzeli na dowódcę z dezaprobatą.

- Zostały nam same resztki – bąknął Emdeen.

- Wiem – uciął LeGuin.

- A ja myślę, że powinniśmy go tutaj zostawić – mruknął Matredes.
- Nikogo tutaj nie zostawimy – odparł kapitan.
- Cholera – Emdeen poddał się w końcu i wlał nieco wody ze swej manierki w spękane usta odnalezionego na pustyni człowieka.
- Greta – jęknął nieznajomy – Greta...
- Co to za Greta ? – zainteresował się Matredes.
- Może jego dziewczyna ? – zasugerował Emdeen.
- Jak on się nazywa ? – spytał LeGuin.

Emdeen przeszukał nadpaloną lotniczą kurtkę nieznajomego, odnalazł wybity na metalowej blaszce nieśmiertelnik.

- Viltry – odczytał na głos nazwisko.

Nad lasami, 07.00

Kopuła puszczy stanowiła zielony dywan przesuwający się z zawrotną prędkością pod skrzydłami samolotów. Trzy Thunderbolty mknęły tuż nad czubkami drzew, wręcz przytulając się do gałęzi, chroniąc się w ten sposób przed nieprzyjacielskimi lokalizatorami. Ciągająca się za nimi fala powietrza targała leśnym poszyciem, stada przerażonych ptaków umykały w popłochu na wszystkie strony niczym rozpryski szrapneli.

Blansher i Cordiale trzymali swe maszyny blisko prowadzącej.

- Umbra – rzuciła w eter Jagdea – Zwrot na zero-sześć-dwa zachód. Kontakt w odległości szesnastu kilometrów, pułap sześć tysięcy. Czekać na mój rozkaz przed wejściem do walki.
- Potwierdzam, Lider.

Jagdea nie umiała wyzbyć się niepokojącego uczucia; dałaby głowę, że coś było nie w porządku i nie dotyczyło to wcale lotu tuż nad niebezpiecznym terenem. Dopiero po kilku minutach uświadomiła sobie, że przyczyną tego niepokoju był jej własny Bolt, a dokładniej te fragmenty skrzydeł i nosa, które dostrzegała z kokpitu maszyny. Wciąż nie potrafiła przyzwyczać się do ich zielonego koloru. Technicy z bazy w Gocel pomalowali myśliwce zieloną farbą, aby zapewnić im dodatkowy kamuflaż podczas lotów nad puszczą, ale Jagdea bardzo przywykła do szarej barwy swego samolotu.

Wysoko na bezchmurnym niebie spostrzegł błysk metalu. Sekundę później wypatrzyła kilka miniaturowych punkcików i nitki smug kondensacyjnych.

- Umbra Dwa do Lidera. Widzę smugi na trzeciej.
- Potwierdzam, Dwójka. Skurwysyny zaraz przejdą nam nad głowami. Odbezpieczyć broń. Przygotować się do stromego wznoszenia.

Pięć punkcików. Nie, sześć, niewielkich. Prawdopodobnie Razory.

- Na mój sygnał... trzy, dwa, teraz !

Trójka pilotów pchnęła do końca przepustnice i targnęła za drążki sterowe. Ciężkie Thunderbolty skoczyły w górę oddalając się od liściastej kopuły puszczy. Jagdea dostrzegała już wyraźnie sylwetki nieprzyjacielskich maszyn. Sześć Locustów leciało w ciasnym szyku tranzytowym.

Myśliwce Umbry pięły się w górę tak szybko jak tylko im na to pozwalały turbiny silników, piloci oddychali ciężko wciśnięci w fotele. Bandyci jeszcze ich nie zauważyli, ale miało to ulec zmianie w każdej sekundzie. Jagdea położyła palec na spuście działek, oplotła dłońią drążek sterowy.

Przechwycenie za dziesięć sekund, dziewięć, osiem...

Niczym ptaki przestraszone rykiem lotniczych silników, heretyckie samoloty złamały zniecka formację, odskoczyły na wszystkie strony.

Zbyt późno, by umknąć napastnikom.

- Łamać szyk i zabić – poleciła Jagdea.

Jej Thunderbolt wpadł w sam środek nieistniejącej już formacji wroga, wybrała sobie za cel bursztynowego Locusta o złotych pasach na skrzydłach. Nieprzyjacielski samolot skręcał ciasno w bok, ale zdążyła złapać go w celownik. Skompensowała nieznacznie statecznikami kąt lotu i wroga maszyna znalazła się pośrodku jej krzyża celowniczego.

Nacisnęła spust.

Z nosa Bolta trysnęły niebieskie krechy energii. Jagdea oddała trzy strzały po dwie wiązki w każdej salwie i druga z nich trafiła Locusta prosto w środek kadłuba. Kawałki blachy poleciały na wszystkie strony, ugodzona śmiertelnie maszyna przewróciła się kokpitem ku ziemi. Pod skrzydłami Locusta pojawiły się rosnące z każdą sekundą płomienie, samolot wszedł w stromy lot nurkowy spadając pomiędzy rosnące gęsto drzewa. Jagdea spostrzegła jaskrawy rozbłysk eksplozji, ponad liściastą kopułę wzbity się kłęby gęstego dymu.

Ofiara Blanshera – jasnoniebieski myśliwiec o diabolicznych żółtych runach na kadłubie – wywinęła się spod działek Phantyńczyka zgrabnym unikiem lecąc po trajektorii, której Umbra Dwa nie zdołałaby skopiować. Blansher wykonał raptowny zwrot i rzucił się w pościg za miedzianym Locustem uciekającym na południe. Bolt nie miał szans w tym wyścigu, Locust przyspieszał z każdą sekundą. Niewielkie heretyckie myśliwce posiadały niewiarygodnie wydajne silniki i porażającą zwrotność. Blansher zmełł w ustach przekleństwo, zawrócił i włączył się do trwającej nad puszcza potyczki.

Cordiale gonił karmazynowego Locusta próbującego pozbyć się prześladowcy poprzez lot nurkowy ku koronom odległych drzew. Cordiale z chęcią podjął wyzwanie, runął w ślad za czerwonym punktem gnającym szaleńczo ku zielonemu morzu drzew. Bandyta wyrównał tuż nad liściastymi koronami, zaczął rzucać maszyną w dzikich unikach. Cordiale powtarzał każdy jego manewr niemal stając na skrzydłach w gwałtownych zwrotach. Strzelił raz z działek, chybił, odłożył poprawkę, strzelił ponownie.

Znów chybił.

- Cholerny mały sukinkot... – wymamrotał Cordiale, ciskany to na lewo, to na prawo kabiny szaleńczymi manewrami swej maszyny.

Wysoko w górze Jagdea polowała na swą drugą ofiarę. Miała na oku żółtego Locusta uciekającego na zachód, ale odskoczyła w bok, kiedy tylko w jej słuchawkach zapiszczał ostrzegawczo antylokalizator. Niebieski Locust zaatakowany w pierwszym podejściu przez Blanshera wszedł jej w międzyczasie na ogon. Posłał w jej stronę dwukrotnie serie z bolterów, ale za każdym razem zdołała się wywinąć pociskom, po czym pozbyła się prześladowcy za pomocą włączonych raptownie hamulców aerodynamicznych i odwróconego ciągu wektorowych silników. Jej Thunderbolt niemal zatrzymał się w powietrzu, niebieski Locust przemknął tuż pod prawym skrzydłem myśliwca. Heretycki pilot uświadomił sobie, że został wyprowadzony w pole, odbił w prawo idąc szerokim łukiem w górę. Jagdea popędziła w ślad za nim zwiększając gwałtownie prędkość.

Żółty bandyta zmienił zdanie co do swej niedoszłej ucieczki, zawrócił wpadając z wysokiego pułapu w stromy lot nurkowy i szukając naprędce celu. Jagdea uciekła mu sprzed celownika nagłym skrętem, więc runął w ślad za Cordiale, wciąż ścigającym lecącego tuż nad gałęziami karmazynowego Locusta.

Nieprzyjacielski pilot nawet nie zauważył Blanshera.

Umbra Dwa spadła na niego z góry ziejąc ogniem pokładowych działek. Locust zatrząsł się konwulsyjnie, jego kadłub uległ nieodwracalnym deformacjom pod wpływem uderzających w niego pocisków, a potem przeistoczył się w ognistą kulę gasnącego szybko gazu.

Niemal w tym samym momencie tysiąc metrów wyżej Jagdea wykonała perfekcyjny zwrot Ziegnera nie mając żadnego świadka tego pięknego manewru, po czym znalazła się na ogonie niebieskiego bandyty próbującego rozpaczliwie umknąć w prawo.

Jej pociski przestębnowały nos Locusta, potem ścięły jedno jego skrzydło. Kiedy maszyna zaczęła się przechylać w bok, trzecia seria ugodziła nieprzyjacielski samolot prosto w podstawę kabiny z prawej jej strony. Cały kokpit dosłownie eksplodował – zapewne z powodu niekontrolowanego odpalenia katapulty, ponieważ Phantyjka dostrzegła spalony ludzki kształt wypadający z kabiny maszyny i mknący niczym meteor ku powierzchni ziemi. Okaleczony śmiertelnie Locust rozpadł się w locie i runął na las pod postacią setki palących się kawałków metalu.

Dwaj pozostali bandyci uciekali na pełnych dopalaczach w kierunku południa. Ostatnim uczestniczącym wciąż w walce przeciwnikiem był karmazynowy Locust goniony przez Cordiale.

- Potrzebna ci pomoc ? – krzyknął w eter Blansher wchodząc w lekki lot nurkowy.

- Odmawiam, Dwójka, odmawiam. Już go mam. Wredny mały sukinkot.

Lecący tuż nad drzewami z prędkością czterystu kilometrów na godzinę Cordiale zakrzyknął radośnie, kiedy w kabinie rozległ się dzwonek lokalizatora. Wdusił spust.

Dokładnie w tym samym momencie ryk jego silników spłoszył wielkie stado różowych ptaków. Cordiale wpadł prosto w środek chmury machających dziko skrzydłami stworzeń, ugodzony ich ciałami niczym pociskami. Płaty pancerza odleciały na boki, pękły niektóre szyby w kokpicie. Jeden z silników zaskowyczał przeciągle, kiedy ptaki dostały się w wirniki turbin, z jego dyszy trysnęła krwawa mgła.

- Kurwa ! – w eterze rozległ się przeraźliwy krzyk pilota.

Jagdea i Blansher pruli powietrze zmierzając w jego kierunku. Oboje widzieli wielką chmurę organicznych szczątków, przez którą przebił się Thunderbolt. Cordiale zdołał trafić karmazynowego Locusta i zestrzelony heretycki samolot spadł z ogromną prędkością pomiędzy drzewa.

Żadnego z lojalistycznych pilotów to w tej chwili nie interesowało.

- Cordiale ! – krzyczała Jagdea.

Umbrą Jedenaście, solidnie poobijana, z jednym niesprawnym silnikiem, podjęła próbę wyrównania lotu, ale ciężar maszyny ściągnął ją w dół. Thunderbolt uderzył w korony drzew.

- Cordiale ! Cordiale ! – Blansher słyszał w radiu niekończący się krzyk Jagdei.

Nagle, ku zaskoczeniu obojga Phantyńczyków, Umbrą Jedenaście pojawiła się ponownie wynurzając się spod liściastej kopuły niczym wyskakująca z morskiej toni latająca ryba. Cordiale zdołał utrzymać w górze nos swej maszyny i przedarł się przez listowie nie natrafiając cudem na żadną większą gałąź ani pień.

Thunderbolt zaczął się niezgrabnie piąć w górę. Z jego prawego silnika buchał brązowy dym, który po chwili zmienił swój kolor na biały.

- Umbrą Jedenaście ?

- Wciąż z wami, Lider ! Pierdolone ptaki !

Dziewiętnaście minut później wszystkie trzy maszyny wylądowały w polowej bazie. Blansher i Jagdea asekurowali uszkodzonego Bolta Cordiale przez całą drogę powrotną do Gocel. Kamuflujące siatki zostały rozsunięte na boki odsłaniając utwardzane maty tworzące pasy pustej przestrzeni pośród masywnych drzew.

Thunderbolty zaczęły opadać w dół za pomocą wektorowych napędów, usiadły delikatnie na lądowisku. Kiedy ich turbiny umilkły, zasłona maskująca punkty postojowe zaczęła się ponownie zaszuwać.

Widząc uniesioną w górę dłoń kontrolera lądowiska Jagdea wyciągnęła wtyczki komunikatora, otworzyła kokpit i zeskoczyła na utwardzaną matę. Cisnęła hełmem w stronę najbliższego technika, po czym popędziła co sił w nogach przed siebie.

Dobiegła do samolotu Cordiale w tym samym momencie co Blansher. Umbrą Jedenaście wyglądała okropnie. Szyby kokpitu były rozbite, pancerz na nosie maszyny powgniatany.

Ludzie z obsługi technicznej tłoczyli środek gaśniczy do uszkodzonego silnika Bolta. Cała przednia część myśliwca pokryta była grubą warstwą organicznych szczątków, krwi i brudnych piór.

Cordiale zeskoczył z kabiny samolotu, dygocząc bezwolnie. Jeden z ptaków wbił się w jegoabinę z taką siłą, że roztrzaskał osłonę hełmu i podbił pilotowi oko.

Phantyńczyk zdjął uszkodzony hełm z głowy, rzucił go na ziemię, otarł twarz z ptasiej krwi, spojrzął z ukosa na Jagdeę i Blanshera.

- Ważna kwestia – powiedział do kobiety machając z udawaną powagą palcem – W tej okolicy trzeba unikać kontaktów z ptakami.

- Nie omieszkać się do niej zastosować – uśmiechnęła się z ulgą komandor.

Cordiale podszedł do nosa Thunderbolta i oderwał od wilgotnej masy szczątków jedno różowe pióro.

Uniósł je w górę.

- Piórko komuś na szczęście ?

Tajna baza lotnicza nad Jeziorem Gocel, 16.42

Muszki doprowadzały go do szaleństwa. Zaciągnął się do armii, by walczyć z Nieprzyjacielem, nie z mikroskopijnymi insektami. Gdziekolwiek by nie poszedł, natychmiast opadała go chmara tych owadów, wypełniając uszy chłopaka sykiem przywodzącym na myśl wyciszone radio.

Kark swędział go i piekł. Próbował się nie drapać, ale...

Marquall dotarł do brzegu jeziora w nadziei, że muszki pozostawią go w spokoju na otwartej przestrzeni. Jak się okazało, był w błędzie.

Brzeg okazał się grząski i błotnisty, ściana puszczy wystrzeliwała ponad linię wody niczym gnijąca wolno kurtyna. Słońce zachodziło powoli za horyzont nadając przestworzom barwę różu identycznego z kolorem piórek zebranych na szczęście przez Cordiale.

Samo jezioro porażało Phantyńczyka swymi rozmiarami. Marquall uświadomił sobie z niejakim zaskoczeniem, że nigdy wcześniej nie widział prawdziwego jeziora. Taki zbiornik wody był dla niego całkiem obcym widokiem. Odnosił momentami wrażenie, że spogląda przez okno jednego z rodzimych miast-kopców na Otchłań, ale ta tafla była płaska. Zielona toń nie zmieniła swej barwy kąpiąc się w blasku zachodzącego słońca, lekko tylko pociemniała. Woda była teraz mroczna, gęsta, niepokojąca.

Na jej powierzchni ślizgały się niewielkie węże wodne.

Marquall rozważał przez chwilę w myślach możliwość spaceru do swej maszyny, ale kiedy oglądał Dziewięć-Dziewięć ostatni raz, dwa Sentinele marynarki uzbrojone w pistolety malarskie i zbiorniki z farbą znajdowały się w połowie roboty polegającej na przemalowaniu kadłuba i skrzydeł myśliwca na zielono.

Marquall uklęknął na skraju wody, zanurzył w niej dłoń. Okazała się ciepła. Zaczepnął więcej wody, by opryskać nią sobie twarz.

- Nie rób tego, idioto.

Phantyńczyk obejrzał się przez ramię. Ayatani siedział na skalistym uskoku za jego plecami, z podwiniętymi niebieskimi szatami.

Jak on się nazywał ? Kautas ?

- Czemu nie powinienem tego robić ? – zapytał Marquall.

- Właściwie nie ma przeciwwskazań. Dalej, zrób to.

Marquall wytarł dłoń w materiał spodni, wstał z klęczek.

- Nie daj się prosić, powiedz mi.

- Baroxyin Biroxas – odparł kapłan.

- Co niby ?

- Mikroskopijny wodny gad. Jezioro jest ich pełne. Jeśli dostanie się w jakiś sposób do ludzkiego krwioobiegu, na przykład przez usta, nos czy uszy, zaczyna się mnożyć z ogromną szybkością zarażając mózg, uszkodzając komórki nerwowe i wywołując z biegiem czasu takie symptomy jak niezdolność do zapamiętania własnego imienia, niezdolność do mówienia, niezdolność kontrolowania swoich zwieraczy i generalnie niezdolność do dalszego życia.
- W porządku – odpowiedział Marquall.
- Tak tylko mówię, żebyś się nie poczuł później zaskoczony.
- Próbowałem pozbyć się tych... muszek.
- Błoto.
- Co proszę ?
- Kautas przesunął palcami po swoich posklejanych włosach.
- Użyj błota. Wetrzyj je we włosy. Zapach odstraszy muszki.
- W porządku.
- Marquall umilkł na chwilę, rozważał coś w myślach.
- Cóż, chciałbym jeszcze... chciałbym przeprosić.
- Za co ? – zainteresował się ayatani.
- Za dzisiejsze wtargnięcie do lazaretu. To było niegrzeczne.
- Kautas wzruszył ramionami bez większego zainteresowania.
- Tak czy owak, przepraszam.
- Daj sobie spokój z głupim pieprzeniem – burknął kapłan, po czym odszedł wzdłuż brzegu jeziora.

Tajna baza lotnicza nad Jeziorem Gocel, 17.20

- Bree Jagdea kończyła pisać w swym namiocie raport, kiedy w jej progi zawitał kurier.
- Wiadomość, proszę pani – oświadczył wojskowy podając kobiecie złożony wpół wydruk.
- Pani komandor – poprawiła go odbierając dokument.
- Rozłożyła kartkę i zaczęła ją czytać.
- Coś ciekawego ? – zapytał stojący przed wejściem do namiotu Blansher.
- Wiadomość zawierała następującą informację:

*Dla komandor Jagdei, Phantyńskie XX Skrzydło,
Pragnę poinformować panią, że dnia dzisiejszego około godziny 13.00 zginął w walce kapitan Guis Gettering z Apostolów. W związku z powyższym pani chłopiec może nazwać swoją maszynę tak jak tylko zechce.
Z wyrazami szacunku, Seekan, dowódca skrzydła.*

- Boże-Imperatorze – westchnęła ciężko Jagdea – Stracili następnego.

Tajna baza lotnicza nad Jeziorem Gocel, 21.12

- I jak to teraz wygląda ? – zapytał Racklae zrywając z kadłuba samolotu ostatnie pasy folii i zapalając ustawione najbliżej maszyny lampy. Wielkie ómy miały się w niebieskim blasku lamp.
- Świetnie. Wspaniale – odrzekł wolno Marquall.
- Na nosie Dziewięć-Dziewięć widniał starannie wymalowany phantyński emblemat, pod nim pyszniła się zaś pięknie wykaligrafowana nazwa *Dwugłowy Orzeł*.
- W porządku ?
- Jest wspaniały, niech cię Imperator za to wynagrodzi. Cudowny.

- Nie boisz się, że zarobisz za coś takiego w usta? – Racklae wyszczerzył zęby i zaczął wycierać dłonie w czystą szmatkę.

- Teraz chyba już niczym nie ryzykuję – odpowiedział Marquall gładząc dłonią burtę myśliwca – Jutro pierwszy lot.

Młody Phantyczyk miał już sposobność lotu na Dziewięć-Dziewięć; przyprowadził maszynę z Thedy do bazy nad jeziorem – teraz miał na myśli pierwszą akcję bojową.

- Przeciagniemy go na rampę jak tylko skończą ostatnie punkty przeglądu.

Marquall kiwnął technikowi głową.

- Serdeczne dzięki – powiedział, po czym wyszedł tyłem z punktu postojowego, cały czas starając się nie odrywać wzroku od swego samolotu. Thunderbolt tkwił w niewielkiej plamie światła ukrytej pod grubą warstwą siatki maskującej. W lesie zapadły już nocne ciemności, punktowane tu i ówdzie niskim blaskiem obozowych lamp.

- Dobrze wygląda, zabójco.

Marquall obejrzał się przez ramię. Larice Asche stała pośród drzew na skraju obiegającej bazę ścieżki.

- Zgadzam się całkowicie – błysnął zębami w uśmiechu Marquall.

Phantyjka podeszła do niego, wyciągnęła spod kurtki butelkę amasecu.

- Pora na chrzest, szczęściarzu – upiła spory haust alkoholu, po czym podała butelkę chłopakowi. Poszedł w ślady dziewczyny pociągając łyk mocnego trunku.

- *Za Dwugłowego Orła* – powiedziała Asche. Jej oczy błyszczały gorączkowo, w głosie pobrzmiwała zagadkowa nuta – Wszystko ładnie ci się układa, zabójco. Unik za pomocą rakietowego dopalacza, pierwszy potwierdzony zestrzał, samolot o dumnej nazwie... Naprawdę znalazłeś się w grze. Zaczynasz błyszczeć, Marquall, widzę wokół ciebie aurę, która wieści wielką przyszłość.

- Mam nadzieję – odparł nieco skrępowany. Upił jeszcze trochę amasecu i oddał dziewczynie butelkę – Mam wrażenie, że mój pech w końcu mnie opuścił.

- Ja jestem tego pewna – powiedziała Asche robiąc szybki krok do przodu i przywierając ustami do ust pilota. Zaskoczyła go całkowicie tym gestem.

Racklae zeskoczył ze skrzydła Dziewięć-Dziewięć i zaczął przeglądać narzędziowe skrzynki w poszukiwaniu klucza trójki.

- Hej, szefie – odezwał się jeden z jego podwładnych.

Racklae uniósł głowę, podążył za wzrokiem technika i dostrzegł dwie splecione w uścisku ludzkie sylwetki tkwiące na skraju leśnej ścieżki. Mechanik parsknął cicho z rozbawieniem.

- A chłopak pewien był, że nie zarobi niczego w usta.

a

DZIEŃ 262

Masyw Makanitów, 06.47

Górskie turnie zaczęły rysować się coraz wyraźniej na tle nadchodzącego poranka, ale w przełęczach i dolinach zalegały wciąż głębokie cienie. Wokół było chłodno i bardzo cicho.

- Który dzień dzisiaj mamy ? – zapytał Viltry.
- Dwieście sześćdziesiąty drugi – odpowiedział LeGuin.
- Straciłem... trzy dni.
- Musiałeś dość mocno uderzyć się w głowę. Opatrzyliśmy cię na tyle, na ile umieliśmy.
- To wy mnie znaleźliście ?

LeGuin oparł się plecami o osłonę gąsienicy *Ręki Śmierci*, upił łyk wody ze swojej manierki.

- Trafiliśmy na wrak twojej maszyny. Jadący przed nami konwój wpadł w zasadzkę w górach. Kiedy tam dotarliśmy, było już po wszystkim. Masakra. Znaleźliśmy twój samolot na pustyni na południe od wylotu przełęczy. Leżałeś pięćdziesiąt metrów od wraku.
- Nie pamiętam, żebym skakał ze spadochronem.
- Może wyrzuciło się przez okna kokpitu ?
- Reszta mojej załogi ?

LeGuin wzruszył bezradnie ramionami.

- Przykro mi, ale chyba im się nie udało. Twój samolot był doszczętnie wypalony. Zaglądaliśmy do środka, ale nie znaleźliśmy nikogo oprócz paru ciał. Na pewno nie przeoczyliśmy nikogo żywego.

Viltry pokiwał ze smutkiem głową.

- Przykro mi – powtórzył czołgista.
- To nie twoja wina.
- Ani twoja, jak sądzę.

Nawet nie wiesz jak się mylisz, pomyślał Viltry.

- Jak się nazywasz ? – zapytał w zamian.

- Kapitan Robart LeGuin, Ósmy Pancerny Pardui.
- Oskar Viltry, 21. skrzydło bombowe, Korpus Lotniczy Phantine.
- Niewielu was do tej pory spotkaliśmy na naszej drodze – zauważył bez cienia uszczypliwości LeGuin.
- Wracacie do domu ?
- Tak. Należymy do armady lądowej Humela. Byliśmy pod bramami Kopców Trinity, a teraz wracamy z powrotem na północ.
- Jak tam było ?
- Pod Kopcami ? Piekło. Krwawe piekło. Zakładaliśmy, że zdobędziemy te miasta w tydzień. Oni mieli inne plany i solidne wsparcie ze strony obcoświatowców. Wyrznęli w pień pierwsze nacierające jednostki. Zabijali nas na tarasach uprawnych, miejskich autostradach, pośród oparowych młynów. Niebo było czarne od dymów, wszystko stało w ogniu. Nigdy wcześniej nie widziałem czegoś takiego.
- LeGuin starł palcami z policzka warstewkę zaschłego piasku.
- Zaczęliśmy się cofać, dopóki nie przeszło to w zmasowany odwrót. Prosto na pustynię, z wrogiem deptającym po piętach. Coś ci powiem. Z czymkolwiek nie przyszło nam się zmierzyć pod Kopcami, i tak było to lepsze od piekła, które czekało nas od tamtej pory. Upiorny skwar. Kończące się zapasy wody, paliwa, amunicji, żywności. Choroby. Ludzie umierający z powodu jęczących się ran. Nieprzyjazny teren. Ustawiczne ataki. Wiele razy byłem święcie przekonany, że już się stamtąd nie wydostaniemy.
- Wciąż jeszcze kawał drogi przed wami – zauważył Viltry.
- Wiem, ale teraz jesteśmy już w górach. Jeszcze dwa dni, jeśli Imperator się zmiłuje, i znajdziemy się po drugiej stronie.
- Niektóre konwoje już tam dotarły – powiedział phantyński kapitan – Zanim... zanim wyleciałem ostatni raz, podano oficjalny komunikat na ten temat. Pierwsze kolumny weszły do Doliny Lidy i na półwysep. Myślę, że niektóre konwoje przebiły się też zachodnią stroną, obchodząc Makanity z boku.
- To dobrze – odpowiedział LeGuin – Dobrze słyszeć takie wieści. Na Tron Terry, jeszcze nie przegraliśmy.
- Zamierzasz tam wrócić ?
- Co dokładnie masz na myśli ?
- Brałem udział w zmasowanej powietrznej kontrofensywie. Ściągnięto tu naprawdę wielu lotników, głównie z marynarki kosmicznej. Mamy przygwoździć nieprzyjaciela do ziemi i kupić wam dość czasu na powrót, ale nie damy rady robić tego w nieskończoność. Teraz latamy tylko w desperacki sposób próbując zatrzymać ich w miejscu. Wojnę wciąż będzie musiał wygrać ktoś inny.
- Więc wciąż zadanie pozostaje dla nas, prawda ? – spytał retorycznie LeGuin podnosząc się na równe nogi – Zbierajmy się, już świta. Lepiej ruszyć zawczasu w drogę, zanim zacznie się upał.
- Kapitan obudził członków swej załogi, śpiących w cieniu rzucanym przez czołg. Tylko w chłodzie nocy zmęczeni ponad wszelką miarę ludzie mogli zyskać nieco odpoczynku. LeGuin posłał swych czołgistów wzdłuż kolumny każąc im obudzić resztę żołnierzy. Zaparkowane pod ścianami przełęczy czołgi i transportery tkwiły w głębokiej ciszy.
- Po chwili zawarczały pierwsze silniki, w powietrzu zaczęły rozbrzmiewać ludzkie głosy. Rozpoczął się kolejny dzień wielkiego odwrotu.

Tajna baza lotnicza nad Jeziorem Gocel, 08.43

Van Tull, Del Ruth i Marquall przyszli na wyznaczoną przez Jagdeę odprawę w pełnych kombinezonach lotniczych. Komandor czekała na nich przy niewielkim stoliku wystawionym

na zewnątrz namiotu. Był ciepły pogodny poranek, od strony jeziora wiała rześka bryza, a promienie silnego słonecznego światła przebijały się przez korony drzew tworząc w powietrzu plątaninę jaskrawych wiązek. Na odprawie pojawił się też Blansher, taszczyący ze sobą sporych rozmiarów termos z kawą, oraz Larice Asche, ubrana w spodnie i pozbawioną rękawów koszulkę. Dziewczyna uśmiechała się cały czas zagadkowo, ale Jagdea nie zwracała na to większej uwagi.

Phantyjka odczekała, dopóki chronometr nie wyświetlił 08.45. Wszyscy usłyszeli nagłe ryknięcia raketowych dopalaczy. Raptory miały tego dnia pierwszą kolejkę startów, trzy masywne samoloty wzbily się w błękitne przestworza.

- Porządek dnia jest następujący: prowadzimy patrole na zmianę, trzy Raptory i trzy Umbry, cały czas po sześć maszyn jednocześnie w powietrzu – zaczęła Jagdea – Oznacza to, że zapewne przed zachodem słońca znajdziecie się przynajmniej dwa razy w powietrzu. Dzień może być męczący, więc uważajcie na siebie. Nadeszły raporty z minionej nocy i nie niosą dobrych wieści. Półwysep został zbombardowany. Wczoraj wieczorem doszło do pierwszego nalotu na Thedę. Lecz dopóki formacje bombowe nie będą zagrażały bezpośrednio naszej bazie, mamy je ignorować. Spora część armady lądowej przedostała się już przez góry i w ciągu następnych kilku dni w portach morskich rozpocznie się zmasowana operacja ewakuacyjna. Meldunki wywiadu donoszą, że kilka dużych kolumn zmotoryzowanych przebiega się w naszą stronę, najwyraźniej z zamiarem przeprawienia się przez Saroję na zachód od jeziora Gocel. Depcze im po piętach pościg.

- Powietrzny czy naziemny? – zapytał Van Tull.

- Obydwa. Obowiązują trzy cele misji. Jeśli zlokalizujecie pozycje sojusznicznych wojsk, przyjmujecie je za środek swojej strefy patrolowej. Pozostajecie nad konwojem i zapewniamie mu osłonę, dopóki starczy wam paliwa. W przypadku kontaktu z nieprzyjacielskimi samolotami wiążecie je walką. Jeśli zlokalizujecie wrogie jednostki naziemne, atakujecie. W tym właśnie celu zostaliście uzbrojeni w pociski raketowe. Sami definiujecie cele priorytetowe. Lećcie i zobaczcie, co możecie zrobić.

- A co, jeśli natrafimy na nieprzyjacielski lotniskowiec? – spytała Del Ruth.

- Użyjcie rozumu. Podajcie przez radio pozycję i wynoście się, rzucimy tam Maraudery. Podobnie ma się rzecz w przypadku odkrycia dużej formacji bombowej lub myśliwskiej, przewyższającej was liczebnie bardziej niż dwa do jednego. Zgłaszać to natychmiast przez radio. Oczekuję od was heroizmu, nie bezmyślnej brawury.

Jagdea urwała na chwilę.

- Jakież pytania? Nie ma? Doskonale. Do maszyn.

Jagdea i Blansher odprowadzili pilotów do ich myśliwców. Komandor zauważyła jak blisko Marqualla szła Larice Asche, śmiejąca się na przemian i szepcząca coś do ucha chłopaka. Na skraju rampy startowej Phantyjka pocałowała Marqualla namiętnie.

- Widzę, że Larice zaliczyła kolejny zestrzał – zauważył cicho Blansher.

- Marqualla? Przyszła, że to dla mnie pewne zaskoczenie.

- A dla mnie nie. Pierwsze strącenie, trochę heroiki. Mały zaczyna się cieszyć coraz lepszą reputacją. Ona zawsze leciała na takich facetów.

- Na ciebie też leciała? – zapytała Jagdea.

- Dżentelmen jest dyskretny w takich kwestiach – odparł Blansher.

- Jakie znaczenie ma tutaj dyskretność, Mil? A może uraża twą męską dumę fakt, że nigdy nie załapałeś się na jej względy? Czyżby to efekt starzenia się?

Pilot uśmiechnął się wyrozumiale.

- Skoro już musisz wiedzieć, startowała do mnie jakieś osiemnaście miesięcy temu. Podczas kampanii na Urdeshu. Tamtego wieczoru, kiedy strąciłem trzy Talony.

- I co się wydarzyło?

- Miała mnie na celowniku, z ustawionym lokalizatorem. Odbiłem unikiem, wywinąłem się spod ostrzału i wróciłem bezpiecznie do bazy.

- Nie jest w twoim typie ?

- Bynajmniej, to śliczna dziewczyna. Po prostu odstręcza mnie jej system oceny mężczyzn.

W powietrzu rozszedł się dźwięk ostrzegawczego klaksonu. Marquall był gotowy do startu. Blansher i Jagdea stanęli za jedną z ochronnych kompozytowych płyt.

Racklae zatrzasnął owiewkę kokpitu i pokazał Marquallowi uniesiony kciuk. Pilot skinął mu w odpowiedzi ukrytą pod hełmem i maską tlenową głową. Ustawwszy poziom mieszanki paliwowej usadowił się wygodnie w fotelu. Na Tron, jak on nienawidził startów z rampy ! Czuł pot ściekający gorącymi kroplami po skórze. Kątem oka obserwował mignięcia diody odliczającej czas do startu. Elektroniczne systemy pracowały poprawnie. Dopływ paliwa do silników otwarty. W eterze rozbrzmiewał dźwięk komunikatów z Operacji.

Kolejny klakson. Pięć sekund. Siatki maskujące zaczęły się rozsuwać ponad rampą odsłaniając lazur przestworzy.

Trzy sekundy. Palec pilota spoczął na przycisku aktywującym dopalacz.

Dwie sekundy.

Del Ruth wystrzeliła w powietrze z przewiercającym się w głąb kości rykiem silnika, zaraz po niej w górę pomknął Van Tull. A potem...

Marquall obrzucił kokpit pełnym niedowierzania spojrzeniem. Nacisnął ten przycisk, był tego pewien. Nacisnął kolejny raz. Nic. Zmełł w ustach przekleństwo.

- Umbra Osiem, twój status ?!

- Awaria ! – krzyknął w eter – Restart...

Ponownie brak efektu. Na pulpicie rozjarzyły się nagle czerwone diody, w kabinie rozbrzmiał alarmowy dzwonek.

- Kurwa ! – wrzasnął Marquall.

- Powtórz ?! Status ?!

- Awaria dopalacza !

- Zrozumiałem, Umbra Osiem. Przystąp do realizacji procedury awaryjnej. Ustabilizuj poziom mieszanki paliwowej, włącz doprowadzanie płynu katalizującego.

- Tak jest, Operacje.

Wdusił kilka przycisków zabezpieczając działka i raketowe pociski, zamknął dopływ paliwa do zbiorników i zalał je chemiczną mieszanką neutralizującą wrażliwe na wstrząsy paliwo raketowe, by ograniczyć w ten sposób ryzyko przypadkowego odpalenia dopalacza w późniejszym czasie. Zabieg taki oznaczał długie godziny niezbędne dla oczyszczenia zbiorników i ponownego ich napełnienia.

- Umbra Osiem zabezpieczona – zgłosił przez radio.

Dopiero wówczas ludzie z obsługi technicznej opuścili swój schron biegnąc w stronę samolotu. Klapy inspekcyjne zaszczękały metalicznie, syknęły podłączane do baków kable paliwowe. Grupa zbrojmistrzów przysunęła pod Bolta wózek amunicyjny zdejmując spod skrzydeł maszyny rakiety z zamiarem odwiezienia ich do solidnie okopanego arsenału.

Stuknęła przystawiona do kadłuba samolotu drabinka. Marquall odsunął owiewkę.

- Serdeczne dzięki za cholerne nic, Dziewięć-Dziewięć – wysyczał z dziką złością, po czym wyskoczył jak oparzony z kokpitu.

Racklae podbiegł do niego, kiedy tylko chłopak dotknął nogami utwardzanej maty.

- Tak mi przykro, sir, tak mi przykro. Byliśmy pewni, że wszystko z nim w porządku. Nie znaleźliśmy wcześniej nawet śladu jakiegoś defektu.

- Klątwa nie pojawia się na ekranach skanerów, prawda ? – zapytał rozgoryczony Phantyńczyk. Pilot widział równie głęboką gorycz i poczucie winy na twarzy Racklae.

Technicy Racklae wcale nie wyglądali na skruszonych, wielu z nich z trudem ukrywało rozbawienie. Stojący nieco dalej ludzie z obsługi 409 skrzydła i personel pomocniczy bazy

nawet nie próbowali kryć otwartego śmiechu. Czerwony ze wstydu Marquall nie potrafił zignorować ich złośliwych docinków. Nie było chyba bardziej komicznego widoku od pewnego siebie młodego pilota oddelegowanego do jednej z pierwszych misji, posiadacza nowiutkiego i spersonalizowanego samolotu – tak boleśnie zranionego przez pechowy zbieg okoliczności.

Stał się pośmiewiskiem.

Opuścił stanowisko startowe.

- Zwykły pech, Marquall – powiedziała Jagdea – Przydzielę cię do patrolu na popołudniowej zmianie.

- Tak jest, pani komandor – odparł oschle mijając ją szybkim krokiem.

Ruszył w stronę obserwującej całe zajście Asche. W powietrzu wciąż jeszcze unosiły się stłumione śmiechy. Phantyńczyk rozłożył szeroko ręce.

- I co takiego mam powiedzieć ? Cholerny pech. Przynajmniej mamy okazję zjeść razem śniadanie.

Larice Asche przesunęła po nim enigmatycznym spojrzeniem.

- Innym razem, zabójco – powiedziała, po czym odeszła w głąb bazy.

Nad lasami, 09.02

Wskakując pośpiesznie do swojej maszyny Jagdea podniosła Bolta z maty za pomocą silników wektorowych, zwiększając sukcesywnie pułap i dołączając do Del Ruth i Van Tulla. Dwa myśliwce zataczały kręgi ponad bazą stosując się do otrzymanych przez radio poleceń Operacji.

- Trójka, Szóstka ? Mówi Umbra Lider. Przepraszam za opóźnienie. Marquall miał defekt maszyny, wypadł z grafiku. Weszłam na jego miejsce.

- Nie ma sprawy, Lider – odpowiedział Van Tull.

- Przyjemność po naszej stronie, ma'am – dodała Del Ruth.

- Zaczniemy grę – rzuciła w eter Jagdea. Zero-Dwa szedł płynnie, słuchał się każdego drgnięcia sterów pomimo nieoczekiwanego startu awaryjnego – Pułap cztery tysiące, zwiększyć prędkość, kurs jeden-jeden-dziewięć.

- Przyjąłem, Lider.

- Potwierdzam.

- Umbra Trzy, obejmij prowadzenie.

- Na rozkaz, Lider – odparł Van Tull.

Sformowali ciasny klucz z Van Tullem na czele, Jagdea zajęła miejsce na ósmej prowadzącego. Powietrze było czyste i przejrzyste, ale wciąż jeszcze niska temperatura powodowała, że samoloty ciągnęły za sobą smugi kondensacyjne. Lokalizatory nie wskazywały żadnych celów oprócz trzech Raptorów lecących sześćdziesiąt kilometrów na wschód od Umbry.

Jagdea źle się czuła. Nie spodziewała się tak szybkiego startu, z pewnością nie przed popołudniową zmianą. Zjadła z rana pełne śniadanie i jej żołądek wciąż trawił posiłek. Przeciążenie wyczyliło okropne rzeczy z brzuchem kobiety. Skorygowała ustawienia mieszkanek tlenowej i poczuła się nieco lepiej.

Krążyli w przestworzach przez ponad godzinę; lecąc szerokim łukiem na wschód, dopóki gęstwiny lasu nie ustąpiły miejsca trawiastej równinie stanowiącej pas graniczny pomiędzy tropikalną puszcza i pustynią. W dole rozciągała się rozległa panorama otwartej przestrzeni. W kokpitach maszyn lśniły promienie słonecznego światła, pod ich skrzydłami przesuwały się trawy poznaczone bryłami skał, krzewami, wielkimi kaktusami.

- Mam na skanerze odczyt, dwa stopnie na zachód, cztery kilometry – zgłosił Van Tull – Pasywna sygnatura, nie przemieszcza się.
- Sprawdźmy to – odpowiedziała Jagdea. Myśliwce skrzyły w bok łukiem dość ciasnym, by komandor poczuła nagły spazm wnętrzości.
- Wszystko w porządku, Jeden ? – odezwała się w eterze Del Ruth.
- Bez zarzutu – odpowiedziała Jagdea.
- Lekka zwłoka w skręcie, zdziwiłam się trochę.
- Zbyt obfite śniadanie.

Dotarli ponad źródło odczytu, obniżyli pułap lotu. Na szczycie jednej z piaskowych diun stały dwa imperialne czołgi i cztery transportery opancerzone, nieruchome, opustoszałe. Ani śladu uszkodzeń, niektóre włazy były otwarte. Skanery nie odnajdywały żadnych źródeł ciepła. Brak pracujących silników, brak termicznych sygnatur ludzi.

- Porzucone maszyny – oświadczył Van Tull.
- Zróbmy jeszcze jeden przelot – poleciła Jagdea.

Zrobili łagodny zawrót i nadlecieli nad pojazdy drugi raz, tym razem tak wolno, że dosłownie ślizgali się w powietrzu. Czołgi przesunęły się tuż pod brzuchami Thunderboltów. Jagdea dostrzegła cienką warstewkę piasku pokrywającą blachy pojazdów, zauważyła jakiś kształt, który mógł być ludzkim ciałem, leżący przy włazie jednego z transporterów.

Tych ludzi nie zabił nieprzyjaciel, nie w dosłownym tego słowa znaczeniu. Nie patrzyła na rezultat ataku powietrznego ani zasadzki. Zgubę tym ludziom przyniosła sroga natura. *Czego im zabrakło ? Wody ? Paliwa ? Brak każdego z tych płynów oznaczał śmierć. Maszyny stanęły w miejscu, z pustymi zbiornikami, potem nadszedł skwar i pragnienie. Ilu z nich podjęło próbę dalszej wędrówki na piechotę ? Nikt już nigdy nie odnajdzie ich ciał.*

Jakież to było żalosne, jakie okrutne. Czy oni wiedzieli, ile jeszcze dzieliło ich od zbawienia ? Zaledwie sześćdziesiąt kilometrów i dotarliby do lasów. Jagdea miała nadzieję, że tego nie wiedzieli. Śmierć to jedno, śmierć połączona z udręką wywołaną świadomością ratunku znajdującego się tuż poza zasięgiem ręki...

Komunikator zatrzeszczał przerywając jej rozmyślenia.

- Umbra, Umbra, klucz Raptorów prosi o asystę ! To pilne !
- Proszę o koordynaty – zgłosiła się Jagdea. Na ekraniku jej wyświetlacza taktycznego pojawił się ciąg znaków – Potwierdzam odbiór, Operacje. Jesteśmy w drodze, dziewięć minut.

Samoloty zaczęły zwiększać pułap, z dysz ich silników trysnęły płomienie.

- Gazu – rzuciła w eter Jagdea.

Tajna baza lotnicza nad Jeziorem Gocel, 09.31

- Muchy wciąż cię prześladowają ?

Siedzący na brzegu jeziora Marquall podniósł w górę wzrok. Pytanie zadał kleryk, Kautas. Wiatr od strony jeziora tarosił jego luźne niebieskie szaty.

- Jestem zdumiony, że w ogóle się tym przejmujesz – odparł z sarkazmem Phantyńczyk.

Ayatani wzruszył ramionami w geście, który mógł oznaczać cokolwiek.

- Nigdy wcześniej o to pytałem. Szczerze mówiąc, już zdążyłem zapomnieć o swoim pytaniu. Taka moja dola na tym ziemskim padole. Listy słane regularnie z mojej kurii przypominają mi o obowiązku, którego muszę dopilnować. O powołaniu. Stąd takie dziwne pytania.

- Sprawiasz dzisiaj wrażenie bardzo przyjaznego.

Kautas usiadł na brzegu obok Marqualla.

- To złudzenie, możesz mi wierzyć. Jestem dalej tym samym wrednym sukinsynem, z którym rozmawiałeś wczoraj.

Kautas wyciągnął z kieszeni niewielką metalową flaszkę, upił z niej łyk napoju. Marquall poczuł zapach likieru. Kapłan nie zaproponował mu poczęstunku.

- Acha – powiedział pilot.

- Co acha ?

- Nic takiego.

- A ja tam myślę, że miałeś zamiar powiedzieć mi coś bardzo odkrywczego, chłopaczku.

- Nazywam się Vander Marquall. I nie, to nie było... to, co miałeś na myśli. Po prostu uświadomiłem sobie, dlaczego masz taki dobry humor.

- Doprawdy ?

- Doprawdy.

- Więc zechciej mnie łaskawie oświecić, Vanderze Markenie.

- Marquallu. Jeśli zaczynasz pić przed śniadaniem, ojczy, o dziewiątej musisz już być bardzo pogodnym i szczęśliwym człowiekiem.

Kautas roześmiał się i pociągnął kolejny łyk trunku.

- A kto ci powiedział, że zacząłem pić przed śniadaniem ? To zachowanie stosowne dla jakiegoś nieokrzesanego moczymordy. Mój drogi chłopczy, prawda jest taka, że ja zacząłem pić wiele lat temu.

Marquall potrząsnął głową.

- Z całym szacunkiem, ojczy, ale co ty tu właściwie robisz ?

- Zauważyłem cię na brzegu, siedzącego z bardzo nieszczęśliwą miną, więc postanowiłem się dosiąść i pograć w równie myślicielskim nastroju. Mam ochotę na odrobinę melancholii.

- Miałem na myśli to miejsce. Enothis. Jezioro Gocel.

Kautas podniósł z ziemi płaski kamień i cisnął nim w toń jeziora. Miał silne ramię. Kamyk odbił się kilka razy od oleistej powierzchni wody.

- Czemu ten kamień tam wylądował ? – zapytał kapłan.

- Bo go tam wrzuciłeś.

- Tak, ale... – Kautas urwał na moment – Nie, masz rację. Wrzuciłem. Zbyt wczesna to pora na snucie dysput filozoficznych. Albo zbyt późno. Zresztą wszystko jedno. Jestem tutaj, ponieważ tutaj urwała się moja podróż. Zamierzam nawet poruszyć tę kwestię w rozmowie z Bogiem-Imperatorem, kiedy już otrzymam pozwolenie na ostateczną audiencję przed Złotym Tronem w gronie innych czcicieli Świętej.

- Powodzenia.

- Szczęście nie ma tu nic do rzeczy. Chodzi wyłącznie o wiarę.

- Nie sprawiasz wrażenia człowieka pełnego wiary, ojczy, raczej bardzo rozgoryczonego.

- Doprawdy ? O co ci niby chodzi ? Moim zadaniem jest opieka duchowa oraz wsparcie medyczne w tej stacji. Czasami myślę, że trafiłem tutaj tylko ze względu na moją wiedzę lekarską. Najpierw byłem doktorem, dopiero potem wdziałem kapłańskie szaty.

Marquall spojrzał na rozmówcę z ukosa.

- Jeśli mam być szczerzy, w żadnej z tych ról niespecjalnie się sprawdzasz.

- Cóż, niby... – zamyślił się Kautas – Spadaj.

Siedzieli w milczeniu przez dłuższą chwilę, muszki brzęczały natrętnie nad ich głowami. Kautas chrząknął w końcu znacząco.

- No dobra, spróbuję dowieść swej wartości. Przetestuj mnie. Skąd ten pieski nastrój ?

Marquall uśmiechnął się gorzko.

- Samolot. Kobieta.

- Na samolotach się nie znam – oświadczył kapłan – Wielkie ryczące paskudztwa. W tej kwestii ci nie pomogę. Kobiety bardziej mi leżą. Niezdecydowana ? Natrętna ? Nie odpowiada twoim oczekiwaniom ?

- Wolnego, wolnego... ta pierwsza. Niezdecydowana. Wczorajszej nocy kleiła się do mnie niczym mokra koszulka, a dzisiaj rano...
- Cóż, musisz się z tym pogodzić i...
- Jeszcze nie opowiedziałem wszystkiego.
- Cóż. Hmm. Po uwzględnieniu tego, co zamierzałeś powiedzieć stwierdzam, że musisz się z tym pogodzić...
- Pogodzić się ?
- Kautas pokiwał znacząco głową.
- Ojczy, w sprawach doradztwa duchowego jesteś naprawdę beznadziejny.
- Tak myślisz. Cholera.
- Kolejna długa chwila milczenia. Kapłan upił nieco likieru.
- W porządku – pierwszy odezwał się tym razem Marquall – Twoja kolej. Dlaczego ty jesteś taki wkurzony na cały świat ?
- Kautas podrapał się po podbródku, zadumał na chwilę, westchnął ciężko.
- Ponieważ chciałem być gdzie indziej. Zupełnie gdzie indziej, w chwili jej nadejścia. A teraz jest to niemożliwe, ponieważ utkwilem tutaj.
- O kim mówisz ? – zapytał Marquall.
- O Świętej, Vanderze Marquallu. O Świętej.

Nad interiolem, 09.32

Nadlecieli nad cel na niskim pułapie, z ogromną prędkością. Jagdea odnotowała z zadowoleniem fakt, że jej klucz znalazł się w wyznaczonym miejscu minutę przed zaplanowanym czasem.

Klucz Raptorów odnalazł jedną z wycofujących się na północ imperialnych kolumn i krążył nad nią do chwili, w której nastąpił atak. Czołgi kroczące i cięższe pojazdy bojowe, pracujące na pełnych bakach paliwa, uderzyły z rozpędu na wlokących się przez pustynię lojalistów.

Piloci marynarki zdążyli już odpalić swe raketowe pociski zaliczając kilka dobrych trafień. Płonące wraki heretyckich czołgów zaścilały piaski interioru.

- Dobrze was widzieć, Umbra – w eterze zgłosił się Raptor Jeden – Więcej rakiet bardzo się tutaj przyda.

- Potwierdzam odbiór – odparła Jagdea – Wchodzimy do gry.

Maszyny Raptorów, atakujące czołgi wroga za pomocą działek, odskoczyły w górę robiąc miejsce lotnikom Umbry. Piloci marynarki latali na smoliście czarnych Thunderboltach. Po transferze do bazy w Gocel zgodnie odmówili przemalowania swych myśliwców w barwy maskujące, powołując się na kwestie honoru jednostki.

Grupy nieprzyjacielskich czołgów sunęły poprzez pustynię pokonując wydmy, posyłając jeden pocisk za drugim w pojazdy imperialistów. Jagdea spostrzegła wylatującą w powietrze Chimere, jakaś Hydra stanęła zniecka w płomieniach. W powietrzu rosły kłęby dymu, spalin i kordytu.

Lojalistyczne maszyny przywitał sporadyczny ostrzał ze strony wrogich działek przeciwlotniczych zamontowanych na samobieżnych platformach.

- Szczęścia wszystkim ! – rzuciła w eter Jagdea.

Van Tull runął w dół pierwszy, przebił się przez kurtynę dymu i oparów. Smugowe pociski ścigały go szaleńczo, cięły powietrze za statecznikami myśliwca. Phantyńczyk odpalił swe rakiety i poderwał maszynę ostro w górę.

Powierzchnię pustyni omiotła fala ognia. Dwa nieprzyjacielskie czołgi przestały istnieć, ich zasobniki amunicyjne i zbiorniki paliwa eksplodowały z hukiem.

Del Ruth wykonała drugie podejście. Śmigła nad ziemią unikając gwałtownymi zwrotami nasilającego się ognia przeciwlotniczych baterii. Jej rakiety zdołały zerwać gąsienice na jednym z heretyckich czołgów. Zamiast pójść w ślady Van Tulla i zwiększyć wysokość, dziewczyna pozostała na dotychczasowym pułapie i otworzyła ogień z działek stębnując pociskami jakiś opancerzony transporter. Dopiero potem odskoczyła w górę, krzycząc w eter z radości.

Jagdea runęła do ataku ostatnia, uaktywniła ruchem palca przycisk odpalający rakiety. Brzuch bolał ją okropnie, ale wciąż panowała jakoś nad swoim żołądkiem.

Czołg... zbyt blisko. Drugi, nadjeżdżający z przeciwnika. Kiedy jego sylweta znalazła się w jej krzyżu celowniczym, wdusiła przycisk. Rakiety skoczyły w stronę celu ciągnąc za sobą warkocze dymu.

Jagdea zwiększała już pułap, kiedy czołg wyleciał w powietrze.

Poszła w górę pod ostrym kątem. Prosto pomiędzy bandytów.

Tajna baza lotnicza nad Jeziorem Gocel, 09.33

Kautas kichnął głośno.

- Wiesz, co się właśnie wydarzyło na Herodorze ? – zapytał.

- Na Herodorze ? A gdzie to jest ?

- System w Grupie Khana, jakieś dziewięć tygodni lotu od nas.

Marquall wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia, co się tam wydarzyło. Jakaś bitwa ?

Kautas westchnął z dezaprobatą.

- Jest to wada, którą często można zauważyć u zwykłego żołnierza, i bez urazy, młody człowieku. Taki żołnierz najczęściej nie ma zielonego pojęcia o całości wydarzeń, w których uczestniczy. Nie ma pojęcia o kompletnym obrazie. Sprawia wrażenie zadowolonego z faktu, że może wiedzę tę scedować na strategów, elity władzy i duchowieństwo.

- Zwykły żołnierz ma zazwyczaj dostatecznie dużo swoich zajęć, by zaprzętać sobie dodatkowo głowę takimi sprawami – odrzekł Marquall.

- Celna riposta – uśmiechnął się Kautas.

- Czyż nie jest powołaniem imperialnego żołnierza walka i służba ? Nie nam zadawać pytania – ciągnął dalej pilot.

- Owszem, ale odrobina ciekawości nigdy nie zaszkodzi. Dlaczego właściwie walczysz ?

- By uwolnić Enothis spod jarzma Arcynieprzyjaciela.

- Oczywiście. A w większej skali wojny ?

- By... by zapewnić zwycięstwo krucjaty i wyzwolić Światy Sabbat ?

- Więc twoim celem jest... ?

- Zwycięstwo ?

Kautas ponownie upił łyk trunku z flaszki, ale tym razem zaoferował napitek również Phantyńczykowi. Marquall podziękował przeczącym ruchem głowy.

- Dlaczego Światy Sabbat mają dla nas tak wielkie znaczenie ? – zapytał kapłan.

- Cóż, ze strategicznego punktu widzenia...

- Nie, Marquall. Dlaczego one są tak ważne dla przeciętnego człowieka ?

- Kilka tysięcy lat temu Świąta Sabbat oczyściła te światy z piętna Chaosu w imieniu Boga-Imperatora. Odzyskujemy to, co swego czasu ona zdobyła dla Imperium.

- Dokładnie. Te planety należą do Świętej Sabbat. Zostały pobłogosławione dotykem jej stóp. Moim bogiem, podobnie jak wszystkich ayatanich, jest Bóg-Imperator, ale oddaję szczególną cześć Beati. My ayatani dzielimy się na dwie grupy, na tych pracujących w wielkich świątyniach i monastyrach oraz tych na podobieństwo mnie samego, zwących się

imhava... wędrownych kapłanów, którzy ślubowali podążać Jej śladami i głosić wśród gwiazd Jej nauki.

- Rozumiem – kiwnął głową Marquall.

- Ta Krucjata trwa od dobrych dwudziestu lat. Marszałek wojny Macaroth, o ile moje źródła informacji są wiarygodne, przed ostro do przodu, realizując bardzo ryzykowny plan uderzenia w serce terytorium nieprzyjaciela. Odślonił w ten sposób swe flanki, a wróg wykorzystał tę słabość licząc na odcięcie głowy Kruczaty i odizolowanie Macarotha od reszty imperialnej armii. To my znajdujemy się na jednej z tych flank, Marquall, to właśnie Enothis z jednej strony, a z drugiej Grupa Khana. Ta wojna zadecyduje o ostatecznym sukcesie lub porażce Kruczaty. Jeśli poniesiemy klęskę, ewentualne zwycięstwo Macarotha na przedniej linii frontu nie będzie miało żadnego znaczenia. Wszystko zostanie zaprzepaszczone i nieprzyjaciel doskonale o tym wie. Lecz teraz, jeśli ostatnie wieści okażą się prawdziwe, wróg ma jeszcze silniejszą motywację, by dopiąć swego celu. Powiada się, że na Herodorze odrodziła się Beati.

Marquall wytrzeszczył oczy, zamrugał nimi szybko.

- Czy to... czy coś takiego jest możliwe ?

Kautas wyduł usta w zadumie.

- Coś takiego wystawia na ciężką próbę nawet wiarę imhava ayatani, ale wygląda na to, że to prawda. W tej właśnie chwili Herodor znajduje się pod zacieklą natarciem nieprzyjaciela, podobnie jak Enothis. Jeśli którykolwiek z tych światów padnie, pięknie nasza flank i Krucjata zostanie zgubiona. Jeśli upadnie właśnie Herodor i Beati zginie właśnie z nim, strata dla Imperium będzie jeszcze tragiczniejsza w skutkach.

- A ty chciałbyś znaleźć się właśnie tam ? – spytał cichym głosem Marquall.

- Oczywiście. Nie masz pojęcia jak bardzo bym tego chciał. Każdy ayatani pragnie teraz z całego serca znaleźć się na Herodorze u boku Świętej. Lecz mój życiowy pech uwięził mnie tutaj, obarczając obowiązkiem uczestnictwa w innej wojnie i uniemożliwiając odbycie ostatecznej pielgrzymki ku Beati.

Nad taflą jeziora pojawił się lekki wiatr, zaczął burzyć powierzchnię wody niewielkimi falami. Rosnące na brzegach drzewa kołysały się delikatnie szumiąc listowiem.

- Przy czymś takim moje własne kłopoty wydają się niczym – wyznał Marquall – Być może jesteś lepszy w dawaniu życiowych porad niż mi się początkowo wydawało.

Kautas potrząsnął przecząco głową.

- Jestem dobry w dwóch rzeczach, Vanderze Marquallu. W picu i w rozgoryczeniu. Marnuję każdy kolejny żalony dzień czekając na nieunikniony koniec.

- Koniec tej wojny. Koniec tego świata. Mój własny koniec. Obojętne mi, co nadejdzie pierwsze, byle tylko wyzwoliło mnie i pozwoliło połączyć się z Beati.

Marquall podniósł się z ziemi.

- Nie myśl w ten sposób. Przesiąknąłeś do cna pesymizmem. Powiedz ci tyle, że wciąż możemy wygrać. Tutaj i na Herodorze. Krucjata wciąż jeszcze może zatryumfować. Beati może przetrwać. Nawet pesymizm jednego człowieka może niechcący wzmocnić siłę nieprzyjaciela.

- Poza tym – dodał po chwili pilot – Nie odniosłeś nigdy wrażenia, że Beati życzyła sobie, byś się tutaj znalazł ?

Kautas nic nie odrzekł. Marquall wzruszył ramionami i zawrócił w kierunku bazy.

- Marquall ?

Phantyńczyk obejrzał się przez ramię. Kapłan wstał z ziemi spoglądając w stronę wojskowego.

- Słucham, ojczu ?

- To sugerowałyby, że życzyła sobie tutaj również twojej obecności.

Nad interiolem, 09.35

Niebo pełne było bandytów, w dosłownym tego słowa znaczenia, heretycy wypełniali swymi maszynami przestworza. Wielka formacja bombowa, licząca dobre pięćset samolotów, przesuwała się na wysokości dziesięciu tysięcy metrów niczym burzowy front. Dwie dalsze formacje bombowe, równie liczne jak pierwsza, leciały w ślad za nią dziesięć kilometrów w tyle.

Większość bombowców sunęła dalej w kierunku celów położonych gdzieś na wybrzeżu, ich załogi nie zwracały uwagi na mało ważną potyczkę w dole – lecz grupa maszyn bombowych, licząca około dwudziestu samolotów, runęła w kierunku imperialnego konwoju, ubezpieczana przez kilkadziesiąt myśliwców eskorty.

Jagdea słyszała w eterze desperackie okrzyki Del Ruth i jednego z pilotów Raptorów, nadających przez radio ostrzegawcze komunikaty.

- Zmasowane rajdy bombowe ! Ponad pięćset maszyn, nadlatują od strony interioru ! Kierują się na północny wschód, wysokość dziesięć tysięcy metrów !

Sama Jagdea milczała, zbyt przeciążona gwałtownością zwrotów mających usunąć ją przed nosów nadlatujących bandytów. Większość eskorty tworzyły Hell Razory, ale zauważyła też maszyny nieznanego jej typu, o podłużnych skrzydłach umieszczonych w tylnej części kadłuba, przez co przypominały swym wyglądem długoszyje ptaki. Siła przeciążenia skręcała wnętrzności kobiety.

Wyrównała lot w tej samej chwili, gdy w eterze rozległ się komunikat Operacji nakazujący imperialnym lotnikom oderwanie się od nieprzyjaciela.

- Mówi Umbra Lider – rzuciła do komunikatora – Odmawiam. Powtarzam, odmowa wykonania rozkazu. Dajcie nam wszelkie możliwe wsparcie albo w tym konwoju nikt nie ujdzie z życiem.

Wedle jej szacunków piloci Umbry mieli niecałe dwadzieścia minut lotu przed opróżnieniem zbiorników paliwa do poziomu krytycznego; pilotom Raptorów pozostało niewiele ponad dziesięć minut.

Nieprzyjacielskie myśliwce bombardujące – Hell Talony o barwnych malunkach na kadłubach i skrzydłach – śmigły ze skowytem ponad imperialną kolumną zrzucając ładunki, które rozpały powierzchnię pustyni luną ognistych kul. Czołgi, transportery opancerzone, ciężarówki i biegnący we wszystkich kierunkach ludzie stawali w płomieniach, powietrze cięły desperackie serie wystrzeliwane z działek Hydr.

Jagdea spostrzegła czarny kształt jednego z Raptorów przemykający tuż pod nią, ścigający jednego z Talonów. Imperialny pilot chybił celu, odbił szerokim łukiem ostrzeliwując w zamian heretyckie czołgi. Nie widziała nigdzie maszyn Del Ruth i Van Tulla, ale słyszała w radiu ich okrzyki świadczące o tym, że ciągle uczestniczyli w akcji.

Phantyjka wykonała przewrót przez skrzydło i runęła w dół spadając prosto na wchodzącego w lot koszący Talona. Pierwsza salwa z laserów chybiła, ale nieprzyjacielskiemu pilotowi popuściły nerwy. Talon zmienił trajektorię lotu, wciąż obciążony bombami i raketami. Kobieta powtórzyła jego manewr, zmniejszyła prędkość i wystrzeliła ponownie. Laserowe wiązki wgryzły się w ogonowe stateczniki Talona i heretycka maszyna przestała istnieć, w ułamku chwili przeistoczona w chmurę metalowych szczątków. Wpadła w tę chmurę nie zdążywszy zmienić kierunku lotu, usłyszała huk uderzających w kadłub elementów Talona. Coś wirującego szaleńczo grzmotnęło w szybę kokpitu, pozostawiło w niej naznaczone siatką pęknięć wgniecenie przypominające swym kształtem gwiazdę. Inny kawał metalu uderzył w skrzydło, uszkodził kłapy zmuszając Jagdeę do kompensowania trajektorii lotu za pomocą stateczników. Wielki fragment silnika odbił się z łoskotem od nosa Zero-Dwa omal nie strącając imperialnej maszyny z przestworzy.

Zdołała utrzymać Bolta w powietrzu. Podnosząc się w fotelu mogła dostrzec powgniataną obudowę na nosie swej maszyny, w kabinie rozbrzmiewały popiskiwanie kilku alarmowych sygnalizatorów.

Sprawdziła szybko wskazania pokładowych instrumentów. Laserowe działka nie nadawały się do użytku – albo wstrząsy uszkodziły w jakiś sposób ich lufy albo spowodowały odłączenie kabli zasilających. Wyłączyła sygnalizatory i przełączyła system uzbrojenia na działka automatyczne.

Minął ją jakiś Raptor, pnący się ostro w górę. Na jego ogonie trzymały się trzy strzelające z wszystkich luf Hell Razory, je natomiast ścigał Van Tull. Jagdea szarpnęła sterami i włączyła na moment dopalacze, zajmując pozycję tuż za ogonem Van Tulla. Zrobiła to dostatecznie szybko, by ujrzeć zaliczony przez Phantyńczyka zestrzał. Laserowe działka Umbry Trzy rzygnęły światłem i prowadzący klucz Razor eksplodował zmieniając się w kulę przetkanego kłębam dymu ognia. Van Tull odskoczył gwałtownie w bok uciekając przed sypiącymi się z nieba płonącymi szczątkami swej ofiary.

Jagdea pozostała na swoim kursie, zagryzając usta pod wpływem bolesnego przeciążenia. Wystrzeliła kilka serii z działek, ale nie zdołała ocalić Raptora. Trafiony od tyłu czarny Thunderbolt zadygotał, odchylił się w bok. Z jego poszycia zaczęły się sypać kawałki blachy, buchnął warkocz czarnego dymu. Maszyna runęła w dół, ogarniana coraz większymi płomieniami. Phantyjka dostrzegła wyrzucony z kokpitu fotel pilota i rozkładającą się w powietrzu czaszę spadochronu.

Pozostałe dwa Razory skrzyły na boki natychmiast po strąceniu swej ofiary, próbując najwyraźniej pozbyć się prześladowcy. Nieprzyjacielskie maszyny zmniejszyły gwałtownie wysokość i odeszły na boki szerokimi łukami. Jagdea cisnęła Bolta w skręt wykonany niemalże w zawisie, popędziła w ślad za jednym z Razorów.

Heretycki myśliwiec pomalowany był na czerwono, na jego nosie kobieta zauważyła jakieś obrazy przedstawiające sceny patoszenia ludzkich ciał. Razor runął w dół usiłując zgubić napastnika tuż nad wyprażoną słońcem powierzchnią pustyni. Jagdea pozwoliła celowi przesunąć się w krzyżu swego celownika, z lewej na prawą, odczekała jeszcze chwilę. Heretyk rzucił samolot w przeciwną stronę, z prawej na lewą, wszedł ponownie w celownik. Pisk lokalizatora.

Nacisnęła spust. Poczula wstrząs wywołany odrzutem działek, ujrzała serie smugowych pocisków. Razor, pozornie nietknięty, wyrównał na chwilę tor lotu, a potem rzygnął kłębam dymu i spadł z nieba jak kamień.

Jagdea zawróciła natychmiast, dostrzegła opadającą ku pustyni czaszę spadochronu. Strącony chwilę wcześniej pilot Raptorów zmierzał w stronę ziemi poprzez unoszące się w powietrzu smugi dymów.

I uległ dezintegracji.

Przeistoczył się w chmurę krwi i tkanki, niczym poszatkwane mięso. Jego podarty na strzępy spadochronu poniósł na wszystkie strony wiatr.

Jeden z samolotów nieznanego Jagdei typu przemknął tuż obok niej, z luf jego działek wciąż rzygały płomienie wylotowe.

Phantyjka poczuła istny atak wściekłości. Cisnęła swym Boltem w ostry zwrot próbując podążyć za zabójcą, ale przeciążenie okazało się dla niej zbyt mordercze. Zdążyła w ostatniej chwili zedrzeć z twarzy maskę tlenową, po czym zwymiotowała zwracając całe zjedzone wcześniej śniadanie.

- Boże-Imperatorze... Boże-Imperatorze... – wydyszała ciężko. Zaczynała tracić świadomość, pociemniało jej w oczach pomimo błyskawicznego wyrównania lotu.

Zwymiotowała ponownie, a potem wciągnęła maskę z powrotem na twarz oddychając głęboko tlenową mieszanką. W ustach czuła okropny cierpki posmak. Instynkt podpowiedział

jej, że zbyt długo leci w linii prostej, nim jeszcze w kokpicie rozległ się ostrzegawczy pisk antylokalizatora.

Ktoś wsiadł jej na ogon. Próbowwała pociągnąć za drążek, ale czuła się potwornie osłabiona, zdezorientowana. Thunderbolt zadygotał pod wpływem kilku trafień. Oddychając głęboko zdołała się w końcu skoncentrować i skręciła w prawo wpadając prosto na kwintet mknących w stronę konwoju Hell Talonów. Nie miała dość czasu, by nacisnąć spust działek.

Jej prześladowca był naprawdę dobry, trzymał się tuż za nią, antylokalizator piszczał nieustannie. Kręcąc rozpaczliwie głową szukała go wzrokiem, przełączała tylne kamery. Gdzie on jest ? Gdzie on jest ?

Tam. Dokładnie na jej szóstej, niczym w podręcznikowym przykładzie. Kolejny z nieznanych myśliwców o podłużnych kadłubach. Dostrzegła go na ułamek chwili i to wystarczyło. Czymkolwiek te nowe maszyny nie były, nie posiadały wektorowego napędu. Żadnych dysz korekcyjnych. Szybkie i zwrotne, ale o konwencjonalnych silnikach.

Jagdea pociągnęła drążek sterowy na siebie, zwiększyła pułap, włączyła hamulce aerodynamiczne i zatrzymała się w powietrzu pozwalając, by bandyta prześlizgnął się z rozpędu pod nią.

A potem weszła mu na ogon i zademonstrowała jak się prowadzi ogień z tkwiącego w zawisie samolotu.

Bandyta eksplodował w powietrzu.

Jagdea skręciła ponownie, umykając przed ostrzałem naziemnych baterii przeciwlotniczych. Dwaj pozostali Raptorzy zgłosili przez radio rezerwę paliwową, po czym odłączyli się od walki.

- Trójka ? Szóstka ? Ciągłe ze mną ? – rzuciła w eter Jagdea.

- Potwierdzam, Lider – zgłosił się natychmiast Van Tull.

Chwila ciszy.

- Potwierdzam, Lider – powiedziała Del Ruth, zdyszczanym głosem – Jestem trochę zajęta...

Zawracająca ciasnym łukiem Jagdea dostrzegła w końcu Del Ruth, kilometr dalej na zachód i tysiąc metrów wyżej. Dziewczyna umykała przed dwójką prześladowających ją Razorów, ustawicznie próbujących wejść na ogon imperialnej maszyny. Za Thunderboltem Del Ruth ciągnęła się smuga białego dymu.

Jagdea włączyła dopalacze i runęła w ślad za bandytami, zmusiła ich do ucieczki na boki. Obróciła maszynę do góry nogami i wykonała ciasną pętlę widząc przesuwaną się w dole powierzchnię interioru.

- Odpędziłam ich – rzuciła w eter – Zmykaj do domu, Aggie.

- Tak jest, proszę pani – odpowiedziała Agguila Del Ruth – Przepraszam.

- Wróć do bazy cała i zdrowa.

Zawróciła w przeciwną stronę. Po odlocie Del Ruth i Raptorów w powietrzu pozostawała już tylko ona sama oraz Van Tull.

I cała horda bandytów.

Trzy minuty lotu do osiągnięcia krytycznego poziomu paliwa.

Jagdea upatrzyła sobie jakiegoś Razora i runęła w jego stronę, ale przestreliła cel. Cisnęła maszynę w zwrot niemalże niewykonalny dla Thunderbolta, złapała ofiarę w celownik, lecz nacisnąwszy spust niczego nie usłyszała.

Potworne przeciążenie odcisnęło piętno nawet na samolocie, elektryczne podajniki amunicji w działkach zatrzymały się w miejscu, ich siłowniki nie potrafiły uciągnąć taśm z pociskami. Jagdea poczuła zaskakujące zadowolenie z faktu, że wcześniej zwymiotowała, w przeciwnym razie udusiłaby się teraz w męczarniach ledwie strawionym posiłkiem.

Wyprowadziła Thunderbolta z łuku, namierzyła jakiegoś Razora i uszkodziła go krótką serią.

- Czas się stąd wynosić – powiedział w eterze męski głos. Blansher. Nadleciał w swoim Bolcie prowadząc Asche, Waldona, Zemmica i Ranfre.
- Dobrze cię widzieć – odpowiedziała Jagdea.
- Możesz stracić dobry humor po powrocie do bazy – ostrzegł ją Blansher przebijając się z rozpędu poprzez luźną formację Hell Talonów – To zwykła akcja ratunkowa. Ty, Van Tull i Del Ruth... zabierajcie się stąd w tej chwili.
- Del Ruth już odleciała. Musimy ratować tę kolumnę.
- Bree, bądź poważna. Zauważyłaś, ilu bandytów jest w powietrzu ? Zresztą z konwoju i tak nie zostało już wiele.

Zwiększająca pułap Jagdea rzuciła w dół wzrokiem. Na piaskach pustyni szalało ogniste piekło i dymiły liczne wraki, ale tylko kilka imperialnych pojazdów kontynuowało swą podróż ku północy. Pomimo desperackiej akcji lotników Hell Talony zdołały zniszczyć większość zmotoryzowanej kolumny.

- Możemy wracać ? – zapytał przez radio Blansher.
- Tak. Tak, Umbra. Oderwać się od wroga i wracać do bazy.

Siedem phantyńskich Thunderboltów pomknęło na północny wschód pozostawiając za sobą ogarniętą płomieniami pustynię.

Tajna baza lotnicza nad Jeziorem Gocel, 12.02

Dopiero teraz Bree Jagdea pojęła w pełni enigmatyczne ostrzeżenie Milana Blanshera. Przebrana w czysty kombinezon i wykąpana, stała na baczność w sali operacyjnej udając zainteresowanie warkotem układu klimatyzacji. Jej rozmówcami byli dowódca bazy Marcinon oraz dowódca skrzydła Ortho Blaguer z eskadry Raptorów. Blaguer, szczupły mężczyzna o ostrych kościach policzkowych i z pięćdziesiątką na karku, sprawował komendę nad personelem lotniczym bazy. Jego kombinezon był równie smolście czarny jak barwa jego samolotów.

- Otrzymała pani rozkaz porzucenia walki – oświadczył Marcinon.

Od początku nie lubiła tego człowieka. Zachrypnięty głos, koścista budowa ciała, wydatne jabłko Adama, które wydawało się większe od nosa mężczyzny. Metalowe wszczepy po lewej stronie torsu.

- Otrzymałam ten rozkaz, sir. Oceeniłam sytuację w odmienny od pańskiego sposób, na mocy przysługującego mi jako dowódcy jednostki prawa. Ratowaliśmy życie ludzi.

- Rzykując życiem innych ludzi – wtrącił Blaguer. Jego Jagdea też nie lubiła. Wyniosły, dumny, arogancki; najgorszy stereotyp lotnika kosmicznej marynarki.

- To prawda, sir – powiedziała chłodnym tonem.

- Operacje Gocel zdecydowały, że ta konfrontacja nie byłaby warta swej ceny i zakazały angażowania się w walkę – ciągnął dalej Marcinon – Mimo to piątka pani pilotów... spójrśmy na listę... Milan Blansher, Larice Asche, Katry Waldon, Orlonz Zemmic i Goran Ranfre... nie wykonali wydanego im rozkazu. Wystartowali bez zgody kontrolera i włączyli się do konfrontacji.

- Chcąc uwolnić mnie i Van Tulla z opresji – wyjaśniła Jagdea.

- Zrobili to, ponieważ im to pani zasugerowała. Nie podoba mi się to, Jagdea. Oczekuję dyscypliny po każdym członku mojego personelu, również po pani. Na Tron, gdybyśmy nie potrzebowali tak desperacko każdego pilota, pewnie zawiesiłbym was wszystkich za ten wybryk.

Marcinon poczerwieniał w trakcie tej wypowiedzi, jego irytację zdradzały pulsujące żyły.

- Nie wydaje mi się, abyś mógł coś takiego zrobić – powiedział czyjś głos.

Jagdea obejrzała się przez ramię. Do sali wszedł ayatani, towarzyszyli mu Blansher i Marquall.

- Kautas ? – parsknął z dezaprobatą Blaguer – Idź stąd, ojczu, tutaj nie znajdziesz wódki.

Ayatani Kautas wyszczerzył w odpowiedzi zęby.

- Nie martw się o mnie, szefie. Mam dostatecznie spory zapas. Rozmawiałem sobie przed chwilą z panem Blansherem. Równy gość, drugi oficer dowodzący Umbrą, tak mi przynajmniej powiedział pan Marquall. A to jest Marquall. Też równy gość. Przedstawił mnie panu Blansherowi.

Marcinon zaczął porządkować stertę dokumentów na swoim biurku.

- Jesteś pijany, ojczu. Idź stąd.

- Pijany ? A owszem. Cóż... o czym to mówiliśmy ? – uśmiechnął się pod nosem Kautas – Nie macie prawa dyscyplinować Umbry. Mówiąc szczerze, nie bardzo możecie im nawet rozkazy wydawać. Wiecie, dlaczego ?

- Och, proszę, zechciej mnie oświecić w tej kwestii, ojczu – westchnął z rezygnacją Marcinon.

- Należycie do marynarki, imperialnej marynarki, każdy jeden z was. Nie macie żadnej władzy zwierzchniej nad Phantyńczykami.

- To oburzające ! – parsknął Blaguer podnosząc się z krzesła.

- Zamilknij, piniaczu – warknął Kautas i Jagdea z trudem zdusiła chichot – Służycie w marynarce.

- Tak, ojczu – przyznał wyraźnie zaniepokojony Marcinon.

- Zgadza się, marynarka. W takim więc razie nie sprawujecie w żadnym stopniu komendy nad członkami Imperialnej Gwardii.

- Nie sprawujemy – Marcinon zgrzytnął zębami pojmując zniechęca, do czego zmierza kapłan.

- Więc skończcie drażnić ten temat – powiedział Kautas – Phantyńscy lotnicy należą do Imperialnej Gwardii. Dziwaczny wyjątek, istne kuriozum. Ich świat składa się w zasadzie z przestworzy. To dlatego powoływane tam do służby gwardyjskie regimenty należą do jednostek powietrznych. Oni nie należą do marynarki ani nie należeli ani nie będą należeć. Nie macie nad nimi jurysdykcji.

- Dziękuję za oświecenie mej osoby, ojczu – odparł Marcinon – Komandor Jagdea ?

- Myślę, że wszystko już zostało powiedziane, sir – stwierdziła kobieta – Phantyński Dwudziesty to jednostka Imperialnej Gwardii. Przybyliśmy na ten świat, by walczyć o niego ramię w ramię z dzielnymi lotnikami marynarki, w nadziei na współpracę ku wspólnemu dobru. W imię tej właśnie współpracy akceptuję pańską reprymendę i składam przeprosiny. Lecz proszę się nie ważyć ponownie mnie pouczać. Taki incydent bez wątpienia narobiłby sporo niepotrzebnego zamieszania angażując osoby z otoczenia lorda militanta oraz oficerów Komisariatu. Nasze życie codzienne zbyt jest przepełnione nadmiarem obowiązków, by sobie je dodatkowo komplikować.

Zasalutowała krótko i wyszła z sali.

a

DZIEŃ 263

Makanity, 13.33

Poprzedni dzień – dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności lub łasce Boga-Imperatora – pozwolił im przedostać się bezpiecznie w górne partie przełęczy masywu. Podróży nie zakłócił żaden ślad wojny, żaden ostrzegawczy pisk radaru, nie usłyszeli ani razu odległego pomruku lotniczych silników. Napelniwszy manierki i beczki czystą chłodną wodą z górskich strumieni, podróżowali z sercami pełnymi powracającej nadziei i radości. Po zapadnięciu zmroku LeGuin nie zezwolił na zwyczajowy nocny postój, zamiast tego pojazdy toczyły się ze zmniejszoną prędkością po kamienistych przełęczach.

Godzinę po północy konwój pokonał grzbiet noszący nazwę Cięcia Ragnara i zaczął zjeżdżać w dół przeciwnej strony masywu.

Viltry podróżował w *Ręce Śmierci*, zaoferowano mu tam miejsce strzelca, który zginął kilka dni wcześniej na pustyni. Nie oczekiwano od niego niczego w zamian, był najzwyczajszym w świecie pasażerem.

LeGuin siadł w środku nocy za kierownicą czołgu zmieniając wyczerpanego Emdeena. Prowadzący pojazd od wielu godzin Pardusyta wspiał się do wieży Lemana, usiadł w fotelu LeGuina i natychmiast zasnął. Tkwiący w metalowym siedzeniu bocznej wieżyczki Viltry nie potrafił usnąć. Hałas w czołgu przekraczał wszelkie wyobrażalne granice, a jego podskoki przewyższały nawet wstrząsy panujące w samolocie podczas silnych turbulencji. Maszyna wibrowała ustawicznie, pryskające spod gąsienic kamienie grzechotały cały czas o kadłub. Pomimo panującego na zewnątrz chłodu nocy w środku było upiornie gorąco, powietrze cuchnęło spalinami, olejem i odorem niemytych ludzkich ciał. Kapitan niczego nie widział, noc była praktycznie bezksiężycowa, prowadzące konwój pojazdy jechały z przysłoniętymi reflektorami. We wnętrzu *Linii Śmierci* ciemność rozjaśniały jedynie słabe czerwone żarówki i padająca z pokładowych zegarów poświata.

Kiedy LeGuin poinformował lotnika, że kolumna pokonała najwyższy grzbiet Makanitów, Viltry musiał Pardusycie uwierzyć na słowo.

Dzień nadszedł powoli, szary, zachmurzony. Emdeen przesiadł się z powrotem na fotel kierowcy, a LeGuin i Viltry usiedli w wieży czołgu, w otwartych górnych włazach. Powietrze, zimne i wilgotne, przesycone było gęstym zapachem spalin, ale i tak wydawało się mężczyznom upojne po nocy spędzonej w zatęchłym wnętrzu czołgu.

Wokół wciąż niewiele było można dostrzec.

Trakt biegł pomiędzy skalistymi turniami, wił się po usłanej głazami przestrzeni, która sprawiała wrażenie odartej z wszelkiej roślinności. W dolnych partiach masywu unosiła się gęsta mgła, przesłaniająca szczerze linię horyzontu. Górujące w tyle Makanity sprawiała wrażenie strzelistych wieżyc rysujących się ciemnymi sylwetami na tle bladych przestworzy.

Słońce weszło w końcu, ale mgła nie ustąpiła i kolumna zwolniła wlokąc się ostrożnie poprzez mleczne opary. Wojskowi minęli trzy imperialne ciężarówki porzucone na poboczu drogi, świadczące o niedawnej obecności w tej okolicy innego konwoju. Tuż po godzinie dziesiątej dotarli do ogona drugiej kolumny, dwukrotnie większej od kontyngentu LeGuina i znacznie wolniej jadącej.

Dołączyli do konwoju. LeGuin podjechał na czoło swej grupy i nawiązał kontakt radiowy z dowódcą pierwszej kolumny. Z zasłyszanych w radiu słów Viltry wywnioskował, że ich nowi towarzysze podróży byli taką samą samorzutnie zmontowaną grupą niedobitków jak konwój LeGuina. Regulaminowy łańcuch hierarchii dawno już odszedł w niepamięć i wyglądało na to, że oficerowie wojsk pancernych – zmuszeni siłą rzeczy do ochrania tysiący załadowanych żołnierzami ciężarówek – mimowolnie obejmowali komendę nad znajdującymi się w odwrocie konwojami.

LeGuin nie skrywał zadowolenia na wieść o tym, że w drugiej kolumnie znajdowało się kilka czołgów należących do jego regimentu; rozmawiał przez dłuższą chwilę z kapitanem o nazwisku Woll.

- Dobrze go było usłyszeć – powiedział LeGuin zdejmując w końcu słuchawki – Słyszałem plotki, że *Stare Strontium* zostało zniszczone pod Bramami Trinity. Cholerny szczęściarz.

Viltry doskonale rozumiał radość LeGuina. Sam pewnie cieszyłby się równie bardzo słysząc głosy przyjaciół, których miał za zmarłych.

Ale to nie miało się wydarzyć.

Mgła zaczęła rzednieć, ale dzień dalej nie należał do pogodnych. Konwój wjechał w rzadki las, dotarł do drogi przypominającej utwardzaną szosę. Był to bez wątpienia początek Doliny Lidy, droga prowadząca prosto ku odległemu wybrzeżu.

Inni uchodźcy podróżowali tą drogą przed nimi. Na poboczach tkwiło coraz więcej porzuconych pojazdów, wiele z nich odarto z wszelkich użytecznych elementów. Wojskowi minęli kilka rolniczych gospodarstw i kompleksów produkcji żywności, opuszczonych przez swych mieszkańców wiele tygodni temu. Gospodarstwa ziały pustką opróżnionych silosów zbożowych, spalonych domostw, otwartych szeroko kurników i obór, z których zniknęło całe ptactwo i bydło.

Na niektórych uprawnych polach można było dostrzec rzędy grobów.

Droga dotarła do rzeki, zaczęła biec wzdłuż jej koryta. Konwój mijał coraz więcej farm, gospodarstw rolnych i pól, potem przejechał przez niewielkie, całkowicie wyludnione miasteczko.

W południe gwardziści natrafili na rząd wypalonych, zniszczonych samochodów, porzucanych na dystansie kilku kilometrów wzdłuż poznaczonej głębokimi kraterami drogi. Do masakry doszło jakieś trzy dni wcześniej. Czołgi wyposażone w spychacze oraz kilka sprawnych jeszcze ciągników Atlas musiało oczyścić szosę, by umożliwić konwojowi przejazd. Zniszczony konwój padł ofiarą nalotu – Viltry wszędzie dostrzegał świadczące o tym ślady.

Od tego momentu obrazy takie stawały się coraz powszedniejsze. Pokierszowaną nawierzchnię autostrady blokowały wraki spalonych pojazdów, w rowach melioracyjnych i na poboczach leżały opuchnięte ludzkie ciała, jeszcze więcej zwłok unosiło się w wodach pobliskich zbiorników hydroponicznych. Trzy kolejno napotkane miasteczka zostały obrócone bombardowaniem w perzynę, pozostały z nich wyłącznie gruzowiska.

Podróż przez tę przygnębiającą krainę wprawiała wszystkich w kiepski nastrój. Tysiące hektarów pól uprawnych zostały zniszczone, strawione płomieniami, przeryte bombami. Z ziemią zrównano dziesiątki farm, wiosek, małych miast. Konwój mijał lasy, z których nie pozostało nic oprócz pojedynczych odartych z gałęzi pni. Kratery, najczęściej wypełnione po brzegi deszczówką, punktowały powierzchnię ziemi tak daleko wokół jak tylko oko ludzkie mogło sięgnąć. W miejscach, gdzie bomby zerwały tamy zbiorników hydroponicznych, gęste odżywcze płyny wyciekały na drogę rozpryskiwane gaśnicami czołgów i kołami samochodów.

Na niebie nie było śladu mgły, zastąpiły ją kłęby dymu wzniesianego pożarami. Oficerowie lustrujący rozległą rzeczną dolinę przez lornetki dostrzegali na jej zboczach inne całkowicie zniszczone ludzkie siedliska, niektóre wciąż jeszcze dymiące, dogasające z wolna.

O godzinie 13.33 ogłoszono zniemacka alarm. Dziesięć kilometrów dalej na północ niebo rozświetlały rozbłyski eksplozji, wiatr przyniósł dźwięk odległych wybuchów. Kilka minut później w powietrzu pojawiła się formacja nieprzyjacielskich samolotów, lecąca na średnim pułapie w kierunku południa. Pozbawieni już amunicji heretycy piloci zignorowali imperialną kolumnę, ale nikt nie łudził się, że konwój zostanie pozostawiony samemu sobie. Bez wątplenia nieprzyjacielscy piloci zgłosili jego pozycję drogą radiową.

Kolumna zaczęła wjeżdżać na cudem jeszcze nietknięty most na jednym z dopływów Lidy, tuż po godzinie 14.00, kiedy ogłoszono drugi alarm.

Chwilę wcześniej zaczął padać deszcz i lokalizatory nie działały do końca poprawnie. W konwoju zapanowała z miejsca nerwowa atmosfera. LeGuin odbezpieczył swoje działka, po czym włączył radio.

- Proszę o powtórzenie. Weryfikacja odczytów.

W eterze panował niezrozumiały gwar.

- Spokój ! – warknął LeGuin – Mówi *Ręka Śmierci* ! Dajcie mi konkretne namiary ! Dajcie cokolwiek !

Viltry otworzył górny właz i omiół spojrzeniem deszczowe przestworza, wciągając w płuca rześkie wilgotne powietrze. Z wszystkich stron dobiegał go dźwięk ludzkich głosów, warkot silników, pomruk obracających się wieżyczek pojazdów i staccato uderzających w pancerze czołgów kropli deszczu.

A gdzieś ponad tymi dźwiękami stłumiony pomruk wektorowego napędu. Viltry spojrzał do wnętrza czołgu, skrzyżował wzrok z LeGuinem.

- I co ? – zapytał Pardusyta podnosząc się w fotelu.

- Słyszysz to ?

- Gdzie ? Czekaj... tak. Jest gdzieś przed nami.

- Nie – zaprzeczył Viltry – To akustyka doliny, dźwięki odbijają się od zboczy. Jest za nami.

LeGuin kopnął pedał mechanizmu obracającego wieżyczkę wozu.

- Zabieraj nas z tego mostu ! – krzyknął do Emdeena.

- Ruszajcie się ! – Viltry zaczął machać rękami do kierowców ciężarówek – Ruszajcie ! Musimy zjechać z mostu ! Gazu !

Dwie trzecie konwoju wciąż jeszcze znajdowało się po niewłaściwej stronie rzeki.

Viltry usłyszał nową nutę w pomruku wektorowych silników.

- Atakują ! – wrzasnął.

Ktoś jadący w tyle kolumny zdołał w końcu złapać na lokalizatorze cel. Wzdłuż długiej linii pojazdów rozbłysły ogniki płomieni wylotowych. Strzelały cekaemy na obrotnicach, działa czołgowe, kilka posiadających wciąż zapas amunicji Hydr. Żołnierze jadący na pakach ciężarówek otworzyli ogień ze swoich laserów; setki innych gwardzistów, nieuzbrojonych lub zbyt przerażonych, by wziąć przykład z odważnych towarzyszy, zeskakiwało z samochodów uciekając pomiędzy drzewa lub podpory kamiennego mostu.

Skala ostrzału była porażająca. Ogień prowadzony przez załogę konwoju wypełnił deszczowe przestworza potokami ognistej stali. Nigdzie nie było nawet śladu nieprzyjaciela.

- Marnują tylko amunicję... – powiedział Viltry zauważając, że LeGuin nie otworzył ognia.

Pardusycki kapitan zaczął coś mówić.

Coś przemknęło ponad ich głowami w kierunku północy, bardzo nisko i bardzo szybko. Fala powietrza ciągnąca się za maszyną wstrząsnęła ciałami mężczyzn, zakołysała czołgiem. Przez ułamek sekund widzieli rozmazany kształt w kolorze ciemnej czerwieni lub fioleto.

Niecałą sekundę później rozległ się głuchy huk. Rosnąca w oczach kula ognia wystrzeliła w niebo przetykana czarnym dymem, rozpałała przestworza jakieś trzysta metrów za czołgiem LeGuina.

Viltry spostrzegł drugiego bandytę, Hell Talona. Samolot zdążył już rzucić bomby na sam koniec kolumny i najwyraźniej w coś trafił... najprawdopodobniej czołg lub wóz amunicyjny. W powietrzu pojawiła się kolejna kula ognia, oślepiająca swym żarem, na jej tle rysowały się czarne punkty – Viltry uświadomił sobie, że są to elementy rozerwanych na strzępy pojazdów.

Talon trzymał się na niskim pułapie, otwierając ogień z pokładowych działek. Ryk jego odrzutowych silników budził grozę. Skulony w metalowej puszcze, która wydała mu się nagle niebywale krucha, Viltry po raz pierwszy w życiu poznał na własnej skórze psychologiczny efekt powietrznego ataku. Lotnik dosłownie zastygł w bezruchu, niezdolny do poruszenia się. Tylko jego zęby szczękały spazmatycznie.

Szczękały, ponieważ LeGuin otworzył ogień ze swych podwójnie sprzężonych automatycznych działek dołączając do reszty broniących się gwardzistów. Cała wieżyczka trzęsa się i dygotała, zaczęła się obracać w ślad za celem. Ściskający krawędzie wjazdu Viltry nie odrywał wzroku od Talona. Strumień zielonych pocisków smugowych wystrzelonych z Hydry omal nie trafił maszyny, samolot zmienił delikatnie trajektorię lotu, jakby pilot za wszelką cenę chciał pozostać nad dręczoną przez siebie kolumną.

Z luf jego działek rzygały płomienie wylotowe. Nawierzchnia jezdni pokrywała się ścięciem kraterów, ośmiokołowa ciężarówka zadygotała nagle tak silnie, jakby na jej pace pracowała ekipa robotników z młotami pneumatycznymi. Brezent ładowni podarty został w strzępy, szyby kabiny rozprysły się w drobne kawałeczki, opony eksplodowały. Z przełamanego wół pojazdu buchnęły kłęby dymu. Druga ośmiokołowa, jadąca tuż przed zniszczoną ciężarówką, stanęła momentalnie w płomieniach. Viltry widział palących się jak żagwie ludzi skaczących z paki wozu. Jadący wciąż samochód stoczył się z drogi, przeleciał nad brzegiem rzeki i spadł w dół lądując w wodzie na burcie; w powietrzu pojawiła się chmura gorącej pary.

Talon wciąż atakował. Viltry skulił się jeszcze bardziej słysząc huk pocisku odbijającego się rykoszetem od wieżyczki *Ręki Śmierci*. LeGuin próbował złapać heretyka w celownik, ale cały czas chybiał.

- Zbyt mała poprawka ! – wykrzyczał Viltry.

- Co ?!

- Poprawka ! Źle przewidujesz jego manewry !

- Potrafisz lepiej ?!

- Mogę spróbować !

LeGuin wygonił Matredesa do dolnej części czołgu z poleceniem odblokowania jakiegoś zaciętego mechanizmu, po czym przesiadł się na fotel dowódcy i pozwolił Phantyjczykowi zająć miejsce w fotelu strzelca.

- Nie zapominaj, że to nie jest pojazd przeciwlotniczy – przypomniał LeGuin.

- Wiem – odparł Viltry.

- Mam na myśli fakt, że wieża nie obraca się tak szybko jak w Hydrze, nie mamy też jej systemu celowniczego. Próbowałem tylko postawić przed nami zaporę ogniową.

- Wiem – powtórzył Viltry. Kapitan spoglądał na mechanizmy strzeleckie zapoznając się błyskawicznie z zasadami obsługi działek – Obrotnica ?

- Tutaj – LeGuin wskazał mu metalową dźwignię – Wiesz, co robisz ?

- Cóż, są tu rzecz jasna pewne różnice, ale całość niezbyt się różni od wieżyczki strzeleckiej w Marauderze – odrzekł Viltry przykładając twarz do przyzmatu celownika i obracając wieżę wokół osi pojazdu – Całkiem dobrze strzelałeś, swoją drogą. Ale ten rodzaj walki opiera się przede wszystkim na przecuciach. Nie masz doświadczenia w walkach powietrznych. Zakładasz, że cel będzie przemieszczał się do przodu jak strzała, ale maszyny o napędzie wektorowym nie muszą się trzymać tej reguły. Mogą zmieniać pułap lub odbijać na boki bez zmiany położenia nosa i ogona w naprawdę dzikie sposoby.

Emdeen zjechał z mostu. W tyle drogi płonęły pojazdy połowy konwoju.

- Nadlatują kolejni – powiedział LeGuin. Moment później zaterkotały Hydry. Viltry próbował dostrzec cokolwiek przez okular układu celowniczego.

- Walą na most. Chcą nas tu zatrzymać na dobre.

Viltry obrócił wieżyczkę i pociągnął za spusty. Boże-Imperatorze, ależ ta broń była powolna, strzelał niemalże na oślep. Talon przeleciał nad czołgiem bez śladu draśnięcia. Viltry zaczął rozumieć ewidentną frustrację czołgisty – *Ręka Śmierci* została zaprojektowana z myślą o zwalczaniu piechoty, nie lotnictwa nieprzyjaciela.

Przesunął lufy w drugą stronę łapiąc w krzyż celownika drugiego Talona. Wykorzystując dymy płonących pojazdów jako markery kapitan zaczął strzelać w przestrzeń ponad mostem, nie celując bezpośrednio w Talona, tylko w miejsce, gdzie Talon powinien być za moment rozpocząć lot wznoszący.

Podniesione do góry tak wysoko jak na to pozwalały ograniczniki wieży, działka czołgu pluły strumieniami tnących powietrze pocisków – strumieni, które zaczęły poruszać się łukami w chwili, gdy Viltry pociągnął za dźwignię obracającą wieżyczkę i poszerzył swe pole ostrzału. Jeszcze chwila... chwila...

Hell Talon, niebieski z pasami w barwie kości słoniowej na kadłubie, próbował odskoczyć w ostatniej chwili, ale poruszał się zbyt szybko i wleciał prosto pod lufy *Ręki Śmierci*. Podziurawiony pociskami samolot zaczął sypać kawałkami poszycia. Czołg zatrzęsł się na gąsienicach, kiedy maszyna przemknęła z wizgiem tuż nad nim. Opadający gwałtownie Talon zahaczył jednym skrzydłem o powierzchnię rzeki, grzmotnął o przeciwny brzeg, powietrzem wstrząsnęła przytłumiona eksplozja.

Matredes, Emdeen i pozostali czołgiści zaczęli krzyczeć radośnie, LeGuin uderzył lotnika zaciśniętą dłonią w ramię.

- Miałem szczęście – wyjaśnił Viltry.

- Następny ! – krzyknął ładowniczy spoglądając na ekran pokładowego radaru.

Viltry obrócił lufy działek we wskazanym kierunku. Ten bombowiec leciał znacznie niżej, stanowił dalece trudniejszy cel. Kapitan zaczął strzelać mimo wszystko, omiatając seriami przestrzeń przed czołgiem metodą znaną doświadczonym strzelcom pokładowym.

Wszystkie pociski chybiły, ale ich grad odstraszył przymierzającego się do lotu koszącego Talona. Heretycki bombowiec odbił gwałtownie w bok i wpadł prosto na celownik Hydry. Sekundę po tym, gdy cztery lufy działek namierzyły obiekt, system celowniczy platformy już go zalogował w automatycznym układzie śledzącym. Hydra obróciła swe lufy o sto pięć stopni prowadząc nieprzerwany ogień i lokując pocisk za pociskiem w kadłubie samolotu. Talon załamał tor lotu i moment później przeistoczył się w kulę jaskrawego ognia. Dymiące szczątki spadły gęstym gradem na drogę i do rzeki.

Reszta nieprzyjacielskich pilotów przerwała atak. LeGuin uścisnął serdecznie dłoń kapitana.

Viltry oddychał spazmatycznie, czuł bijące gwałtownie serce. Po raz pierwszy od chwili zestrzelenia *G jak Greta* miał wrażenie, że jest komuś potrzebny, że jest coś wart. Pomógł ocalić ten most.

Wydało mu się, że odzyskał chociaż odrobinę spokoju wewnętrznego, który pojawił się w jego duszy po przybyciu na Enothis. Chęć życia zrodzona spotkaniami z Beqą Mayer zaczynała powoli powracać.

Kraksa odarła go z tamtej pewności siebie, ale teraz czuł się już lepiej. Wojna zabierała ludzkie istnienia. Wojskowi umierali. Maszyny rozbijały się i płonęły. Dowódcy – żołnierze tacy jak Viltry – walczyli z poczuciem winy i zawiedzionego zaufania. Tylko tak można było żyć w galaktyce, w której trwała nie mająca się nigdy skończyć wojna.

W jednej ulotnej chwili swego życia, siedząc w wieżycze Executionera, w otoczeniu krzyczących radośnie ludzi, których wcale nie znał, Viltry pojął, że musi się nauczyć żyć z poczuciem winy i odpowiedzialności. Musiał żyć, walczyć i odnaleźć kobietę, która okazała swą sympatię cudzoziemcowi.

Konwój ruszył ponownie w drogę. Deszcz przybrał na sile, toteż żołnierze zamknęli wszystkie włazy. Przemierzana przez nich dolina przybrała szare, odstręczające barwy. Od odległych miast dzielił ich jeszcze spory dystans; kierowali się w stronę, gdzie przestworza czarne były od dymów pożarów.

Tajna baza lotnicza nad Jeziorem Gocel, 19.12

W przeciągu ostatnich trzydziestu godzin alarmowe bransolety włączyły się osiemnaście razy. Z irytującą wręcz regularnością wojskowi byli odrywani od ćwiczeń, badań lekarskich, posiłków, snów i wypoczynku, zmuszani do schronienia w bunkrach. Nad lasami przelatywały wielkie formacje nieprzyjacielskich samolotów. Czas spędzany w półmroku schronów w niczym nie łagodził wyjątkowo napiętych nerwów. Doszło do bójki między dwoma mechanikami marynarki i grupką żołnierzy Sił Obrony Planetarnej, a sprzeczka pomiędzy Ranfre i pilotem Raptorów skończyłaby się niechybnie tym samym, gdyby nie zdecydowana interwencja Milana Blanshera.

Do najbardziej zacieklej konfrontacji dochodziło pomiędzy Jagdeą i Blaguerem. Operacje Gocel zarządziły w tym czasie zaledwie trzy loty patrolowe, resztę czasu maszyny i ich piloci spędzili pod zaciągniętymi szczelnie siatkami kamuflującymi.

- Co my tutaj właściwie robimy ?! – podniesiony głos Jagdei słychać było w każdym zakątku budynku Operacji.

Blaguer – wspierany przez Marcinona oraz dowódcę skrzydła Lightningów – argumentował, że siły powietrzne w Gocel były zbyt nieliczne, by dokonywać regularnych ataków na nieprzyjacielskie wyprawy bombowe. Siedem z osiemnastu alarmów wywołały przeloty heretyckich formacji w sile trzystu do czterystu maszyn każda, zmierzających ku wybrzeżu. Trzy stacjonujące w Gocel skrzydła nie mogły poważnie zaszkodzić tak silnym grupom, a podrywając się do ataku zdradziłyby niechybnie położenie bazy. Nikt nie zaprzeczał, że tak spore zgrupowanie bombowe mogło odłączyć od swego szyku kilkadziesiąt maszyn po to tylko, by unicestwić tajemną kryjówkę imperialistów.

- Lepiej pozostać w ukryciu, zachować dyscyplinę radiową i reagować na ruchy przeciwnika z rozsądkiem – powtarzał za każdym razem Blaguer.

- Jutro lub pojutrze będzie tu latać tylu bandytów, że nigdy już nie podniesiemy się w powietrze ! Mamy ich przechwytywać, więc róbmy to, psiakrew !

- Proponujesz bezsensowne i potencjalnie samobójcze podejście do zasad naszej misji.

- Proponuję – warknęła w odpowiedzi Jagdea – podjęcie walki zamiast bezcelowego siedzenia na tyłkach.

Późnym popołudniem Operacje wydały zgodę na czwarty start. Dowództwo sił imperialnych domagało się danych wywiadowczych od wszystkich tajnych baz lotniczych rozlokowanych wzdłuż Saroji. Sztab chciał jak najszybciej oszacować powtórnie rozmiary kolumn ewakuacyjnych wycofujących się wciąż na północ i zgodnie z ich liczebnością zorganizować sprawniejszy transport w portach Thedy i Ezrville. Operacje liczyły również na odkrycie miejsca pobytu któregoś z nieprzyjacielskich lądowych lotniskowców. Zważywszy na natężenie rajdów bombowych wroga sztab pewien był, że w północnej części interioru znajduje się co najmniej kilka z tych gigantycznych pojazdów. Uderzenia wymierzone w mobilne bazy za pomocą skrzydeł Marauderów mogłyby znacząco zmniejszyć liczbę heretyckich nalotów.

Plotki głosiły, że na wybrzeżu nie było już ani jednego miasta, które pozostałoby w nienaruszonym stanie. Poza zmasowaną ewakuacją wojskową rozpoczął się też exodus cywilny. Pozbawieni niemal całkowicie dostępu do transportu morskiego lub lotniczego, mieszkańcy wybrzeża uciekali tłumami w stronę Ingeburga i sąsiadujących z nim miast. Kilka wielkich cywilnych konwojów padło ofiarą nalotów. Informacje o liczbie ofiar były tak przerażające, że Jagdea nie miała serca przekazać swym pilotom treści komunikatów, które otrzymywała od dowództwa.

Trzy zwiadowcze Lightningi miały polecieć w rozproszonym szyku, ubezpieczone przez trzy Thunderbolty. Zgodnie z grafiką startów eskortę w tej misji powinny były zapewnić maszyny Raptorów. Na liście kolejek widniało nazwisko samego Blaguera, ale dowódca Raptorów wyraźnie obawiał się wylotu nie wiedząc, co takiego spróbuje zrobić w bazie Jagdea wykorzystując jego nieobecność. Szukając wyjścia z patowej sytuacji Blaguer zaproponował Jagdei, by sama poprowadziła klucz eskorty w zastępstwie Raptorów.

Jagdea bez trudu przejrzała ten podstęp i wiedziała, że lepiej przysłużyć się interesowi Umbry pozostając na ziemi. Odmówiła lotu powołując się na rzekome uszkodzenia, które jej Thunderbolt odniósł podczas ostatniej akcji. Maszyna była już co prawda całkowicie zdolna do użytku, ale mechanicy Phantyjki wiedzieli doskonale, co takiego mają w razie potrzeby powiedzieć Blaguerowi. By uwiarygodnić całą wymówkę jeszcze bardziej, zespół techniczny zdemontował czym prędzej jedną z obudów silnikowych myśliwca symulując zmuśną naprawę. Jagdea wyznaczyła do lotu Asche, mieli jej towarzyszyć Zemmic i Waldon.

Marquall nieporadnie próbował ukryć swe rozczarowanie. Dziewięć-Dziewięć przygotowany był do lotu, a chłopak widniał w czołówce listy oczekujących na przydział bojowy, toteż to właśnie on powinien był zająć miejsce Zemmice lub Waldona.

Kiedy sześć maszyn poderwało się w powietrze i personel naziemny zasunął ponownie siatki kamuflujące, Jagdea poszła poszukać Marqualla. Młody Phantyńczyk znajdował się w swoim namiocie, grając w regicide z Van Tullem.

- Masz wolną chwilę? – zapytała.
- Muszę załatwić parę spraw – wtrącił Van Tull, po czym wyszedł szybko z namiotu.
- Załóż swój kombinezon – poleciała Marquallowi kobieta – Wyznaczyłam cię do składu następnego patrolu.

Marquall kiwnął głową, ale nadal miał cierpką minę.
- Powiniennem był lecieć w ostatnim, wie pani o tym.
- Mam inną opinię na temat tego, co powinieneś, Vander – odparła – Ty i Larice nie jesteście ostatnimi czasy najlepszymi przyjaciółmi. Wolę trzymać was przez jakiś czas z dala od siebie.

Marquall zaczerwienił się gwałtownie, w głównej mierze z powodu gniewu.
- Ona.. – zaczął, potem urwał na moment – Sam nie wiem, co takiego zrobiłem źle.
- Nie znasz Larice zbyt długo, Vander. Nie tak długo jak ja. Wiem, kim ona jest. Jedna z najlepszych pilotek, z którymi miałam zaszczyt w życiu latać, ale też... dumna i uparta kobieta. Pełna ambicji i żądzy pokazania się z najlepszej strony. Wielu rzeczom winien jest właśnie jej temperament. Chce być najlepsza, cieszyć się pierwszym miejscem na liście

zestrzałów... i obracać się w towarzystwie najgorętszych pilotów. Miałeś w sobie coś, co ją podniecało, rodzącą się z wolną reputacją asa. Potem doszło do tego wypadku.

- Wszyscy śmiali się ze mnie w kułak.

- Może przez dziesięć minut. Potem nie usłyszałam już żadnej więcej wzmianki na ten temat. Ale Larice... dla niej to był bolesny cios. Odstawiła spory show wybierając cię jako swego nowego partnera, a ty znienacka padłeś ofiarą żartów i docinków. Ty mógłbyś zbyć cały ten wypadek wzruszeniem ramion, ale Larice jest zbyt wrażliwa na punkcie własnej dumy. Odniosła wrażenie, że część tych żartów i śmiechów była wymierzona w jej osobę i może miała w tym względzie trochę racji.

- Więc po prostu mnie rzuciła? Dała mi kosza? Opuściła sobie równie szybko jak zaczęła?

- Obawiam się, że to właśnie jest jej styl obcowania z facetami – przyznała Jagdea.

- Wspaniale – zachnął się Marquall.

- Larice jest silna... jako pilot. Jako człowiek jest nadzwyczaj wrażliwa. Wiem, że to wydaje się proste tylko w słowach, Vander, ale odpuść sobie. Mamy tutaj wojnę do wygrania. Jeden lot, dwa i jestem pewna, że znowu zaczniesz odbudowywać swoją reputację dobrego pilota. Wcale by mnie nie zaskoczyło, gdyby Larice znowu się tobą zainteresowała w przyszłości.

Marquall parsknął z oburzeniem.

- Oczywiście, raz zraniony... – nie dokończyła uśmiechając się kącikami ust Jagdea.

Eskadra zwiadowcza poderwała się w powietrze o godzinie 19.00, kiedy zmierzch zaczął obejmować we władanie leśne ostępy nad jeziorem. Ostatni rutynowy komunikat wysłała czterdzieści minut potem. Później w eterze zapadła cisza. Żadnych meldunków, żadnych odczytów na radarach Operacji.

Piloci Umbry zebrali się w grupkę, rozmawiając w napięciu, spacerując tam i z powrotem. Złe nastroje, potęgowane jeszcze klaustrofobicznym efektem rozciągniętych w górze siatek, narastały z każdą chwilą.

- Chcę pozwolenia na start. Patrol. Poszukajmy tych zwiadowców – powiedziała do komandora Marcinona Jagdea.

- Odmawiam – odrzekł Marcinon – Przynajmniej na tę chwilę. Nie działajmy zbyt pochopnie. Mają paliwa na jeszcze jedną godzinę lotu.

- To zależy od stylu lotu – syknęła Jagdea – Jedna powietrzna utarczka i zapas zmniejszy im się do połowy. Ponawiam swój wniosek.

Rozmawiali w sali odpraw. Wentylatory kręciły się z pomrukiem w górze, oświetleni jarzeniowymi lampami oficerowie marynarki siedzieli przed przenośnymi terminalami wpatrzni w ekrany monitorów.

- Macie cokolwiek? – zapytał Marcinon.

- Jakaś aktywność w kwadrantach cztery i dziewięć-dwa, komandorze – zameldował kontroler dyżurny – Nieprzyjacielskie formacje, oddalają się w przeciwnym kierunku. Ani śladu naszej eskadry.

- Przecież nie mogli zestrzelić ich wszystkich – wymamrotał Oberlitz, dowódca skrzydła Lightningów, na głos wypowiadając obawy dręczące od dłuższego czasu wszystkich obecnych w pomieszczeniu. Oberlitz był niskim krępy męczyzną o wąskich ustach, które oblizywał nieświadomie, kiedy był nerwowy. Podobnie jak Jagdea, martwił się o los zaginionych pilotów. Phantjka miała teraz sojusznika w formalnej walce z Marcinonem i dowódcą Raptorów.

- Ponawiam swój wniosek – powiedziała – Pozwólcie mi poderwać maszyny w powietrze, zanim sytuacja się zmieni i zostaniemy zmuszeni do warowania pod zaciągniętymi siatkami.

Marcinon spojrzał pytająco na Blaguera. Blaguer skinął głową.

- Udzielam zgody – powiedział Marcinon.

Jagdea wybiegła z sali odpraw, wpadła pomiędzy czekających na zewnątrz pilotów.

- Blansher ! Marquall ! Pora na nas, zbierać się !

Ich samoloty tkwiły już na rampach. W czasie, gdy piloci dopinali swe kombinezony i zakładali hełmy, mechanicy kończyli ostatnie czynności kontrolne przy Thunderboltach. Jagdea, Blansher i Marquall wbiegli na utwardzane maty lądowisk, wspięli się do kokpitów maszyn.

- Kontrola statusu ! – rzuciła w eter Jagdea.

- Mówi Dwójka, wszystko gra.

- Tu Ósemka, gotowy do startu – Marquall poczuł przyśpieszający puls. Wyciągnął dłoń i przesunął palcami po pulpicie kontrolnym – Tym razem będzie inaczej, Dziewięć-Dziewięć, słyszysz mnie ? – wyszeptał – Tym razem żadnych gier. Żadnych sztuczek. Tylko my dwaj, Vander Marquall i *Dwugłowy Orzeł*.

W radiu rozbrzmiewały głosy kontrolerów Operacji. Siatki zaczęły rozsuwać się na boki.

Krótki klakson. Pięć sekund. Ostatni technicy uciekali co sił w nogach do wzmocnionego bunkra. Marquall położył palec na przycisku odpalającym raketowy napęd.

- Startujcie, Umbra – powiedział kontroler.

Marquall wdusił przycisk i poczuł jak ogromna siła dosłownie wbija go w fotel.

Nad lasami 19.30

Wspinali się szybko w ciemne przestworza, ich dopalacze rzygały płomieniami. Niebo było fioletowe, poznaczone w trzech dziesiątych chmurami dziesięć kilometrów dalej na zachód. Pod brzuchami maszyn przesuwała się czarna kopuła puszczy.

- Zwiększyć pułap do dziewięciu tysięcy – poleciała Jagdea – Kurs cztery-cztery-dwa.

- Zrozumiałem, Lider – odezwał się Blansher.

- Potwierdzam – dodał Marquall. Pilot spoglądał przez pierwsze trzydzieści sekund na pokładowe zegary szukając jakiegokolwiek śladu awarii. Niczego nie zauważył. Nawet silniki wydawały się pracować w wyjątkowo harmonijny sposób.

Na wschodzie, na najciemniejszym fragmencie przestworzy, zaczęły lśnić pierwsze gwiazdy. Widoczność była tak doskonała, że Marquall dostrzegał nawet odległe rozbłyski na północnym zachodzie, wiele kilometrów dalej, przypominające atmosferyczne wyładowania, a będące w rzeczywistości zmasowanym bombardowaniem.

Lecieli przez pierwsze piętnaście minut na południe, potem zaczęli skręcać łagodnie na zachód. Po kolejnych dwudziestu wlokących się niemiłosiernie minutach Marquall usłyszał okrzyk Blanshera.

- Kontakty ! Silne sygnały, dwadzieścia kilometrów !

Blansher przesłał odczyty swego lokalizatora do pozostałych Thunderboltów, ich systemy namierzania natychmiast potwierdziły odbiór.

- Są pod nami, cztery tysiące. Dwie grupy – powiedziała Jagdea – Pozostańcie na tym pułapie, spadniemy na nich z góry. Operacje, czy macie nas na radarach ?

- Tak, Umbra Lider, ale nie potrafimy rozpoznać szczegółów.

- Odbezpieczyć działka. Trzymać szyk.

Kolejna chwila milczenia. W kokpitach słychać było tylko pomruk silników i syk tłoczzonej do masek tlenowej mieszanki.

Marquall spojrział w dół na czarną puszcę. Piloci powinni już byli nawiązać kontakt wizualny z celem, ale w dole panowała zbyt smolista ciemność. Na wysokości pięciu tysięcy metrów formowały się chmury przywodzące na myśl pasy rzadkiego dymu.

- Mam odczyty identyfikacyjne – zgłosił się Blansher – Czyste sygnały. To Waldon i przynajmniej jeden z Lightningów.

- Umbra Dziewięć, Umbra Dziewięć, mówi Umbra Lider, wyższy pułap, malejący dystans. Czy mnie słyszysz ?

Przez chwilę w eterze panował trzask radiowych zakłóceń, potem przebił się przez nie głos Waldona. Mimo silnych zakłóceń w jego tonie można było wychwycić nutę lęku. Lęku lub cierpienia.

- Umbra Lider, Umbra Lider, mówi Dziewiątka. Proszę o powtórzenie.

- Zbliżamy się, Dziewięć. Podaj swój status.

- Asysta, asysta ! – w eter wdarł się inny męski głos.

- Identyfikacja nadawcy ! – krzyknęła Jagdea.

- Luneta Cztery, Umbra. Potrzebujemy natychmiastowej asysty.

Był to jeden z Lightnigów. Pilot sprawiał wrażenie śmiertelnie przerażonego.

- Określić sytuację ! – zażądała ponownie Jagdea. Waldon i pilot Lightninga odpowiedzieli jednocześnie, skutecznie zagłuszając się wzajemnie.

Marquall wciąż spoglądał w dół. Na tle puszczy dostrzegł znienacka jakiś błysk, ognik silnikowych dysz, potem kilka miniaturowych kresk światła, które natychmiast zgasły.

- Lider, tu Ósemka. Ich sytuacja jest jasna, zostali zaatakowani. Widzę serie pocisków, powtarzam, widzę serie pocisków.

- Łamać szyk i atakować !

Trzy Thunderbolty runęły w lot nurkowy. Na lokalizatorach spadających w dół maszyn pojawiły się w końcu ledwie czytelne, migotliwe odczyty. Tuż nad koronami drzew pędziły co najmniej cztery samoloty – Waldon, ubezpieczający Lightninga oraz dwaj niezidentyfikowani napastnicy. Waldon rzucał swą maszynę z lewej na prawą raptownymi zakosami.

Przestworza zapłonęły ponownie, cięte pociskami smugowymi, Marquall ujrzał w tej poświacie Lightninga. Myśliwiec został silnie pokiereszowany, ciągnął za sobą warkocz gorącego dymu, który powodował zakłócenia w pracy lokalizatorów. Waldon tkwił na szóstej zwiadowczego samolotu.

Jakieś siedemset pięćdziesiąt metrów w tyle mknęły dwa Locusty, strzelające z wszystkich luf.

Maszyna Waldona została kilkakrotnie trafiona, metalowe fragmenty pancerza posypały się w dół odbijając ostatnie promienie zachodzącego słońca. Marquall nie wierzył własnym oczom widząc, co robi phantyński pilot. Waldon używał swojego ciężkiego opancerzonego samolotu do osłaniania nim Lightninga. Marquall nigdy jeszcze nie widział czegoś równie...

Espere. Espere zrobił to samo dla niego.

- Waldon ? – krzyknęła Jagdea.

- Koniec amunicji, Lider. Tracę ciśnienie w hydraulicie.

Koniec amunicji. Waldon musiał wcześniej stoczyć zacieklą i długą walkę.

Blansher i Jagdea prowadzili formację. Spadli oboje z rykiem silników na bandytów, Locusty w jednej chwili odbiły na boki przerywając pościg. Blansher przewidział zamiary swej ofiary, zaczął piąć się w ślad za nią ciasnym zwrotem w górę.

Ku własnemu zdziwieniu Jagdea popełniła błąd i drugi bandyta wywinął jej się ostrym unikiem. W pobliżu zrobiło się na moment ciasno, ale Marquall zdołał ominąć maszynę Phantyjki i wpaść na ogon heretyka. Nacisnął spust, krechy laserów rozpały oślepiającym blaskiem czarne przestworza.

Locust umknął w drugą stronę, zniknął z celownika Marqualla. Phantyńczyk powtórzył manewr wrogiego pilota, nie rezygnował z pościgu. Chłopak skoncentrował się niepodzielnie na ataku, ale zarejestrował słuchem nagle ostrzeżenie Jagdei.

- Nowe kontakty, malejący dystans, bardzo szybkie.

Marquall próbował spojrzeć we wszystkie strony jednocześnie. Gdzie byli ci nowi ? Jaka lokalizacja ?

Locust spróbował go zgubić nagłym zwrotem, ale Phantyńczyk pomógł sobie użyciem wektorowego napędu, dosłownie obrócił trzeszczącą pod wpływem ekstremalnego przeciążenia maszyną w miejscu.

Locust kierował się w stronę Waldona i uszkodzonego Lightninga.

Jaskrawy błysk rozświetlił przestworza, przez ułamek sekundy kontrolki na pulpicie myśliwca zamigotały porażone falą elektromagnetycznych zakłóceń.

- Mam go – krzyknął w eterze Blansher.

- Ósemka ? – odezwała się Jagdea.

- Ścigam ! – Marquall wykonał beczkę i popędził za Locustem, którego położenie na tle czerni puszczy zdradzał jedynie lokalizator oraz płomienie dysz wylotowych silników. Phantyński myśliwiec przyśpieszył, Marquall pochwycił ogniste punkty w krzyż celownika, poprawił nieco trajektorię lotu, usłyszał pisk lokalizatora.

Wystrzelił. Musiał trafić, ponieważ w powietrzu pojawiła się zniecka chmura drobnych szczątków. Gdzie był bandyta ?!

- Idzie w górę ! Idzie w górę ! – Marquall usłyszał w radiu krzyk Waldona.

Pilot uniósł głowę i spostrzegł zwiększającego gwałtownie wysokość Locusta, rysującego się wyraźnie na tle ciemniejącego nieba.

Nieprzyjacielski samolot ciągnął za sobą warkocz dymu. Phantyńczyk uszkodził go i zmusił do wycofania się z walki.

Komunikator zatrzeszczał donośnie.

- Umbra Lider, Umbra Lider, czy to wy ?

- Potwierdzam. Larice ?

- Potwierdzam. Zmierzamy ku waszej pozycji, luźny szyk. Ostrzegam, bandyci, bandyci, bandyci.

Marquall usłyszał przekleństwo z ust Jagdei. Zwiększając pułap i rzucając maszynę w szeroki łuk ujrzał rysujące się na południowych przestworzach krechy ognia. Larice i Zemmic uciekali w stronę lasów, ścigani przez ponad dziesięć maszyn nieprzyjaciela.

- Osiem i Dwa, ze mną ! – krzyknęła Jagdea – Czwórka, przechytujemy. Możecie dołączyć ?

- Zaprzeczam, Lider. Zemmic i ja nie mamy amunicji, powtarzam, koniec amunicji.

- Zrozumiałam. Wiejcie do domu. My zajmiemy się resztą.

Marquall ujrzał dwa jaskrawe rozbłyski po swojej prawej – Jagdea i Blansher uruchomili dopalacze przyśpieszając w kierunku heretyckiego pościgu. On sam też zwiększył prędkość, popędził w ślad za resztą klucza. Zemmic i Asche przestrelili z pełną szybkością w drugą stronę, Dziewięć-Dziewięć zakołysał się gwałtownie uderzony falą powietrza.

Trzy Thunderbolty wbiły się w bok formacji Locustów, w powietrzu zapłonęły ściigi pocisków smugowych. Kiedy heretycy otworzyli ogień, imperialni piloci nie mogli się oprzeć wrażeniu, że w przestworzach pojawiły się nowe konstelacje migoczących gwiazd.

Marquall poczuł dygotanie muskanej pociskami maszyny, moment później dobiegł go huk serii przebijającej prawe skrzydło Bolta. Wykonał ciasny zwrot kurcząc się w fotelu pod wpływem miazdzącej ciała siły odśrodkowej.

Gdzieś po lewej stronie zapłonęła kula ognia i oślepiony na moment Marquall omal nie zderzył się czołowo z nadlatującym z drugiej strony Locustem. Blansher krzyknął tryumfalnie wieszcząc swój kolejny zestrzał.

Bandyci sukcesywnie zwiększali pułap. Marquall pchnął przepustnicę Dziewięć-Dziewięć, zaczął piąć się w górę. Ekran jego lokalizatora generował nieczytelne odczyty, pełen był pulsujących sygnatur. Pilot niczego nie potrafił z tych wskazań odczytać.

Coś przemknęło tuż obok niego, zwiększając pułap i odchodząc w bok szerokim łukiem. Marquall pewien był, że to Jagdea. Jakiś Locust przeleciał w przeciwnym kierunku rzygając płomieniami wylotowymi działek.

Rzucając samolot w ciasny łuk Marquall dostrzegł Blanshera lecącego tuż nad czubkami drzew, ścigającego dwa uciekające pośpiesznie Locusty. Dwaj inni bandyci siedzieli mu dla odmiany na ogonie. Marquall zaczął nurkować w stronę grupki maszyn, podjął pościg.

- Osiem ! Łam tor ! Łam ! Łam ! – w radiu rozbrzmiał krzyk Jagdei.

Marquall usłyszał moment wcześniej przeraźliwy pisk antylokalizatora. Odbił w lewo, zaraz potem w prawo, zmienił prędkość maszyny. Ostrzegawczy sygnał umilkł, coś przeleciało ponad kabiną Thunderbolta zakręcając ostrym łukiem.

Gwałtowne przyspieszenie, lot wznoszący. Bandyci ścigani przez Blanshera uciekli w przeciwne strony, phantyński lotnik umykał teraz przed gonącą go parą Locustów.

- Łam tor, Dwa ! – krzyknął Marquall – Łam !

- Są zbyt blisko ! Biorą mi się do tyłka !

Podrywająca nos w górę maszyna Blanshera zadygotała trafiona wiązkami energii w ogonowe stateczniki. Wiedziony desperacją pilot wykonał nad wyraz raptowny manewr hamowania za pomocą aerodynamicznych klap, ale zadarł przy tym nos samolotu jeszcze wyżej w górze zamiast zwyczajowego wejścia w płytki lot nurkowy. Bandyci przemknęli tuż pod nim, w ślad za nimi Marquall. Blansher wytracił prędkość zbyt gwałtownie, toteż próbował jak najszybciej odzyskać utraconą siłę nośną; jego maszyna balansowała na granicy przeciągnięcia.

Jeden bandyta zniknął z celownika Marqualla tak raptownie, że Phantyńczyk pojęcia nie miał, gdzie właściwie heretyk umknął. Goniąc w ślad za drugim opróżnił do końca baterie laserów i przełączył się na automatyczne działka, po czym ponownie nacisnął spust.

Locust stanął w płomieniach, które objęły w ułamku chwili całą maszynę. Ognista kula strawiła heretycki samolot tak szybko, że Marquall musiał desperacko uciekać w bok, by nie wlecieć w strefę wybuchu.

Zaliczył swój drugi zestrzał.

Jagdea wyrównała lot, odłożyła poprawkę i zmiotła z nieba Locusta, który próbował prześlizgnąć się tuż pod nią. Nieprzyjacielska maszyna załamała tor lotu, stanęła w płomieniach.

Dwa inne myśliwce śmignęły obok skrzydła Thunderbolta, ścigane przez strzelającego szaleńczo Blanshera. Jeden wybuchł siejąc za sobą snopami iskier, zwolnił wyraźnie, a potem poleciał w kierunku lasów. Drugi skręcił na południe.

Ktoś wskoczył na ogon Jagdei tak szybko, że antylokalizator nie zdążył jej na czas ostrzec. Oberwała trzema pociskami w tylną część kadłuba, na pulpicie Thunderbolta zapłonęły ostrzegawcze czerwone lampki.

Podjęła walkę z drążkiem sterowym, kopnęła pedały napędu wektorowego jęcząc z bólu, kiedy siła przeciążenia przycisnęła ją do burty kokpitu. Samolot zaczął obracać się wokół własnej osi.

I wtedy ujrzała mijającego ją Locusta, poruszającego się wręcz ślamazarnie, sprawiającego wrażenie prezentu zesłanego przez samego Boga-Imperatora.

Miała już włączone automatyczne działka. Wystrzeliła długą serię, ciesząc zmysły drganiem samolotu próbującego wyrwać się z narzuconego przez nią stabilnego skrętu.

Śmiertelnie ugodzony Locust opadł nosem w dół i zaczął wchodzić w coraz głębszy lot nurkowy, ciągnął za sobą gęsty warkocz dymu. Pomiędzy drzewami wykwitła na moment jaskrawa eksplozja znacząca miejsce jego upadku.

- Zaczynają wiać ! – krzyknął w eterze Blansher.

Jagdea odbiła w bok szerokim łukiem, sprawdziła wskazania swego lokalizatora.

- Potwierdzam, Dwójka.

Pozostali przy życiu bandyci umykali w luźnej formacji na południe.

- Pościg ? – zaproponował Marquall.

W głosie chłopaka pobrzmiwała szaleńcza ekscytacja.
- Odmawiam, Ósemka. Wracamy do domu.

Wracali poprzez ciemność nocy, otuleni nią w kabinach swych maszyn. Dziewięć kilometrów przed bazą spora połać tropikalnego lasu stała w płomieniach pożaru.

Siatki maskujące zostały rozsunięte, zapalono światła naprowadzające na lądowiska. Umbra Jeden, Dwa i Osiem usiadły w perfekcyjnie wykonanym manewrze na utwardzanych matach bazy.

Tajna baza lotnicza nad Jeziorem Gocel, 21.02

Racklae wyciągnął Marqualla z maszyny. Mechanicy uwijali się wokół samolotów, z silników myśliwców buchały kłęby spalin. Siatki maskujące zasunęły się ponad matami lądowisk, w bazie zapaliły się ponownie dyskretne przenośne lampy.

Marquall zdjął z głowy hełm. Nocne powietrze upajało go swym rześkim smakiem, w okolicznych chaszczach niesły się cykania i gwizdy tropikalnych insektów.

- Wszystko w porządku, pilocie ? – zapytał Racklae.

- Znowu zacząłem nabijać licznik – odpowiedział Marquall. Racklae wyszczerzył w uśmiechu zęby. Zazwyczaj nie świętowano pojedynczego zestrzału, lecz jeśli trafiło się ich więcej...

- Ile emblematów mam nanieść na kadłub ? – zapytał szef zespołu technicznego.

- Bądź rozsądny, Racklae. Zaliczyłem następnego.

- Numer dwa ! – krzyknął Racklae, a pracujący wokół mechanicy przerwali na moment swą robotę, by powitać słowa szefa gromkim aplauzem. Kilku podbiegło bliżej, wymieniło z pilotem krótkie uściski dłoni.

- Widziałem pożar w lesie – oświadczył Marquall próbując przekrzyczeć gwar ludzkich głosów.

- Nic mi na ten temat nie wiadomo, sir – odpowiedział Racklae – Lepiej zapytać w Operacjach.

Marquall skinął głową i poklepał burtę Dziewięć-Dziewięć.

- Zadbaj o niego, Racks – poprosił.

- Załatwione, sir.

Technicy pożegnali pilota gwizdami i oklaskami. Rozpinając lotniczą kurtkę Marquall ruszył pomiędzy drzewami w kierunku budynku lokalnych Operacji.

W sali operacyjnej panował ożywiony ruch. Wciąż ubrani w kombinezony Larice Asche i Orlonz Zemmic opowiadali z zacieklej konfrontacji słuchającym ich phantyńskim pilotom: Del Ruth, Cordiale, Ranfre i Van Tullowi. Personel Operacji i piloci Raptorów zebrali się wokół chłonąc sprawozdanie Phantyńczyków.

Marquall zauważył Blanshera, stojącego w zacienionym progu pomieszczenia sąsiadującego z salą operacyjną, rozmawiającego z kimś półgłosem. Podeszedł w tamtą stronę, przeciął pokój Operacji. Śmiechy i rozmowy zgromadzonych w środku pilotów wibrowały nutą zadowolenia i tryumfu.

Blansher rozmawiał z Kautasem, obaj mężczyźni popalali skręty z liści lho. Marquall spostrzegł jak blady i zmęczony był Blansher. Starszy od niego mężczyzna uśmiechnął się z sympatią dostrzegając młodego kolegę.

- Witaj, Vander – powiedział i uścisnął dłoń Marqualla – Dziękuję.

- Za co ?

- Myślę, że zdęliby mnie tym atakiem w parze, gdybyś ich nie odpędził.

- Bzdura. Poradziłby pan sobie z nimi bez najmniejszego problemu.

Blansher wzruszył krótko ramionami.

- Dobrze się spisałeś, tak czy owak. Dwa zestrzały na koncie ?
- Chciałbym – potrząsnął głową Marquall – Jeden pewny, czysty jak łąza. Trafiłem też drugiego, ale tamten utrzymał się w powietrzu.

Kautas wsadził lewą dłoń do kieszeni płaszcza, wyciągnął z niej srebrną papierośnicę, podsunął ją pod nos Marqualla.

- Dziękuję, ale nie, ojcze – odparł Phantyńczyk.
- Cóż za dobrze ułożony chłopak – powiedział do Blanshera Kautas. W drugiej dłoni duchowny ścisnął butelkę amasecu – A co powiesz na łyk alkoholu ?

Marquall ujął butelkę i upił z niej porządny haust trunku. Fala gorąca rozlała się po jego języku, gardle i żołądku. Podał butelkę Blansherowi.

- Za pańskie trzy zestrzały, sir. Jak się pan po tym czuje ?

Blansher upił łyk napoju.

- Już o tym zdążyłem zapomnieć, Vander.

Phantyńczyk oddał butelkę duchownemu.

- Wiemy już, co się stało ? – zapytał Marquall.

- Nie do końca. Dowiedziałem się, że eskadra zwiadowcza wpadła w poważne tarapaty na obrzeżach pustyni. Piloci Lightningów zdążyli coś zarejestrować na skanerach, ale zaraz potem opadła ich chmara bandytów, ponad czterdzieści maszyn. Z tego, co mówiła Asche wynika, że to była naprawdę zaciekle walka. Jeden Lightning został zestrzelony natychmiast, drugi zaliczył jedno trafienie i spadł zaraz potem. Nasza trójka weszła do akcji w międzyczasie. Waldon załatwił dwóch, ale został uszkodzony. Zacięły mu się działa, więc wyszedł z walki lecąc jako asysta uszkodzonego Lightninga, postrzelanego jak diabli i uciekającego w stronę bazy. Asche i Zemmic pozostali na miejscu robiąc wszystko, żeby kupić Waldonowi i Lightningowi jak najwięcej czasu. Ciągłe czekamy na weryfikację zapisu w pokładowych kamerach, ale wszystko wskazuje na to, że Zemmic zestrzelił czterech, a nasza droga Larice dziewięciu.

- Dziewięciu ?!

- Tak ona twierdzi – kiwnął głową Blansher.

Blansher strącił trzech bandytów, Jagdea dwóch. Doskonały wynik jak na jedną misję. Zemmic swym wyczynem przytłoczył ich oboje. Ale dziewięć strąceń... Dziewięć ! Wiadomość ta czyniła z pojedynczego zestrzału Marqualla żalosną namiastkę sukcesu.

- Dziewięciu ? – powtórzył z niedowierzaniem młody pilot.

- Na to wygląda – potwierdził Blansher.

- Musi być naprawdę niezła – zauważył Kautas.

- To prawdziwy rekord – wymamrotał Marquall.

- Nie słyszałem jeszcze o niczym podobnym – zgodził się Blansher.

Butelka powróciła z powrotem w ręce Marqualla. Wytarł szyjkę naczynia i pociągnął kolejny łyk.

Zgromadzeni w sali operacyjnej piloci i kontrolerzy zaczęli wiwatować na dźwięk potwierdzenia dziewięciu zestrzałów Asche. Wypiwszy drinka dziewczyna przechyliła się w bok i pocałowała w usta Zemmica. Pocałunek ten przywitały dalsze owacje i oklaski.

Zemmic. Cztery zestrzały. Nowy bohater dnia. Nowy pilot z aurą wieszczącą wielką przyszłość.

Marquall przestał spoglądać w tamtą stronę.

- Co to był za pożar, który widziałem w lesie ? – zapytał.

Blansher spuścił wzrok ku podłodze.

- Waldon – powiedział cicho.

Waldon pilnował uszkodzonego Lightninga przez całą drogę powrotną do bazy. Niedaleko lądowiska jego pokieroszowany Bolt poddał się nagle i runął nosem w deszczowy las.

Żadnego spadochronu, zameldował pilot Lightninga, który zdołał bezpiecznie wylądować w Gocel. Żadnego spadochronu.

Ktoś pojawił się zniecacka za plecami Marqualla i Blansher zeszytywniał ledwie zauważalnie. Marquall spojrzał przez ramię. Jagdea, o twarzy ubrudzonej warstewką oleju, o posępnej minie.

- Chodźcie ze mną – powiedziała.

Dołączyli do niej wszyscy trzej, bez słowa sprzeciwu.

- Co z pozostałymi ? – zapytał Blansher.

- Zostawmy ich – zdecydowała Jagdea – Niech się wyszaleją. Nie chcę im popsuć humorów.

Weszli razem do sali lokalnych Operacji. Blansher i kapłan odłożyli przed drzwiami pokoju swoje laseczki, oparli je o ścianę.

Blaguer stał pochylony nad jednym z terminali, rozmawiał o czymś z Oberlitzem. Kontrolerzy lotów tkwili w fotelach na swych stanowiskach. Komandor Marcinon siedział za swoim biurkiem przeglądając raporty na ekranie elektronicznego notesu.

- Potwierdzenia zestrzałów – oświadczyła Jagdea – Dwa dla mnie, trzy dla Mila. Jeden dla ciebie, Vander. Dobra robota.

- Dziękuję, pani komandor.

- Zemic strącił czterech. Asche, bazując na zapisie video, dziesięciu.

Kautas wciągnął z wizgiem powietrze.

- Niebawem – przyznała Jagdea – Chociaż na filmie widać, że przestworza były wręcz zapchane samolotami. W takiej sytuacji niemal każda seria trafiała.

- Więc skąd twój zły humor ? – zapytał Blansher.

- Przystudiowaliśmy zdjęcia, które zrobił jedyny ocalały pilot Lightningów.

Jagdea podeszła do pobliskiego stołu odpraw i uruchomiła przeglądarkę holograficznych slajdów. W powietrzu pojawiły się trójwymiarowe obrazy.

- Co to takiego ? – zapytał Kautas – Nie mam...

- To wozy pancerne, ojciec – wyjaśniła Jagdea – Sfotografowane z dużej wysokości. Głównie czołgi kroczące, ale są też czołgi gąsienicowe, transportery piechoty i kilka maszyn superciężkich.

- Dla mnie wyglądają jak zwykłe kropki – oświadczył Kautas.

Marquall zmarszczył czoło z dezaprobatą słysząc te słowa. W przeciwieństwie do duchownego Phantyńczyk potrafił odczytywać poprawnie zdjęcia lotnicze.

- Święty Tronie... – westchnął ciężko.

- Pobieżne szacunki mówią o dziewięciu tysiącach pojazdów – ciągnęła Jagdea – Nadciągają z głębi interioru. Te instalacje na ich kadłubach to modyfikacje silników chroniące przed pyłem. Widzicie to ? Zidentyfikowaliśmy te znaki jako emblematy Paktu Krwi.

- Zmierzają na północ – wyszeptał Blansher.

- Bez cienia wątpliwości – oznajmił Marcinon dołączając do reszty dyskutantów – Nieprzyjaciel jest przekonany, że dzięki swym siłom powietrznym zdobył całkowitą kontrolę nad linią wybrzeża. Heretycy przystąpili do inwazji naziemnej. Wysłałem ostrzegawcze komunikaty do Thedy. Trwają przygotowania do masowej ewakuacji, ale w głębi ducha... w głębi ducha mam wrażenie, że chyba nie zdążymy.

- A co z nami ? – zapytał Marquall.

- Z nami, chłopcze ? – odparł pytaniem Marcinon.

- Sir, znajdujemy się dokładnie na ich drodze. Forpoczta wroga pewnie podchodzi już pod lasy.

- Tak. Namierzaliśmy ich pierwsze pojazdy około sześćdziesięciu kilometrów na południe od bazy. Operacje żądają, byśmy przystąpili do natychmiastowej ewakuacji. My i wszystkie inne bazy polowe w tych lasach. Barki transportowe przybędą jutro o 8.00.

Jagdea spojrzała na Marqualla i dostrzegła jego zasmuconą minę.

- Czas się wycofać – powiedziała – Tak czasami bywa.

a

DZIEŃ 264

Tajna baza lotnicza nad Jeziorem Gocel, 06.30

Konwój ratunkowy miał przybyć za półtorej godziny. Marquall snuł się po bazie wypatrując nadejścia poranka. Przez całą długą duszną noc personel Gocel pracował jak oszalały pakując bagaże i ekwipunek, składając modułowe habitaty, demontując elektroniczne namierniki i skanery. Część większych budynków trzeba było pozostawić w lesie, podobnie jak utwardzane maty na lądowiskach i rampy startowe oraz pierwszy pierścień instalacji obronnych. Piloci mieli opuścić bazę w swoich maszynach, obsługa naziemna na pokładach transportowych barek.

Marquall spakował się w przeciągu kilku godzin, przypilnował bagaży swoich mechaników. Racklae uparł się przy pełnym przeglądzie technicznym Dziewięć-Dziewięć pracując ciężko przez całą noc, stwierdził też tonem nie znoszącym sprzeciwu, że dwaj technicy pozostaną na lądowisku do momentu odlotu maszyny.

Na oświetlonych mętnym blaskiem przenośnych lamp ścieżkach poruszały się szybko ludzkie sylwetki i obładowane ciężkimi skrzyniami Sentinele.

Każdy członek imperialnej ekspedycji znajdował się w stanie podwyższonej gotowości; niemal każdy. Kilku pilotów Umbry nadużyło alkoholu świętując wyczyn Larice Asche i teraz cierpiało męczarnie pobudki pod surowym okiem Jagdei i Blanshera.

Sama Asche oraz Zemmic zniknęli gdzieś bez śladu. Ich współlokatorzy, Del Ruth i Cordiale, spakowali pod nieobecność kolegów wszystkie rzeczy osobiste. Marquall zgłosił się na ochotnika do spakowania dobytku Waldona, ale Jagdea wzięła ten przykry obowiązek na siebie.

Słońce wysunęło się ponad linię horyzontu. Padał lekki deszcz, krople wody uderzały w liściastą kopułę puszczy, ściekały pod siatki maskujące. Było zimno.

Zmęczony Marquall przysiadł na pniu jakiegoś przewróconego drzewa, otarł twarz z deszczówki. Miał zamiar przejść się do sali odpraw i przebrać w suchy kombinezon, a potem sprawdzić raz jeszcze stan samolotu.

Po ścieżce przemykały ciemne sylwetki – mechanicy dźwigający skrzynki narzędziowe, załadunkowy Sentinel.

Phantyńczyk podskoczył słysząc donośny powtarzający się trzask. Dźwięk rozbrzmiewał przez dłuższą chwilę, a był tak głośny, że zaskoczony pilot dopiero po paru sekundach usłyszał popiskiwanie własnej bransolety alarmowej.

Fala paniki omiotła całą bazę.

Marquall pojął, że dobiegający z głębi lasu dźwięk był terkotem automatycznych działek Tarantula strzegących peryferii lotniska.

Ktoś wdarł się na zabezpieczony przez wojsko teren.

- O kurwa ! – krzyknął mimowolnie pilot, zrywając się z pnia i skacząc w stronę położonego opodal plecaka. Wyciągnął ze środka swój służbowy pistolet oraz kilka nowiutkich, nigdy nie używanych akumulatorów.

Pośród drzew gdzieś z przodu zapłonęła kula ognia, coś wybuchło z hukiem, w powietrzu rozszedł się swąd spalenizny. Kanonada przybrała na sile.

Nieprzyjaciel zjawił się znacznie wcześniej niż się tego spodziewano.

Krechy laserowego ognia cięły powietrze zrywając siatki maskujące i gałęzie drzew. Do strzelaniny włączały się kolejne Tarantule.

- Tronie Terry ! – krzyknął pilot słysząc włączające się jedna po drugiej alarmowe syreny. Pobiegł z pistoletem w dłoni w kierunku najbliższego schronu i wskoczył do środka.

Jakiś ciężki laser rzygnął na zewnątrz serią wiązek energii, ze ścian schronu posypały się fragmenty kompozytowej osłony.

Marquall cofnął się o kilka kroków, potknął o coś.

- Co jest, kurwa... – wymamrotał czyjś zaspany głos.

Phantyńczyk spojrział przez ramię za siebie. Asche i Zemic, oboje nadzy, leżeli na podłodze owinięci płachtą materiału.

- Marquall ? – Larice zmrużyła przekrwione oczy – Lepiej przygotuj sobie cholernie dobrą...

Znajdujący się tuż obok drugiego schronu wyleciał w powietrze siejąc na wszystkie strony dymiącymi szczątkami.

- Psiakrew ! – Asche zerwała się na równe nogi i zaczęła ubierać w szaleńczym pośpiechu spodnie. Kopnęła Zemicca.

- Obudź się ! Wstawaj ! – krzyknęła.

Zemic usiadł na podłodze mrugając oczami.

Asche zdążyła już ubrać podkoszulek, spojrzała w stronę Marqualla.

- Jak wygląda sytuacja ? – zapytała napiętym głosem.

- Znaleźli nas – odpowiedział pilot wyglądając na zewnątrz przez znajdujące się po przeciwnej stronie schronu drugie wyjście – Myślę, że powinniśmy...

Urwał raptownie. Trzy ludzkie sylwetki w czerwonych pancerzach osobistych pojawiły się na pobliskiej ścieżce biegnąc w kierunku schronu. Marquall wychylił się za próg bez chwili namysłu, strzelił pierwszemu z ludzi prosto w głowę.

Postać w czerwonym pancerzu runęła ciężko na ścieżkę.

Przerazony Marquall uświadomił sobie, że jego ofiara miała na twarzy odlaną z czarnego metalu maskę w postaci wyszczerzonej paszczy.

Pakt Krwi. Pakt Krwi !

Wiązki energii posypały się w jego stronę punktując ścianę schronu. Nie tracąc czasu na wiązanie sznurowadeł Asche przyskoczyła do Marqualla, zaczęła strzelać pomiędzy drzewa z własnego pistoletu.

- Gdzie jest Zemic ?! – krzyknął Marquall.

- Nie wiem. Uciekł ? Kogo to obchodzi ? – Asche pociągnęła ponownie za spust pistoletu.

Jaskrawożółty czołg kroczący wdarł się na teren bazy tratując zarośla, jego podwieszane pod kadłubem wieżyczki ciężkich laserów sypały seriami energetycznych wiązek.

Część bloku służb technicznych wyleciała w powietrze, na ziemię posypał się grad szczątków. Podcięte wybuchem drzewo przechyliło się z trzaskiem, runęło pociągając za sobą

rozpięte na gałęziach siatki maskujące. W górze pojawiło się blade światło poranka. Czołg przewrócił swym kadłubem kilka innych drzew, ich konary pozrywały kable sieci energetycznej, poszycie lasu skąpane zostało w deszczu białych iskier.

Żołnierze Paktu Krwi skoczyli w stronę schronu. Ukryci za futryną Marquall i Asche przywitani ich ogniem, zabili obu. Uśmiercenie elitarnych szturmowców wroga wymagało niesamowitego zużycia amunicji, serie wystrzałów niemal do cna wyczerpały baterie w obu pistoletach.

Asche zwymiotowała spazmatycznie.

- To nie takie łatwe, kiedy przyjdzie się zmierzyć twarzą w twarz, prawda ? – stwierdził Marquall łapiąc dziewczynę za ramię.

- To przez alkohol, idioto ! – wykrztusiła w odpowiedzi.

Wiązki laserowego ognia rozpały powietrze ponad ich głowami. Czołg kroczący dotarł do jednego z wyłożonych utwardzonymi matami lądowisk.

Enothiański żołnierz z pancernownicą zniszczył go celnym strzałem, eksplozja rozdarła spory fragment leśnego poszycia, w niebo wzbił się słup gęstego dymu.

Sytuacja w bazie została opanowana po dłuższej chwili, ataku dokonała wysunięta mocno do przodu forpoczta sił nieprzyjaciela. Marquall modlił się w duchu, by reszta heretyków nie zdążyła się zjawić nad jeziorem do chwili zakończenia ewakuacji. Tuż przed godziną ósmą imperialiści usłyszeli dźwięk pierwszych aerodyn transportowych mknących tuż nad gładką powierzchnią jeziora. Wielkie pojazdy zatrzymywały się nad linią brzegową, opuszczały w dół przednie rampy załadunkowe. Ludzie ze służb pomocniczych, mechanicy i żołnierze ochrony wbiegali na ich pokłady, uskakując z drogi śpieszących w tę samą stronę Sentineli.

I wtedy właśnie samoloty nieprzyjaciela dotarły nad Gocel naprowadzone na cel dymami tłących się wciąż pożarów. Maszyny lojalistów akurat zaczynały startować.

Razory przemknęły nad bazą zrzucając bomby i odpalając rakiety. Jedna z aerodyn eksplodowała z hukiem buchając płomieniami. Blansher wystartował czysto, w ślad za nim Van Tull, Del Ruth i Cordiale. Podrywający się w górę Thunderbolt Ortho Blaguera zderzył się z podchodzącym do ataku koszącego Razorem, rozbłysk detonacji rozpał przestworza. Dwa uciekające Lightningi, jeden z nich należący do Oberlitz, zostały strącone zaraz po starcie. Myśliwiec Oberlitz wpadł do jeziora, druga maszyna runęła pomiędzy drzewa na przeciwnym brzegu.

W powietrze poderwała się Asche, zaraz za nią dwa Raptory. Potem Lightning. Kolejny Raptor został zestrzelony po wejściu na pułap kilkunastu metrów. Zemmic umknął w górę, w ślad za nim Ranfre. Kolejna była Jagdea, pokieraszowana dwukrotnie pociskami przelatujących nad nią samolotów wroga.

Marquall dobiegł do Dziewięć-Dziewięć, przestworza ponad jego głową pulsowały ogniem. Racklae i jego zastępca czekali przy maszynie.

- Spadajcie ! Wynoście się stąd ! – wrzasnął Phantyńczyk.

- Dopiero po twoim starcie ! – odkrzyknął Racklae.

- Twoja barka zaraz odpłynie ! – nie ustępował Marquall.

Z głębi lasu padły strzały z broni ręcznej. Zastępca Racklae przewrócił się na ziemię z głową obróconą w krwawą miazgę.

- Racklae, wynoś się stąd ! Natychmiast, na Tron !

Marquall ostrzelał z pistoletu skraj lasu.

- Kable zostały odłączone, samolot jest gotowy !

- Spadaj, Racklae, spadaj !

- Dawaj mi to, na Tron Terry ! – Kautas zjawił się jak spod ziemi, wyrwał pilotowi broń z ręki.

- Czas na pana, panie Racklae – powiedział kapłan. Mechanik odbiegł bez słowa, popędził w kierunku linii brzegowej. Powietrze pełne było laserowych wiązek i kul.

Kautas zaczął strzelać z pistoletu.

- Na ciebie też czas, Vanderze Marquallu.

- Ojciec...

- Zamknij się w końcu, cholerny młokosie !

Marquall dostał się do kabiny samolotu, zatrzasnął ją z całej siły. Włączył silniki Thunderbolta i kopnął pedały sterujące napędem wektorowym. Samolot wystrzelił w górę rozdzierając resztki zniszczonych siatek maskujących.

Phantyńczyk wychylił się w fotelu spoglądając raz jeszcze w dół.

Pomiędzy drzewami spostrzegł człowieka stojącego z szeroko rozłożonymi ramionami. Ayatani Kautas odwrócił się po chwili bezruchu, jego szaty łopotały szaleńczo szarpane podmuchem startującej maszyny. Duchowny skoczył na spotkanie nadbiegającym leśnymi ścieżkami postaciom w czerwonych uniformach.

Kiedy Marquall tracił go z oczu, Kautas był już tylko niewielką figurką osuwającą się na kolana, otoczoną migotliwymi wiązkami laserowych wystrzałów. Kapłan ścisnął w dłoniach pistolet Phantyńczyka, strzelając z niego bez końca.

a

SZALA PRZEZNACZENIA

THEDA

imperialny rok 773.M41

dzień 264 – dzień 266

a

DZIEŃ 264

Baza lotnicza Theda Południe, 08.30

Nawet obserwator nie mający pojęcia o znaczeniu zawiłych sygnatur i ikonografii stosowanej w marynarce pojąłby z miejsca, że jest świadkiem toczonej nad wybrzeżem wielkiej bitwy powietrznej. W konfrontację włączyło się do tej pory dziewięciu kontrolerów, w tym również sam Eads. Darrow stał za fotelem przełożonego obserwując rozwój wypadków z rosnącym niepokojem.

Operacje pracowały bez ustanku dzień i noc, wojskowi nadzorujący akcje powietrzne działali w zmianach przejmując kontrolę od poprzedniego operatora często w samym środku walki, zwalnając z pracy kontrolera lecącego wręcz z nóg pod wpływem niehumanitarnego przemęczenia. Wyczerpani i rozdrażnieni, nie mieli chwili wytchnienia. Nieprzyjacielskie ataki – masowe wyprawy bombowe, nagłe rajdy, patrole – nie ustawały nawet na moment.

Tego poranka w rotundzie Operacji pracowano na czterech osobnych teatrach działań. Dwóch kontrolerów po przeciwnej stronie komnaty naprowadzało imperialne eskadry na heretyckie bombowce lecące w stronę Ezrville, trzeci nadzorował przebieg potyczki między myśliwcami ponad Doliną Lidy, czwarty zaś opiekował się formacją Marauderów zmierzających na południe. Dziewięciu kontrolerów po stronie Darrowsa prowadziło nadzór nad wielką bitwą powietrzną z udziałem czterystu pięćdziesięciu nieprzyjacielskich bombowców i stu myśliwców eskorty oraz czternastu skrzydeł imperialnych.

Gwar ludzkich głosów i radiowych szumów był ogłuszający. Raporty, weryfikacje kursów, potwierdzenia i rutynowe komunikaty nie cichły nawet na chwilę. Stojący przed ekranami pozycyjnymi oficerowie nieustannie nanosili na ich tafle skomplikowane oznakowania, dodając nowe, wymazując nieaktualne, korygując.

Kontrolerzy tkwili w swoich własnych światach, skupieni na wybranych przez siebie wycinkach podniebnego frontu. Większość pochylała się nad pulpitemi terminami, ale Eads siedział wyprostowany niczym instruktor musztry, spoglądając niewidzącym wzrokiem przed siebie; jego ręce śmigały po klawiaturze terminala. Darrow wiedział jak potwornie zmęczony był jego przełożony. Eads miał śmiertelnie bladą twarz, prawie nic nie jadł, prawie wcale nie sypiał.

- Czterdzieści-Cztery, powrót. Dziewięć-Jeden, zwrot o dziesięć stopni, kurs pięć-osiem-pięć. Ogniomistrz, zmień kurs na jedenaście-dwa. Powtórz, Myśliwy Lider. Tak, wychodzicie z akcji. Przełącz się na czwarty kanał. Zrozum, mam na radarze kontakty, na zachód od was,

dystans dziewięć kilometrów. Eskadra Brass, zwiększcie pułap do dwóch tysięcy. Macie pod sobą grupę bandytów, skręcają na wschód, trzy kilometry. Szesnaście kontaktów, powinniście mieć ich w polu widzenia. Potwierdzam, Lancer, będę was naprowadzał.

W rotundzie zaczęły wyć alarmowe klaksony, ale oficerowie dyżurni wyłączyli je natychmiast. Alarmy przeciwlotnicze uruchamiały się co kilkadziesiąt minut, lecz nikt z personelu Operacji nie próbował chronić się w podziemnych bunkrach – wykonywali zbyt ważną pracę, by choć na chwilę móc ją przerwać. Dwukrotnie Darrow poczuł drgania posadzki maltretowanej spadającymi na thedańską ziemię bombami.

Dni spędzone w towarzystwie Eadsa wiele chłopaka nauczyły. Kiedy już pojął podstawowe zasady pracy kontrolera, zaczął pełnić ważniejszą funkcję tworząc wraz z Eadsem dobrany zespół. Starszy mężczyzna oczekiwał teraz od swego pupila, że ten samorzutnie będzie monitorował poboczne transmisje danych i sortował je wedle priorytetu ważności.

Ekran na podstacji Darrowa migotał ciągami znaków. Asystent nie chciał wtrącać się w prowadzone przez Eadsa rozmowy, wypracowali sobie system znaków służący do szybkiego porozumiewania się: lekkie klepięcie w lewe ramię uświadomiło kontrolerowi, że Darrow chce mu coś oznajmić.

- Słucham ? – odezwał się Eads.
- Wskazania radaru. Południowy wchód, dwieście kilometrów, dystans maleje. Czterdzieści kontaktów. Zostały zidentyfikowane jako Locusty.
- Kurs ?
- Cztery-jeden-sześć.
- Dłonie Eadsa zatańczyły na klawiaturze.
- Ten kurs zaprowadzi ich do dwunastego wycinka. Przekaż ostrzeżenie Scalterowi.
- Tak jest.

Darrow odnotował treść wiadomości w elektronicznym notesie, odłożył swoje słuchawki i udał się zatłoczonym pomostem w kierunku stacji roboczej położonej trzy stanowiska dalej od pulpitu Eadsa.

Major Frans Scalter był dowódcą klucza w Eskadrze Szperaczy aż do pamiętnej walki nad Ezrville o poranku 257 dnia roku. Scalter stracił wówczas swego drugiego pilota, a jego maszyna została pokiereszowana tak bardzo, że mechanicy odmówili jej naprawy. Prawdziwym cudem jawił się fakt, że Scalter w ogóle dotarł na niej do bazy. Jego ręce i twarz wciąż znaczyły dziesiątki zablźniających się z wolna ran zadanych szklanymi odłamkami.

Major był doświadczonym lotnikiem oraz – w opinii Eadsa – trzeźwo myślącym oficerem. Pozbawiony dostępu do zastępczej maszyny, Scalter został przetransferowany do borykających się z personalnymi brakami Operacji. Kontrola lotów pracowała na okrągło, zmiana po zmianie, potrzebowała każdego doświadczonego oficera zdolnego obsługiwać robocze stacje.

Scalter okazał się wyśmienitym kontrolerem, zresztą wiele mówiły też jego pełne pochwał akta zaświadczone o przebiegu służby. Podobnie jak wszyscy inni przerzuceni do Operacji lokalni piloci – również sam Darrow – Scalter uważał ten przydział za niezasłużoną karę, traktował ją jednak z pełną odpowiedzialnością i oddaniem.

- Zwiększcie pułap do pięciu tysięcy, Ransack – powiedział zmęczonym głosem major, kiedy Darrow stanął za jego plecami – Zwrot o osiemnaście stopni na północ. Powtarzam, na północ. Jeśli będziecie dalej lecieć na wschód, zginiecie. Wykonajcie rozkaz.
- Kontrolerze ?

Scalter podniósł rękę prosząc o ciszę, nawet nie spoglądając przy tym przez ramię.

- Nie interesuje mnie to, co wy widzicie, Ransack. Ja widzę więcej. Pięć tysięcy metrów, osiemnaście stopni na północ. Macie przed sobą grupę bandytów, poza zasięgiem wzroku, wbijecie się w nich, jeśli będziecie dalej lecieć w tym kierunku. Potwierdzacie ? Dziękuję za

współpracę. Latarnia, utrzymujcie dotychczasowy kurs na dystansie ośmiu kilometrów. Bądźcie czujni, nieprzyjaciel szesnaście kilometrów dalej na zachodzie.

Scalter obejrzał się przez ramię na Darrowa.

- Asystencie ?

Darrow wyciągnął trzymany w dłoni notes.

- Wchodzą na pański wycinek. Eads prosił, żebym pana o tym poinformował.

- Proszę mu podziękować – odparł Scalter. Darrow zauważył, że ręka kontrolera drgała wyraźnie i z miejsca przyszedł mu na myśl Heckel. Czy powinien był coś powiedzieć ?

- Coś jeszcze, asystencie ? – dodał Scalter. Podobnie jak wszyscy inni, major wyglądał na potwornie zmęczonego. Darrow wiedział, skąd brało się to wyczerpanie, nie chodziło tylko o stres. Wszyscy enothiańscy piloci wycofani z aktywnej służby spędzali swój czas wolny w symulatorach zamiast w łózkach, doskonaląc swe umiejętności. Sam Darrow też to robił i kilka razy spotkał Scaltera w sali szkoleniowej. Personel marynarki zainstalował w symulatorach nowe oprogramowanie dla Thunderboltów i Marauderów. Enothianie nie mogli się od niego oderwać; każdy chciał przynajmniej w wirtualnej przestrzeni przeżyć to, czego nie mógł doświadczyć w realnym życiu.

- Nic, kontrolerze.

- Dziękuję, Darrow – powiedział Scalter – Skoro już tutaj jesteś... – major spojrzął ponownie na swój pulpit, rzucił w eter kilka komend, po czym nakreślił w notesie jakieś informacje – Eads będzie tego potrzebował. Miałem do was posłać swojego asystenta, ale nie mam pojęcia, gdzie on się teraz podziewa.

Darrow odebrał od majora notes.

- Dziękuję, sir.

To charakterystyczne drganie dłoni. Pierwsze objawy syndromu samozniszczenia czy efekt skrajnego zmęczenia ?

- Trzymaj się, Darrow.

Chłopak ruszył w stronę swego stanowiska słysząc za plecami podniesiony głos Scaltera.

- Ransack, to nie jest, powtarzam, to nie jest zwrot o osiemnaście stopni na północ ! Skorygujcie w tej chwili kurs !

Darrow prześlizgiwał się pomiędzy innymi asystentami, oficerami sztabowymi i pracownikami marynarki; dotarł do Eadsa.

- Lećcie do punktu kontrolnego trzy-pięć, Orbis ! Zwiększcie pułap i kołujcie, na Tron ! – chwila ciszy. Darrow czekał cierpliwie – Orbis, Orbis – odezwał się w końcu Eads – Jesteście na kursie kolizyjnym z Ganymede Siedem-Siedem. Opuśćcie ten pułap. Tak, mam tych bandytów, na ośmiu tysiącach. Lećcie do wskazanego punktu kontrolnego i kołujcie nad trzy-pięć. Uważajcie, nieprzyjaciel na ósmej.

Darrow położył dłoń na ramieniu Eadsa.

- Eskadra Harpia, zwrot o dziesięć stopni na północ. Wróg na drugiej, zmniejsza dystans. Tak, Darrow ?

- Ostrzeżenie od Scaltera, sir.

- Przeczytaj je na głos.

- Maszyny w luźnej formacji, na sześciu tysiącach, lecące na północny wschód kursem cztery-dwa. To samoloty z bazy polowej Gocel. Są w powietrzu od trzydziestu minut, proszą o instrukcje kontroli lotów.

- Ile maszyn ?

- Około dwudziestu myśliwców oraz kilka ciężkich aerodyn transportowych.

- Musisz sam tym się zająć, Darrow, mam teraz coś ważnego na głowie. Aerodyny puść prosto do nas, to priorytet. Skontroluj status operacyjny myśliwców. Jeśli wciąż nadają się do walki, możemy je wykorzystać. Niech podadzą ci stan paliwa i amunicji.

- Tak jest.

Darrow założył swoje słuchawki i włączył odpowiednią częstotliwość. Eads wrócił już do własnej pracy, więc asystent odetchnął głęboko próbując uspokoić nerwy.

- Grupa Gocel, grupa Gocel, mówią Operacje Theda. Czy mnie słyszycie ?

Trzask radiowych zakłóceń.

- Operacje, mówi Umbra Lider. Odbieramy czysto i wyraźnie.

- Podaj wasz status, Umbra Lider.

- Zostaliśmy zmuszeni do ewakuacji, Operacje. Zmasowany atak nieprzyjaciela. Umbra liczy dziewięć, powtarzam, dziewięć maszyn. Raptory z 409. skrzydła osiem, powtarzam, osiem maszyn. 786. eskadra zwiadowcza liczy trzy, powtarzam, trzy maszyny. Mamy pięć ciężkich transportowców, eskortujemy je. Czujcie się ostrzeżeni, wróg jest tuż za nami, niebezpieczeństwo pościgu.

- Szacowany czas przylotu do Thedy, Umbra Lider ?

- Za dwadzieścia sześć minut.

- Transportowce niech się kierują do bazy Theda Południe, mają pierwszeństwo w lądowaniu. Ktoś z was nadal jest zdolny do podjęcia walki ?

- Umbra i Raptory zgłaszają gotowość. Jesteśmy zatankowani i uzbrojeni. Lightningi mają do połowy opróżnione zbiorniki, więc zalecałabym unikać angażowania ich w akcję.

- Możecie nam pomóc, Umbra Lider. Potyczka powietrzna, kurs dziewięć-dwa, zachód.

- Potwierdzam.

Darrow odetchnął ponownie głęboko. Przyszedł czas na podjęcie konkretnych decyzji.

- Grupa Gocel, Lightningi przejmują eskortę nad transportowcami. Wszystkie pozostałe maszyny łamią szyk i zwiększają pułap, kurs dziewięć-dwa.

- Potwierdzam.

Nad wybrzeżem, 08.34

Cztery dziesiąte zachmurzenia, wiatr od strony południa. Bładoniebieskie przestworza poznaczone były pasami szarości.

Jagdea poprowadziła myśliwce na zachód obserwując kątem oka znikające w tyle aerodynamy, eskortowane przez trójkę Lightningów, tonące w warstwie chmur.

- Raptor Lider, mówi Umbra Lider. Blaguer nie żyje, niech Tron ma go w opiece. Operacje poprosiły nas o wejście do akcji, pewnie słyszeliście to w radiu. Ja dowodzę w tej chwili, więc bądźcie grzeczni i odwalcie dobrą robotę. O wszelkich problemach możemy podyskutować potem na ziemi. Jakies zastrzeżenia ?

- Umbra Lider, tu Raptor Dwa. Poprowadź nas dobrze, a polecimy za tobą do piekła i z powrotem.

Jagdea uśmiechnęła się lekko. Miała okazję spotkać się z zastępcą Blaguera kilkakrotnie podczas pobytu nad jeziorem Gocel. Dobrze zbudowany i otoczony aurą profesjonalizmu mężczyzna nazywał się Rapmund. Jego pewna siebie odpowiedź niezmiernie ją ucieszyła.

- Cztery diamenty, ja prowadzę sprint – wydała rozkaz – Powoli i starannie, bez zbytecznego manewrowania. Mamy tu dostatecznie wielu wrogów, by nie musieć pozabijać się w przypadkowych zderzeniach.

Pchnęła przepustnicę i pomknęła do przodu obserwując w kamerach manewry pozostałych maszyn. Lotnicy sformowali cztery diamenty, każdy złożony z czterech Thunderboltów. Wykonali całą procedurę z niebywałą precyzją i profesjonalizmem, mieszając w szyku maszyny Umbry i Raptorów w akcie niewymuszonej kooperacji. W eterze nie rozbrzmiały żadne zastrzeżenia, żadne wymówki. Podniebni wojownicy zjednoczeni dla wspólnego dobra.

- Lider do skrzydła, wyrazy uznania dla wszystkich. W taki właśnie sposób Imperium pokonuje swych wrogów.

Thunderbolt Jagdei pędził na czele pierwszego diamentu, dokładnie przed maszynami drugiej formacji. Diament Dwa znajdował się na jej ogonie, Diament Jeden na czwartej, Diament Trzy na siódmej, a Diament Cztery na siódmej Diamentu Trzy. Jagdea prowadziła formację zwaną w żargonie marynarki *sprintem*, w slangu phantyńskim zaś *grotom*. Wezwała pilotów Raptorów, by podali przez radio swe numery wywoławcze i pozycje, po czym odnotowała otrzymane informacje w notesie przymocowanym pasami do uda. Potem zmieniła kanał komunikacyjny.

- Operacje, mówi Umbra Lider. Maszyny Umbry i Raptorów znajdują się teraz pod moją bezpośrednią komendą. Macie nas na ekranach ?

- Jesteście na planszach, Umbra. Odczyt czysty i wyraźny. Zmiana kursu o trzy stopnie w prawo i pułap ośmiu tysięcy. Potyczka jest cztery kilometry przed wami.

- Potwierdzam.

Thunderbolty przebiły się przez grubą warstwę chmur i wpały na czysty fragment przestworzy. Potyczka toczyła się przed nosami imperialnych maszyn.

Potyczka. Cóż za nieadekwatny termin. Słowa kontrolera lotu sprawiały wrażenie dziecięcych.

To była prawdziwa wojna.

Setki samolotów uwijały się w powietrze na przestrzeni dziewięćdziesięciu kilometrów sześciennych. Maszyny były wszędzie... pojedynczo, w ciasnych formacjach, uwikłane w zaciekle podniebne walki. Większość z nich nosiła w opinii Jagdei barwy nieprzyjaciela. Mnóstwo bombowców, sporo myśliwców. Imperialne samoloty śmigały pomiędzy nimi, przestworza zasnuwały kłęby dymu, cięły je serie smugowych pocisków. Phantyjka dostrzegła co najmniej sześć maszyn spadających w płomieniach ku odległej ziemi.

Ku ziemi. Pod cienką warstwą chmur widziała linię morskiego wybrzeża i zabudowę Thedy, punktowaną setkami pożarów. To właśnie Theda była celem heretyckich bombowców.

- Mamy kontakt wizualny – zgłosiła przez radio.

- W porządku, Umbra – na kanale Operacji odezwał się zniecałkowany głos, dużo starszy – Na waszej jedenastej, znacznie wyżej, jest spora grupa bandytów. Możecie związać ich walką ?

Jagdea podniosła wzrok ku przestworzom, potem spojrzała na ekran lokalizatora.

- Widzimy ich, Operacje – grupa Razorów, ponad dwadzieścia maszyn, pędząca ku imperialnym maszynom znajdującym się jakiś tysiąc metrów niżej.

- Mówi Umbra, wchodzimy do walki.

- Imperator strzeże – dodał starszy wiekiem kontroler.

- Łamać szyk ! – rozkazała Jagdea – Pełna moc silników ! Zabijcie tych skurwysynów !

Powiększona formacja Umbry wystrzeliła do przodu, przyspieszyła dzięki dopalaczom, niektórzy lotnicy otworzyli już ogień.

Zaskoczeni piloci Raptorów rozpięchli się po przestworzach, zaczęli zawracać w stronę napastników.

- No i zaczęło się... – mruknęła pod nosem Jagdea.

Krechy laserowego światła. Serie pocisków smugowych. Kłęby dymu. Dwa Razory wypadły z szyku, runęły ku ziemi ciągnąc za sobą czarne warkocze dymu, trzeci eksplodował w powietrzu. Jeden z Raptorów, Czwórka, stracił prawe skrzydło, Thunderbolt zaczął spadać w dół niczym kamień.

Cordiale został trafiony.

Wielki fragment poszycia skrzydła oderwał się od maszyny, dołączyły do niego rozdarte pociskami blachy kadłuba. Thunderbolt stracił na chwilę sterowność, ale ku ogromnej uldze Jagdei Phantyńczyk wyrównał natychmiast tor lotu, utrzymując maszynę w powietrzu resztkami poharatanych stateczników.

Komandor pomknęła w ślad za wchodzącym w lot nurkowy Razorem.

- Umbra Jedenaście ! – krzyknęła w eter – Podaj swój status !
- Powierzchnowe uszkodzenia, ma'am – odparł spokojnym tonem Cordiale. Jego samolot wcale nie sprawiał wrażenia powierzchniowo uszkodzonego, wręcz przeciwnie.
- Wyjdź z walki i wracaj do bazy – rozkazała Jagdea – Operacje Theda, Operacje Theda, mamy uszkodzoną maszynę w drodze do domu.
- Potwierdzam, Umbra Lider. Ma pozwolenie na lądowanie.

Jagdea obejrzała się w prawo. Dwa Razory spadały w dół korzystając z wektorowych korektorów, szykując się do pościgu za odlatującym Cordiale.

- Cordiale ! Odbij w bok !
- Odbić ?! Ledwie się trzymam w poziomie ! – odkrzyknął phantyński pilot.

Jagdea pchnęła jeszcze bardziej przepustnicę.

- Blansher ? Przejmuj dowodzenie, ja ubezpieczam Jedenastkę. Umbra, dowodzenie przejmuje od tej chwili Dwójka.
- Potwierdzam, Jagdea – odezwał się Blansher.

Phantyjka rzuciła Zero-Dwa w ostry lot nurkowy. Za Thunderboltem Cordiale pojawił się warkocz dymu.

Złapała w celownik pierwszego Razora, zasypała go niecelnymi pociskami i heretyk natychmiast odbił w bok. Drugi nie zmieniał kursu, zdecydowany za wszelką cenę dobić uszkodzony imperialny myśliwiec.

Jagdea skorygowała kurs, Razor wsunął się w jej krzyż celowniczy.

Odłożyła poprawkę i nacisnęła spust. Razor rzygnął kłębami dymu, poderwał nos do góry jakby próbował uciec, po czym eksplodował rozpadając się na drobne części.

Coś uderzyło w lewą stronę kokpitu Jagdei niczym taran. Szyby poszły w kawałki, zegary popękały, kawał pancierza wpadł do środka kabiny rozcinając kobiecie lewą rękę.

Krzyknęła mimowolnie z bólu. Razor przeleciał tuż obok Thunderbolta, szykując się do drugiego podejścia.

Dygoczącymi spazmatycznie rękami zdołała jakoś wyrównać lot.

- Operacje Theda – jęknęła – Dwa, powtarzam, dwa uszkodzone samoloty w drodze do domu.

Pasy lotniska rozciągały się w dole przed nosem jej maszyny.

Widziała rozległą panoramę miasta, pożary, poharataną bombardowaniem bazę lotniczą.

Wiatr wygrywał szaleńcze melodie na potrzaskanych szybach kokpitu, nad rozbitymi zegarami unosiły się smużki dymu. Jagdea nie widziała niczego w prawych oknach kabiny, ponieważ szkło pokryte było warstwą krwi... jej własnej krwi. Zerknęła w dół. Dostrzegła rozdarty kombinezon, zakrwawione ciało, błysk odsłoniętej kości.

Jej prawy silnik stanął w płomieniach.

Thunderbolt zaczął tracić wysokość, kobieta odpływała powoli w stan nieświadomości.

Usłyszała dziwny dźwięk i dopiero po kilku sekundach uświadomiła sobie, że to pisk antylokalizatora. Ktoś ją namierzył.

Razor mknął na ogonie Bolta. Heretycki samolot otworzył ogień z działek i niemal natychmiast eksplodował siejąc na wszystkie strony dymiącymi szczątkami.

- Siadaj na ziemi, Bree ! – Blansher przewalił się z rykiem silników nad maszyną Jagdea – Na Boga-Imperatora, siadaj na ziemi !

Zeszepony kraterami pas startowy rósł jej w oczach z każdą sekundą. Jagdea walczyła z dyszami korekcyjnymi. Dopiero w ostatniej chwili przypomniała sobie o podwoziu, wypuściła je natychmiast. Cordiale już zdążył wylądować, ludzie z obsługi technicznej kręcili się wokół jego dymiącego myśliwca.

Jagdea straciła na ułamek chwili przytomność, odzyskała ją czując potężny wstrząs i szarpnięcie drążka sterowniczego.

Zero-Dwa przejechał dwadzieścia metrów po nawierzchni pasa i zatrzymał się w miejscu.

Cordiale pierwszy dobiegł do jej maszyny. Otworzył kokpit za pomocą systemu awaryjnego i walnął pięścią w wyłącznik silników ratując Thunderbolta przed ponownym samoczynnym uniesieniem się w powietrze.

Jagdea odwróciła głowę spoglądając na swego pilota. Wizjer jej hełmu pokryty był kropelkami krwi, więc zaczęła ścierać je dłonią, ale nic to nie pomogło – tylko je roztarła po całym hełmie.

Posługując się prawą ręką zdarła hełm z głowy i odrzuciła w kąt kabiny.

- Wszystko będzie dobrze – powiedział Cordiale.

To były ostatnie słowa, jakie usłyszała.

Wybrzeże, 11.21

Drogi były zablokowane tak daleko jak tylko sięgał wzrok. LeGuin stał wyprostowany na wieży *Ręki Śmierci* i spoglądał przed siebie z rozczarowaniem. Tysiące pojazdów, w przeważającej większości wojskowych, stały w gigantycznym korku na wszystkich ulicach miasta oraz rozciągającej się na północ od niego autostradzie.

Wielu kierowców wyłączyło silniki oszczędzając paliwo, ale powietrze wciąż gęste było od samochodowych spalin. Ludzie wysiadali z pojazdów i LeGuin co chwila słyszał czyjeś podniesione, rozgniewane głosy.

- Widać cokolwiek? – zapytał siedzący w jednym z włazów Viltry.

- Niczego, co by się poruszało.

Miasto nazywało się Nivelles, było położone jakieś sześćdziesiąt kilometrów na południe od Ezrville. Podobnie jak wiele innych ludzkich osad napotkanych przez gwardzistów, Nivelles również ciężko ucierpiało wskutek bombardowań i już dawno temu zostało porzucone przez swoich mieszkańców.

Kiedy imperialny kontyngent znalazł się w końcu na utwardzonych drogach Doliny Lidy, sytuacja żołnierzy bardzo się poprawiła pomimo złego stanu szos i ustawicznego zagrożenia ze strony lotnictwa nieprzyjaciela. Dyżurujące wzdłuż dróg oddziały kwatermistrzowskie dostarczały im na bieżąco tak desperacko potrzebnej żywności, medykamentów i paliwa. Coraz silniej można było odczuć błogie wrażenie powrotu do cywilizacji, po wielu tygodniach męczących zmagania z wrogą naturą i własnymi słabościami.

Lecz wojna nie dawała o sobie zapomnieć, ciężko doświadczyła ziemi Półwyspu. Oglądane z ulic Nivelles, przestworza nad Ezrville przypominały jeden wielki front burzowy, tak czarne były od dymów pożarów. Samoloty, często lecące zbyt wysoko, by można było je zidentyfikować, przemykały nad głowami gwardzistów przez cały czas, dzień i noc. Żołnierze mieli kilkakrotnie sposobność obejrzeć wielkie podniebne bitwy: malutkie punkciki uwijające się w powietrzu, krążące w kółko, wzbijające się w górę i spadające w dół, ciągnące za sobą białe smugi kondensacyjne lub warkocze dymu i płomieni. Pałące się samoloty spadały z nieba niczym miniaturowe meteory, rozbijając się na urodzajnych pastwiskach.

Przemierzające się na wysokości dachów aerodynamiki Munitorium i Valkirie regularnie przecinały powietrze nad głowami żołnierzy, przeważnie transportując cięższe rannych prosto do pracujących na wybrzeżu wojskowych szpitali.

Dyspozycje wydane przez Munitorium nakazywały kolumnom ewakuacyjnym udać się do Ezrville, gdzie czekały już na nie statki transportowe gotowe do przewiezienia gwardzistów na północną stronę morza. Taki był przynajmniej plan teoretyczny.

W praktyce podróż do Ezrville natrafiała na wiele przeciwności, ponieważ kolumna natrafiała na wiele innych konwojów, bądź to wlokących się na północ główną trasą, bądź to

nadciągających bocznymi drogami i włączających się do ruchu. Nie wszystkie pojazdy należały do wojska, towarzyszyły im gromady uchodźców, całe rodziny wraz z dziećmi, zmierzające ku wymarzonemu schronieniu gdzieś na wybrzeżu.

Matredes wspiął się na kadłub czołgu. LeGuin wysłał go wcześniej w poszukiwaniu jakiegoś wyższego rangą pracownika Munitorium.

- Mam dobre wieści – oświadczył Pardusyta opierając się o wieżę Lemana – Utknęliśmy tutaj, ponieważ służby ewakuacyjne nie nadążają z obsługą konwojów.

- To ma być dobra wiadomość ? – parsknął LeGuin.

- Z punktu widzenia urzędnika, z którym rozmawiałem, jest dobra, sir. Ponad trzydzieści procent więcej naszych chłopaków ocalało niż szacowały służby kwatermistrzowskie. Robią wszystko, co w ich mocy, by zorganizować więcej statków transportowych i poduszkowców z północnych portów. Lord militant Humel nie zdołał zabić aż tylu z nas, ilu zakładali.

- Ale nie możemy twierdzić, że się nie starał – dodał sarkastycznie LeGuin.

Viltry uśmiechnął się pod nosem słysząc dobrą wiadomość. Im więcej jednostek naziemnej armady zdołało wymknąć się nieprzyjacielowi, tym większą siłę miała ona stanowić po swoim przegrupowaniu. Świadomość ta czyniła jego pracę – i pracę wszystkich innych pilotów – wartą podjętych wysiłków.

- Inny kłopot to uchodźcy – dodał Matredes – Cywile masowo opuszczają Ezrville, za to do miasta ściągają uciekinierzy z całej okolicy. Autostrady są w wielu miejscach zakorkowane.

- Więc utknęliśmy tutaj na dobre ?

- Munitorium zaleca, by wszystkie pojazdy z odpowiednim zapasem paliwa i w dobrym stanie technicznym kierowały się objazdami na wschód. W kilku mniejszych portach otworzono regularne punkty ewakuacyjne po to, by rozładować korek w Ezrville. W naszym przypadku oznacza to jazdę na przełaj, w tamtym kierunku – Matredes wskazał palcem na wschód – Po jakimś czasie powinniśmy dostać się na lokalne drogi – czołgista wyjął z kieszeni kawałek papieru – Zapisalem sobie nazwy tych portów: Fetona, St. Chryze, Langerville. Powinniśmy znaleźć je na mapie.

LeGuin pokiwał w zamyśleniu głową.

- Mamy paliwo i sprawne gąsienice. Co o tym myślicie ?

- Lepsza jazda na przełaj niż siedzenie tutaj – powiedział Matredes.

- Co mi tam kilka kilometrów więcej – wzruszył ramionami Emdeen.

- Podróż na wschód bardzo mi pasuje – dodał Viltry.

- Więc postanowione – oświadczył LeGuin.

Zwerbowanie około czterdziestu pojazdów mających towarzyszyć *Ręce Śmierci* zajęło godzinę. LeGuin upewnił się, że wszystkie maszyny były w odpowiednim stanie. Nie potrzebował maruderów opóźniających podróż, uszkodzone czołgi mogły pozostać wraz z głównym konwojem.

Po zgłoszeniu stanu liczbowego i danych identyfikacyjnych nowej kolumny pracownikowi Munitorium gwardziści stracili kolejne dwie godziny na wydostanie się z korku. Operacja ta wymagała drobiazgowego, cierpliwego manewrowania, przypominającego grę w szachy, z niebywale ograniczoną wolną przestrzenią. Doszło do kilku kłótni i zatargów, LeGuin i Viltry musieli osobiście interweniować w bójkę pomiędzy załogą gerzońskiego transportera piechoty i żołnierzami z Chimery należącej do 44. Lekkiego, którzy przez przypadek staranowali Gerzończyków.

Idąc po rozum do głowy dowódca pardusyckiego Conquerora *Żywa Legenda* zdołał rozładować ścisk za pomocą swego spychacza – zrównał z ziemią spory fragment kamiennego ogrodzenia, przeorał uschnięty niemal całkowicie ogród pomiędzy dwoma budynkami mieszkalnymi, po czym przedostał się na drugą stronę płytkiego rowu melioracyjnego żegnany owacjami obserwujących ten zabieg gwardzistów.

Kolejne pojazdy dołączały do Conquerora znikając w wylomie, rzygająca spalinami *Ręka Śmierci* była szósta w szyku. Czołgiści przedostali się z łoskotem gąsienic na drugą stronę podmiejskich warzywniaków i zatrzymali na pastwiskach czekając na resztę kolumny. Nowy konwój składał się z dziewięciu czołgów pardusyckich, jedenastu gerzońskich, sześciu należących do kompanii pancernej Drugiego Balchinoru, trzech Hydr oraz szesnastu transporterów opancerzonych i półgąsienicowych ciężarówek wyładowanych gwardzistami. Decyzją większość dowództwo nad kolumną objął LeGuin – po części dlatego, że decyzja o objęździe była jego pomysłem, po części zaś ze względu na reputację, jaką załoga *Ręki Śmierci* wyrobiła sobie po strąceniu dzień wcześniej nieprzyjacielskiego samolotu.

LeGuin wydał rozkaz i pojazdy ruszyły poprzez uprawne grunty i łąki, sypiąc na wszystkie strony bryłami wilgotnej ziemi i błotem.

Była to pełna wstrząsów i podskoków jazda, Viltry siedział w wieżycze trzymając się kurczowo włazu.

Ale mimo wszystko jechali dalej.

Baza lotnicza Theda Południe, 14.02

- Przekazuję stanowisko – powiedział Eads.
- Dziękuję, kontrolerze – odparł jego zmiennik – Przejmuję stanowisko.
- Kiedy nowy kontroler lotu zajmował miejsce w fotelu, Darrow pomógł Eadsowi odpiąć szybko wtyczki neuralnego interfejsu. Obaj mężczyźni czuli się otępiali, dręczyły ich lekkie zawroty głowy. Nadludzki niemal wysiłek wkładany w każdą godzinę pracy odciskał ogromne piętno na ich organizmach i psychice.
- Powodzenia – powiedział Eads, ale nowy kontroler był już całkowicie pochłonięty zapoznawaniem się z pandemonium ikon i komunikatów w jego wycinku dowodzenia.
- Darrow odczekał, aż Eads porozmawia cichym głosem z oficerem dyżurnym, po czym wyprowadził go z rotundy. Eads miał przy sobie swoją laskę, ale pozwolił, by Darrow ujął go pod ramię i powiódł przed siebie. Starszy wiekiem mężczyzna był skrajnie wyczerpany.
- Weszli do atrium Operacji.
- Odprowadzę pana aż do kwatery, sir – powiedział Darrow.
- Nie ma takiej potrzeby, Enric. Krótki spacer, chwila samotności, to dobrze mi zrobi. Powinieneś się położyć. Dyżurny mówił, że będą nas potrzebowali o północy.
- Tak jest, sir.
- Darrow ?
- Tak, sir ?
- To, co teraz powiem musi pozostać między nami, rozumiesz ?
- Tak, kontrolerze.
- Kiedy wrócisz do swojej kwatery, spakuj się. Spakuj wszystkie rzeczy, żebyś mógł w razie potrzeby szybko opuścić bazę.
- Dlaczego, sir ? – Darrow zeszywniał wyraźnie.
- Banzie przypuszcza, że otrzymamy rozkaz ewakuacji. To jeszcze nieoficjalna informacja, ale Banzie jest już pewien swego. Za cztery, może pięć dni Theda nie będzie się już nadawała do działań operacyjnych.
- Boże-Imperatorze... – westchnął Darrow.
- Oni wygrywają, synu. Bez względu na to jak zaciekle się bronimy, te przestworza należą już do nich. Marynarka ma zamiar wycofać swe skrzydła, przetrzucić je w bezpieczniejszy rejon.
- Gdzie, sir ?
- Może Zophos, może Wyspy Midwinter. Ja obstawiam St. Hagen. Tacticus już zaczął przygotowania do odlotu.

Darrow poczuł się dziwnie bezsilny. Obejrzał się przez ramię. Wypełnione echem ludzkich kroków atrium było puste, znajdowało się w nim zaledwie kilku opuszczających Operacje kontrolerów z poprzedniej zmiany.

- Czy my... – zaczął niepewnie – Czy my przegrywamy tę wojnę ?

- Nie – zaprzeczył Eads – Odwrót trudno przełknąć, ale musisz zachować się jak prawdziwy wojownik, Enricu. Czasami jest to jedyny sposób na zapewnienie sobie zwycięstwa. Na Tron, jeśli odwrót ma być równoznaczny z klęską, to powinniśmy byli dać sobie spokój w chwili, gdy lądowa armada zawróciła spod Bram Trinity.

- Sir.

- Wiem, że to boli, Darrow. To rani naszą dumę. Lecz musisz spojrzeć na to wszystko z innej perspektywy – w głosie Eadsa nie było nawet cienia ironii – Odwrót, przegrupowanie, zebranie sił, ponowny atak. To właśnie musimy zrobić. To dlatego walczyliśmy tak ciężko, by uratować nasze jednostki lądowe. Teraz oni będą mogli zawrócić i odpłacić heretykom za wszystkie nasze cierpienia. Przeczytaj w wolnej chwili historyczne książki, Darrow. W taki właśnie sposób wygrywaliśmy wcześniej wojny. A inne przegrywaliśmy z powodu ludzi zbyt dumnych, by zdołali przełknąć gorzką pigułkę uzasadnionego taktycznie odwrotu.

Kadet pokiwał głową.

- Darrow ?

- Skinąłem głową, sir. Przepraszam.

- Idź się przespać. Widzimy się o północy.

Darrow zasalutował krótko. Eads oddalił się idąc po marmurowej posadzce, jego laska postukiwała głośno.

- I to ma być salut ? – rzucił na pożegnanie przez ramię.

Darrow wyszedł z gmachu Operacji. Powietrze było duszne i cuchnęło odorem spalenizny. Kilku innych kontrolerów lotu i asystentów przystanęło przed wejściem do budynku paląc papierosy, rozmawiając półgłosem lub po prostu odpoczywając w milczeniu. Darrow zauważył opodal palącego skręta lho Scaltera. Nawet mimo dzielącego obu mężczyzn dystansu kilku metrów widział wyraźnie drżące silnie dłonie majora. Podjął w myślach decyzję i niemal ruszył w stronę oficera chcąc skomentować te objawy, kiedy tknęła go zniecierpliwiona jakaś myśl. Wyjął własne dłonie z kieszeni i spojrzał na nie uważnie. Obie drżały silnie.

- Mogę ci jakoś pomóc ? – zapytał Scalter widząc, że Darrow spogląda w jego kierunku.

- Nie, sir. Wszystko w porządku.

- Coś nie tak z twoimi rękami ?

- Nie – Darrow podszedł bliżej rozmówcy – Troszeczkę mi się trzęsą.

- Żadna nowość. To efekt zmęczenia.

- Tak, sir.

Scalter wyciągnął w stronę kadeta paczkę skrętów.

- Nie, dziękuję, sir.

- Idziesz do symulatorów ? – spytał major – Widziałem cię tam parę razy.

- Być może. A pan ?

Scalter wskazał ruchem głowy lądowiska bazy.

- A jak myślisz ? – zapytał.

Darrow rozejrzał się po lotnisku. Większość pasów startowych zryta była kraterami. Wzdłuż wschodniego ogrodzenia spiętrzone za pomocą buldożerów wraki wszystkich zniszczonych lub nie nadających się do remontu samolotów, by nie zaważyły na pasach. Dym unosił się nad miejscami, gdzie spadły niedawno bomby. Maszyny marynarki podchodziły właśnie do lądowania, za niektórymi z nich ciągnęły się smugi oparów. Po płytach lądowisk biegli mechanicy z obsługi technicznej. Znajdujący się w zamkniętych

lądowiskach Apostołowie rozgrzewali silniki swych myśliwców, w powietrzu niósł się dźwięk jeżdżących szybko amunicyjnych wózków. Darrow słyszał donośny trzask rozruszników.

Za ogrodzeniem bazy wzbijały się w niebo wieże Thedy. Dymy pożarów unosiły się nad miastem zasnuwając przestworza, gdzieniegdzie migały ogniki płomieni. Kadet dostrzegał luki w panoramie Thedy – miejsca, gdzie bomby zrównały z ziemią znajome mu budowle. Syreny alarmowe zawodziły przenikliwie.

- Myślę, że pójde do symulatorów – zdecydował Darrow.

DZIEŃ 265

Zachodnia część Thedy, 10.02

Napływ rannych dosłownie zapychał miejskie szpitale. Jagdea została przewieziona prosto do kliniki w zachodniej części miasta. Był to czteropiętrowy budynek z naruszonej zębem czasu cegły, który w uprzednich latach zdążył już pełnić rolę sanatorium, przytułku dla ubogich i szkoły dla praktykantów nauk medycznych. Szpital znajdował się w kiepskim stanie, powietrze w jego wnętrzu cuchnęło stęchlizną i środkami odkażającymi.

Blansher odnalazł ją na końcu długiego korytarza, wpatrującą się w kolejki uchodźców na skąpanej w deszczu ulicy, stojących cierpliwie przed biurem wydającym przepustki podróżne.

Wyglądała na zmęczoną i chorą, lewą rękę nosiła na ciężkim temblaku. Blansher zauważył, że pod długą szpitalną koszulą wciąż nosiła lotnicze spodnie.

- Hej, Mil – powiedziała na powitanie.
- Bree. Jak tam ręka ?
- W porządku. Jeszcze dzień albo dwa na szynach, tak mówią lekarze.
- Tęsknimy za tobą. Skrzydło przesyła najlepsze życzenia.
- Trzymasz rygor, mam nadzieję ?
- Nikt nie waży się ze mną zadrzeć.

Błysnęła w uśmiechu zębami.

- Chcesz usiąść ? – spytała podnosząc się z wózka inwalidzkiego, na którym siedziała.
- Dziękuję, postoję – odparł.
- Siadaj, Mil. Wyglądasz na zmęczonego. Ja siedzę tu przez cały czas.

Wzruszył ramionami i usiadł w wysłużonym fotelu kładąc łokcie na oparciach.

- Więc... jest dostatecznie szybki ? – zapytał.

Oparła się o parapet okna i wskazała zdrową ręką świeżo wypastowaną podłogę.

- Wypróbuj go. Kiepskie przyspieszenie, ale możesz rozpędzić go do całkiem niezłej prędkości, zanim dojedziesz pod drzwi ordynatora.

Chwytając dłońmi za koła Blansher poruszał się wózkiem w przód i w tył na przemian.

- Co tam u was ? – spytała kobieta.
- Byliśmy raz w akcji, nad St. Chryze. Aggie straciła jednego, ja drugiego.
- Nikomu nie stała się krzywda ?
- Małokalibrowy pocisk przebił kokpit Zemnica i zerwał mu wisior z amuletami, dlatego chłopak jest w kiepskiej kondycji psychicznej, ale na zdrowiu uszczerbku nie doznał.
- A Cordiale ?
- Samolot naprawiony i gotowy do startu.
- A co z moim Zero-Dwa ?
- Kiepsko, Bree, ale maszyna wciąż nadaje się do remontu. Nasi mechanicy cały czas nad nią pracują, tyle że będziemy musieli wywieźć ją na statku transportowym...

Blansher urwał w połowie zdania.

- Cholera – zmełł w ustach przekleństwo – A miałem ci to przekazać w delikatny sposób...
- Wywieźć ? – powtórzyła Jagdea – A kiedy ?
- Wywozimy sprzęt o szóstej dzisiaj rano. Rozkazy marynarki. Ornoff zdecydował, że czas opuścić wybrzeże.
- Dokąd ?
- Dla nas wyznaczono bazę Lucerna na wyspach Midwinter. Tylko tyle nam dotąd przekazano, tajemnica wojskowa i te sprawy.

- Oczywiście.

- Masowa ewakuacja trwa od kilkudziesięciu godzin. Theda jest już niemal pusta, mieszkańcy już dawno zdążyli uciec. Oddajemy tę stronę morza. Z wysp wciąż będziemy mieli dostatecznie duży zasięg operacyjny, by móc przeszkadzać nieprzyjacielowi w atakowaniu morskich konwojów. Na Tron, Bree, w życiu nie widziałas jeszcze tylu masowców ewakuacyjnych !

- Lubię wyspy – odparła zamyślona Jagdea – Przypominają mi dom.

- Polecimy na naszych Boltach o dziewiątej rano dwieście sześćdziesiątego ósmego dnia, dokładnie za trzy dni, chyba że sytuacja ulegnie drastycznej zmianie. Twoją maszynę zabierze jeszcze dziś w południe jeden ze statków transportowych.

- Nawet nie próbujcie mnie tu zostawić !

- Nikt cię nie zostawi, Bree. Zaaranżuję ci odpowiedni transport, najlepiej za trzy dni rano, w dniu naszego odlotu. Marynarka ma zamiar przerzucić swój personel na wyspy za pomocą Onero i Walkirii. Dołączysz do nas w południe.

- Lepiej dla ciebie, żebym się tam znalazła – pogroziła mu palcem Jagdea – Nie chcę umierać w tej dziurze.

- Zaufaj mi – odrzekł Blansher, wciąż bawiący się szprychami wózka – Czy kiedykolwiek wcześniej cię zawiodłem ?

- Nigdy – przyznała niechętnie.

- Sama widzisz.

- A co z Espere ?

- Już jest na północy, popłynął z konwojem szpitalnym. Sprawdziłem to osobiście, w chwili obecnej znajduje się w szpitalu w Enothopolis.

Blansher wstał z fotelu i podsunął go kobiecie.

- Muszę już iść – oświadczył – Mamy zbiórkę o 11.00, mój samochód już na mnie czeka.

- Udanych łowów – odpowiedziała krótko.

- Uważaj na siebie – dodał, po czym urwał na chwilę – Proszę, proszę, chyba masz następnego gościa.

Jagdea obejrzała się przez ramię. Z głębi korytarza nadchodził dowódca skrzydła Seekan, ubrany w swój starannie wyprasowany biały uniform.

- Wysoko postawieni przyjaciele – mruknął Blansher odchodząc. Mijając Seekana zasalutował mu starannie, a pilot marynarki oddał ów salut z wyraźnym szacunkiem i respektem. Jagdea czekała na Seekana przy swoim wózku, wciąż oparta o parapet okna.

- Komandor.

- Pani komandor. Jak się pani czuje ?

- Żyję. Nie spodziewałam się pańskiej wizyty.

Seekan wzruszył nieznacznie ramionami.

- Proszę usiąść – zaproponowała Jagdea wskazując ruchem głowy swój wózek.

- Dziękuję, postoję. Przyszedłem tutaj z dwóch powodów.

- Doprawdy ?

- Pierwszy z nich to kwestia grzecznościowa, sprawa istotna dla dowódców naszych skrzydeł. Ostatniej nocy zginął w akcji major Ludo Ramia z Apostołów.

- Przykro mi to słyszeć.

Seekan milczał przez moment, potem chrząknął znacząco.

- Zamierzam zaoferować jego miejsce porucznik Larice Asche. Jej dokonania, zwłaszcza z ostatnich dni, budzą ogromne wrażenie. Dziesięć zestrzałów w jednej misji.

- To prawda, dziesięć.

- Chciałem prosić o pani pozwolenie.

- Moje pozwolenie ?

- Na złożenie jej mojej propozycji.

Jagdea usiadła bezwiednie na wózku. Czuła się oszołomiona, rozkojarzona. Miała przemożne wrażenie obdarcia z czegoś niezwykle dla niej cennego.

- Larice to jedna z moich... – urwała na chwilę, poprawiła się szybko – Larice Asche to mój najlepszy pilot. Będę za nią tęskniła, ale znam zasady tej gry. Kiedy Apostołowie proszą, nie wolno odmówić. Jestem szczerze zaskoczona faktem, że zadał sobie pan trudu wizyty tutaj, aby spytać mnie o zdanie. Larice będzie szczęśliwa. Oczywiście, że zaakceptuje tę propozycję. Pierwszy phantyński lotnik, który dołączy do grona Apostołów.

- Pierwsza kobieta... – zaczął Seekan.

- Na Phantine nie przywiązujemy większej wagi do płci, sir.

- Marynarka jest w tych kwestiach raczej staroświecka, proszę pani – uśmiechnął się Seekan

- A zatem, czy otrzymam pani pozwolenie ?

Jagdea pokręciła głową i zachichotała wbrew samej sobie.

- Zabrzmiało to tak, jakby chciał mnie pan poprosić o jej rękę.

- To właśnie robię, w pewnym sensie. Dopóki śmierć nas nie rozdzieli.

Jagdea podniosła głowę, spojrzała mężczyźnie w oczy.

- Uczyn z niej bohaterkę. Prawdziwą legendę. Ona tego właśnie pragnie, Seekan. To wszystko, czego pragnie.

- Zrobię to – obiecał – I dziękuję.

- A drugi powód ?

- Proszę ?

- Powiedział pan, że przyszedł tutaj z dwóch powodów. Zostałam obrabowana z mojego najlepszego pilota. Aż strach zapytać, co jeszcze mnie czeka.

- Chciałem dowiedzieć się o stan pani zdrowia, komandor. Zmartwiły mnie wieści o pani ranie.

- Myślałam, że wy Apostołowie nie zaprzątacie sobie głów takimi sprawami jak rany czy śmierć.

- My po prostu nie troszczymy się o siebie wzajemnie – odparł Seekan spoglądając gdzieś w przestrzeń za oknem – Muszę już iść. Niech panią Imperator strzeże, komandor Jagdea.

Podziękowała mu kiwnięciem głowy.

Dopiero, kiedy zniknął już na przeciwnym krańcu korytarza, Phantyjka zauważyła położony na parapecie okna kwiat o pięknych szkarłatnych płatkach.

Langersville, 15.16

Ludziom patrzącym z wzgórz nad brzegiem morza zdawało się, że całe fragmenty wybrzeża odrywają się od lądu i dryfują na otwarte wody.

Konwój LeGuina pokonał bezdroża i wtaczał się wolno do portu, tworząc zaledwie niewielką cześć wojskowego kontyngentu oczekującego na morską ewakuację.

Nad głowami gwardzistów rozciągały się bezchmurne przestworza, od morza ciągnęła rzeńska bryza. Walkirie wypaliły swymi silnikami całą trawę na pobliskich łąkach, od wzgórz aż po plażę. Na znajdującym się niedaleko od portu lotnisku Viltry dostrzegł rozgrzewające silniki Onero.

Od nabrzeża odbijały nieustannie poduszkowce, pontony transportowe i barki. Z kominów barek buchały w niebo gęste słupy dymu, ich otwarte przedziały ładunkowe pełne były wprowadzonych na pokład wojskowych pojazdów. Kiedy załadowane barki wychodziły na morze, ich miejsce zajmowały natychmiast nowe, nadpływające z północy.

Enothiańskie poduszkowce miały olbrzymie rozmiary. Każdy z nich tworzył kanciąstą skrzynię o powierzchni pięciu hektarów, unoszącą się w powietrzu za pomocą monstrialnych wektorowych silników zamontowanych na krawędziach jednostki. Po opuszczonych metalowych rampach wtaczały się na ich pokłady całe oddziały pancerne, ryk dysz

silnikowych niósł się nad całą okolicą. Jeden poduszkowiec tego typu mógł wchłonąć w siebie niemal pełny regiment Gwardii.

Ryczące niczyje morskie potwory pojazdy mknęły nad mroczną tonią zmierzając ku portom na północy.

- Oto nasza przepustka do domu – powiedział LeGuin.

Viltry skinął głową.

- Theda. Jak myślisz, daleko stąd do Thedy ? – zapytał.

LeGuin spojrział na swoją mapę.

- Jakies trzysta kilometrów na wschód. Czemu pytasz ?

- Przyszedł czas, by się pożegnać.

- Będziemy za tobą tęsknić, Oskarze – zmarszczył czoło LeGuin.

- Ja za wami też. To była niezapomniana podróż.

Obaj mężczyźni uścisnęli sobie dłonie. Kiedy kapitan zeskokczył z wieży czołgu, Matredes wyściskał go po bratersku, a Emdeen poklepał po ramieniu.

- Szczęśliwej podróży ! – krzyknął Viltry, kiedy *Ręka Śmierci* ruszyła ze szczękiem gąsienic w dalszą drogę.

- Tobie też – odkrzyknął LeGuin.

- Imperator strzeże !

LeGuin powiedział coś, co utonęło w ryku czołgowego silnika.

Viltry stał na zboczu wzgórza, dopóki kolumna nie przesunęła się tak daleko, że nie widział już *Ręki Śmierci*.

A potem zbiegł po trawiastej ziemi w kierunku nadmorskiej autostrady, próbując zatrzymać machaniem rąk jedną z ciężarówek Munitorium pędzących na wschód.

Baza lotnicza Theda Południe, 16.10

Kiedy tylko koła Thunderbolta dotknęły nawierzchni lądowiska, Marquall wyłączył silniki i pozwolił, by siła grawitacji przycisnęła do ziemi czternaście ton wagi *Dwugłowego Orła*. Pilot siedział przez dłuższą chwilę w bezruchu, w zablokowanym wciąż kokpicie, z głową odchyloną na oparciu fotela i zamkniętymi oczami. Zaliczył właśnie trzecią misję tego dnia, atak na nieprzyjacielską formację bombową. Doszło do krótkiej, ale zacieklej walki. Marquall omal nie został dwukrotnie strącony, za każdym razem przez heretycki myśliwiec, którego nawet nie zdołał dostrzec.

Racklae zapukał w boczną szybę kabiny i Marquall otworzył w końcu oczy. Szef zespołu technicznego poruszył palcami pokazując gest otwierania. Pilot pokiwał głową, zdjął z twarzy maskę tlenową i hełm.

Kokpit uniósł się w górę i do środka kabiny wpadło rześkie świeże powietrze. A wraz z nim ryk silników i gwar ludzkich głosów.

- Wszystko w porządku, sir ? – zapytał Racklae.

- W jak najlepszym – odpowiedział Marquall odpinając wtyczki komunikatora – Przygotujcie maszynę jak najszybciej do ponownego startu. Być może będziemy musieli poderwać się jeszcze raz przed wieczorem.

- Tak jest, sir.

- Myślę, że prawy laser wymaga przeczyszczenia pryzmatu lub sprawdzenia okablowania. Strzelał w trochę dziwny sposób.

- Zajmiemy się tym, sir.

- Jakies szanse na rakiety ?

Racklae potrząsnął przecząco głową.

- Między nami mówiąc, sir, zapasy amunicji wyglądają kiepsko. Pocisków do działek mamy jeszcze dosyć, ale wszystkie rakiety zostały przeznaczone dla Marauderów.

Marquall wyminął mechaników, opuścił otoczone wzmocnionymi płytami lądowisko. Stojący przed drugim punktem postojowym Van Tull zdejmował swoje rękawice, rozpinął kombinezon.

- Ładny zestrzał – odezwał się Marquall – Widziałem jak zdjęłeś tego Tormentora.
- Dzięki – odparł Van Tull – Przez chwilę myślałem, że sukinsyn odskoczy mi za bardzo w bok. A tobie się poszczęściło ?

Marquall potrząsnął przecząco głową.

- Myślałem, że byłeś na ogonie jakiegoś Razora ?
- Tak, ale mnie zgubił.
- Następnym razem pójdzie lepiej.

Zemmic podbiegł do nich truchtem, na jego szyi dźwięczały zawieszane na nowym łańcuszki amulety.

- A to kto ? – zapytał Phantyńczyk wskazując dłonią wzdłuż linii lądowisk.

Wielka sztabowa limuzyna zatrzymała się wolno, zza kierownicy wyskoczył kadet marynarki w nieskazitelnym uniformie, obiegł samochód i otworzył tylne drzwi unosząc jednocześnie dłoń do salutu. Ktoś wysiadł z wozu.

- Czy to nie jest aby dowódca Apostołów ? – zdumiał się Van Tull.
- Seekan – potwierdził Marquall.
- Co on tutaj szuka, do diabła ? – wykrztusił Zemmic.

Wszyscy trzej nie spuszczaali wzroku ze zmierzającego w stronę lądowiska numer trzy Seekana. Asche właśnie wysiadła ze swojego Bolta. Zasalutowała Apostołowi, mężczyzna zrewanżował jej się tym samym. Zaczął coś mówić, potem wręczył jej jakiś przedmiot wyglądający na elektroniczny notes. Nawet z odległości kilkunastu metrów piloci widzieli wyraźnie zdumienie i zmieszanie malujące się na twarzy Asche.

- Co się dzieje ? – powtórzył Zemmic.

Seekan i Asche wymienili ponownie saluty, po czym Apostoł uściśnął dłoń dziewczyny i wrócił do swojego samochodu. Kiedy odjechał, Phantyjka pogrążyła się w lekturze zawartości nośnika danych.

Marquall, Zemmic i Van Tull podbiegli do niej czym prędzej, pojawił się też Blansher, z drugiej strony nadchodzili szybkimi krokami Ranfre, Cordiale i Del Ruth.

- Larice ? – powiedział Zemmic.

Podniosła głowę, a w jej oczach pojawił się dziwny błysk.

- Hej, Zem.
- Co się dzieje ? Czego chciał Seekan ?
- Mnie – odpowiedziała.
- Proszę ?

Przesunęła po wszystkich wzrokiem.

- Pewnie w to nie uwierzycie... – zaczęła.

a

DZIEŃ 266

Nabrzeże Thedy, 06.02

Pierwszy raz Viltry spojrział na Thedę jeszcze w nocy, z kabiny ciężarówki Munitorium. Była to pierwsza okazja do ogarnięcia wzrokiem miasta od pamiętnego dnia tydzień temu, kiedy poderwał *G jak Greta* do jej ostatniego lotu. Miasto bardzo się zmieniło od tego czasu.

W mroku nocy, z odległości kilkunastu kilometrów, Theda nikła pod płaszczem obowiązkowego zaciemnienia, ale jej położenie zdradzała nieubłagane rudawa łuna szalejących wciąż w mieście pożarów.

- Święty Tronie... – wyszeptał lotnik.

- Mówiłem ci, że źle to wygląda – odpowiedział kierowca ciężarówki.

Viltry zdołał dotrzeć do Thedy przesiadając się w trakcie nocnych godzin z pojazdu do pojazdu, cały czas szukając samochodu zmierzającego w tym samym kierunku, co on sam. Wzdłuż linii wybrzeża panowała ożywiona, dzika wręcz aktywność służb ewakuacyjnych. Morskie statki znajdujące się pod jurysdykcją Munitorium opuszczały Thedę i sąsiednie porty wyładowane po brzegi ludźmi i wojskowym ekwipunkiem, kolejne przybywały w ich miejsce z północy. Nocne przestworza płonęły ogniem dysz silnikowych, pocisków smugowych i eksplozji. W Madencie próbujący złapać okazję Viltry znalazł się w pewnym momencie jakieś dwieście metrów od miejsca, w którym upadła seria nieprzyjacielskich bomb. Wybuch zmiotł z powierzchni ziemi świątynię, dziewięć budynków mieszkalnych i warsztat mechaniczny.

Gdziekolwiek by nie zwrócił głowy, słyszał wszechobecny dźwięk lotniczych silników Nieprzyjaciela.

Dziesięciokołowy samochód towarowy dotarł do rogatek Thedy wraz z pierwszymi promieniami słońca, zatrzymując się kilkakrotnie na punktach kontrolnych Munitorium i Komisariatu. Ulice miasta były całkowicie opustoszałe, poruszali się po nich wyłącznie żołnierze. Błada tarcza słońca odsłoniła brudny, zadymiony pejzaż. Samochód mijał rzędy zbombardowanych budynków, w wielu miejscach obleganych przez walczących z pożarami strażaków. Niektóre ulice były zamknięte dla ruchu. Nad dachami domów przelatowały aerodynamy z emblematami służb medycznych.

Tuż po piątej trzydzieści ciężarówka znalazła się na starówce. Jak każda inna część Thedy, również Stare Miasto bardzo ucierpiało. Viltry czuł narastający z każdą chwilą skurcz żołądka. Miał złe przecucia.

- Muszę się zgłosić do punktu zbiorczego na Danzerplatz – odezwał się kierowca – Pasuje ci to ?

- Nie. Lepiej wysiądę tutaj.

Kierowca zatrzymał ciężarówkę na krańcu ulicy.

- Dzięki – powiedział Viltry wysiadając z kabiny.

- Nie ma sprawy. Obyś jak najszybciej odnalazł swoich. Zestrzel paru skurwysynów dla mnie.

- Spróbuję.

Kierowca skinął mu głową, po czym odjechał.

Viltry ruszył wolnym krokiem przed siebie. W rękawie jego postrzępionej lotniczej kurtki wciąż tkwił wszyty tam wcześniej miniaturowy kompas. Phantyńczyk obserwował jego igłę kierując się w stronę północy. Dotarcie do nabrzeża zajęło mu jakieś trzydzieści minut.

Powietrze na nabrzeżu było przyjemniejsze, czystsze pomimo całunów dymu unoszących się ponad miastem. Słyszał wciąż jeszcze dziwny dla jego uszu, ale już jakby znajomy dźwięk bijących o brzeg morskich fal, czuł zapach oceanu. Ironia losu sprawiła, że bodźce te, relatywnie obce dla cudzoziemca pochodzącego z odmiennej planety, teraz nieodparcie kojarzyły mu się z domem.

Przespacerował się wzdłuż nabrzeża próbując odgadnąć, gdzie się właściwie znajduje. Był święcie przekonany, że powinien już dostrzec mola i dopiero po chwili całkiem przypadkiem odkrył, że stoi przed wejściem na jedno z nich. Zauważył tablicę przyklejoną do uchylonej żelaznej furtki – ktoś wypisał na niej kredą „*Restauracja. Miła obsługa, stoliki z widokiem na morze*”.

Za furtką nie było niczego prócz sterty poczerńiałego metalu i popękanego drewna. Mola zostały zniszczone, wszystkie trzy.

Myślę, że trzeba czegoś więcej, by zniszczyć ten kompleks, powiedziała kiedyś Beqa Mayer.

Oskar Viltry poczuł się nieludzko zmęczony i słaby. Oparłszy się o żelazne ogrodzenie zamknął oczy.

Starówka Thedy, 06.30

Plan ułożono dość szybko. Miał to być wspólny wypad do baru „Hydra” na Voldney, wspólny dla wszystkich pilotów i mechaników Umbry. Phantyńczyki chcieli uczcić w ten sposób awans Asche. Blansher wysłał wiadomość do właściciela lokalu zamawiając skrzynki z joiliqą i rezerwując cały bar na swą wyłączność.

Lecz później, o godzinie 20.00, zostali wyznaczeni do startu alarmowego i polecili w pełną ognistych rozblysków noc. Po lądowaniu, odprawie, kąpieli i powrocie do kwater odkryli, że Larice Asche znikła wraz ze swymi rzeczami osobistymi. Pozostawiła tylko małą karteczkę.

Udanych łowów, Umbra. Pewnie się jeszcze spotkamy w przestworzach. Larice.

W kwaterach lotników zapanowała żalobna atmosfera. Nastroje wśród Phantyńczyków były w jakiś niezrozumiały sposób jeszcze gorsze, niż wtedy, gdy tracili w akcji któregoś ze swoich towarzyszy broni.

- Tak czy owak wychodzimy – zdecydował w końcu Blansher.

Dotarli do „Hydry” o czwartej nad ranem, dokładnie w chwili, kiedy personel lokalu przymierzał się do jego zamknięcia. Pracownicy robili wszystko, co w ich mocy, by zabawić swych gości, ale były to wysiłki z góry skazane na porażkę. Blansher wznosił toast na cześć Asche, inni dodali kilka dobrych słów od siebie, ale wszyscy mieli wrażenie, że powinna je raczej była wygłosić nieobecna Jagdea. Siedzieli przy stoliku z przygnębionymi minami. Mechanicy, zawsze chętni na darmowego drinka, pili głośno i wesoło, ale trzymali się we własnym gronie. Van Tull i Cordiale wyszli po godzinie. Zemic, porzucony przez Larice Asche równie szybko i bezwzględnie jak Marquall, chłonął alkohol zbyt szybko, w rezultacie czego zaczął wymiotować. Ranfre zlitował się nad nim, znalazł wśród gości jakiegoś kierowcy i zabrał czującego się paskudnie Zemmicą z powrotem do bazy.

Przy stoliku pozostali Marquall, Del Ruth i Blansher.

- Jeśli mam być szczerzy, nie tak to sobie zaplanowałem – oświadczył Blansher. Wszyscy troje oparli byli o blat okrągłego stołu, bawili się szklankami. Po drugiej stronie baru Racklae i gromada mechaników bawili się wyśmienicie pośród chóralnych śpiewów i wybuchów śmiechu. Barmanki o zaczerwienionych oczach stały za kontuarem modląc się w myślach o to, aby klienci wynieśli się w końcu do domu.

- Możemy dołączyć do nich – zasugerowała Del Ruth pokazując ruchem głowy mechaników.

- I popsuć im zabawę ? – odparł Blansher – Piloci potrzebują mechaników, a mechanicy pilotów i istnieje między nimi więź niemal tak bliska i trwała jak miłość. Ale sfera kontaktów socjalnych ? Nie. Zupełnie odmienne światy, odmienne klasy społeczne. Pójdziemy tam i dosiądziemy się, a oni natychmiast uznają nas na wrzody na tyłku.

Agguila Del Ruth piła akurat drinka, więc parsknąwszy śmiechem zakrztusiła się tak mocno, że Marquall musiał ją poklepać po plecach.

To był ich najszczęśliwszy wybuch śmiechu od początku imprezy.

- Ocal mnie, Tronie – westchnął Blansher – Miałem nadzieję, że będzie to zupełnie inaczej wyglądać.

- Historia mojego życia – powiedział Marquall nalewając do szklanek kolejną porcję joiliqi.

- A co to niby za temat ? – odrzekła Del Ruth – Masz zamiar zacząć się nad sobą użalać ?

Marquall wzruszył ramionami.

- Wypraszam sobie, byłem prymusem w swojej klasie w Hessenville.

- Czyż nie wszyscy z nas byli prymusami ? – zapytała Del Ruth unosząc znacząco brwi i zerkając w stronę Blanshera.

- Nie, ja nie – Blansher zaprzeczył przygnębionym tonem, po czym sięgnął po swoją szklankę – Byłem... dnem. Większość wykładowców od razu spisała mnie na straty. Zawałałem każdy egzamin. Nie tylko zawałałem, ja je totalnie potrafiłem spieprzyć. Pewnego dnia mój instruktor wziął mnie pod ramię i wyprowadził na pokład obserwacyjny ponad Otchłanią. Pokazał mi palcem niebo i powiedział: Milan, to jest twój ojczysty świat. Mnóstwo przestworzy i bardzo mało ładu. Jeśli nie nauczysz się latać, chłopcze, co innego masz zamiar tutaj robić ? Chcesz pływać za Imperatora ?

Del Ruth ponownie zakrztusiła się alkoholem.

- Niech cię diabli ! – parsknęła ocierając wargi rękawem – To już drugi raz !

Blansher uśmiechnął się kącikami ust.

- Ja byłem na pierwszym miejscu w swojej klasie – zaczął Marquall – Przyśpieszony program nauczania, wdrożony niemal pod koniec wojny wyzwolenczej. Byłem naprawdę dobry. Z całych sił pragnąłem znaleźć się w strefie walk, zabijać bandytów. A teraz jestem tutaj, w strefie frontowej... i ciągle coś mi nie wychodzi. Nie potrafię trafić drzwi stodoły. Maszyny odmawiają mi posłuszeństwa. Krzywdzę ludzi.

- To jedna strona medalu – odparł Blansher.

- A jest inna ?

- Cóż, na początek wspomnijmy dwa świetne zestrzały. Co więcej, uratowałeś mi w powietrzu życie, nie wiem, jak tam z innymi. Przeżyłeś skok ze strąconego samolotu... nie każdemu się to udaje. I do tego pamiętne heroiczne użycie raketowego dopalacza w celu wyrwania się spod celownika wroga. Już to ostatnie, Vander, już tylko to ostatnie nadaje się do odnotowania w podręcznikach. Nie znam nikogo innego, kto czegoś takiego spróbował, a co dopiero kogoś, kto to przeżył. Seekan powinien był zgłosić się po ciebie, nie Larice.

Marquall zmusił się do uśmiechu.

- Dzięki – powiedział.

- Mówię serio.

- Jest pan świetny w tym, co robi, sir. Tego właśnie oczekiwałyby po panu Jagdea. Mówienia właściwych rzeczy we właściwym momencie i podnoszenia morale.

- Może – wydał usta Blansher – Prywatnie uważam, że zawsze jest jakaś dobra strona naszego życia. Po prostu musisz to zauważać. Dla przykładu, czy szklanka jest do połowy pełna czy w połowie pusta ?
- To są raczej szklaneczki – powiedziała Del Ruth wpatrując się w swoje naczynie – One są zawsze albo pełne albo puste. Jeśli jest inaczej, znaczy to, że ktoś się tu ociąga w picciu.
- Wypijmy za tę słuszną uwagę – Blansher sięgnął ponownie po butelkę.

Opuścili „Hydrę” dwadzieścia minut po szóstej rano, na horyzoncie robiło się powoli widno. Mechanicy wciąż jeszcze bawili się we własnym gronie. Blansher poszedł wraz z dwójką pilotów do najbliższego parku maszynowego Munitorium, wypożyczył trzy ciężarówki wraz z kierowcami i wrócił do baru z zamiarem załadowania na samochody ludzi z obsługi naziemnej.

Ciężarówki wracały do bazy autostradą. Droga sprawiała wrażenie całkowicie wyludnionej, na jej poboczach wały się jakieś śmieci i porzucony dobytek uchodźców, gdzieś tam stały zepsute pojazdy. Marquall podróżował na pace jednej z ciężarówek razem z Racklae i grupą mechaników.

- Słyszycie to ? – zapytał zniecierpliwiony.
- Racklae przechylił głowę nasłuchując ponad warkotem samochodu.
- Silniki, całe mnóstwo.
- Nalot ? – odezwał się jeden z jego podkomendnych.
- To mi nie wygląda na bombowce – zaprzeczył Racklae – Cięższe...
- O kurwa ! Patrzcie ! – krzyknął na całe gardło Marquall wskazując palcem południowe przestworza.

Wielkie kilkusiłnikowe promy zrzutowe sunęły nad dachami podmiejskich dzielnic Thedy. Pod ich brzuchami pulsowały blaskiem tysiące punkcików.

Szturmowcy, skaczący w dół na plecach rakietowych.

W otulonym wciąż jeszcze mrokiem nocy miście wyły coraz przeraźliwiej alarmowe syreny.

Rozpoczęła się nieprzyjacielska inwazja.

Baza lotnicza Theda Południe, 06.39

Rozbłyski eksplozji następowały tak szybko po sobie, że jaśniejące dopiero niebo przypominało spektakl stroboskopowych efektów. Nieustające bombardowanie tworzyło ogłuszającą kakofonię dźwięków. W jaki sposób przestworza mogły pomieścić tyle samolotów jednocześnie ?

Darrow pędził co sił w kierunku Operacji. Bomby spadały na śródmieście, kilka Tormentorów przemknęło nad pasami lotniska zacierając w stronę morza, ich otwarte luki bombowe były już puste. Baterie przeciwlotnicze rozstawione wokół bazy rzucały w powietrze strugi ognia i ołowiu, zmieniając niebo w ścianę płomieni.

Lojalistyczne myśliwce podrywały się z lądowisk, bądź to z zamiarem podjęcia walki, bądź to ucieczki. Darrow słyszał narastający z każdą sekundą ryk rozgrzewanych silników kilku Onero i ciężkich transportowych aerodyn. Po płytach lotniska miały się ludzkie sylwetki.

- Ewakuacja ?! – Enothianin krzyknął w stronę najbliższego oficera marynarki.
- Wszyscy, natychmiast ! – odkrzyknął mężczyzna nie zwalniając kroku – Wynosimy się stąd !

Darrow spojrział w lewo w tej samej chwili, kiedy w powietrze poderwali się Apostołowie. Eskadra asów czekała w pogotowiu na poranny start, toteż oderwała się od ziemi niemal

natychmiast po rozpoczęciu ataku, mknąc na północny wschód. Ich pomalowane na kremowo maszyny przypominały lodowe ostrza tnące rozpalone ogniem przestworza.

Ultradźwiękowa fala przewaliła się przez lotnisko niczym huk artyleryjskiego wystrzału. Hell Talon przemknął ponad bazą pozostawiając za sobą serię jaskrawych detonacji. Dwa Maraudery wyleciały w powietrze trafione w swoich punktach postojowych. Darrow był jednym z wielu wojskowych zwalonych z nóg falą uderzeniową wybuchów.

Powietrze pełne było kłębow dymu i płatków sadzy. W ogłuszającym terkocie strzelających w pobliżu Hydr tonął ryk eksplozji i lotniczych silników.

Darrow pozbierał się z ziemi i pobiegł przed siebie. Kolejny tkwiący na pasie samolot wyleciał z hukiem w powietrze, kadet dostrzegł dwadzieścia metrów przed sobą ludzi przestębnowanych w trakcie biegu seriami pocisków. Omiotła go fala upiornego gorąca ciągnąca się za startującym z rykiem silników Onero.

Lewe oko Darrowa zaklejone było krwią. Sam nie wiedział, kiedy właściwie drasnął go szrapnel, strużka krwi ściekała znad łuku brwiowego kadeta ograniczając mu pole widzenia, ale chłopak nawet na chwilę nie zwalniał kroku. Kolejny wielki samolot transportowy poderwał się w górę ciągnąc za sobą tuman pyłu i oparów.

Darrow ujrzał leżące na pasie trupy. Dwaj piloci marynarki i trzech mechanicy. Pociski wystrzelone z atakującego w locie koszącym myśliwca wryły w nawierzchni lądowiska głębokie bruzdy, rozdarły ciała ludzi wykrzywając je w pozach przeczących prawom anatomii.

Darrow odwrócił głowę w drugą stronę, nie potrafił zmusić się do dalszego patrzenia na zmaltretowane zwłoki.

Ludzie biegali we wszystkich kierunkach. Niektórzy zostali ranni, inni im pomagali. Dwaj piloci prowadzili między sobą człowieka z obsługi technicznej. Mechanik wydawał z siebie dziwne dźwięki. Jego twarz...

Darrow ponownie odwrócił głowę. Jeden z atakujących lotnisko samolotów ostrzelał cysternę paliwową, w niebo wystrzelił słup oślepiającego ognia.

Na położonych w północnej części bazy lądowiskach rozgrzewały swe silniki eskadry Walkirii, ich boczne włazy były szeroko otwarte. Personel bazy pędził w stronę przygotowujących się do startu maszyn.

W powietrze podrywały się kolejne samoloty, głównie Thunderbolty. Jeden z nich został trafiony rakietą w trakcie wektorowego startu, stanął w płomieniach i runął na dach pobliskiego hangaru zabijając co najmniej dwadzieścia osób z obsługi technicznej. Darrow skrzywił się boleśnie czując bijący od hangaru żar ognia.

I wtedy zobaczył Eadsa. Wspierający się na lasce kontroler zmierzał w stronę wejścia do budynku Operacji, omijany przez biegnących w drugą stronę członków personelu marynarki. Lecący na niskim pułapie Locust pociągnął seriami z działek po gmachu Operacji, wyrwał w nich rzędy dziur. Osłaniając twarz ramieniem Darrow rzucił się w stronę Eadsa.

- Sir !

- To ty, Darrow ?!

- Tak, sir. Proszę ze mną. Musimy dostać się do jakiegoś promu.

- Muszę do Operacji. Ten atak wymaga odpowiedniego...

- To nie ma sensu, sir ! – Darrow próbował przekrzyczeć panującą na lotnisku kakofonię dźwięków – Wszystko stracone ! Wszystko ! Wróg już tu jest, w mieście ! Musimy uciekać !

Seria bomb wybuchła dwadzieścia metrów dalej zabijając na miejscu ponad tuzin osób. Fala uderzeniowa eksplozji zwała Eadsa i Darrowa z nóg. Zbierając się nieporadnie z ziemi kadet zaczął podnosić Eadsa.

- Niech mi ktoś pomoże ! – krzyknął rozpaczliwie w stronę przebiegających opodal wojskowych. Większość po prostu go zignorowała, ale chwilę potem jeden zawrócił.

Był to Scalter.

- Major pomógł chłopakowi podnieść kontrolera na nogi, w trójkę ruszyli przed siebie.
Scalter wykrzyczał coś na temat Paktu Krwi.
- Co ?! – Darrow nie dosłyszał jego słów.
 - Podobno Pakt Krwi dokonał zrzutu na dzielnice podmiejskie ! Oddziały szturmowe !
 - Niech Bóg-Imperator ma nas wszystkich w swej opiece – powiedział Eads.
 - Proszę mi wybaczyć, sir – odparł Scalter – Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że on o nas zupełnie zapomniał !

Zachodnia część Thedy, 06.40

Jagdea zbudziła się słysząc ryk syren. Jej pokój był ciemny i chłodny, luźna okiennica stuknęła w parapet.

Leżała przez chwilę w bezruchu nasłuchując uważnie. Oprócz wyjących na zewnątrz alarmów słyszała też pomruk ludzkich głosów narastający z każdą chwilą w murach starego szpitala. Okiennica zastukała ponownie. Nie, to było coś więcej niż tylko stukanie drewna. Osadzone w starej ramie szyby wibrowały ledwie słyszalnie.

Wstała z łóżka i podeszła do okna.

Szyby były wprawiane w drżenie niewidocznymi wibracjami powietrza. Jagdea dostrzegła jaskrawe rozbłyski wybuchów podświetlające kłęby dymów gdzieś na peryferiach miasta. Setki słupów dymu wystrzeliwały wysoko w poranne niebo.

Na dziedzińcu szpitala poruszali się uciekający w panice pacjenci i członkowie personelu kliniki.

Jagdea przeszła szybko na drugą stronę pokoju, uklękła za swoim łóżkiem i zaczęła wyciągać z małej szafki swe ubranie. Znalazła buty, lotniczą kurtkę...

W tym samym momencie ciężka bomba spadła z wizgiem na budynek znajdujący się po drugiej stronie ulicy, w ułamku sekundy równając go z ziemią. Cała klinika zatrzęsała się w posadach, okno w pokoju Jagdei wyleciało z ram siejąc na wszystkie strony ostrymi odłamkami.

Kobieta krzyknęła mimowolnie, ale zdążyła zasłonić twarz ramionami widząc grad szklanych drzazg. Kuciała na podłodze przez dłuższą chwilę, oszołomiona i zszokowana siłą wybuchu. W nozdrzach czuła ostry zapach spalenizny i dymu; z zewnątrz dobiegały ją dźwięki ludzkich krzyków, trzasku płomieniu i huku walących się ścian.

Przeklinając unieruchomioną w temblaku rękę Jagdea wciągnęła na siebie spodnie, potem poradziła sobie nieporadnie z butami. Założywszy kurtkę przeciągnęła zdrową rękę przez rękaw, drugą pozostawiła pod ubraniem.

Wyszła śpiesznie na korytarz. Dym wdzierał się do wnętrza kliniki przez wybite wstrząsami okna. Minęła kilku pacjentów i członków szpitalnego personelu pokaleczonym poważnie szkłem; większość z nich wzywała rozpaczliwie pomocy.

Nie mogła im w żaden sposób pomóc. Wszyscy zdolni do pracy pielęgniarze zdążyli już uciec z budynku.

Jagdea odnalazła schody, zeszła w stronę wejścia znajdującego się po przeciwnego do dziedzińca stronie budynku, stanęła w niewielkiej uliczce. Kilka osób w cywilnych ubraniach minęło ją szybko nie zwracając na kobietę żadnej uwagi. Podnosząc wzrok dojrzała sznury nieprzyjacielskich bombowców sunących w przestworzach.

Pobiegła do końca uliczki, skręciła za róg ostatniego budynku dostając się na główną ulicę. Kilka handlowych pawilonów stało w płomieniach, jezdnię pokrywała gruba warstwa śmieci i gruzu. Ludzie biegali wszędzie wokół, wielu z nich poruszało się po omacku, w ślepej panice.

Środkiem drogi przemknęła jakaś ciężarówka, potem osobowy samochód. Jagdea próbował zatrzymać oba wozy machaniem rąk, ale ich kierowcy całkowicie ją zignorowali; mówiąc szczerze, mężczyzna prowadzący mniejszy samochódomal jej nie staranował.

Phantyjka wrzasnęła w dzikiej frustracji. Straciła orientację i nie miała najmniejszego pojęcia, w którym kierunku wiodła droga do bazy.

Wiedziała jedynie, że dotarcie tam na piechotę wykraczało poza jej możliwości.

Mimo to ruszyła przed siebie.

Baza lotnicza Theda Południe, 06.59

Darrow i Scalter powlekli Eadsa w stronę północnych lądowisk. Niektóre ze stacjonujących tam Walkirii już zdążyły wystartować, zatłoczone po brzegi, bez wątpienia przeciążone. Jedna została trafiona tuż przed startem i płonęła z trzaskiem na płytach lotniska. Ogarnięci strachem ludzie przepychali się w stronę stojących jeszcze na ziemi maszyn, wskakiwali do środka po rampach lub przez boczne luki. Strzelcy pokładowi próbowali jakoś organizować załadunek, ale panika wśród ewakuowanego personelu narosła tak dalece, że co chwila wybuchały regularne bójkі o wolne miejsca.

Darrow rozejrzał się wokół czując ukłucie przerażenia.

- Na Tron – jęknął świadom drżenia w swym głosie, którego nie potrafił zwalczyć – Nie wystarczy dla nas miejsc.

- Spróbujmy tam – powiedział Scalter, wciąż jeszcze trzymający nerwy na wodzy. Na samym krańcu lądowiska, tuż przy ogrodzeniu, silniki rozgrzewały trzy stare pękate aerodyny transportowe. Pojazdy znajdowały się spory kawał drogi od trójki mężczyzn, ale wyglądało na to, że personel bazy wolał tłoczyć się przy szybszych, lepiej opancerzonych Walkiriach. Wojskowi ruszyli biegiem w tamtą stronę, moment później podążyli za nimi ludzie znajdujący się w tyle kolejki do kanonierek lub ci, którzy nie chcieli wikać się w bijatykę i przepychanki.

Poruszający się szybko Darrow usłyszał zniecka trzask wystrzałów z broni palnej. Ktoś z żołnierzy wyciągnął pistolet próbując wymusić sobie za jego pomocą drogę do Walkirii.

Widząc to załoga aerodyny zatrasnęła luki i poderwała pojazd w górę. Pozbawieni środka transportu ludzie rzucili się z dzikim krzykiem na człowieka, który użył broni.

Walkiria przeleciała nad głowami trzech enothiańskich lotników, po czym ku bezbrzeżnemu zdumieniu Darrowa opadła na nawierzchnię lądowiska.

Strzelcy pokładowi otworzyli boczny właz i zaczęli machać w stronę lotników. Załoga Walkirii nie miała serca pozostawić na pastwę wroga swych towarzyszy służby i odlecieć z Thedy z wolnymi miejscami w środku.

Darrow i Scalter wprowadzili Eadsa na rampę przedziału pasażerskiego, wbiegli prosto w ramiona członków załogi.

- Wsiadajcie ! Do środka ! Trzymajcie się za coś !

Wnętrze Walkirii było mroczne i duszne, gorące. Kiedy dwaj młodszy wojskowi sadzali Eadsa na rozkładanym ściennym krzeselku, strzelcy wciągnęli do kanonierki jeszcze kilka osób. Powietrzem wstrząsnął wizm klaksonu alarmowego, rampa zaczęła się zamykać, ryk silników przybrał na sile.

Walkiria poderwała się z ziemi z gwałtownym szarpnięciem, zawisła z nosem skierowanym ku dołowi, po czym przyśpieszyła zniecka zwiększając pułap.

Baza lotnicza Theda Południe, 07.02

Nim jeszcze ciężarówki zdążyły do końca wyhamować, trójka ostatnich pilotów Umbry wyskoczyła z samochodów biegnąc w stronę stanowisk postojowych swego skrzydła. Mechanicy popędzili w ślad za nimi.

- Potrzebuję tylko pięciu ! – wrzasnął Racklae próbując przekrzywić huk wybuchów – Reszta wiać ! Uciekajcie transportowcami !

Racklae obrócił się na pięcie i pobiegł na czele piątki mechaników, którzy zgłosili się na ochotnika w stronę samolotów Umbry. Pozostali członkowie zespołu technicznego popędzili ku zaparkowanym opodal dwóm ostatnim Onero.

Dołączyli do nich kierowcy ciężarówek.

Całe lotnisko stało w płomieniach. Ludzkie ciała i szczątki pojazdów wały się wszędzie wokół, drogę tarasowały rozbite wózki amunicyjne, palące się cysterny. Ogień trawił część stanowisk postojowych, w niektórych z nich płonęły samoloty, które nigdy nie zdołały oderwać się od ziemi. Dwa Lightningi śmignęły w powietrzu, popędziły w kierunku północy. Marquall spodziewał się zastać *Dwugłowego Orła* w kawałkach.

Lecz jego maszyna była nietknięta, podobnie jak Thunderbolt Blanshera. Za to samolot Del Ruth został omieciony seriami pocisków wystrzelonych w ataku koszącym przez jeden z heretyckich myśliwców. Silniki i kokpit Bolta przypominały nadpaloną metalową miążgę.

Wszystkie inne myśliwce Umbry zniknęły. Cordiale, Ranfre, Zemmic i Van Tull najwyraźniej już zdążyli uciec. A przynajmniej oderwać się od powierzchni ziemi.

Trzy Razory przeleciały nad głowami pilotów, skowyt ich napędów wibrował w uszach. W zachodniej części lotniska grupa Tormentorów zrzuciła właśnie bomby na kompleks remontowo-naprawczy bazy.

Racklae wysłał dwóch mechaników do maszyny Marqualla, dwóch następnych przydzielił Blansherowi.

- Ekspresowa kontrola, asysta przy starcie, a potem ucieczka do aerodyn ! – wykrzyczał polecenie.

Sam wraz z ostatnim mechanikiem oraz Del Ruth pobiegł w stronę sąsiedniego rzędu punktów postojowych. Stacjonujące tam skrzydło Thunderboltów – 76. Ogniste Smoki – już zdążyło odlecieć, ale pozostawiło za sobą dwa musztardowo-żółte myśliwce. Leżące opodal Boltów ciała należały bez wątplenia do dwóch pilotów i ludzi z ich obsługi technicznej, zabitych ogniem pokładowych działek heretyków w drodze do maszyn.

Jeden z porzuconych Thunderboltów miał zniszczone stateczniki ogonowe, ale drugi sprawiał wrażenie całkowicie sprawnego. Racklae zaczął przygotowywać się do wyrzucenia Del Ruth w powietrze.

Marquall wskoczył do własnego kokpitu, zaczął przerzucać jedną dłonią przełączniki systemów pokładowych, drugą próbując w tym samym czasie dopiąć uprząż bezpieczeństwa. Jeden z mechaników przytoczył pod samolot wózek z zabudowanym rozrusznikiem, drugi odłączał pośpiesznie przewody paliwowe. Kiedy już skończył tę robotę, wspiął się na skrzydło samolotu i rzucił w ręce Marqualla jego lotniczym hełmem.

- Odpalcie rozrusznik i wynocha stąd ! – rzucił w stronę mechaników pilot, próbując przekrzyknąć rosnący wizg silników – Wiejcie !

Mężczyźni znikli z jego pola widzenia prześlizgując się pod skrzydłami. Marquall zatrzasnął owiewkę, poprawił maskę tlenową i raz jeszcze skontrolował wskazania wszystkich pokładowych instrumentów. Ciśnienie hydrauliki, układ chłodzenia, elektryka, mieszanka tlenowa, amunicja. Zielony kolor na wszystkich ikonkach.

Mechanicy pojawili się ponownie przed nosem maszyny, pokazali pilotowi uniesione w górę kciuki. Odpowiedział im tym samym gestem, a wtedy obaj odwrócili się i odbiegli pośpiesznie.

Kiedy Marquall widział ich ostatni raz, pędzili w stronę jednej z ciężkich aerodyn.

Phantyńczyk ustawił napęd do startu wektorowego, pociągnął za stery i uniósł *Dwugłowego Orła* w powietrze.

- Dwójka, mówi Ósemka. Jestem w górze.

- Potwierdzam, Osiem. Wiej stąd.

W zaistniałej sytuacji żaden pilot nie bawiłby się w przestrzeganie regulaminowych zasad startu wektorowego. Wciąż wisząc tuż nad ziemią, Marquall poderwał nieco nos myśliwca i

uruchomił dopalacze przełączając jednocześnie turbiny w tryb lotu konwencjonalnego. Jego Thunderbolt wystrzelił ponad płonące lotnisko mknąc na wysokości dachów, silniki pracowały na coraz wyższych obrotach. Gdzieś za jego ogonem śmignęły jakieś maszyny nieprzyjaciela, ale pilot zignorował je bez wahania. Antylokalizator milczał.

Poleciał szerokim łukiem na północ i po trzydziestu sekundach mijał już spienione plaże wybrzeża. Morze zaśniło pod skrzydłami samolotu.

- Dwójka, tu Ósemka. Wszystko z tobą w porządku ?

- Potwierdzam, Ósemka. Dołączę do twojej piątej. Nie czekaj na mnie, leć do domu.

Krążący tysiąc metrów niżej Blansher odprowadził wzrokiem odlatującą na wschód maszynę Marqualla. Odczekawszy jeszcze chwilę phantyński pilot zawrócił w kierunku lotniska, z którego przed paroma minutami uciekł.

- Czwórka ? Gdzie jesteś ? Aggie, startujesz ?

Z kokpitu Bolta mężczyzna widział w całej swej okazałości ogrom zniszczeń poczynionych przez nagły atak nieprzyjaciela. Baza przesłonięta była kłębami gęstego dymu, rozświetlanymi co chwila żółtymi błyskami eksplozji. Rozciągająca się nieco dalej Theda płonęła trawiona pożarami. Przystworza ponad południowym horyzontem roily się od zmasowanych formacji heretyckich samolotów, promienie słońca tańczyły na ich kadłubach i skrzydłach.

- Aggie ? Gdzie się podziewasz ?

Wykonał kolejny przelot nad bazą. Dwa wielkie Onero wypadły spośród kłębow dymu, oderwawszy się od ziemi poleciały ociężale w kierunku wschodu. W ślad za nimi z pasa poderwał się mniejszy samolot transportowy, ale jego załoga miała poważne kłopoty. Krew zastygła Blansherowi w żyłach na widok dwóch Locustów, które runęły na transportowiec stębując go seriami pocisków i zmieniając w kulę ognia.

- Dwójka ? Dwójka, odbierasz mnie ? Mówi Czwórka.

- Słyszę cię, nadawaj.

- Startuję.

Blansher wykonał następny nawrót i wtedy ujrzał żółty kształt maszyny Del Ruth wzbijający się ponad dywan dymów. Thunderbolt startował w czysty podręcznikowy sposób. Wiedziony instynktem Blansher szarpnął za stery i rzucił maszynę w dół chcąc ustawić się na szóstej zwiększającej pułap Del Ruth.

Pilot Hell Talona, który przed momentem zrzucił bomby na zabudowania bazy, dostrzegł płomień dysz silnikowych Phantyjki. Korzystając z nagłej okazji zrównał lot z imperialnym myśliwcem i runął do ataku na ogon żółtego Bolta.

Heretyk znajdował się pięćset metrów poniżej Blanshera i dobre tyle samo dalej. Phantyńczyk przyśpieszył czując jak siła tego przyśpieszenia wbija go w fotel, ustawił ręcznie lokalizator i odbezpieczył automatyczne działka. Nie chciał brać na siebie ryzyka przypadkowego trafienia maszyny Del Ruth z broni laserowej.

Każdy Thunderbolt miał swoją własną duszę – własny temperament i zachowanie. Del Ruth wciąż jeszcze nie zdążyła się zaznajomić z kruczkami pilotażu swego nowego samolotu, w efekcie czego prowadziła go dość nieporadnie.

To uratowało jej życie.

Pierwsza seria wystrzelona z działek Hell Talona chybiła haniebnie.

Blansher znalazł się na szóstej wrogiemu samolotu, zrównał z nim pułap, odłożył poprawkę i westchnął słysząc upragniony pisk lokalizatora.

Nacisnął spust.

Wokół nosa maszyny pojawiły się kłębki dymu wieszczące wystrzały z działek.

Z kadłuba Hell Talona posypały się kawałki metalu. Blansher nie przerywał ognia, stębnował pociskami nieprzyjacielską maszynę. Z przestrzelin buchnęły płomienie, chwilę

później bombowiec rozpadł się na dwie części, niemal idealnie rozpołowiony. Szczątki samolotu spadły ku nawierzchni lądowiska.

- Droga czysta, Czwórka. Spadaj stąd – rzucił w eter Blansher.
- Nie powinienes być po mnie wracać, Mil – odpowiedziała dziewczyna – Już cię tutaj nie powinno być.

Nieprawda, pomyślał Blansher. Nie do końca. Jako tymczasowy dowódca skrzydła odpowiedzialny był za każdego podwładnego, nawet jeśli miałby opiekę nad nimi przypłacić własnym życiem.

Właśnie dlatego tak wielką dla niego tragedią był fakt, że Umbra pozostawiła za sobą jednego pilota. Nikt z nich nie mógł nic zrobić, byli bezsilni.

Zachodnia część Thedy, 07.26

Jagdea szła nieporadnie wąskim przejściem pomiędzy kamienicami, krzycząc i wymachując rękami w stronę każdego napotkanego pojazdu. Żaden kierowca nawet nie zwolnił. Na ulicach miotali się przerażeni ludzie, w powietrzu gęstniała atmosfera coraz bardziej kojarząca się Phantyjce z powszechną paniką. Co kilka sekund ziemię wstrząsał kolejny wybuch, na wschodzie błyskały eksplozje. Jedna szczególnie silna detonacja gdzieś na południu miasta połączona była z natychmiastowym zanikiem zasilania, co obwieściło nagłe umilknięcie wszystkich syren alarmowych. W nieoczekiwanej ciszy wyraźniejsze stały się odległe wybuchy i ryk lotniczych silników. Raz czy dwa do uszu Jagdei dotarł dźwięk, który kobieta omal nie zinterpretowała jako trzask wystrzałów z broni małokalibrowej, zaraz jednak odrzuciła takie niedorzeczne przypuszczenia.

Jej rana pulsowała tęnym bólem. Nie zabrała ze sobą żadnych środków znieczulających, a w trakcie wędrówki przez miasto kilka razy zmuszona była do krycia się przed nalotem bombowym i dość brutalnie obchodziła się wtedy ze swoją noszoną na temblaku ręką.

Fala zmęczenia ogarnęła ją znienacka, bez ostrzeżenia. Zmęczenie i całkowita utrata nadziei. Usiadła na krawężniku chodnika czując ściekające po policzkach łzy. Czy mogła być aż tak słaba ? Dlaczego była aż tak słaba ?

Jakaś ciężarówka minęła ją z rykiem silnika. Nawet nie podniosła głowy. Usłyszała przeraźliwy pisk opon.

Oderwała spojrzenie od swych butów. Samochód ciężarowy Munitorium, załadowany paczkami dokumentów, zatrzymał się dobre dwadzieścia metrów w dole ulicy, kierowca właśnie wyskakiwał z szoferki.

Jagdea podniosła się na nogi. Ciężarówkę prowadził znajomy jej mężczyzna o poparzonej twarzy. Nie potrafiła sobie przypomnieć jego nazwiska. Nie pamiętała, czy jej się kiedykolwiek przedstawił. Nie pamiętała, czy kiedykolwiek zawróciła sobie głowę tym, by go o nazwisko zapytać.

- Komandor Jagdea ? Czy to pani ?

Skinęła głową. Mężczyzna podbiegł do niej pośpiesznie.

- Zauważyłem kurtkę. Rozpoznałem lotnicze naszywki. Boże-Imperatorze, wszystko z panią w porządku ?

- Nie – odparła szczerze.
- Potrzebuje pani transportu ?
- Oczywiście, do jasnej cholery !

Podprowadził ją do kabiny, pomógł wsiąść do środka, a potem obiegnął wóz wokół i wskoczył do szoferki z drugiej strony.

- Co pani tutaj robi ? – zapytał wrzucając pierwszy bieg.
- Byłam w klinice. Zostałam ranna w jednym z lotów. Usłyszałam, że zaczęło się bombardowanie... i wyszłam.

- Dokąd ? Do bazy Południe ?

Otarła z potu twarz.

- Nie jestem pewna, gdzie właściwie chciałam pójść. Próbowałam... znaleźć swoich.

- Oczywiście. Byłby kolejny pilot, który nie stawił się w bazie.

Zawahała się na moment.

- Nigdy nie podziękowałam ci za pomoc tamtej nocy.

- Jaką pomoc ? Straciłem panowanie nad sobą, trochę nakrzyczałem na chłopaka. Miała pani pełne prawo się na mnie zdenerwować. Poza tym, co ja właściwie takiego zrobiłem ? Podwiozłem panią i tyle. Jestem w tym dobry ostatnimi czasy. Munitorium wydaje mi polecenia, a ja je wykonuję.

- Nawet teraz ? W środku tego wszystkiego ?

- Nawet teraz. Jestem służącą Tronu, pani komandor. Mój przełożony wysłał mnie do biura Administratum na Kozkoh po jakieś skrzynie z dokumentami, które nie mogą wpaść w ręce nieprzyjaciela.

Jagdea potrząsnęła z niedowierzaniem głową.

- Dokumenty ? Nie ludzi ? Mógłbyś wywieźć tą ciężarówką w bezpieczne miejsce kilkadziesiąt osób.

- Też o tym pomyślałem, pani komandor. Munitorium ma dziwne priorytety, zwłaszcza w dzisiejszych czasach.

Zerknęła na niego kątem oka. Był skupiony na prowadzeniu wozu, spoglądał uważnie na drogę. Pomyślała, że musiał być całkiem przystojnym mężczyzną przed wypadkiem, który tak oszpecił jego twarz.

- Nawet nie pamiętam twojego nazwiska – powiedziała.

- Kamiński – odparł – August Kamiński, dywizja transportowa Munitorium, pojazd numer 167.

- Służyłeś wcześniej w lotnictwie.

- Pilot wojskowy, siły powietrzne Enothis. Wolfcuby i inne takie. Szesnaście lat. Ale to już przeszłość.

- Posłuchaj, Kamiński – zmieniła temat Jagdea – Mógłbyś mnie zawieźć do bazy ? Wiem, że otrzymałeś inne polecenie, ale ja naprawdę muszę dołączyć do swojej jednostki.

Wzruszył bez przekonania ramionami.

- Sam nie wiem. Naprawdę nie wiem. Z tego miejsca to byłaby dość długa podróż.

- Więc muszę się załapać na jakiś konwój ewakuacyjny. Mamy coś w pobliżu ?

- Cóż, kazano mi zameldować się w centrum ewakuacyjnym na Madorze, w północnej dzielnicy. Tam właśnie mam zawieźć te przekłete papierzyska. Podobno będą tam czekać jakieś barki transportowe, może nawet aerodyny. Wystarczy to pani ?

- W porządku, brzmi dobrze. Chcę się po prostu stąd wydostać. Wydostać i wrócić do gry.

Uśmiechnął się pod nosem.

- O co chodzi ? – zapytała.

- Ja marzę o tym od miesięcy.

Następne piętnaście minut nie rozmawiali. Kamiński prowadził bardzo szybko, niemal desperacko, pokonywał pełne gruzu ulice. Kilka razy Jagdea skrzywiła się mimowolnie, gdy samochód wpadał w chmurę dymu, a kierowca na chwilę całkowicie tracił widoczność. Dwukrotnie Kamiński musiał gwałtownie hamować, by nie wpaść na szczególnie spore gruzowisko.

- Theda jest już stracona – odezwał się w końcu.

- Tak. Też się tego obawiam.

- Myślę, że to już koniec wszystkiego.

- Ciągłe mamy szansę.

Zakręcił kierownicą, śmiejąc się równocześnie szaleńczo.

- Ja tak nie sędzę. Teraz już nie.

- Gdyby powiedział to członek mojej jednostki, postawiłabym go przed sądem. Zawsze istnieje jakaś nadzieja. Dopóki wciąż oddychamy, dopóty strzeże nas Imperator. Zawsze mamy szansę.

- Zatem uważam, że jestem farciarzem nie należąc do pani jednostki, pani komandor. Enothis to mój dom i oddałbym wszystko, by móc ustrzec go przed nieszczęściem. Ale kiedyś przychodzi ta chwila, kiedy trzeba pokierować się pragmatyzmem.

- Mnie też przyszło walczyć o ojczysty świat. Teraz muszę walczyć o ten, więc nie mów mi o poświęceniu. Nie mów mi o poczuciu obowiązku. I nie mów o pragmatyzmie, ponieważ dziwnie kojarzy mi się to z defetyzmem.

- A niech się pani odpieprzy...

- Kamiński ! Uważaj !

Ciężarówka przebiła się właśnie przez kolejny tuman gęstego dymu. Na odsłoniętej zniecka ulicy poruszała się grupa postaci w ciemnoczerwonych uniformach. Ludzkie sylwetki zaczęły odwracać się w stronę samochodu.

Jagdea spostrzegła żelazne maski, płaskie hełmy, laserowe karabiny.

- Pakt Krwi ! – wyrzuciła z siebie – Zawracaj ! Zawracaj !

Kamiński już kręcił desperacko kierownicą. Mężczyzna zaklął rozpaczliwie czując jak pojazd przechylił się niebezpiecznie na bok, opony piszczały głośno. Ciężarówka obróciła się burtą w stronę wrogich żołnierzy.

Silnik zgasł zniecka.

- Kamiński ! Kamiński ! – wrzasnęła Jagdea.

- Przestań się wydzierać ! – odkrzyknął kierowca przekręcając w stacyjce kluczyk. Żołnierze Paktu Krwi zaczęli strzelać, ruszając ostrożnym truchtem w stronę samochodu. Laserowe wiązki osmałiły bok pojazdu, jedna krecha energii przeszła na wylot szoferkę.

- Kamiński ! Na Tron !

- Zamkniesz się wreszcie, kobieto !? – kolejna wiązka przecięła powietrze tuż przed nosami pary imperialistów.

Silnik pojazdu ożył z donośnym warkotem. Jagdea poleciała do tyłu pod wpływem przeciążenia wywołanego gwałtownym ruchem ciężarówki, uderzyła zranioną ręką w boczne drzwiczki szoferki i krzyknęła z bólu.

Wielki samochód zawrócił w przeciwną stronę, staranował wypalony wrak jakiegoś osobowego wozu, zepchnął go na pobocze. Pakciarze znaleźli się nagle za tylnym zderzakiem ciężarówki, a imperialny samochód pędził w dół ulicy z prędkością sześćdziesięciu kilometrów na godzinę.

- Trafili panią ?

- Nie.

- Krzyknęła pani.

- Nie trafili mnie.

- Przepraszam, że na panią nakrzyczałem.

- To nie ma znaczenia.

- Wygląda na to, że odcięli nam drogę ucieczki.

Starówka Thedy, 07.43

Bombardowania obróciły w perzynę niemal wszystkie starożytne budowle wznoszące się po obu stronach kanału, nawet wiekowy Most Kazergat, lecz świątynia pozostała jakimś cudem nietknięta. Duszący się dymem, pokryty warstwą ceglanego pyłu Viltry przebiegł wzdłuż nabrzeża kanału i zatrzymał się przed wejściem do sanktuarium.

Podniósł wzrok ku górze spoglądając przez moment na płaskorzeźbę Boga-Imperatora.

- Pamiętaj mnie ? – zapytał.

Kapitan otworzył drzwi kościoła.

W środku panował zadziwiający wręcz spokój. Powietrze było czyste, chociaż dało się w nim wyczuć posmak spalenizny. Świątynia świeciła pustkami, Viltry dostrzegł jedynie rzędy ławek, alabastrowe filary, nikły zapach kamfory i kadzidła.

Mężczyzna ruszył w głąb nawy, jego buty chrzęściły na zdobiącej posadzkę mozaice; stąpał po podobiznach świętych i demonów. Kapłani Ministerium dawno już stąd uciekli.

Zatrzymał się przed ołtarzykiem wotywnym.

Płonęły tam trzy ofiarne świece. Dokładnie trzy.

- Boże-Imperatorze... – westchnął.

- Oskar ?

Oskar Viltry odwrócił się powoli.

Siedziała na krańcu ławki tuż za filarem, dlatego wcześniej jej nie spostrzegł. Dygotała z zimna opatulona cienkim płaszczem.

Postąpił krok w jej stronę, walcząc z chęcią wybuchnięcia dzikim śmiechem ulgi.

- Co ty tutaj robisz ? – wyszeptał.

- A gdzie indziej miałam pójść ? – odparła Beqa Mayer – Gdzie indziej mógłbyś mnie odszukać ?

Północna Theda, 08.12

Wydostali się z umierającego miasta i wjechali do pasa wybrzeża, gdzie obszary zabudowane były rzadsze i rozproszone w terenie. Jagdea dostrzegła w oddali skrawek morskiej toni.

- Kamiński ? Dokąd jedziemy ?

- Nie do bazy, to pewne. Ani do punktu ewakuacyjnego. Te sukinsyny kontrolują już większość miasta. Mam jednego asa w rękawie.

- Jakiego asa ?

- Takiego, który z pewnością panią rozczaruje, jeśli nie wypali.

- Kamiński ?

- Myślę, że przyszedł ten moment – odparł kierowca – kiedy chęć kierowania się pragmatyzmem oraz przekonanie, iż zawsze istnieje jakaś szansa stają się dziwnie zbieżne.

Przejechali pod drogowym mostem, ciężarówka pomknęła w dół stromego wzgórza mijając wznoszące się po obu stronach drogi fabryczki przetwórstwa rybnego. Kamiński skręcił zniemacka i wprowadził samochód na plac znajdujący się na tyłach jednego z zakładów. Wzdłuż przeciwnego krańca placu ciągnęły się pomalowane na zielono hale, tkwiące niemal na krawędzi klifu. Jagdea dostrzegła w ścianie najbliższego z magazynów wielkie przesuwne wrota, zaryglowane i zabezpieczone grubymi łańcuchami.

- Proszę wysiąść, pani komandor – polecił szofer.

Spojrzała na niego z ukosa.

- Mówię serio. Proszę wysiąść.

Jagdea opuściła szoferkę trzaskając drzwiczkami.

Kamiński wrzucił wsteczny bieg, wycofał pojazd w stronę bramy wjazdowej placu, a potem ruszył wprost na wrota. Jagdea skrzywiła się słysząc donośny huk zderzenia. Samochód cofnął ponownie, uderzył we wrota drugi raz pośród pisku dartej blachy.

- Kamiński, na Tron ! – krzyknęła Jagdea.

Trzecie uderzenie ciężkiego wozu i wrota poddały się w końcu, pękły zwisając z wykrzywionych zawiasów. Kamiński wyskoczył z uszkodzonej ciężarówki.

- Za mną – powiedział krótko.

Jagdea dołączyła do mężczyzny bez słowa, oboje weszli do hali stawiając uważnie nogi, by nie pokaleczyć się ostrymi kawałkami rozbitych wrót. Phantyjka znalazła się w ciemnej wilgotnej auli cuchnącej słoną wodą i korozją.

- Co do jest, do diabła ? – zapytała.
- Cicho bądź i chodź ze mną – odburknął kierowca.

Ruszyli w półmrok budowli, Kamiński prowadził. Jagdea zauważyła kołowe wózki z narzędziami, spawarki, jakieś beczki. W powietrzu unosił się zapach oleju silnikowego.

Kamiński otworzył inne drzwi, do wnętrza hali wpadło słabe słoneczne światło.

- Tędy – powiedział.

Przekroczyła próg i znalazła się na metalowym pomoście biegnącym wzdłuż wykutego w skale hangaru. Jego przeciwna ściana nie istniała, pomieszczenie wychodziło na otwarte morze. Tamtędy właśnie do wnętrza budowli sączył się blask dnia. Jagdea usłyszała szum bijących w klify morskich fal.

Tuż pod pomostem, ukryte w półmroku, tkwiły na parowych katapultach dwa Cyklony w barwach enothiańskiego lotnictwa.

- Obrona wybrzeża – wyjaśnił Kamiński zbiegając po metalowych schodach na posadzkę hangaru – Nie latano na nich od miesiący, ale jest szansa, że wciąż nadają się do użytku.
- Och mój Panie – westchnęła Jagdea deptając kierowcy po piętach.

Kamiński podbiegł do bliższego samolotu, wspiął się do otwartego kokpitu.

- Elektryka jest na chodzie, ale będziemy potrzebowali paliwa. I rozrusznika.

Jagdea zatrzymała się przy wiodącej do kokpitu odrzutowca drabince.

- A co potem ? Odlecimy nim ?

Spojrzał na nią badawczo.

- Oczywiście – odparł.

- Nie możemy... – zaczęła Jagdea.

- Oczywiście, że możemy. Szybko załapiesz podstawy. Pilotaż Cyklona jest dziecinnie prosty – Kamiński wyskoczył z kokpitu, przebiegł wzdłuż samolotu, zdjął pokrywę zbiornika paliwa. Złapawszy za przewód paliwowy wiszący przy najbliższej pompie podłączył do go baku, robiąc to nieco nieporadnie przez wzgląd na swą sztuczną dłoń.

- Nie umiem czegoś takiego prowadzić – wyznała z desperacją Jagdea.

Kamiński zaczął poruszać rytmicznie dźwignią startera pompy. Przewód paliwowy naprężył się pod wpływem tłoczony w niego mieszanki.

- Wiem, że nie latałaś nigdy na klasycznych odrzutowcach, ale ta maszyna jest naprawdę prosta w pilotażu, przysięgam – kierowca pobiegł w stronę parowej katapulty. Nacisnął kilka guzików na obudowie generatora prądu, uruchomił sprężarki. Pociągnawszy w dół dźwignię otwierającą przepływ pary do katapulty uruchomił masywne tłoki urządzenia.

- Nie, Kamiński – zaprzeczyła Jagdea demonstrując mu swoją wiszącą na temblaku rękę – Nawet tak prosta maszyna potrzebuje dwóch dłoni. Przepustnica i dźwignia sterowa. Pamiętaj to, lotniku ? Mimo najszczerzych chęci nie dam rady.

Kamiński odwrócił się w jej stronę przerywając oględziny sprężarki.

- Chyba faktycznie nie dasz rady – przyznał z nutą bezsilności i zawodu.

- Ale ty możesz – odparła.

- Ja ? Sklasyfikowano mnie jako niezdolnego do latania.

- Cóż, w samym środku tego główna formalna klasyfikacja raczej nie ma większego znaczenia, prawda ? Ale bądźmy pragmatycznie, dobrze ? Jestem dowódcą skrzydła. Posiadam pełnomocnictwa, dzięki którym zostałeś właśnie przywrócony do czynnej służby.

- Będę potrzebował twojej pomocy – odpowiedział z wyraźnym niezdecydowaniem.

- Czego tylko zapragniesz – obiecała.

- Rzuć okiem na paliwomierz.

Jagdea wspięła się do kokpitu. Strzałka przesunęła się zaledwie nieznacznie w górę.

- Prawie sucho – oświadczyła – Jak długo potrwa tankowanie ?
- Jakies piętnaście minut do pełna. Te pompy nie są specjalnie wydajne.

Jagdea zrobiła to, co robili zazwyczaj wszyscy lotnicy od początków istnienia powietrznych pojazdów – schyliła się nad kokpitem i postukała w zegar paliwomierza czubkami palców. Podobnie jak wszystkie inne zegary poddawane takiemu testowi, ten również nie zmienił nawet na jotę swych wskazań.

Ciśnienie w katapulcie rosło sukcesywnie. Pomagając sobie nawzajem Kamiński i Jagdea zdołali odczepić wszystkie wsporniki i kable wiążące Cyklona z rampą startową.

- Możesz wykonać test instrumentów ? – spytał Kamiński.
- Jesteś lepiej obeznany z tym typem maszyny.
- Tak, ale jest coś jeszcze, co muszę zrobić.
- Co takiego ?
- Tajne dokumenty. Myślę, że powinienem je spalić, a nie porzucić w tym miejscu.
- Ja to zrobię – zaoferowała się Jagdea – Ty rób swoje.
- Jesteś pewna ?
- Tak. Ile czasu nam pozostało ?

Kamiński zerknął na tarczę zegarka, przeniósł wzrok na zegar ciśnieniomierza katapulty.

- Dziesięć minut.
- Będę z powrotem za pięć – oświadczyła kobieta ruszając biegiem w kierunku metalowych schodów.

Kamiński sprawdził odczyty na zegarach katapulty. Strzałka ciśnieniomierza dotarła do końca podziałki. Zablokował tłoki i podłączył mechanizm odpalający katapultę do kokpitu odrzutowca. Zaraz potem pobiegł w stronę pompy. Urządzenie ledwie zipsało.

- Dawaj szybciej ! – wysyczał. Nie było czasu, by szukać zastępczej pompy.

Wspiął się do kokpitu.

Wylatał kilkaset godzin na Cyklonach. Siadając w fotelu pierwszego pilota poczuł dziwnie znajomy ucisk w żołądku. Sprawdził elektrykę, poziom glikolu, zegary instrumentów. Potem zaczął poruszać sterem, wychylając się jednocześnie z kabiny, obserwując poruszające się stateczniki i klapy. Wszystko działało bez zarzutu.

- Pośpiesz się, Jagdea – syknął ponownie i spojrzał na zegar paliwomierza. Strzałka wciąż znajdowała się irytująco nisko – Ty też się pośpiesz, pompo jedna.

Przetrząsająca górną część hangaru Jagdea odnalazła w końcu kanister z paliwem, ustawiony na jednym z wózków obsługi technicznej. Było jej ciężko, mogła go nieść wyłącznie jedną ręką, stąpając ostrożnie w mroku rozświetlanym jedynie promieniami słońca wpadającymi do wnętrza hali przez wyłamany z zawiasów właz. Trzymając kanister zgrabiętymi z wysiłku palcami prawej dłoni, wyszła na zewnątrz budowli.

Kilka porwanych z ciężarówki podmuchem wiatru kartek tańczyło na betonowym placu. Jagdea przerzuciła kanister nad tylną klapą paki, po czym wspięła się nieporadnie do ładowni pojazdu i zaczęła oblewać paliwem skrzynie z dokumentami. Kosztowało ją to sporo wysiłku, czuła się skrajnie wyczerpana i słaba, co chwila musiała odkładać kanister i łąpać oddech.

Usłyszała dziwny szczękliwy dźwięk.

Podjęła pracę lejąc obficie paliwo na skrzynie, potem zeskoczyła z paki i zagryzła usta czując ukłucie bólu w lewej ręce. Resztę paliwa z kanistra wylała do szoferki wozu.

Dźwięk się powtórzył. Nie przypominał jej już szczekania, raczej stukanie, jakby trzask stalowych tłoków.

Sprawdziła chronometr. Jej pięć minut już minęło.

I wtedy pojawił się problem z zapalniczką.

Jagdea zaczęła miotać przekleństwa na własną głowę, nie mogąc zrozumieć, dlaczego nie pomyślała o tym wcześniej.

Pobiegła z powrotem do hangaru i zaczęła przetrząsać pomieszczenie. Na posadzkę spadały otwarte skrzynki narzędziowe, szczękały otwierane szuflady szafek. Potrzebowała czegokolwiek. Nie potrafiła znaleźć niczego przydatnego.

Niczego.

Dysząc ciężko cofnęła się o krok i dostrzegła sygnałową raketnicę tkwiącą w szklanej szafce na jednej ze ścian. Złapała za klucz francuski i roztrzaskała jednym ciosem szybkę.

Raketnica była stara i nosiła ślady wielokrotnego użytku, zaczynała ją trawić rdza. Kobieta otworzyła komorę pistoletu, zaczęła szukać racy.

Znów ten dźwięk. Stukot, tym razem głośniejszy.

Znalazła na dnie szafki pocisk, włożyła go do komory i zatrzasnęła raketnicę. Kucnąwszy w progu hangaru wymierzyła w samochód Kamińskiego i...

Zawahała się.

Zrobiła kilka wielkich kroków w tył i wycelowała ponownie.

Nacisnęła spust.

Płonąca oślepiającym blaskiem flara uderzyła w burtę samochodu, odbiła się rykoszetem i poleciała wysoko w powietrze siejąc na wszystkie strony snopami iskier.

- Kurwa ! – wrzasnęła kobieta zrywając się na równe nogi i biegnąc do szafki w poszukiwaniu drugiego pocisku.

Dziwny dźwięk nie ustawał, przybierał z każdą sekundą na natężeniu.

Znalazła dwie inne race, jedną wsadziła z miejsca za pas. Biegnąc w stronę wjazdu hangaru próbowała załadować raketnicę ponownie.

Światło pierwszej flary zaczęło dogasać. Kobieta podniosła pistolet do strzału.

Po jej prawej, w bramie wjazdowej placu, pojawił się czołg kroczący.

Pojazd pomalowany był na jaskrawoczerwony kolor. Jego metalowe kończyny uderzały ze stukotem w ziemię, kiedy maszyna pędziła przed siebie poszukując źródła alarmowego sygnału.

Kończyny tłukły szaleńczo o betonową nawierzchnię placu.

W ślad za czołgiem nadbiegali żołnierze Paktu Krwi, z gotową do strzału bronią.

Jagdea pociągnęła za spust raketnicy. Flara uderzyła w oblane paliwem skrzynie i wielka ciężarówka w ułamku chwili przeistoczyła się w gorejące piekło.

Fala żaru omal nie przewróciła kobiety na plecy.

Zbliżający się szybko czołg otworzył ogień, jego ciężkie laserowe działka punktowały seriami ściany magazynów.

Jagdea pozbierała się na nogi, przeskoczyła przez wyłamane wrota. Biegnąc w półmroku hali uderzyła biodrem w porzucony amunicyjny wózek, posiniaczyła sobie nogę. Krzyknęła mimowolnie z bólu i pochyliła głowę, kiedy seria wystrzelona przez czołg podziurawiła ścianę ponad jej głową. Przez okrągłe otwory po laserowych wiązках wdarły się do środka promienie słońca. W powietrzu pełno było naelektryzowanego kurzu.

Wpadła do drugiego pomieszczenia, skoczyła na klatkę schodową i runęła co sił w nogach w dół.

- Musimy uciekać ! Teraz ! – wrzasnęła.

- Nie mamy pełnego baku ! – odkrzyknął Kamiński siedzący w otwartym kokpicie Cyklona.

- Trudno ! – doskoczyła do pompy, wyłączyła ją i zaczęła szarpać się z przewodem paliwowym.

- Uruchamiam ! – wrzasnęła ponownie.

- Nie sprawdzałem jeszcze...

- Nie ma czasu ! Odpalaj !

Kamiński wduśił przyciski pokładowego rozrusznika. Prawy silnik odrzutowca zamruczał, po czym ryknął donośnie budząc się do życia i buchając z turbiny kłębam dymu.

Lewy silnik strzelił kilka razy i umilkł.

Jagdea wspięła się do kabiny.

- Szybciej ! – ponagliła mężczyznę. Gdzieś w górze słyszała narastający trzask kanonady.
- Próbuję ! – krzyknął Kamiński, jego słowa tonęły w hałasie pracującego silnika.

Enothianin wyłączył lewy napęd, przesunął w dół lewą przepustnicę, zresetował ustawienia wtrysku paliwa.

- Nie mamy czasu – powtórzyła Jagdea zatrzaszkując owiewkę kabiny i zapinając pasy.

Kamiński nacisnął ponownie przycisk startera. Głuchy trzask i nic. Ponownie. Suchy trzask. Ponownie.

Tym razem silnik chwycił, zaryczał przeraźliwie. Oboje poczuli coraz silniejsze wibracje kadłuba maszyny.

- W porządku, jest dobrze – powiedziała Jagdea.
- Siedzący w fotelu pierwszego pilota Kamiński zastygł w bezruchu.
- Co z tobą ? – zaniepokoiła się Phantjka.
- Minęło... minęło sporo czasu od ostatniego razu. Nigdy nie sądziłem...
- Kamiński, przestań bredzić ! Nie mamy czasu na emocjonalne wywnętrzanie się !
- Racja. Przepraszam.

Jagdea przestawiła kilka dźwigni.

- Ciśnienie katapulty poprawne. Mechanizm odbezpieczony.
- Silniki działają poprawnie – powiedział mężczyzna.
- Więc... dawaj – uśmiechnęła się mimowolnie.

Wnętrze hangaru zasnute było chmurą silnikowych wyziewów.

- Jagdea ?
- Co ?
- Pomóż mi. Połóż mi dłoń na drążku.
- Oczywiście, przepraszam – przechyliła się w bok i zacisnęła sztuczną dłoń mężczyzny na drążku sterowym odrzutowca. Palcami drugiej ręki Kamiński przesuwiał po bliźniaczych przepustnicach maszyny.
- Teraz będziesz musiała odpalić katapultę – powiedział.
- Dobra. Jesteś gotowy ?
- Nie. Ale zrób to – odparł August Kamiński.

Jagdea wduśliła przycisk. Pneumatyczna katapulta huknęła ciskając Cyklonem poza krawędź hangaru, wprost nad fale morza, z siłą wręcz miażdżącą ciała. Przez ułamek chwili odrzutowiec tracił wysokość, ale Kamiński natychmiast zwiększył prędkość, poderwał podobną w kształcie do delty maszynę w górę.

Jagdea czuła moc silników, budzącą w jej sercu radość i nadzieję.

- I jak się pan czuje, proszę pana ? – zapytała.
- Kamiński szczyrzył zęby.
- Jakbym wracał do domu. Podpaliłaś mój wóz ?
- Tak jak obiecałam.

Zwiększyli pułap, skręcili na wschód.

- Ładnie – skomentowała manewr pilota Jagdea.
- Stare nawyki wracają – odparł uśmiechający się wciąż Kamiński.

Wzniesli się właśnie na tysiąc metrów, kiedy przestarzały radar Cyklona wydał z siebie ostrzegawcze piśnięcie.

- Ktoś nas namierza ! – krzyknęła Jagdea.
- Gdzie ? Nie widzę go !
- Nie wiem ! Co podaje lokalizator ?
- Ta maszyna nie ma lokalizatora !
- O żesz kurwa ! – Jagdea zaczęła kręcić głową na wszystkie strony, tak szybko jak tylko mogła, wyglądając z przeszklonej kabiny Cyklona na zewnątrz.

- Locust ! Na jedenastej ! – krzyknęła.

Dostrzegła na ułamek sekundy pomalowanego na czerwono bandytę błyskającego ognikami płomieni wylotowych, zaraz potem Kamiński rzucił Cyklona w isticie samobójczy zwrot.

- Kamiński ! Kamiński !

- Będziesz ty cicho, kobieto ?! Będziesz ty cicho ?!

Powierzchnia morza rosła w oczach. Mężczyzna pociągnął za przepustnice, rzucił Cyklona w przeciwny zwrot.

- Działka – wymamrotał.

- Uhh ! – negatywne przeciążenie wdusiło ją w fotel – Co ?

- Działka, do jasnej cholery, Jagdea ! Nie mogę nacisnąć spustu ! Nie mam kciuka ! Musisz zrobić to za mnie !

Wygięła się w fotelu czując odpływającą w kierunku stóp krew, walczyła zaciekle z siłą odśrodkową wirującego wokół własnej osi Cyklona. Zdołała zacisnąć swą dłoń na martwej sztucznej ręce mężczyzny.

- Powiedz mi, kiedy !

- Czekać !

Cisnął odrzutowiec w korkociąg zwiększając jednocześnie pułap, a potem pochylił nos maszyny w dół ścigając prześlizgującego się pod nimi Locusta.

- Jak to zrobiłeś ?! – wrzasnęła Jagdea – Wymanewrowałeś wektorowy myśliwiec !

- Milcz i strzelaj ! – odkrzyknął Kamiński – Ognia ! Ognia ! Ognia !

Rzucił samolot w lot nurkowy i Jagdea usłyszała wreszcie upragniony pisk antycznego systemu celowniczego. Oplotła palcami chłodne palce mężczyzny.

Z luf Cyklona rzygnęły płomienie. Locust odbił w bok, zaczął zwiększać raptownie wysokość.

Po czym zapalił się i eksplodował.

- Na wszystko, co święte ! – krzyknęła tryumfalnie Jagdea.

- Mam go – wysyczał Kamiński.

- Tak, masz go – oświadczyła kobieta, kiedy pilot ponownie zawracał na wschód – Masz go, psiakrew.

a

POWSTRZYMAĆ ZA WSZELKĄ CENĘ

WYSPY MIDWINTER

imperialny rok 773.M41

dzień 267 – dzień 269

a

DZIEŃ 267

Baza lotnicza Lucerna, 12.30

Marquall pocił się w grubym kombinezonie, kiedy wykutymi w skale korytarzami kompleksu wstrząsnął ryk alarmowych klaksonów. Mężczyzna zerwał się z krzesła, złapał za hełm i popędził na złamanie karku w stronę hangaru. Zemmic i Ranfre deptali mu po piętach, w tyle biegł znacznie wolniejszym tempem Van Tull. Maszyna Van Tulla została trafiona podczas ucieczki z Thedy, a uszkodzony system wentylacji tłoczył w maskę tlenową pilota zdradliwy dwutlenek węgla. W chwili dolotu do Lucerny Van Tull niemalże zapadł już w śpiączkę i zdołał wylądować niemal wyłącznie dzięki lutowi szczęścia.

Marquall zatrzymał się w miejscu, przepuścił Zemmic i Ranfre.

- Wszystko w porządku ? – zapytał Van Tulla.
- W jak najlepszym – odparł starszy wiekiem Phantyńczyk. Najgorsze objawy zatrucia miał już za sobą, a przynajmniej tak twierdził, ale cierpiał teraz z powodu silnego krwawienia dziąseł i nozdrzy; co chwila musiał wycierać usta i nos chusteczką, niczym stołujący się w restauracji gość.

- Na pewno ?

- Przejdzie mi jak wystartuję – odparł krótko Van Tull.

Przebiegli po kamiennej posadzce w kierunku wyłożonej metalowymi płytami nawierzchni hangaru. Cała baza lotnicza skrywała się we wnętrzu skalistej wyspy. Hangar numer trzy – oddany do dyspozycji Umbry – był gigantyczną kanciastą pieczarą o dnie i ścianach wygładzonych za pomocą górniczych maszyn. Dwa przeciwległe krańce pieczary, północny i południowy, były otwarte.

Thunderbolty Umbry czekały ustawione w trzech rzędach na południowym krańcu hangaru. Mechanicy odpinali ostatnie przewody paliwowe, elektryczne windy zjeżdżały z warkotem na niższe poziomy bazy zabierając z hangaru puste wózki amunicyjne.

Cordiale i Del Ruth stali już przy swoich maszynach. Blansher biegł przez środek hangaru machając trzymanym w rękę wydrukiem.

- Osłona powietrzna, konwój ! – wykrzyczał – Start alarmowy, kurs sześć-dziewięć-dwa, pułap nie wyższy niż dwa tysiące !

Phantyńczycy potwierdzili odbiór instrukcji, wspięli się do kokpitów swych myśliwców. Szefowie poszczególnych zespołów technicznych upewnili się, że ich piloci zapięli pasy i zablokowali owiewki, po czym zeskoczyli ze skrzydeł dając umówione sygnały technikom obsługującym ruchowe rozruszniki. Każdy rozrusznik trzasnął donośnie i silniki Thunderboltów ożyły z rykiem, który w przeciągu kilku sekund narósł tak silnie w zamkniętej przestrzeni hangaru, że zagłuszył dokumentnie wycie syren.

Oficerowie dyżurni wyposażeni w przyciemniane gogle oraz ochraniacze na uszach ustawili się z przodu myśliwskiej formacji, unieśli w górę fosforyzujące pałeczki sygnałowe. Rozkaz startu.

Pierwsi ruszyli Blansher i Ranfre, potem Marquall, Cordiale i Del Ruth. W trzeciej linii wystartowali Zemmic i Van Tull. Cała eskadra poderwała się w powietrze niemal równocześnie, w ułamku sekundy przechodząc w tryb zawisu. Dyżurny oficer zmiany unieśli w górę swe pałeczki, po czym opuścił je gwałtownie w dół upadając jednocześnie na kolano i pochylając głowę. Maszyny przemknęły z rykiem silników ponad jego ciałem.

Samoloty wypadły na otwartą przestrzeń opuszczając hangar przez prostokątny otwór w ścianie klifu. Morze znajdowało się dwieście metrów poniżej. Siedem maszyn runęło w szeroki zakręt zwiększając pułap.

Przestworza miały zielononiebieską barwę, zachmurzenie wynosiło dwie dziesiąte. Powierzchnia wody była ciemniejsza, bardziej zielona. Wyspa Lucerna nikła w tyle niczym różowa skała wystrzeliwująca z morskiej toni. Marquall szybko stracił z oczu stanowiska obrony przeciwlotniczej zainstalowane na ścianach wyspy i jej płaskowyżu. Dwie inne eskadry Thunderboltów wzbiły się w powietrze w ślad za Umbrą, startując z innych hangarów. Pod brzuchem maszyny Marquall widział mrowie statków i barek zmierzających w stronę wyspy nieprzerwanym strumieniem od ponad dwunastu ostatnich godzin. Myśliwce pięły się cały czas w górę. Marquall skontrolował starannie proporcje paliwowej mieszanki, po czym zajął się obserwacją towarzyszących mu Thunderboltów i sygnatury sojuszniczych maszyn widniejące na ekranie lokalizatora. Z tego pułapu widział w całej swej okazałości archipelag Wysp Midwinter, tysiące różowych atoli zajmujących prawie siedem tysięcy kilometrów kwadratowych we wschodniej części Morza Zophonianskiego. To większe z tych wysp, takie jak chociażby posiadająca port i bazę lotniczą Lucerna, przyciągały konwoje ewakuacyjne uciekające z Thedy.

Poznaczona wysepkami powierzchnia morza cięta była kilwaterami statków umykających ku bezpiecznym przystaniom, lokalizator wskazywał także na obecność innych obiektów latających. Garstka imperialnych maszyn nadlatywała wciąż jeszcze od strony południowego wybrzeża, ale zdecydowana większość odczytów należała do samolotów marynarki operujących z nowych baz w obrębie archipelagu, strzegących morskich konwojów lub polujących na maszyny Nieprzyjaciela. Marquall dostrzegł liczne smugi kondensacyjne świadczące o wielkiej bitwie powietrznej jakieś dwanaście kilometrów dalej na południe i innej, jeszcze zacieklejszej, dziewiętnaście kilometrów na południowy zachód. Na wschodzie rozpoczynało się właśnie przechwytywanie wielkiej wyprawy bombowej oraz trwała bitwa myśliwska rozgrywana tuż nad wysepkami.

Południowa linia horyzontu pulsowała pasem czerni wdzierającym się na czyste przestworza, kontrastującym z soczystą barwą morza. Była to ściana dymu, dowód zniszczeń i śmierci szerzonych na całym thedańskim wybrzeżu. Nieprzyjaciel odciskał swe znamię na świeżo zdobytym terytorium.

Blansher rzucił w eter ostrzeżenie. Eskadra zbliżała się do swego celu. Konwój złożony z trzydziestu siedmiu barek transportowych i poduszkowców, uciekający z St Chryze, pruł fale archipelagu atakowany przez heretyckie lotnictwo.

- Operacje mówią o ponad sześćdziesięciu bandytach – ostrzegł Blansher.
- Kontakt wizualny z konwojem – zameldował Ranfre.
- Potwierdzam.

Pomiędzy znajdującymi się niżej chmurami można już było dostrzec masywne kształty statków transportowych. Niektóre wyrzucały w powietrze kłęby spalin z turbin, inne buchały czarnym dymem i parą.

- Kontakty na lokalizatorze – zgłosiła Del Ruth – Dwie grupy. Jedna na sześciu tysiącach, krąży, druga nisko, nad konwojem.

Marquall sprawdził wskazania własnego lokalizatora. Dziesiątki sygnatur śmigają nad konwojem niczym stado much krążących wokół otwartej rany. Pilot dostrzegł bandytów gołym okiem, malutkie punkciki lśniły metalicznie w promieniach słońca.

- Lider Umbra do wszystkich eskadr. Kontakty na wysokim pułapie mogą być drugą falą ataku na konwój albo górną osłoną myśliwską. Proponuję, aby Umbra i Szable uderzyły na wroga nad konwojem, a Kobalt pozostanie na dotychczasowym pułapie jako kontra dla potencjalnej asysty myśliwskiej nieprzyjaciela.

Propozycja Blanshera wydała się wszystkim sensowna. Eskadra Szable, część 333. Skrzydła marynarki, latała w składzie pomniejszonym o cztery maszyny, podobnie jak osłabiona stratami Umbra. Eskadra Kobalt, również część 333. Skrzydła, liczyła dwanaście myśliwców.

- Umbra, mówi Lider Kobalt. Potwierdzam rozkaz.
- Umbra Lider, Szable potwierdzają rozkaz.
- Łamać szyk i zabić – polecił Blansher.

Dwie eskadry runęły w dół łamiąc szyk na całej długości formacji, spadając niczym kamienie. Marquall wstrzymał z wrażenia oddech. Włączył tryb namierzania w lokalizatorze, odbezpieczył działka upewniając się przy tym, że będzie korzystał z laserów.

Połyskliwa powierzchnia morza była coraz bliżej.

Phantyńczyk dostrzegł czarne kadłuby statków, spienione kilwatery, wielkie fontanny tryskające w miejscach upadku bomb. Wszędzie wokół uwijali się bandyci, śmigający tuż nad wodą, atakujący burty jednostek ogniem broni raketowej i działek. Heretycy latali na Hell Talonach, pomalowanych w różne odcienie czerwieni, czerni i koral.

Thunderbolty wdarły się w środek nieprzyjacielskiej formacji. Na ułamek chwili Marquall poczuł się oszołomiony mrowiem eksplozji i śmigających wokół kształtów. Ściągnął drążek sterowy i wyrównał trajektorię lotu. Talon przemknął tuż obok kierując się na pobliską barkę, Marquall cisnął maszynę w ciasny skręt rzucając się w pościg.

Talon otworzył ogień, na powierzchni wody wytrysnął ścieg fontann znaczących serie wystrzeliwanych pocisków. Marquall nacisnął spust sekundę później. Chybił, ale pilot Talona natychmiast odbił w prawo usiłując pierzchnąć spod ostrzału lojalisty. Marquall zbyt późno powtórzył manewr swej ofiary, przeleciał nad barką muskając skrzydłami snopy dymu buchające z jej kominów. Skręcając w bok dostrzegł pnącego się błyskawicznie w górę Talona, poszedł bez namysłu w jego ślady.

Dwa Thunderbolty w niebieskich barwach 333. skrzydła przemknęły tuż obok niego ścigając dwa Talony. Zaraz potem przed maszyną Marqualla pojawił się inny, czerwony Talon i phantyński pilot musiał dokonać błyskawicznego uniku, aby się z nim nie zderzyć. Struga pocisków smugowych, jaskrawych i ruchliwych, otarła się o czubek jego prawego skrzydła. Rzucając maszynę w przeciwną stronę Phantyńczyk spostrzegł czarnego Talona przelatującego pod jego brzuchem. Marquall odwrócił samolot do góry nogami, wykręcił pętlę, zaczął pędzić za ogonem przeciwnika. Pilot Talona próbował go zgubić, ale lojalista trzymał się uparcie celu, bacznie obserwując ruchy obrotowych turbin wieszczących planowany przez heretyka manewr wektorowego odskoku na sekundę przed jego realizacją. Talon odbił w lewo, potem w prawo, ale Marquall wciąż się go trzymał. Usłyszał upragniony pisk lokalizatora, ale w tym samym momencie jakieś dwie maszyny – poruszające się zbyt szybko, by zdołał je zidentyfikować – przemknęły w przeciwną stronę zbijając impetem swego pędu maszynę Marqualla z odpowiedniego toru lotu.

Lojalista pechnął mocniej przepustnicę, bo Talon zaczynał mu uciekać. Heretycki pilot ponowił uskok w bok, ale Marquall i tym razem nie dał się zmylić. Lokalizator znowu zapiszczał, Phantyńczyk nacisnął spust.

I trafił. W powietrzu posypały się kawałki rozerwanego poszycia kadłuba, ale nieprzyjacielska maszyna nie została ugodzona śmiertelnie. Talon pomknął w górę, przyspieszył jeszcze bardziej.

- Nie, nie zwiejesz... – wysyczał Marquall.

Przestrzeń wokół jego myśliwca zapłonęła zniecka laserową poświatą.

- Umbra ! Unik ! Skurwiele są nad nami !

Ostrzeżenie padło z ust Blanshera. Marquall umknął z zagrożonej strefy szerokim łukiem z jednoczesnym lotem wznoszącym, cudem nie trafiony gradem laserowych wiązek.

- Umbra, Umbra ! Bandyci na jedenastej ! Spadają kurewsko szybko !

Marquall poderwał desperackim gestem głowę i dostrzegł ponad szkłem swego kokpitu ponad dwadzieścia Hell Razorów nurkujących wprost na związane walką imperialne maszyny. Albo eskadra Kobalt całkowicie spartaczyła swą robotę albo atakująca grupa heretyków dopiero co dołączyła do walki.

Marquall zatoczył koło krzywiąc się pod wpływem przeciążenia. Nigdzie nie widział czarnego Talona, toteż pozwolił sobie na siarczystą wiązaną przekleństw. Był tak blisko.

Obok jego maszyny przemknął spadający w dół Zemic, nos phantyńskiego samolotu zionął ogniem płomieni wylotowych. Scigany przez imperialistę Talon zaczął wirować wokół własnej osi, potem oderwała się od niego jakaś część, prawdopodobnie fragment układu chłodzącego, bo z kadłuba maszyny trysnęła gęsta ciecz. Talon runął w dół niczym kamień.

Marquall zatoczył kolejny krąg i wyszedł na dwa zielone Razory przemykające ponad jednym ze statków konwoju. Phantyńczyk uświadomił sobie z miejsca, że jeśli odbije w bok, heretycy natychmiast siądą mu na ogon, toteż rzucił maszynę do ataku frontального. Pędzące prosto na siebie samoloty rosły w oczach w zastraszającym tempie. Marquall zaczął strzelać, ujrzał prujące powietrze serie pocisków smugowych wroga. Razory śmignęły po obu jego stronach, nie miał najmniejszego pojęcia, czy zdołał któregoś z nich trafić.

Na zachodzie niebieski Thunderbolt opadał łagodnym łukiem w kierunku powierzchni morza, jeden z jego silników stał w płomieniach. W miejscu, gdzie samolot uderzył w wodę wystrzeliła w górę wielka fontanna.

Rzut okiem na prawo. Del Ruth i Ranfre uwikłali się w walkę pozycyjną z trzema Razorami. Wszystkie maszyny manewrowały zawzięcie, próbując wejść swym przeciwnikom na ogony. Ranfre puścił serię z działek, a ostrzelany przez niego nieprzyjacielski myśliwiec odskoczył w bok tak gwałtownie, że wpadł wprost na swego skrzydłowego. Obie maszyny eksplodowały w powietrzu. Del Ruth i Ranfre odskoczyli na boki uchodząc ze strefy rażenia rozrzuconych wybuchem szczątków. Ostatni bandyta uciekał w przeciwną stronę.

Marquall popędził w ślad za nim. Wszedł na siódmą heretyka, posłał w jego stronę serię, potem drugą. Bandyta załamał tor lotu, runął w dół. Phantyńczyk był przez ułamek chwili pewien, że zdołał go strącić, ale to był tylko wybieg, podstęp wprowadzony w życie za pomocą wektorowego napędu, mający umożliwić heretykowi przeskoczenie na ogon prześladowcy. Dziewięć-Dziewięć zadygotał ugodzony pociskami, Marquall skrzyknął gwałtownie w bok. Bandyta przestrzelił obok niego, pomknął dalej.

- Umbra Osiem ! Wszystko gra ?!

Marquall skontrolował wskazania pokładowych instrumentów. Nie dostrzegł żadnych ostrzegawczych lampek.

- Mówi Ósemka. Wszystko gra.

- Osiem, mówi Lider. Tracisz jakiś płyn, myślę, że to przebicie układu hydraulicznego. Wycofaj się z walki i wracaj do bazy. Potwierdź odbiór.

Marquallowi omal nie pękło serce.

- Potwierdzam, Lider. Wracam do bazy.

Dolatując do Lucerny Marquall doświadczył pierwszych kłopotów w pilotażu *Dwugłowego Orła*. Namierzył sygnał wiodący bazy i wylądował w hangarze numer trzy korzystając z północnego otworu wylotowego.

Racklae pomógł pilotowi wysiąść z kokpitu. Głowa szefa obsługi technicznej owinięta była bandażami. Statek wiozący mechanika z Thedy został zaatakowany z powietrza, Phantyńczyka poraniły szrapnele.

Mężczyźni zlustrowali wspólnie uszkodzenia Dziewięć-Dziewięć.

- Głównie powierzchniowe – ocenił Racklae – ale przestrzelony został układ hydrauliczny.

- Instrumenty niczego nie wskazały.

- Czasami nie wskazują, sir. Ale sprawdzimy przy okazji wszystkie awaryjne czujniki. A tak swoją drogą, łowy były udane ?

- Nie – odpowiedział Marquall. Chłopak nie miał serca przyznać, że omal nie zaliczył dwóch zestrzałów i znowu padł ofiarą pecha – Wciąż walczę ze swoim fatum.

Komendantura Lucerny, 16.30

- Powiem to wprost – oświadczył urzędnik Munitorium – Pan nie żyje.
- Cóż, jest mi niezmiernie przykro, że mimo wszystko upieram się przy swoim... – zaczął Viltry.
- Proszę się nie martwić – pocieszył go urzędnik – Uruchomię procedurę ponownie. Czy może pan rzucić okiem na swe dane personalne i potwierdzić ich poprawność ?
- Viltry spojrział na pokazany mu ekran elektronicznego notesu.
- Tak, to poprawne dane.

Urzędnik zaczął wstukiwać personalia do wielkiego, ozdobionego ornamentami z brązu terminala, który zdawał się przytłaczać swymi rozmiarami obecnych w pomieszczeniu mężczyzn. Zakapturzeni urzędnicy wpadali do sali lub opuszczali ją w pośpiechu, zabierając jakieś dokumenty lub układając je starannie na niewielkich regałach. Viltry wzruszył przepaszając ramionami w stronę człowieka stojącego za progiem gabinetu. Kolejka oczekujących na zewnątrz petentów ciągnęła się przez cały korytarz aż do schodów prowadzących ku wejściu do kompleksu Munitorium. Viltry spędził w tej kolejce ponad dwie godziny.

Zabrudzone okno sali wychodziło na jeden z wielkich doków morskich Lucerny. Port skąpany był w zimnym niebieskim blasku jarzeniowych lamp, ponieważ wykuto go w litej skale wyspy, głęboko w jej trzewiach, pod powierzchnią ziemi. Z zewnątrz dobiegł pilota hałas silników, szcęk narzędzi, ludzkie głosy. Wzdłuż nabrzeża cumowały barki transportowe, setki żołnierzy i dziesiątki pojazdów opuszczały ich pokłady tworząc szaleńczy zgiełk, na brzeg wyładowywano skrzynie, paki i kontenery z wojskowym ekwipunkiem.

- Otrzymałem tę samą odpowiedź – odezwał się urzędnik – Viltry, Oskar. Uznany za poległego w akcji 260. dnia roku, razem z resztą załogi. Obawiam się, że do chwili korekty tego zapisu pan po prostu nie istnieje.
- A jednak żyję – chrząknął Viltry.
- Dziwne – przyznał skryba – Przyznaję, że mamy ostatnio sporo takich błędów. Wojna nie sprzyja kompetentnej ewidencji danych. A ewakuacja z południowego wybrzeża... wystarczy powiedzieć, że całe działy archiwów zostały zniszczone albo przepadły na dobre. Pan nie lata w tej chwili w swej jednostce, prawda ?

Viltry westchnął ciężko. Przeszedł przez tę serię pytań już czwarty raz: na pokładzie statku ewakuacyjnego; w recepcji komendantury, gdzie młody urzędnik prowadził spis uchodźców; i teraz drugi raz w rozmowie z człowiekiem, który obsługiwał terminal.

- Zostałem wyłączony z czynnej służby na ponad tydzień z powodu zestrzelenia mojej maszyny nad interiozem. Zdołałem dołączyć do konwoju wojsk lądowych i dotarłem do Thedy, gdzie wszedłem na pokład barki. Było trudno cokolwiek załatwić, sytuacja zmieniała się z chwili na chwilę. Podróżowałem z kobietą.
- Żona ?
- Nie.
- Narzeczona ?
- Nie, sir...
- Ale jesteście jakoś spokrewnieni ?

Viltry wzruszył bezradnie ramionami.

- Tak, łączy nas wspólne opuszczenie miasta. Musiała stamtąd uciekać, Pakt Krwi był wszędzie. Nie mogłem jej tam zostawić, nie zamierzałem jej zostawić.
- Gdzie ta pani przebywa teraz ?
- W obozie dla uchodźców cywilnych. Ja zgłosiłem się tutaj, do komendantury wojskowej. Mam nadzieję, że znalazła bezpieczne schronienie.
- Jestem pewien, że nic jej nie grozi.

Viltry chrząknął przetykając flegmę.

- Sir, ja chcę po prostu dołączyć do swej jednostki. Nie wiem nawet, gdzie ona w tej chwili stacjonuje.
- Cóż, obawiam się, że na pewno nie tutaj na Lucernie. Nie mogę panu powiedzieć, gdzie znajduje się Dwudzieste Skrzydło Phantine. Mamy mnóstwo luk w rejestrach.
- A nie możecie... skorygować swoich danych? – zapytał Viltry.
- Przykro mi, ale to nie takie proste. Jeśli dane mówią, że pan nie żyje, nie sposób mi dyskutować z rejestrem. Jedyne, co mogę zrobić, to zarejestrować pana jako osobę oczekującą na weryfikację statusu.
- Co to dokładnie oznacza?
- Chciałem powiedzieć, że mam na głowie tysiące ludzi, których muszę tak szybko jak to tylko możliwe zakwaterować i ponownie przydzielić do służby liniowej. To z kolei oznacza, że nie mogę poświęcić kilku bezcennych godzin na próbę weryfikacji pańskiego statusu – urzędnik wypełnił odręcznie jakiś dokument, po czym ostemplował go starannie z obu stron.
- To jest tymczasowy dowód identyfikacyjny. Stanowi oficjalne potwierdzenie pańskiej obecności w bazie oraz zapewnia prawo do noclegu i wyżywienia.

Viltry obejrzał wręczony mu papier.

- Tutaj nie ma nawet mojego nazwiska. Numeru służbowego zresztą też.
- Oczywiście, że nie ma. Jeśli zarejestruję pana z imienia i nazwiska, system pana odrzuci. To jest nowy numer, świeżo przydzielony, więc system przyjmie go bez zastrzeżeń do rejestru. Proszę wrócić za kilka dni. Kiedy natłok pracy nieco zelżeje, obiecuję zająć się pańską sprawą. To wszystko, co mogę w tej chwili zrobić.
- Dziękuję bardzo – odpowiedział Viltry.

Ściskając w dłoni dokument mężczyzna wyszedł z komnaty.

- Następny! – krzyknął urzędnik wzywając kolejnego interesanta z kolejki w korytarzu.

Viltry poszedł w głąb zatłoczonego, wyciętego w skale korytarza. Przeznaczenie dopadło go w końcu po kilku nieudanych próbach uśmiercenia. Oskar Viltry nie żył i był teraz jedynie bezimiennym ludzkim ciałem zaopatrzonym w tymczasowy numer.

Baza lotnicza Lucerna, 19.17

Blansher wszedł na utwardzaną nawierzchnię hangaru. Piloci Umbry, ubrani w kombinezony, czekali zbici w grupkę przy samolotach, obserwując mechaników pracujących przy uszkodzonych maszynach Marqualla, Del Ruth i Zemmica. Podniebna potyczka okazała się nad wyraz zaciekle, trwała jeszcze dobry kwadrans po wycofaniu się Marqualla. Zemmic zaliczył jeden zestrzał, Van Tull drugi, Blansher dwa. Pomimo ustawicznych kłopotów z pilotażem swej świeżo przemalowanej maszyny Del Ruth również zdołała zestrzelić jeden nieprzyjacielski samolot. Thunderbolty zdołały odpędzić napastników od konwoju około 13.30.

Blansher uniósł w górę dłonie.

- Mogę prosić o chwilę ciszy, panie Racklae?

Racklae skinął głową, wkrętarki, pneumatyczne młotki i spawarki ucichły niemal natychmiast.

- Co się dzieje, Lider? – zapytał Zemmic – Start alarmowy?

Blansher uśmiechnął się kącikami ust.

- Oficer na pokładzie – powiedział bardzo cichym tonem.

W korytarzu wiodącym do sali odpraw pojawiła się Bree Jagdea. Kobieta weszła do hangaru zmierzając w kierunku pilotów. Miała na sobie czyste cywilne ubranie i rękę na temblaku, ale wciąż nosiła na wierzchu swoją znoszoną lotniczą kurtkę.

W hangarze zapadła pełna niedowierzania cisza, którą przerwał żywołowy ryk wydarty z gardeł pilotów i mechaników pospołu. Del Ruth pobiegła do przodu, uściśnęła Jagdeę. Van Tull potrząsnął jej dłońmi. Reszta Phantyńczyków otoczyła kobietę ciasnym kręgiem.

- Witajcie, Umbra – powiedziała.

Zgiełk zelżał nieco.

- Dobrze was znów zobaczyć – dodała z uśmiechem.

- Modliliśmy się, żeby pani załapała się na konwój ewakuacyjny – powiedziała Del Ruth.

- Cóż, złożyło się nieco inaczej – odparła Jagdea.

- Więc jak pani tutaj dotarła, na Tron? – zdziwił się Ranfre.

- Nigdy nie uwierzycie w tę opowieść. Dobrze, już dobrze. Ucieszcie się. Opowiem wam. Później. A teraz chciałabym...

Urwała, spojrzęła na Blanshera.

- Przepraszam, Umbra Lider – powiedziała – Zagalopowałam się.

Mężczyzna wyszczerzył w uśmiechu zęby.

- Dla celów formalnych. Tymczasowy dowódca skrzydła Blansher przekazuje komendę nad jednostką Bree Jagdei. Jest godzina 19.18.

- Przejmuję komendę – odparła Phantyjka – Również dla celów formalnych, udzielam pochwały za sprawowane pod moją nieobecność zastępstwo oraz przekazuję wyrazy najwyższego uznania zarówno dla pilotów jak i personel obsługi naziemnej. Możecie sobie głośno pogratulować.

Tak też wszyscy z miejsca uczynili.

- W porządku – podjęła Jagdea, gdy gwar ludzkich głosów przycichł – Chcę mieć jeden klucz gotowy do startu za godzinę. Misja patrolowa. Da się zrobić, panie Racklae?

- Tak jest, ma'am.

- Doskonale. Startujemy, dwie godziny w powietrzu, wracamy. Unieważniam wszystkie starty alarmowe, tej nocy wszyscy mają się porządnie wyspać. Żadnych karcianych turniejów, żadnego picia alkoholu. Zaczynamy ciężki okres służby. Spotkałam się z dowódcą bazy, wicemarszałkiem lotnictwa Dreyco, dokonaliśmy analizy naszej sytuacji. Powiem wam jak to wygląda i przepraszam z góry za brutalną otwartość. Jak zapewne wszyscy już wiecie, siły Nieprzyjaciela zdobyły południowe wybrzeże. Zgodnie z raportami sztabu wróg okupuje linię brzegową od Thedy po Ezrville. Pomimo naszych najlepszych wysiłków imperialne wojska zostały zepchnięte do morza.

Jagdea przesunęła spojrzeniem po twarzach słuchaczy. Wszyscy sprawiali wrażenie zaszępionych.

- Nie doceniliśmy ich przewagi liczebnej w powietrzu, nie doceniliśmy też mobilności naziemnych lotniskowców. I nie przewidzieliśmy tego, że zmasowane ataki bombowe są zaledwie wstępem do równie zmasowanego desantu Paktu Krwi z powietrza. Nieprzyjaciel nas wymanewrował.

Kobieta zdjęła z siebie lotniczą kurtkę, powiesiła ją na widłach stojącego obok elektrycznego wózka. W hangarze było duszno i ciepło. Jej ręka nie wisiała już na temblaku, ale Jagdea wciąż starała się jej nie nadwerężyć.

- Musicie zrozumieć jedno – ciągnęła – Nasze wysiłki oraz życie naszych towarzyszy służby, naszych i pilotów marynarki, nie zostały zmarnowane. Wstrzymaliśmy postępy wroga na jakiś czas, opóźniliśmy go. Powiedzmy to sobie szczerze, tak naprawdę nie liczyliśmy na nic więcej jak tylko takie opóźnienie. Kupiliśmy siłom lądowym dość czasu na ewakuację. W tej właśnie chwili wielkie konwoje płyną przez Morze Zophoniańskie kierując się w stronę wysp lub na północne wybrzeże. Raporty wywiadu mówią o dużych zgrupowaniach wojsk pancernych i piechoty przekraczających Festus drogą naziemną, zmierzających do enothiańskiej fortecy w Ingeburgu. To my umożliwiliśmy imperialnej armii odwrót do bezpiecznej strefy, gdzie teraz można dokonać przegrupowania i przygotowań do

kontrofensywy. Z Grupy Khana nadciągają posiłki, będą tu za osiem dni. Imperium znalazło się w opresji, ale Enothis wciąż jeszcze można uratować.

- Zawsze istnieje nadzieja – dodała po chwili milczenia.
- Gdzieś tam ukryte jest jakieś „ale”, prawda? – zapytał Cordiale.
- Oczywiście, pilocie – kiwnęła głową Jagdea – Kto powiedział, że życie imperialnego lotnika jest łatwe i przyjemne?
- Komisja rekrutacyjna w akademii lotniczej – odpowiedział Ranfre wywołując swoimi słowami zbiorowy wybuch śmiechu.
- Nieprzyjaciel wypchnął nas na morze – oświadczyła Jagdea – ale morze jest naszą tajną bronią. Mamy te wyspy. Skrzydła marynarki dokonują przegrupowania tu na Lucernie, w Onstadt, na Atolu Żmii, na Longstrand, Salthaven oraz w metropoliach wyspiarskich Zophos i Limbus. Eskadry dalekiego zasięgu stacjonują teraz na trzech tuzinach lotnisk na północnych wybrzeżu, w tym również w Tamudzie oraz samym Enothopolis.

Jagdea podeszła do najbliższego Thunderbolta, poklepała go po burcie niczym starożytny wojownik szyję swego rumaka.

- Chcąc dokonać ostatecznej ofensywy Nieprzyjaciel musi pokonać Morze Zophoniaskie. Dokona tego za pomocą drogi powietrznej. W przeciągu najbliższych paru dni heretyckie maszyny będą startować z lotnisk na południowym wybrzeżu z misją zatopienia morskich konwojów oraz bombardowania północnej linii brzegowej. Niepowstrzymany w porę atak lotniczy pogrzebie wszelkie nasze szanse na przetrwanie. Północne Enothis zostanie śmiertelnie zranione i nie obroni się przed nieuniknioną inwazją.

Odwróciła się od samolotu, spojrzała ponownie na Phantyńczyków.

- Wszystkie zdolne do działania skrzydła otrzymały rozkaz sygnowany przez admirała Ornoffa. Mamy powstrzymać ten atak za wszelką cenę. Powtarzam, rozkazano nam unicestwić nieprzyjacielską kontrolę powietrzną nad morzem. Jeśli zdołamy tego dokonać, zablokujemy nieprzyjaciela na pozycjach wyjściowych na południowym wybrzeżu.
- A jeśli nie zdołamy? – zapytał Zemmic.
- Wtedy zawiedziemy. Enothis przegra. Ktoś ma jeszcze jakieś głupie pytania?

Odprawa dobiegła końca, wojskowi rozeszli się do swoich obowiązków. Blansher dołączył do Jagdei.

- Trudny w realizacji rozkaz. Myślisz, że się nam uda?
- Zrobimy, ile w naszej mocy, Mil – odparła – Trzeba zdać się na łaskę Imperatora i przychyłność losu.
- Pytam serio – Blansher miał w zwyczaju pocierać w zamyśleniu bliznę przecinającą jego usta i podbródek. Robił to również teraz.
- Serio? A co mogę ci na serio odpowiedzieć? Wystarczyły im dwa tygodnie, żeby nas wyrzucić z południowego kontynentu. Twoim zdaniem, jak długo nasze rozbite, wykrwawione skrzydła zdołają odpierać ich ataki nad morzem?
- Tronie! – syknął – Ale...
- Pomyślmy nad tym serio – nie dała mu dojść do głosu Jagdea – Morze to skuteczny bufor odgradzający nas od heretyków dużo pewniej niż pustynny interior. Jesteśmy najlepszymi pilotami w Imperium... nie mam na myśli wyłącznie Phantyńczyków, mówię też o chłopakach z marynarki. Będziemy latali jak szaleni przez najbliższy tydzień dając z siebie wszystko, a może zyskamy jakieś szanse na wygraną. Kiedy zaczną bombardować północne wybrzeże, zacznie się nasz koniec, ale wpierw muszą się przez nas przebić. Ustawiczne patrole, starty alarmowe. W górę i prosto w nich. Możemy ich zatrzymać. O ile...
- O ile co, Bree?
- O ile nie rzucą na nas wszystkiego w jednej chwili.

Blansher westchnął ciężko.

- O takim scenariuszu wolę nawet nie myśleć.

Na twarzy Jagdei pojawił się zniechęcający dziwny grymas. Kobieta obejrzała się przez ramię.

- Dopiero teraz o tym pomyślałam. Na czym ja właściwie będę latać ?

- Coś ci zaraz znajdę – obiecał jej Blansher.

Zaprowadził ją w stronę jednej z elektrycznych wind, zjechali razem do magazynu znajdującego się poniżej hangaru numer trzy. Gromada mechaników uwijała się w kamiennej hali niczym w ukropie. W bladym świetle jarzeniowych lamp tryskały snopy iskier, terkotały pneumatyczne wkrętarki. Stanowiska naprawcze biegły kręgiem wokół głównej windy służącej do wynoszenia samolotów na wyższy poziom kompleksu.

Na jednym ze stanowisk tkwił Thunderbolt o numerze Zero-Dwa.

- Przyplął jednym z frachtowców – wyjaśnił Blansher – Mechanicy twierdzą, że przywrócą go do użytku.

- Wielki Tronie ! – wydusiła z siebie Jagdea – Nigdy nie sądziłam, że ujrzę go ponownie. Oczekiwałam raczej zapasowej maszyny z depozytu.

- Chwała Bogu-Imperatorowi i niestrudzonym jego sługom z Munitorium. Pomimo pośpiechu zdołali wywieźć naprawdę sporo sprzętu z Thedy.

- Jeśli o zapasowych maszynach mowa – Jagdea podniosła głos, bo jej słowa zagłuszał dźwięk narzędzi – co to za samoloty ?

Oprócz Zero-Dwa na stanowiskach naprawczych znajdowały się cztery inne myśliwce.

- Och, tych nie powinno tutaj być. Statki przywiozły sporo maszyn bez przydziału. Zapasowych lub pozostałości po jednostkach, które już nie istnieją. Tego rodzaju nadwyżki. Dostaliśmy te cztery, bo w wykazie skrzydeł Umbra figuruje jako jednostka w sile dwunastu samolotów. Próbowałem wyjaśnić skrybie Munitorium, że mamy tylko ośmiu pilotów, ale wzbudziłem w nim wyłącznie troskę o niespójność jego zapisków w księgach.

Jagdea obeszła myśliwce z wszystkich stron. Jeden Thunderbolt należał niegdyś do Raptorów, mienił się lśniąca czernią kadłuba i skrzydeł. Drugi używany był w jednostce, która preferowała jasny brąz pocięty ciemniejszymi pasami kamuflażu. Dwa pozostałe samoloty miały fabryczne srebrne barwy, pochodziły z ostatnich uzupełnień i nie zostały jeszcze przydzielone do żadnego skrzydła.

- Tak czy owak, kazałem mechanikom się nimi zająć – ciągnął Blansher – Nie chcę ich zmarnować. I jestem pewien, że Umbra to nie jedyne skrzydło, które dostało nadmiarowe maszyny. Za parę dni odeślemy je do jednostek, które wymagają uzupełnień.

- Nie – odparła stanowczym tonem Jagdea.

- Słucham ? – zdziwił się Blansher.

Kobieta spojrzała na niego przenikliwym wzrokiem.

- Mil, Imperium musi rzucić w powietrze wszystko, co tylko mamy, i to teraz, a nie za parę dni. Mamy samoloty, a brakuje nam pilotów. Doskonale. Dam sobie głowę uciąć, że statkami przypłynęło też sporo pilotów pozbawionych dostępu do maszyn. Znajdźmy ich ! Znajdźmy ich jak najszybciej !

- Cóż, uważam...

- Zwą to pragmatyzmem – przerwała mu w połowie zdania – Poinformuj skrybów, że te maszyny należą do Umbry. Odwołaj transfer.

- Jesteś pewna ?

- Tak, jestem pewna – Phantjka odwróciła się w stronę jednego z mechaników – Panie Hemmen ?!

Mężczyzna podbiegł do niej natychmiast.

- Proszę pani ?

- Przemalujcie te maszyny na barwy Umbry.

- Tak jest, proszę pani, natychmiast.

Jagdea spojrzała z powrotem na Blanshera.

- Przywróć stan personalny Umbry do pełna tak szybko jak to tylko będzie możliwe. Zamierzam znaleźć dla nas kilku ochotników.

Baza lotnicza Lucerna, 23.12

Wbudowane w sklepienie pieczary wielkie wentylatory wciąż jeszcze wciągały do swych tuneli kłęby spalin. Jagdea zdjęła z głowy hełm i opuściła kokpit Zero-Dwa. Przesunęła spojrzeniem po trzech przestrzelinach dużego kalibru ziejących w jednym z ogonowych stateczników.

- Proszę to załatać – rzuciła w stronę szefa swojego zespołu technicznego – Uzbroić i zatankować.

- Tak jest, pani komandor.

Wspięła się w górę kamiennego korytarza i weszła do sali odpraw; hełm, maskę tlenową i rękawice rzuciła na jedno z krzeseł. Siedzący w kącie pomieszczenia mężczyzna wstał pośpiesznie ze swego miejsca.

- Proszę spocząć – powiedziała kobieta – Dziękuję za przybycie. Proszę wybaczyć mi kiepski nastrój, ale nasz patrol przerodził się nieoczekiwanie w bitwę na pełną skalę. Bogu dzięki, że udało nam się strącić dwóch bez strat własnych.

Podeszła do ściennego barku, nalała sobie kieliszek amasecu.

- Powiedziałam moim ludziom, że w tą noc muszą obejść się bez alkoholu, ale chyba zrobię wyjątek dla siebie.

Mężczyzna skinął głową.

- Pani komandor, zastanawiam się, po co mnie pani tutaj wezwwała ? – powiedział August Kamiński.

Jagdea otworzyła szufladę stojącego obok barku biurka, wyciągnęła z niej elektroniczny notes i plik wydruków.

- Zajmuje się pan prowadzeniem wozów, panie Kamiński. Powiedział mi pan, że jest w tym dobry ostatnimi czasy. Prowadzenie wozów dla Munitorium.

- Tak, proszę pani.

- A ja chciałabym, żeby poprowadził pan coś teraz dla mnie. Na drugim końcu tamtego korytarza znajduje się Thunderbolt I-XXI i życzyłabym sobie, aby pod jego kokpitem wykaligrafowano pańskie nazwisko.

Kamiński spojrzał na nią ostro, w jego oczach zapłonął autentyczny gniew. Zdrowa część twarzy poczerwieniała tak silnie, że przybrała barwę niemalże identyczną z bliznami po poparzeniach.

- Czy to żart, pani komandor ? Jeśli tak, to w bardzo kiepskim guście. Nie mogę latać na Thunderboltach. Nie mogę latać na niczym.

- Mam na ten temat odmienne zdanie. Byliśmy razem w Cyklonie. To był instynkt, Kamiński, czysty instynkt. Nigdy wcześniej nie widziałam tak świetnego manewru.

- Ale...

- Oferuję ci miejsce w swoim skrzydle, Kamiński. Czy powinnam raczej powiedzieć „majorze” ? Przystudiowałam twój życiorys. Szesnaście lat w służbie, stopień dowódcy skrzydła, siedemnaście potwierdzonych zestrzałów. To szansa na twój powrót do gry. Możesz latać i walczyć o swój świat. Zamierzasz odrzucić tę propozycję ?

Kamiński uniósł w górę swą sztuczną dłoń.

- Pani komandor, nie wycofano mnie z czynnej służby z powodu braku chęci do latania, tylko niezdolności. Enothiańskie siły powietrzne nie mają dostępu do cybernetyki umożliwiającej rekonwalescencję inwalidów takich jak ja. Tą ręką nie będę w stanie obsługiwać przepustnic, drążka, spustu. Psiakrew, dobrze o tym wiesz, Jagdea.

Phantyjka skinęła twierdząco głową.

- Owszem, to problem. Służby medyczne marynarki mogłyby przygotować dla ciebie taki implant, ale nie mamy na to czasu, zwłaszcza na skomplikowaną operację chirurgiczną. Porozmawiałam z moimi mechanikami. To bardzo zdolni i pomysłowi ludzie, ci moi mechanicy. Jeden z nich zasugerował zamontowanie przycisku spustowego na dźwigni przepustnicy, ale doszliśmy do wniosku, że byłoby to jednak zbyt kłopotliwe w użyciu. Wtedy pan Racklae wpadł na inny pomysł. Zamierza sprząc pokładowe uzbrojenie z aktywatorem głosowym. To rzadko stosowane rozwiązanie, zdaję sobie z tego sprawę, będziesz też musiał trochę popracować nad umiejętnym z niego korzystaniem. Mówiąc krótko, Kamiński, będziesz obsługiwać działka za pomocą komend głosowych. Twoje kalectwo nie wpłynie w żaden sposób na wartość bojową.

Kamiński wciąż nie odrywał od niej wzroku.

- Ja... – zaczął niepewnym głosem.

- Przemyśl to, majorze. Jeśli odrzucisz moją propozycję, mam w odwodzie innych kandydatów, ale z tobą rozmawiam jako z pierwszym.

Ktoś zapukał w drzwi.

- Tak ?

Do środka zajrzał Marquall.

- Pani komandor, ma pani wolną minutę ?

- Zaraz przyjdę – odpowiedziała, po czym spojrzała ponownie na Kamińskiego – Zrób sobie drinka, jeśli masz ochotę. Za moment wrócę.

Zostawiła Kamińskiego w pokoju i wyszła na korytarz. Marquall zajrzał ponad jej ramieniem do środka, zmarszczył czoło widząc twarz gościa.

- Co on tutaj robi, pani komandor ? – zapytał podejrzliwym tonem.

- Musi sobie coś dokładnie przemyśleć, Marquall. Czego ci potrzeba ?

- Do hangaru przyszedł jakiś obcy facet. Upiera się, że go pani zna.

- Cześć, Jagdea – powiedział Viltry.

- Imperator strzeże ! Viltry ?

Podbiegła do niego i uścisnęła mocno dłonie. Mężczyzna wyglądał tragicznie, miał gęsty zarost, brudne i podarte ubranie, wyraźnie stracił na wadze.

- Dostaliśmy informację o twojej śmierci – powiedziała.

- Wciąż mi to powtarzają. Munitorium odmawia przyjęcia do wiadomości faktu, że żyję.

- Ale twoja maszyna spadła ?

- Tak.

- A załoga ?

Viltry potrząsnął przecząco głową.

- Przykro mi.

- Kiedy wróciłem do Thedy, wszyscy już uciekali. Dostałem się na jedną z barek i dotarłem tutaj.

- Gdzie jest reszta skrzydła Halo ?

Kapitan wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia. W składzie zaopatrzenia jeden z kwatermistrzów marynarki powiedział mi, że właśnie tutaj stacjonuje grupa Phantyńczyków, więc przyszedłem to sprawdzić. Nie będę udawał, że nie jestem rozczarowany brakiem Halo, ale mimo wszystko cholernie miło jest zobaczyć znajomą twarz.

- Co masz zamiar zrobić teraz ? – spytała Jagdea.

- Mówiąc szczerze, nie wiem – wyznał – Nawet jeśli odkryję miejsce postoju Halo, pewnie i tak do nich nie dotrę. Dopóki Munitorium nie zweryfikuje mojego statusu poległego, nie mam szans na zdobycie biletu transferowego. Jestem... uziemiony.

- Nie do końca – odparła Jagdea – Chcesz latać ?

- Owszem, jeśli to tylko możliwe.
- Jesteś zdolny do służby. Miałeś kiedyś zajęcia z teorii lotów na Thunderboltach, prawda ?
- Tak. Bree, co ty właściwie kombinujesz ?

a

DZIEŃ 268

Baza lotnicza Lucerna, 07.30

Nad pustynią rozciągało się bezchmurne czyste niebo. Świetna widoczność, nieznaczne prądy powietrzne. Mężczyzna pchnął przepustnicę i ciężki imperialny samolot zwiększył z miejsca prędkość.

Co za ironia losu, pomyślał Kamiński. Warunki pogodowe są dzisiaj identyczne jak wtedy...

...jak podczas jego ostatniego bojowego lotu.

- Zmiana kursu na cztery-jeden-sześć – odezwało się radio.
- Potwierdzam, Lider – odpowiedział Kamiński.
- I nie spuszczaaj oka z lokalizatora. Przycisk w górnym prawym rogu obudowy pozwala regulować skalę odczytów i ich ostrość.
- Zrozumiałem, dziękuję.

Kamiński poruszył delikatnie sterami, maszyna odpowiedziała posłusznie zmieniając nieznacznie tor lotu. Thunderbolt zachowywał się dokładnie tak jak to sobie Kamiński wcześniej wyobrażał.

- Kontakty ! Na dziesiątej ! – padł ostrzegawczy komunikat.

Kamiński pochylił głowę, dostrzegł obcą sygnaturę na ekranie lokalizatora. Brak kontaktu wizualnego... nie, tam jest ! Błysk słonecznych promieni na metalu kadłuba, wysoko w górze.

Zaczął piąć się ostro w górę. Bandyta spadał w dół, wychodząc z lotu nurkowego. Kamiński miał nadzieję, że zdoła go dopaść w punkcie ustabilizowania toru lotu, ale nieprzyjacielski pilot zdołał mu uciec spod celownika.

- Odbij w bok ! Odbij albo cię dostanie !
- Próbuję ! – odrzyknął Kamiński. Thunderbolt przewalił się przez lewe skrzydło. Bandyta siedział mu już na ogonie. Jak on to zrobił, do diabła ?!
- Skręcaj ! Skręcaj !

Antylokalizator zapiszczał przeraźliwie. Thunderbolt został namierzony.

- Święty Tronie ! – krzyknął Kamiński rzucając swój samolot w jeszcze jeden zwrot. Bandyta zaczął strzelać.

Thunderbolt eksplodował w powietrzu.

Drażek sterowy został zablokowany w pozycji wyjściowej, na szybach kokpitu zgasły wyświetlane tam obrazy. Blansher otworzył kabinę symulatora.

- Miałeś pecha – powiedział.
- Byłem głupi – parsknął Kamiński – Popelnilem podstawowy bład.
- Potrzebujesz wciąż jeszcze czasu na przyzwyczajenie się do maszyny. Myślisz zbyt wiele o sterowaniu nią, to naturalny bieg rzeczy. Kiedy przywykniesz już do sterów tak dalece, że będziesz obsługiwał je machinalnie, będziesz mógł skoncentrować się niepodzielnie na walce.

Kamiński pokiwał bez słowa głową.

- Poza tym – ciągnął Blansher – nie posiadasz doświadczenia w pilotażu maszyn o napędzie wektorowym. Ten rodzaj napędu pozwala nam na wykonywanie manewrów niedostępnych

pilotom samolotów konwencjonalnych. Ten bandyta dopadł cię, bo się wślizgnął pod twoim brzuchem na szóstą maszyny. Gdybyś zrobił to samo, pewnie byś mu uciekł na czas.

- Wiem – przyznał Kamiński – ale to trudne nie myśleć w kategoriach lotu konwencjonalnego. Odbicia w boki, przechodzenie w tryb zawisu... to wydaje się wręcz nienaturalne.

- Nie uciekajmy się do takiego dramatyzmu. Odpowiednia dawka ćwiczeń wyzwoli cię z jarzma konwencjonalnych nawyków.

Blansher zerknął na tarczę chronometru.

- Siedzisz w symulatorze od dwóch godzin. Jeśli chcesz, możemy teraz zrobić małą przerwę. Zjadłbyś śniadanie.

- Ile razy zginąłem w ciągu tych dwóch godzin? – zapytał Kamiński.

- Sześć – wyszczerzył zęby Blansher.

- Spróbujmy ponownie.

Baza lotnicza Lucerna, 07.43

- Komandorze? Komandorze Eads?

Jagdea dogoniła truchtem mężczyznę, zrównała z nim krok idąc zatłoczonym korytarzem tranzytowym w samym sercu bazy. Z zawieszonych na ścianach głośników płynęły nieprzerwanie radiowe komunikaty, członkowie wojskowego personelu śpieszyli w obu kierunkach.

- Komandor Eads? – upewniła się Phantylka.

Mężczyzna przekrzywił głowę w jej kierunku.

- Kto o mnie pyta?

Uprowadzono ją wcześniej, że Eads jest niewidomy. *Szukaj niewidomego oficera*, powiedziało jej kilka osób.

- Proszę o wybaczenie, sir. Jestem komandor Jagdea, 20. Skrzydło Phantine.

- Doprawdy? A czemu mnie pani szuka?

- Miałam nadzieję, że będziemy mogli porozmawiać, sir. Potrzebuję rady.

- W jakiej sprawie?

- Pilotów. Szukam pilotów mogących uzupełnić moje braki kadrowe.

- W takim razie powinna pani udać się niezwłocznie do rezydentury marynarki.

- Już tam byłam. Marynarka nie ma w tej chwili żadnych rezerw ludzkich. Grupka zdolnych do służby lotników, która dotarła tutaj za pośrednictwem statków już otrzymała nowe przydziały. Zwróciłam się do Munitorium z prośbą o listę pilotów enothiańskiego lotnictwa stacjonujących w Lucernie.

Eads roześmiał się rozbawiony jej słowami.

- Tego nie może pani zrobić. Marynarka nie zaciąga do służby pilotów Sił Obrony Planetarnej.

- Ponieważ marynarka ma się za elitę elit i prowadzi własny pobór. Wiem o tym, urzędnik Munitorium już mnie o tym poinformował – odparła Jagdea – Cała rzecz w tym, że phantylskie lotnictwo nie należy do struktur marynarki. My jesteśmy Imperialną Gwardią. Swoiste kuriozum, ale pozwala mi to szukać rekrutów w Siłach Obrony Planetarnej, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Eads pokręcił w zamyśleniu głową.

- Ludziom z marynarki na pewno nie przypadnie to do gustu.

- Ludzie z marynarki mogą się wypchać. Pierwszy precedens miał już miejsce, dzięki pomocy kapłana, który... mniejsza z tą historią. Mam przy sobie listę enothiańskich pilotów – Jagdea uderzyła czubkami palców w opasłą teczkę wsuniętą pod pachę – Skierowano mnie do pana po rekomendacje.

- Możemy rozmawiać w trakcie marszu ? – zapytał Eads – Muszę być o ósmej w Operacjach.
- Oczywiście.

Ruszyli w głąb korytarza. Jagdea zauważyła, że nawet najbardziej zagonieni wojskowi zatrzymywali się na widok Eadsa ustępując mu z szacunkiem z drogi.

- Zna pan tych ludzi, był pan komendantem w bazie Theda Północ.
- Przed przybyciem marynarki. Obawiam się, że nie będę mógł przeczytać tej listy. Podczas ewakuacji zgubiłem mój interpretator optyczny, bez niego nie mogę czytać.
- Mogę przeczytać tę listę na głos, sir.
- Jak już wspominałem, o ósmej zaczynam zmianę w kontroli lotów. Może później, pani komandor.
- Z całym szacunkiem, sir, nie zbywa mi na czasie. Nie ma nikogo, kogo mógłby pan od ręki polecić ?

Wejście do gmachu Operacji Lucerna znajdowało się już w zasięgu jej wzroku.

- Cóż, jest ktoś taki. Dobry pilot. Wiem, że jest tutaj, by przylecieliśmy na wyspę razem. I wiem, że spędził sporo czasu w symulatorze ćwicząc loty na waszych maszynach.
- Dobrze i to na początek.
- Nazywa się Scalter, Frans Scalter. Polecam go z całego serca. Również pracuje w Operacjach, ale na innej zmianie. Może będę miał okazję, aby z nim pogadać i skierować go do pani.
- Bardzo dziękuję, sir. Czy mogę spotkać się z panem w przyszłości i przejrzeć resztę nazwisk na liście ?
- Ależ oczywiście.

Dotarli do drzwi wejściowych Operacji. Jagdea słyszała wyraźnie zgiełk radiowych rozmów dobiegający z wnętrza sali, niżsi stopniem oficerowie biegali przez wejście ściskając w rękach jakieś wydruki. Młody mężczyzna stał obok wjazdu sprawiając wrażenie oczekującego na nadejście Eadsa. Jagdea odniosła wrażenie, że gdzieś go już kiedyś widziała.

- Dzień dobry, kontrolerze – powiedział młodzieniec spoglądając na komandora.
- I ty to nazywasz salutem ? – odpowiedział Eads – Gotowy do pracy, Darrow ?
- Tak, sir.
- Oczekuję zatem pani następnej wizyty, komandor – oświadczył Eads, po czym pozwolił się wprowadzić asystentowi do wnętrza centrum Operacji.

Baza lotnicza Lucerna, 08.30

Stali na pomoście obserwacyjnym wzniesionym ponad klifami wyspy. Poranek okazał się piękny i pogodny, chociaż silny wiatr targał włosy ludzi. Sto metrów poniżej morskie fale biły z hukiem w różowe skały Lucerny.

- Niemalże to romantyczne, to morze i wyspy – powiedziała Beqa – Moja rodzina zabrała mnie raz na wakacje na archipelag, kiedy byłam jeszcze młodziutka. Mnie i Eido. Pojechaliśmy do Salthaven. Tam są piaszczyste plaże, Eido oszalał na ich punkcie. To było na długo przed rozpoczęciem tej wojny. Wtedy ludzie jeździli jeszcze na wakacje.
- Pewnego dnia ja zabiorę cię na wakacje, obiecuję.
- Posłała w stronę kapitana szczerzy uśmiech.
- Nie składaj obietnic, których nie będziesz mógł dotrzymać.
- Mówię serio. Musimy raz na zawsze rozprawić się z heretykami, a potem wszyscy dostaną swe upragnione wakacje.

Potrząsnęła rozbawiona głową.

- Mówiłaś, że masz teraz pracę ? – spytał po chwili milczenia Viltry.
- Tak, w magazynie amunicji. Tamtejszy kierownik był pod wrażeniem moich umiejętności. Wszystkie te nocne zmiany w fabryce nie poszły na marne.

- To dobrze.
- Zaczynam od dzisiejszego wieczora.
- Nie powiedziałaś jeszcze niczego na temat mojego wyglądu.
- Próbuję o tym nie myśleć, a to trudno, ponieważ jesteś nad wyraz przystojny w tym nowiutkim mundurze, ogolony i wykąpany. Znalazłeś w końcu swoją jednostkę ?
- Nie – odpowiedział Viltry – Ale natrafiłem na phantyńskie skrzydło, które potrzebuje pilotów. Mam latać na myśliwcach, wyobrażasz sobie ? To będzie wymagało zmiany pewnych nawyków. 20. Skrzydło Phantine, eskadra Umbra – pokazał jej naszywki i insygnia na mundurze.
- Bardzo ładne – skwitowała, po czym zapatrzyła się w morze.
- Muszę latać, Beq, to mój obowiązek. Oni potrzebują teraz każdego pilota. Zawiódłbym Tron, gdybym tego nie zrobił.
- Wiem.
- Kiedy wojna dobiegnie końca, złożę wniosek o odejście ze służby i pozostanę tutaj z tobą.
Beqa Mayer uśmiechnęła się ze smutkiem.
- Ta wojna nigdy się nie skończy, Oskar. Po tej kampanii tak dobrzy piloci jak ty będą potrzebni gdzie indziej. Nie pozwolą ci odejść, jesteś dla nich zbyt cenny. Będziesz walczył, dopóki jakiś wróg nie okaże się szybszy. Pamiętasz, co mówiłam o obietnicach, których nie sposób spełnić ?
- Przykro mi – mruknął.
- Wszystko w porządku, naprawdę. Mamy trochę czasu dla siebie, tylko trochę, ale to i tak słodkie. Myślałam już, że cię straciłam, a Imperator pozwolił ci wrócić. Nie chcę przeżyć tego powtórnie. Ty będziesz latał, ja będę z ciebie dumna. Tyle mi wystarczy.
Wiatr przybrał na sile, kobieta zadrżała zauważalnie.
- Ten nieszczęsny stary płaszcz – burknął Viltry. Pilot pochylił się nad swoją torbą i wyjął z niej lotniczą kurtkę z emblematami eskadry Halo.
- Weź ją. Jest trochę znoszona, ale ma przynajmniej futrzaną podbitkę.
Założył jej kurtkę na ramiona, po czym przytulił do siebie.
- Dziękuję – odpowiedziała przywierając do ciała mężczyzny i przykładając mu głowę do piersi.
- Masz rację – rzekł kapitan spoglądając na morze – Prawie tu romantycznie.
Powietrzem wstrząsnął ogłuszający ryk i osiem Thunderboltów wypadło z nadbrzeżnego hangaru wykutego głęboko pod platformą obserwacyjną. Dźwięk lotniczych dopalaczy sprawił pomost w silne wibracje.
Kiedy samoloty oddaliły się już trochę, Viltry i Beqa wybuchli śmiechem.
- Romantyzm pryska w takiej chwili – oświadczył Phantyńczyk.
Kobieta pocałowała go w policzek.
- Do diabła z nimi wszystkimi. Możemy żyć swoim prywatnym romansem. Będziesz latał, Oskarze, a ja uproszę Imperatora, żeby cię strzegł.

Nad archipelagiem, 14.10

Eskadra Umbra nie zdążyła nawet wznieść się na wyznaczony pułap, kiedy zmuszona została do nawiązania walki. Gdzieś na zachodzie bladezielone przestworza błyskały ognistymi punkcikami, pocięte były smugami dymu. I nie była to jedyna powietrzna bitwa w tym regionie. Skrzydła stacjonujące w bazach Onstadtu leciały w kierunku bitwy rozgrywającej się na wschodzie, a wszystkie maszyny zdolne wystartować z Atolu Żmii próbowały stawić czoła liczącej tysiąc bombowców formacji wroga zmierzającej ponad Morzem Ezry w stronę Limbusa.

- Umbra, trzymać pułap czterech tysięcy – rozkazała Jagdea. Komandor miała przy sobie czterech skrzydłowych: Marqualla, Van Tulla, Cordiale i Viltry'ego. Kapitan brał udział w swej pierwszej misji i Jagdea wyczuwała nerwowość mężczyzny zdradzaną ledwie zauważalnym rytmem ruchów jego maszyny.

Umbra już dwa razy brała tego dnia udział w startach alarmowych. Operacja przechwytywania rozpoczęła o godzinie 9.00 trwała ponad sto dwadzieścia minut i zakończyła się przepędzeniem formacji dziewięćdziesięciu heretyckich bombowców, głównie dzięki wsparciu ze strony trzech skrzydeł Lightningów z bazy Tamuda. Trzy potwierdzone zestrzały – Ranfre, Del Ruth i Jagdea. Tuż przed południem Del Ruth, Ranfre i Zemmic – dowodzeni przez Blanshera – wystartowali ponownie wdając się w krótką, ale zacieklą walkę z górną eskortą grupy Hell Talonów. Zemmic i Blansher zaliczyli po jednym zestrzale, że żaden z lojalistów nie skrywał ulgi, kiedy idący im z pomocą piloci 56. skrzydła marynarki złamali szyki nieprzyjacielskiej wyprawy bombowej.

Cała czwórka odpoczywała teraz w bazie, chociaż Blansher poświęcił swój czas wolny na kontrolowanie postępów Kamińskiego w nauce pilotażu. Blansher należał do nad wyraz cierpliwych ludzi, ale wyraźnie powątpiewał w umiejętności i talent enothiańskiego pilota.

- Łapie podstawowe zasady latania na Boltach, ale nie potrafi się rozluźnić – powiedział pytającej go o zdanie w tej kwestii Jagdei – Być może nie był to trafny wybór.

- Ćwicz z nim dalej – odparła kobieta.

Nieprzyjaciel znalazł się w zasięgu wzroku. Sześćdziesiąt wyładowanych bombami Tormentorów zmierzało w stronę północnego wybrzeża, nękanych przez samoloty 51. skrzydła marynarki.

- Widzicie gdzie eskortę ? – rzuciła w eter Jagdea.

- Nic na ekranie – odparł Cordiale – Lepiej przyjąć, że gdzieś tam są.

- Przyjmuję to za pewnik – powiedziała. Nigdzie nie dostrzegła też śladu obiecanego wsparcia z bazy w Longstrand. Przełączyła komunikator na inną częstotliwość.

- Operacje Lucerna, mówi Umbra Lider. Potwierdźcie obecność asysty.

Trzask radiowych zakłóceń.

- Operacji do Lidera Umbry. Eskadry Kodiak i Orbis właśnie wystartowały. Są siedemdziesiąt kilometrów na wschód od was, malejący dystans. Dwadzieścia maszyn, powtarzam, dwadzieścia maszyn.

- Dziękuję, Operacje. Mamy kontakt wizualny z nieprzyjacielem. Rozpoczynamy przechwytywanie.

Jagdea poczuła zadowolenie na wieść o tym, że w skład asysty weszło phantyńskie skrzydło dowodzone przez jej przyjaciela Wilhema Hayyesa. Uruchomiła układ celowniczy i włączyła laserowe działka.

- Odbezpieczyć działka, Umbra. Potwierdzić.

- Umbra Osiem, potwierdzam – zgłosił się Marquall.

- Umbra Trzy, wszystko gra – Van Tull.

- Umbra Jedenaście, gotowy do akcji – Cordiale.

Chwila ciszy.

- Umbra Cztery ? Zgłoś się ! – powiedziała do mikrofonu Jagdea – Umbra Cztery, słyszysz nas ? Zgłoś się ! Viltry, psiakrew !

- Potwierdzam, Lider. Mówi Umbra Cztery. Przepraszam, próbowałem włączyć działka, ale chyba coś mi się pomyliło, bo zamiast tego zapaliłem lampkę w kabinie i włączyłem wentylator.

- Viltry ?

- Żartowałem, Lider. Działka odbezpieczone. Czekam na dalsze rozkazy.

Jagdea uśmiechnęła się kącikami ust.

- Operacje, Umbra rozpoczyna atak. Umbra... atak, atak, atak !

Viltry był znacznie mniej pewien siebie niż mogło sugerować jego nonszalanckie zachowanie. Kiedy przesuwiał przepustnicę rzucając maszynę w lot nurkowy w ślad za Jagdą, ujrzał przed sobą istne mrowie Tormentorów. Ociężałe bombowce otworzyły już ogień ze swoich górnych wieżyczek, tnąc powietrze strugami pocisków.

Viltry miał kiedyś sposobność latać na Thunderboltach, ale teraz czuł się za sterami tej maszyny bardzo nieswojo, zbyt długo pilotował Maraudery. Jego niepokój nie brał się z odmiennej lokalizacji instrumentów pokładowych czy osiągow samolotu, źródło stresu kapitana tkwiło w świadomości, że jest w maszynie sam. Jeden człowiek, jeden samolot. Żadnych towarzyszy służby obsługujących inne stanowiska.

Całkowite skoncentrowanie na pilotażu. Był odpowiedzialny za wszystko.

Viltry doszedł do wniosku, że lepiej będzie poszukać pozytywnych aspektów nowego przydziału. Thunderbolt tańczył na każde poruszenie sterami, przypominając niebywale szybką igłę w niczym niepodobną do *G jak Greta*. Imperialne maszyny spadły na heretycką formację.

Kapitan przypomniał sobie, że musi całkowicie odrzucić stare przyzwyczajenia co do powietrznej walki. Wcześniej to on zwykł latać na pokładzie ciężkiej maszyny w ciasnym szyku, pod ostrzałem nieprzyjacielskich myśliwców. Teraz role się odwróciły.

Jagda i Van Tull przemknęli tuż ponad heretyckimi bombowcami strzelając z wszystkich luf. Viltry poszedł w ich ślady, kątem oka dostrzegł Marqualla i Cordiale atakujących nieprzyjacielską wyprawę od spodu.

Trzy bombowce natychmiast wypadły z szyku ciągnąc za sobą warkocze gęstego dymu. Jeden Tormentor załamał gwałtownie tor lotu, runął prosto w dół. Umbra zawróciła przygotowując się do drugiego ataku.

- Postaraj się lepiej – skarcił samego siebie Viltry.

Drugi atak poprowadził Cordiale, to on znalazł się na czele eskadry. Z luf jego laserów trysnęły krechy oślepiającego światła. Jeden z Tormentorów odchylił w bok tor lotu, po czym wyleciał w powietrze tworząc na ułamek chwili gigantyczną kulę ognia; wybuchły znajdujące się na jego pokładzie bomby.

Deszcz płonących szczątków posypał się gradem na wszystkie strony. Wytracone z szyku falą uderzeniową eksplozji, lecące w pobliżu Tormentory zmieniły kurs, dwa z nich zderzyły się ze sobą. Viltry ujrzał spadające w dół elementy zniszczonych maszyn, wirujące w powietrzu ludzkie ciała.

Kapitan zrównał swój myśliwiec z najbliższym bombowcem. Strzelcy pokładowi Tormentora zaczęli strzelać w jego stronę, ale serie smugowych pocisków pudłowały haniebnie. Viltry uśmiechnął się słysząc pisk lokalizatora, po czym nacisnął spust.

Thunderbolt zaczął drgać rytmicznie pod wpływem wyrzucanych z luf działek pocisków. Bree ostrzegła kapitana przed tym efektem ubocznym prowadzenia ognia. Viltry skorygował kurs, zawrócił ciasnym łukiem pnąc się jednocześnie w górę.

- Umbra Cztery, tu Lider. Ładny zestrzał.

- Nawet nie wiedziałem, że spadł – odpowiedział kapitan – Dorwałem go ?

- Tak, Czwórka.

Przewalił maszynę przez skrzydło, coraz bardziej zachwycony lekkością, z jaką dawał się prowadził Thunderbolt, obrał za cel następnego Tormentora. Wieżyczki bombowca próbowały odpędzić go zaciekłym ostrzałem, ale kapitan znał doskonale martwe strefy typowego samolotu bombowego; znał je z własnego doświadczenia. Wystarczyło tylko rozrysować sobie w pamięci rozmieszczenie działek Tormentora.

Każdy maszyna miała swój słaby punkt.

Dostrzegł takie miejsce.

Viltry wystrzelił z laserów, krechy oślepiającego światła trysnęły z luf jego broni.

Spodnia część kadłuba Tormentora rozpadła się na kawałki, bombowiec stanął błyskawicznie w płomieniach, załamał tor lotu zmierzając w kierunku powierzchni morza ciągnąc za sobą grubą wstęgę brązowego dymu.

- Drugi zestrzał – rzucił w eter Viltry – Myślę, że załapałem podstawy, Bree.

Marquall zatoczył kolejny łuk, dosłownie dusząc się z wściekłości. Chybił obranego celu za każdym z dwóch podejść, a ten facet – Viltry – włączył się do walki dwie minuty temu i już zdążył zrównać się liczbą zestrzałów z Marqualem. I nawet zwracał się do Jagdei używając jej imienia. Za kogo on się miał ?!

Dziewięć-Dziewięć zadrżał trafiony w burtę serią boltowych pocisków. Marquall zaczął umykać w bok, bo ciasny łuk wyniósł go ponad fragment nieprzyjacielskiej formacji i myśliwiec znalazł się zniemacka w strefie ostrzału dwóch prowadzących szyk bombowców. Ogonowe działka Tormentorów smagały go strumieniami pocisków, część szyb w kokpitu pokryła się siateczką pęknięć, w powietrze poleciały oderwane blachy kadłuba.

Marquall uciekł czym prędzej z pola rażenia heretyckich strzelców. Skąd ten diabeł wcielony Viltry wiedział jak się ustawić do ataku na bombowiec ? Phantyńczyk zaczął piąć się w górę ścigany ogniem innych nieprzyjacielskich samolotów.

Cisnął samolot w płytki lot nurkowy, namierzył kolejnego Tormentora, ale nim zdołał nacisnąć spust, heretycki bombowiec eksplodował zniemacka. Strącił go Van Tull.

- Dajcie mi trochę luzu ! – zawył w bezsilnej złości Marquall – Niech ktoś zostawi mi jakiś cel !

51. opuścił walkę z powodu kończącego się paliwa, eskadry Kodiak i Orbis weszły do akcji w jego miejsce. Kodiak – eskadra wchodząca w skład 789. skrzydła marynarki – latał na ciemnozielonych Thunderboltach, Orbis miał szare maszyny w tradycyjnych barwach phantyńskich oznakowane niebieskimi insygniami.

- Halo Orbis, halo Orbis – rzuciła w eter Jagdea – Miło was widzieć.

- Umbra Lider, mówi Hayyes. Zostawiliście coś dla nas ?

- Mnóstwo, do wyboru, do koloru. Obsłużcie się sami, Orbis Lider.

Hayyes rzucił swojego Thunderbolta w ciasny skręt, przedziurawił serią z działek Tormentora, który natychmiast stanął w płomieniach. Dwaj jego skrzydłowi zaliczyli po zestrzale, piloci z eskadry Kodiak strącili dalsze trzy bombowce.

- Wszystkie skrzydła, odbić w lewo ! Teraz ! – krzyknął w eterze dowódca Kodiaków – Nowe kontakty !

Hell Razory wysypały się zza chmur pędząc w stronę lojalistów z maksymalną prędkością, strzelały z wszystkich luf.

- Unik szerokim łukiem ! – rozkazała Jagdea.

Viltry poczuł jak jego samolot dygocze trafiany pociskami. Pociągnął drążek sterowy ku sobie, zaczął piąć się w górę.

Marquall rozpoczął lot nurkowy.

Nieprzyjacielskie myśliwce przemknęły przez rozproszoną imperialną formację. Jeden z Kodiaków eksplodował ugodzony pociskami, drugi zaczął opadać stromym łukiem ku powierzchni morza.

Razory nosiły barwy karmazynu i czerni, z wyjątkiem jednej maszyny. Ta miała perłowobiały kolor.

Baza lotnicza Lucerna, 14.30

- Przełącz.

- Proszę powtórzyć.

- Przełącz.
- W porządku, sir – oświadczył Racklae – A teraz proszę wydać komendę otwarcia ognia.
- Ognia ! – powiedział Kamiński.
- I jeszcze raz.
- Ognia !

Racklae podniósł się z kucek, zaznaczył coś w trzymanym w ręce notatniku, po czym spojrzał na siedzącego w kokpicie Kamińskiego.

- W porządku, system rozpoznaje pański głos. Rozkazy zostały wprowadzone do pamięci – Racklae pochylił się nad otwartym kokpitem i wskazał palcem mosiężną dźwignię tkwiącą tuż obok przepustnicy – Jej przestawienie odbezpieczy działka. Resztę da się załatwić wyłącznie komendami głosowymi. Jeśli powie pan „ognia”, system wystrzeli z ustawionego wcześniej rodzaju broni. Domyślnie są to lasery. Jeśli powie pan „przełącz”, nastąpi zmiana broni na działka automatyczne. Czy to jasne ?

- Tak, dziękuję – odpowiedział Kamiński – A jeśli będę chciał strzelać ogniem ciągłym ?
- Wystarczy powtarzać „ognia”, sir.

Kamiński wysiadł z kokpitu.

- Dziękuję, panie Racklae, świetna robota.

Mechanik wyglądał na zmartwionego i zaprzątniętego jakimś problemem.

- Co się stało ? – zapytał Kamiński.

Racklae zeskoczył ze skrzydła Thunderbolta.

- Chłopcy monitorują naszą częstotliwość radiową, sir. Wygląda na to, że Umbra ma kłopoty.

Kamiński poszedł w ślad za mechanikiem w stronę grupy lotników otaczających kręgiem przenośny komunikator. Blansher manipulował akurat potencjometrem urządzenia. Ranfre, Zemmic i Del Ruth stali wśród grupy mechaników. Kamiński dopiero co zdążył poznać ich imiona, wcześniej nie było czasu na prezentację.

- Co się dzieje ? – spytał Zemmica. Młody Phantyńczyk bawił się machinalnie pękiem amuletów.

- Jagdea wpadła na formację Tormentorów – wyjaśnił Zemmic – A teraz mają na głowie bandytów. Złych bandytów. Jest tam Zabójca.

- Zabójca ? – nie zrozumiał Kamiński.
- Perłowobiały skurwysyn – powiedział Zemmic.

Nad archipelagiem, 14.33

Viltry umykał Boltem co sił w silnikach, nieprzyjacielskie myśliwce były wszędzie wokół. Próbował odskoczyć w bok, tuż pod jego maszyną przemknęła Jagdea i jeden z Orbisów, pędząc w przeciwną stronę i strzelając ciągłymi seriami. Jakiś Kodiak eksplodował na oczach kapitana, zestrzelony przez czerwonego Razora.

Viltry usłyszał krótki pisk antylokalizatora, cisnął Thunderbolta w unik. Czarny Razor właśnie dobierał mu się do ogona. Kapitan zignorował ostrzał prowadzony przez wieżyczki bombowców i runął z górę prosto pomiędzy Tormentory. Razor zwolnił, zaniechał pościgu nie chcąc najwyraźniej uszkodzić przez przypadek sojuszniczych maszyn.

Zadowolony z uzyskanego rezultatu, Viltry przyspieszył i przeleciał przez środek bombowej wyprawy, tym razem nie przestając strzelać. Prowadzenie ciągłego ognia kolidowało mu co prawda z zamiarem wykonania lotu wznoszącego, ale było warte wysiłku, bo mijając jednego z Tormentorów Viltry zdołał dwa, trzy razy trafić nieprzyjacielską maszynę. Z silników bombowca zaczął buchać niebieskawy dym.

Zwiększając pułap Viltry rozejrzał się wokół, ale nigdzie nie dostrzegł czarnego bandyty.

Był za to perłowobiały Razor, przywódca heretyckich pilotów. Myśliwiec znajdował się jakieś pięćset metrów na prawo od Phantyńczyka, poruszał się znacznie szybciej od kapitana,

lekko nurkował. Imperialny Thunderbolt mknął jego śladem, miał na kadłubie emblematy Orbis Sześć.

- Orbis Sześć ! Uważaj na unik ! – krzyknął Viltry.

Perłowobiały Razor wykonał perfekcyjny manewr wektorowego odskoku w bok z jednoczesnym zwiększeniem pułapu, wszedł w ułamku chwili na ogon imperialnej maszyny, rzygnął płomieniami wylotowymi działek.

Trafiony Thunderbolt runął w dół gubiąc za sobą strugi płonącego jaskrawo paliwa.

Razor zwiększał pułap szukając kolejnej ofiary. Viltry rozważał w myślach opcję pościgu za heretyckim asem, ale czarny bandyta pojawił się zniemacka na jego ogonie zmuszając do kolejnego uniku.

Jagdea i Cordiale zatoczyli łuk skrzydło w skrzydło, po czym rzucili się wspólnie w pościg za czerwonym bandytą. Czyste jeszcze chwilę wcześniej przestworza pełne były teraz dymu, oparów, spalin i pocisków. Kobieta nigdzie nie widziała białego Razora.

Ścigany przez nich czerwony myśliwiec oddalał się coraz bardziej, toteż komandor zarzuciła pomysł dalszego gonienia niedoszłej ofiary i zawróciła w stronę centrum powietrznej bitwy szukając wzrokiem białego Razora.

Czarny myśliwiec wroga wypadł prosto na nią, lecieli przez chwilę kursem kolizyjnym wymieniając niecelne serie z działek. Kobieta sprawdziła szybko wskazania paliwomierza. Kiepsko, gwałtowne manewry dosłownie pożerały zawartość baków.

- Umbra, kontrola poziomu paliwa !

Pierwszy odezwał się Cordiale, po nim Viltry, na końcu Marquall. Wszyscy trzej latali praktycznie na oparach.

- Lider poleca wyłączyć się z walki i wracać do bazy !

- Umbra Cztery potwierdza !

- Tak jest, mówi Jedenastka !

- Marquall ? Umbra Osiem ?? Zgłoś się !

Marquall właśnie zauważył białego bandytę, rozpoznał go z miejsca. To był bez wątpienia ten sam heretyk, który omal nie pozbawił go życia podczas drugiego lotu, a potem zabił jednego z Apostołów.

- Umbra Osiem ?

- Jedna chwila, Lider.

Zawrócił w stronę bandyty, ale natychmiast został zmuszony do ponownej zmiany kursu, ponieważ niechcący wpakował się pomiędzy dwa przyśpieszające Tormentory. Pchnął przepustnicę Dziewięć-Dziewięć, załamał lekko tor lotu, przeszedł pod brzuchami bombowców posyłając jednocześnie niecelną serię w stronę zwiększającego wysokość białego Razora. Inny bandyta zaczął strzelać do maszyny lojalisty mijając go na drugiej i Marquall skręcił w przeciwną stronę, omal nie zderzając się przy tym z Tormentorem, który spadał w dół z płonącymi silnikami.

- Umbra Osiem ! Wyjdź z walki ! – w głosie Jagdei pobrzmiwały szaleńcze nutki.

Marquall usłyszał ostrzegawczy dzwonek. Rezerwa paliwa.

- Potwierdzam, Lider. Odlatuję.

Obejrzał się raz jeszcze przez ramię i ku swemu pełnemu przerażeniu zdumieniu dostrzegł białego Razora wchodzącego na ogon lidera eskadry Orbis.

- Orbis Lider, łam szyk ! Łam ! – wrzasnął Marquall.

Myśliwiec Lidera skręcił ostro w prawo. Serie pocisków wystrzeliwanych z działek Razora rozerwały Thunderbolta na strzępy, deszcz płonących szczątków posypał się do morza na dystansie ponad pół kilometra.

Marquall przyśpieszył, zaczął piąć się w ślad za trójką pozostałych maszyn Umbry.

- Widzieliście to ?! – krzyknął w eter – Widzieliście ?! Ten przeklęty biały Razor ! Dorwał Lidera Orbisów !

- Widziałam – odpowiedziała zmęczonym głosem Jagdea. Komandor nie czuła niczego prócz wyczerpania i ośpienia zmysłów; wiedziała, że smutek i żal zaatakują później. Hayyes był jej przyjacielem od czasów szkoły lotniczej.

Myślała w tej chwili tylko o jednej rzeczy. W ostatnich kilkunastu sekundach walki przypomniała sobie nagle, dlaczego tak znajomy wydał się jej młody asystent Eadsa.

Baza lotnicza Lucerna, 15.10

Dźwięk lotniczych silników cichł coraz bardziej. Kiedy Jagdea i jej skrzydłowi wysiedli z maszyn, powitała ich burza oklasków i okrzyków aplauzu. Komandor wiedziała, że jej mechanicy i pozostali piloci wyrażają w ten sposób uznanie dla stoczonej dzikiej walki, robiącej wrażenie liczby zestrzałów oraz faktu, że wszyscy czterej lotnicy Umbry powrócili żywi do bazy. Część oklasków przeznaczona była dla Viltry'ego za jego nad wyraz udany debiutancki lot.

Lecz Jagdea poczuła się tym aplauzem zakłopotana. Nie chodziło tu bynajmniej o Hayyesa. Ile razy miała okazję widzieć spadające w płomieniach imperialne maszyny ? Ludzie ginęli w ostatnim dniach w zastraszającym tempie.

- Dobra robota – powiedziała do Cordiale, siedzącego na posadzce hangaru ze zdjętymi butami i masującego zdrętwiałe stopy. Wystawiani na liczne przeciążenia lotnicy często miewali po locie kłopoty z prawidłowym funkcjonowaniem krwioobiegu.

- Dziękuję, proszę pani – odpowiedział.

Viltry zdjął swój hełm. Był blady i wyraźnie wstrząśnięty, ale na jego ustach rysował się lekki uśmiech.

- Podobało się ? – spytała Jagdea.

- Pewnie, że nie.

- Dobrze się spisałeś, Viltry. Można odnieść wrażenie, że lataasz na Thunderboltach od lat.

Przyglądał palcami sklezione potem włosy.

- Fakt, że to było takie wyzwalające uczucie, móc latać na czymś tak zwrotnym. Człowiek łatwo zapomina jak ociążałe potrafią być Maraudery.

Marquall właśnie wysiadał z kokpitu Dziewięć-Dziewięć.

- Dobra robota, Marquall – powiedziała Jagdea – Nieźle sobie radziłeś.

Zniżyła ton głos na tyle, by nie usłyszał jej nikt poza samym Marqualem.

- Nigdy więcej nie próbuj zignorować mojego rozkazu, pilocie. Kazałam ci opuścić walkę, ponieważ przyszedł na to czas. Kiedy otrzymujesz takie polecenie, wykonujesz je bez chwili wahania. Czy to jest jasne ?

Phantyńczyk wbił spojrzenie w posadzkę hangaru.

- Tak, pani komandor.

Jagdea ruszyła w kierunku wyjścia z sali.

- Przebroić i zatankować ! – krzyknęła w stronę mechaników wiedząc doskonale, że zdążyli już podpiąć węże paliwowe do baków maszyn.

Wraz z Blansherem oczekiwał jej przybycia jakiś wysoki mężczyzna w mundurze enothiańskiego lotnictwa.

- Major Frans Scalter – przedstawił gościa Blansher. Jagdea uściśnięła dłoń Scaltera, zmierzyła go uważnym spojrzeniem. Major sprawiał wrażenie nieco zmieszanego.

- Zakładam, że przedstawiłeś majorowi Scalterowi powód jego zaproszenia, Mil ?

- Pozwoliłem sobie zepsuć pani niespodziankę i pokrótce to już wyjaśniłem.

Jagdea spojrzała ponownie na Scaltera.

- I jak, majorze ? Jest pan zainteresowany miejscem w mojej jednostce ? Komandor Eads udzielił panu swej osobistej rekomendacji.

Scalter otworzył usta, ale nie odpowiedział od razu, wyraźnie szukając odpowiednich słów. Kiwnął głową.

- Czuję się zaszczycony, komandor Jagdea. Cały czas miałem nadzieję, że trafi mi się jeszcze szansa latania w obronie własnego świata.

- A więc się pan zgadza. Wyśmienicie. Otrzyma pan identyfikator Umbra Siedem. Mil, jeśli jesteś zajęty osobą Kamińskiego, oddeleguj Del Ruth albo Cordiale, niech dopilnują formalności przydziałowych dla pana Scaltera, a potem sprawdzą go w symulatorze.

- Tak jest – odparł Blansher – Wychodzisz gdzieś.

- Wróć niedługo.

Marquall stał przez dłuższą przy swojej maszynie, rozpinając wolno kurtkę i ściągając rękawice. Nie miał najmniejszej ochoty na dołączenie do reszty grupy.

- Wszystko w porządku, sir ? – zapytał Racklae.

- W jak najlepszym – skłamał pilot. Chłopak nie miał najmniejszego zamiaru opowiadać swemu szefowi obsługi technicznej o reprimendzie udzielonej mu moment wcześniej przez Jagdeę. Komandor okazała przynajmniej tyle grzeczności, że nie zrobiła tego publicznie.

Marquall ruszył poprzez hangar mijając grupki mechaników. Zszedł z drogi elektrycznego podnośnika widłowego, odczekał chwilę przepuszczając przodem amunicyjny wózek.

Kamiński siedział na beczce po paliwie tuż przy burcie swego Thunderbolta, uważnie studiując pliki z osiąganiami technicznymi maszyny wgrane do elektronicznego notesu.

- Cześć – powiedział Marquall.

Przerażająco zeszpecona bliznami twarz odwróciła się w jego kierunku.

- Cześć. Nazywasz się Marquall, prawda ?

- Tak. A więc twoje życzenie się spełniło.

- Słucham ? – nie zrozumiał Kamiński.

- Tamtej nocy w barze Zara powiedziałeś, że dałbyś wszystko, by znaleźć się na moim miejscu. Żeby znowu latać.

- Cóż, powiedziałem coś takiego ?

Marquall kiwnął potakująco głową.

- Nie pamiętam tylko, czy to było przed, czy po tym jak nazwałeś mnie kretyńcem i kupą gówna, po czym zasugerowałeś, że powinienem strzelić sobie w łeb i oddać tym samym wszystkim przysługę.

- Cholera – odparł Kamiński. Enothianin odłożył notes na krawędź beczki, ale nie próbował wstać – Miałem nadzieję, że już o niej zapomniałeś. Tak, moje życie się spełniło, Marquall. A co z tobą ? Zdarzyło ci się potem spadać z barowych stołków ?

- Nie – Phantyńczyk poczerwieniał gwałtownie.

Kamiński wziął notes z powrotem do dłoni i wrócił do lektury.

- Więc wygląda na to, że obu nam się jakoś ułożyło – powiedział były kierowca.

Baza lotnicza Lucerna, 16.01

Eads miał biuro na jednym z dolnych poziomów bazy. Napływ uchodźców znacząco ograniczył liczbę kwater na wyspie. Wykute w skale korytarze cuchnęły wilgocią, oświetlenie szwankowało. Niektóre z mijanych przez Jagdeę sali były magazynami, kobieta była też pewna, że część dostrzeżonych przez nią pomieszczeń mieszkalnych też było jeszcze niedawno magazynami.

Odnalazła kwatere Eadsa, zastukała w metalowe drzwi. Po chwili w progu pojawił się Darrow.

- Komandor Jagdea ?
- Jestem umówiona z Eadsem.
- Tak, proszę pani. Czeka na panią.

Darrow otworzył szerzej drzwi, wpuścił ją do środka. Pokój okazał się niewielki, niemal całkowicie pozbawiony umeblowania. Jakies niezidentyfikowane rupiecie tkwiły w jednym z rogów, pośrodku znajdował się niski stolik i dwa krzesła, obok źle pościelone łóżko. Na blacie stolika stała butelka amasecu i dwie brudne szklanki.

Jedynym elementem umeblowania nawiązującym odrobinę do pojęcia komfortu był wysłużony bujany fotel. Eads siedział w nim z zamkniętymi oczami, najwyraźniej śpiąc.

- Przyjdę później – zaproponowała szeptem Jagdea.
- Nie śpię, pani komandor, zbieram myśli. To była długa i wyczerpująca dniówka.

Darrow zgarnął ze stolika plik dokumentów.

- Właśnie skończyłem raport z przebiegu zmiany – powiedział Jagdei – Już wychodzę.
- Nie, zostań chwilę – powiedziała Phantyjka. Chłopak zawahał się, odłożył dokumenty na stół.
- Proszę mi wybaczyć wygląd – powiedział Eads – Ostatnio ciągle to powtarzam. Uciekłem z Thedy z tymi tylko rzeczami, które mam teraz założone na siebie. Proszę się i bierzmy się do roboty.

Jagdea usiadła na jednym z krzeseł i położyła przed sobą gruby folder.

- Widziałam dzisiaj białego bandytę – powiedziała.
- Doprawdy ? – chrząknął Eads – Ten diabeł wciąż gdzieś tam lata ?
- To spotkanie przypomniało mi o raporcie, który został rozesłany do wszystkich jednostek w Dolinie Lidy. To właśnie ten raport – uderzyła palcami w położony na stoliku folder – Opisuje on pewną konfrontację z bandytami. Przygotowano go w rzeczowy i szczegółowy zarazem sposób. Lotnicy marynarki musieli się z nim obowiązkowo zapoznać. Ty go napisałeś, prawda, Darrow ?
- Tak, pani komandor – odpowiedział asystent kontrolera lotu.
- Do raportu dołączona została notatka napisana przez twojego przełożonego. Zapomniałam jego nazwisko.

- Major Heckel – podpowiedział Darrow.

- Major Heckel. Nie będąc skrupowanym skromnością bijącą z twojej części raportu, major opisał w notatce przykład niesamowitych wręcz umiejętności pilotażu.

- Heckel nie przesadzał – odezwał się Eads – Twierdził uparcie, że to był przebłysk niebywałego naturalnego talentu do latania.

- Można odnieść taki wniosek – przyznała Jagdea – Przykład wymanewrowania zawodowego pilota-zabójcy, prawdopodobnie dowódcy eszelonu, człowieka znajdującego się u szczytu swych możliwości. Co więcej, manewru tego dokonano na samolocie o wiele klas gorszym, całkowicie pozbawionym prędkości, mocy silników i napędu wektorowego Razora. Lecz mnie zdumiało coś innego, komandorze Eads. Kiedy prosiłam pana pierwszy raz o rekomendacje, całkowicie zignorował pan osobę młodego pilota, który pełni obecnie funkcję pańskiego asystenta.

Eads milczał.

- Pani komandor ? – odezwał się cichym głosem Darrow – Czy mogę zapytać... o jakie rekomendacje chodziło ?

- W mojej jednostce brakuje pilotów, Darrow.
- Rozważała... rozważała pani mój przydział ? – zdumiał się niepomiernie.
- Słyszałam, że ćwiczyłeś w symulatorach model lotu na Thunderbolcie ?
- Tak – odparł Darrow – Przelatałem sześćdziesiąt godzin. Kto pani o tym powiedział ?
- Major Scalter. Co zatem robimy z tym fantem ?

Eads pochylił się w fotelu, położył dłonie na udach.

- Enric nie jest dla pani odpowiednim kandydatem, pani komandor – powiedział starszy mężczyzna.

- Dlaczego nie ? – odezwał się ostro Darrow – Przepraszam, sir – zmitygował się natychmiast – Dlaczego nie, sir ?

Eads spoglądał cały czas w stronę kobiety.

- To zaledwie kadet, Jagdea ! Ma minimalne doświadczenie bojowe. Owszem, posiada talent. Ale ta jedna potyczka ma wszystkiego dowodzić ? To było szczęście, miał niebywałe wręcz szczęście. Jeśli pošlesz go teraz do walki, zginie. On nie jest na to gotowy. Moja rekomendacja będzie dla niego wyrokiem śmierci.

Darrow podniósł się z krzesła.

- Nie zgadzam się z tą opinią, sir – oświadczył.

- To nie do ciebie należy ocena, Enric – skarcił go Eads.

- Doprawdy ? – uniosła jedną brew Jagdea.

- Kiedy niby stanę się gotowy, skoro nie mam szans na aktywne ćwiczenia ? – zapytał Darrow.

- Jeszcze nie teraz.

- Myślę, że zbyt wiele czasu już nie mamy – powiedziała Jagdea – Enothis potrzebuje w tej wojnie wszystkich dostępnych pilotów, komandorze Eads. Jeśli ludzie tacy jak Darrow nie wezmą w niej udziału, nie będzie przed nimi żadnej przyszłości.

- Nie chcę mieć jego krwi na swoich rękach – wyrzucił z siebie Eads – Nie udzielę mu rekomendacji.

Jagdea przeniosła spojrzenie na Darrowa.

- Obyczaj nakazuje, by dowódca skrzydła poprosił o rekomendacje dla pilota, którego zamierza przyjąć pod swe rozkazy. Pańskie obiekcje zostały odnotowane, komandorze Eads, a lojalność i próba uchronienia go przed niebezpieczeństwem zasługują na uznanie i szacunek. Kadecie Darrow, oferuję ci miejsce w swojej jednostce. Przyjmujesz moją propozycję ?

- Tak, pani komandor, chętnie – Darrow spojrział w stronę Eadsa – Przykro mi, sir.

Jagdea wstała z krzesła, wzięła do ręki raport.

- Musisz niezwłocznie zameldować się w komendanturze, Darrow. Możesz tam pójść razem ze mną.

Podeszli w kierunku drzwi. W progu chłopak odwrócił się na chwilę i zasalutował sprężyście.

- I ty to nazywasz salutem ? – zapytał Eads.

- Tak, sir.

Eads podniósł się z fotela i powtórzył gest podkomendnego.

- Tak wygląda salut – powiedział, po czym usiadł ponownie – Powodzenia, synu. Udowodnij mi, że się myliłem.

Darrow poprowadził Jagdeę w stronę najbliższej klatki schodowej, zaczęli wspinać się ramię w ramię w górę po szerokich kamiennych stopniach.

- Dobrze się czujesz ? – zapytała kobieta.

- Tak, proszę pani. Żał mi z powodu komandora. To przykro widzieć takie zachowanie z jego strony.

- Wiesz, że on cię tylko próbował chronić, prawda ? – spytała Jagdea.

- Tak, ale chyba nie tylko o to chodziło – odpowiedział Darrow – W ciągu ostatnich paru tygodni on stracił praktycznie wszystko. Dowództwo nad bazą, większość swoich pilotów i przyjaciół, potem samą bazę i cały swój dorobek życia. Myślę, że moje towarzystwo było dla niego ostatnim łącznikiem ze starym życiem.

- To jest wojna – rzekła Jagdea – Wojna zmusza do poświęceń.

a

DZIEŃ 269

Baza lotnicza Lucerna, 06.30

- Tędy proszę, panowie – powiedziała Jagdea wchodząc na środek hangaru numer trzy. W ślad za nią podążała czwórka lotników w kompletnych kombinezonach, z trzymanymi w rękach hełmami. Viltry, Kamiński, Scalter i Darrow. Ten ostatni sprawiał wrażenie najbardziej zdenerwowanego.

- Rozluźnij się – szepnął Scalter.

Jagdea stanęła przed rzędem zaparkowanych samolotów, odwróciła się do nich plecami.

- Nie mamy zbyt wiele czasu na zwyczajowe prezentacje, trzeba najpierw wygrać tę wojnę. Lotnicy roześmiali się krótko.

- To będzie klasyczny lot ćwiczebny, mały test waszych umiejętności pilotażu. To wszystko, na co możemy sobie pozwolić, zanim zaczniecie wykonywać loty bojowe. Używając terminu „waszych” mam na myśli pana Darrowa, pana Scaltera i pana Kamińskiego. Pan Viltry zaliczył już jedną misję bojową, ale im więcej czasu spędzi w kokpicie Thunderbolta, tym lepiej dla niego. Zemic i ja będziemy pełnić rolę instruktorów. Wykonujcie wszystkie moje polecenia. Jakies pytania ?

- Pani komandor ? – odezwał się Scalter – Co to za różowe piórka, które noszą wszyscy pani piloci ?

- Szczęśliwe amulety ! – zawołał stojący z tyłu Cordiale. Wszyscy pozostali piloci Umbry tkwili przy swoich maszynach. Cordiale podszedł do nowych rekrutów, pogrzebał w kieszeni kombinezону i wyciągnął z niej kilka ptasich piór. Mężczyźni wzięli wręczone im pióra do rąk, wpięli je w kieszenie.

- W porządku – oświadczyła Jagdea – Piórka szczęścia ! Nie mam nic więcej do dodania. Wsiadać do maszyn.

- Wydrapujemy dno beczki czy co ? – wyszeptał do Ranfre Marquall – Dwóch enothiańskich fajtlapów, jeden z nich jeszcze dzieciak, wyszczekany kaleka i pilot Marauderów na krawędzi. Rozumiesz, jemu coś dziwnie patrzy z oczu.

- Viltry spisał się wczoraj doskonale – odpowiedział Ranfre.

- Choćby nawet – odburknął Marquall, wciąż czujący złość na samym myśli o liczbie zestrzałów kapitana.

Trzasnęły rozruszniki, ryknęły turbiny w silnikach sześciu myśliwców. Siedzący w kokpicie Scalter przeciągnął palcami po desce rozdzielczej Thunderbolta z szerokim uśmiechem na twarzy. Kamiński pozwolił, by jeden z mechaników sprawdził jego uprząż bezpieczeństwa, po czym za pomocą zdrowej ręki umieścił swą protezę na drążku sterowniczym.

- Wszystko gra, sir ? – zapytał Racklae.

- Zwyczajowa trema.

Racklae schylił się nad otwartym kokpitem, przycocował mikrofonu układu sterowania akustycznego do kołnierza kombinezону pilota, wtyczkę wsunął w gniazdo na desce rozdzielczej po lewej stronie głównych zegarów.

- Czuje się pan w porządku ?

Kamiński założył hełm i maskę tlenową, pokiwał głową. Racklae zatrzaskał owiewkę kabiny.

Serce Darrowa biło w szaleńczym tempie, chłopak cały czas oblizywał bezwiednie usta. Wszystko okazało się zupełnie inne niż jego wyobrażenia – ciężar kombinezону, dźwięk silników, zapach kokpitu.

Jeden z kucających na skrzydle mechaników klepnął się dłonią w ucho. Darrow pokiwał mu głową na znak, że zrozumiał, włączył radio.

- Mówi Umbra Lider, podajcie swój status.

- Lider, mówi Dziesiątka, jestem gotów.

- Dzięki, Zemic, przyjęłam to za pewnik.

- Lider, tu Czwórka. Wszystko gra – odezwał się Viltry.

- Umbra Pięć do Lidera – zgłosił Kamiński – Gotów do startu.

- Umbra Siedem, wszystko w porządku – Scalter.

- Umbra Dziewięć do Lidera – powiedział Darrow – Wszystkie systemy sprawne. Jestem gotowy.

Oficerowie dyżurni machnęli palczkami i przypadli na kolana.

- Eskadra, w tryb zawisu – rozkazała Jagdea.

Thunderbolty poderwały się w górę, ich silniki zawyły bardziej przenikliwie.

- Ruszamy – poleciała Phantyjka. Samoloty wypadły z hangaru zwiększając pułap i chowając podwozie.

Jagdea poprowadziła eskadrę na zachód, w stronę niewielkich atoli, przez jakiś czas piloci ćwiczyli tam latanie w formacji i podstawowe manewry. Potem kobieta zaczęła stawiać przed nimi poważniejsze wyzwania: nurkowanie, loty wznoszące, przewroty.

- Cały czas rozglądajcie się wokół – rzuciła w eter – Nabierzcie nawyku jednoczesnego kontrolowania zarówno ekranu lokalizatora jak i przestrzeni wokół siebie wizualnie. Zwróćcie uwagę na to jak niewielki wycinek tej przestrzeni jesteście w stanie spenetrować wzrokiem siedząc w kokpicie. Ćwiczcie kompensowanie tej wady, obracajcie maszynami na sposoby zwiększające pole widzenia.

Po dziewięćdziesięciu minutach treningu komandor wybrała sobie za cel niewielki niezamieszkały atol na samym krańcu archipelagu.

- Formacja atakująca – poleciała – Chcę, aby każdy z was przetestował po kolei swe pokładowe uzbrojenie. Będziecie mieli okazję zobaczyć, w jaki sposób odrzut wystrzałów wprawia w drgania całą maszynę. Zemmic i Viltry, was ta część ćwiczeń nie dotyczy.

Scalter zaatakował pierwszy: głęboki lot nurkowy, celne serie, wpraw z laserów, potem z automatycznych działek.

- Dobrze oko – skomentowała Jagdea.

- Na Tron, ależ to trzęsie – zauważył major zwiększając jednocześnie wysokość.

- Ty następny, Umbra Dziewięć.

- Potwierdzam, Lider – odpowiedział Darrow. Enothianin włączył układ celowniczy, szybkimi ruchami dłoni uzbroidł działka. Pociągnawszy za dźwignię rzucił samolot w lot nurkowy, pod brzuchem maszyny przemykały wystające z wody niewielkie skały. Widząc w krzyżu celowniczym rosnący atol wystrzelił z laserów. Krechy światła przecięły powietrze, uderzyły w skałę. Przełączył się na drugi rodzaj działek, puścił serię, poderwał maszynę w górę.

- Doskonale, Dziewięć. Trochę za wysoko z laserów, ale zwykłe działka dobrze. Być może warto będzie przekalibrować ci o kilka stopni kąt ustawienia lufy broni.

- Potwierdzam, Lider.

- Umbra Pięć ? Twoja kolej.

Kamiński potwierdził odbiór rozkazu, zaczął nurkować w stronę atolu. Posługując się lewą ręką przestawił dźwignię systemu uzbrojenia, potem położył ją ponownie na przepustnicy. Atol znajdował się pośrodku celownika.

- Ognia ! – powiedział.

Lasery rzygnęły wiązkami światła.

- Przełącz ! Ognia ! Ognia !

Tym razem zaterkotały działka, samolot zaczął drżeć w rytmie ich wystrzałów.

Kamiński przemknął ponad atolem, zaczął piąć się w górę zabezpieczając jednocześnie układy uzbrojenia.

- Zabawka Racklae dobrze się spisuje – stwierdził.

- Świetnie – odparła Jagdea.

Pozwoliła swym uczniom wykonać jeszcze kilka nalotów na atol, po czym rozkazała wszystkim zwiększenie pułapu do pięciu tysięcy metrów.

- Rozproszona formacja, kurs trzy-trzy-dwa, a potem na sygnał zwrot w stronę bazy – powiedziała.

Lecieli wskazanym kursem przez dziesięć minut i Jagdea szykowała się już do wydania nowego rozkazu, kiedy w eterze zgłosił się Zemmic.

- Kontakty na lokalizatorze – powiedział Phantyńczyk.

- Obserwuj je – odpowiedziała Jagdea.

Po dalszych dziesięciu sekundach lotu piloci dostrzegli gołym okiem błyski znaczące miejsce powietrznej bitwy, toczącej się jakieś dziesięć do piętnastu kilometrów na północny zachód, nad otwartym morzem.

- Operacje, Operacje – zgłosiła się Jagdea – Tu lot treningowy Umbry. Macie odczyty w naszym pobliżu ?

- Umbra Lider, misja przechwytywania silnego zgrupowania bombowców. Bardzo prawdopodobna obecność nieprzyjacielskiej eskorty. Doradzamy powrót do bazy.

- Potwierdzam, Operacje – odpowiedziała Phantyjka – Eskadra Umbra, jak sami widzicie, nie tu dzisiaj po nas. Wracamy do domu. Zmiana kursu na...

- Łamać szyk ! Łamać ! – wrzasnął Viltry.

Jagdea i Zemmic zareagowali natychmiast, Viltry i Kamiński odskoczyli w przeciwną stronę. Scalter i Darrow zostali zaskoczeni nieoczekiwanym ostrzeżeniem, ale zaczęli unik w chwili, gdy dostrzegli rozpraszające się na boki samoloty Umbry.

Jagdea poderwała głowę dość szybko, by spostrzec trzy Hell Razory przemykające przez środek imperialnej formacji. Myśliwce należały bez wątpienia do górnej eskorty bombowców.

- Zemmic, ze mną ! Wiązać walką ! Reszta, łapcie sygnał wiodący Lucerny i wiejcie natychmiast do domu !

Jagdea i Zemmic runęli w ślad za bandytami, ale heretycy już zdążyli rozpiezchnąć się na boki. Obserwując z desperacją wyświetlacz lokalizatora kobieta spostrzegła w końcu jednego z Razorów, spadającego w dół przez pasmo rzadkich chmur. Pomknęła w ślad za nim.

Nieprzyjacielski samolot opadał do pułapu tysiąca metrów, a potem popędził z powrotem w górę. Jagdea spostrzegła smugowe pociski przelatujące tuż obok jej skrzydła i pojęła, że została wciągnięta w pułapkę, której elementem był drugi heretycki myśliwiec zakradający się na jej szóstą.

- Biorę go ! – krzyknął w eterze Zemmic.

Umbra Dziesięć weszła na ogon bandyty, Zemmic wystrzelił trzy serie z działek. Razor zapalił się natychmiast, pomknął w górę z dzikim skowytom przeciążonych silników, eksplodował trzy tysiące metrów wyżej przeistaczając się w wielką kulę ognia.

Jagdea ruszyła w pogoń za drugim bandytą, kiedy usłyszała w radiu głos Scaltera.

- Jest tuż za nami ! Łamać szyk ! Łamać !

Trzeci bandyta dogonił jej uczniów.

Cztery Thunderbolty rozprysły się na wszystkie strony, Darrow nigdzie nie dostrzegł nieprzyjacielskiej maszyny. W jego polu widzenia znajdował się wyłącznie Viltry, lecący trzysta metrów niżej po prawej kadeta.

Darrow poczuł gęsią skórkę. Eads miał rację, chłopak nie był jeszcze na to gotowy. Śmierć czyhała na niego od chwili wzbicia się w przestworza.

Zauważył kątem oka serię rozbłysków, spojrział w lewo. Samolot Scaltera piął się ostro w górę, wykრęcał manewry unikowe. Bandyta siedział mu na ogonie, strzelał nieprzerwanie.

- Unik ! Unik ! – krzyczał w eterze Viltry.

Thunderbolt Kamińskiego wypadł spomiędzy chmur, otworzył ogień. Pociski poszły szerokim łukiem, ale to wystarczyło, by bandyta zrezygnował z pościgu za Scalterem. Heretyk przemknął ponad Kamińskim, użył wektorowego napędu, zmienił drastycznie trajektorię lotu. W przeciągu kilku sekund Razor znalazł się na ogonie Kamińskiego.

Dwa pociski przedziurawiły skrzydło Thunderbolta.

- Kurwa mać ! – krzyknął Enothianin widząc oczami wyobraźni rozczarowanie malujące się na twarzy Blanshera.

Wiedziony instynktem, który objawił się dopiero w tym momencie, mężczyzna poruszył pedałami wektorowych dysz, ku swemu przemożnemu zadowoleniu ujrzał bandytę przestrzeliwującego górą, ponad jego kokpitem.

Darrow spostrzegł heretyka moment później. Chłopak zdążył już włączyć układ celowniczy i odbezpieczyć działka.

Heretycki pilot zaczął przyśpieszyć, uniki czterech imperialnych lotników najwyraźniej pozbawiły go ochoty do dalszej zabawy. Darrow pchnął przepustnicę, popędził za nieprzyjacielską maszyną kontruując jej próby wymknięcia się na bok. Kształt Razora wsunął się w krzyż celowniczy...

Pisk lokalizatora.

Nacisnął spust.

Bandyta wybuchł w powietrzu. Tak po prostu - przeistoczył się w ułamku chwili w kulę ognia i deszcz szczątków.

Jagdea spostrzegła eksplozję, której błysk rozjaśnił spodnie warstwy chmury. Kobieta krzyknęła przeraźliwie, dławiąc się bezsilną wściekłością. Przerwała pościg za uciekającym bandytą i pomknęła w stronę miejsca wybuchu.

- Eskadra ! Eskadra ! Kto dostał ?

- Halo Lider – w radiu odezwał się Viltry – To Darrow zaliczył swój pierwszy zestrzał.

Baza lotnicza Lucerna, 10.20

Personel w bazie zgotował im żywiołowe powitanie, które wprawiło Darrowa w skrajne skrepowanie. Brawo bili wszyscy oprócz młodego pilota o nazwisku Marquall, który sprawiał wrażenie chorego.

Darrow stał później długo przed swoim Thunderboltem, patrząc na samolot w milczeniu.

Poradził sobie. Od dnia jutrzejszego począwszy miał znowu latać i zabijać w imię Enothis i Imperatora.

Pewien już był, że za dwa, trzy dni stanie się zupełnie innym człowiekiem

***Aerie* eszelonu Natrab, Theda, 19.10**

Imperialne miasto trawiło morze pożarów.

Gigantyczny lotniskowiec stał opodal linii wybrzeża; w miejscu, gdzie kiedyś znajdowała się nieprzyjacielska baza lotnicza. Pilot-wojownik Khrel Kas Obarkon patrzył na świat, który czciciele Anarcha pokarali w jego imię.

Niebo zasnuwane było dymem pożarów, gorejące habitaty strzelały w górę snopami czerwonych jęzorów ognia. Powierzchnia morza lśniła refleksami odbijającej się w wodzie poświaty.

W górze przesuwały się skrzydła samolotów, połyskujących w promieniach odległego słońca. Pilot wsłuchał się w dźwięk ich silników, uśmiechnął się na tyle, na ile pozwalały mu zmartwiałe mięśnie twarzy.

Lektyka już na niego czekała. Niewolnicy zgięli się w ukłonach czekając, aż do niej wsiądzie, po czym zanieśli swego pana do głównego hangaru *aerie*.

W środku zgromadzili się już całymi setkami dowódcy innych eszelonów i ich podwładni. Ryczały trąby odlane z brązu, dudniły bębny. Obarkon odsunął zasłony lektyki i pozdrowił stojących najbliżej towarzyszy – Sacolthera w bogato ornamentowanej alabastrem zbroi. Coruza Shanga, stojącego w chromowanym pancerzu, z palcami ukrytymi w pozłaczanych pazurzastych rękawicach. Nazarike Komesha, asa eszelonu, skrywającego twarz pod szmaragdowym wizjerem hełmu.

Trąby i bębny umilkły, zastąpił je gwar cichych rozmów. Ustawiony pośrodku hangaru wielki holoprojektor ożył zniecka wyświecając połyskliwy niebieski obraz wysoki na dziesięć metrów. Piloci krzyknęli jednym głosem, a dźwięk ten wstrząsnął ścianami hangaru.

Holograficzny obraz przedstawiał twarz. Obarkon uważał tę twarz za przepiękną, chociaż przerażała go zarazem na wskroś. Wiedział, że ten sam holograf pojawił się jednocześnie na każdym innym lotniskowcu i w każdej bazie na podbitym południowym kontynencie. Setki tysięcy pilotów-wojowników, dowódców eszelonów, oficerów Paktu Krwi i kapłanów kultu widziały te oblicze oddając mu nabożną wręcz cześć.

Lecz Obarkon, jak i każdym poprzednim razem, przekonany był, że postać na holografie spogląda wprost na niego.

Projekcja przedstawiała twarz Anakwanera Seka, Magistra, budzącego bezgraniczne posłuszeństwo i szacunek Anarcha, zausznika samego wielkiego Urlocka Gaura.

- Jutro – przemówił Sek – Jutro nadejdzie ten dzień. Kto zanieś śmierć w przestworza ?
- My ! – zawyli unisono piloci-wojownicy.
- Przygotujcie się ! I pogrążcie nieprzyjaciela w płomieniach !

a

UDANYCH ŁOWÓW

BITWA NAD MORZEM ZOPHONIAŃSKIM

imperialny rok 773.M41

dzień 270

a

DZIEŃ 270

Baza lotnicza Lucerna, 05.01

- Jagdea ? Jagdea ?

Obudziła się, ocieężała i zdezorientowana, i przez jeden krótki moment nie miała pojęcia, gdzie się właściwie znajduje. Chwilę później odzyskała orientację i świadomość ta uderzyła ją w żołądek niczym metalowa kula.

- Jagdea ? – Blansher stał nad nią w rozkroku. Pokój sypialny tonął w półmroku, działało tylko awaryjne oświetlenie. Jagdea drzemała na przenośnym łóżku, niemal kompletnie ubrana. Aggie Del Ruth spała w fotelu.

- Daj mi sekundę, Mil – poprosiła siadając na krawędzi łóżka i opuszczając stopy na podłogę.
- Nie mogę ci dać nawet sekundy – odparł mężczyzna.

Poszła za nim do sali odpraw. Stał tam Viltry, ze skrzyżowanymi na piersiach rękami, wpatrzony w wielki szklany ekran wyświetlający sygnatury kopiowane z systemu używanego w pomieszczeniach Operacji. Pokój wypełniała delikatna zielonkawa poświata.

Na ekranie nie było niczego prócz pół tuzina punktów zidentyfikowanych przez system jako imperialne patrole.

- Od trzech godzin nic się nie dzieje – zapytał Viltry – Totalna pustka.
- Stoisz tutaj od trzech godzin ? – ziewnęła Jagdea.
- Nie mogłem zasnąć – przyznał Viltry.
- Myślę, że tu chodzi o kobiety – uśmiechnął się kącikami ust Blansher.

Viltry roześmiał się pozornie bez troski, ale Jagdea odniosła wrażenie, że słowa Blanshera poruszyły jakąś drażliwą nutę w sercu mężczyzny.

- Zbudziłeś mnie po to, żeby pokazać pusty ekran ? – spytała.
- Kiedy ostatni raz było tak spokojnie w powietrzu ? – odparł pytaniem Viltry – Atakowali szybko i nieprzerwanie od momentu, kiedy tutaj przybyliśmy. Wcześniej zresztą też. Spytaj tylko Kamińskiego.

- I jakie z tego wnioski ? – wzruszyła ramionami – Chcieli zrobić sobie wolną nockę. Cała ta orgia mordy i zniszczenia pewnie ich trochę zmęczyła.

- Bree – w głosie Blanshera pobrzmiwała lekka przygana.
- Przepraszam. Skrajne wyczerpanie budzi we mnie nieumyślny sarkazm. Spodziewacie się czegoś złego ?

- Tak – odpowiedział Viltry.

- Ja też tak myślę – dodał Blansher – Byłem w Operacjach. Wszyscy siedzą tam jak na szpilkach. To bardzo dziwny spokój. Każda baza w obrębie Morza Zophonianckiego została postawiona w stan pełnej gotowości.

- Obudźcie ludzi i każcie się im przygotować – poleciła.

Viltry przyjął skinięciem głowy rozkaz, wyszedł szybko z sali odpraw.

- Szykuje się to, o czym wspominałaś – powiedział Blansher.

- A co mówiłam ?

- Że jesteśmy w stanie ich zatrzymać, jeśli tylko nie rzucają na nas wszystkiego, co mają w jednym momencie.

- Muszę lepiej panować nad swoim językiem.

- Dlaczego oni nagle przestali latać, Bree ? Wszyscy naraz, co do jednej maszyny ?! Co innego mogą robić jak nie przezbrajać i tankować wszystkie swoje samoloty ?

Dźwięk radiowego trzasku sprawił, że Jagdea podskoczyła mimowolnie. Odezwał się komunikator sali odpraw. Blansher podniósł słuchawkę urządzenia, przyłożył do ucha.

- Hangar trzeci, Umbra. Tak, sir. Dopilnuję tego. Będziemy przygotowani.

Odłożył słuchawkę na widelki.

- Pełny stopień gotowości. Detektory dalekiego zasięgu zarejestrowały znaczący wzrost temperatury powietrza wzdłuż całej południowej linii wybrzeża.

- Co jest źródłem tego wzrostu ?

Blansher wzruszył ramionami.

- Być może mnóstwo rozgrzewanych w tym samym momencie lotniczych silników.

W hangarze zapaliły się wszystkie światła, mechanicy zabrali się za wykonanie ostatnich testów maszyn. Przez wylot skalnej grotty sączył się słabutki blask przedświt. Marquall wyczuwał chłodny zapach morskiej wody. Walczył z napiętymi jak postronki nerwami, zresztą nie on jeden. Niektórzy wojskowi zdawali już sobie sprawę z tego, co ich czeka; inni byli zdenerwowani z powodu swej niewiedzy.

- Wszystko gra, Vander ? – zapytał przechodzący obok Van Tull. Phantyńczyk żuł jedną z żelaznych racji. Jak człowiek może cokolwiek jeść w stanie takiego napięcia, zdumiał się w duchu Marquall.

- Wszystko gra – odpowiedział. Van Tull uśmiechnął się lekko, z kącików jego ust pociekły małe strużki krwi. Mężczyzna wciąż jeszcze cierpiał z powodu zatrucia wadliwą mieszką tlenową. Tronie, wspomóż mnie, pomyślał Marquall, spośród wszystkich rodzajów śmierci, i tych mi dobrze znanych i tych widzianych tylko w sennych koszmarach, który byłby najgorszy ? Trucizna sącząca się w maskę tlenową, zabijająca niedostrzegalnie, skrycie.

Van Tull wskazał ręką obchodzącego Thunderbolta Darrowa.

- Chłopak nieźle się spisał wczoraj, nieprawdaż ? Ładny debiut.

- Owszem – odparł Marquall zastanawiając się jednocześnie, czy pójść zwymiotować do latryny czy jednak tego nie robić – Poradzi sobie. Wszyscy sobie poradzą.

- Zmieniłeś swoje nastawienie – skomentował drwiąco Ranfre, który wyrósł zniemacka za plecami rozmówców.

Marquall wzruszył ramionami.

- Łudzę się taką nadzieją. Mam nadzieję, że sobie poradzą, bo jeśli będzie inaczej, już po nas.

Viltry skończył zapinać guziki kombinezonu, poprawił rękawice.

Kątem oka dostrzegł nadchodzącą Jagdeę.

- Wiadomo już cokolwiek ? – zapytał.

Potrząsnęła przecząco głową.

- Słuchaj, Bree – zaczął kapitan – Jest coś, o czym...

- Co takiego ?

Uśmiechnął się krótko.

- Nie, teraz nie czas na taką rozmowę. Pogadamy później.

Jagdea przytaknęła mu ruchem głowy, poszła dalej. Minęła siedzącego na rozkładanym krzeselku Zemmica, liczącego jeden po drugim wszystkie swoje amulety, ciągle od nowa. Cordiale i Del Ruth grali w marynarza, próbując w ten sposób zaprzętnąć czymś myśli.

- Wszystko u was gra ? – zapytała ich Jagdea.

- Tak, ma'am – odpowiedziała Aggie Del Ruth. Dziewczyna miała rozbrajający uśmiech. Większość mężczyzn nie uznałaby jej za śliczność, zbyt ostre miała rysy twarzy, zbyt szeroką szczękę. O kobietach takich jak Del Ruth ojciec Jagdei zwykł mówić „przytulanki”.

- Cordiale ?

Cordiale błysnął w uśmiechu zębami, poklepał się po kieszeni kurtki.

- Szczęśliwe piórko cały czas na miejscu, pani komandor.

Scalter rozmawiał z Blansherem zadając mu jakieś zawiłe pytania natury technicznej dotyczące pomp paliwowych. Major sprawiał wrażenie całkowicie spokojnego. Nad wyraz stabilny psychicznie mężczyzna, pomyślała Jagdea.

Kamiński stał samotnie u wylotu hangaru, wpatrzony w jaśniejące z wolna niebo.

- Wszystko w porządku ? – spytała go podchodząc bliżej.

- Tak mi się wydaje – odparł.

- Po prostu... zrób to, na co cię stać – powiedziała.

- Czekałem kawał czasu na taką szansę, komandor – odrzekł Kamiński podnosząc lewą dłoń

- Jak dotąd nie miałem okazji podziękować pani za tę możliwość.

Uścisnęła jego lewą rękę. Wydało jej się to nieco dziwaczne, ale w głębi ducha wiedziała, że on rozmyślnie nie chciał jej podać zastępującej prawą dłoń protezy.

- Nigdy nie podziękowałam ci za wywiezienie z Thedy – powiedziała – Czy teraz jesteśmy kwita ?

Uśmiechnął się lekko.

- Nad czym rozmyślałeś ? – zmieniła temat Jagdea.

- Wszyscy wokół są przestraszeni – odparł Kamiński – To chyba naturalny stan rzeczy. Osobiście nie mogę już wytrzymać tego czekania.

Mężczyźni nie było długo dane czekać. Jego ostatnie słowa utonęły w ryku alarmowych klaksonów.

Nad archipelagiem, 05.39

Umbra opuściła hangar i zaczęła pięć się w górę ziejąc ogniem dopalaczy. Z wszystkich hangarów Lucerny startowały Thunderbolty: siedemdziesiąt dwie maszyny opuściły skalistą wyspę przypominającą w promieniach wschodzącego dnia połyskliwy różowy blok szkła.

W radiu nie ustawał przepływ komunikatorów Operacji. Lojaliści rzucali w powietrze wszystko, co miało silniki i skrzydła, samoloty startowały z baz na archipelagu, z Limbusa i Zophos, z północnego wybrzeża i fortec Ingeburga.

Nad południowym wybrzeżem detektory dalekiego zasięgu zarejestrowały mrowie sygnałów.

Jagdea przeklinała bezgłośnie rozwój wydarzeń. Nieprzyjaciel faktycznie rzucił na imperialistów wszystko, co miał w swej dyspozycji.

- Pułap osiem tysięcy, Umbra. Prędkość dwa i pół.

Piloci wykonali polecenie. Zachmurzenie wynosiło cztery dziesiąte, wiał przy tym silny wiatr ku północy, który dodatkowo zwiększał prędkość nieprzyjacielskich samolotów.

- Wszystko w porządku ? – zapytała przez radio Jagdea.

- Lider, mówi Ósemka. Mam problem z silnikiem.

- Poradzisz sobie z nim, Marquall ?

Siedzący w swoim kokpicie Marquall poruszał tam i z powrotem dźwignią przepustnicy. Jego prawy silnik prychał i strzelał co chwila, wprawiając *Dwugłowego Orła* w dzikie podskoki.

- Próbuję, Lider.

Silnik zacharczał przeciągle i zgasł. Dziewięć-Dziewięć natychmiast wypadł z formacji, zaczął tracić prędkość.

- Umbra Osiem, podaj swój status.
- Silnik wysiadł – zgłosił Marquall. Phantyńczyk nacisnął klawisza startera, raz, drugi raz. Bez efektu.
- Lider, silnik definitywnie nie nadaje się do użytku.
- Odpuść, Ósemka. Wracaj do bazy, niech technicy usuną defekt. Do niczego się nie nadasz latając na jednej turbinie.
- Potwierdzam – odparł pilot wchodząc w szeroki łuk.
- Skorygować szyk, eskadra – powiedziała Jagdea. Jedna maszyna stracona, a nawet nie zdążyli wejść do akcji.

Lokalizator zaczął pokazywać niezliczone mrowie sygnałów. Jagdea uderzyła palcami w ekran urządzenia nie dowierzając własnym oczom. To nie było możliwe.

Ale lokalizator nie kłamał. Radar wskazywał dziesiątki nieprzyjacielskich wypraw bombowych, każda z nich liczyła dobre pięćset maszyn.

- Święty Tronie Terry – wydyszała kobieta – Umbra, mówi Lider. Cele w odległości pięćdziesięciu kilometrów. Dystans dziesięć tysięcy i uderzamy. Atakować wedle uznania, starczy dla każdego.

- Potwierdzam, Lider – odpowiedział Blansher. Samoloty zaczęły piąć się w górę.

Darrow skontrolował swą mieszankę tlenową i wszedł na ósmą Van Tulla. Chłopak czuł wyraźnie puls w nadgarstkach ciasno skrępowanych lotniczymi rękawicami. Włączył i wyłączył działka chcąc się upewnić, że na pulpicie zapłonnie zielonka lampka.

Kontrolerzy lotów oszaleli do końca, Operacje zaczęły rejestrować pełny obraz nieprzyjacielskiej ofensywy. Kontakty pojawiły się nad St Hagen, Morzem Ezry, deltą Festusa. Skrzydła marynarki napotkały na gigantyczne formacje bombowców ubezpieczone przez myśliwską eskortę. Ponad wodami Morza Zophonianckiego rozpoczynały się monumentalne podniebne bitwy.

- Dystans pięć tysięcy i maleje – zawołała Jagdea – Trzymać szyk. Wypatrywać eskorty.

Na wysokim pułapie było pusto, ale w dole lokalizatory sygnalizowały mnóstwo obiektów.

Darrow nie miał pojęcia, czy to możliwe, by w powietrzu znajdowało się tyle samolotów jednocześnie. Może był to błąd urządzenia namierzającego ?

- Umbra, uzbroić działka. Cele poniżej, na czterech tysiącach. Łamać szyk i atakować.

Thunderbolty runęły w lot nurkowy. Siedząc w kabinie spadającego pionowo w dół samolotu, Darrow ujrzał pasmo chmur i wyzierające spod niego kształty nieprzyjacielskich bombowców. Lokalizator nie kłamał, wróg wypełnił swymi maszynami przestworza.

- Atak ! – krzyknęła w eter Jagdea.

Powietrze wypełniło się ogniem i stałą, ponad formacją bombowców wykwitła pajęczyna smugowych pocisków. Darrow czuł jak jego samolot drży pod wpływem pobliskich detonacji. Pionowy lot nurkowy zdawał się paraliżować młodego pilota. Wybierz jakiś cel, powtarzał sobie w myślach, wybierz jeden cholerny cel albo przestrzelisz bez efektu ich formację. W dole wykwitło kilka większych eksplozji. Dwa lub trzy bombowce w polu widzenia Darrowa wybuchły, rozpadły się na płonące części.

Obrał za cel superciężki samolot w jaskrawoczerwonych barwach, o czterech skrzydłach i ośmiu wektorowych turbinach. Nie miał pojęcia, co to za typ bombowca, nigdy wcześniej niczego takiego nie widział. Nieprzyjacielska maszyna przypominała rozmiarami Onero. Liczne wieżyczki strzeleckie otworzyły ogień z ciężkich bolterów, kilka pocisków trafiło w jedno ze skrzydeł Thunderbolta.

Spadając pionowo w dół Darrow zaczął w końcu strzelać z laserów, wielkie fragmenty kadłuba bombowca uległy w ułamku chwili dezintegracji. Pilot uświadomił sobie znienacka, że znajduje się na kursie kolizyjnym i przy tej prędkości nieuchronnie zderzy się z sekcją ogonową bombowca. Pociągnął za drążek sterowy próbując odbić w bok, ale rozpędzona

maszyna reagowała na jego polecenia nad wyraz opornie. Wystrzelił ponownie, ponownie. Trafienie, trafienie, trafienie...

Gigantyczny bombowiec wyleciał w powietrze przeistaczając się w wielką tłustą kulę ognia przetkaną wstęgami czarnego dymu. Darrow przeleciał przez chmurę szczątków, znalazł się pod heretycką formacją. Gdyby ostrzelany przez niego samolot nie eksplodował, kadet niechybnie by się z nim zderzył. Chłopak walczył ze sterami myśliwca próbując podnieść w górę jego nos. Skulił się w fotelu w sposób, którego nauczyła go Jagdea, ale i tak niemal nie stracił przytomności pod wpływem silnego przeciążenia.

Samolot Darrowa zaczął piąć się w górę, drążek pracował już sprawniej. Enothianin spostrzegł maszynę Scaltera goniącą za innym z superciężkich bombowców. Prujący z wszystkich luf major zdołał poharatać skrzydła i ogon samolotu, wielka maszyna runęła ku powierzchni morza.

Darrow piął się w górę przesuwając przepustnicę. Krople gorącego potu ściekały po jego twarzy, osiadały na wewnętrznej stronie maski tlenowej. Zamrugał czując jak ciepła ciecz zakleja mu oczy. Lokalizator zapiszczał sygnalizując namierzenie następnego z superciężkich bombowców. W powietrzu pojawiły się boltowe pociski wystrzeliwane ze spodnich wieżyczek maszyny.

Darrow śmignął w górę odchodząc jednocześnie nieco w prawo, wystrzelił cztery serie z laserów. Bombowiec stracił jedno ze skrzydeł. Wielki samolot zakotłosał się w powietrzu, przechylił, przewrócił do góry nogami wpadając w korkociąg i stanął w płomieniach.

Jagdea zestrzeliła jednego Tormentora w drodze w dół, drugiego zaś podczas lotu wznoszącego. Wyczerpały jej się akumulatory do laserów, więc przełączyła się na automatyczne działka i runęła na ciężki bombowiec. Puściła w stronę celu kilka serii, ale ogień zaporowy wieżyczek szybko zniechęcił ją do dalszego ataku.

Po lewej spostrzegła zaliczającego strącenie Zemmica, Del Ruth przeleciała nad jej kabiną ścigając uszkodzonego Tormentora, który wyłamał się z nieprzyjacielskiej formacji.

Komandor kopnęła pedały stateczników ogonowych, zaczęła wślizgiwać się pod ciężką maszyną. Viltry powiedział jej wcześniej, że każdy bombowiec ma swój słaby punkt – miejsce, którego nie pokrywały ogniem żadne wieżyczki.

Oberwała dwoma pociskami w pancerza zanim znalazła to miejsce. Uruchomiła działka pakujące serię za serią w opasły brzuch podniebnej bestii.

Superciężki samolot przechylił się na prawą, wypadł z szyku ciągnąc za sobą warkocz tłustego dymu. Eksplodował na długo przed uderzeniem w powierzchnię morza.

Lecąc z Blansherem po swojej prawej, Kamiński spadł na Tormentora, złapał nieprzyjacielską maszynę w celownik.

Minęło wiele czasu od chwili, kiedy ostatni raz przeżywał takie emocje.

- Ognia – powiedział – Ognia. Ognia.

Laserowe działka rzygnęły krechami energii. Tormentor rozpadł się na kilka części, wrak runął w dół.

- Pierwszy dla ciebie, Kamiński – rzucił przez radio Blansher.

Tak, pomyślał Enothianin, pierwszy dla mnie.

Viltry poleciał w ślad za Ranfre i Cordiale. Skręciwszy na prawo złapał w celownik Talona, którego pilot najwyraźniej zamierzał wspiąć się na wyższy pułap. Zanim Phantyńczyk zdążył nacisnąć spust, spostrzegł kątem oka serie pocisków smugowych śmigające gdzieś od dołu. Wykonał kolejny przewrót przez skrzydło, spojrzął w dół.

Powietrze poniżej pełne było bandytów, pnących się w górę, strzelających z wszystkich luf. Bombowce miały eskortę, ale dolną, nie ponad swą formacją.

- Bandyci ! Bandyci ! Bandyci ! – krzyknął kapitan – Na szóstej, idą w górę !

Baza lotnicza Lucerna, 06.01

Trzymając się w powietrzu na jednym silniku, Marquall podszedł do lądowania w hangarze numer trzy. Usiadł w kiepskim stylu, wgniatając część pokrytej metalowymi płytami posadzki, wyorał w niej głębokie bruzdy.

Mechanicy rzucili się w stronę Dziewięć-Dziewięć. Marquall wysiadł z kokpitu, cisnął ze złością hełmem.

- Sir ? – wydyszał Racklae – Uszkodzenie ?

- Nie ! Nie, zasrana awaria silnika ! Siadł w trakcie lotu ! – rozwścieczony Marquall zaczął kopać swój hełm.

- Już się za to bierzemy ! – Racklae zaczął biec w stronę maszyny.

- Naprawcie go ! Naprawcie, do kurwy nędzy ! – rzucił za nim Marquall.

Racklae zatrzymał się w pół kroku, obrócił z kamienną twarzą.

- Spróbujemy to zrobić, sir – wycedził przez zęby.

Marquall spostrzegł wyraz twarzy szefa swej obsługi technicznej i uniósł dłoń w pojednawczym geście.

- Przepraszam – powiedział – Naprawdę przepraszam, Racklae. Ale coś takiego nie miało prawa się wydarzyć. Powinienem teraz walczyć. To ta cholerna klątwa. Klątwa Dziewięć-Dziewięć. Cały czas trwa i...

- Nie ma żadnej klątwy – przerwał mu Racklae – Czemu się wreszcie nie zamkniesz, synku ? Zawsze zwalasz swoją winę na kogoś lub coś innego: swoich kolegów z eskadry, bo mają więcej zestrzałów na koncie... swój rzekomo przeklęty samolot. Wszystko jest winne, tylko nie ty. Ocknij się w końcu. Zacznij robić coś pożytecznego albo, klnę się na Tron, walnę cię osobiście młotkiem w ten zakuty łeb.

Marquall cofnął się mimowolnie o krok.

Racklae poszedł w swoją stronę.

- Ludzie ! – wrzasnął – Naprawić natychmiast ten cholerny samolot !

Nad archipelagiem, 06.15

Razory i Locusty śmigły wszędzie wokół próbując odpędzić imperialne myśliwce od bombowców. Kamiński uznał, że lepiej będzie podjąć od razu walkę z eskortą i zawrócił w stronę heretyckich maszyn.

- Umbra Pięć, gdzie ty lecisz, kurwa mać ?! – w eterze odezwał się Blansher.

Kamiński nie odpowiedział, mamrotał pod nosem swoją mantrę.

- Ognia. Ognia. Ognia. Ognia.

Blansher pomknął w ślad za nim poprzez rozpalone seriami pocisków przestworza. Ujrzał Razona kręcącego się wokół własnej osi, spadającego w dół. Ujrzał Locusta wylatującego w powietrze podczas nieudanej próby ucieczki w górę. Kamiński wbił się pomiędzy heretyckie myśliwce wiedziony czystą furią i nienawiścią.

Blansher wskoczył na pozycję skrzydłowego Kamińskiego, ostrzelał niecelnie jakiegoś Locusta, potem spostrzegł karmazynowego Razona nadlatującego w stronę Kamińskiego. Phantyńczyk zestrzelił heretycką maszynę trzema ostatnimi seriami z laserów.

Przełączył się na automatyczne działka i zanurkował w dół. Kamiński siedział na ogonie następnego Locusta, punktował kadłub nieprzyjacielskiego myśliwca wiązkami energii. Cordiale i Del Ruth przemknęli tuż obok goniąc trzy uciekające szerokim łukiem Locusty.

Blansher wpadł na lecącego w poprzek jego kursu Razona, obrócił lekko Bolta za pomocą korektorów wektorowych, rozpruł kadłub myśliwca długą serią.

Kamiński wykręcił pętlę, złapał w celownik Locusta.
- Ognia.
Żadnego efektu. Akumulatory laserów wyczerpały się do cna.
- Przełącz. Ognia. Ognia.
Z luf automatycznych działek padły dwie krótkie serie. Kamiński cisnął maszynę w skręt i namierzył wzrokiem nieprzyjacielski bombowiec.
- Ognia. Ognia. Ognia.
Bombowiec przechylił się na jedno skrzydło, zaczął zawracać szerokim łukiem. Trafiony w niektóre silniki, pilot najwyraźniej zamierzał wracać z powrotem do bazy.
- Ognia. Ognia – powtarzał Kamiński.
Uszkodzony bombowiec runął w dół ogarnięty jęzorami ognia buchającymi z przestrzelonych zbiorników paliwa.
Grupka bandytów śmignęła obok maszyny Kamińskiego. Enothianin poderwał myśliwiec w górę zawracając im na spotkanie.

Dwa skrzydła Thunderboltów i klucz Lightningów dołączyły zniemacka do walki. Jagdea oberwała w tylne stateczniki i Zero-Jeden stracił sporo na sterowności, ale komandor zdołała wyrwać się spod ostrzału prowadzonego przez trzy ścigające ją Locusty, uciekła w prawo i rozniosła na strzępy kolejnego Tormentora.

Zapas paliwa był krytycznie niski. Reszta maszyn Umbry też musiała latać na rezerwie – o ile jej piloci uczciwie zaangażowali się w akcję.

- Umbra, wyłączyć się z walki. Tankowanie, przebrojenie i wracamy.
- Del Ruth, Cordiale i Zemmic potwierdzili rozkaz natychmiast, potem zgłosili się Darrow, Scalter i Van Tull.

Viltry odezwał się po kilku sekundach ciszy.
- Umbra Dwa ? – zawołała Jagdea.
- Słyszałem, odlatuję – odezwał się Blansher.
- Umbra Pięć ? Kamiński ?
- Przyjąłem, Lider. Kiepsko z paliwem. Wracam do domu.
- Umbra Dwanaście ? Umbra Dwanaście ? Ranfre ? Zgłoś się.

Komandor rozejrzała się wokół przeczesując wzrokiem zatłoczone do granic możliwości przestworza, szukając śladu obecności Ranfre.

Kilka tysięcy metrów niżej, poza polem widzenia Phantyjki, ku powierzchni morza opadał Thunderbolt.

Samolot Ranfre przemknął przez środek wyprawy bombowej. Niemal wszystkie boltowe pociski wystrzelone z wieżyczek heretyckich maszyn chybiły – wszystkie z wyjątkiem jednego, który przebił szybę kokpitu i rozerwał głowę Ranfre.

Jego pozbawiony kontroli Thunderbolt tracił z wolna wysokość, dopóki nie uderzył w morską toń.

Baza lotnicza Lucerna, 08.13

Samoloty dostały się do hangaru przez południowy wylot. Z maszyny Del Ruth buchały kłęby dymu, a stateczniki w myśliwcu Jagdei przypominały podarty parasol łopoczący na wietrze.

- Naprawić, przebroić, zatankować ! – krzyknęła w stronę mechaników Phantyjka.
Wózki amunicyjne i cysterny paliwowe już się toczyły po posadzce hangaru.
- Gdzie jest Marquall ? – zawołała do Racklae Jagdea.
- Był tutaj, pani komandor ! Naprawiliśmy mu silnik ! Zaraz potem odleciał !

Struga paliwa zaczęła wyciekać ze źle podpiętego przewodu paliwowego w myśliwcu Cordiale. Racklae pobiegł w tamtą stronę siejąc przekleństwami.

Jagdea wyjrzała z wylotu hangaru na niebo.

Marquall był gdzieś tam. Sam.

Nad archipelagiem, 08.45

Przestworza zdawały się płonąć. Marquall wziął głęboki wdech porażony tym widokiem. Nigdy wcześniej w życiu nie miał sposobności ujrzeć tylu samolotów w powietrzu jednocześnie.

Rzucił Dziewięć-Dziewięć w lot nurkowy i spadł na skrzydło Locustów, liczące dobre trzydzieści maszyn. Phantyńczyk nie dbał o przewagę liczebną wroga. Wpadł pomiędzy samoloty, wystrzelił w chwili, w której usłyszał piśnięcie lokalizatora.

Jeden z niewielkich heretyckich myśliwców zakołysał się gwałtownie, po czym wybuchł rozlatując się na kawałki.

- Trzeci ! – wrzasnął uszczęśliwiony Marquall – Trzeci ! Cholerny trzeci zestrzał !

Skrzydło Locustów złamało szyk, rozpierchło się zawracając do ataku. W ułamku chwili nieprzyjacielskie myśliwce znalazły się wszędzie wokół imperialnej maszyny.

Marquall dostał trzema pociskami w prawe skrzydło, dwoma w lewe, czterema w sekcję ogonową. Sapnął z wrażenia, zaczął piąć się w górę w próbie ucieczki. Mrowie Locustów popędziło w ślad za nim.

Ujrzał nagły rozbłysk. Mijające go w pędzie kształty.

Osiem Thunderboltów w kremowych barwach spadło na spotkanie Locustom.

Apostołowie.

Tronie Terry, Apostołowie !

- Larice ? – wyszeptał Marquall.

Święty Tronie, ależ ci piloci potrafili walczyć. Perfekcyjne wyczucie czasu, perfekcyjna formacja. Wpadli pomiędzy heretyckie myśliwce strącając większość z nich w pierwszym podejściu.

Byli tak niewiarygodnie szybcy, że Marquall, lecący osiemset kilometrów na godzinę, nie mógł się oprzeć wrażeniu, że tkwi nieruchomo w powietrzu.

- Larice ? Larice Asche ? – krzyknął w eter.

- Kto to ? – padła twarda odpowiedź.

- Umbra Osiem.

- Marquall ? Na Imperatora, to nie czas na pogawędki ! Zabieraj stąd dupę !

- Potwierdzam, Larice. Odlatuję.

- Spadaj do diabła. I nie wywołuj mnie w ten sposób. Jestem Apostołem Pięć.

Nad archipelagiem, 09.18

Blansher wziął pod swoje rozkazy pierwsze cztery maszyny, które zostały przygotowane do startu: Van Tulla, Cordiale, Scaltera i Zemmica. Pozostali mieli polecieć razem z Jagdeą natychmiast po naprawieniu jej uszkodzonych stateczników ogonowych.

Grupa Blanshera poleciała na południowy zachód, w kierunku Thedy. Złożona z ośmiu Thunderboltów eskadra marynarki dołączyła do Phantyńczyków podrywając się z innego hangaru Lucerny.

Południowy horyzont przypominał pilotom strefę burzową. Nad morzem ciągnęła się szeroka brązowa ściana dymu, przetykana ognistymi punkcikami wybuchów przywodzącymi na myśl błyskawice.

Zmniejszając dystans lotnicy ujrzeli jak ściana dymu przeistacza się w dywan gęstych wyziewów silnikowych pochodzących z tysięcy samolotów, zapelniających całe przestworza.

Phantyńczycy minęli kilka imperialnych formacji zawracających do baz. Blansher nie przestawał wywoływać Marqualla, ale w eterze panował chaos tworzony przez tysiące nakładających się na siebie komunikatów i meldunków. Zgodnie z ostrzeżeniami Operacji gigantyczna bitwa powietrzna nad archipelagiem była zaledwie jedną z trzech podniebnych konfrontacji, toczonych również nad Morzem Ezry i nad wschodnim wybrzeżem w okolicy Ingeburga. Niektóre raporty mówiły o wyprawach bombowych nieprzyjaciela, które zdołały przedrzeć się ponad archipelagiem i atakowały Zophos oraz miasta na północnym wybrzeżu. Każda zdolna do lotu imperialna maszyna była już przynajmniej drugi raz w powietrzu tego dnia.

Dystans do celu malał. Duża grupa Hell Talonów zmierzająca prosto na północ.

- Umbra – rzucił w eter Blansher – Atakujemy.

Nad archipelagiem, 09.18

Jagdea nie mogła się oprzeć wrażeniu, że naprawa stateczników ciągnie się w nieskończoność; Hemmen ostrzegł ją zresztą, że będzie to jedynie prowizorka. Zaraz po starcie przyspieszyła do maksymalnej prędkości, ścigana przez Del Ruth, Kamińskiego, Viltry'ego i Darrowa. Phantyjka nie czekała na instrukcje Operacji, nie było to już konieczne. Przestworza rozciągające się przed nosem jej maszyny pełne były nieprzyjacielskich samolotów.

Umbra pomknęła w stronę czterech Marauderów, ciężko uszkodzonych i prześladowanych przez eskadrę dziewięciu pomalowanych na niebiesko Locustów. Bandyci latali niczym jeden żywy twór, doskonale manewrując i współpracując ze sobą tak ściśle, jakby sterował nimi jeden bezlitośnie efektywny umysł.

Grupa Jagdei uderzyła prosto na nich.

Jeden z Marauderów uległ w końcu ostrzałowi, zaczął spadać w stronę rozciągających się poniżej atoli. Piloi myśliwców mieli spore kłopoty z oceną sytuacji, walki toczyły się wszędzie wokół, pojedyncze pojedynki nakładały się na siebie. Umbra wiązała walką niebieskie Locusty, kiedy w jej strefę wpadło siedem Lightningów atakujących trzy pary Razorów. Jagdea zmuszona została do uniki przed jedną parą Razorów – heretycy piloci zarzucili pościg za Lightningami i zawrócili w stronę Phantyjki. Jakakolwiek namiastka kontrolowanego szyku w formacji Umbry przestała ostatecznie istnieć.

Darrow przemknął ponad jednym z Marauderów i wszedł na ogon złotego Hell Razora, którego pilot albo był zbyt zdezorientowany sytuacją albo wysiadły mu wektorowe dysze. Enothianin wystrzelił oczekując, że bandyta odskoczy w lewo, ale heretyk nie chciał lub nie mógł takiego manewru wykonać. W rezultacie pierwsza seria Darrowa chybiła. Odskakując z powrotem na prawo chłopak pochwyił nieprzyjacielską maszynę z powrotem w celownik, wystrzelił drugi raz, strącił ofiarę jedną serią.

Kamiński i Viltry znaleźli się we wschodniej części pojedynku, odseparowani od reszty Umbry nagłym pojawieniem się Razorów. Obaj mężczyźni stanęli w obliczu ataku ze strony wszystkich dziewięciu niebieskich Locustów. Obaj wykreślali w powietrzu zawile uniki, bandyci tańczyli wokół nich niczym ławica ryb, poruszająca się pod wpływem stadnego instynktu. Zmieniając raptownie szyk heretycy zatoczyli ciasny łuk, ustawiając się niemalże w równy szereg. Kamiński uciekł w bok, Viltry wykonał dziki zwrot za pomocą napędu wektorowego obracając swój samolot nosem w stronę nadlatujących przeciwników.

Jego lokalizator zapiszczał natychmiast, oficer nacisnął spust strzelając z automatycznych działek. Pierwszy Locust wyleciał w powietrze, a ponieważ nieprzyjacielskie maszyny leciały

niemalże w idealnym szeregu, pociski kapitana przestębnowały również drugi w szyku heretycki myśliwiec, dezintegrując go w ułamku chwili.

Sekundę później Viltry skreślił gwałtownie w bok uciekając przed resztą eskadry. Coś śmignęło obok jego kokpitu, spostrzegł maszynę Kamińskiego kończącą pętlę i wpadającą pomiędzy środek formacji heretyków. Piloci Locustów po raz pierwszy zmuszeni zostali do złamania swego szyku.

Kamiński strącił jednego, drugiego uszkodził, potem rzucił się w pościg za trzecim siedząc mu uparcie na ogonie. Niebieski bandyta tak desperacko wywijał się napastnikowi, że wleciał ślepo prosto w pole ostrzału kapitana. Viltry zestrzelił go jedną salwą z laserów.

Kamiński i Viltry minęli się w powietrzu z rykiem silników. Przerzedzone skrzydło Locustów odskoczyło od walki, zawróciło na południe.

Nad archipelagiem, 10.10

Grupa Blanshera dokończyła swój pojedynek i piloci mieli sposobność, by przez krótką chwilę nacieszyć się spokojnym lotem. Moment potem lojalistyczne maszyny zostały uwikłane w kolejną walkę, tym razem z przeciwnikami spadającymi z wyższego pułapu. Potyczka przeniosła się na niższy pułap, potem jeszcze niższy. Na walczące w ciasnych zwrotach maszyny spadał deszcz płonących blach, fragmentów poszycia i szkła pochodzących z wraków samolotów zniszczonych na wyższych pułapach. Jeden z takich szczątków uderzył w nos myśliwca Scaltera, niszcząc bezpowrotnie jego laserowe działka i zdzierając część masywnej obudowy z prawego silnika. Major krzyknął zaskoczony, zaczął walczyć z tracącą sterowność maszyną. Wychylając się z fotela spostrzegł wyładowania energii skaczące po pancerzu nosowym Thunderbolta, więc wyłączył czym prędzej akumulatory zasilające laserową broń.

- Umbra Siedem ! Uważaj ! – krzyknął Blansher.

Scalter został nagłym zderzeniem zaprzątnięty tak niepodzielnie, że przez dłuższą chwilę leciał w linii prostej. Fioletowy Hell Talon wypadł spośród kłębow dymu ponad maszyną imperialisty i zaczął strzelać w jej stronę.

Scalter siedział w opancerzonym kokpicie śledząc kątem oka mijające go z obu stron pociski, sprawiał wrażenie całkowicie sparaliżowanego. Blansher nie mógł majorowi pomóc, sam miał na ogonie kłopoty pod postacią dwóch Hell Razorów.

Cordiale nadleciał od strony północy, strzelając długimi seriami. Talon dostał kilkoma pociskami w tylną część kadłuba i z miejsca zostawił Scaltera w spokoju. Heretycki samolot zmniejszył wysokość śmigając w stronę powierzchni morza, próbując uciec ścigającemu go Cordiale.

Obie maszyny przemknęły niecałe dziesięć metrów nad wodą, wzbijając w powietrze pasy morskiej bryzy. Talon odbijał to na prawo, to na lewo, chował się ponad szczytami atoli, między skalnymi ścianami; jego pilot za wszelką cenę próbował utrzymać się na minimalnej wysokości, by stanowić jak najmniejszy cel dla lojalisty. Cordiale nie rezygnował, ciągle trzymał się na ogonie ofiary, śmigał tuż nad skalistymi wysepkami. Samoloty zatoczyły łuk wokół stromego klifu, w powietrzu rozniósł się huk ich silników spotęgowany odbitym od skał echem. Maszyny przeskoczyły nad dwoma kotwiczącymi na atolu barkami; Cordiale omal nie zahaczył o maszyny obu jednostek, przeszedł dobre kilka centymetrów nad ich czubkami. Talon pomknął nisko nad powierzchnią laguny, ostrzelany przez baterie Hydr ustawione wzdłuż linii brzegowej, popędził dalej.

Cordiale skreślił w ślad za heretykiem, prawie obracając się w miejscu. Phantyńczyk roześmiał się widząc jak spłoszone hukami samolotów morskie ptaki podrywają się w panice ze skał.

Talon skręcił w lewo, przeleciał nad pasem niewielkich wysepek. Mknący w ślad za nim Cordiale usłyszał pisk lokalizatora i nacisnął spust.

Talon załamał tor lotu i uderzył nosem w jedną ze skał, wybuchając w spektakularny sposób. Cordiale przeleciał nad miejscem kraksy, obejrzał się przez ramię śledząc wzrokiem rosnącą kulę ognia.

Jego pędzący z prędkością siedmiuset kilometrów na godzinę samolot wpadł w stado przestraszonych ptaków. Każdy z nich ważył około kilograma – żywe pociski zdemolowały nos myśliwca i wgniotły spory jego fragment. Dwa ptaki unicestwiły w ułamku sekundy prawy silnik Thunderbolta, a jeden wpadł do środka kokpitu, roztrzaskał układ celowniczy i wbił maskę tlenową głęboko w twarz pilota łamiąc mu jednocześnie kark.

Umbra Jedenaście uderzyła w ostatnią z wysepek i przestała istnieć w deszczu rozlatujących się na wszystkie strony kawałków metalu, szkła i części maszynarii.

Nad archipelagiem, 10.45

Zawracając w stronę bazy grupa Jagdei wpadła na skrzydło Tormentorów, które wyrwało się ze strefy walki i leciało nad Morze Ezry. Phantyńczycy atakowali nieprzyjaciela do niemal całkowitego wyczerpania zapasów paliwa, potem dali za wygraną.

Zwiększając pułap i kierując się ku Lucernie napotkali Marqualla.

- Umbra Osiem – rzuciła w eter Jagdea – Gdzieś ty się podziewał, do diabła ?
- Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, Lider – odpowiedział Marquall – Ale było tam prawdziwe zatrzęsienie samolotów.

Baza lotnicza Lucerna, 11.30

- Przygotujcie je do startu tak szybko jak to tylko możliwe ! – krzyknęła Jagdea zeskakując ze skrzydła myśliwca. Jej czwórka wylądowała w bazie razem z Marquallem, a zgodnie z informacjami Operacji eskadra Blanshera znajdowała się nie dalej jak pięć minut lotu od Lucerny.

- Tak jest, ma'am ! – odrzekła Racklae. Spod Thunderbolta Kamińskiego buchały kłęby dymu, Racklae rzucił w tamtą stronę grupę mechaników z gaśnicami. Odwracając się z powrotem w stronę Jagdei wskazał dłonią na rząd amunicyjnych wózków ustawionych pod ścianami hangaru.

- Nie zrealizowaliśmy całego ostatniego zamówienia, pani komandor – oświadczył – Byłem osobiście w arsenale, ale powiedzieli mi, że wypompowujemy do cna magazyny. Tylko w godzinach porannych musieli nam wydać tyle amunicji, co w ciągu normalnych ośmiu dni lotów.

- Niech szybciej pracują – odrzekła Jagdea.

- Nie o to chodzi, proszę pani. Magazyny są prawie puste. Munitorium czeka na dostawy, które przyplnęły barkami i trzeba je jeszcze rozładować. Trochę to potrwa.

- Pójdę tam i pogadać, z kim trzeba – stwierdziła Jagdea kierując się w stronę pokoju odpraw. Obejrzawszy się przez ramię krzyknęła do pilotów – Wszyscy, powtarzam, wszyscy mają obowiązkowo się czegoś napić ! Możecie też coś zjeść, jeśli jesteście w stanie, ale nie przesadzajcie z posiłkiem. Priorytetem są napoje.

Marquall wysiadł z kokpitu i wziął do ręki podaną mu przez jednego z mechaników butelkę z wodą. Wypluł pierwszy łyk próbując pozbyć się z ust natrętnego posmaku gumy będącego pozostałością po uciskającej twarz masce tlenowej.

- Chodził dobrze ? – zapytał Racklae.

Marquall skinął głową.

- Cóż, chciałem przeprosić za...

Racklae uniósł pojednawczo rękę.

- Nie ma takiej potrzeby, sir.
- Straciłem trzeciego – powiedział pilot.
Szeft obsługi technicznej wyszczerzył w uśmiechu zęby i poklepał Marqualla po ramieniu.
- I proszę, gdzie się podział ów pech ?

Znajdująca się w sali odpraw Jagdea wykonała połączenie telefoniczne z dyżurką arsenału i wysłuchała tych samych wyjaśnień, które przedstawił jej chwilę wcześniej Racklae.

- Wyjdźcie na zewnątrz i rzućcie okiem na niebo, może to przyspieszy wam ruchy – doradziła sarkastycznie i odłożyła słuchawkę.

Prowadząc rozmowę Jagdea śledziła równocześnie wzrokiem ekran terminala taktycznego. Wyświetlane na jego powierzchni sygnatyry bardziej przypominały jej taflę zraszanego deszczem jeziora niż system lokalizowania nieprzyjacielskich samolotów.

Viltry wszedł do sali, zdjął z głowy hełm, spojrzał w stronę ekranu.

- Operacje twierdzą, że wróg się wycofuje – powiedział.
- Operacje mogą mnie w tyłek pocałować, oni nie byli tam, gdzie my przed chwilą – odparła.
- Nie – zaprzeczył jej słowom Viltry wskazując na południową krawędź wyświetlacza – Widzę sens w tym, co mówią kontrolerzy. To można tu odczytać. O świcie rzucili na nas gigantyczną falę. Niebo może być wciąż jeszcze pełne samolotów, ale większość nieprzyjacielskich maszyn wycofuje się na południe po paliwo, amunicję albo wraca znad wyznaczonych celów. Widzisz to tutaj ?

Kapitan stuknął palcem we wschodni rejon Morza Zophonianckiego.

- To są bombowce średniego typu, wszystkie lecą na południe. Pierwsza fala została odparta.
- Pierwsza fala – powtórzyła Jagdea – Ofensywa na taką skalę to gra o wszystko. Powrócą, gdy tylko zatankują i przebroją samoloty.

Viltry przytaknął jej ruchem głowy.

- Oczywiście. Mam takie wrażenie, że będą to powtarzać, dopóki nas nie złamią. Arcynieprzyjaciół posiada szereg charakterystycznych cech, ale subtelność nie należy do jego mocnych stron.

- Szczera prawda – przyznała kobieta – Startujemy tak szybko jak to tylko będzie możliwe. Polujemy na maruderów i próbujemy nabrać trochę wysokości przed nadciągnięciem drugiej fali.

- Zobaczą, czy Racklae nie mógłby dla nas załatwić parę rakiet.

- Będiesz szczęściarzem, jeśli uda ci się coś załatwić – Jagdea roześmiała się bez cienia wesołości w głosie.

- Mając rakiety moglibyśmy poszukać i wyeliminować lotniskowiec. Nieważne, ile bandytów mają w hangarach, nie zdołają ich przygotować do kolejnego startu nie mając sprawnych lotniskowców.

- Tak – odparła Phantyjka spoglądając w stronę tablicy z grafiką napraw prowadzoną przez mechaników. Godziny startów, lądowań, wykaz odniesionych uszkodzeń, wykonane reperacje. Przy nazwisku Ranfre nie było żadnych adnotacji.

- Ranfre ? – zapytał Viltry czytając w jej myślach.

Skinęła głową.

- Nie widziano go od szóstej trzydziści. Nawet przy locie na najbardziej oszczędnym trybie nie miałby dość paliwa, by latać aż do tej pory.

- Może wylądował w innej bazie – zasugerował Viltry – Albo... wyskoczył ze spadochronem... albo...

Komandor doceniała starania mężczyzny. Ujęła w dłoń flamaster i wypisała obok nazwiska pilota adnotację „zaginiony”.

- Jest taka jedna sprawa, o której dużo ostatnimi czasy myślałem – powiedział cicho Viltry – Wiesz... chodzi mi o śmierć.

- Myślmy o tym wszyscy – odpowiedziała Jagdea.

Potrząsnął przecząco głową.

- Mam na myśli mój specyficzny przypadek. Jak Imperium długie i szerokie, każdy przekonany jest, że Oskar Viltry nie żyje. Jestem teraz... jedynie kawałkiem papieru, bezimiennym numerem do weryfikacji.

- I ?

- Możesz mi coś obiecać, Bree ?

- Tak – odpowiedziała bez zastanowienia.

- Jeszcze nie wiesz, o co zamierzam poprosić. Jestem tutaj, u twojego boku, dumny z przynależności do Umbry. I tak pozostanie aż do końca.

- Wiem – odpowiedziała. Niewielu znanych jej ludzi było równie lojalnych i wiernych jak Oskar Viltry.

- Lecz kiedy to dobiegnie końca, kiedy wygramy... nie mam na myśli dnia dzisiejszego, chodzi mi o tę tutejszą wojnę... możesz zapomnieć, że kiedykolwiek mnie widziałaś ?

- O czym ty mówisz ? – roześmiała się w pierwszej chwili, ale natychmiast spoważniała widząc wyraz jego oczu. Viltry wyjął z kieszeni otrzymany w biurze Munitorium dokument i wygładził go palcami jednej dłoni.

- Zapomnij o tym, że Oskar Viltry powrócił z pustyni i latał razem z tobą. Zgłoś ten anonimowy numer ze statusem zaginiony w akcji. Pozwól mi zniknąć, tutaj, na Enothis, kiedy ta wojna dobiegnie końca.

Zamrugła z niedowierzaniem oczami.

- Czy tego właśnie chcesz, Viltry ?

- Tak. I nie tylko ja. Jest ktoś jeszcze... – kapitan urwał na chwilę – Wiele trzeba tu będzie odbudować po wojnie.

Jagdea zamyśliła się, po czym wyjęła dokument z dłoni lotnika.

- Obiecuję – powiedziała.

W ciasnej przestrzeni hangaru uwijali się w szaleńczym tempie mechanicy. Darrow usiadł pod jedną ze ścian nie mówiąc ani słowa. Jego ręce już się nie trzęsły, były nieruchome. Dreszcze przenikały dla odmiany umysł kadeta, wstrząsały jego jaźnią, wywracały ją na drugą stronę. Jeden krótki poranek. Darrow nie pamiętał prawie niczego z tego lotu, jedynie jakieś urwane fragmenty, zapach paliwa i spalenizny, ogłuszający hałas.

Usłyszał wiwaty kilku ludzi z obsługi technicznej nanoszących kolejny emblemat zestrzału na kadłub maszyny Marqualla. Marquall sprawiał wrażenie bezgranicznie uszczęśliwionego. Chociaż Darrow nie znał go prawie wcale, mógł jednoznacznie stwierdzić, że Marquall desperacko pożądał chwały myśliwskiego asa.

Kadet zamyślił się na moment, po czym stwierdził z zawstydzeniem, że nie pamięta, ile samolotów sam do tej pory zestrzelił. Spróbował odtworzyć wszystkie strącania w pamięci. Pamiętny lot treningowy, potem atak na bombowce...

Uświadomił sobie z niejakim zaskoczeniem, że ma na koncie pięć zestrzałów. Zdobył tytuł asa.

Zdecydował, że nie będzie o tym wspominał Marquallowi.

Zawyły ostrzegawcze klaksony i eskadra Blanshera wleciała do hangaru przez północne wejście. Darrow zerwał się na równe nogi zauważając jak ciężko został uszkodzony samolot Scaltera.

Sam major sprawiał wrażenie wstrząśniętego, ale nie został nawet draśnięty. Jagdea podbiegła do myśliwca lustrując wzrokiem stopień uszkodzeń.

- Lasery całkowicie wyłączone z użytku – powiedział szef zespołu technicznego – Zamontowanie nowego układu zajmie kilka godzin. Możemy od ręki przynitować nowe płyty

pancerza, ale jeśli chcecie mieć maszynę ekspresem gotową do startu, będzie musiał sobie poradzić wyłącznie z działkami automatycznymi.

- Więc sobie poradzi – stwierdziła Jagdea. Spojrzała w stronę Blanshera, Van Tulla i Zemmica wysiadających ze swoich maszyn.

Zamarła w bezruchu. Powodowana troską o stan samolotu Scaltera przeoczyła coś bardzo ważnego.

- Gdzie jest Cordiale ? – zapytała.

Milan Blansher potrząsnął ze smutkiem głową.

Nad Morzem Ezry, 13.16

Druga fala pojawiła się godzinę po południu. Chociaż dzień był nad wyraz pogodny, opary będące pozostałością po porannej bitwie wciąż unosiły się w przestworzach nadając im żółtawą barwę. Nad Thedą, Ezrville i Limbusem unosiły się gigantyczne słupy dymów widoczne z odległości setek kilometrów.

Umbra znajdowała się już w tym czasie w powietrzu, podobnie jak wszystkie inne eskadry stacjonujące na Lucernie, Atoli Żmii i w pozostałych bazach archipelagu. Techadepci pobłogosławili przezbrojone maszyny i posłali je z powrotem w niebo.

Umbra wspięła się na piętnaście tysięcy i podzieliła na dwie grupy. Jagdea wzięła pod swe rozkazy Viltry'ego, Darrova, Del Ruth i Marqualla, Blansher natomiast poprowadził Scaltera, Kamińskiego, Zemmica i Van Tulla. Na lokalizatorach wszystkich pilotów ponownie pojawiła się gigantyczna chmara punkcików wskazujących pozycje nieprzyjacielskich samolotów. Jagdea podsłuchiwała wcześniej rozmowę kontrolerów lotu i dowiedziała się, że podczas porannej bitwy imperialiści walczyli w stosunku jeden do jedenastu. Ciekawiło ją jak rozkładały się proporcje zestrzałów po obu stronach.

Lojaliści otrzymali w południe wsparcie. Jednostki lotnictwa enothiańskiego zostały postawione w stan pełnej gotowości, a ich samoloty stały teraz na pasach startowych w bazach na północnym wybrzeżu. Były to w większości przestarzałe maszyny o klasycznym napędzie odrzutowym lub co gorsza, o spalinowych silnikach. Jagdea zdawała sobie sprawę z faktu, że tego rodzaju myśliwce nie miały żadnych szans w starciu z heretyckimi maszynami o napędzie wektorowym, ale teraz nie miało to już większego znaczenia. Jeśli Arcynieprzyjacieli dotarłby ponad linię północnego wybrzeża, oznaczałoby to tak czy owak koniec wojny.

Tego poranka pomimo ciężkich strat skrzydła lotnictwa marynarki zdołały odeprzeć powietrzny atak wroga. Północne wybrzeże zostało w kilku miejscach zbombardowane, ale odniesione szkody okazały się relatywnie niegroźne.

Przyszła czas na drugą rundę.

Taktyka nieprzyjaciela uległa zmianie. Grupy myśliwców leciały przodem z zamiarem związania walką imperialnych samolotów i zagrozenia ich drogi do znajdujących się w tyle bombowców.

Jagdea śledziła wzrokiem wykreślane na przestworzach smugi kondensacyjne. Bandyci nadlatywali z maksymalną prędkością wprost na zmierzające w przeciwną stronę maszyny lojalistów.

Jaskrawe rozbłyski rozpały niebo na wschodzie i zachodzie, pierwsze jednostki weszły do walki, potok meldunków Operacji przybrał na intensywności.

Na lokalizatorach Umbry pulsowała sygnaturami grupa nieprzyjacielskich myśliwców licząca blisko trzydzieści maszyn, lecąca na pułapie dwunastu tysięcy metrów.

- Zapieprzają kurewsko szybko – Zemmica pozwolił sobie na niecenzuralną uwagę.

- To im trochę zwolnijmy tempo – odrzekła Jagdea.

Dzieląc się na pary piloci Umbry runęli w stronę przeciwnika, strzelając natychmiast po wejściu w zasięg rażenia pokładowej broni. Nieprzyjacielskie skrzydło składało się z Locustów, pomalowanych na szare, złote lub żółte kolory.

Viltry strącił jednego heretyka serią wystrzeloną prosto w nos wrogiej maszyny, Jagdea zestrzeliła dwóch dalszych. Darrow i Del Ruth omal się nie zderzyli ze sobą w trakcie ataku, puścili laserowe wiązki w tego samego przeciwnika rozwalając go w drobne kawałki. Marquall z trudem uniknął odstrzelenia własnego ogona, po czym zaczął nabierać prędkości idąc z pomocą Jagdei.

Dwa szare Locusty dobrały się do samolotu Phantjki pomimo jej szaleńczych uników i nagłych zwrotów. Gdyby kobieta odważyła się na jeszcze ciaśniejsze skręty, ryzykowała utratą siły nośnej maszyny.

- Nie mogę się ich pozbyć ! – krzyknęła w eter pojękując jednocześnie pod wpływem przeciążenia.

- Umbra Lider ! Hamuj i spadaj ! – polecił nadlatujący Marquall.

Przed oczami kobiety pojawiły się mroczki. Pociągnęła za dźwignię uruchamiającą aerodynamiczne hamulce, zwolniła raptownie pozostając w tyle za zaskoczonymi pilotami Locustów, zaczęła piąć się w górę odwracając ciąg wektorowych silników. Marquall przemknął ponad nią strzelając z działek i heretyccy lotnicy odbili na boki uchodząc z jego strefy ostrzału. Jeden zaczął piąć się w górę, drugi runął w lot nurkowy – Marquall popędził jego śladem.

Piloci w grupie Blanshera zaliczyli po jednym zestrzale w przeciągu dwudziestu sekund, chociaż maszyna Van Tulla została trafiona w skrzydło.

- Wszystko z tobą w porządku, Trójka ? – zapytał Blansher.

- Wszystko gra – padła odpowiedź.

Blansher słyszał w eterze monotony głos Kamińskiego.

- Ognia. Ognia. Ognia. Przelącz. Ognia.

Zmniejszając prędkość i zataczając łuk Blansher spostrzegł w końcu Thunderbolta Kamińskiego, ziejącego płomieniami wylotowymi działek i zaliczającego drugie strącenie w trakcie tej misji.

Pozostali bandyci wycofali się z walki. Marquall powrócił z nieudanego pościgu i cała formacja Umbry dokonała szybkiej reorganizacji szyku. Piloci niemal natychmiast spostrzegli pierwsze klucze nieprzyjacielskiej fali bombowców, lecące na niskim pułapie na południe od lojalistów. Wokół ciężkich maszyn uwijały się eskadry myśliwców.

Imperialiści rozpoczęli atak.

Nad Morzem Ezry, 14.02

Wieżyczki pokładowe bombowców otworzyły ogień niemal równocześnie. W złotej słonecznej poświacie samoloty sprawiały wrażenie płynących przez ocean okrętów. Cztery skrzydła Thunderboltów atakowały ich klucze, dwa dalsze zmagaly się w tym czasie z eskortą myśliwską heretyków.

Doświadczenie wyniesione przez Viltry'ego z lotów na Marauderach pozwoliło mu zlokalizować martwe strefy ostrzału przeciwnika w przeciągu kilkunastu sekund, dzięki czemu zestrzelił dwa bombowce. Jagdea poszła natychmiast w ślady kapitana, uszkodziła ciężki samolot bombowy, który został chwilę potem dobity przez Del Ruth. Darrow obrał za cel jakiegoś Tormentora, przestrzelił mu krótką serią jeden z silników. Heretycka maszyna zwolniła na chwilę, a potem zaczęła spadać w dół nie potrafiąc utrzymać pułapu.

Del Ruth wykonała dwa następujące po sobie skręty w przeciwne strony wykreślając literę S, po czym wpadła na gigantyczny bombowiec w barwach ciemnej czerwieni. Za statecznikami ogonowymi gigantycznej maszyny ciągnęły się długie łańcuchy. Mrużąc oczy

Del Ruth spostrzegła, że przyczepione do tych łańcuchów niewielkie obiekty były ludzkimi czaszkami. Zatoczyła ciasny łuk i zaatakowała, nawet nie czekając na pisk lokalizatora. Przy tych rozmiarach celu chybienie było praktycznie niemożliwe. Wpakowała osiem wiązek laserowej energii w opasły kadłub bombowca i skręciła w bok, śledząc jednocześnie wzrokiem coraz większe detonacje rozrywające od środka wielki samolot.

Gigantyczny bombowiec stanął w płomieniach, ale jego wieżyczki wciąż strzelały. Del Ruth poczuła silne wstrząsy, kiedy coś trafiło z ogromną siłą w nos jej Thunderbolta, na chwilę wyrrywając drążek z rąk kobiety i przechylając samolot o dwadzieścia stopni w bok.

Szybko odzyskała kontrolę nad maszyną.

- Szóstka, wszystko gra ?

- Tak, Lider – zameldowała Del Ruth. Phantyjka sprawdziła wskazania instrumentów i dostrzegła dwie czerwone kontrolki sygnalizujące uszkodzenie prawoburtowych ładowarek amunicyjnych.

Kamiński i Zemmic stracili po jednym bombowcu w pierwszym podejściu, ale Blansher, Scalter i Van Tull zostali przechwyceni przez Razory strzegące bombowców, zanim jeszcze poczynili jakieś szkody. Van Tull zmuszony został do wykręcenia w powietrzu niemal kompletnej ósemki, by zdołał się pozbyć wiszącego mu na ogonie purpurowego Razora, po czym natychmiast runął na inny heretycki myśliwiec, pomalowany w czarnobiałą szachownicę i próbujący ostrzelać Scaltera. Widząc jak czarnobiałe Razor spada ku morzu w płomieniach, Scalter wziął na celownik jeden z superciężkich bombowców atakując go od siódmej.

Purpurowy Razor, którego chwilę wcześniej zgubił Van Tull, pojawił się jakby znikąd i natychmiast otworzył ogień do Scaltera. Boltowe pociski podziurawiły prawy silnik Thunderbolta, część kadłuba, ogon. Siła uderzeń zniszczyła lokalizator majora i przerwała kilka rur układu chłodzącego w kabinie. Boczne szyby kokpitu z miejsca pokryły się grubą warstwą białego nalotu.

- Umbra Siedem ! Umbra Siedem ! – krzyczał w eterze Van Tull.

Oszołomiony Scalter rozejrzał się wokół słysząc głos Phantyńczyka. Wnętrze kokpitu pełne było niebieskiego dymu. Major przesunął wzrokiem po popękanych zegarach, migoczących szaleńczo czerwonych lampkach. *Przegrzanie, przecieki, utrata ciśnienia, utrata mocy silników...*

- Scalter, słyszysz mnie ?!

Scalter opuścił wzrok i westchnął spazmatycznie. Przynajmniej jeden z pocisków przeszedł na wylot przez jego ciało. Major nie potrafił uwierzyć, że ta krwawa miazga miała cokolwiek wspólnego z jego ciałem. Nie czuł swoich nóg. Mówiąc szczerze, nie czuł prawie niczego.

- Scalter !

- Wszystko gra... – wycharczał – Drobne uszkodzenia...

- Siódemka, jeśli tracisz kontrolę nad maszyną, skacz, na litość boską !

Scalter poruszył z wysiłkiem drążkiem. Stery myśliwca nie reagowały, były martwe. Pokierowany samolot leciał prosto przed siebie. Major spojrział ponownie na dolną część swego ciała. Nie miał szans na udane katapultowanie się, zresztą przy tego rodzaju obrażeniach nie miało to nawet sensu.

Podniósł wzrok. Obrany przez niego za cel ciężki bombowiec wciąż znajdował się z przodu, wypełniał swym kształtem przednią szybę kokpitu.

Scalter położył dłoń na dźwigni przepustnicy.

- Za Enothis i Imperatora – wymamrotał i pchnął przepustnicę do przodu.

Umbra Siedem przyspieszyła gwałtownie w linii prostej, uderzyła w bok ciężkiego bombowca. Wielka kula ognia pochłonęła obie maszyny.

- Siedem spadł ! Scalter zginął ! – Marquall słyszał w eterze krzyk Van Tulla, ale negatywna siła przeciążenia uniemożliwiła mu wykrztuszenie odpowiedzi. Wykrecał morderczy skręt z przewrotem przez skrzydło, ścigany uparcie przez wiszącego mu na ogonie fioletowego Razona. Pociski odbijały się z gwizdem od płyt pancerza Thunderbolta. Marquall zdołał zawrócić, zwolnił, puścił Razona dołem zmuszając go do wyprzedzenia imperialnej maszyny. Teraz to Phantyńczyk znalazł się na ogonie przeciwnika. Marquall wiedział, że heretyk odbije lada sekunda w bok, tylko w którą stronę ?

W którą stronę ty byś poleciał ? powtarzała swym podkomendnym Jagdea.

Marquall odbił w prawo, a Razor wykonał ten sam manewr ułamek sekundy potem.

Pisk lokalizatora.

Marquall wrzasnął tryumfalnie naciskając spust – wiedział, że to pewny zestrzał, nim jeszcze przemówiły z hukiem działka *Dwugłowego Orła*. Fioletowy Hell Razor zaczął wirować wokół własnej osi, coraz szybciej, coraz niżej.

Marquall miał nadzieję, że ktoś widział tę akcję. Miał gorącą nadzieję, że ktoś...

- Umbra Sześć ! Umbra Sześć ! Status ?! – w radiu zaczęła znieścicka krzyczeć Jagdea.

Chociaż w pobliżu nie było żadnego przeciwnika, Thunderbolt Del Ruth trząsał się jakby uderzała w niego seria masakrujących przód maszyny pocisków. Miniaturowe eksplozje rozrywały pancerza nosa myśliwca.

- Nie wiem... – zaczęła dziewczyna, uświadamiając sobie moment później, że to spóźniony efekt trafienia w ładowniki amunicyjne kilka minut wcześniej. Silna turbulencja musiała wywołać detonację zaciętych w podajnikach pocisków. Miniaturowe eksplozje były rezultatem wybuchu jej własnej amunicji. Zdjęta grozą Jagdea patrzyła jak kolejne wybuchy rozrywają imperialny samolot fragment po fragmencie, wirujące w powietrzu szczątki wpadły do jednego z silników niszcząc go natychmiast.

Nieodwracalnie uszkodzony Thunderbolt wpadł w korkociąg.

- Aggie ! Wyciągnij go ! Wyciągnij ! – wrzasnęła Jagdea.

- Nie potrafię ! Stery siadły ! – krzyknęła rozpaczliwie Del Ruth.

- Skacz, Aggie ! Na Tron, skacz !

Jagdea spostrzegła błysk odrzucanej owiewki. Daleko poniżej samolotu komandor otworzył się niewielki spadochron, stanowiący maleńki biały punkcik na tle szmaragdowego morza.

Baza lotnicza Lucerna, 15.20

Kiedy mechanicy tankowali paliwo i wymieniali zasobniki z amunicją, piloci stali pogrążeni w milczeniu. Zmęczenie i napięcie rujnowały im nerwy, ale jeszcze cięższa okazała się świadomość poniesionych strat. Serca bolały lotników równie bardzo jak przeciążone mięśnie; większość z nich nawet nie potrafiła wyprostować nóg po ekstremalnych warunkach lotu. Już samo chodzenie po hangarze stanowiło nie lada wyzwanie.

Tuż przed godziną 16.00, kiedy myśliwce były już przygotowane do startu, Operacje zgłosiły złamanie drugiej fali niedaleko Zophos. Niemalże zatrzymani w miejscu, lotnicy Arcynieprzyjaciela walczyli przez dobre cztery godziny, po czym zawrócili na południe.

Jeśli wróg zaplanował rzucenie do akcji trzeciej fali, lojaliści spodziewali się jej za jakieś pięć godzin.

- Trzeci raz fuks – powiedział Zemmic.

- Dla kogo ? – odezwał się Kamiński.

Nad archipelagiem, 18.23

Heretycy powrócili wcześniej niż to zakładano; jakby byli głodni ostatecznego zwycięstwa, jakby czuli, że ich przeciwnicy mają już stryczek na szyi. Albo powodowała nimi rozpaczliwa desperacja – tak przynajmniej próbowała sobie wmawiać Jagdea.

Trzecia fala pojawiła się na niebie wraz z przedwczesnym zmrokiem, sprawiając wrażenie równie licznej jak dwie poprzednie. Jak to możliwe, że przy tylu zestrzałach wciąż nie widać było w ich szeregach luk ?

Osiem sprawnych maszyn Umbry poderwało się w powietrze wraz z czterema innymi skrzydłami Thunderboltów, wspinając się na pułap dziewięciu tysięcy i krążąc ponad archipelagiem w oczekiwaniu na nieprzyjacielskie formacje. Inne myśliwskie jednostki startowały w tym czasie z wszystkich pozostałych baz.

Imperialiści utworzyli w przestworzach linię.

Bitwa rozpoczęła się o 18.45. Nieprzyjaciel zastosował nową taktykę. Sfrustrowani oporem ze strony lotnictwa marynarki, heretycy rzucili pierwsze wyprawy bombowce do ataku na wyspy archipelagu, chcąc w ten sposób unicestwić ukryte tam imperialne bazy. Kontrolerzy lotów wywnioskowali, że pierwsze skrzydła bombowców miały po zniszczeniu polowych lotnisk przejść nad Cieśniną Jabez i zaatakować Tamudę. Nad położonymi najbardziej na południu wyspami już wykwiwały gigantyczne słupy ognia i dymu.

Imperialne myśliwce wpadły pomiędzy samoloty wroga strącając je w trakcie bombardowania.

- Nigdzie nie widzę eskorty ! – krzyknął Marquall.

- Będzie ! – przestrzegł go Blansher.

Darrow zaliczył swój ósmy zestrzał tego dnia, po czym dołączył do Viltry'ego atakującego jeden z superciężkich bombowców nieznanego typu. W powietrzu krzyżowały się strumienie pocisków smugowych.

Jagdea zatoczyła ciasny krąg. Nie potrafiła wyłowić wzrokiem Zemmica ani Van Tulla, ale słyszała w eterze ich głosy. Blansher i Kamiński atakowali w międzyczasie trójkę Tormentorów. Komandor zbierała się właśnie do wejścia na ogon Hell Talona, kiedy ujrzała wysypującą się spośród chmur osłonę myśliwską wroga.

- Bandyty ! Dwudziestu plus ! Na drugiej ! – wykrzyczała.

Heretycy latali na Razorach, w większości czarnych i czerwonych. Kilka miało karmazynowe barwy, jeden był perłowobiały.

Zabójca i jego podniebny cyrk włączyli się do walki. Dwaj skrzydłowi heretyckiego asa zaatakowali i zniszczyli parę Thunderboltów z 96. skrzydła marynarki, imperialni piloci nawet nie zdążyli sobie zdać sprawy z nieoczekiwanego zagrożenia.

- Umbra ! Rozproszyc się ! – wrzasnęła Jagdea i pchnęła przepustnicę mknąc w stronę białego lidera. Jego błyskawiczny unik nieco ją zmylił, ale zaraz zawróciła w stronę heretyka, goniąc uparcie jego ogon. Zabójca nie dawał jej szans, odrzucił maszynę w bok za pomocą wektorowego napędu, prześlizgnął się pod nią. Wiedziona desperacją obróciła samolot wokół własnej osi i wykonała pętlę próbując spaść mu ponownie na szóstką. Uciekł natychmiast na prawo.

Przez ułamek sekundy komandor pewna była, że przestraszyła heretyckiego pilota i zmusiła go do ucieczki, lecz zaraz pojęła ku swemu bezbrzeżnemu zdumieniu i grozie, że cała ta seria manewrów posłużyła liderowi do wystawienia jej pod celowniki jego skrzydłowych. Zero-Dwa zatrzęsł się pod wpływem trafiających w skrzydła laserowych wiązek. Jagdea pociągnęła na siebie drążek próbując wejść beczką pod brzuchy Razorów, ale ich piloci byli równie utalentowani jak perłowobiały Zabójca, nie opuszczali szóstej Thunderbolta.

- Tronie Terry ! – wrzasnęła Phantyjka próbując im uciec. Poruszając się zbyt szybko jak na tak ciasną walkę manewrową, omal nie staranowała przelatującego obok Talona. Zwolniła drastycznie próbując uniknąć zderzenia. Kolejny pocisk trafił w jej ogonowe stateczniki, dwa uderzyły w obudowę sensorów i lokalizator kobiety zgasł całkowicie. Odzyskała prędkość i

zaczęła pięć się w górę pomiędzy dwoma Tormentorami, ostrzeliwującymi ją zaciekle z pokładowych wieżyczek.

Viltry spostrzegł uciekającą komandor, porzucił uszkodzony przez siebie superciężki bombowiec i włączył dopalacze pędząc niczym strzała poprzez nieprzyjacielską formację.

- Jagdea ! W lewo ! – krzyknął. Phantyjka wykonała skręt, ale karmazynowi bandyci nie zamierzali odpuścić. Viltry otworzył ogień, chybił. Lokalizator nie potrafił namierzyć ruchliwych celów. Mężczyzna poczuł strach na myśl o tym, że nie zdąży na czas uratować przełożonej.

Blansher i Kamiński pozostawili bombowce samym sobie, dołączyli do gonitwy za Jagdeą i jej prześladowcami. Kamiński pierwszy zauważył perłowego bandytę. Heretycki samolot wychynął z chmury dymu niczym upiorna zjawia, migocząc ognikami płomieni wylotowych. Umbra Dwa zadygotała trafiana pociskami w tylną część kadłuba.

- Blansher ! – wrzasnął Kamiński.

Blansher próbował odskoczyć w bok za pomocą wektorowego napędu w sposób jakiego uczył Kamińskiego, ale jego prawoburtowe korektory były uszkodzone. Zabójca wystrzelił ponownie, serią pocisków zapalających, płomienie zatańczyły na ogonowych statecznikach maszyny Blanshera. Kilka pocisków przebiło zbiornik z paliwem do raketowego dopalacza i łatwopalna ciecz natychmiast wybuchła. Za ogonem Thunderbolta pojawił się wielki słup zielonobiałego ognia. Samolot wpadł w lot nurkowy.

Ignorując perłowobiałego bandytę Kamiński rzucił swój samolot w nurkowanie, pędząc w ślad za Umbrą Dwa. Maszyna Blanshera stała w płomieniach od nosa po ogon.

- Skacz ! Skacz, Milan, skacz !

- ...nie mogę... nie... ewka zacięta !

- Blansher !

Thunderbolt nie przypominał już w niczym samolotu, przeistoczył się w kometę, w meteor, kula ognia zbyt oślepiająca, by móc na nią spojrzeć gołym wzrokiem. Ale nurkujący opodal Kamiński nie odwracał swego wzroku. On wiedział, czym był ogień na pokładzie samolotu, poznał smak grozy uwięzienia w kokpicie.

Blansher zaczął krzyczeć, płomienie wdarły się w końcu do wnętrza kabiny. Wibrujący w eterze dźwięk nie miał nic wspólnego z ludzkim głosem.

Kamiński poczuł dziwną ulgę w chwili, gdy płonący wrak uderzył w powierzchnię morza.

Obarkon patrzył z zaciekawieniem jak imperialny skrzydłowy rusza w ślad za swym palącym się liderem. Bardzo dziwne. Jakby ten pilot sądził, że może swemu towarzyszyowi w jakikolwiek sposób pomóc.

Uczył z siebie tym samym nad wyraz łatwy cel. Obarkon zaczął nurkować czując jak antygravitacyjny pancierz uciska jego ciało, a kardiologiczne centryfugi przyśpieszają obroty. Zamrugął przełączając się na celowanie wizualne i umieścił pomarańczową plamkę celownika na ogonie skrzydłowego.

Uwaga...

Namierzanie...

Jeszcze moment.

Ostrzegawczy dzwonek. Obarkon obejrzał się i podniósł instynktownie nos myśliwca, natychmiast przerywając pościg. Obok jego samolotu przemknęło kilka pocisków.

- Ktoś bardzo chce umrzeć – mruknął sam do siebie.

Darrow nadleciał z ogromną szybkością, otwierając ogień tak wcześnie jak to tylko było możliwe, ale chybił. Biały bandyta uciekł z jego pola ostrzału, poszedł szerokim łukiem w bok.

Darrow poleciał takim samym łukiem, nie przerywając pościgu. Tym razem wszystko miało potoczyć się inaczej. Nie musiał już uciekać na starej, nie nadającej się do pojedynku maszynie, tym razem był pilotem Thunderbolta. Perłowobiały sukinsyn, który zabił wszystkich pozostałych pilotów eskadry Łowca – na swój sposób również majora Heckela – miał tym razem stać się ofiarą.

Umiejętne operowanie dopalaczem pozwalało Darrowowi stale zmniejszać dzielący go od heretyka dystans, pomimo mistrzowskich uników Zabójcy. Chłopak uzyskał dwa przelotne potwierdzenia lokalizatora, ale obydwa zostały z miejsca anulowane. Czekał na trzeci.

Obarkon poczuł pewne zainteresowanie, choć jego puls nie przyśpieszył nawet odrobinę. Ten człowiek był dobry, latał z pazurem. Gdyby nie natłok obowiązków, Obarkon może i pobawiłby się z nim przez dłuższą chwilę, ale dzisiejszy dzień był najważniejszym dniem tej wojny. Pojedynek dobiegł końca.

Biały bandyta zmniejszył wysokość do pięćdziesięciu metrów i zaczął śmigać między wysepkami z prędkością i zwrotnością, o której Darrow nawet nie mógł pomarzyć. Każdy kolejny skręt groził nieuważnemu pilotowi zderzeniem ze skalną iglicą.

Trzymał się ogona heretyka tak długo jak tylko pozwoliła mu na to odwaga, potem został zmuszony do poderwania się w górę przed atolem, którego w żaden sposób nie zdołałby ominąć skrzętem. Biały bandyta zwolnił, puścił go górą, wskoczył na ogon zaczynając strzelać. Darrow poszedł unikiem w bok, ale prześladowca już zaczął go namierzać.

Wtedy omiotły go pociski wystrzeliwane z innego Thunderbolta.

Marquall.

Viltry zatoczył jeszcze jeden łuk, wystrzelił ponownie – tym razem dostatecznie blisko, by zmusić karmazynowych bandytów do zaprzestania pościgu za Jagdeą. Jeden z heretyków zawrócił, ruszył w stronę myśliwca kapitana.

- Odpuść ! – poleciła Jagdea.

Viltry usłuchał, zignorował szarżującego na niego Razora, popędził w stronę drugiego. Jagdea poszła w drugą stronę ciasnym łukiem, zawróciła kierując się na bandytę atakującego kapitana.

Phantyńczyk otworzył ogień i karmazynowy Razor zaczął rozsypywać się na kawałki rozdarte pociskami.

Moment później Jagdea zmiotła drugiego skrzydłowego Zabójcy w czołowym ataku jeden na jednego.

Źle wyprowadzony atak Marqualla dał Darrowowi czas na unik. Biały bandyta zaczął zawracać obierając za cel Umbrę Osiem.

- Dorwę go ! – wrzasnął Marquall – Mam rachunek do wyrównania !

Ja też mam jeden, pomyślał Darrow. I nie sądzę, by którykolwiek z nas zdołał go wyrównać.

Marquall wystrzelił ponownie, ale Razor obrócił się wzdłuż własnej osi, spadł nieco niżej uciekając ze strefy ostrzału. Phantyńczyk poszedł w prawo, dokładnie tak jak nakazywał zdrowy rozsądek, ale biały bandyta już w trakcie zmiany pułapu zaczął obracać swą maszynę w tył wektorowymi silnikami. W ułamku chwili znalazł się za Marquallem strzelając z wszystkich luf.

Darrow patrzył z grozą jak pociski rozdierają kadłub Thunderbolta w jego środkowej części.

Marquall szarpnął za drążek sterowy. Obudowa jednego z silników rozpadła się na kawałki, w powietrze wystrzeliły kawałki pancerza. Dwa pociski przeszły przez zbiornik z

mieszkanką tlenową, roztrzaskały radiator układu chłodzącego. Dwa dalsze przedziurawiły układ katapultujący, podarły na strzepy spadochron. Jakiś szrapnel przebił łydkę Marqualla, inny utkwiał w jego lewym udzie.

Pilot krzyknął z bólu i pociągnął mimowolnie za stery wpadając w korkociąg. Szybko opanował maszynę, wyrównał tor lotu. Wnętrze kokpitu znaczyły kropelki ludzkiej krwi.

Darrow zatoczył ciasny łuk. Uszkodzony, Marquall był praktycznie martwy. Darrow uruchomił dopalacz i przemknął przed nosem perłowobiałego bandyty, z rozmysłem ściągając na siebie jego uwagę. Razor ruszył w ślad za Enothianinem.

Uszkodzony lojalista nie miał szans na ucieczkę, mógł poczekać na śmiertelny cios. Obarkon uznał, że w pierwszej kolejności powinien zająć się imperialistą z talentem do latania – zwłaszcza, że dzieciak popełnił podstawowy błąd pozwalając mu wejść na swoją szóstą.

Dowódca eszelonu przekonfigurował ustawienia lokalizatora, pomarańczowy punkt celowniczy przesunął się na sygnaturę nowego celu.

Darrow pędził tuż nad atolami. Uczynił z siebie cel ratując życie Marqualla, chociaż uciekanie przed przeciwnikiem wydawało mu się zaprzeczeniem wszelkich zasad.

Lecz pamiętał usłyszane kiedyś słowa Eadsa. *Odwrót trudno przelknąć, ale musisz zachować się jak prawdziwy wojownik, Enricu. Czasami jest to jedyny sposób na zapewnienie sobie zwycięstwa.*

- Dalej ! Złap mnie ! No dawaj ! – wrzasnął Darrow – Nie dorwałeś mnie wtedy i nie uda ci się teraz !

Kadet mknął pomiędzy skałami wysepek, wzbijał za sobą tuman morskiej bryzy, leciał kierowany czystym instynktem i potężną dawką adrenaliny. Sam nie wierzył w to, że wciąż jeszcze się nie roztrzaskał. Nie miał czasu, by nad tym myśleć. Perłowobiały Razor siedział wciąż na jego ogonie. Bandyta wystrzelił raz, drugi, trzeci. Chybił, pociski przeorały ścianę jednego z klifów.

Latał z pazurem. Cóż za klasa. Uciekający lojalista przypomniał Obarkonowi pewien pościg zaliczony kiedyś nad Makanitami. Uciekł mu wtedy inny młodziak o żyłach wypełnionych promethium zamiast krwi.

Lecz ta gra właśnie dobiegła końca.

Uwaga...

Cel namierzony...

- Żegnaj – powiedział Obarkon naciskając spust.

Darrow usłyszał przeraźliwy pisk antylokalizatora.

- Umbra Osiem, na litość boską ! Jak długo mam zajmować jego uwagę ?!

Perłowobiały bandyta otworzył ogień.

Dwa pociski wbiły się w ogon Thunderbolta.

Vander Marquall, nadlatujący z prędkością dziewięciuset kilometrów na godzinę, przemknął ponad atolem mijając maszynę Darrowa. Automatyczne działka pluły strumieniami ognia i stali. Szaleńcza kanonada nie wymagała w ogóle celowania, samolot Obarkona po prostu wleciał w strugi pocisków.

W przeciągu jednej sekundy Razor uległ przerażającej deformacji. Przebity w wielu miejscach kadłub zaczął się rozpadać, oderwane fragmenty pancerza świstały na wszystkie strony. Kilka pocisków obróciło w krwawą miazgę ciało pilota. Sekundę później silniki i zasobniki amunicyjne eksplodowały równocześnie.

Marquall przeleciał przez rosnącą kulę ognia, znalazł się po drugiej jej stronie. Deszcz perłowobiałych szczątków sypał się z nieba na lagunę.

- Myślę – odezwał się Vander Marquall – że właśnie zostałem asem.

Nad archipelagiem, 19.30

Darrow piął się w górę zacierając z powrotem w kierunku zacieklej powietrznej utarczki.

- Myślałam, że cię straciliśmy, Dziewiątka – odezwała się w eterze Jagdea.

- Potwierdzam odbiór, Lider, nic mi nie jest. Marquall oberwał. Kazałem mu zawrócić do bazy.

- Zrozumiałam.

- Umbra Lider, on strącił tego bandytę. Zestrzelił białego bandytę. To potwierdzona informacja.

Jagdea cisnęła swą maszynę pomiędzy krechy smugowych pocisków. To była pierwsza wiadomość tego dnia, która przywołała uśmiech na jej usta.

Przestworza pełne były samolotów i śmiercionośnej stali, przywodziły na myśl sceny diabolicznego pandemonium uwiecznione w formie fresków na ścianach imperialnej świątyni. Widząc wysoko na swej lewej Wiltry'ego Jagdea runęła prosto w to pandemonium i zaczęła mścić się za Blanshera.

Baza lotnicza Lucerna, 21.00

Było już niemal całkowicie ciemno i przeraźliwie cicho. Trzecia fala została złamana pół godziny temu i instynkt podpowiadał Bree Jagdei, że czwartej już nie będzie. Nie tego dnia.

Mechanicy niemal siłą musieli ją wyciągać z poharatanego Thunderbolta. Zemic i Van Tull wylądowali moment później. Van Tull, spluwający co chwila krwią, stracił jedną trzecią skrzydła. Wiltry i Kamiński siedzieli oparci plecami o ścianę hangaru, wyczerpani ponad ludzkie siły.

Kucnęła tuż przy nich chcąc coś powiedzieć, ale zdołała jedynie otworzyć usta. Nie wiedziała, co właściwie rzec, nie miała nawet siły, by sklecić jakieś słowa.

Darrow wrócił ostatni. Zestrzelił piętnaście nieprzyjacielskich maszyn. Potrójny tytuł asa.

Wygramolił się z samolotu, odrzucił ściskany drżącymi palcami lotniczy hełm i nakreślił w powietrzu znak orła. Świętego dwugłowego orła Imperium.

- Pani komandor ? – zawołał – Komandor Jagdea ?

Phantyjka podniosła się z trudem na nogi.

- O co chodzi, Darrow ?

- Gdzie jest Marquall ? – zapytał chłopak.

Nad oceanem, 21.01

Lecący idealnie prostym kursem Thunderbolt o numerze Dziewięć-Dziewięć, noszący nazwę *Podwójnego Orła*, przekroczył Cieśninę Jabez na wysokości sześciu tysięcy metrów. W jego zbiornikach bulgotała rezerwa paliwa. Przed nosem maszyny rozpościerał się bezkres oceanu.

Vander Marquall siedział w swym fotelu, z lekko pochyloną do przodu głową.

Komunikator trzeszczał cicho.

- Umbra Osiem ? Umbra Osiem ? Mówią Operacje Lucerna. Zgłoś się.

Marquall nie odpowiadał. Pół godziny wcześniej uszkodzony system wentylacji wypełnił jego kabinę dwutlenkiem węgla.

Samolot leciał wierny do końca swej przekornej naturze, ponad oceanem, prosto w objęcia nocy.

a

EPILOG

Czwarta fala nigdy nie nadleciała. Ani tego dnia ani następnego. Chociaż powietrzna wojna na Enothis trwała jeszcze trzy tygodnie, straty poniesione przez lotnictwo Nieprzyjaciela 270. dnia okazały się tak ciężkie, że heretycy stracili wszelką ochotę do powtórzenia operacji powietrznej na taką skalę.

Bitwa nad Morzem Zophoniańskim – określana tym mianem w książkach historycznych – nie była bynajmniej finalną konfrontacją podczas Wojny o Enothis, ale to jej wynik zdecydował o losie całej planety. Kilka tygodni później rozpoczęła się kontrofensywa dowodzona przez lorda militanta Humela i wzmocnieni posiłkami z Grupy Khana imperialni gwardziści uderzyli powtórnie na południe kontynentu, prosto na zdemoralizowanego nieprzyjaciela. Kopce Trinity zostały zdobyte – po miesiącach zacieklej walk – 62. dnia roku 774. Magister Sek zbiegł z powierzchni Enothis krótko przed klęską swych sił. Źródła historyczne podają, że pierwszą jednostką, która dokonała wylomu w Bramach Trinity był regiment pancerny pod rozkazami kapitana Robarta LeGuina.

W Bitwie nad Morzem Zophoniańskim imperialiści stracili dziewięćset czterdzieści osiem samolotów, strącając siedem tysięcy osiemset czterdzieści maszyn heretyckich. Wśród skrzydeł marynarki najwyższe miejsce w kategorii indywidualnych zestrzałów zajęli Apostołowie, ale trzy inne jednostki myśliwskie – w tym 20. Skrzydło Phantine – zdołały przewyższyć wyniki Apostołów w kategorii zestrzałów zaliczonych przez całą jednostkę.

Kapitan Oskar Viltry, pilot Maraudera, został uznany przez Departmento Munitorium za poległego w akcji nad interiozem 260. dnia roku imperialnego 773.M41.

KONIEC